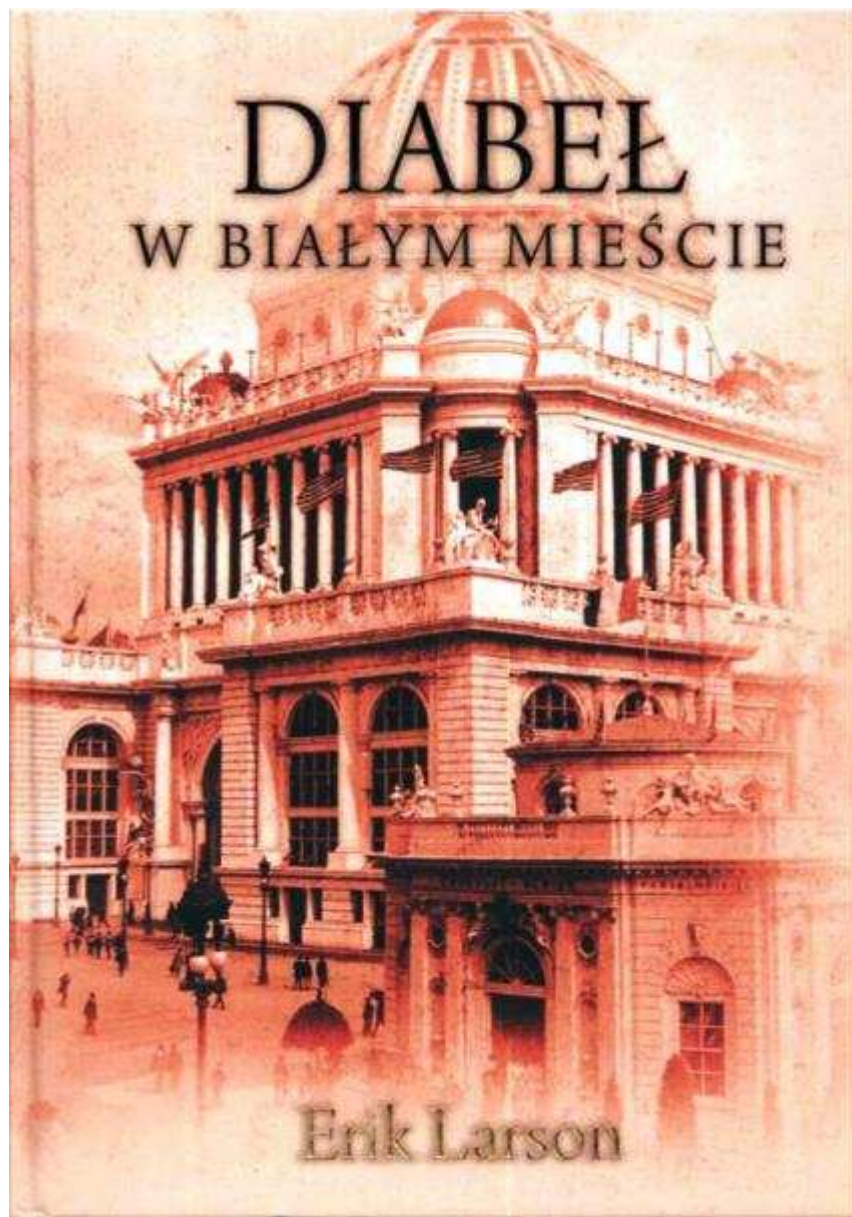


DIABEL W BIAŁYM MIEŚCIE



Fascynująca opowieść o budowniczym, mordercy i wielkiej wystawie,
która stała się ich wspólną obsesją.

Prawdziwa historia dwóch mężczyzn, architekta i seryjnego mordercy, których losy połączyła ze sobą największa wystawa w amerykańskiej historii: Kolumbijska Wystawa Światowa z 1893 roku, zorganizowana w Chicago i nazywana „Białym Miastem”.

Daniel Hudson Burnham, wybitny dyrektor robót wystawy i twórca wielu ważnych budynków, takich jak Flatiron Building w Nowym Jorku czy Union Station w Waszyngtonie, pokonuje liczne przeszkody i wraz ze swoim zespołem stara się przekształcić podmokły park Jacksona w „Białe Miasto”.

W tym samym czasie Henry H. Holmes, młody lekarz, złośliwie parodiując „Białe Miasto” Burnhama, wznosi nieopodal swój Hotel Wystawy Światowej – urządzając w nim miejsce straszliwych mordów, wyposażone w stół sekcyjny, komorę gazową i piec krematoryjny.

Diabeł w Białym Mieście prowadzi czytelnika w czasy pełne magii i wzniosłości, sprawiając, że dym, romans i tajemnica amerykańskiego wieku pozłacanego, jak określają historycy późny wiek dziewiętnasty, ożywają ponownie.



Erik Larson studiował historię oraz dziennikarstwo. Mieszka w Seattle, wraz z żoną i trzema córkami. Do rodziny należy również rybak-bojownik, golden retriever o imieniu Molly oraz karłowaty chomik. *Diabeł w Białym Mieście* to jego druga książka, ale pierwsza, która odniosła tak spektakularny sukces, przez długi czas zajmując czołówkę list przebojów. Kolejna – *Thunderstruck* nakładem Wydawnictwa Sonia Draga ukaże się w 2009 roku.

ISBN 978-83-7508-026-1



Cena detaliczna: 34,90 zł



Chicago, rok 1891

Erik Larson

DIABEŁ W BIAŁYM MIEŚCIE

Morderstwo, magia i maligna na wystawie,
która zmieniła oblicze Ameryki

Z języka angielskiego
przełożyła Monika Wyrwas-Wiśniewska



Tytuł oryginału: THE DEVIL IN THE WHITE CITY

Copyright © 2002 by Erik Larson

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: Corbis

Zdjęcie autora: © Roseanne Olson

Redakcja: Olga Rutkowska, Marcin Grabski Korekta: Radosław Ragan, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7508-026-1

Sprzedaż wysyłkowa:

www.soniadraga.pl

www.merlin.com.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax. (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio S.C., tel. 032 720 28 78, fax. 032 209 82 25

Katowice 2008. Wydanie I

Druk: GGP Media GmbH, Niemcy

*Dla Chris, Kirsten, Lauren i Erin,
dla których warto było to zrobić
— i dla Molly, której namiętność do skarpetek
trzymała nas w ciągłym napięciu*

SPIIS TREŚCI

OD AUTORA: Nieuchronne zło	11
PROLOG: Na pokładzie <i>Olympic</i>	15
CZEŚĆ I: Zamrożona muzyka	23
CZEŚĆ II: Okropna walka	123
CZEŚĆ III: W Białym Mieście	243
CZEŚĆ IV: Okropieństwa ujawnione	347
EPILOG: Ostatnia przeprawa	381
PRZYPISY I ŹRÓDŁA	401
Bibliografia	445
Podziękowania	451
Źródła fotografii	453
INDEKS	455

Nieuchronne zło

Od autora

*P*od koniec dziewiętnastego wieku w Chicago, wśród dymu fabryk i łoskotu pociągów, mieszkało dwóch ludzi. Obaj byli przystojni, niebieskoocy i niezwykle utalentowani w dziedzinach, jakimi przyszło im się w życiu zajmować. Każdy z nich uosabiał jeden z elementów wielkiej dynamiki, która charakteryzowała amerykański pęd ku dwudziestemu wiekowi. Pierwszy był architektem, twórcą wielu najważniejszych budynków w Ameryce, między innymi Flatiron * Building w Nowym Jorku i dworca kolejowego Union Station w Waszyngtonie. Drugi był mordercą, jednym z najbardziej „płodnych” w historii, a także archetypem amerykańskiego wielkomiejskiego seryjnego zabójcy. Choć ci dwaj mężczyźni nigdy się nie spotkali, przynajmniej oficjalnie, ich losy związało z sobą jedno magiczne wydarzenie — wydarzenie, które prawie zniknęło w mrokach niepamięci, ale w swoim czasie było postrzegane jako siła niosąca przemiany niemal równie wielkie jak wojna secesyjna.

* flatiron (ang.) — żelazko. Potoczna nazwa budynku, który nazywał się oficjalnie Fuller Building. Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki. Przypisy autora znajdują się na końcu książki.

Na następnych stronach opowiem historię tych ludzi i tego wydarzenia, ale muszę najpierw ostrzec czytelników: bez względu na to, jak dziwne czy makabryczne wydadzą się wam niektóre opisane tutaj zdarzenia, niniejsza książka nie jest fikcją. Wszystko, co znajdziecie w cudzysłowach, pochodzi z listów, pamiętników lub innych ówczesnych dokumentów. Akcja rozgrywa się w Chicago, mam jednak nadzieję, że zostaną mi wybaczone wycieczki poza granice stanu, na

przykład w sytuacjach takich jak ta, kiedy pełen poświęcenia, pogrążony w żałobie detektyw Geyer wkracza do ostatniej przerażającej piwnicy. Proszę również o wyrozumiałość, gdy porzucam główny tok opowieści, zagłębiając się w kwestie konieczne dla jej lepszego zrozumienia, dotyczące choćby zdobywania zwłok na potrzeby medyczne czy właściwego wykorzystania pelargonii odmiany Black Prince w Olmstedowskich krajobrazach.

W swojej istocie, jeśli odrzucić grubą warstwę błota, dymu i przelanej krwi, jest to książka o ulotności życia i o tym, dlaczego niektórzy ludzie starają się wypełnić dany im krótki czas na Ziemi próbami osiągnięcia rzeczy niemożliwych, a inni — wywoływaniem smutku i rozpacz. W ostatecznym rozrachunku jest to jednak opowieść o nieuniknionym konflikcie między dobrem i złem, światłem i mrokiem, Białym i Czarnym Miastem.

Erik Larson, Seattle

Nie należy tworzyć skromnych planów. Nie ma w nich magii zdolnej poruszyć serce mężczyzny.

DANIEL H. BURNHAM,
DYREKTOR DEPARTAMENTU ROBÓT
ŚWIATOWEJ WYSTAWY KOLUMBIJSKIEJ, 1893

Urodziłem się, mając w sobie diabła. Nic nie mogłem poradzić na to, że jestem mordercą, tak jak poeta nic nie może poradzić na to, że czuje inspirację do tworzenia poezji.

DOKTOR H. H. HOLMES,
PRZYZNANIE SIĘ DO WINY, 1896

PROLOG

Na pokładzie *Olympic*

1912

Na pokładzie *Olympic*

Był 14 kwietnia 1912 roku, czarny dzień w historii żeglugi, choć oczywiście pasażer, który zajmował kabiny 63–65 na osłoniętym pokładzie C, nie mógł jeszcze o tym wiedzieć. Wiedział natomiast, że bardzo boli go stopa, zdecydowanie mocniej, niż się spodziewał. Miał sześćdziesiąt pięć lat i zrobił się... obszerny. Włosy mu posiwiwały, wąsy stały się niemal białe, ale oczy pozostały równie błękitne jak kiedyś, a może nawet bardziej — zapewne wobec bliskości morza. Już raz ból stopy zmusił go do odłożenia podróży, teraz zaś dodatkowo uwięził go w kabinie, kiedy inni pasażerowie pierwszej klasy — wśród nich jego własna żona — oddawali się rozrywce, na którą i on miał wielką ochotę, to znaczy zwiedzaniu egzotycznych zakamarków statku. Pasażer kabin 63–65 zakochał się w luksusie tego liniowca równie mocno jak w wagonach pałacowych Pullmana i gigantycznych kominkach, ale kłopoty ze stopą znacznie zmniejszyły jego radość z podróży. Zdawał sobie sprawę, że choroba, będąca przyczyną tych problemów, po części wynikała z jego własnej winy. Sam przecież w minionych latach odmawiał stanowczo ograniczenia flirtów z najlepszymi winami, najwykwintniejszymi potrawami i najwyborniejszymi gatunkami cygar. A teraz ból przypominał mu codziennie, że jego czas na tej planecie zbliża się do końca. Tuż przed wyjazdem powiedział przyjacielowi: „Nie interesuje mnie przedłużanie życia za wszelką cenę, jeśli człowiek wykonał już swoją pracę na Ziemi, i to wykonał ją zadowalająco”.

Pasażer nazywał się Daniel Hudson Burnham, a jego nazwisko było znane na całym świecie. Był architektem, a swoją pracę wykonał zadowalająco w Chicago, Nowym Jorku, Waszyngtonie, San Francisco, Manili i w wielu innych miastach. W towarzystwie żony Margaret oraz córki i jej męża płynął do Europy na wielką wyprawę, która miała potrwać całe lato. Wybrał rejs na pokładzie R.M.S. *Olympic*, należącego do linii White Star, ponieważ był to nowy, wielki i wspaniały

liniowiec pasażerski, a w momencie, kiedy rezerwował bilety, również największy statek na świecie pływający na regularnej trasie. Zaledwie trzy dni przed wyjściem w morze tytuł ten ukradła mu siostrzana jednostka – nieco większy brat bliźniak – wyruszająca właśnie w swój dziewiczy rejs. Burnham wiedział, że na pokładzie tego drugiego statku znajduje się jeden z jego najbliższych przyjaciół, malarz Francis Millet. On również przeprował się przez Atlantyk, ale w odwrotnym kierunku.

Gdy do kabiny wpadły ostatnie promienie zachodzącego słońca, Burnham ruszył wraz z Margaret do jadalni pierwszej klasy, znajdującej się jeden pokład niżej. Zjechali windą, żeby oszczędzić jego stopie męki pokonywania wspaniałej klatki schodowej. Niechętnie godził się na to udogodnienie, ponieważ podziwiał artyzm metalowej spiralnej balustrady schodów i ogromną kopułę ze szkła i stali, która oświetlała wnętrze statku naturalnym światłem. Obolała stopa znacznie ograniczała jego możliwość poruszania się. Zaledwie tydzień wcześniej spotkało go jeszcze większe upokorzenie: musiał przejechać na wózku inwalidzkim przez Union Station w Waszyngtonie, dworzec kolejowy, który sam zaprojektował.

Burnhamowie zjedli kolację tylko we dwoje, w jadalni pierwszej klasy, po czym wrócili do swoich kabin. A tam, bez jakiegoś szczególnego powodu, myśli Burnhama powróciły do Francis Milleta. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił wysłać przyjacielowi pozdrowienia ze środka oceanu, za pośrednictwem aparatu Marconiego, który znajdował się na pokładzie Olympic.

Zadzwoił po stewarda. Jego wiadomość zabrał mężczyzna w średnim wieku, w nienagannie odprasowanym białym uniformie, i zaniósł trzy pokłady wyżej, do kabiny radiowej przylegającej do pokładu oficerskiego. Kilka chwil później wrócił, ciągle trzymając wiadomość w dłoni. Wytłumaczył, że operator nie chciał jej przyjąć.

Zirytowany i obolały Burnham kazał mu wracać i zażądać wyjaśnień.

Burnham nigdy nie zapominał o Millecie ani o wydarzeniu, które ich do siebie zbliżyło: Wielkiej Wystawie Światowej, zorganizowanej w Chicago w 1893 roku. Millet był jednym z najbardziej oddanych sojuszników Burnhama w długich,

słodko-gorzkich zmaganiach o budowę tej wystawy. Jej oficjalna nazwa brzmiała: World's Columbian Exposition — Światowa Wystawa Kolumbijska, a jej oficjalnym celem było uczczenie czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Jednak to dzięki Burnhamowi, jej głównemu twórcy, ekspozycja zmieniła się w coś więcej: w czarujące i znane na całym świecie Białe Miasto.

Choć trwała zaledwie sześć miesięcy, obliczono, że w tym czasie odwiedziło ją 27.5 miliona zwiedzających, i to w okresie, gdy całkowita liczba ludności Stanów Zjednoczonych wynosiła 65 milionów. W rekordowym dniu wystawę zwiedziło ponad 700 tysięcy osób. Już zresztą samo to, że powstała, nosiło znamiona cudu. Aby ją zbudować, Burnham musiał pokonać tysiące przeszkód, z których każda mogła — nie, raczej powinna była — zniweczyć cały projekt jeszcze przed dniem otwarcia. Z pomocą wybranych architektów wyczarował miasto marzeń, którego piękno i blask przewyższyły nawet najśmielsze wyobrażenia. Zwiedzający przychodzili tutaj ubrani w swoje najlepsze stroje, przybierając poważny wyraz twarzy, jakby wchodzili do wielkiej katedry. Niektórzy płakali na widok takiego piękna. Inni próbowali nowej przekąski o nazwie Cracker Jack * oraz nowej potrawy, określanej jako chrupki śniadaniowe.

* Cracker Jack — prażona kukurydza w karmelu.

Na teren wystawy przeniesiono całe wioski z Egiptu, Algierii, Dahomeju i innych odległych stron świata, i to razem z ich mieszkańcami. Na samej Ulicy Kairskiej było zatrudnionych prawie dwustu Egipcjan. Stało przy niej dwadzieścia pięć budynków, w tym teatr na sto pięćdziesiąt miejsc, w którym zaprezentowano Ameryce nową, skandalizującą formę rozrywki. Wszystko w tej wystawie było egzotyczne, a przede wszystkim olbrzymie. Zajmowała ponad dwa i pół kilometra kwadratowego powierzchni, na której wzniesiono ponad dwieście budynków. Największa hala wystawowa mogła pomieścić w swoim wnętrzu jednocześnie amerykański Kapitol, Wielką Piramidę, katedrę z Winchester, Madison Square Garden i katedrę Świętego Pawła. A pewna konstrukcja, początkowo potępiana jako „szkaradzieństwo”, stała się symbolem całej wystawy. Ta wielka i przerażająca machina natychmiast przyćmiła słynną wieżę Gustave'a Alexandres Eiffela, która tak mocno zraniła wcześniej dumę Ameryki. Nigdy dotąd w jednym miejscu nie zgromadzono razem tylu najjaśniejszych gwiazd. Byli wśród nich: bohater Dzikiego Zachodu, myśliwy, zwiadowca armii amerykańskiej, aktor i

twórca widowisk rozrywkowych Buffalo Bill, powieściopisarz Theodore Dreiser, amerykańska działaczka na rzecz kobiet Susan B. Anthony, współtwórczyni pierwszych domów opieki społecznej, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 1931 roku Jane Addams, sławny amerykański adwokat Clarence Darrow, inżynier i przedsiębiorca George Westinghouse, wynalazca Thomas Edison, historyk i pisarz z rodziny dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych Henry Adams, arcyksiążę austrowęgierski Franciszek Ferdynand, elektryk i wynalazca Nikola Tesla, polski pianista, kompozytor i polityk Ignacy Paderewski oraz przedsiębiorcy Philip Armour i Marshall Field. Amerykański dziennikarz i korespondent wojenny Richard Harding Davis nazwał tę wystawę „największym wydarzeniem w historii kraju od czasu wojny secesyjnej”.

Nikt nie wątpił, że w wystawie tkwiła prawdziwa magia, niemniej jednak dotknął ją także mrok. Przy urzeczywistnianiu tego marzenia Ameryki dziesiątki robotników odniosły rany, niektórzy zaś ponieśli śmierć, skazując na biedę swoje rodziny. Pożar zabił ich aż piętnastu, a ręka zamachowca zmieniła uroczystość, która miała pretendować do miana największej w dziewiętnastym wieku, w wielki pogrzeb. Podczas Światowej Wystawy Kolumbijskiej zdarzyło się również coś znacznie gorszego, ale ta sprawa wychodziła na jaw powoli. Wśród wycharowanego przez Burnhama piękna działał morderca. Młode kobiety, przywabione do Chicago przez wystawę i możliwość rozpoczęcia samodzielnego życia, znikaly bez śladu. Po raz ostatni widziano je, jak wchodziły do ciągnącej się wzdłuż całej przecznicy rezydencji zabójcy, budynku będącego parodią wszystkiego co drogie architektom. Dopiero po zamknięciu ekspozycji do Burnhama i jego kolegów dotarły wieści o pełnych udręki listach zrozpaczonych rodziców w sprawie córek, które przyjechały do miasta i więcej nie dały znaku życia. Prasa spekulowała, że w czeluściach tego budynku zaginęły dziesiątki osób przybyłych do Chicago, żeby zwiedzić wystawę. Rzeczy, jakie odkryli w środku detektywi, oraz to, że działały się one w ukryciu aż tak długo, zaskoczyły nawet najbardziej odpornych członków klubu Whitechapel, biorącego nazwę od dzielnicy londyńskiej, z której Kuba Rozpruwacz uczynił swój teren łowów. Racjonalisci zrzucali winę na potężne zmiany, jakie wstrząsnęły wówczas Chicago. Wobec skali ówczesnego zamieszania jest zrozumiałe, że dzieło młodego i przystojnego doktora przeszło niezauważone. Jednak w miarę upływu czasu nawet poważni obywatele zaczęli o nim myśleć zdecydowanie mniej racjonalnie. On sam określał siebie jako diabła i utrzymywał, że jego fizyczna postać zaczęła się zmieniać. A tyle

dziwnych wypadków przytrafiło się ludziom, którzy postawili go przed obliczem sprawiedliwości, że twierdzenia te zaczęły się wydawać niemal wiarygodne.

Dla osób skłonnych do wiary w rzeczy nadprzyrodzone już sama śmierć przewodniczącego ławy przysięgłych była tego wystarczającym dowodem.

Burnhama dręczył ból stopy. Pokład wibrował. Bez względu na to, w którym miejscu statku się przebywało, zawsze wyczuwało się moc jego dwudziestu dziewięciu kotłów, wędrującą w górę przez poszycie kadłuba. To drzenie przez cały czas przypominało pasażerom, czy to w prywatnych kabinach, czy w jadalniach, czy w palarniach — choć zadano sobie wiele trudu, żeby zmienić te pomieszczenia w komnaty Wersalu albo angielskiego pałacu królewskiego — że znajdują się na pokładzie liniowca mknącego przez bezkresny błękit oceanu.

Burnham i Millet byli jednymi z nielicznych budowniczych Światowej Wystawy Kolumbijskiej, którzy nadal pozostawali przy życiu. Tak wielu już odeszło. Olmsted i Codman. McKim. Hunt. Atwood — w sposób zagadkowy. I ta pierwsza strata, z którą Burnhamowi nadal trudno się było pogodzić. Wkrótce nie zostanie już nikt, kto widział wystawę na własne oczy, a ona sama zniknie wraz z ich pamięcią.

Kto z głównych osób żył jeszcze, oprócz Milleta? Tylko Louis Sullivan — rozgoryczony, w oparach alkoholu, pełen pretensji, choć nie aż tak wielkich, żeby mu przeszkodziły przychodzić do biura Burnhama po pożyczkę albo żeby sprzedać jakiś obraz lub szkic.

Jeden Francis Millet wydawał się silny i zdrowy, i nadal pełen pragmatycznego poczucia humoru, które tak ożywiało długie wieczory podczas budowy wystawy.

Steward wrócił. Wyraz jego oczu był zupełnie inny. Przeprosił. Wyjaśnił, że nadal nie udało mu się wysłać wiadomości, ale przynajmniej teraz może wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Liniowiec Milleta uległ katastrofie, a Olympic płynął mu w tej chwili na pomoc. Z maksymalną prędkością, na północ. Otrzymano rozkaz przyjąć na pokład pasażerów ze statku Milleta i zapewnić rannym opiekę. Nic więcej nie było wiadomo.

Burnham poruszył nogą, skrzywił się i czekał na dalsze wieści. Miał nadzieję, że kiedy Olympic wreszcie dotrze na miejsce wypadku, odszuka Milleta i wysłucha z jego ust szokującej opowieści o rejsie. Otulony panującym w kabinie spokojem Burnham otworzył swój dziennik.

Tej nocy wystawa przypominała mu się z niezwykłą wyrazistością.

CZEŚĆ I

Zamrożona muzyka

Chicago 1890—1891

Czarne miasto

*J*ak łatwo było zniknąć.

Codziennie do Chicago przyjeżdżały albo z niego odjeżdżały tysiące pociągów. Wiele przywoziło młode samotne kobiety, które nigdy dotąd nie widziały miasta na oczy, ale miały nadzieję uczynić swoim domem tę jedną z największych i najbardziej bezwzględnych metropolii na świecie. Jane Addams, reformatorka społeczna, założycielka chicagowskiego Hull House, napisała: „Nigdy przedtem w dziejach cywilizacji nie uwolniono równie nagle spod opieki rodzicielskiej tak wielkiej liczby młodych dziewcząt. Nigdy dotąd nie pozwolono im chodzić samotnie po ulicach miasta i pracować w obcych domach”. Kobiety szukały pracy jako maszynistki, stenografiki, szwaczki i tkaczki. Mężczyźni, którzy je zatrudniali, w przeważającej większości byli moralnie nieskazitelnymi obywatelami, skupionymi na wydajności pracy i własnym zysku. Ale nie zawsze. Dnia 30 marca 1890 roku urzędnik z First National Bank zamieścił w dziale „Dam pracę” gazety „Chicago Tribune” ostrzeżenie dla stenografek. „Jesteśmy głęboko przekonani” — pisał — „że żaden szanujący się biznesmen nie dałby ogłoszenia, że poszukuje stenografiki, która jest blondynką o dobrej prezencji, przebywa w mieście sama, a do oferty pracy powinna załączyć swoje zdjęcie. Wszystkie takie ogłoszenia noszą wyraźne znamię wulgarności. Sądzimy również, że nie jest rzeczą bezpieczną, żeby damy odpowiadały na równie niestosowne anonse”.

Kobiety podejmowały pracę na ulicach, które wily się wśród barów, szulerni i burdeli. Rozpusta kwitła, oficjalnie tolerowana. „Salony i sypialnie, w których mieszkali uczciwi ludzie były (jak i teraz) raczej nudne” — napisał pod koniec życia hollywoodzki scenograf, dwukrotnie nagrodzony Oscarem Ben Hecht, próbując wyjaśnić tę charakterystyczną cechę starego Chicago. — „W pewien sposób przyjemna była świadomość, że za ich oknami diabeł nadal hasa w roz-blyskach płonącej siarki”. Z kolei niemiecki socjolog Max Weber, w analogii,

która okazała się aż nazbyt celna, porównał to miasto do „człowieka, z którego zdarto skórę”.

Anonimowa śmierć zjawiała się tutaj nagle i zabijała szybko. Każdy z tysięcy pociągów, które przyjeżdżały do miasta i które z niego wyjeżdżały, siał ją we własnym zakresie. Można było zejść z krawężnika i zginąć pod kołami Chicago Limited. Na skrzyżowaniach torów kolejowych w mieście codziennie ginęły średnio dwie osoby. Obrażenia, jakich doznawały, były wręcz groteskowe — przechodnie często natykali się na ucięte głowy. Istniały także inne niebezpieczeństwa. Tramwaje spadały z mostów zwodzonych. Konie płoszyły się i wlokły wozy w tłum. Pożary pochłaniały co dnia dwanaście istnień ludzkich, a ofiary płomieni gazety najchętniej określały przymiotnikiem „usmażony”. Poza tym były jeszcze dyfteryt, tyfus, cholera, grypa... Oraz morderstwo. W okresie trwania Światowej Wystawy Kolumbijskiej tempo, w jakim ludzie zabijali się nawzajem, wzrosło gwałtownie w całym kraju, ale szczególnie w Chicago, gdzie policja nie miała ani odpowiednich sił, ani niezbędnej wiedzy pozwalającej zapanować nad podobną falą zbrodni. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1892 roku w mieście zanotowano osiemset wypadków gwałtownej śmierci. Cztery dziennie. Większość z nich była prozaiczna: napad rabunkowy, kłótnia czy zazdrość. Mężczyźni strzelali do kobiet, kobiety strzelały do mężczyzn, a dzieci niechcący naciskały na spust, mierząc do innych dzieci. Ale to wszystko można było zrozumieć. Nie zdarzyło się nic, co przypominałoby zbrodnie z Whitechapel. Pięć ofiar zmasakrowanych przez Kubę Rozpruwacza w 1888 roku wymykało się wszelkim wyjaśnieniom i przyciągało uwagę czytelników w całej Ameryce. Głównie ludzi, którzy wierzyli, że taka rzecz nigdy nie mogłaby się zdarzyć w ich mieście.

Ale w tamtym czasie wszystko ulegało zmianie. Gdziekolwiek by spojrzeć, granica między moralnością a złem zdawała się zanikać. Elizabeth Cady Stanton gardłowała za rozwodami. Clarence Darrow orędownał za wolną miłością. Młoda kobieta o nazwisku Borden zabiła swoich rodziców.

A w Chicago młody przystojny doktor wysiadł z pociągu, niosąc w rękę chirurgiczną walizeczkę. Zstąpił w świat zgiełku, dymu i pary, przeniknięty aurą, jakiej przydawał mu zapach mordowanego bydła i zarzynanych świń. I spodobało mu się tutaj.

Później nadeszły listy. Od Cigrandów, Williamsów, Smythe'ów i wielu innych. Przychodziły na adres ponurego zamczyska stojącego na rogu Sześćdziesiątej

Trzeciej i Wallace. Listy błagające o wiadomość na temat losu córek i ich dzieci.

Łatwo było zniknąć. Tak łatwo było wyprzeć się wiedzy. Tak bardzo łatwo było się ukryć w dymie i wrzawie, że zło zaczęło zapuszczać korzenie.

Oto Chicago w przededniu największej wystawy w historii.

„Kłopoty dopiero się zaczynają”

Po południu w poniedziałek 24 lutego 1890 roku ponad dwa tysiące osób zebrały się na chodniku i na ulicach wokół redakcji „Chicago Tribune”. Podobnej wielkości tłumy otoczyły każdą z pozostałych dwudziestu ośmiu redakcji gazet codziennych, stłoczyły się również w recepcjach hoteli, barach oraz w biurach Western Union i Postal Telegraph Company. Wśród zebranych przed siedzibą „Chicago Tribune” byli biznesmeni, urzędnicy, komiwojażerowie, stenografki, policjanci i przynajmniej jeden fryzjer. W pogotowiu stał goniec, czekając, aż pojawi się wieść warta przekazania. Było zimno. Dym wypełniał przepastne groty między budynkami i ograniczał widoczność do kilku przecznic. Od czasu do czasu policjanci oczyszczali drogę jaskrawo-żółtym tramwajom linowym, które nazywano tutaj „trzymaaczami”, ponieważ kierujący przyczepiali je do liny biegnącej w kanale pod powierzchnią ulicy. Dwukołowe wozy zapakowane towarami toczyły się z łoskotem po bruku, ciągnięte przez olbrzymie konie wydychające w mrok kłęby pary

Oczekiwanie zdawało się naelektryzowane napięciem, ponieważ Chicago było miastem dumnym. Na każdym rogu ludzie zaglądali w twarze sklepikarzom, taksówkarzom, kelnerom i gońcom hotelowym, próbując z nich wyczytać, czy wiadomość już nadeszła i czy była dobra, czy zła. Ten rok, jak dotąd, był pomyslny. Ludność Chicago po raz pierwszy przekroczyła milion osób, czyniąc z niego drugie po Nowym Jorku najludniejsze miasto w Ameryce, choć niezadowoleni mieszkańcy zdeklasowanej Filadelfii szybko zaczęli wytykać rywalowi oszustwo. Mianowicie tuż przed przeprowadzeniem spisu, którego dokonywano raz na dziesięć lat, Chicago włączyło w swoje granice duże obszary przedmieść. Oskarżenia te jednak zbyto wzruszeniem ramion. Duże znaczy tyle co duże. Dzisiejszy sukces rozproszy ostatecznie panujące na Wschodnim Wybrzeżu przekonanie, że Chicago to chciwy zaścianek, parający się głównie ubojem świń. Z kolei porażka będzie się równać upokorzeniu, z którego miasto szybko się nie

podźwignie, zważywszy, jak głośno jego czołowi obywatele chępli się, że wygra. To właśnie te przechwałki, nie zaś nieustający południowo-zachodni wiatr, zachęciły pewnego nowojorskiego redaktora do przewania Chicago „Windy City” — „Nadęte Miasto”, choć obecnie nazwę tę wiąże się raczej z wiejącymi tu wiatrami.

Czterdziestotrzyletni Daniel Burnham i jego partner, John Root, który właśnie przekroczył czterdziestkę, siedzieli w swoich biurach na ostatnim piętrze wieżowca Rookery i odczuwali to napięcie bardziej niż inni mieszkańcy miasta. Uczestniczyli w tajnych rozmowach, otrzymali pewne zapewnienia i posunęli się nawet do przedsięwzięcia rekonesansowych wypraw do leżących na uboczu części metropolii. Byli głównymi architektami Chicago, pionierami w budowie wysokościowców. Zaprojektowali pierwszy budynek, który okrzyknięto drapaczem chmur. Panowało ogólne przekonanie, że co roku jakiś wzniesiony przez nich obiekt zostaje okrzyknięty najwyższym na świecie. Kiedy przeprowadzili się do Rookery — wznoszącej się na rogu La Salle i Adams wspaniałej, wypełnionej światłem budowli projektu Roota — uzyskali widok na miasto i jezioro, jakiego nikomu, poza robotnikami budowlanymi, nie było dotąd dane podziwiać. Wiedzieli jednak, że dzisiejsze wydarzenie może sprawić, że zbledną wszystkie ich dotychczasowe sukcesy.

Wieść powinna nadejść z Waszyngtonu za pośrednictwem telegrafu. „Tribune” miała ją otrzymać od własnych reporterów. Jej wydawcy, redaktorzy i zeccrzy byli gotowi do pracy nad dodatkiem specjalnym. Podobnie jak palacze wrzucający węgiel pod kotły drukarskich pras parowych. Jeden z pracowników redakcji miał naklejać każdy przychodzący biuletyn na szybie, drukiem na zewnątrz, tak by mogli go przeczytać przechodnie.

Wkrótce po godzinie szesnastej standardowego czasu kolejowego Chicago * „Tribune” otrzymała pierwszy telegram.

* W dziewiętnastym wieku w Stanach Zjednoczonych każda linia kolejowa miała własny czas, zwykle ten, jaki obowiązywał na najważniejszej stacji na danej linii. W 1883 roku przyjęły one pięć zestandaryzowanych stref czasowych (o nieregularnych granicach, dostosowanych do przebiegu linii kolejowych poszczególnych przedsiębiorstw) — odtąd niedziela, 18 listopada 1883 roku, kiedy nowy czas zaczął obowiązywać, jest nazywana „Dniem o dwóch południach”.

Nawet Burnham nie potrafił powiedzieć na pewno, kto pierwszy wystąpił z tym pomysłem. Można by odnieść wrażenie, że powstał w wielu umysłach jednocześnie. Początkowo zamierzano po prostu uczcić czterechsetną rocznicę odkrycia Nowego Świata przez Kolumba zorganizowaniem Wystawy Światowej, choć pomysł nie wzbudził większego entuzjazmu. Ameryka, trawiona wielką pogonią za władzą i bogactwem, która zaczęła się zaraz po wojnie secesyjnej, nie była zainteresowana czczeniem własnej przeszłości. Jednakże w 1889 roku Francuzi uczynili coś, co wszystkich wprawilo w zdumienie.

Na Polach Marsowych w Paryżu Francja otworzyła Exposition Universelle — Wystawę Światową tak wielką, wspaniałą i egzotyczną, że zwiedzający wychodzili z niej przekonani, że żadna inna jej nie dorówna. W samym sercu terenów ekspozycji stanęła wieża ze stali, wysoka na trzysta metrów, w tamtym czasie najwyższa budowla, jaką kiedykolwiek wznosił człowiek. Konstrukcja nie tylko zapewniła swojemu projektantowi, Gustave'owi Alexandre'owi Eiffelowi, wieczną sławę, ale była również jaskrawym dowodem na to, że Francja wyparła Stany Zjednoczone z pozycji lidera w dziedzinie konstrukcji z żelaza i stali — mimo Mostu Brooklyńskiego, Horseshoe Curve * i innych niezaprzeczalnych osiągnięć amerykańskich inżynierów.

* Horseshoe Curve — zbudowany w 18 54 roku czterotorowy łuk linii kolejowej na przełęczy w stanie Pensylwania.

A Stany Zjednoczone mogły za to winić jedynie siebie. Ameryka uczyniła niewiele, żeby zaprezentować w Paryżu swoje talenty artystyczne, przemysłowe czy naukowe. „Będą nas zaliczać do tych nacji, które okazują brak dbałości o własny wizerunek” — pisał paryski korespondent „Chicago Tribune” 13 maja 1889 roku, dodając, że inne kraje zaprezentowały się z godnością i klasą, natomiast wystawcy amerykańscy bez żadnego planu czy artyzmu wzniesli melanz pawilonów i słupów ogłoszeniowych. „W rezultacie powstała smutna mieszanina sklepów, stoisk i bazarów, rzadko cieszących wzrok, a wspólnie tworzących wrażenie sprzeczności”. W przeciwieństwie do Ameryki Francja dołożyła starań, aby jej chwała przyćmiła wszystkich. „Inne kraje nie są rywalami Francji — pisał korespondent — one jedynie podkreślają jej chwałę. Zgodnie z oczekiwaniami ubogi charakter ich ekspozycji uwypukla wspaniałość Francji, jej bogactwo i świetność”.

Nawet wieża Eiffla, choć Amerykanie z całych sił pragnęli, żeby stała się potwornością na zawsze brukającą urok Paryża, dzięki swojej masywnej podstawie

i zwężającemu się ku górze trzonowi, który przypominał tor lotu racy, okazała się budowlą o nieoczekiwanym rozmachu. Podobnego upokorzenia nie można było przełknąć tak po prostu. Dumę Ameryki z jej rosnącej siły i międzynarodowej pozycji podsycił nowy ogień patriotyzmu. Amerykanie potrzebowali okazji, by przewyższyć Francuzów, a szczególnie by „zeiffłować Eiffela”. Nagle pomysł zorganizowania wielkiej wystawy na cześć odkrycia Nowego Świata przez Kolumba nabrał nieodpartego uroku.

Początkowo większość Amerykanów wierzyła, że wystawa oddająca cześć najstarszym korzeniom narodu powinna być zorganizowana w Waszyngtonie, w stolicy kraju. W pierwszym odruchu zgadzali się z tym nawet reporterzy z Chicago. W miarę jednak jak pomysł ekspozycji nabierał realnych kształtów, inne miasta zaczęły ją postrzegać jako pożądaną nagrodę, głównie ze względu na prestiż, jaki z sobą niosła — prestiż będący nieodpartą przynętą w czasach, kiedy duma z miejsca ustępowała jedynie dumie z krwi. Nagle wystawę zapragnęły zorganizować Nowy Jork i St. Louis. Waszyngton opierał swoje roszczenia do tego zaszczytu na tym, że był centrum władzy, a Nowy Jork — na tym, że był centrum wszystkiego. Nikogo nie obchodziło, co myśli St. Louis, choć powszechnie było wiadomo, że ma ono niezwykle hart ducha.

Ale żadne inne miasto nie było tak dumne jak Chicago, w którym mówiło się nawet o „chicagowskim duchu”, jakby to była konkretna, namacalna siła, szcząc się przy okazji tempem odbudowy po wielkim pożarze z 1871 roku. Metropolię nie tylko podniesiono wówczas ze zgliszczy, lecz także zmieniono w krajowego lidera handlu, przemysłu i architektury. Całe to bogactwo nie zdołało jednak podważyć powszechnego przekonania, że jest to w istocie prowincjonalna dziura, w której wieprzowina cieszy się większym powodzeniem niż muzyka Beethovena. To Nowy Jork był stolicą kultury, wykwintu i towarzystwa, a jego czolowi obywatele i redaktorzy ważniejszych gazet nigdy nie pozwolili, żeby Chicago o tym zapomniało. Wystawa, jeśli została odpowiednio przygotowana — jeśli przyćmiłaby ekspozycję w Paryżu — mogła raz na zawsze zmienić tę opinię. Wydawcy chicagowskich gazet widząc, że Nowy Jork stanął w szranki, zaczęli pytać: Dlaczego nie Chicago? „Tribune” ostrzegła, że „jastrzębie, myszołowy, sępy i inne podstępne i brudne bestie z Nowego Jorku już wyciągają łapy po wystawę”.

Dnia 29 czerwca 1889 roku burmistrz Chicago, DeWitt C. Cregier, ogłosił powołanie Komitetu Obywatelskiego złożonego z dwustu pięćdziesięciu najbarziej szanowanych obywateli miasta. Komitet na swoim zebraniu uchwalił

rezolucję, której ostatnie zdanie brzmiało: „Ludzie, którzy pomagali zbudować Chicago, pragną zorganizować tę wystawę i zamierzają dostąpić tego zaszczytu, mając do niego sprawiedliwe i dobrze uzasadnione prawa”.

Ostatnie słowo należało jednak do Kongresu i właśnie nadeszła chwila wielkiego głosowania.

Pracownik „Tribune” podszedł do okna i wywiesił biuletyn. W pierwszym głosowaniu Chicago uzyskało dużą przewagę — sto piętnaście głosów w stosunku do siedemdziesięciu dwóch oddanych na Nowy Jork. Na trzecim miejscu było St. Louis, a na ostatnim uplasował się Waszyngton. Jeden z kongresmenów był w ogóle przeciwny organizowaniu wystawy i z wyjątkowym wprost brakiem dobrych manier zagłosował na Cumberland Gap. Kiedy tłum przed redakcją „Tribune” zobaczył, że Chicago wyprzedziło Nowy Jork aż o czterdzieści trzy głosy, rozległy się wiwaty, gwizdy i oklaski. Wszyscy jednak wiedzieli, że potrzeba im jeszcze trzydziestu ośmiu głosów do osiągnięcia zwykłej większości, która była konieczna, żeby uzyskać prawo do organizacji wystawy.

W miarę jak światło dnia przygasało, rozlewając wokół zmierzch, odbywały się kolejne głosowania. Chodniki zapelnili ludzie wracający z pracy. Maszynistki — kobiety, które pisały na maszynach do pisania, najnowszym biurowym wynalazku — wylały się z Rookery, Montauk i innych drapaczy chmur. Pod płaszczami miały na sobie zwyczajowe białe bluzki i długie czarne spódnice, które przypominały czarno-białe klawisze ich remingtonów. Dorożkarze kleli i uspokajali konie. Latarnik szedł szybkim krokiem samym brzegiem tłumy, rozkręcając dysze gazowe umieszczone na szczytach metalowych słupów latarni. Nagle wszędzie pojawiły się kolory: żółte tramwaje, błękitne plamy mundurów doręczycieli telegramów, przemyskających z torbami pełnymi radości i smutku, dorożkarze zapalający czerwone nocne latarnie na tyłach swoich dwukólek, duży poślaczany lew, który przykucnął przed sklepem z kapeluszami po drugiej stronie ulicy. Hen wysoko, w wielkich drapaczach chmur, mrok rozświetlały lampy gazowe i elektryczne, rozkwitające w nocy niczym kwiaty.

Goniec z „Tribune” znów pojawił się w oknie, tym razem z wynikami piątego głosowania. „Smutek, jaki ogarnął zebrany tłum, był ciężki i mroczny” —

zanotował dziennikarz. Nowy Jork zyskał piętnaście głosów, Chicago otrzymało tylko sześć. Dystans między rywalizującymi miastami nieco się więc zmniejszył. Stojący w tłumie fryzjer poinformował wszystkich wokół siebie, że dodatkowe głosy dla Nowego Jorku muszą pochodzić od kongresmenów, którzy wcześniej głosowali na St. Louis. Rewelacja ta sprowokowała pewnego porucznika, Alexandra Rossa, do wygłoszenia następującego oświadczenia: „Panowie, jestem gotów zaświadczyć, że żaden mieszkaniec St. Louis nie zawaha się przed obrabowaniem kościoła”. Ktoś inny zawołał: „Albo przed otruciem psa swojej żony”. To ostatnie stwierdzenie zyskało sobie powszechny aplauz.

W Waszyngtonie delegacja z Nowego Jorku, w której skład wchodził między innymi Chauncey Depew, dyrektor przedsiębiorstwa kolejowego New York Central i jeden z najwyżej cenionych mówców tamtych czasów, wyczuła, że fala się odwraca i poprosiła o odroczenie głosowania do następnego dnia. Na wieść o jego prośbie tłum zebrany przed redakcją „Tribune” zaczął pohukiwać, poprawnie odgadując, że intencją rywala było zdobycie czasu na lobbowanie za większą liczbą głosów.

Wniosek odrzucono, ale izba przegłosowała ogłoszenie krótkiej przerwy w obradach. W Chicago tłum pozostał na miejscu.

Po siódmym głosowaniu Chicago dzielił już tylko jeden głos od osiągnięcia większości. Nowy Jork stracił pozycję. Ulica znieruchomiała. Dorożki się zatrzymały, a policja ignorowała coraz dłuższy rząd „trzymaczy”, który ciągnął się na prawo i na lewo, tworząc w mroku coraz szersze rozcięcie w kolorze kadmu. Pasażerowie wysiedli i zapatrzili się w okna redakcji „Tribune”, czekając na następne obwieszczenie. Brzęczące pod chodnikiem liny uderzyły w ton zawieszania i na nim zamarły.

Wkrótce w oknie redakcji pojawił się inny niż dotąd pracownik. Był młody, wysoki i chudy, z czarną brodą. Popatrzył bez wyrazu na tłum. W jednej dłoni trzymał słoik z klejem, w drugiej — pędzel i nowy biuletyn. Nie spieszył się. Położył biuletyn na stole, tam, gdzie nie było go widać, ale tłum doskonale odgadrywał z ruchów jego rąk, co robi. Niespiesznie odkręcił słoik z klejem. Twarz pracownika redakcji była ponura, jakby zaglądał do otwartej trumny. Metodycznie smarował biuletyn. Zajął mu dłuższą chwilę, zanim przyniósł papier do okna.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się zupełnie, kiedy przyklejał biuletyn do szyby.

Burnham czekał. Okna jego biura, podobnie jak okna biura Roota, wychodziły na południe, aby zaspokoić ich wielkie zapotrzebowanie na światło dzienne, głód powszechny w całym Chicago, gdzie lampy gazowe — nadal podstawowe źródło sztucznego światła — nie były w stanie przebić wiecznie unoszącej się nad miastem ciemnej zawiesiny węglowego pyłu. Żarówki elektryczne, obsadzone w instalacjach wykorzystujących równocześnie gaz i elektryczność, coraz częściej oświetlały nowo powstające budynki, ale w pewnym sensie zwiększyło to tylko problem. Elektryczność wymagała bowiem umieszczenia w piwnicach budynków dynam napędzanych przez ogrzewane węglem kotły parowe. W miarę zapadania zmroku latarnie gazowe na ulicach i lampy we wznoszących się nad nimi budynkach zabarwiały snujący się dym przyćmionym żółtym blaskiem. Burnham słyszał jedynie syk gazu w lampach w swoim biurze.

To, że siedział tutaj teraz, że był człowiekiem o tak wysokiej pozycji w swoim zawodzie i miał biuro zawieszane tak wysoko nad miastem, byłoby wielką i wspaniałą niespodzianką dla jego nieżyjącego już ojca.

Daniel Hudson Burnham urodził się w Henderson w stanie Nowy Jork 4 września 1846 roku, w rodzinie kultywującej zasady posłuszeństwa i służby publicznej lansowane przez Emanuela Swedenborga. W 1855 roku, kiedy miał dziewięć lat, rodzina przeniosła się do Chicago, gdzie ojciec założył dobrze prosperującą hurtownię leków. Burnham był przeciętnym uczniem: „Z archiwów Old Central wynika, że średnia jego ocen spadała często do 55 procent” — ustalił pewien dziennikarz — „a 81 procent to jego najlepszy szkolny wynik”. Zawsze jednak celował w rysunku. Miał osiemnaście lat, kiedy ojciec posłał go na wschód, żeby u prywatnych nauczycieli przygotował się do egzaminów wstępnych na uniwersytety Yale i Harvard. Chłopak padł jednak ofiarą tremy przedegzaminacyjnej. „Zjawiłem się na Harvardzie na egzaminy z dwoma kolegami przygotowanymi dużo gorzej niż ja — powiedział kiedyś. — Obaj zdali z łatwością, a ja oblałem, bo na dwóch czy trzech egzaminach po prostu siedziałem, nie będąc w stanie napisać ani słowa”. To samo przytrafiło mu się w Yale. Żadna z uczelni go nie przyjęła. A on nigdy o tym nie zapomniał.

Jesienią 1867 roku, mając dwadzieścia jeden lat, Daniel wrócił do Chicago. Poszukał pracy w rodzinie, w której mógł odnieść sukces, i objął posadę

kreślarza w firmie architektonicznej Loring & Jenney. W 1868 roku napisał, że znalazł swoje powołanie, a rodzicom powiedział, że pragnie zostać „największym architektem w mieście albo w całym kraju”. Już jednak w następnym roku wyjechał z przyjaciółmi do Nevady, chcąc spróbować szczęścia jako poszukiwacz złota. Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Wystartował w wyborach do władz Nevady i znów spotkało go niepowodzenie. Do Chicago wrócił jako bankrut, w bydłym wagonie, i podjął pracę w firmie architekta o nazwisku L. G. Laurean. Potem nadszedł październik 1871 roku: krowa, latarnia, zamieszanie i wiatr. Wielki pożar w Chicago strawił niemal 18 tysięcy budynków i zostawił ponad 100 tysięcy ludzi bez dachu nad głową. Zniszczenia obiecywały architektom niewyczerpane źródło pracy. Ale Burnham rzucił zawód. Zaczął sprzedawać szyby, nie wiodło mu się jednak dobrze. Założył więc drogerię, lecz szybko porzucił to przedsięwzięcie. „Proszę bardzo, oto w całej krasie rodzinna tendencja do nużenia się robieniem ciągle tego samego” – pisał do rodziny.

W 1872 roku doprowadzony do rozpaczyci ojciec Burnhama przedstawił syna Peterowi Wightowi, architektowi, na którym wielkie wrażenie zrobiły zdolności rysunkowe młodego człowieka. Zatrudnił Daniela jako kreślarza. Burnham miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Lubił Wighta i lubił swoją pracę. A szczególnie polubił jednego z kolegów kreślarzy, południowca o nazwisku John Wellborn Root, młodszego od siebie o cztery lata. Root urodził się w Lumpkin w stanie Georgia 10 stycznia 1850 roku i był geniuszem muzycznym, który potrafił śpiewać, zanim jeszcze nauczył się mówić. Podczas wojny secesyjnej, kiedy dopalała się Atlanta, ojciec przemycił go do Anglii, do Liverpoolu, na pokładzie konfederackiego statku przemysłowego. Root został przyjęty do Oxfordu, ale nim się immatrykułował, wojna dobiegła końca i ojciec wezwał go z powrotem do Ameryki. Ich nowy dom znajdował się w Nowym Jorku, gdzie chłopak studiował budownictwo lądowe na tamtejszym uniwersytecie, następnie zaś został kreślarzem u architekta, który później zaprojektował katedrę Świętego Patryka.

Burnham z miejsca poczuł sympatię do Roota. Podziwiał jego bladą cerę i muskularne ramiona, jego postawę przy desce kreślarskiej. Zostali przyjaciółmi, potem wspólnikami. Pierwszy dochód odnotowali trzy miesiące przed paniką 1873 roku, która pogrążyła gospodarkę całego kraju. Ale tym razem Burnham trzymał się swojego. Przyczyną było coś, co tkwiło w jego partnerstwie z Rootem, coś, co wypełniało próżnię i wzmacniało obu mężczyzn. Walczyli o własne

zlecenia, a póki co sprzedawali swoje usługi innym firmom, mocniej ugruntowanym na rynku.

Pewnego dnia, w 1874 roku, do ich biura wszedł człowiek, który jednym gwałtownym ruchem odmienił całe ich życie. Był ubrany na czarno i wyglądał całkiem zwyczajnie, choć jego przeszłość kryła w sobie wiele krwi, śmierci i zysków. Szukał Roota, ale nie było go akurat w mieście, przedstawił się więc Burnhamowi: John B. Sherman.

Nie było potrzeby dodawać nic więcej. Jako inspektor nadzoru Union Stock Yards Sherman rządził krwawym imperium, zatrudniającym 25 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, w którego zakładach co roku zarzynano 14 milionów zwierząt. Bezpośrednio lub pośrednio blisko jedna piąta mieszkańców Chicago zależała finansowo od tego koncernu.

Sherman polubił Burnhama. Spodobała mu się jego siła, spokojne spojrzenie jego niebieskich oczu i pewność siebie, z jaką prowadził rozmowę. Dlatego zlecił firmie Burnhama i Roota postawienie rezydencji na rogu Prairie Avenue i Dwudziestej Pierwszej, wśród domów należących do innych chicagowskich potentatów, gdzie od czasu do czasu można było zobaczyć, jak razem do pracy udają się Marshall Field, George Pullman i Philip Armour, trójka odzianych na czarno tytanów przemysłu. Root zaprojektował trójkondygnacyjny budynek ze szczytami i skośnym dachem, zbudowany z czerwonej cegły, żółto-brązowego piaskowca, błękitnego granitu i czarnych łupków. Burnham przydał subtelności projektowi i nadzorował samą budowę. Stał właśnie w wejściu do budynku, przyglądając się pracom, kiedy podszedł do niego nieco wyniosły, poruszający się dziwnie — co nie wynikało jednak z próżności, lecz wady wrodzonej — młody człowiek i przedstawił się jako Louis Sullivan. Jego nazwisko nic nie powiedziało Burnhamowi. Wówczas jeszcze nic. Zaczęli rozmawiać. Sullivan miał osiemnaście lat, Burnham dwadzieścia osiem. Zwierzył się Sullivanowi w zaufaniu, że nie sądzi, aby budowa domów zadowoliła go na dłużej. „Chcę działać na wielką skalę, zajmować się wielkimi rzeczami, mieć do czynienia z wielkimi ludźmi interesów i zbudować wielką firmę, ponieważ nie można zajmować się wielkimi rzeczami, jeśli się nie ma wielkiej firmy” — powiedział.

Córka Johna Shermana, Margaret, również odwiedzała miejsce budowy. Była młoda, ładna, miała blond włosy i przychodziła często pod pretekstem, że po przeciwnej stronie ulicy mieszka jej przyjaciółka, Della Otis. Podobał jej się nowy dom, ale jeszcze bardziej podobał jej się młody architekt, który tak

swobodnie poruszał się wśród gór piaskowca i drewna. Chwilę to trwało, ale wreszcie Burnham się zorientował, o co chodzi. Poprosił ją o rękę, a ona odpowiedziała: „tak”. Okres narzeczeństwa przebiegał gładko, aż wybuchł skandal. Starszy brat Burnhama fałszował czeki i naruszył w ten sposób finansową równowagę rodzinnej hurtowni. Burnham natychmiast udał się do ojca Margaret, żeby zerwać zaręczyny. Powiedział, że na narzeczeństwo nie powinien padać cień żadnego skandalu. Sherman odparł, że szanuje jego poczucie honoru, ale nie zgadza się na zerwanie.

„W każdej rodzinie jest czarna owca” — stwierdził spokojnie.

Nieco później ten sam Sherman, człowiek żonaty, uciekł do Europy z córką przyjaciela.

Burnham i Margaret pobrali się 20 stycznia 1876 roku. Sherman kupił im dom przy Czterdziestej Trzeciej i Michigan Avenue, w pobliżu jeziora, ale co ważniejsze — w pobliżu Union Stock Yards, Pragnął takiej bliskości. Lubił Burnhama i cieszył się z tego ślubu, ale nie do końca ufał młodemu architektowi. Uważał, że Burnham za dużo pije.

Wątpliwości, jakie ogarniały Shermana, gdy myślał o charakterze zięcia, nie miały wpływu na szacunek, jaki żywił dla jego zdolności jako architekta. Zlecił mu więc projekty innych budynków. Najwyższym aktem zaufania z jego strony było powierzenie firmie Burnham & Root budowy bramy do Union Stock Yards, która miała symbolizować rosnące znaczenie tych terenów. W rezultacie powstała Stone Gate — trzy łuki z wapienia z Lemont, z miedzianym zadaszeniem i umieszczoną nad środkowym łukiem rzeźbioną głową (niewątpliwie był to oryginalny wkład Roota do projektu) ulubionego byka Johna Shermana, noszącego imię Sherman. Brama stała się symbolem, który przetrwał do dwudziestego pierwszego wieku, choć wiele lat minęło od dnia, gdy ostatni wieprz przeszedł do wieczności po wielkiej drewnianej rampie nazywanej „Mostem Westchnień” *.

Bridge of Sighs. Aluzja do Mostu Westchnień w Wenecji, którym skazańcy byli prowadzeni z sali rozpraw do więzienia.

Root również ożenił się z córką Union Stock Yards, ale w jego wypadku narzeczeństwo okazało się dużo mroczniejsze. Zaprojektował dom dla Johna Walkera, prezesa Union Stock Yards, i poznał przy tej okazji jego córkę Mary. Zaręczyli się, niestety, wkrótce potem Mary zachorowała na gruźlicę, a choroba miała u niej gwałtowny przebieg. Mimo to Root pozostał przy niej, choć dla wszystkich

było jasne, że zamierza się ożenić z umierającą. Ceremonia zaślubin odbyła się w rezydencji, którą Root zaprojektował. Poetka Harriet Monroe, przyjaciółka domu, czekała wśród innych gości na pojawienie się u szczytu schodów panny młodej. Siostra Harriet, Dora, była jedyną druhną. „To długie czekanie nas zaniepokoiło — opowiadała Harriet — ale wreszcie panna młoda zjawiała się niczym biały duch na podeście schodów, trzymając ojca pod rękę. Powoli... Och! Tak niepewnie zeszła schodami, ciągnąc za sobą ciężki atlasowy tren sukni, i podeszła do wykuszowego okna przybranego kwiatami i winoroślą. Wywarła na wszystkich dziwnie smutne wrażenie”. Oblubienica Roota była chuda i blada, a przysięgę małżeńską mogła wygłosić jedynie szeptem. „Jej radość sprawiała takie wrażenie, jak klejnoty na nagej czaszce” — pisała Harriet Monroe.

Sześć tygodni później Mary Walker Root już nie żyła. Po dwóch latach Root ożenił się ponownie — z druhną pierwszej żony, Dorą Monroe, najprawdopodobniej łamiąc przy okazji serce jej siostrze poetce. To, że Harriet Monroe również kochała Roota, wydaje się nie podlegać dyskusji. Mieszkała w pobliżu i często odwiedzała dom siostry przy Astor Place. W 1896 roku opublikowała biografię Roota, która jedynie anioła przyprawiłaby o rumieniec. Później, w swoich wspomnieniach zatytułowanych *A Poet's Life*, określiła małżeństwo Roota ze swoją siostrą jako „tak absolutnie szczęśliwe, że moje własne marzenia o szczęściu, wobec takiego przykładu, domagały się równie doskonałego spełnienia i nie mogły zaakceptować niczego gorszego”. Harriet nigdy nie znalazła nikogo, kto by dorównywał Rootowi, poświęciła więc swoje życie poezji. Założyła też magazyn „Poetry”, na którego łamach pomagała Ezzre Poundowi osiągnąć narodową sławę.

Rootowi i Burnhamowi wiodło się doskonale. Ich firma była dosłownie zasypana zleceniami, częściowo dlatego, że Rootowi udało się rozwiązać problem, który prześladował przedsiębiorców budowlanych od chwili założenia Chicago. Rozwiązując go, pomógł miastu stać się miejscem narodzin drapaczy chmur, mimo że grunt, na którym powstała metropolia, wyjątkowo nie sprzyjał podobnym inwestycjom.

W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Chicago przeżywało gwałtowny rozwój, który wyśrubował ceny gruntów do poziomu, jakiego nikt nie był sobie w stanie wcześniej wyobrazić, szczególnie na terenach położonej w centrum miasta „Pętli” — „Loop”, nazwanej tak od biegnących po okręgu linii tramwajowych. W miarę wzrostu cen gruntów ich właściciele szukali nowych

sposobów na zwiększenie stopy zwrotu inwestycji. Nęciło ich niebo.

Najbardziej oczywistą przeszkodą w budowie wysokościowców były, rzecz jasna, możliwości fizyczne człowieka przy pokonywaniu schodów, szczególnie po takich posiłkach, jakie jadano w dziewiętnastym wieku. Znikła ona jednak wraz z wynalezieniem windy oraz — a był to równie ważny wynalazek — opatentowaniem przez konstruktora o nazwisku Elisha Graves Otis mechanizmu zatrzymywania windy w wypadku zerwania się utrzymujących ją lin. Pozostały jednak inne bariery, najpoważniejszą zaś z nich była kwestia nośności gruntów w Chicago, która skłoniła nawet pewnego inżyniera do stwierdzenia, że wylewanie fundamentów w tym mieście jest wyzwaniem „niemającym sobie równych nigdzie indziej na świecie, jeśli chodzi o perwersję przedsięwzięcia”. Warstwa nośna znajdowała się tutaj trzydzieści osiem metrów pod powierzchnią ziemi, za głęboko, żeby można się było tam dokopać, zachowując choć cień opłacalności czy bezpieczeństwa inwestycji, oczywiście jeśli weźmie się pod uwagę metody dostępne w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Między warstwą nośną a powierzchnią znajdowała się mieszanina piasku i gliny tak mocno nasiąknięta wodą, że inżynierowie nazywali ją bagnem. Osiałała ona pod ciężarem nawet najskromniejszych konstrukcji i zmuszała architektów do rutynowego projektowania budynków tak, aby chodniki łączące się z poziomem parteru miały nachylenie rzędu dziesięciu centymetrów, w nadziei, że kiedy budynek osiadzie i pociągnie za sobą chodnik, wyrówna się on do właściwego poziomu.

Znano wówczas tylko dwa sposoby na rozwiązanie problemu podłoża — wznoszenie niskiej zabudowy, co równało się unikaniu problemu, albo budowanie kesonów do poziomu warstwy nośnej, co wymagało kopania głębokich szybów, obmurowywania ich ścian i pompowania ich powietrzem dopóty, dopóki wysokie ciśnienie nie uniemożliwi przenikania wody. Technika ta cieszyła się wyjątkowo złą sławą ze względu na wysokie ryzyko wystąpienia u robotników śmiertelnej choroby kesonowej, i była wykorzystywana głównie przez budowniczych mostów, którzy nie mieli innego wyjścia. John Augustus Roebling zasłynął z wykorzystania kesonów przy budowie Mostu Brooklyńskiego, ale po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych użyto ich wcześniej, gdzieś między 1869 a 1874 rokiem, kiedy James B. Eads zbudował w St. Louis most przez Missisipi. Eads odkrył, że robotnicy zaczynają cierpieć na chorobę kesonową na głębokości osiemnastu metrów pod poziomem ziemi, czyli mniej więcej w połowie

głębokości, na którą musiał zejść keson w Chicago. Z trzystu pięćdziesięciu dwóch robotników, którzy pracowali przy osławionym wschodnim kesonie, choroba ciśnieniowa zabiła dwunastu, dwóch zmieniła w kaleki, a u sześćdziesięciu sześciu innych spowodowała łżejsze obrażenia, tym samym windując odsetek wypadków do dwudziestu procent.

Jednak w Chicago właściciele gruntów chcieli z nich czerpać dochody, a w centrum miasta dochód oznaczał wysokość. W 1881 roku inwestor z Massachusetts, Peter Chardon Brooks III, zlecił firmie Burnham & Root zbudowanie najwyższego biurowca w Chicago, który zamierzał nazwać Montauk. Wcześniej to on powierzył im pierwszą dużą inwestycję w śródmieściu — budowę siedmio-kondygnacyjnego Grannis Block. W tym budynku, jak napisał Burnham, „zaczęła znajdować odbicie nasza indywidualność [...]. To był cud. Wszyscy chcieli go obejrzeć, a miasto było z niego dumne”. Przenieśli swoje biuro na najwyższe piętro (co miało się okazać krokiem potencjalnie zgubnym w skutkach, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział). Brooks chciał, aby nowy budynek był o połowę wyższy, „o ile” — zastrzegł — „ziemia taki utrzyma”.

Obaj partnerzy wkrótce zaczęli mieć Brooksa serdecznie dość. Był wybredny i skąpy, i najwyraźniej w ogóle go nie obchodziło, jak będzie wyglądał budynek, byle tylko był funkcjonalny. Wydał instrukcję wyprzedzającą o wiele lat słynne stwierdzenie Louisa Sullivana, że forma musi iść za funkcją. „Cały budynek ma służyć do użytku, a nie do ozdoby — pisał Brooks. — Uroda tej budowli będzie się wiązać z jej doskonałym przystosowaniem do funkcji, jaką ma spełniać”. Elewacje miały być zupełnie gładkie, pozbawione gargulców i frontonów, ponieważ na takich wystających elementach zbiera się brud. Wszystkie rury należało umieścić na zewnątrz. „Zabudowywanie rur to błąd, powinny być one wszędzie odkryte, a jeśli to konieczne — pomalowane starannie i na ładne kolory”. Skąpstwo inwestora sięgnęło nawet poziomu łazienek w wieżowcu. W projekcie Rota pod umywalkami były przewidziane szafki. Brooks sprzeciwił się temu, uznając, że szafka „doskonale zbiera brud i wabi myszy”.

Najtrudniejszą kwestią przy budowie Montauk były jego fundamenty. Początkowo Root zamierzał wykorzystać technikę, jaką chicagowscy architekci stosowali od 1873 roku w budynkach normalnych rozmiarów. Na posadzce piwnicy wznoszono piramidy z kamienia. Szeroka podstawa każdej takiej piramidy rozkładała ciężar budynku i zmniejszała jego osiadanie, z kolei wąski szczyt

podtrzymywał kolumny nośne. Aby jednak udźwignąć dziesięć kondygnacji zbudowanych z kamienia i cegły, piramidy musiałyby być olbrzymie, piwnice zaś należałoby zmienić niemal w Gizę. Brooks był temu przeciwny. Chciał w nich umieścić kotły i dynamo.

Rozwiązanie, jakie wpadło Rootowi do głowy, musiało mu się w pierwszej chwili wydać zbyt proste, żeby mogło być skuteczne. Postanowił mianowicie, że wykop sięgnie pierwszej warstwy dość twardego gruntu i tam zostanie wylana podstawa z betonu grubości ponad pół metra. Na powierzchni podstawy robotnicy mieli ułożyć warstwę stalowych prętów, a na niej drugą, pod kątem prostym do pierwszej. Kolejne warstwy miały być układane naprzemiennie w taki sam sposób. Następnie ten ruszt ze stali należało zalać cementem portlandzkim, tworząc szeroką, sztywną tratwę, którą Root nazwał fundamentem pływającym. Jego propozycja w swojej istocie nie była niczym innym, jak stworzeniem pod budynkiem warstwy sztucznej skały, pełniącej jednocześnie funkcję podłogi piwnicy. Brooksowi to się spodobało.

Kiedy ukończono Montauk, budynek okazał się tak nowoczesny i tak wysoki, że wymykał się konwencjonalnym opisom. Nie wiadomo, kto wymyślił ten termin, ale nazwa szybko się przyjęła i Montauk został pierwszym drapaczem chmur na świecie. „Montauk był tym dla wysokich budynków biurowych, czym Chartres dla gotyckich katedr” — napisał Thomas Talmadge, chicagowski architekt i krytyk.

Były to dni świetności architektonicznej inwencji. Windy stawały się coraz szybsze i bezpieczniejsze, a szklarze coraz lepiej radzili sobie z produkcją ogromnych tafli szkła. William Jenney z firmy Loring & Jenney, w której Burnham rozpoczynał swoją karierę w zawodzie architekta, zaprojektował pierwszy budynek z konstrukcją nośną ze stali — ciężar budowli przeniesiono w niej ze ścian zewnętrznych na stalowy szkielet. Burnham i Root szybko sobie uświadomili, że wynalazek Jenneya zburzył ostatnią fizyczną granicę wysokości. Technikę tę wykorzystali następnie do budowy coraz wyższych budynków, niebiańskich miast zamieszkiwanych przez nową rasę biznesmenów, których przezywano „góralami”. Byli to ludzie, którzy, jak napisał Lincoln Steffens, „życzyli sobie mieć biura tam, gdzie powietrze jest chłodne i świeże, skąd rozciąga się szeroki i piękny widok, i gdzie w samym sercu świata interesów panuje cisza”.

Burnham i Root stali się ludźmi bogatymi. Nie tak bogatymi jak Pullman, jeszcze nie tak bogatymi, żeby zaliczać się do najwyższej klasy towarzystwa

razem z Potterem Palmerem i Philipem Armourem, ani nie aż tak bogatymi, aby suknie ich żon opisywano w gazetach, ale byli znacznie bogatsi niż którykolwiek z nich oczekiwał. Wystarczająco, by co roku Burnham kupował beczkę najlepszej madero i leżakował ją, wysyłając dwukrotnie w podróż dookoła świata na polnych frachtowcach.

W miarę rozwoju firmy zaczęły się ujawniać i klarować charaktery obu partnerów. Burnham był utalentowanym artystą i dobrym architektem, ale jego największa siła leżała w umiejętności zdobywania klientów i realizowania eleganckich projektów Roota. Był przystojny, wysoki i silny, miał jaskrawoniebieskie oczy, a to wszystko przyciągało do niego klientów i przyjaciół, tak jak soczewka skupia promienie słoneczne. „Daniel Hudson Burnham był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dane mi było spotkać” — stwierdził Paul Starrett, który później miał poprowadzić budowę Empire State Building. Rozpoczął pracę w firmie Burnham & Root w 1888 roku jako pomocnik. „Nietrudno było zaobserwować, jak zdobywa zamówienia.

Sam jego wygląd i zachowanie wygrywały za niego połowę bitwy. Wystarczyło, żeby wygłosił najbardziej oczywiste stwierdzenie, a dla słuchacza brzmiało ono niezwykle przekonująco”. Starrett wspominał, jak poruszyła go uwaga, często powtarzana przez Burnhama: „Nie należy tworzyć skromnych planów.

Nie ma w nich magii zdolnej poruszyć serce mężczyzny”.

Burnham rozumiał, że to Root jest artystycznym motorem firmy. Wierzył przy tym, że przyjaciel ma niezwykle dar, umożliwiający mu wyobrażenie sobie natychmiast całej budowli w jej ostatecznej formie. „Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do niego pod tym względem — powiedział kiedyś. — Robił się nagle milczący i zamyślony, jego oczy nabierały odległego wyrazu, a cały budynek stawał wtedy przed nim, kamień po kamieniu”. Burnham wiedział również, że Roota nie interesuje ani handlowa strona architektury, ani zawieranie znajomości w Chicago Club i Union League, które często obracały się później w zlecenia.

W każdą niedzielę rano Root grał na organach w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim. Pisał recenzje oper dla „Chicago Tribune”. Pochłaniał książki na temat filozofii, nauki, sztuki i religii. Był znany w wyższych sferach Chicago ze swojej umiejętności prowadzenia rozmowy na niemal każdy temat, i to z wielkim dowcipem. „Miał niezwykle zdolności konwersacyjne — wspominał jeden z jego przyjaciół. — Odnosiło się wrażenie, że nie ma takiego zagadnienia, którego by nie zbadał i na którego temat nie posiadałby rozległej wiedzy”. Ponadto

wyróżniał się szelmowskim poczuciem humoru. Pewnego niedzielnego ranka grał na organach z niezwykłym namaszczeniem i powagą, i musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim wierni się zorientowali, że gra *Shoo, Fly* – piosenkę dla dzieci. Pewna kobieta stwierdziła, że kiedy Burnham i Root byli razem, „zawsze przychodziło mi na myśl duże drzewo wokół którego igrają błyskawice”.

Każdy z partnerów znał i szanował zdolności drugiego. Powstająca w wyniku takiej postawy harmonia znajdowała odbicie w działaniu ich firmy, która, według słów pewnego historyka, funkcjonowała z mechaniczną precyzją rzeźni. Była to celna aluzja, zważywszy bliskie związki zawodowe i osobiste Burnhama z Union Stock Yards. Ale Burnham stworzył również kulturę biurową wyprzedzającą o wiek swoje czasy. Otworzył salę gimnastyczną, aby podczas przerwy na lunch pracownicy mogli grać w piłkę ręczną. Dawał lekcje szermierki. Z kolei Root grał improwizowane recitale na wynajętym fortepianie. „W biurze panował ciągle pośpiech, ale jego duch był cudownie wolny, swobodny i ludzki w porównaniu z innymi biurami, w których zdarzyło mi się pracować” – wspominał Starrett.

Burnham wiedział, że wspólnie z Rootem osiągnęli sukces, jakiego żaden z nich nie osiągnąłby osobno. Synchronia, w jakiej pracowali, pozwalała im podejmować coraz większe wyzwania i tworzyć coraz śmielsze projekty w czasach, kiedy niemal wszystko, co czynił architekt, było nowe, a dramatyczny postęp w kwestiach wysokości i masy budynków potęgował ryzyko katastrofalnej porażki. Harriet Monroe napisała: „Praca każdego z nich nieustannie była niezbędna drugiemu”.

Firma się rozrastała, a wraz z nią rosło i miasto. Stawało się coraz większe, wyższe i bogatsze, ale również coraz brudniejsze, ciemniejsze i bardziej niebezpieczne. Miazmaty pełnego sadzy dymu poczerńły jego ulice, czasami zaś ograniczały widoczność do zaledwie jednej przecznicy, szczególnie w zimie, kiedy piece węglowe paliły się pełnym ogniem. Nieustający ruch pociągów, tramwajów, powozów – surreyów, land, wiktorii, broughamów, faetonów i karawanów o kołach obitych blachą, które waliły w bruk niczym toczące się młotki – powodował ciągły hałas, który cichł dopiero po północy, a latem uniemożliwiał sen przy otwartych oknach. W biednych dzielnicach śmieci piętrzyły się w zaułkach i wylewały z ogromnych skrzyń na odpady, będących prawdziwymi salami bankietowymi dla szczurów i much. Miliardów much. Zwłoki psów, kotów i koni najczęściej pozostawały tam, gdzie zwierzęta padły. W styczniu zamarały w

dziwacznych pozach, w sierpniu puchły i pękały. Wiele kończyło ziemską podróż w rzece Chicago, głównej arterii miasta. Podczas obfitych opadów deszczu wody rzeki rozlewały się tłustym wachlarzem daleko w głąb jeziora Michigan, aż po wieże, które wskazywały miejsce czerpania wody pitnej dla miasta. Deszcz sprawiał, że wszystkie ulice niewybrukowane makadamem wydzielały na zewnątrz wonny gnój złożony z końskiego łajna, błota i śmieci, który pęczniał między granitowymi płytami niczym ropa wokół strupa. Chicago wprowadzało przyjezdnych w podziw, a jednocześnie ich przerażało. Francuski wydawca Octave Uzanne nazwał je „miastem gordyjskim, przesadnym i szatańskim”. Paul Lindau, autor i wydawca, opisał je jako „gigantyczny obsceniczny fotoplastykon horroru, niezwykły w każdym calu”.

Burnham kochał Chicago za okazje, jakie mu oferowało, ale zrobił się w stosunku do niego ostrożny. W 1886 roku mieli już z Margaret pięcioro dzieci: dwie córki i trzech synów, z których najmłodszy, o imieniu Daniel, urodził się w lutym. W tym samym roku Burnham kupił stary wiejski dom nad jeziorem, w spokojnej wiosce Evanston, nazywanej przez niektórych podmiejskimi Atenami. Dom miał szesnaście pokoi na dwóch poziomach, otaczały go „wspaniałe stare drzewa”, a zajmował wydłużony prostokąt ziemi sięgający do brzegów jeziora. Burnham kupił go mimo początkowych protestów żony i teścia, i nawet własnej matce nie zwierzył się ze swoich planów, dopóki nie sfinalizował transakcji. Później napisał do niej z przeprosinami: „Zrobiłem to, ponieważ nie mogę już dłużej patrzeć, jak moje dzieci chodzą po ulicach Chicago” — wyjaśnił.

Sukces przyszedł Burnhamowi i Rootowi łatwo, ale obaj przeżywali także trudne chwile. W 1885 roku pożar zniszczył Grannis Block, ich architektoniczną wizytówkę. Przynajmniej jeden z nich przebywał wówczas w biurze i musiał uciekać płonąca klatką schodową. Przenieśli potem firmę na najwyższe piętro Rookery. Trzy lata później hotel, który zaprojektowali dla Kansas City, zawalił się podczas budowy, raniąc kilku robotników, a jednego zabijając. Burnham był załamany. Miasto przeprowadziło śledztwo, które skupiło się na projekcie budynku. Po raz pierwszy Burnhama zaatakowano publicznie. Napisał do żony: „Nie wolno ci się martwić tą sprawą, bez względu na to, co piszą w gazetach. Niewątpliwie zostaniemy potępieni i czeka nas wiele kłopotów, zanim ta sprawa ucichnie, ale pokonamy je wszystkie w sposób prosty, męski i szczerzy. Taki, jaki nam przystoi”.

To doświadczenie zraniło go jednak głęboko, szczególnie fakt, że jego kompetencje oceniał biurokrata, na którego nie miał żadnego wpływu. „Koroner – pisał do Margaret trzy dni po runięciu budynku – to nieprzyjazny mały doktor, polityczny bezmózgi najemnik, który mnie dręczy”. Czuł się samotny i przygnębiony, i chciał wracać do domu. „Tak bardzo pragnę już wrócić, mieć spokój i być przy Tobie”.

Trzeci cios spadł na nich w tym samym okresie, ale jego natura była inna. Choć Chicago szybko zyskiwało sobie uznanie jako koło zamachowe krajowego przemysłu i handlu, jego czołowi obywatele głęboko odczuwali oszczerstwa nowojorczyków, twierdzących, że to miasto niewiele ma wspólnego z kulturą. Aby temu zaradzić, pewien prominentny obywatel Chicago, Ferdinand W. Peck, zaproponował wybudowanie Auditorium Building – sali koncertowej tak wielkiej i tak doskonałej akustycznie, że uciszy wszelką krytykę ze Wschodniego Wybrzeża, a dodatkowo przyniesie zyski. W wizji Pecka ta gigantyczna sala miała być zamknięta w skorupie złożonej z hotelu, sali bankietowej i biur. Liczni architekci stołujący się w restauracji Kinsley's, mającej w Chicago pozycję równą Delaminco w Nowym Jorku, zgadzali się, że będzie to najważniejsze zlecenie w historii miasta i że najprawdopodobniej otrzymają je Burnham i Root. Burnham również tak uważał.

Peck wybrał jednak Dankmara Adlera. Wiedział, że jeśli budynek okaże się niedoskonały pod względem akustycznym, będzie katastrofą bez względu na swój imponujący wygląd, a tylko Adler zaprezentował wcześniej zrozumienie zasad akustyki. „Burnham nie był zadowolony, podobnie zresztą jak John Root” – pisał Louis Sullivan, w tym czasie już partner Adlera. Kiedy Root zobaczył pierwsze szkice Auditorium Building, stwierdził, że Sullivan zamierza najwyraźniej „obsmarować kolejną fasadę ozdóbkami”.

Od początku między obiema firmami panowało napięcie, choć nikt nie mógł się spodziewać, że wiele lat później wybuchnie ono w formie żrącego ataku Sullivana na największe osiągnięcia Burnhama, i to wtedy, gdy własną karierę Sullivan utopi już w oparach alkoholu i rozżalenia. Na razie było to napięcie subtelne, ledwie wibracja, niczym niemy krzyk nadmiernie obciążonej stali. Wynikało z odmiennych poglądów na naturę i cel architektury. Sullivan postrzegał siebie przede wszystkim jako artystę, idealistę. W autobiografii, opisując siebie zawsze w trzeciej osobie, stwierdził, że był człowiekiem „niewinnym, z sercem pochłoniętym sztuką, filozofią, religią i błogosławieństwami piękna natury, analizowaniem rzeczywistości człowieka, ogromną wiarą w dobroczynną moc”.

Burnhama nazwał „olbrzymim handlowcem”, skupionym na budowaniu największych, najwyższych i najbardziej kosztownych budynków. „Był słoniowaty, nietaktowny i wygadany”.

Robotnicy zaczęli wznosić Auditorium Building 1 czerwca 1887 roku. W rezultacie powstała przebogata budowla, która przejściowo była największym prywatnym budynkiem w Stanach Zjednoczonych. Sala koncertowa miała ponad cztery tysiące miejsc, o tysiąc dwieście więcej niż nowojorska Metropolitan Opera. Była nawet wyposażona w klimatyzację, czyli system nadmuchiwanie powietrza schłodzonego lodem. W otaczającym ją budynku znajdowały się biura, olbrzymia sala bankietowa i hotel z czterystoma luksusowymi pokojami. Podróżny z Niemiec wspominał, że przekręcając elektryczną tarczę umieszczoną na ścianie nad łóżkiem, mógł zamówić ręczniki, papeterię, mrożoną wodę, gazety, whisky oraz pastę do butów. Budowla szybko zyskała pozycję najsłynniejszego budynku w Chicago. Benjamin Harrison, prezydent Stanów Zjednoczonych, wziął udział w uroczystości jej otwarcia.

W ostatecznym rozrachunku jednak wszystkie te niepowodzenia okazały się dla Burnhama i Roota niezbyt istotne. Czekali ich coś znacznie gorszego, ale 14 lutego 1890 roku, w dniu wielkiego głosowania nad lokalizacją Wystawy Światowej, obaj partnerzy wydawali się skazani na sukces do końca życia.

Na zewnątrz redakcji „Tribune” panowała cisza. Tłum potrzebował kilku chwil, żeby przetrwać wiadomość. Pierwszy zareagował człowiek z długą brodą. Wcześniej przysięgał nie golić się dopóty, dopóki Chicago nie zdobędzie prawa do organizowania wystawy, a teraz wspinał się na stopnie przylegającego do redakcji budynku Union Trust Company Bank i wydał wrzask przypominający, jak stwierdził jeden ze świadków, dźwięk podrywającej się racy. Inni mu zawtórowali i już po chwili dwa tysiące mężczyzn i kobiet oraz kilkoro dzieci — głównie doręczycieli telegramów i posłańców — wiwatowało radośnie i spontanicznie, a ich okrzyki zalały kanion z cegieł, kamienia i szkła niczym fala powodzi. Posłańcy ruszyli biegiem z radosną wieścią. W całym mieście z biur Postal Telegraph Company i Western Union wypadli dostarczyciele telegramów. Część wskoczyła na „bezpieczne” rowery Popea: jeden ruszył do hotelu Grand Pacific, drugi do

Palmer House, inni skierowali się do Richelieu, Auditorium Building, Wellington, wspaniałych rezydencji przy Michigan i Prairie, do klubów — Chicago, Century, Union League — a także do drogich domów publicznych, przede wszystkim do przybytku Carrie Watson, gdzie pełno było pięknych dziewcząt, szampan zaś lał się strumieniami.

Jeden z doręczycieli ruszył przez zmrok do nieoświetlonego zaułka pełnego woni zgniłych owoców. Panowała tam zupełna cisza, wyjąwszy dobiegający z oddali syk ulicznych latarni. Chłopak odszukał drzwi, zapukał i wszedł do pomieszczenia pełnego mężczyzn, młodych i starych, przekrzykujących się nawzajem i w większości pijanych. Trumna ustawiona pośrodku sali służyła za bar, a przyćmione światło pochodziło z gazowych palników ukrytych w zawieszonych na ścianach czaszkach. Na podłodze wałało się więcej czaszek. Z jednej ze ścian sterczała szubienica, na innych wisiały rozmaite rodzaje broni oraz nasiąknięty krwią koc.

Artefakty te wskazywały, że jest to siedziba klubu Whitechapel, ochrzczonego nazwą londyńskiego slumsu, w którym dwa lata wcześniej polował na swoje ofiary Kuba Rozpruwacz. Przewodniczący klubu nosił oficjalny tytuł Rozpruwacza. Członkami byli głównie dziennikarze, którzy na spotkania przynosili historie o morderstwach, zebrane na ulicach miasta. Przedmioty rozwieszane na ścianach były autentycznymi narzędziami zbrodni, dostarczonymi przez chicagowskich policjantów. Czaszki podarował klubowi psychiatra z pobliskiego zakładu dla umysłowo chorych, a koc — jeden z członków klubu, który zdobył go, relacjonując bitwę między armią Stanów Zjednoczonych a plemieniem Siuksów.

Dowiedziawszy się, że Chicago przyznano prawo do zorganizowania wystawy, członkowie klubu Whitechapel ułożyli treść telegramu do Chaunceya Depewa, który bardziej niż ktokolwiek inny w ich oczach symbolizował Nowy Jork i jego pogoń za tym zaszczytem. Już wcześniej Depew obiecał, że jeśli rywalizację wygra Chicago, pojawi się na następnym spotkaniu klubu i pozwoli się porąbać na kawałki Rozpruwaczowi. Rzecz jasna — metaforycznie, ale czy w klubie Whitechapel można było być czegoś do końca pewnym, skoro stojąca w siedzibie klubu trumna służyła wcześniej do transportu ciała jednego z jego członków, który popełnił samobójstwo? Koledzy zawieźli jego ciało na Indiana Dunes nad jeziorem Michigan i wzniesli ogromny stos. Na jego szczycie umieścili zwłoki, podpalili drewno, po czym, ubrani w czarne szaty, okrążali ogień z pochodniami w dłoniach, śpiewając hymny za zmarłych i pociągając whisky. Klub miał również

w zwyczaju wysłać odzianych w czarne stroje członków, żeby porywali odwiedzające miasto sławy, a następnie wozili je po mieście w grobowym milczeniu, w czarnym powozie z zasłoniętymi oknami.

Telegram z klubu dotarł do Waszyngtonu, gdzie przebywał Depew, dwadzieścia minut po ostatnim głosowaniu, akurat w chwili, gdy delegacja Chicago zaczęła świętować zwycięstwo w hotelu Willard, położonym niedaleko Białego Domu. Telegram zawierał jedno pytanie: „Kiedy będziemy mieli przyjemność oglądać Pana na naszym stole sekcyjnym?”.

Depew odpowiedział natychmiast: „Jestem na Panów usługi w każdej chwili. Po dzisiejszych wydarzeniach jestem gotów przekazać swoje ciało chicagowskiej nauce”.

Choć Depew wytwornie przyjął porażkę, szczerze wątpił, czy Chicago w pełni zdaje sobie sprawę ze stojącego przed nim wyzwania. „Najwspanialsza wystawa nowoczesnych czasów właśnie zakończyła się sukcesem w Paryżu — powiedział reporterom z »Tribune«. — Cokolwiek przygotujecie, będzie to z nią porównywane. Jeśli uda wam się jej dorównać, odniesiecie sukces. Jeśli ją przewyższycie, będzie to triumf. Ale jeśli okażecie się gorsi, cała Ameryka zrzuci winę na was”.

„Strzeżcie się — ostrzegam. — Uważajcie!”.

Pierwszą decyzją Chicago było założenie przedsiębiorstwa Worlds Columbian Exposition Company, które miało finansować budowę wystawy. Po cichu dawano do zrozumienia, że jej projekt należy powierzyć Burnhamowi i Rootowi. Na barki Chicago spadł ciężar przywrócenia Ameryce narodowej dumy i należnej jej pozycji, a także wydobycia jej z cienia rzucanego przez paryską ekspozycję. A miasto zdecydowanie, choć dyskretnie, ulokowało ten ciężar na najwyższym piętrze Rookery.

Kłęska w ogóle nie wchodziła w rachubę. Burnham wiedział, że gdyby wystawa się nie udała, doszłoby do zszargania honoru ojczyzny, Chicago spotkałoby upokorzenie, a jego własnej firmie zostałyby zadany śmiertelny cios. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie spotykał kogoś — przyjaciela, dziennikarza, członka swojego klubu — kto powtarzał, że naród spodziewa się po tym wydarzeniu

czegoś fantastycznego. Budowa Auditorium Building zajęła prawie trzy lata i zaprowadziła Louisa Sullivana na skraj załamania nerwowego. A Burnhamowi i Rootowi powierzono zadanie wzniesienia w ciągu takiego samego czasu całego miasta — i to nie jakiegoś tam miasta, ale takiego, które przyćmi blask wystawy w Paryżu. Przedsięwzięcie musiało również przynieść dochody, bo dla czołowych obywateli Chicago dochodowość była kwestią osobistego i obywatelskiego honoru.

Z punktu widzenia tradycyjnych standardów architektonicznych wyzwanie było niemożliwe do zrealizowania. Samotnie nie byłby go w stanie udźwignąć żaden architekt, ale Burnham wierzył, że wraz z Rootem wykażą wolę i moc wystarczającą do koordynowania i przeprowadzenia całego projektu. Wspólnie pokonali grawitację oraz miękkie bagno chicagowskiej ziemi, zmieniając na zawsze charakter życia miejskiego. A teraz razem zbudują wystawę i zmieniają historię. Dokonają tego, ponieważ istnieje taka potrzeba — choć wyzwanie rzeczywiście było gigantyczne. Mowy Depewa na temat ekspozycji szybko stały się co prawda nudne, miał on jednak zdolność ujmowania w sposób dowcipny i zwięzły prawdziwej natury zaistniałej sytuacji. „Chicago jest jak człowiek, który żeni się z matką dwanaściorga dzieci — stwierdził. — Jego kłopoty dopiero się zaczynają”.

Jednakże nawet Depew nie był w stanie oszacować prawdziwej wagi ciężaru spoczywającego na barkach Burnhama i Roota. W tamtej chwili zarówno on sam, jak i obaj architekci postrzegali to wyzwanie jedynie w dwóch najbardziej fundamentalnych wymiarach: czasu i pieniędzy. A już one same były trudnym orzechem do zgryzienia.

Tylko Poe byłby zdolny domyślić się całej reszty.

Konieczne zapasy

Pewnego ranka w sierpniu 1886 roku, kiedy na ulicach panował upał równie wielki jak dziecięca gorączka, człowiek, który przedstawiał się jako H. H. Holmes, przybył na jedną ze stacji kolejowych Chicago. Powietrze było zatęchłe i nieruchome, nasycone zapachem zgniłych brzoskwiń, końskich odchodów i częściowo spalonego antracytu z Illinois. Na bocznicach stało blisko pół tuzina lokomotyw, które pompowały parę w i tak już żółtawe niebo.

Holmes kupił bilet do wioski Englewood położonej w okręgu Lake, przylegającym do południowej granicy Chicago i zamieszkiwanym przez 200 tysięcy ludzi. Ta część hrabstwa obejmowała Union Stock Yards oraz dwa duże parki: Waszyngtona, pełen trawników i ogrodów, gdzie znajdował się popularny tor wyścigowy, oraz Jacksona — odludne, zaniedbane pustkowia na brzegu jeziora.

Mimo upału Holmes wyglądał świeżo i rześko. Kiedy szedł przez stację, padały na niego, niczym niesione wiatrem płatki kwiatów, spojrzenia młodych kobiet.

Szedł pewnym krokiem, był doskonale ubrany i roztaczał wokół siebie aurę sukcesu i bogactwa. Miał dwadzieścia sześć lat, mierzył sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a ważył jedynie siedemdziesiąt kilogramów. Miał ciemne włosy i zwracające uwagę niebieskie oczy, kiedyś przyrównane do oczu hipnotyzera. „Jego oczy są wielkie i szeroko otwarte, w niebieskim kolorze — zanotował później lekarz o nazwisku John L. Capen. — Wielcy mordercy, podobnie jak ludzie odznaczający się wielkością na innych polach, mają oczy niebieskie”. Capen zwrócił również uwagę na wąskie wargi Holmesa, ocienione gęstym, ciemnym wąsem, choć, jego zdaniem, najbardziej uderzające były jednak uszy. „Jest to cudownie małe ucho, na szczycie ukształtowane w sposób, w jaki dawni artyści w rzeźbach satyrów sugerowali występki i rozpustę”. Ogólnie rzecz

biorąc, jak zauważył Capen, „odlano go z bardzo delikatnej formy”.

Dla kobiet, nieświadomych skrywanych obsesji tego człowieka, była to delikatność niezwykle atrakcyjna. Holmes łamał powszechnie panujące zasady zażyłości: stawał zbyt blisko, przyglądał się zbyt natarczywie, dotykał zbyt często i za długo. A one go za to uwielbiały.

Wysiadł z pociągu w samym sercu Englewood i przez chwilę rozglądał się po otoczeniu. Znajdował się na skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace. Na stojącym w narożniku słupie telegraficznym znajdowała się skrzynka alarmu przeciwpożarowego o numerze 2475. W oddali było widać szkielety kilku trzykondygnacyjnych domów, jeszcze w budowie. Holmes słyszał uderzenia młotków. Niedawno zasadzone drzewa trwały w szeregach niczym żołnierze, choć w mgiełce panującego upału sprawiały raczej wrażenie oddziałów pustynnych, które wypuściły się za daleko bez odpowiednich zapasów wody. Powietrze było nieruchome, wilgotne i przesycone zapachem palonej lukrecji, wydzielanym przez świeżo położony makadam. Na rogu stał sklep z szyldem głoszącym, że jest to drogeria E. S. Holtona.

Holmes ruszył z miejsca. Wybrał Wentworth — biegnącą z północy na południe główną ulicę handlową Englewood, zatłoczoną końmi, dwukólkami i faetonami. W pobliżu skrzyżowania Sześćdziesiątej Trzeciej i Wentworth minął remizę strażacką należącą do wozu strażackiego numer 51 i jego załogi. Obok mieścił się komisariat. Wiele lat później mieszkaniec wioski, niemogący pojąć makabry, jaka się tutaj wydarzyła, napisał: „Choć czasami tereny Union Stock Yards wymagały pilnej interwencji policji, Englewood żyło spokojnie, a obowiązki policjantów sprowadzały się niemal wyłącznie do funkcji reprezentacyjnych i pilnowania, żeby nikt nie niepokoił krów na pastwiskach”.

Holmes zawrócił na Wallace Street, gdzie widział szyld drogerii Holtona. Przez skrzyżowanie biegły tory. Dróżnik, mrużąc oczy, wypatrywał pociągów i co kilka minut opuszczał szlaban, żeby umożliwić przejazd kolejnej lokomotywie. Drogeria znajdowała się na północno-zachodnim rogu Wallace i Sześćdziesiątej Trzeciej. Po przeciwnej stronie Wallace było widać dużą, pustą parcelę.

Holmes wszedł do sklepu, gdzie zastał starszą kobietę, panią Holton. Wyczuł w niej pewną podatność, zapewne w taki sam sposób, w jaki inny mężczyzna wyczułby słaby zapach jej perfum. Przedstawił się jako lekarz i licencjonowany farmaceuta, po czym zapytał, czy nie potrzebuje pomocy w sklepie. Mówił cicho,

uśmiechał się często i wpatrywał się w nią szczerymi, błękitnymi oczami.

Potrafił nawiązać serdeczną rozmowę, dlatego już wkrótce dowiedział się, że pani Holton jest pogrążona w głębokim smutku. Jej mąż, przebywający na górze, w ich mieszkaniu, umierał na raka. Wyznała, że prowadzenie sklepu stało się dla niej wielkim ciężarem, odkąd musi się opiekować chorym.

Holmes słuchał tej opowieści z oczami pełnymi łez. Dotknął jej ramienia. Może zdjęć z niej ten ciężar, zapewnił. I nie tylko to — potrafi również sprawić, żeby drogeria zaczęła prosperować i pokonała okoliczną konkurencję.

Jego spojrzenie było tak przejrzyste i błękitne. Pani Holton stwierdziła, że musi porozmawiać z mężem.

Ruszyła na górę. Dzień był gorący. Muchy przysiadły na parapecie okiennym, żeby odetchnąć. Za oknem przez skrzyżowanie przetoczył się kolejny pociąg. Sadza i dym unosiły się w powietrzu niczym ciemna gaza. Oczywiście mogła porozmawiać z mężem, ale on przecież umierał. Teraz ona kierowała sklepem i to na niej ciążyła cała odpowiedzialność. Podjęła już decyzję.

Sama myśl o młodym lekarzu napełniała ją uczuciem błogości, jakiej nie знаła już od dawna.

Holmes bywał wcześniej w Chicago, ale tylko przejazdem. Powiedział później, że miasto zrobiło na nim wrażenie, co było o tyle zaskakujące, że z reguły nic nie robiło na nim wrażenia. Zdarzenia i ludzie przyciągali jego uwagę mniej więcej w taki sam sposób, jak poruszające się obiekty przyciągają uwagę płaza: najpierw była to mechaniczna rejestracja ruchu, następnie oszacowanie wartości obiektu i w końcu decyzja czy działać, czy pozostać w bezruchu. Kiedy postanowił przenieść się do Chicago na stałe, nadal używał swojego prawdziwego nazwiska: Herman Webster Mudgett.

Jak większość ludzi, najpierw poczuł niewiarygodny smród Chicago, unoszący się zawsze w okolicach Union Stock Yards. Był to wilgotny wiatr, niosący

woń rozkładu i spalonej sierści, wszechobecny „odór, surowy i prymitywny, niemal zjełczały, zmysłowy i silny” — jak napisał Upton Sinclair. Ludzie uważali zwykle, że jest obrzydliwy, a ci nieliczni, w których opinii był ożywczy, zwykle sami brodzili w „rzece śmierci”, według słów Sinclaira, i wyplukiwali z niej wielkie fortuny. Kusząca jest teoria, zgodnie z którą właśnie śmierć i krew sprawiły, że Mudgett poczuł się tutaj tak bardzo u siebie, ale bardziej prawdziwe wydaje się przypuszczenie, że zapach niósł z sobą informację, że tu wreszcie znalazł miasto, które dopuszcza dużo szerszy zakres zachowań niż Gilmanton Academy w stanie New Hampshire, gdzie się urodził i gdzie przeżył dzieciństwo jako drobny, dziwaczny i niezwykle inteligentny chłopiec. I gdzie, w konsekwencji, stał się ofiarą okrucieństwa rówieśników.

Przez całe życie prześladowało go wspomnienie jednego zdarzenia. Miał wówczas pięć lat, nosił swój pierwszy dziecięcy garnitur, a rodzice posyłali go do miejscowej szkoły. „Codziennie musiałem minąć należący do wioskowego lekarza gabinet, którego drzwi rzadko kiedy zamykano — napisał potem we wspomnieniach. — Częściowo dlatego, że, w moim przekonaniu, tutaj tkwiło źródło wywołujących mdłości mikstur, przekleństwa mojego dzieciństwa (gdyż były to czasy, kiedy nie opracowano jeszcze lekarstw specjalnie dla dzieci), a częściowo z powodu niejasnych plotek na temat tego, co znajdowało się w środku, to miejsce budziło we mnie dziwną odrazę”.

Ówczesne gabinety lekarskie rzeczywiście potrafiły przerażać. W pewnym sensie wszyscy lekarze byli amatorami. Najlepsi z nich kupowali do badań trupy. Płacili gotówką, nie stawiali żadnych pytań, a szczególnie interesujące fragmenty zajętych chorobą trzewi przechowywali w wielkich przezroczystych słojach. W gabinetach wisiały szkielety, podręczne repetytorium z anatomii. Niektóre z nich znacznie wykraczały poza swoją podstawową funkcję i stanowiły prawdziwe dzieła sztuki, tak szczegółowe, tak starannie połączone — każda wybielona kość łączyła się z sąsiednimi za pomocą mosiężnych drucików, a czaszka dobrodusznie szczyrzyła zęby — że zdawały się gotowe wyruszyć z klekotem na ulicę i złać najbliższy tramwaj.

Dwoje dzieci odkryło strach Mudgetta. Pewnego dnia złapały go i zaciągnęły, „wyrwijącego się i wrzeszczącego”, do gabinetu lekarza. „Puścili mnie dopiero, postawiwszy twarzą w twarz z jednym z tych szczyrzyjących się szkieletów. Jego rozłożone ramiona sprawiały wrażenie, że zaraz mnie pochwyci” — wspominał Mudgett.

„Była to rzecz okrutna i niebezpieczna wobec dziecka w tak wrażliwym wieku i o tak wrażliwym zdrowiu, ale okazała się doskonałą, choć brutalną metodą zaradzenia moim lękom — pisał. — Wpoila mi, po pierwsze, wielką ciekawość, a po drugie, pragnienie uczenia się, które wiele lat później zaważyły na moim wyborze zawodu lekarza”.

To zdarzenie można uznać za prawdziwe, ale zapewne jego przebieg był nieco inny. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że ku zdumieniu dwóch małych nastników ich pięcioletnia ofiara nie miała nic przeciwko takiej wycieczce. I że zamiast wyrwać się i krzyczeć, po prostu patrzyła z chłodnym zainteresowaniem na szkielet.

A kiedy niebieskie oczy chłopca spoczęły na jego oprawcach, wówczas to oni uciekli.

Gilmanton była niewielką osadą rolniczą, położoną na odludziu w krainie jezior stanu New Hampshire. Jej mieszkańcy nie mieli dostępu do gazet codziennych i rzadko kiedy słyszeli gwizd pociągów. Mudgett miał dwójkę rodzeństwa, brata i siostrę, a jego ojciec, Levi, prowadził odziedziczoną po ojcu farmę. Mudgettowie byli gorliwymi metodystami. Na drobne nawet przewinienia swoich dzieci reagowali za pomocą różgi i modlitwy, po których następowało zesłanie na strych, a następnie dzień postu i zakazu rozmowy. Matka często nalegała, żeby mały Herman modlił się wraz z nią w jej pokoju. I otaczała go wówczas drżącą w powietrzu aurą namiętności.

Według własnej oceny, Mudgett był „synkiem mamusi”. Wiele czasu spędzał sam w swoim pokoju, czytając książki Juliusza Verne'a i Edgara Allana Poe oraz budując różne rzeczy. Skonstruował napędzany wiatrem mechanizm, który wywoływał hałas płoszący ptaki z pól, a następnie zabrał się za tworzenie perpetuum mobile. Swoje najcenniejsze skarby chował w małych pudełkach. Był wśród nich jego pierwszy wyrwany ząb i zdjęcie jego „dwunastoletniej ukochanej”, choć później spekulowano, że pudełka te kryły również bardziej makabryczne sekrety, na przykład czaszki małych zwierząt, które okaleczał i krajał żywcem w lasach otaczających Gilmanton. Takie domysły opierano na trudnych lekcjach zachowań dzieci o podobnych charakterach, odebranych w XX wieku. Jedynym przycielem Mudgetta był starszy od niego chłopiec o imieniu Tom, który zginął

w wypadku podczas zabawy w opuszczonym domu.

Mudgett wyrył swoje inicjały na starym wiązcie rosnącym na farmie dziadka. Rodzina zaznaczała jego wzrost wycięciami na framudze drzwi — pierwsze takie nacięcie znajdowało się na wysokości niecałego metra. Jedną z jego ulubionych rozrywek było wspinanie się na wysoki głąz i budzenie echa za pomocą krzyku. Biegał na posyłki pewnego „wędrownego fotografa”, który zatrzymał się na jakiś czas w Gilmanton. Fotograf wyraźnie utykał i był wdzięczny za taką pomoc. Pewnego ranka wręczył chłopcu złamany drewniany klocek, prosząc o zanieśnięcie go do miejscowego stelmacha, żeby ten zrobił mu nowy. Kiedy Mudgett wrócił, fotograf siedział na progu, częściowo rozebrany, i bez żadnych wstępów odczepił sobie jedną nogę.

Mudgett był zaskoczony. Nigdy wcześniej nie widział protezy i przyglądał się osłupiały, jak fotograf umieszcza w niej nowy klocek. „Nie byłbym na pewno bardziej zaskoczony, gdyby zaczął sobie następnie odkręcać głowę” — napisał.

Coś w wyrazie twarzy chłopca przyciągnęło uwagę fotografa. Balansując na jednej nodze, sięgnął po aparat i zaczął się szykować do zrobienia zdjęcia. Tuż przed otworzeniem migawki podniósł sztuczną nogę i pomachał nią w kierunku małego Hermana. Kilka dni później podarował Mudgettowi gotową fotografię.

„Przechowywałem ją przez lata i nadal mogę przywołać przed oczami wyobraźni tę chudą, przerażoną twarzyczkę bosego chłopca, ubranego w tkane w domu ubranie” — pisał Mudgett.

Opisał to zdarzenie, siedząc w więziennej celi i tworząc wspomnienia, których celem było wywołanie powszechnego współczucia wobec jego osoby. Istotnie, scena jest czarująca, rzecz jednak w tym, że w czasach dzieciństwa Mudgetta aparaty fotograficzne nie były zdolne do uwieczniania takich niepozowanych chwil, szczególnie kiedy ich bohaterem było dziecko. Jeśli nawet fotograf dostrzegł coś w oczach Mudgetta, była to zapewne jasnoniebieska pustka, której, czego musiał być boleśnie świadom, żadna istniejąca klisza nie była w stanie zarejestrować.

Mając lat szesnaście, Mudgett ukończył szkołę i mimo młodego wieku objął posadę nauczyciela, najpierw w Gilmanton, a następnie w Alton w stanie New Hampshire. Poznał tam młodą kobietę, Clare A. Lovering. Nigdy wcześniej nie spotkała ona nikogo przypominającego Mudgetta. Był młody, ale zrównoważony, i potrafił sprawić, że czuła się dobrze, nawet kiedy była w złym nastroju. Mówił porywająco i z takim ciepłem, zawsze też dotykał ją w przelotny, pełen uczucia sposób, nawet kiedy byli w towarzystwie. Miał jedną wadę, mianowicie stale nalegał, aby pozwoliła mu się z nią kochać, ale nie tak, jak to było przyjęte w okresie formalnych zalotów, tylko tak jak to następowało po ślubie. Powstrzymywała go, ale nie mogła zaprzeczyć, że Mudgett budzi w niej namiętność, która zabarwiała potem jej sny. Miał osiemnaście lat, kiedy poprosił ją, żeby z nim uciekła. Zgodziła się. Pobrali się 4 lipca 1878 roku. Ślubu udzielił im sędzia pokoju.

Początkowo była namiętność wykraczająca daleko poza wszystko, czego kazały Clarze oczekiwać ponure plotki starszych kobiet, ale później ich związek gwałtownie ochłodził. Mudgett porzucił dom na długi czas. Wkrótce okresy jego nieobecności zaczynały trwać kilka dni, aż wreszcie po prostu zniknął. Zgodnie z rejestrem ślubów w Alton w stanie New Hampshire, ich małżeństwo obowiązywało w oczach prawa, choć wyszło jak pieprz.

Mając lat dziewiętnaście, Mudgett rozpoczął naukę w college'u. Początkowo zamierzał wstąpić do Dartmouth, ale zmienił zdanie i zapisał się od razu do szkoły medycznej. Najpierw uczęszczał na kurs medycyny na uniwersytecie stanu Vermont, w Burlington, ale szybko doszedł do wniosku, że jest to placówka zbyt mała i po zaledwie roku przeniósł się na uniwersytet stanu Michigan w Ann Arbor, który był wówczas jedną z czołowych uczelni medycznych na zachodzie, znaną z nacisku, jaki kładziono w niej na kontrowersyjną sztukę sekcji zwłok. Jego nazwisko pojawiło się w rejestrze studentów 21 września 1882 roku. Podczas wakacji po trzecim roku popełnił, jak to określił w swoich wspomnieniach, „pierwszy prawdziwie nieuczciwy czyn w życiu”. Podjął pracę w wydawnictwie jako komiwojażer, podpisując umowę na rozprowadzanie pewnej książki w całym północno-zachodnim Illinois. Zamiast jednak wpłacić zyski, zatrzymał je. Pod koniec lata wrócił do Michigan. „Nie mogę uważać tej wyprawy na zachód

za klęskę, ponieważ zobaczyłem Chicago” — napisał.

Ukończył studia z przeciętnym wynikiem, w czerwcu 1884 roku, po czym wyruszył na poszukiwania „jakiegoś miłego otoczenia”, w którym zmierzał otworzyć praktykę. Aby osiągnąć swój cel, ponownie zatrudnił się jako komiwojażer, tym razem w firmie produkującej artykuły dla niemowląt, mieszczącej się w Portland w stanie Maine. Trasa poprowadziła go przez miasteczka, których w innym wypadku nigdy by nie odwiedził. W końcu dotarł do Mooers Forks w stanie Nowy Jork, gdzie — według relacji „Chicago Tribune” — rada szkoły podstawowej, „pod wrażeniem doskonałych manier Mudgetta”, zatrudniła go jako dyrektora placówki. Stanowisko to piastował aż do czasu rozpoczęcia praktyki lekarskiej. „Zostałem tam przez rok, wykonując dobrze i sumiennie swoje obowiązki, za co otrzymywałem wiele oznak wdzięczności, ale niewiele pieniędzy”.

Dokądkolwiek się udał, wszędzie zdarzały się rzeczy niepokojące. Wykładowcy z Michigan niewiele mogli powiedzieć o jego zdolnościach, ale pamiętali, że odznaczył się w inny sposób. „Niektórzy profesorowie pamiętają, że był hultajem — opowiadał jeden z pracowników uczelni. — Złamał słowo dane fryzjerce, wdowie, która przybyła do Ann Arbor z St. Louis w stanie Michigan”.

Po Mooers Forks krążyły plotki na temat chłopca, który zniknął, a po raz ostatni widziano go w towarzystwie Mudgetta. Sam Mudgett twierdził, że chłopiec wrócił do domu, do Massachusetts. Nie przeprowadzono śledztwa. Nikomu nie mogło się pomieścić w głowie, że czarujący doktor Mudgett mógłby kogośkolwiek skrzywdzić, tym bardziej dziecko!

Często koło północy Mudgett przechadzał się po ulicy przed swoim mieszkaniem.

Mudgett potrzebował pieniędzy, ponieważ za pracę w szkole dostawał głodową pensję, a praktyka lekarska przynosiła mu niewiele większy dochód. „Jesienią 1885 roku stanąłem w obliczu głodu” — napisał.

Jeszcze na studiach medycznych wraz z pochodzącym z Kanady kolegą dyskutował o tym, jak łatwo byłoby wykupić polisę na życie dla jednego z nich,

uposażyć z jej tytułu drugiego, po czym przedstawić jakieś zwłoki i twierdzić, że właściciel polisy zmarł. W Mooers Forks Mudgettowi przypomniał się ten pomysł. Złożył wizytę swojemu dawnemu koledze i stwierdził, że jego kondycja finansowa była niewiele lepsza niż jego. Wspólnie obmyślili szczegóły oszustwa ubezpieczeniowego, które Mudgett opisał w swoich wspomnieniach. Był to niemożliwie skomplikowany i makabryczny plan. Od razu było wiadomo, że nie uda się go zrealizować, ale sam opis wart jest uwagi, ponieważ ujawnia, wbrew zamierzeniom twórcy, pewne cechy szczególne jego astygmatycznej duszy.

Otóż plan wymagał, żeby Mudgett i jego przyjaciel znaleźli współników, z którymi wspólnie sfingowaliby śmierć trzyosobowej rodziny, a także zdobyli trzy trupy, po jednym za każdego członka ubezpieczonej rodziny. Ciała odnaleziono by późno, w zaawansowanym stanie rozkładu, spiskowcy zaś podzieliłoby się odszkodowaniem wynoszącym 40 tysięcy dolarów (przy obecnej wartości pieniądza byłoby to ponad 1 milion dolarów).

„Plan wymagał znacznej ilości materiałów, czyli aż trzech ciał” — napisał Mudgett. Co oznaczało, że razem z przyjacielem musieliby zdobyć trzy trupy mogące uchodzić za męża, żonę i dziecko.

Mudgett nie spodziewał się jednak większych trudności przy zdobywaniu ciał, choć w tamtych czasach w całym kraju podaż zwłok na potrzeby edukacji medycznej była tak niska, że lekarze byli zmuszeni wykładać świeże trupy z cmentarzy. Świadomi faktu, że nawet lekarz nie zdoła zgromadzić trzech ciał, nie wzbudzając podejrzeń, Mudgett i jego współnik uzgodnili, że każdy z nich samodzielnie poczyni „konieczne zapasy”.

Mudgett twierdził, że przyjechał do Chicago w listopadzie 1885 roku i tam zdobył swoją „porcję” ciał. Ponieważ nie mógł znaleźć pracy, umieścił je w przechowalni i udał się do Minneapolis, gdzie zatrudnił się w drogerii. Pozostał w Minneapolis aż do maja 1886 roku, po czym ruszył do Nowego Jorku, planując zabrać tam „część materiałów”, resztę zaś pozostawić w Chicago. „A to wymagało przepakowania” — napisał.

Podobno jeden pakunek, zawierający rozzłonkowane ciało, oddał na przechowanie do Fidelity Storage Warehouse w Chicago, a drugi zabrał z sobą do Nowego Jorku i umieścił w „bezpiecznym miejscu”. Podczas podróży kolejną przeczytał w gazetach dwa artykuły o przestępstwach ubezpieczeniowych „i po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak dobrze zorganizowane i przygotowane do wykrywania i karania tego typu nadużyć są duże towarzystwa ubezpieczeniowe”. Podobno te artykuły spowodowały zarzucenie całego planu oraz utratę

nadziei, że kiedykolwiek w przyszłości powiedzie mu się przeprowadzenie podobnego oszustwa.

Kłamał. W rzeczywistości był głęboko przekonany o słuszności założeń swego planu — że fingując śmierć ubezpieczonego, można oskubać firmy ubezpieczeniowe. Jako lekarz wiedział, że nie można ustalić tożsamości spalonych, rozczłonkowanych czy w inny sposób okaleczonych zwłok, nie miał też żadnych obiekcji w kwestii zajmowania się trupami. Były dla niego „materiałem”, niczym się nieróżniącym od drewna opałowego, choć nieco trudniejszym do pozbycia się.

Kłamał również, że potrzebował pieniędzy. D. S. Hays, właściciel domu w Mooers Forks, w którym Mudgett wynajmował mieszkanie, zauważył, że jego lokator często ma przy sobie duże kwoty w gotówce. Wzbudziło to jego podejrzenia i zaczął uważnie obserwować Mudgetta. Jak się później okazało — nie dość uważnie.

Mudgett opuścił Mooers Forks o północy, nie płacąc Haysowi czynszu. Ruszył do Filadelfii, gdzie miał nadzieję znaleźć posadę w drogerii, a docelowo zostać współnikiem jej właściciela albo właścicielem. Nie znalazł jednak niczego odpowiedniego, podjął więc pracę jako „dozorca” w zakładzie dla obłąkanych w Norristown. „Było to moje pierwsze zetknięcie się z osobami szalonymi — pisał. — Tak okropne, że przez wiele lat później, a nawet jeszcze i dzisiaj, widuję w snach ich twarze”. Rzucił posadę już po kilku dniach.

W końcu zatrudnił się w jednej z filadelfijskich drogerii. Wkrótce potem, po zażyciu zakupionego tam lekarstwa, zmarło dziecko. Mudgett natychmiast wyjechał z miasta.

Złapał pociąg do Chicago, ale szybko się przekonał, że aby pracować jako farmaceuta w Illinois, musi pojechać do stolicy stanu, Springfield, zdać egzamin i uzyskać licencję. W lipcu 1886 roku, kiedy sir Arthur Conan Doyle przedstawił światu swojego detektywa, Mudgett zarejestrował się, po raz pierwszy podając nazwisko Holmes.

Holmes rozumiał, że w Chicago działają wielkie i nowe siły, których wynikiem jest przypominający cud rozwój miasta. Rozrastało się ono we wszystkich kierunkach, a gdy docierało nad brzeg jeziora, zaczynało piąć się w górę, ostro podnosząc wartość ziemi wewnątrz Pętli. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział dowody panującego tutaj dobrobytu. Nawet dym był tego dowodem. Miejscowe gazety uwielbiały rozpisywać się o wielkim wzroście liczby robotników zatrudnionych w zakładach przemysłowych miasta, szczególnie w pakowniach mięsa. Holmes wiedział — wszyscy wiedzieli — że dopóki wznosi się drapacze chmur, a wokół Union Stock Yards rozbudowują się rzeźnie, dopóty zapotrzebowanie na robotników będzie duże. A także że ci robotnicy — i ludzie, którzy nimi kierują — będą chcieli mieszkać na przedmieściach, które miały gładkim brukiem na ulicach, czystą wodą, przyzwoitymi szkołami, a przede wszystkim powietrzem wolnym od smrodu gnijących odpadków z Union Stock Yards.

W miarę wzrostu populacji Chicago zapotrzebowanie na mieszkania zmieniło się w prawdziwą „mieszkaniową gorączkę”. Kiedy ludzie nie mogli znaleźć mieszkań albo gdy nie było ich stać na wynajem, szukali pokoi w prywatnych domach i pensjonatach, gdzie zwykle czynsz obejmował posiłki. Speculanci zarabiali krocie i stali się twórcami upiornych krajobrazów. W Calumet, na bagnach, ustawiono tysiąc ozdobnych latarni, które oświetlały jedynie mgłę i wabiły całe chmary komarów. Theodore Dreiser dotarł do Chicago mniej więcej w tym samym czasie co Holmes i był pod wielkim wrażeniem tego krajobrazu pełnego antycypacji. „Miasto wytyczyło całe kilometry ulic i kanałów ściekowych w okolicach, gdzie stał może jeden samotny dom — pisał w *Siostrze Carrie*. — Niektóre takie miejsca, wystawione na działanie wiatru i deszczu, przez całe noce były oświetlane drżącym światłem długich szeregów lamp gazowych, których płomyki trzepotały na wietrze”.

Jednym z najszybciej rozrastających się przedmieść Chicago było Englewood. Nawet nowy przybysz, taki jak Holmes, natychmiast mógł zauważyć, że Englewood rozkwita. W ogłoszeniach o nieruchomościach na sprzedaż było mnóstwo wzmianek o ich zyskiwaniu na wartości. Przedmieście rozrastało się szybko już od dnia wielkiego pożaru z 1871 roku. Jeden z mieszkańców wspominał, jak zaraz po pożarze „takie było zainteresowanie domami w Englewood, a liczebność mieszkańców rosła tak gwałtownie, że nie sposób było ogarnąć tego wszystkiego”. Starzy kolejarze nadal nazywali to miejsce Chicago Junction — Węzłem Chicago albo Węzłem Grove, albo po prostu Węzłem, ponieważ na jego terenie

zbiegało się osiem linii kolejowych, ale po wojnie secesyjnej tutejsi mieszkańcy zaczęli mieć dość przemysłowego echa pobrzmiewającego w tej nazwie. W 1868 roku niejaka pani H. B. Lewis zaproponowała nową nazwę, Englewood. Tak nazywało się miasteczko w stanie New Jersey, gdzie przedtem mieszkała, ono zaś wzięło nazwę od puszczy w Carlisle w Anglii, owianej legendą, ponieważ podobno dawała schronienie dwóm wyjętym spod prawa ludziom pokroju Robin Hooda. To tutaj, na — jak to nazywali mieszkańcy Chicago — „tramwajowym” przedmieściu, osiedlali się ludzie kierujący Union Stock Yards, a także urzędnicy zatrudnieni w firmach, których siedziby mieściły się w drapaczach chmur w obrębie Pętli. Nabywali tu wielkie domy przy ulicach Harvard czy Yale, wysadzanych wiązami, jesionami, platanami i lipami, gdzie stały znaki zabraniające wszelkiego ruchu kołowego oprócz tego absolutnie niezbędnego. Tutaj posyłali dzieci do szkoły, tutaj chodzili do kościoła i na spotkania masonów oraz czterdziestu pięciu innych tajnych stowarzyszeń, mających w okolicy swoje loże, królestwa i ule. W niedziele spacerowali wśród aksamitnych trawników parku Waszyngtona, a jeśli mieli ochotę pobyć sami, udawali się na chłostane wiatrem obrzeża parku Jacksona, położonego na wschodnim krańcu Sześćdziesiątej Trzeciej, nad samym jeziorem.

Jeździli do pracy pociągiem albo tramwajem i gratulowali sobie, że mieszkają pod wiatr od Union Stock Yards. Właściciel wielkiej parceli w Englewood reklamował nachalnie swoją ofertę w katalogu promującym aukcję dwustu działek budowlanych, określanych mianem Terenów Batesa, podkreślając, że „dla kadry kierowniczej Union Stock Yards jest to szczególnie wygodne i łatwo dostępne miejsce, wolne od wszelkich zapachów, które wiatry zanoszą pod najmodniejsze adresy w centrum”.

Doktor Holton rzeczywiście umarł, a Holmes złożył jego wdowie ofertę — odkupi od niej drogerię, a ona nadal będzie mogła mieszkać na piętrze. Ubrał swoją propozycję w takie słowa, że mogło się zdawać, że nie czyni jej dla własnej korzyści, ale wyłącznie po to, żeby uwolnić panią Holton od ciężkiej pracy. A składając ją, dotknął ramienia wdowy. Kiedy podpisała akt notarialny, wstał i podziękował jej ze łzami w oczach.

Sfinansował zakup głównie z pieniędzy, które uzyskał, zastawiając wyposażenie i magazyn drogerii, zgodziwszy się spłacać kredyt w ratach po 100 dolarów miesięcznie (na dzisiejsze pieniądze byłoby to około 3 tysięcy dolarów). „Miałem dobry zawód i po raz pierwszy w życiu osiągnąłem pozycję w interesie, który przynosił mi zadowolenie” — napisał.

Wywiesił nowy szyld: DROGERIA H. H. HOLMESA. Kiedy rozeszła się wieść, że za kontuarem stoi teraz młody, przystojny i najwyraźniej niezonały doktor, sklep zaczęły odwiedzać coraz większe tłumy samotnych dwudziestolatek. Ubiebrały się ładnie i kupowały rzeczy, których nie potrzebowały. Stałym klientom również spodobał się nowy właściciel, choć brakowało im podnoszącej na duchu obecności pani Holton. Holtonowie byli tutaj, kiedy chorowały ich dzieci, i pocieszali ich, gdy choroba okazywała się śmiertelna. Powszechnie było wiadomo, że pani Holton sprzedała interes. Ale dlaczego nie widywano jej ostatnio w mieście?

Holmes uśmiechał się i wyjaśniał, że postanowiła odwiedzić krewnych w Kalifornii, o czym od dawna marzyła, ale nigdy nie miała dość czasu i pieniędzy, żeby spełnić to marzenie, szczególnie gdy jej mąż leżał na łożu śmierci.

Po pewnym czasie, kiedy pytania przycichły, Holmes zmienił nieco swoją historię. Pani Holton tak bardzo spodobało się w Kalifornii, wyjaśniał, że postanowiła się tam osiedlić na stałe.

„Stosowność

Nic. Taki wybuch energii, tyle brawury, ale teraz — nic. Był lipiec 1890 roku, prawie sześć miesięcy minęło od przegłosowania przez Kongres decyzji o powierzeniu Chicago organizacji Światowej Wystawy Kolumbijskiej, a czterdziestu pięciu mężczyzn tworzących radę nadzorczą ekspozycji nadal nie zdecydowało, gdzie należy ją zbudować. W chwili głosowania, kiedy stawką była duma miasta, całe Chicago mówiło jednym głosem. Jego wysłannicy zapewniali Kongres, że metropolia dysponuje większymi i bardziej odpowiednimi terenami pod wystawę niż wszystkie lokalizacje, jakie mogą zaproponować Nowy Jork, Waszyngton czy dowolne inne miasto. Teraz jednak każda dzielnica obstawała przy tym, żeby ekspozycja odbyła się w jej granicach. A sprzeczki zablokowały działanie rady.

Komitet do Spraw Terenu i Budynków Wystawy poprosił w sekrecie Burnhama, aby ten ocenił pewną liczbę lokalizacji na terenie miasta. Z równą dyskrecją komitet zapewnił Burnhama i Roota, że ostatecznie to oni będą nadzorować projekt i budowę ekspozycji. Z tego powodu każda mijająca chwila uszczuplała w oczach Burnhama już i tak niedostateczny fundusz czasu przeznaczony na zabudowę terenów wystawowych. Ustawa o organizacji wystawy, podpisana w kwietniu przez prezydenta Benjamina Harrisona, ustalała datę inauguracji na 12 października 1892 roku — na cześć dnia, w którym czterysta lat temu Kolumb po raz pierwszy ujrzał Nowy Świat. Formalne otwarcie wystawy miało jednak nastąpić dopiero 1 maja 1893 roku, aby dać Chicago więcej czasu na przygotowania. Burnham miał świadomość, że i tak większość zabudowy wystawy trzeba będzie ukończyć przed inauguracją. A to pozostawiało mu zaledwie dwadzieścia sześć miesięcy na budowę.

W skład rady nadzorczej wchodził James Ellsworth, przyjaciel Burnhama. On również czuł się sfrustrowany patową sytuacją, i to do tego stopnia, że z własnej inicjatywy, podczas przedsięwziętej w połowie lipca w interesach podróży do Maine, odwiedził miasto Brookline w Massachusetts, gdzie mieściło się biuro

Fredericka Lawa Olmsteda. Chciał namówić Olmsteda, żeby ten przyjechał do Chicago i ocenił miejsca zaproponowane pod wystawę oraz podjął się zadania zaprojektowania jej krajobrazu. Ellsworth miał nadzieję, że opinia Olmsteda – wsparta jego reputacją czarodzieja z Central Parku – pomoże wymusić ostateczną decyzję.

To, że ze wszystkich członków rady właśnie Ellsworth postanowił uczynić taki krok, było niezwykle istotne, gdyż początkowo żywił on wobec wystawy bardzo ambiwalentne uczucia. Powątpiewał nawet, czy Chicago w ogóle powinno ubiegać się o rolę gospodarza imprezy. Wszedł do rady nadzorczej z powodu obaw, że ekspozycja może spełnić niskie oczekiwania mieszkańców Wschodniego Wybrzeża i stać się „po prostu targami, jak sama nazwa wskazuje”*. Uważał za swój obowiązek ocalenie honoru miasta i przygotowanie największej takiej imprezy w historii świata. Ale ten szczytny cel zdawał się wymykać z rąk Chicago z każdym obrotem wskazówek zegara.

* Potocznie wystawę (ang. exposition) określano terminem fair (targ, jarmark).

Ellsworth zaproponował Olmstedowi za konsultacje 1 tysiąc dolarów (co według dzisiejszej wartości pieniądza wynosiłoby około 30 tysięcy). Zapomniał tylko dodać, że były to jego własne pieniądze, ponieważ nie uzyskał żadnych pełnomocnictw, które pozwalałyby mu zatrudnić Olmsteda.

Olmsted zresztą i tak odmówił. Oświadczył Ellsworthowi, że nie projektuje wystaw, poza tym wątpił, czy zostało dostatecznie dużo czasu, żeby zapewnić imprezie odpowiednią oprawę. Aby stworzyć takie efekty krajobrazowe, o jakich marzył, potrzebował nie miesięcy, ale lat, może nawet dziesięcioleci. „Przez całe życie miałem przed oczami odległe efekty swojej pracy i zawsze poświęcałem natychmiastowy sukces i poklask temu, co kryje w sobie przyszłość – napisał. – Projektując Central Park skupiliśmy się na celach, które da się osiągnąć za mniej więcej czterdzieści lat”.

Ellsworth przekonywał, że to, czego pragnie Chicago, przewyższy nawet wystawę paryską. Opisał Olmstedowi wizję Miasta Marzeń – zaprojektowanego przez największych amerykańskich architektów i zajmującego teren przynajmniej o jedną trzecią większy niż ekspozycja w Paryżu. Zapewnił również, że zgadzając się pomóc, Olmsted zwiąże swoje nazwisko z jednym z największych przedsięwzięć artystycznych dziewiętnastego wieku.

Olmsted trochę ustąpił, obiecał bowiem, że przemyśli sprawę i spotka się z Ellsworthem ponownie za dwa dni, kiedy ten będzie wracać z Maine.

Olmsted rzeczywiście przemyślał sprawę i uznał, że wystawa będzie okazją do osiągnięcia czegoś, o co zażarcie, choć bezskutecznie, walczył od dawna. Przez całą swoją karierę starał się — niemal bez sukcesu — obalić przekonanie, że architektura krajobrazu jest po prostu ambitniejszą wersją ogrodnictwa. Chciał, żeby uznano pole jego działalności za dziedzinę pokrewną sztuce, prawowitą siostrę malarstwa, rzeźby i architektury. Nie oceniał roślin, drzew i kwiatów pod kątem ich cech indywidualnych, ale raczej jako kształty i kolory na swojej palecie. Obrazę stanowiły dla niego tradycyjne grządki. Róże nie były różami, tylko „plamami bieli albo czerwieni, łagodzącymi natłok zieleni”. Drażniło go, że niewiele osób jest w stanie docenić efekty, nad którymi tak ciężko i długo pracował. „Projektuję tak, żeby uzyskać łagodny pasaż kompozycji o miękkim, harmonijnym, refleksyjnym charakterze, kształtuję teren, zasłaniam elementy burzące kompozycję, sadząc tam właściwe rośliny”. Zbyt często jednak „wracam za rok i znajduję zniszczenie. Dlaczego? »Bo moja żona tak kocha róże«, bo «dostałem w prezencie duży świerk«, bo »mam słabość do białych brzoź — rosły na podwórzu domu ojca, kiedy byłem chłopcem«,..

Tak samo zachowywali się wielcy klienci instytucjonalni. Olmsted i Calvert Vaux w latach 1858—1876 stworzyli i udoskonalili Central Park w Nowym Jorku, ale od chwili ukończenia bez przerwy musieli bronić swojego dzieła przed próbami majstrowania przy nim w sposób, który Olmsted uważał za równoznaczny z wandalizmem. Nie dotyczyło to tylko Central Parku. Właściwie każdy park był narażony na podobne niebezpieczeństwo.

„Niech Pan sobie wyobrazi — pisał do architekta Henry'ego van Brunta — że powierzono Panu budowę naprawdę wielkiej opery. I że kiedy prace budowlane niemal dobiegły końca, a projekt wystroju został już w pełni rozrysowany, dowiaduje się Pan, że w niedziele będą się tam odbywać nabożeństwa baptystów, trzeba więc wygospodarować miejsce na wielkie organy, kazalnicę i basen do chrztów. Później, po pewnym czasie, dowiaduje się Pan, że trzeba tak przerobić wnętrza i ich wyposażenie, aby poszczególne pomieszczenia opery mogły pełnić funkcje sali sądowej, więzienia, sali koncertowej, hotelu, lodowiska, kliniki chirurgicznej, cyrku, wystawy psów, gabinetu dentystycznego, sali balowej, stacji kolejowej i wieży do produkcji śrutu”. Coś takiego, dodawał Olmsted, „prawie

zawsze dzieje się z publicznymi parkami. Proszę mi wybaczyć, jeśli zasypałem Pana narzekaniami. Jest to sprawa, która nie przestaje mnie złościć”.

Olmsted wierzył, że należy bardziej wyeksponować architekturę krajobrazu, gdyż to zwiększy jej wiarygodność. Uświadomił sobie, że wystawa w Chicago mogłaby w tym pomóc, ale pod warunkiem, że rzeczywiście wzniosłaby się na wyżyny przewidywane przez Ellswortha. Musiał rozważyć tę korzyść, uwzględniając koszty, jakie wiązały się z przyjęciem podobnego zobowiązania. Jego firma ugięła się pod naporem zleceń. Pracy było tak dużo, że, jak pisał, „bez przerwy znajdujemy się pod wielką presją i wisi nad nami chmura niepokoju”. Tymczasem zaczęły go prześladować choroby. Miał sześćdziesiąt osiem lat i kulał na skutek dawnego wypadku drogowego, w wyniku którego jedna jego noga była krótsza o ponad dwa centymetry od drugiej. Ulegał długotrwałym atakom depresji. Bolały go zęby. Cierpiał na chroniczną bezsenność i nerwobóle twarzy. Tajemniczy ryk w uszach czasami był tak głośny, że Olmsted nie mógł brać udziału w rozmowie. Nadal był pełen energii twórczej, nadal znajdował się w ciągłym ruchu, ale nocne podróże pociągami zawsze negatywnie wpływały na jego zdrowie. Nawet kiedy spał we własnym łóżku, noce często zmieniały się w koszmar bezsenności połączonej z bólem zębów.

Wizja Ellswortha okazała się jednak nie do odparcia. Olmsted przedyskutował sprawę z synami oraz z najnowszym pracownikiem firmy, Henrym Sargentem Codmanem (Harrym) — niezwykle utalentowanym architektem krajobrazu, który szybko stał się jego zaufanym doradcą i powiernikiem.

Kiedy Ellsworth wrócił z Maine, Olmsted poinformował go, że zmienił zdanie. Postanowił wziąć udział w tym przedsięwzięciu.

Po powrocie do Chicago Ellsworth zapewnił sobie oficjalną zgodę na zatrudnienie Olmsteda i tak ułożył sprawy, żeby ten podlegał bezpośrednio Burnhamowi.

W liście do Olmsteda napisał: „Moje stanowisko w tej sprawie jest następujące: chodzi tutaj o reputację Ameryki, a także o reputację samego Chicago. Jako obywatel amerykański jest Pan poważnie zainteresowany wspieraniem sukcesu

tego wielkiego i wspaniałego przedsięwzięcia, a wiem z rozmów z Panem, że potrafi Pan je ogarnąć całe i nie dopuści Pan, żeby wąskie granice ograniczyły Pański rozmach”.

Z pewnością Olmsted potwierdził tę opinię, kiedy podczas późniejszych negocjacji, za namową Codmana, zażądał gaży w wysokości 22.5 tysiąca dolarów (dziś byłoby to 675 tysięcy dolarów) i ją dostał.

W środę, 6 sierpnia 1890 roku, trzy tygodnie po wizycie Ellswortha w Brookline, organizujące wystawę przedsiębiorstwo Exhibition Company zatelegrafowało do Olmsteda z następującym pytaniem: „Kiedy może pan tu być?”.

Olmsted i Codman przybyli trzy dni później, w sobotni poranek, akurat w chwili, gdy całe miasto obiegała wiadomość, że oficjalny spis potwierdził wcześniejsze szacunki i Chicago jest drugim co do wielkości miastem w Ameryce, choć dokładne obliczenia wykazały, że przewaga Chicago nad Filadelfią jest nieznaczna, wynosi bowiem tylko 52 324 dusze. Ta elektryzująca wiadomość stała się balsamem łagodzącym skutki trudnego lata. Fala upałów brutalnie zaatakowała miasto, zabijając siedemnaście osób (w tym mężczyznę o nazwisku Chrystus), i zadała kłam przechwałkom Chicago przed Kongresem, że latem klimat w mieście jest czarujący — „chłodny i słodki”, jak pisała „Tribune” — niczym w wakacyjnym kurorcie. A tuż przed falą upałów młody, zdobywający właśnie sławę brytyjski pisarz opublikował oburzający szkic na temat Chicago. „Ujrzawszy to miasto, zapragnąłem już nigdy więcej go nie oglądać — napisał Rudyard Kipling. — Zamieszkują je dzikusy”.

Burnhamowi Codman wydał się zaskakująco młody, ledwie dobiegał trzydziestki. A skoro był tak młody i zdobył zaufanie największego architekta krajo-brazu w Ameryce, to musiał być naprawdę bystry. Miał oczy w kolorze obsydianu, które wydawały się zdolne wywiercić dziury w stali. Z kolei w Olmstedzie Burnhama najbardziej uderzyła szczupłość jego figury, która wydawała się wręcz zbyt wiotka, żeby, z punktu widzenia inżynierii, podtrzymać tak masywną czaszkę. Ta głowa! Niemal łysa, obwiedziona na dole spletaną białą brodą, wyglądała jak wykonana z kości słoniowej bożonarodzeniowa bombka spoczywająca na łożu z wełny drzewnej. Olmsted sprawiał wrażenie wyczerpanego podróżami,

ale oczy miał wielkie, ciepłe i jasne. Chciał od razu rozpocząć pracę. Wreszcie Burnham spotkał człowieka, który w pełni rozumiał prawdziwą cenę każdej straconej minuty.

Burnham oczywiście znał osiągnięcia Olmsteda: Central Park na Manhattanie, Prospect Park na Brooklynie, tereny wokół uniwersytetów Cornell i Yale oraz całą masę innych projektów. Wiedział również, że zanim Olmsted zajął się architekturą krajobrazu, był pisarzem i wydawcą, a przed wojną secesyjną podróżował po stanach Południa, badając jego kulturę oraz zjawisko niewolnictwa w praktyce. Miał opinię człowieka wybitnego i niezmordowanie oddanego pracy, ale również zjadliwie szczerego, co ujawniało się przede wszystkim w towarzystwie ludzi, którzy nie potrafili pojąć, że próbuje stworzyć nie kolejną grządkę kwiatów i ogród ozdobny, ale scenierię tajemniczą, pełną cieni, rozświetlaną miejscami słońcem.

Olmsted ze swojej strony wiedział, że to przede wszystkim Burnham jest siłą, która winduje domy w niebo. Mówiło się, że jest geniuszem finansowym firmy, a Root jej artystą, ale to z Burnhamem Olmsted czuł większe braterstwo. Ponieważ był on stanowczy, bezceremonialny i serdeczny. Gdy mówił, obdarzał rozmówcę błękitnym spojrzeniem, które na Olmsteda działało krzepiąco. W prywatnej rozmowie Olmsted i Codman zgodzili się, że Burnham to człowiek, z którym będą mogli współpracować.

Objazd zaczął się od razu, choć trudno go było nazwać obiektywnym. Burnham i Root ewidentnie preferowali jedną lokalizację: park Jacksona na chicagowskiej South Side, rozciągający się na wschód od Englewood, nad samym brzegiem jeziora. Okazało się, że Olmsted zna ten teren. Dwadzieścia lat temu, na prośbę komitetu chicagowskiego South Parku, przyjrzał się bliżej obu założeniom — parkowi Jacksona oraz leżącemu na zachód od niego parkowi Waszyngtona, jak również łączącemu je szerokiemu bulwarowi o nazwie Midway. Na planach, jakie przygotował dla członków komitetu, roztoczył wizję przekształcenia parku Jacksona z piaszczystej pustyni i stojących kałuż w park, jaki nie istniał nigdzie indziej w kraju, skupiony wokół wody i sportów wodnych, pełen kanałów, lagun i cienistych zatoczek. Ukończył te plany na krótko przed wielkim pożarem z 1871 roku, a skupione na pospiesznej odbudowie miasto nigdy nie zrealizowało jego wizji. Park stał się częścią Chicago w wyniku aneksji z 1889 roku, ale poza tym, o czym przekonał się Olmsted, niewiele się tutaj zmieniło. Znał liczne wady tej lokalizacji, ale wierzył, że dzięki ciężkiej pracy i rzeźbieniu

krajobrazu da się z niej wyczarować scenierię niepodobną do żadnej, w jakiej kiedykolwiek odbywała się wystawa światowa.

Miał bowiem świadomość, że park Jacksona dysponuje czymś, czego nie ma żadne inne miasto na świecie — ogromną błękitną równiną jeziora Michigan, najpiękniejszą oprawą dla ekspozycji, jaką można było sobie wymarzyć.

We wtorek 12 sierpnia, zaledwie cztery dni po swojej wyprawie do Chicago z Codmanem, Olmsted przedłożył radzie nadzorczej wystawy raport, który ku jego rozgoryczeniu upubliczniono. Skierował go przecież do profesjonalistów — ludzi, którzy przyjęliby za pewnik, że park Jacksona jest odpowiednim miejscem do zbudowania wystawy, i docenili bezkompromisowy przegląd wszystkich czekających ich wyzwań. Był więc zaskoczony, że udostępniono raport opozycyjnym klikom, które wykorzystywały go jako dowód, że ekspozycji nie da się stworzyć w parku Jacksona.

Rada zażądała drugiego raportu. Olmsted przedstawił go w poniedziałek 18 sierpnia, sześć dni po pierwszym. A Burnham stwierdził z radością, że tym razem Olmsted dał członkom rady nieco więcej niż zapewne życzyli sobie otrzymać.

Olmsted nie był stylistą. Zdania przebijały się przez raport jak kwitnący wilec przez sztachety płotu, ale jego proza ukazywała subtelność i głębię myślenia o tym, jak można zmieniać krajobraz, żeby wywołać w ludzkim umyśle określony efekt.

Najpierw określił główne zasady i udzielił kilku napomnień.

Pouczył różne frakcje, że zamiast wyklócać się o lokalizację, wszyscy powinni pracować razem, aby wystawa odniosła sukces, bez względu na to, które miejsce rada ostatecznie wybierze. „Należy sobie życzyć, że się tak wyrażę, aby lepiej zaczęto rozumieć niż się to dzieje w tej chwili w wypadku części obywateli Waszego miasta, że wystawa nie będzie wystawą Chicago. To będzie Wystawa

Światowa, a Chicago stanie przed całym światem jako wybrany na tę okazję przez Stany Zjednoczone Ameryki chorąży. Dlatego nie stać Was na to, żeby wybrać lokalizację inną niż najlepsza, jaką można znaleźć na potrzeby wystawy, bez względu na lokalne interesy tej czy innej dzielnicy”.

Każdy element krajobrazu wystawy, dowodził Olmsted, musi mieć „jeden nadrzędny cel, to znaczy stosowność. Stosowność wszystkiego, co będzie choć najskromniejszym wkładem do wspaniałej całości. Większe elementy tej całości będą się zawierać w górujących nad terenem wystawy głównych budowlach. Innymi słowy, teren i wszystko, co z sobą niesie, przed, między i za budynkami, niezależnie od tego, jaką zostanie wyłożony darnią, jakimi kwiatami, krzewami czy drzewami będzie obsadzony, jakie ozdobią go fontanny, rzeźby, bibeloty i inne dzieła sztuki, musi pozostać w jedności projektu z budynkami. Powinien uwydatniać budynki i jednocześnie sam być przez nie uwydatniany – za pomocą światła, cienia i koloru”.

Olmsted przyjął za rzecz oczywistą, że niektóre lokalizacje są lepiej obdarzone przez naturę niż inne. Więcej można osiągnąć, przekonywał, łącząc wystawę z elementami piękna stworzonymi przez naturę „niż z najwspanialszymi i najkosztowniejszymi sztucznymi ozdobami w formie ogrodów, tarasów, fontann i rzeźb, jakie człowiek jest w stanie wymyślić i wykonać”. Wiele frakcji w tej bitwie zapomniało, napominał architekt, że Chicago ma „tylko jeden obiekt wyróżniający je spośród innych miast, obiekt, który można postrzegać jako jego wspaniałość, piękno albo rzecz niezwykle interesującą. Tym obiektem jest jezioro”.

Jezioro było piękne, nieustannie zmieniało swoją barwę i fakturę, a ponadto, jak argumentował Olmsted, stanowiło atrakcję zdolną wzmocnić siłę przyciągania wystawy. Wielu przyjezdnych pochodzących ze środkowych stanów Ameryki „przed przybyciem tutaj nigdy nie widziało tak wielkiej połaci wody, ciągnącej się aż po horyzont. Nigdy nie widziało również statku pod pełnymi żaglami ani parowca nawet o połowie wyporności statków, które co godzina wyruszają z portu Chicago. I nigdy nie widziało takich efektów odbijającego się w wodzie światła ani chmur piętrzących się nad horyzontem, a przecież można się nimi cieszyć niemal każdego letniego dnia nad brzegiem jeziora”.

Następnie Olmsted rozważył cztery rywalizujące lokalizacje: miejsce nad jeziorem powyżej Pętli, dwa tereny położone w głębi łądu, z których jednym był park Garfielda na zachodnich obrzeżach miasta, oraz oczywiście park Jacksona.

Choć osobiście Olmsted preferował miejsce wysunięte najbardziej na północ, uznał jednak, że park Jacksona najlepiej nadaje się pod wystawę i „pozwoli stworzyć bardzo przyjemne widoki, czym jak dotąd nigdy nie kierowano się przy organizacji Wystaw Światowych”.

Odrzucił tereny oddalone od jeziora, ze względu na to, że były płaskie, monotonne i położone w głębi łądu. Krytykując propozycję zbudowania ekspozycji w parku Garfielda, ponownie dał upust swojej irytacji, że Chicago nie potrafi wybrać odpowiedniego miejsca. Jego zdaniem było to tym bardziej denerwujące, że czołowi obywatele miasta podczas lobbowania za kandydaturą Chicago w Kongresie rzucali tak wyszukane przechwałki.

„Jeśli zważyć, jak usilnie zwracano uwagę całego kraju na liczbę i wspaniałość lokalizacji, jakie ma do zaoferowania Chicago, a równocześnie jeśli wziąć pod uwagę zalety okolic Filadelfii, ujawnione podczas wystawy z okazji stulecia konstytucji, oraz te, jakie zyskałaby ekspozycja, gdyby ją zorganizowano w przepięknej dolinie Rock Creek w Waszyngtonie, z której właśnie jest tworzony park narodowy, a także wspaniałe widoki, jakich dostarczają z jednej strony Palisades i dolina rzeki Hudson, a z drugiej ocean i urozmaicone wybrzeże cieśniny Long Island w lokalizacji proponowanej pod wystawę przez Nowy Jork, jeśli więc rozważyć to wszystko, należy się obawiać, że wybór miejsca na tyłach miasta, pozbawionego wszelkich naturalnych atrakcji krajobrazowych, okaże się dla kraju wielkim rozczarowaniem i da okazję do ironicznnych uwag wobec zapewnień o nieskończonej wręcz ilości idealnych lokalizacji, jakie składano tej zimy przed Kongresem”.

Podkreślenie pochodzi od Olmsteda.

Burnham miał nadzieję, że ten drugi raport wymusi wreszcie podjęcie decyzji. To absurdalne opóźnienie doprowadzało go do szału, a klepsydra już dawno została odwrócona. Rada nadzorcza zdawała się nieświadoma tego, że Chicago balansuje obecnie na skraju ryzyka stania się narodowym — a nawet światowym — pośmiewiskiem.

Mijały tygodnie.

Pod koniec października 1890 roku sprawa lokalizacji wystawy nadal pozostawała nierozwiązana, Burnham i Root skoncentrowali się więc na swojej

szybko rozwijającej się firmie. Rozpoczęto budowę dwóch najnowocześniejszych i najwyższych drapaczy chmur w Chicago — siedziby Women's Christian Temperance Union Temple (Kobiecego Chrześcijańskiego Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości) oraz Fraternity Temple (Bractwa Wolnomularskiego). Dwa-dziesiąt jeden kondygnacji czyniło z nich najwyższe budynki na świecie. Fundamenty obu budowli zostały już niemal ukończone i czekały tylko na położenie kamieni węgielnych. A ponieważ architektura i budownictwo tak bardzo fascynowały mieszkańców Chicago, uroczystości wmurowywania aktów erekcyjnych stały się imprezami pełnymi rozmachu.

Uroczystość kładzenia kamienia węgielnego pod gmach Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości odbyła się na rogu La Salle i Monroe, obok ważącego dziesięć ton bloku ciemnego granitu z New Hampshire, o wymiarach dwa na dwa metry i grubości dziewięćdziesięciu centymetrów. Tutaj Root i Burnham spotkali się z wieloma miejskimi dygnitarzami, w tym z panią Frances E. Willard, przewodniczącą Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości, i Carterem Henrym Harrisonem, byłym burmistrzem mającym na swoim koncie już cztery kadencje i właśnie ponownie ubiegającym się o urząd. Kiedy Harrison zjawił się na miejscu, w swoim charakterystycznym miękkim czarnym kapeluszu na głowie i cygarami sterzczącymi z kieszeni, tłum powitał go okrzykami. Szczególnie głośno wiwatowali Irlandczycy i związkowcy, którzy uważali go za przyjaciela klas niższych miasta. Obecność Burnhama, Roota i Harrisona koło kamienia węgielnego siedziby Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości miała w sobie nieco więcej niż odrobinę ironii. Jako burmistrz Harrison trzymał w swoim gabinecie w ratuszu dwie skrzynki świetnego bourbona. Poważne protestanckie klasy wyższe miasta uważały go za satyrę na urządzie, którego tolerancja dla prostytucji, hazardu i alkoholu pozwalała dzielnicom występku, przede wszystkim Levee — rodzinnym terenom Mickeya Finna, osławionego barmana i złodzieja — wznieść się na nowe wyżyny zła. Z kolei Root był powszechnie znany jako bon vivant, a Louis Sullivan opisał go kiedyś jako „człowieka światowego, człowieka oddanego ciału i w znacznej mierze diabłu”. Burnham zaś, oprócz puszczenia w rejs dookoła świata swojej madery, co roku butelkował blisko czterysta litrów pośledniejszych napitków przysyłanych mu przez przyjaciela i osobiście wybierał wina do piwnicy Union League Club.

Z wielką pompą Burnham wręczył posrebrzaną kielnię pani T. B. Carse, przewodniczącej Stowarzyszenia Budowy Budynku Związku Krzewienia

Wstrzemięźliwości, której uśmiech wskazywał, że albo nic nie wie o tych gorszących praktykach, albo że przynajmniej chwilowo postanowiła je zignorować. Nabrała na kielnię trochę zaprawy, przygotowanej specjalnie na potrzeby uroczystości, po czym ułożyła ją z powrotem na tym samym miejscu i wyrównała, co spowodowało jednego ze świadków do uwagi, że „poklepała tę zaprawę tak, jak mężczyźni klepią czasami pokrytą loczkami główkę chłopca”. Następnie podała kielnię wzbudzającej powszechny strach pani Willard, która „nałożyła zaprawę bardziej energicznie i pochlapała nią sobie suknię”.

Jak twierdził świadek, Root pochylił się do przyjaciół i zaproponował *sotto voce*, aby wszyscy dyskretnie udali się teraz na drinka.

Nieopodal, w magazynach dystrybucyjnych „Chicago Inter Ocean”, powszechnie czytanej i szanowanej gazety, młody irlandzki imigrant — i zagorzały poplecznik Cartera Harrisona — kończył właśnie pracę. Nazywał się Patrick Eugene Joseph Prendergast i kierował grupą niesfornych gazeciarzy, których nie cierpiał i którzy nie cierpieli go równie mocno jak on ich, co jasno wynikało z ich drwin i dowcipów, jakie mu robili. Możliwość, że pewnego dnia Prendergast wpłynie na losy Światowej Wystawy Kolumbijskiej, wydawałaby się tym chłopcom śmieszna, ponieważ dla nich był to najżałośniejszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego.

Miał dwadzieścia dwa lata, urodził się w 1868 roku w Irlandii. Jego rodzina wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych w 1871 roku i przybyła do Chicago w sam czas, żeby zdążyć na wielki pożar. Zawsze, według słów jego matki, był „nieśmiały i wstydlivym chłopcem”. Odebrał podstawowe wykształcenie w chicagowskim De La Salle Institute. Brat Adiutor, jeden z jego nauczycieli, powiedział: „W szkole wyróżniał się tym, że był bardzo spokojny, a w południe nie brał udziału w zabawach innych uczniów. Zwykle tylko stał i się przyglądał. Na podstawie jego wyglądu zaryzykowałbym twierdzenie, że coś mu dolegało, że był chory”. Ojciec Prendergasta znalazł mu pracę roznosiciela telegramów w Western Union, którą Patrick wykonywał przez następne półtora roku. Kiedy miał trzynaście lat, umarł jego ojciec i stracił jedyne go przyjaciela. Przez pewien czas wydawało się, że całkowicie utracił kontakt ze światem. Dochodził do siebie

powoli. Zaczął czytać książki o prawie i polityce i chodzić na spotkania klubu Single-Tax, który wyznawał twierdzenie Henry'ego George'a, że prywatni właściciele ziemi powinni płacić podatek, rodzaj czynszu, który potwierdzałby fundamentalną prawdę, że ziemia należy do wszystkich. Na tych spotkaniach Prendergast starał się za wszelką cenę brać udział w dyskusjach — raz trzeba go było nawet usunąć siłą. Matce wydawał się zupełnie innym człowiekiem: czytany, pobudzony, zaangażowany. Powiedziała: „Zupełnie nagle zrobił się bystry”.

W rzeczywistości jego szaleństwo po prostu się pogłębiło. Kiedy nie pracował, pisał kartki pocztowe — całą masę, może nawet setki kartek do najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Ich treść była utrzymana w tonie sugerującym, że Prendergast jest człowiekiem równym im statusem. Pisał do swojego ukochanego Harrisona i do innych polityków, nawet do gubernatora stanu Illinois. Możliwe, że Burnham również otrzymał od niego kartkę, zważywszy jego nową pozycję.

Choć było oczywiste, że Prendergast to młody człowiek targany silnymi uczuciami, nikt nie sądził, że mógłby stać się niebezpieczny. Każdy, kto go spotkał, uznawał go za kolejną biedną duszę przytłamszoną wrzawą i brudem Chicago. Ale Prendergast miał wielkie nadzieje na przyszłość, które opierały się na jednym jedynym człowieku: Carterze Henrym Harrisonie.

Rzucił się gorliwie w wir kampanii Harrisona na stanowisko burmistrza, bez wiedzy kandydata wysyłając dziesiątki kartek oraz przekonując wszystkich, którzy chcieli słuchać, że ten lojalny przyjaciel Irlandczyków i ludzi pracy jest najlepszym kandydatem.

Wierzył, że kiedy Harrison wygra wybory po raz piąty — najlepiej te najbliższe, w kwietniu 1891 roku, ale mogą być i następne, w 1893 roku — nagrodi go posadą. Tak przecież działała polityka w Chicago. Nie wątpił, że Harrison wyzwoli go z okowów mroźnych poranków pełnych złośliwych gazeciarzy, którzy uprzykrzali mu życie.

Najbardziej postępowi alieniści taki rodzaj niczym niepopartej wiary nazywali urojeniem i łączyli je z niedawno opisanym schorzeniem — paranoją. Na szczęście większość takich urojeń okazywała się nieszkodliwa.

Dnia 25 października 1890 roku — lokalizacja wystawy nadal nie została wybrana — z Europy nadeszły niepokojące wieści. Była to forpoczta sił, które mogły uczynić planowanej ekspozycji jeszcze większe szkody niż patowa sytuacja w radzie nadzorczej. „Chicago Tribune” donosiła, że rosnący niepokój na światowych rynkach wywołał w Londynie obawy, że w najbliższej przyszłości dojdzie do recesji, a może nawet paniki na pełną skalę. Obawy te natychmiast przełożyły się na sytuację na Wall Street. Akcje linii kolejowych gwałtownie traciły na wartości. Papiery Western Union spadły o pięć procent.

W następną sobotę podwodny kabel łączący Wielką Brytanię z Ameryką zarzęczał, niosąc wieści o zaskakującej katastrofie.

Zanim dotarły one do Chicago, maklerzy prowadzili długie dyskusje o dziwacznej pogodzie tego ranka. Niezwykle „mroczna chmura” zawisła nad miastem. Pracownicy biur maklerskich żartowali, że ten mrok zwiastuje nadejście „dnia sądu”.

Żarty skończyły się jak nożem uciął, kiedy otrzymano pierwszy telegram z Londynu. Baring Brothers & Co., wielka londyńska firma inwestycyjna, znajdowała się na skraju upadku. „Ta wieść — pisał dziennikarz »Tribune« — wydawała się wręcz niewiarygodna”. Bank Anglii i syndykat finansistów wspólnie walczyli o utworzenie funduszu, który gwarantowałby zobowiązania finansowe Baringa. „Gwałtowny pęd, by sprzedać akcje, był straszny. To była prawdziwa panika”.

Dla Burnhama i rady nadzorczej wystawy ta fala niepokojów finansowych stanowiła również powód do zmartwienia. Jeśli rzeczywiście oznaczała początek prawdziwej i głębokiej finansowej paniki, to moment był fatalny. Aby wypełnić obietnicę, że ekspozycja w Chicago przyćmi wystawę w Paryżu zarówno pod względem wielkości jak i frekwencji, miasto będzie musiało wydać znacznie więcej pieniędzy niż Francuzi i przyciągnąć liczniejsze grono zwiedzających, a przecież paryską prezentację odwiedziło więcej ludzi niż jakkolwiek inną pokojową imprezę w historii. Nawet w najlepszych czasach uzyskanie podobnej frekwencji byłoby wyzwaniem, w najgorszych zaś było po prostu niemożliwe, szczególnie ze położenie geograficzne Chicago wymagało od większości zwiedzających kupienia biletów na całonocną podróż koleją. A linie kolejowe od razu i z wielkim naciskiem dały do zrozumienia, że nie planują udzielania zniżek na przejazd do Chicago w okresie trwania wystawy.

I w Europie, i w Stanach Zjednoczonych nastąpiły kolejne upadki wielkich firm, ale ich prawdziwe znaczenie pozostało chwilowo niejasne. Patrząc na to z perspektywy historii – dobrze się stało.

W samym środku narastającego niepokoju na giełdzie, 30 października, rada nadzorcza mianowała Burnhama głównym budowniczym Światowej Wystawy Kolumbijskiej, z wynagrodzeniem odpowiadającym 360 tysiącom dolarów na dzisiejsze pieniądze. Burnham ze swojej strony wyznaczył Roota naczelnym architektem przedsięwzięcia, a Olmsteda – naczelnym architektem krajobrazu.

Tym samym Burnham uzyskał oficjalne uprawnienia do rozpoczęcia budowy wystawy, ale nadal nie miał terenu, na którym mógłby ją wznieść.

„Proszę się mnie nie bać'

W miarę wzrostu liczby mieszkańców Englewood zwiększała się także sprzedaż toników i balsamów w drogerii Holmesa. Pod koniec 1886 roku interes działał bez zarzutu i przynosił dochód. Wówczas myśli młodego właściciela zwróciły się ku kobiecie, którą poznał wcześniej tego roku podczas krótkiego pobytu w Minneapolis. Nazywała się Myrta Z. Belknap, była blondynką o niebieskich oczach i krągłej figurze, ale dla Holmesa cechą ważniejszą od urody była roztaczana przez nią aura bezbronności i potrzeby kontaktu. Stała się jego obsesją. Obraz Myrty i chęć zaspokojenia jej potrzeby kontaktu utkwiły mu w myślach na dobre. Poje chał do Minneapolis, rzekomo w interesach. Nie miał wątpliwości, że mu się powiedzie. Bawiło go, jak cudownie bezbronne były kobiety. Zupełnie jakby wierzyły, że kodeks zachowań obowiązujący w bezpiecznych małych miasteczkach, takich jak Alva, Clinton czy Percy, działa nadal, mimo że porzuciły zakurzone, pachnące naftą salony i wyruszyły w świat.

Miasto szybko czyniło je twardymi, dlatego najlepiej było je dopaść na samym początku drogi ku wolności, zaraz po przyjeździe z tych małych miasteczek, kiedy czuły się anonimowe i zagubione, a ich obecność nigdzie nie została jeszcze odnotowana. Codziennie widywał, jak wysiadają z pociągów, tramwajów i dorożek, nieodmiennie ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w kawałek papieru, który miał im wskazać, gdzie mają się udać. Burdelmamy doskonale pojmowały znaczenie tego momentu i wychodziły na powitanie przyjeżdżającym pociągom, obiecując przybyłym kobietom ciepło i przyjaźń, a najistotniejszą wiadomość rezerwując sobie na potem. Holmes uwielbiał Chicago, szczególnie sposób, w jaki dym i wrzawa spowijały kobiety i nie pozostawiały najdrobniejszego śladu ich egzystencji, wyjąwszy może ulotny zapach ich perfum wymieszany ze smrodem gnoju, węgla i rozkładu.

W oczach Myrty Holmes był przybyszem ze świata bardziej ekscytującego niż jej własny. Mieszkała z rodzicami i pracowała w sklepie muzycznym. Minneapolis było wówczas małe, senne i pełne farmerów szwedzkiego lub norweskiego

pochodzenia, równie czarujących jak lodygi kukurydzy. Natomiast Holmes był przystojny, serdeczny i ewidentnie bogaty, a poza tym mieszkał w Chicago, mieście, które ze wszystkich metropolii Ameryki wzbudzało największy strach, ale równocześnie było najbardziej pociągające. Już podczas pierwszego spotkania dotknął jej, a jego oczy zdawały się składać jaskrawoniebieskie obietnice. Gdy wyszedł ze sklepu, a drobinki kurzu wypełniły miejsce, które po sobie pozostawił, własne życie wydało się Myrcie nagle bezbarwne nie do zniesienia. Zegar tykał. Coś się musiało zmienić.

Kiedy przyszedł pierwszy list od niego, w którym w najślodszych słowach zapytał, czy mógłby się starać o jej rękę, miała wrażenie, że z jej życia zdjęto wreszcie szorstki koc. Co kilka tygodni przyjeżdżał do Minneapolis. Opowiadał jej o Chicago. Opisywał drapacze chmur i tłumaczył, że co roku buduje się coraz wyższe budynki. Snuł przyjemnie szokujące opowieści o Union Stock Yards, o tym, jak wieprze przechodzą przez Most Westchnień na podwyższonej platformie, gdzie pęta im się tylne nogi łańcuchem, podciąga się je, kwiczące rozpaczliwie, w górę, po czym spuszcza po umieszczonej wysoko szynie w krwawą czeluść rzeźni. Opowiadał też historie romantyczne, na przykład o tym, jak zakochany Potter Palmer podarował w prezencie ślubnym swojej żonie o imieniu Bertha luksusowy hotel Palmer House.

Starania o rękę podlegały ściśle określonym regułom. Choć nigdy nie zostały one spisane, znała je każda młoda panna i orientowała się natychmiast, jeśli zostały złamane. A Holmes łamał je wszystkie — i to z tak otwartym brakiem wstydu, że dla Myrty stało się jasne, że zasady panujące w Chicago muszą być inne. Początkowo ją to przerażało, ale szybko się przekonała, że podoba jej się namiętność i ryzyko. Kiedy Holmes poprosił ją o rękę, zgodziła się natychmiast. Pobrali się 28 stycznia 1887 roku.

Holmes zapomniał uprzedzić Myrtę, że ma już jedną żonę, Clarę Lovering, oficjalnie panią Hermanową Websterową Mudgett. Dwa tygodnie po poślubieniu Myrty złożył w Sądzie Najwyższym hrabstwa Cook w stanie Illinois wniosek o rozwód z Clarą. Nie był to jednak szlachetny gest, mający na celu naprawienie błędów przeszłości. Przeciwnie — oskarżył Clarę o niewierność, co w tamtych czasach było dla kobiety ciosem niszczącym. Pozwolił jednak, żeby wniosek się przedawnił, i w końcu sąd go odrzucił ze względu na „brak możliwości rozsądzenia sprawy”.

Zaraz po przybyciu do Chicago Myrta się przekonała, że historie, które Holmes opowiadał jej o tym mieście, w niewielkim stopniu oddawały jego

prawdziwy splendor i niebezpieczną energię. Chicago było niczym kocioł parującej stali — wszędzie pociągi, irytujące, ale jednocześnie przypominające, że wreszcie otworzyło się przed nią życie. W Minneapolis знаła jedynie ciszę i niezdarne zaloty mężczyźni, którym słoma wystawała zza kołnierza — szukali kogoś, kogokolwiek, kto podzieliłby ich trudy. To, że Holmes mieszkał w Englewood, a nie w sercu Chicago, początkowo rozczarowało Myrtę, ale i tutaj znalazła tę energię przewyższającą wszystko, czego doświadczyła w domu. Zamieszkali w mieszkaniu na piętrze, wcześniej zajmowanym przez panią Holton. Wiosną 1888 roku Myrta była już w ciąży.

Początkowo pomagała prowadzić drogerię. Lubiała pracować u boku męża i często obserwowała go, gdy obsługiwał klientów. Delektowała się jego urodą i tym jego dziwnym błękitnym spokojem. Uwielbiała, kiedy podczas zwykłych czynności ich ciała ocierały się o siebie. Podziwiała czar, z jakim przeprowadzał każdą transakcję, oraz to, jak podbijał serca klientów, nawet tych starych, lojalnych wobec nieobecnej pani Holton. I uśmiechała się, przynajmniej na początku, do nieprzeliczonych zastępów młodych kobiet, które przychodziły do sklepu, twierdząc, że muszą zasięgnąć rady bezpośrednio u doktora Holmesa.

Wkrótce Myrta zaczęła odkrywać, że pod ciepłą i pełną czaru powierzchownością jej męża płynie wartki prąd ambicji. Farmaceutą był chyba jedynie z nazwy. Pasował raczej do ideału człowieka, który samodzielnie, z pomocą własnej pomysłowości i ciężkiej pracy, wznosi się do wyższych klas społeczeństwa. „Ambicja była przekleństwem życia mojego męża — opowiadała później Myrta. — Chciał osiągnąć pozycję, która dałaby mu szacunek i poważanie. Chciał być bogaty”.

Twierdziła jednak, że ta ambicja nie wpływała ujemnie na jego charakter ani na jego zachowanie jako męża i w końcu ojca. Przysięgała, że Holmes miał dobre serce. Uwielbiał dzieci i zwierzęta. „Bardzo lubił zwierzęta i zawsze miał psa albo kota, zwykle też konia. Potrafił się z nimi bawić godzinami, ucząc je sztuczek albo dowodząc z nimi. Nigdy nie pił ani nie palił, nie grał także w karty. Był czuły i nigdy się nie złościł. Uważam, że jeśli chodzi o życie rodzinne, nie było lepszego męża niż on — zapewniała Myrta. — Nigdy nie odezwał się niegrzecznie ani do mnie, ani do naszej córeczki, ani do mojej matki. Nigdy nie okazywał irytacji czy rozdrażnienia, zawsze był radosny i bez troski”.

Jednak od samego początku w ich małżeństwie panowało napięcie. Holmes nie okazywał wrogości, prawdziwym źródłem problemów była bowiem Myrta,

która szybko zaczęła mieć dość młodych klientek i tego, jak mąż się do nich uśmiecha, jak ich dotyka i jak zagląda im w oczy tym swoim błękitnym spojrzeniem. Początkowo uważała to za uroczne. Później zaczęła się robić niespokojna. A na koniec stała się czujna i zazdrosna.

Jej wzrastająca zaborczość nie wywoływała gniewu Holmesa. Zaczął ją raczej postrzegać jako przeszkodę, mniej więcej tak, jak kapitan okrętu postrzega górę lodową — coś, co trzeba obserwować i czego należy unikać. Poinformował żonę, że interes idzie tak dobrze, że jest mu potrzebna jej pomoc przy prowadzeniu ksiąg sklepu. A zaraz potem Myrta stwierdziła, że coraz więcej czasu musi spędzać w biurze na piętrze, prowadząc korespondencję i wystawiając faktury, zamiast z mężem w sklepie. Napisała o swoich zmartwieniach do rodziców, a ci latem 1888 roku przenieśli się do Wilmette w stanie Illinois i zamieszkali w ładnym piętrowym budynku przy John Street, naprzeciwko kościoła. Samotna, przygnębiona i brzemienna Myrta pojechała do nich i tam przyszła na świat jej córeczka, Lucy.

Nagle Holmes zaczął się zachowywać jak przykładowy mąż. Rodzice Myrty traktowali go początkowo chłodno, ale zdobył ich przychyłność, zapewniając że łąkami w oczach, jak bardzo żałuje swego postępowania wobec Myrty, i okazując uwielbienie żonie i dziecku. Udało mu się. „Jego obecność, jak często powtarzała moja matka, była jak oliwa rozlana na wzburzonej wodzie — opowiadała Myrta. — Był taki miły, taki czuły i opiekuńczy, że zapominaliśmy o naszych zmartwieniach i troskach”.

Holmes błagał o ich wyrozumiałość wobec swoich przedłużających się nieobecności w domu w Wilmette. Tyle miał do załatwienia w Chicago. Sposób, w jaki się ubierał, i pieniądze, które dawał Myrcie, wskazywały, że był mężczyzną na dorobku, a ta myśl łagodziła troski rodziców Myrty. Przywykli do życia z córką, zakłócanego coraz rzadszymi wizytami doktora Holmesa. Za każdym razem, kiedy się zjawiał, przynosił z sobą ciepło i prezenty i chwycił małą Lucy w ramiona.

„Mówi się, że małe dzieci są lepszymi sędziami ludzi niż osoby dorosłe, a ja nigdy nie widziałam dziecka, które nie chciałoby podejść do pana Holmesa i które nie okazywałoby zadowolenia z jego obecności — wspominała Myrta. — Podbiegały do niego nawet dzieci, które nie chciały podejść do mnie. Wyjątkowo lubił dzieci. Często, kiedy byliśmy w podróży, a w wagonie jechało jakieś dziecko, mówił: »Idź i poproś, żeby ci je powierzyli na chwilę«, a kiedy je przynosiłam,

bawił się z nim, zapominając o wszystkim, dopóki matka się po nie nie zgłosiła albo dopóki nie zauważyłam, że się o nie niepokoi. Często brał od matek płaczące dzieci i już po chwili sprawiał, że zasypiały albo zaczynały się bawić tak radośnie, jak to potrafią tylko dzieci”.

W rozkwicie Englewood Holmes dostrzegł okazję dla siebie. Od chwili przejścia na własność drogerii Holtonów interesował się pustą działką naprzeciwko. Zaczął o nią rozpytywać i wreszcie się dowiedział, że należy do kobiety mieszkającej w Nowym Jorku. Latem 1888 roku kupił tę ziemię i — myśląc na wyrost — zarejestrował ją pod fałszywym nazwiskiem H. S. Campbell. Wkrótce potem zaczął robić notatki i sporządzać szkice budynku, który planował tam wznieść. Nie konsultował się z żadnym architektem, chociaż całkiem niezły przedstawiciel tego zawodu, Szkot o nazwisku A. A. Frazier, miał swoje biuro w tym samym budynku, w którym mieściła się drogeria Holtonów. Ale wynajęcie architekta wymagałoby ujawnienia prawdziwej natury budynku, który nagle zagościł w wyobraźni Holmesa. A tego chciał uniknąć.

Wizja budynku i wizje jego funkcji pojawiły się w jego umyśle równocześnie, niczym gotowe plany wyciągnięte z szuflady. Na parterze chciał mieć sklepy, które przynosiłyby dochód i pozwoliły zatrudniać dowolną liczbę kobiet. Na pierwszym i drugim piętrze miały się znajdować pokoje do wynajęcia. Sam zamierzał zająć narożne mieszkanie na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na Sześćdziesiątą Trzecią i Wallace. To były elementy podstawowe. Największą przyjemność sprawiały mu jednak detale. Zaplanował drewnianą zsuwnię, która rozpoczynała się w ukrytym miejscu i prowadziła z piętra bezpośrednio do piwnicy. Zamierzał pokryć ją smarem. Zaplanował pomieszczenie przylegające do swojego biura — hermetyczny skarbiec ze stalowymi ścianami pokrytymi azbestem. Umieszczoną w jednej ze ścian dyszą gazową można by było sterować z wnętrza szafy w biurze, podobnie jak dyszami zainstalowanymi w innych pokojach, w całym budynku. W wielkiej piwnicy miały się znajdować ukryte pomieszczenia oraz niższy poziom, gdzie planował przechowywać delikatne materiały.

W miarę jak rozwijał swoje szkice i marzenia, elementy budynku stawały się coraz bardziej dopracowane i coraz bardziej satysfakcjonujące. Ale była to

jedynie faza marzeń. Niemal nie był sobie w stanie wyobrazić rozkoszy, jaka wypełni jego dni, gdy ten budynek zostanie ukończony, a po jego wnętrzach poruszać się będą kobiety z krwi i kości. Jak zwykle, ta myśl go pobudziła.

Wiedział doskonale, że zbudowanie podobnego domu będzie prawdziwym wyzwaniem. Opracował strategię, która, jak wierzył, nie tylko pozwoli mu uniknąć podejrzeń, ale również zmniejszy koszty budowy.

Zamieścił w gazetach ogłoszenia, że poszukuje stolarzy i ludzi na budowę. Już wkrótce robotnicy, z pomocą zaprzęgów konnych, zaczęli kopać fundamenty. Powstała dziura przypominała olbrzymi grób i wydzielala taki sam zatechły chłód, ale robotnicy nie mieli nic przeciwko temu, ponieważ dawała im nieco wytchnienia od ciężkiego letniego upału. Mieli trudności z gruntem. Pierwsze kilka metrów pokonali bez problemów, ale niżej podłoże zrobiło się piaszczyste i wilgotne. Ściany wykopu trzeba było szalować drewnem, a mimo to przepuszczały wodę. Późniejszy raport chicagowskiego inspektora budowlanego stwierdzał: „Fundamenty osiadają nierówno, w niektórych miejscach różnica wynosi dziesięć centymetrów na sześć metrów”. Murarze wzniesli fundament i ściany zewnętrzne, stolarze zaś wybudowali wewnętrzny szkielet. Cała ulica wibrowała od dźwięku ręcznych pił.

Holmes pozował na wymagającego inwestora. Kiedy robotnicy przychodzili po zapłatę, stwierdzał, że pracują byle jak i nie chciał im płacić. Robił tak, nawet jeśli bez zarzutu wywiązali się z zadania. W tej sytuacji albo sami rzucali robotę, albo on ich wyrzucał, po czym na ich miejsce zatrudniał nowych ludzi i traktował tak samo. W rezultacie budowa postępowała powoli, ale za ułamek właściwych kosztów. A wysoka rotacja robotników dawała Holmesowi tę podstawową korzyść, że niewiele osób zdawało sobie sprawę z tajemnic wznoszonej budowli. Robotnik dostawał polecenie wykonania określonego zadania — na przykład zainstalowania dyszy gazowej w środku wielkiego hermetycznego skarbca — ale że czynność ta była dla niego wyrwana z szerszego kontekstu, polecenie mogło mu się wydawać całkiem rozsądne albo, w najgorszym razie, nieco ekscentryczne.

Mimo to niejaki George Bowman, murarz, uważał, że praca dla Holmesa jest nieco przerażająca. „Nie wiem, co sądzić o Holmesie — mówił. — Pracowałem u niego zaledwie dwa dni, kiedy podszedł do mnie i zapytał, czy nie sądzę, że układanie cegieł to ciężka praca. Zapytał, czy nie chciałbym zarobić w łatwiejszy sposób, a ja oczywiście powiedziałem, że tak. Kilka dni później znów do mnie podszedł i wskazując na piwnicę, powiedział: «Widzisz tamtego człowieka? To mój

szwagier. Nie znosi mnie, a ja nie znoszę jego. Bez problemu możesz mu przypadkowo zrzucić kamień na głowę, ja ci zaś dam za to pięćdziesiąt dolarów«„.

Szczególnie przerażające w całej rozmowie było zachowanie Holmesa, kiedy czynił tę propozycję: „Zachowywał się całkiem jak dobry przyjaciel zwracający się z jakąś zupełnie trywialną prośbą” — twierdził Bowman.

Czy Holmes naprawdę chciał, żeby murarz zabił tego człowieka, nie wiadomo. Być może, zgodnie ze swoim charakterem, przekonał najpierw tego „szwagra”, żeby wykupił polisę na życie, w której figurowałby jako uposażony. Ale możliwe, że jedynie sprawdzał, jak bardzo Bowman może się okazać przydatny w przyszłości. Jeśli tak było w istocie, to murarz oblał test. „Byłem taki przerażony, że nie miałem pojęcia co powiedzieć czy zrobić — opowiadał. — Nie zrzuciłem tego kamienia, a wkrótce potem rzuciłem posadę”.

Ostatecznie trzech ludzi spełniło stawiane przez Holmesa wymagania. Wszyscy trzej pracowali u niego przez cały okres budowy, a po jej zakończeniu pozostał z nimi w kontakcie. Pierwszy nazywał się Charles Chappell, był tokarzem, a mieszkał w pobliżu szpitala Cook County. Najpierw pracował u Holmesa jako prosty robotnik, ale wkrótce błysnął talentem, który Holmes uznał za szczególnie cenny. Drugim był Patrick Quinlan, mieszkający w Englewood na rogu Czerdziestej Siódmej i Morgan, który później przeniósł się do budynku Holmesa i objął posadę dozorczy. Był to niski nerwowy mężczyzna pod czterdziestkę, o lekko falujących włosach i rudawych wąsach.

Ostatnim i najważniejszym z tej trójki był Benjamin Pitezel, cieśla, który rozpoczął pracę u Holmesa w listopadzie 1889 roku. Zastąpił robotnika o nazwisku Robert Latimer, który rzucił posadę i zatrudnił się jako dróżnik na skrzyżowaniu torów kolejowych przed drogerią Holmesa. Początkowo, jak opowiadał Latimer, Pitezel zajmował się pracującymi na budowie końmi, ale później został asystentem Holmesa. Łączyły ich najwyraźniej bliskie stosunki, dość bliskie, żeby Holmes uczynił mu kosztowną przysługę. Pitezla aresztowano w Indianie za posługiwanie się sfałszowanymi czekami. Holmes wpłacił za niego kaucję i poświęcił tę kwotę, gdy Pitezel nie stawił się na proces.

Pitezel miał regularne rysy twarzy i ostry, mocno zarysowany podbródek. Byłby nawet przystojny, gdyby nie jego chudość i powieki opadające na górne części tęczówek. „Mogę go opisać jako mężczyznę mierzącego niemal metr osiemdziesiąt wzrostu (co najmniej metr siedemdziesiąt osiem), chudego, ważącego między sześćdziesiąt pięć a siedemdziesiąt kilogramów, o bardzo ciemnych

i nieco szorstkich włosach. Jego włosy były bardzo gęste i nie miał żadnych tendencji do łysienia — pisał Holmes. — Wąsy miał dużo jaśniejsze i mam wrażenie, że nieco rudawe. Czasami farbował je na czarno, a wtedy wyglądał zupełnie inaczej”.

Pitezla trapiły najróżniejsze schorzenia: boleść kolan, której nabawił się przy układaniu podłóg, brodawka na szyi, która uniemożliwiała mu noszenie sztywnego kołnierzyka, i takie bóle zębów, że w pewnym momencie musiał zrezygnować z pracy dla Holmesa. Mimo alkoholizmu był, w ocenie pewnego lekarza, mężczyzną o „zdrowym ciele”.

Ożenił się z Carrie Canning, pochodzącą z Galva w stanie Illinois, i został ojcem szybko rosnącej gromadki dzieci. Na zdjęciach wyglądały słodko i poważnie, sprawiając wrażenie, jakby w każdej chwili były gotowe rzucić się do sprzątania, uzbrojone w miotły i ścierki. Najstarsza córka Pitezla, Dessie, urodziła się przed małżeństwem, a fakt ten nie zaskoczył jego rodziców, którzy nauczyli się niewiele oczekiwać od syna. Zwracając się do Benjaminą z ostatnim apelem, żeby obrał uczciwą drogę, jego ojciec napisał: „Chodź ze mną, a uczynię dobro, nakazuje Bóg. Czy pójdziesz? Odbiorę ci tę złą naturę i zmyję z ciebie wszelkie plamy i będę ci ojcem, a ty będziesz synem i dziedzicem”. Ból dźwięczący w tych słowach jest niemal namacalny. „Kocham cię, chociaż zbłądziłeś” — pisał.

Alice, drugie dziecko, urodziła się wkrótce po ślubie. Następnie na świat przysła jeszcze jedna córka oraz trzech synów, z których jeden zmarł na dyfteryt niedługo po urodzeniu. Trójka tych dzieci — Alice, Nellie i Howard — miała stać się tak dobrze znana w Ameryce, że dziennikarze zrezygnowali z wymieniania w nagłówkach ich nazwiska, pewni, że nawet czytelnicy z zabitej deskami prowincji zorientują się bez trudu, o kogo chodzi.

Również i Pitezel uzyskał dzięki Holmesowi pewną sławę. „Pitezel był jego narzędziem — stwierdził prokurator okręgowy. — Jego kreaturą”.

Budowa prowadzona przez Holmesa postępowała nierównomiernie, a każdej zimy, pod koniec, jak to nazywali robotnicy, „sezonu budowlanego”, właściwie ustawała, choć Holmes wiedział, że architekci pracujący w Pętli stosowali techniki, które pozwalały im pracować przez cały rok. Później wielką wagę

przywiązywano do faktu, że Holmes wznosił swój budynek w tym samym okresie, w którym Kuba Rozpruwacz, oddzielony od niego o tysiące kilometrów, rozpoczął swoje krwawe łowy.

Pierwsze morderstwo Kuba Rozpruwacz popełnił 31 sierpnia 1888 roku, ostatnie — w nocy 9 listopada. Spotkał wówczas prostytutkę o nazwisku Mary Kelly i poszedł z nią do jej pokoju. Vangoghowskim gestem rozplątał jej gardło, niemal oddzielając głowę od szyi, i przez następne kilka godzin, bezpieczny za ścianami pokoju, kontynuował swoje dzieło. Odciął jej piersi i ułożył na stole obok nosa. Rozplątał ciało od gardła po wzgórek łonowy, obdarł ze skóry uda, usunął organy wewnętrzne i ułożył w stos u stóp trupa. Następnie odciął dłoni i włożył ją do wydrążonego brzucha. Kelly była wówczas w trzecim miesiącu ciąży.

Potem morderstwa ustały, jakby *tête-à-tête* z Mary Kelly wreszcie zaspokoili jego potrzebę zabijania. Pięć potwierdzonych morderstw, tylko pięć, a Kuba Rozpruwacz stał się na zawsze uosobieniem czystego zła.

Każdy mieszkaniec Chicago, który potrafił czytać, pochłaniał doniesienia z zagranicy, ale żaden z aż taką intensywnością, jak doktor H. H. Holmes.

Dnia 29 czerwca 1889 roku, kiedy budowla Holmesa była w połowie ukończona, Chicago włączyło Englewood w granice miasta i niedługo później utworzyła tutaj nowy okręg policyjny — dziesiąty — którego siedziba mieściła się przy Sześćdziesiątej Trzeciej i Wentworth, siedem przecznic od drogerii Holmesa. Wkrótce koło jego sklepu zaczęli regularnie przechodzić patrolujący ulice policjanci, pozostający pod komendą kapitana Horace'a Elliotta. Zgodnie ze zwyczajem, zatrzymywali się i wdawali w rozmowę z młodym i miłym właścicielem sklepu. Czasami przechadzali się także po drugiej stronie ulicy i przyglądali budowie. W Englewood znajdowała się już pewna liczba ważnych budynków, między innymi YMCA, Cook County Normal School, gdzie szkolono nauczycieli, oraz z przepychem urządzona opera Timmermana, obecnie już niemal ukończona, na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Stewart. Niemniej jednak nadal pełno tu było pustych parceli, a budynek, który miał się ciągnąć od przecznicy do przecznicy, automatycznie stawał się tematem rozmów.

Ukończenie budowy zajęło kolejny rok, ze zwykłą przerwą w zimie. W maju 1890 roku budynek był już w zasadzie gotowy. Na pierwszym piętrze znajdowało się sześć korytarzy, trzydzieści pięć pokoi i pięćdziesięcioro jeden drzwi, na drugim kolejne trzy tuziny pokoi. Na parterze przygotowano miejsce na pięć sklepów. Najlepsze i największe z nich znajdowało się na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace,

W miesiąc po przeprowadzce do tej budowli Holmes sprzedał drogerię Holtonów, zapewniając nabywcę, że będzie miał w okolicach niewielką konkurencję.

Po czym, ku rozgoryczeniu nowego właściciela, otworzył własną drogerię dokładnie po drugiej stronie ulicy, w narożnym sklepie.

W pozostałych pomieszczeniach sklepowych mieścił się między innymi zakład fryzjerski i restauracja. Księga adresowa miasta wymieniła też pod adresem Holmesa gabinet lekarza o nazwisku Henry D. Mann — być może był to pseudonim samego Holmesa — oraz siedzibę Warner Glass Bending Company, firmy, którą właściciel budynku założył rzekomo po to, żeby zbić majątek na nowej, rozwijającej się szybko dziedzinie produkcji, czyli wyrobie wielkich tafli szkła, na które nagle zrobił się wielki popyt.

Holmes urządził swoje sklepy meblami kupowanymi na kredyt. Nie miał zamiaru spłacać długów, pewien, że zdoła się od tego wywinąć dzięki swojej przebiegłości i czarowi. Kiedy zjawiali się wierzyciele, żądając widzenia z właścicielem budynku, Holmes z uśmiechem odsyłał ich do fikcyjnego H. S. Campbella.

„To był najbardziej ugrzeczniony człowiek, jakiego zdarzyło mi się spotkać” — opowiadał C. E. Davis, którego Holmes zatrudnił na stoisku z biżuterią w swojej drogerii. Davis wspominał, że wierzyciele „wpadali tu wściekli i lżyli go wszelkimi możliwymi wyzwiskami, a on uśmiechał się miło, wdawał w rozmowę, wyciągał cygara i alkohol, a gdy wychodzili, byli z nim już zaprzyjaźnieni na śmierć i życie. Nigdy nie widziałem go w złym humorze. Nie sposób się było z nim pokłócić, nawet jeśli się chciało”.

Wskazując w kierunku sklepu, Davis dodawał: „Gdyby wszystkie zajęcia komornicze wystawione na tę budowlę nalepić na te trzy ściany, wyglądałyby jak olbrzymi plakat reklamowy cyrku. Ale nigdy nie słyszałem, żeby coś stąd zabrano. Holmes twierdził, że opłaca prawnika, żeby go wyciągał z takich opresji, ale mnie się wydaje, że wykręcał się dzięki swojemu uprzejmemu i zuchwałemu łajdactwu. Pewnego dnia kupił meble do restauracji i ustawił je na miejscu. Tego samego wieczoru zjawił się sprzedawca. Chciał dostać pieniądze albo zabrać

towar z powrotem. Holmes postawił mu drinka i kolację, kupił mu cygaro, rozbawił do łez jakimś dowcipem i odesłał do domu, każąc zgłosić się po pieniądze w następnym tygodniu. Pół godziny po jego odjeździe przed front restauracji zajęchały wozy, na które załadowano meble. Sprzedawca nigdy nie dostał ani centa. A Holmes nie poszedł za to do więzienia. To chyba jedyny człowiek w Stanach, który potrafił zrobić coś takiego”.

Holmes miał pieniądze, żeby spłacić swoje długi. Davis oceniał, że wyciągał z drogerii i innych sklepów około 200 tysięcy dolarów, w większości nieuczciwie. Próbował na przykład sprzedawać maszynę, która zmieniała wodę w gaz. Prototyp nielegalnie i potajemnie podłączył do instalacji gazowej miasta.

Był zawsze czarujący i serdeczny, ale czasami nawet te cechy nie były w stanie uspokoić jego współpracowników. Niejaki Erickson, farmaceuta, wspominał, że Holmes przychodził do jego sklepu i kupował chloroform — silny, ale nieprzewidywalny w działaniu środek znieczulający, znajdujący się w użyciu od czasów wojny secesyjnej. „Czasami sprzedawałem mu ten środek dziewięć albo dziesięć razy w tygodniu, za każdym razem w dużych ilościach. Kilka razy zapytałem, do czego jest mu potrzebny, ale jego odpowiedzi nie były satysfakcjonujące. W końcu odmówiłem dalszej sprzedaży, dopóki jednoznacznie nie rozwieje moich wątpliwości, wyrażając obawę, że nie używa go w dobrych celach”.

Holmes wyjaśnił Ericksonowi, że wykorzystuje chloroform do eksperymentów naukowych. Kiedy następnym razem przyszedł po chloroform, farmaceuta zapytał go, jak idą eksperymenty.

Holmes popatrzył na niego pustym wzrokiem i oświadczył, że nie przeprowadza żadnych eksperymentów.

„Nigdy nie potrafiłem go rozgryźć” — stwierdził Erickson.

Czasami do Holmesa przychodziła pracować kobieta o nazwisku Stowers. Pewnego dnia Holmes zaproponował, że zapłaci jej 6 tysięcy dolarów, jeśli nabędzie polisę ubezpieczenia na życie opiewającą na 10 tysięcy dolarów i uczyni go jej beneficjentem. Kiedy zapytała, dlaczego chce zrobić coś takiego, wyjaśnił, że po jej śmierci zyska 4 tysiące dolarów, a póki co ona będzie mogła wydać swoje 6 tysięcy na co jej się spodoba.

Dla pani Stowers taka suma była prawdziwą fortuną, a żeby ją uzyskać, wystarczyło podpisać kilka dokumentów. Holmes zapewniał, że sprawa jest absolutnie legalna.

Była zdrowa i spodziewała się jeszcze długo żyć. Już miała przyjąć propozycję, kiedy Holmes dodał cicho: „Proszę się mnie nie bać”.

Co ją straszliwie przeraziło.

W listopadzie 1890 roku Holmes dowiedział się, wraz z resztą mieszkańców Chicago, że rada nadzorcza Światowej Wystawy Kolumbijskiej w końcu podjęła decyzję dotyczącą lokalizacji. Ku jego radości główna część ekspozycji miała być wybudowana w parku Jacksona, położonym na wschód od jego budynku, w miejscu, gdzie Sześćdziesiąta Trzecia kończyła się nad jeziorem. Pawilony wystawowe planowano wzniesć również w centrum Chicago i w parku Waszyngtona oraz wzdłuż całego bulwaru Midway.

Holmes znał teren obu parków ze swoich wypraw rowerowych. Podobnie jak większość Amerykanów, wpadł w rowerowe szaleństwo, rozpętane wynalazieniem „bezpiecznego” roweru o kołach tej samej wielkości i napędzie łańcuchowym. W przeciwieństwie jednak do większości Amerykanów próbował również zarabiać na tym szaleństwie. Kupował rowery na kredyt, po czym odsprzedawał je, nigdy nie płacąc za ich zakup. Sam jeździł na rowerze marki Pope.

Decyzja członków rady nadzorczej wystawy wywołała w całej chicagowskiej South Side wielką falę chciwości. W ogłoszeniu zamieszczonym na łamach „Tribune” oferowano na sprzedaż sześciopokojowy dom na rogu Czterdziestej Pierwszej i Ellis, nieco ponad kilometr na północ od parku Jacksona, obiecując, że podczas ekspozycji nowy właściciel będzie mógł wynająć cztery z sześciu pokoi za niemal 1 tysiąc dolarów miesięcznie (blisko 30 tysięcy na dzisiejsze pieniądze). Ziemia i budynek Holmesa od początku były sporo warte, zważywszy szybki rozwój Englewood, ale teraz jego posiadłość stała się niemal równa wartością kopalni złota.

A Holmesowi wpadł do głowy pomysł, jak zacząć eksploatować tę kopalnię, równocześnie zaspokajając inne swoje potrzeby. Umieścił w gazecie kolejne ogłoszenie, że poszukuje robotników budowlanych, i znów wezwał na pomoc swoich lojalnych współpracowników: Chappella, Quintana i Pitezla.

Pielgrzymka

W poniedziałkowy wieczór 15 grudnia 1890 roku, w dzień pamiętny w Chicago ze względu na niezwykle ciepłą pogodę, a w innych regionach kraju, ponieważ zastrzelono wówczas Siedzącego Byka, Daniel Burnham wsiadł do pociągu do Nowego Jorku. Przewidywał, że spotkanie, na które się udawał, będzie najbardziej kluczowym w całej odysei związanej z wystawą.

Podróżował w jaskrawozielonym wagonie pałacowym George'a Pullmana. Powietrze było tutaj ciężkie i nieruchome niczym gruby arras. Pociąg ruszył w głąb miasta z prędkością ponad trzydziestu kilometrów na godzinę, dzwoniąc jak szalony i o włos mijając tramwaje, powozy i pieszych. Przechodnie zatrzymywali się, żeby popatrzeć, jak przemyka koło szlabanów, wlokąc za sobą czarno-biały obłok dymu, jako żywo przypominający ogon szopa pracza. Pociąg minął Union Stock Yards, w dwójnasób okadzony smrodem z powodu niezwykle ciepłej pogody, a następnie góry czarnego węgla stojące w czapy topniejącego brudnego śniegu. Burnham kochał piękno, ale przez następne kilometry widział jedynie węgiel, rdzę i dym, aż wreszcie pociąg wyjechał na prerie i nagle wszystko się uspokoiło. Zapadła ciemność, rozjaśniana jedynie fałszywym zmierzchem starego śniegu.

Podjęcie przez radę nadzorczą wystawy decyzji dotyczącej lokalizacji gwałtownie przyspieszyło bieg wydarzeń. Na wszystkich podziało to zachęcająco, jednocześnie jednak wzbudziło niepokój, ponieważ nagle sprawa zrobiła się bardziej realna, a prawdziwy ogrom przedsięwzięcia stał się bardziej onieśmielający. Zaraz potem rada nadzorcza zażądała dostarczenia w ciągu dwudziestu czterech godzin wstępnego planu ekspozycji. John Root, pod kierunkiem Burnhama i Olmsteda, wykonał szkic na arkuszu brązowego papieru o powierzchni prawie czterech metrów kwadratowych. Architekci przedstawili go radzie, dorzucając kąśliwą uwagę, że projektanci wystawy paryskiej mieli cały rok na dyskusje, planowanie i szkicowanie, zanim dotarli do tego punktu prac. Szkic

przedstawiał równinę o powierzchni dwóch i pół kilometra kwadratowego, położoną na brzegu jeziora, prawdziwą krainę czarów, pełną kanałów i lagun. Projektanci szacowali, że na terenach wystawowych trzeba będzie postawić setki budynków — każdy stan, kraj i gałąź przemysłu będą miały własny — ale na szkicu uwzględnili tylko te najważniejsze, przede wszystkim pięć wielkich pałaców otaczających wielki centralny dziedziniec. Na skraju tego dziedzińca zaznaczyli miejsce zarezerwowane dla wieży. Nikt jeszcze nie wiedział, jak będzie ona wyglądać, pewne było jedynie to, że pod każdym względem będzie przewyższać wieżę Eiffla. Członkowie rady oraz nadzorujący wystawę przedstawiciele rządu zaaprobowali ten plan z zaskakującą szybkością.

Dla osób z zewnątrz sama powierzchnia wystawy czyniła z niej wyzwanie niemożliwe do zrealizowania. Każdy mieszkaniec Chicago przyjmował za pewnik, że teren będzie wielki, a budynki ogromne. Dla wszystkich było jednak tajemnicą, w jaki sposób największe przedsięwzięcie budowlane na ziemi amerykańskiej, znacznie przewyższające rozmachem budowę Mostu Brooklyńskiego Roeblinga, uda się zakończyć w tak krótkim czasie. Burnham wiedział jednak, że rozmiary ekspozycji to tylko jeden z problemów. Naszkicowany plan krył w sobie miliardy mniejszych przeszkód, o których istnieniu opinia publiczna i większość członków rady nadzorczej nie mieli bladego pojęcia. Należało zbudować linię kolejową biegnącą przez cały teren wystawy, aby dostarczać na place budów stal, kamień i drewno. Trzeba było zorganizować i nadzorować dostawy materiałów, poczty oraz eksponatów przeznaczonych na ekspozycję, przesyłanych za pośrednictwem międzykontynentalnych firm spedycyjnych, wśród których prym wiodła Adams Express Company. Konieczne było stworzenie sił policyjnych i oddziału straży pożarnej, szpitala i zespołu ambulansów. Powstawał wreszcie problem koni, tysiący koni — coś trzeba było zrobić z tonami gnoju produkowanymi przez nie każdego dnia.

Zaraz po zaaprobowaniu tego wyrysowanego na papierze pakowym planu Burnham zażądał zgody na wybudowanie „natychmiast taniej, drewnianej kwatery w parku Jacksona, dla mnie i mojego zespołu”, kwatery, w której miał mieszkać niemal nieprzerwanie przez następne trzy lata. Szybko stała się ona znana jako „chałupa”. Znajdował się w niej wielki kominek, była też doskonała piwnica z winem, zaopatrzona osobiście przez Burnhama. Dzięki zdolnościom przewidywania znacznie wykraczającym poza jego czasy, Burnham potrafił

zrozumieć, że o tym, jak ludzie osądzą wystawę, zadecydują drobne szczegóły. Dlatego poświęcał uwagę nawet takim drobiazgom, jak projekt oficjalnej pieczęci ekspozycji. „Być może nie przyszło Panu do głowy, jak ważną sprawą jest ta pieczęć — napisał 8 grudnia 1890 roku do George’a R. Davisa, dyrektora naczelnego wystawy, kierującego jej polityką. — Będzie ona powszechnie używana w korespondencji z zagranicą, stąd na podstawie tej trywialnej rzeczy ludzie będą oceniać poziom artystyczny naszej imprezy”.

Wszystkie te problemy schodziły jednak na dalszy plan wobec najważniejszego zadania, jakie stało przed Burnhamem — wyboru architektów, którzy mieli zaprojektować główne budynki.

Wraz z Johnem Rootem rozważali możliwość samodzielnego zaprojektowania całej wystawy, a ich zazdrośni koledzy po fachu oczekiwali, że tak właśnie się stanie. Harriet Monroe, szwagierka Roota, wspominała, jak pewnego wieczoru Root wrócił do domu „zraniony do żywego”, ponieważ architekt, którego uważał za przyjaciela, „celowo udawał, że nie poznaje pana Burnhama, kiedy spotkali się w klubie”. Root utyskiwał: „On chyba myśli, że zamierzamy wszystko zagarnąć dla siebie!”. Uznał, że aby zachować wiarygodność jako naczelną architekta wystawy, czyli osoba nadzorująca pracę innych zatrudnionych przy niej architektów, sam nie może zaprojektować żadnego budynku.

Burnham wiedział dokładnie, kogo chce zatrudnić, nie był jednak świadom, jak pełen konfliktów okaże się zespół, który ostatecznie zbierze. Pragnął zaangażować najlepszych architektów, jakich Ameryka mogła mu oferować, nie tylko ze względu na ich talent, ale również ze względu na ich powiązania, które mogły obalić panujące na Wschodnim Wybrzeżu przekonanie, że Chicago w najlepszym wypadku jest w stanie zorganizować wiejski targ, ale nie światową wystawę.

W grudniu, choć nie miał na to oficjalnego zezwolenia, potajemnie wysłał zapytania do pięciu osób, „będąc przekonany, że przeforsuje swoje zdanie”. I rzeczywiście, wkrótce potem Komitet do Spraw Terenu i Budynków Wystawy udzielił mu zezwolenia na zaproszenie do współpracy przy projekcie tych twórców. Bez wątplenia było to pięciu największych architektów Ameryki, ale z tej piątki aż trzech pochodziło ze zniechęconej krainy „nieczystych bestii”: George B. Post, Charles McKim i Richard M. Hunt, najbardziej szanowany architekt w kraju. Dwoma pozostałymi byli Robert Peabody z Bostonu i Henry van Brunt z Kansas City.

Żaden z nich nie pochodził z Chicago, choć miasto było takie dumne ze swoich architektonicznych pionierów: Sullivana, Adlera, Jenneya, Bemana, Cobba i innych. Mimo swoich niezwykłych zdolności przewidywania Burnham nie spodziewał się zupełnie, że Chicago uzna jego wybór za zdradę.

Podczas podróży Burnhama martwiło co innego. Tylko jedna osoba z całej piątki odpowiedziała z entuzjazmem na jego list — van Brunt z Kansas City. Pozostali wyrazili jedynie powściągliwą chęć spotkania się z Burnhamem, kiedy przyjedzie do Nowego Jorku.

Burnham poprosił Olmsteda, żeby pojechał z nim na to spotkanie, w pełni świadom, że w Nowym Jorku jego reputacja może zdziałać cuda. Ale Olmsted nie mógł się wyrwać, tak więc Burnham miał przed sobą perspektywę samotnego stawienia czoła pięciu legendom architektury — przy czym jedna z nich, Hunt, była również legendą jeśli chodzi o drażliwość.

Dlaczego okazali tak mało entuzjazmu? Jak zareagują na jego próby perswazji? A jeśli odmówią, wieść zaś o tej odmowie przedostanie się do prasy? Co wtedy?

Krajobraz za oknem oferował niewielką pociechę. Mknący przez Indianę pociąg dogonił zimny front. Temperatura spadła. Silne podmuchy wiatru uderzały w wagon, za którym ciągnęła się przez noc lodowa mgiełka.

O jednym Burnham nie wiedział. Wkrótce po otrzymaniu jego listów architekci ze wschodu — Hunt, Post, Peabody i McKim — odbyli spotkanie we własnym gronie, w biurach firmy McKim, Mead and White w Nowym Jorku. Zamierzali przedyskutować na nim kwestię, czy wystawa ma szansę stać się czymś więcej niż pokazem utuczonych krów. Podczas tej konferencji Hunt — architekt, którego Burnham miał największą nadzieję ściągnąć do Chicago — oznajmił, że nie weźmie udziału w przedsięwzięciu. George Post przekonał go wreszcie, żeby chociaż wysłuchał, co Burnham ma do powiedzenia, ponieważ jeśli z góry odrzuci tę propozycję, inni poczują się zobowiązani postąpić tak samo.

McKim otworzył spotkanie rozwlekłą mową na temat wystawy i jej perspektyw. Hunt przerwał mu ostro: „McKim, niech szlag trafi twoje preambuły. Lepiej ogranicz się do faktów!”.

Od tygodnia w Nowym Jorku wiał silny i przenikliwy wicher. Lód na rzece Hudson spowodował najwcześniejszą od 1880 roku przerwę w żegludze. We wtorek rano, jedząc śniadanie w swoim hotelu, Burnham przeczytał z niepokojem w gazetach o upadku S.A. Kean & Co., prywatnego banku z Chicago. Była to kolejna oznaka zbliżającej się paniki.

Burnham spotkał się z architektami ze Wschodniego Wybrzeża w poniedziałek wieczorem, 22 grudnia, na kolacji w Players Club. Policzki przybyłych były zaczerwienione od mrozu. Podali sobie ręce: Hunt, McKim, Post i Peabody, który przyjechał na to spotkanie z Bostonu. I oto zebrali się przy jednym stole czołowi przedstawiciele sztuki, którą Goethe i Schelling określili mianem „zamrożonej muzyki”. Wszyscy byli bogaci i u szczytu swojej kariery, wszyscy jednak nosili na sobie blizny wynikające z życia w XIX wieku. Ich przeszłość pełna była wykolejonych pociągów, zakaźnych gorączek i przedwczesnej śmierci bliskich. Ubierali się w ciemne garnitury i sztywne białe kołnierzyki. Wszyscy mieli wąsy, niektórzy ciemne, niektórzy siwe. Post był wielki, najtęższy spośród zebranych, a Hunt zawzięty, po prostu czysta niechęć w garniturze. Lista jego klientów obejmowała nazwiska najbogatszych rodzin w Stanach Zjednoczonych. Można było odnieść wrażenie, że co druga rezydencja w Newport, na Rhode Island i przy Piątej Alei w Nowym Jorku została zaprojektowana właśnie przez niego. Na tym jednak nie kończyły się jego osiągnięcia, zaprojektował bowiem również podstawę Statui Wolności i założył Amerykański Instytut Architektury. Architekci ze Wschodniego Wybrzeża mieli co najmniej jedną wspólną cechę: Hunt, McKim i Peabody studiowali w L'Ecole des Beaux Arts w Paryżu, van Brunt i Post — u Hunta, z kolei van Brunt był mentorem Peabody'ego. Burnhamowi, który poniósł

klęskę na egzaminach wstępnych do Harvardu i Yale, i który nie miał formalnego wykształcenia architektonicznego, kolacja z tymi ludźmi musiała przypominać Wigilię w zupełnie obcej rodzinie.

Wszyscy byli serdeczni. Burnham przedstawił swoją wizję wystawy, większej i wspanialszej niż ta w Paryżu. Zagrał udziałem Olmsteda w całym przedsięwzięciu — wiedział, że Hunt współpracował z nim przy budowie posiadłości George'a Washingtona Vanderbilta w Biltmore koło Asheville w Północnej Karolinie oraz grobowca rodziny Vanderbiltów. Niemniej Hunt pozostał sceptyczny i nie wahał się wyrazić swoich wątpliwości. Dlaczego on i pozostali zebrani mieliby zmieniać swoje napięte grafiki i poświęcać czas na projektowanie tymczasowych budynków w odległym mieście, gdzie praktycznie nie będą mieli kontroli nad ostatecznym kształtem własnych projektów?

Ich sceptycyzm wstrząsnął Burnhamem. Przywykł do energicznego parcia naprzód, charakterystycznego dla Chicago. Żałował, że nie ma z nim Olmsteda i Roota — Olmsted stanowiłby przeciwwagę dla Hunta, a Root, którego wszyscy znali, ponieważ piastował stanowisko sekretarza Amerykańskiego Instytutu Architektury, oczarowałby zebranych swoim dowcipem. Zwykle właśnie w takich sytuacjach Burnham okazywał się najbardziej efektywny. „W swojej opinii, a najczęściej również w opinii świata, zazwyczaj miał rację — pisała Harriet Monroe — będąc zaś o tym tak głęboko przekonany, posiadał siłę osobowości zdolną osiągać rzeczy wielkie”. Ale tego wieczoru czuł się onieśmielony, niczym kleryk wśród kardynałów.

Przekonywał, że wystawa w Chicago, w przeciwieństwie do innych podobnych przedsięwzięć, będzie przede wszystkim pomnikiem wystawionym architekturze. Obudzi w narodzie świadomość piękna, jakie można wyczarować z kamienia i stali. Już sam projekt Olmsteda sprawi, że ekspozycja będzie jedyna w swoim rodzaju — laguny, kanały i wielkie trawniki na tle kobaltowo-błękitnej równiny jeziora Michigan. Powierzchnia wystawiennicza, ciągnął, będzie przynajmniej o jedną trzecią większa niż na wystawie paryskiej. I nie jest to jedynie pobożne życzenie, zapewnił. Chicago wykazuje determinację konieczną do urzeczywistnienia tego zamierzenia, tę samą, która uczyniła z niego drugie co do wielkości miasto w Ameryce. A ponadto, podkreślił, Chicago ma na to pieniądze.

Pytania architektów stały się nieco mniej wyzywające, a bardziej praktyczne. Jakie budynki pragnie tam wznieść i w jakim stylu? Podniesiono kwestię wieży Eiffla. W jaki sposób Chicago zamierza jej dorównać? W tej sprawie Burnham

nie miał gotowej odpowiedzi, mógł tylko zapewnić, że paryska wieża na pewno zostanie przyćmiona. W głębi serca był rozczarowany, że amerykańscy inżynierowie nie wystąpili jeszcze z żadnym nowatorskim, ale wykonalnym projektem.

Architekci ze Wschodniego Wybrzeża obawiali się, że jeśli zgodzą się wziąć udział w projektowaniu wystawy, znajdą się pod kontrolą niezliczonych komitetów. Burnham zagwarantował im całkowitą swobodę twórczą. Chcieli poznać ze szczegółami zdanie Olmsteda na temat wybranej lokalizacji, a szczególnie jej centralnego punktu, tak zwanej Wyspy Leśnej. Nalegali tak bardzo, że Burnham zatelegrafował do Olmsteda, prosząc, żeby ten natychmiast przyjechał. Olmsted ponownie odmówił.

Przez cały wieczór raz po raz wypływało jedno pytanie: Czy zostało dość czasu?

Burnham zapewniał, że czasu jest jeszcze dość, ale że nie ma złudzeń. Prace muszą się rozpocząć natychmiast.

Wierzył, że ich przekonał. Pod koniec kolacji zapytał, czy zgadzają się uczestniczyć w projekcie.

Zapadła cisza.

Burnham wyjechał z Nowego Jorku następnego dnia rano linią North Shore Limited. Przez cały dzień jego pociąg przedzierał się przez zasypaną śniegiem równinę, ponieważ przez większość kraju, od Atlantyku po Minnesotę, przeszła wielka śnieżycą. Burza zniszczyła domy, połamała drzewa i zabiła człowieka w Barberton w stanie Ohio. Nie zdołała jednak zatrzymać pociągów należących do North Shore Limited.

W pociągu Burnham napisał do Olmsteda list, w którym zawarł zdecydowanie nieszczerzy opis spotkania z architektami. „Wszyscy wyrazili zgodę na propozycję zajęcia się artystyczną stroną głównych budynków. [...] Projekt ogólny najpewniej zdobył sobie aprobatę, najpierw pana Hunta, a potem pozostałych, ale wszyscy pragnęli poznać Pańskie poglądy na temat krajobrazu oraz wyspy. Dlatego telegrafowałem do Pana z prośbą o przyjazd. Byli bardzo zawiedzeni, podobnie jak ja, kiedy okazało się to niemożliwe. Wszyscy przyjadą tutaj dziesiątego następnego miesiąca i najusilniej nalegają, podobnie jak ja, aby w tym

czasie był Pan obecny osobiście. Zauważyłem, że szczególnie pan Hunt kładzie wielki nacisk na Pańską opinię na temat całego przedsięwzięcia”.

Tak naprawdę spotkanie zakończyło się zupełnie inaczej. Ostatni, trudny moment ciszy został wypełniony popijaniem koniaku i dymem z cygar. Projekt był pociągający, co do tego wszyscy się zgadzali, nikt też nie wątpił w szczerotę intencji Chicago, jeśli chodziło o stworzenie fantastycznej krainy lagun i pałaców, ale marzenie to jedno, a rzeczywistość — zupełnie coś innego. Dla nich jedynym pewnikiem była strata czasu powodowana koniecznością odległych podróży oraz milionami innych trudności, nieuniknionych przy wznoszeniu zespołu zabudowy tak daleko od miejsca zamieszkania. Peabody wyraził zgodę na udział w projekcie, ale Hunt i inni nie. „Obiecali, że to przemyślą” — zdradził później Burnham.

Zgodzili się jednak przyjechać 10 stycznia na spotkanie w Chicago, podjąc rozmowy i obejrzeć wybrany teren.

Żaden z nich nigdy wcześniej nie był w parku Jacksona, a Burnham zdawał sobie sprawę, że nie jest to miejsce zdolne podbić czyjeś serce. Tym razem Olmsted musiał więc przyjechać, a tymczasem należało włączyć w sprawę architektonicznych zalotów również Roota. Architekci go szanowali, ale nie ufali jego kompetencjom na stanowisku naczelnego architekta. Dlatego kwestią krytyczną była jego wizyta w Nowym Jorku.

Niebo za oknami wagonu było puste, a światło miało kolor ołowiu. Mimo przedsióneków na końcach wagonów lód osadzał się między nimi niczym gruby kurz i napełniał pociąg Burnhama głęboką wonią zimy. Obok torów było widać powalone przez wiatr drzewa.

Kiedy Daniel Burnham wrócił do Chicago, okazało się, że miejscowi architekci i członkowie rady nadzorczej wystawy są wściekli, że wyjechał z miasta — i to w dodatku do Nowego Jorku — szukać architektów, lekceważąc tym samym Adlera, Sullivana i Jenneya. Sullivan odczytał jego postępek jako znak, że tak naprawdę nie ufa w to, że Chicago ma talenty pozwalające na samodzielne zorganizowanie wystawy. „Burnham wierzył, że najlepiej przysłuży się krajowi, jeśli przekaże zadanie w ręce architektów ze Wschodniego Wybrzeża, wyłącznie ze

względu na ich niesłychaną kulturę” — napisał. Przewodniczącym Komitetu do Spraw Terenu i Budynków Wystawy był Edward T. Jefferey. „Z niezwykłą delikatnością i taktem — pisał Sullivan — Jefferey przekonywał Daniela na spotkaniu komitetu, żeby się zastanowił i dołączył do swojej listy architektów również ludzi ze Środkowego Zachodu”.

Root i Burnham porozumieli się szybko i wybrali pięć firm z Chicago, które miałyby pomóc w całym przedsięwzięciu. Znajdowała się wśród nich firma Adler & Sullivan. Następnego dnia Burnham złożył w każdej z nich wizytę. Cztery z pięciu przelknęły urazę i natychmiast wyraziły zgodę. Jedyne spółka Adler & Sullivan stawiała opór. Adler był nadąsany. „Sądzę, że miał nadzieję znaleźć się na moim miejscu — stwierdził Burnham. — Był dość skwaszony i »nie wiedział«,„.

Ale ostatecznie i on przyjął zaproszenie Burnhama.

Nadeszła kolej na wyjazd Roota do Nowego Jorku. I tak musiał być obecny na sesji rady Amerykańskiego Instytutu Architektów, a później planował wsiąść w pociąg do Atlanty i przeprowadzić inspekcję jednego z budynków wznoszonych przez firmę. Na krótko przed wyjazdem, po południu w Nowy Rok 1891 roku, siedział w swoim biurze. Zajrzał do niego jeden z pracowników. „Root powiedział, że jest zmęczony i że ma ochotę zrezygnować ze stanowiska sekretarza instytutu — opowiadał później ten człowiek. — Było to bardzo niepokojące, ponieważ nigdy nie skarżył się na nadmiar pracy. A choć wówczas wskazywało to jedynie na wielkie wyczerpanie fizyczne (zresztą kiedy szedł do domu, znów był wesoły i pełen nadziei), ta wypowiedź nabiera zupełnie innego znaczenia w świetle późniejszych wydarzeń”.

W Nowym Jorku Root zapewnił architektów, że w żaden sposób nie będzie ingerować w ich projekty. Mimo jednak całego swojego uroku — „Chicago Inter Ocean” nazwał go kiedyś „drugim Chaunceyem M. Depewem na polu poobiedniego dowcipu i humoru” — nie zdołał obudzić w nich entuzjazmu.

Wyruszył z Nowego Jorku do Atlanty, czując rozczarowanie równie wielkie jak Burnham dwa tygodnie wcześniej. Podróż na południe również niezbyt go pocieszyła. Harriet Monroe widziała go zaraz po powrocie do Chicago. Był przygnębiony, napisała, „podejściem okazywanym przez ludzi ze Wschodniego Wybrzeża do całej sprawy. Twierdził, że są wyjątkowo apatyczni i nastawieni absolutnie sceptycznie wobec zapewnień, że każde stowarzyszenie biznesmenów z zachodu da sztuce wolną rękę w sprawie, którą im przedstawił. Wizja była zbyt ekstrawagancka jak na realizację, byli więc niechętni podjęciu się tego zadania wobec czekających ich przeszkód, wielkich i małych, oraz nieuchronnych manipulacji, które przewidywali”.

Root czuł się zmęczony i zniechęcony. Zwierzył się szwagierce, że po prostu był w stanie zainteresować tych architektów. „Czuł, że jest to największa okazja, jaką kiedykolwiek dano architekturze w tym kraju, ale nie potrafił im tego wyjaśnić” — napisała. Powiedział jej, że architektki zamierzają przyjechać do Chicago na styczniowe spotkanie, „ale niechętnie. Nie wkładali w tę sprawę serca”.

Dnia 5 stycznia 1891 roku Komitet do Spraw Terenu i Budynków Wystawy upoważnił Burnhama do zaoferowania wszystkim dziesięciu architektom zlecenia wraz z wynagrodzeniem w wysokości 10 tysięcy dolarów (równowartość 300 tysięcy dolarów według dzisiejszej wartości). Była to królewska stawka, zważywszy, że Burnham chciał jedynie, żeby dostarczyli mu rysunki robocze i kilka razy przyjechali do Chicago. Samej budowy mieli pilnować Burnham i Root, oni też mieli się zająć szczegółami, które są zwykle przekleństwem życia architekta. Rezygnowano z wszelkich ingerencji artystycznych w projekt.

Przybysze ze Wschodniego Wybrzeża udzielili niezobowiązującej zgody, ale ich wątpliwości wcale się nie zmniejszyły.

I nadal nie widzieli na oczy parku Jacksona.

Hotel na wystawę

Nowy pomysł Holmesa polegał na przekształceniu budynku w hotel dla zwiedzających Światową Wystawę Kolumbijską. Oczywiście nie miał to być żaden Palmer House czy Richelieu, ale jedynie dość wygodny i tani hotel, zdolny zwabić określony rodzaj klientów. I dość przekonujący, żeby uzasadnić dużą polisę od pożaru. Holmes planował bowiem spalić budynek po wystawie, aby otrzymać odszkodowanie, a przy okazji zniszczyć wszelki nadmiarowy „materiał”, jaki mógł pozostać w ukrytych magazynach. Choć w sytuacji idealnej, jeśli wziąć pod uwagę inne dostępne metody pozbywania się resztek, w chwili zniszczenia budynek najprawdopodobniej nie zawierałby żadnych dowodów kryminalnej natury. Ale nigdy nie można mieć przecież stuprocentowej pewności. W tak istotnym momencie łatwo było popełnić błąd i zapomnieć o jakimś drobiazgu, który sprytny detektyw mógłby wykorzystać, aby zaprowadzić młodego przedsiębiorcę na szubienicę. Pytanie, czy chicagowska policja w ogóle miała podobne talenty, pozostaje kwestią otwartą. W tych czasach najbardziej niebezpieczną formacją była Narodowa Agencja Detektywistyczna Pinkertona, ale ostatnio jej agenci większość energii poświęcali na tłumienie strajków w kopalniach węgla i stalowniach w całym kraju.

Znów podejmując się roli architekta, na początku 1891 roku Holmes zaczął planować konieczne przeróbki i już wkrótce cieśle rozpoczęły prace na pierwszym i drugim piętrze budynku. Opracowana przez Holmesa metoda rozdzielania zadań i zwalniania robotników ponownie okazała się skuteczna. Nikt nie zgłosił sprawy policji. Patrole z nowego okręgu policyjnego Chicago z siedzibą przy Wentworth codziennie mijały budynek Holmesa. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń, wręcz przeciwnie, zachowywali się przyjaźnie, a nawet wręcz opiekuńczo. Holmes znał nazwiska wszystkich policjantów. Filiżanka kawy, darmowy posiłek w restauracji, dobre czarne cygaro — policjanci potrafili docenić takie gesty młodego inwestora.

Jednakże dłużnicy, szczególnie dostawcy mebli i rowerów, zaczęli coraz bardziej naciskać na Holmesa. Nadal potrafił ich oczarować, okazując współczucie, że nie są w stanie odnaleźć nieuchwytnego właściciela posesji, H. S. Campbella, ale wiedział, że wkrótce stracą cierpliwość. Prawdę mówiąc, był nawet nieco zaskoczony, że nie nachodzą go częściej i nie naciskają mocniej niż do tej pory. Najwyraźniej stosowane przez niego techniki były zbyt nowe, jego zdolności zbyt wielkie, a ludzie wokół zbyt naiwni, jakby nigdy wcześniej nie zetknęli się z oszustwem. Na każdą firmę, która odmawiała mu sprzedaży towarów, przypadało dziesięć innych, które ubiegały się o niego jako klienta i bez zastrzeżeń przyjmowały weksle podpisane przez H. S. Campbella albo zabezpieczone na majątku Warner Glass Bending Company. Kiedy Holmes wyczuwał, że naciskający go dłużnik jest gotów podjąć kroki prawne, a może nawet uciec się do przemocy, płacił rachunki gotówką uzyskaną z własnych przedsięwzięć: wynajmu pokoi i sklepów, dochodów drogerii i swojego najnowszego przedsięwzięcia — firmy farmaceutycznej prowadzącej sprzedaż wysyłkową. Parodiując szybko rozwijające się imperium sprzedaży wysyłkowej Aarona Montgomery'ego Warda, zaczął sprzedawać fałszywe medykamenty, które podobno gwarantowały wyleczenie z alkoholizmu i łysiny.

Holmes zawsze był otwarty na nowe okazje finansowe, a już szczególnie w chwili, gdy miał świadomość, że bez względu na to, jak zręcznie zdoła zredukować koszty pracy, i tak będzie musiał zapłacić przynajmniej za część przebudowy swojego budynku. Kiedy wujeczny dziadek Myrty, Jonathan Belknap z Big Foot Prairie w stanie Illinois, przyjechał do Wilmette z wizytą, problem stojący przed Holmesem nagle wydał się bliski rozwiązania. Belknap nie był może bogaty, ale na pewno nieźle sytuowany.

Holmes zaczął częściej zjawiać się w Wilmette. Kupował zabawki dla Lucy, biżuterię dla Myrty i jej matki. Nappełniał cały dom miłością.

Belknap nigdy wcześniej nie spotkał Holmesa, ale wiedział wszystko o problemach małżeńskich Myrty i był nastawiony negatywnie do młodego doktora. Już po pierwszym spotkaniu uznał, że Holmes jest zbyt gładki i pewny siebie jak na tak młodego mężczyznę. Uderzyło go jednak to, że Myrta wydawała się

oczarowana za każdym razem, kiedy mąż się zjawiał, a jej matka — siostrzenica Belknapa przez małżeństwo — wręcz rozkwitała w jego obecności. Po kilku kolejnych spotkaniach zaczął lepiej rozumieć, dlaczego Myrta jest tak zapatrzona w tego mężczyznę. Holmes był przystojny, porządny, dobrze ubrany, a wysławiał się bardzo poprawnie. Jego spojrzenie było błękitne i szczere. Podczas rozmowy słuchał z nieco niepokojącą uwagą, jakby Belknap był najbardziej fascynującym człowiekiem na świecie, a nie starszym wujaszkiem, który przyjechał z wizytą z Big Foot Prairie.

Belknap nie polubił Holmesa, ale jego otwartość rozbroiła go na tyle, że gdy młody doktor poprosił go o podżyrowanie weksla na 2.5 tysiąca dolarów, potrzebnych na zakup nowego domu w Wilmette dla niego i Myrty, wyraził zgodę. Holmes podziękował mu wylewnie. Nowy dom, z dala od teściów, mógł być tym, czego to małżeństwo potrzebowało, żeby zakończyć narastające nieporozumienia. Holmes obiecał zresztą, że spłaci zaciągnięty dług, gdy tylko pozwoli mu na to inne sprawy.

Po powrocie do Englewood natychmiast sfalszował podpis Belknapa na kolejnym wekslu na tę samą sumę, zamierzając ją wykorzystać na przebudowę hotelu.

Podczas kolejnej wizyty w Wilmette zaprosił Belknapa do Englewood. Chciał mu pokazać swoją posiadłość i teren wybrany pod Światową Wystawę Kolumbijską.

Choć Belknap czytał wiele o wystawie światowej i chciał zobaczyć miejsce, gdzie będzie się ona odbywała, nie pociągała go perspektywa spędzenia całego dnia z Holmesem. Młodzieniec był czarujący i uprzejmy, ale tkwiło w nim coś takiego, co wywoływało niepokój Belknapa. Nie potrafił określić tego czegoś. Przez następne kilka dziesięcioleci również alieniści i ich następcy — psychiatrzy — mieli trudności z precyzyjnym opisaniem cech ludzi pokroju Holmesa, dzięki którym wydają się tacy ciepli i mili, jednocześnie zaś budzą niejasne wrażenie, że brakuje im czegoś niezwykle istotnego dla człowieczeństwa. Początkowo określano taki stan jako „szaleństwo moralne”, a ludzi, którzy wykazywali podobne zaburzenia, jako osoby z „moralnym niedorozwojem umysłowym”. Później zaczęto stosować termin „psychopata”. Po raz pierwszy pojawił się on w popularnej prasie już w 1885 roku — w „Pall Mall Gazette” Williama Steada, która opisała „nową chorobę”, informując, że „dla psychopaty nic nie jest święte oprócz jego własnej osoby i jego własnych interesów”.

Pół wieku później w przełomowej książce *The Mask of Sanity* doktor Hervey

Cleckley opisał wzorcowego psychopatę jako „subtelnie skonstruowaną maszynę, która dzięki odruchom potrafi doskonale naśladować ludzką osobowość. [...] Tak doskonale jest jej naśladownictwo normalnego człowieka, że nikt, kto bada ją w szpitalu, nie jest w stanie wykazać żadnych naukowych czy obiektywnych powodów dla których — albo z których przyczyny — nie jest ona człowiekiem”. Ludzie wykazujący najczystsza formę tego zaburzenia mieli stać się znani w żargonie psychiatrycznym jako psychopaci Cleckleya.

Kiedy Belknap odrzucił zaproszenie Holmesa, ten zdawał się załamany, głęboko dotknięty i rozczarowany. Taka wycieczka jest konieczna, nalegał, choćby ze względu na niego, gdyż w jej trakcie mógłby podbudować nadszarpnięty honor i zademonstrować Belknapowi, że jest naprawdę zasobnym człowiekiem i że weksel, który mu podżyrował, jest niezwykle bezpieczną inwestycją. Myrta również zmarkotniała.

Belknap się poddał. Podczas podróży pociągiem do Englewood Holmes pokazywał mu widoki: drapacze chmur, rzekę Chicago, Union Stock Yards. Zdaniem Belknapa smród był nie do wytrzymania, ale Holmes najwyraźniej go nie zauważał. Wysiedli z pociągu na stacji w Englewood.

Miasto było pełne ruchu. Co kilka minut przetaczały się przez nie pociągi, a tramwaje konne podążały na wschód i zachód po Sześćdziesiątej Trzeciej, przecinając tłum wozów towarowych i powozów. Gdziekolwiek Belknap spojrział, widział wznoszone właśnie domy. Wkrótce liczba budów miała się jeszcze zwiększyć, gdyż inwestorzy zamierzali skorzystać na spodziewanej inwazji zwiedzających wystawę. Holmes rozprawiał o własnych planach. Pokazał Belknapowi swoją drogerię, gdzie kontuary były wykonane z marmuru, a półki ugięły się pod ciężarem szklanych pojemników z wielobarwnymi roztworami, po czym zabrał go na piętro. Tu przedstawił mu dozorcę budynku, Patricka Quinlana, po czym oprowadził go po licznych korytarzach, opowiadając, jakie zamierza wprowadzić tu zmiany. Zdaniem Belknapa budynek był dziwaczny i ponury, pełen korytarzy zakręcających w nieoczekiwanych kierunkach.

Holmes zapytał go, czy chce obejrzeć dach i trwające prace budowlane. Belknap odmówił, twierdząc, niezgodnie z prawdą, że jest za stary, żeby wchodzić po tyłu schodach.

Gospodarz nalegał, obiecując wspaniały widok na Englewood, a może nawet na park Jacksona, gdzie wkrótce zacznie się budowa pawilonów wystawy. Belknap ponownie odmówił, tym razem z większym naciskiem.

Wówczas Holmes zmienił taktykę i zaproponował gościowi, żeby przenocował w jego budynku. Początkowo Belknap odrzucił i tę ofertę, ale — zapewne czując, że zachował się zbyt niegrzecznie, odmawiając wizyty na dachu — w końcu uległ.

Kiedy zapadł zmrok, Holmes zaprowadził go do pokoju na piętrze. W korytarzu co kilka metrów były zainstalowane lampy gazowe. Między nimi pozostały dziury ciemności, których granice drżały, gdy przekraczali je dwaj mężczyźni. Pokój okazał się całkiem wygodny. Jego okna wychodziły na ulicę, na której nadal trwał dodający otuchy ruch. Na ile Belknap był w stanie stwierdzić, wraz z Holmesem byli jedynymi osobami przebywającymi w budynku. „Kiedy szedłem do łóżka, starannie zamknąłem drzwi na klucz” — opowiadał potem.

Wkrótce gwar ulicy zaczął cichnąć, pozostało tylko dudnienie pociągów i od czasu do czasu głuchy stukot końskich kopyt. Belknap miał kłopoty z zaśnięciem. Patrzył w sufit skąpany w migotliwym świetle ulicznych latarni. Mijały godziny. „Nagle usłyszałem, jak ktoś próbuje otworzyć drzwi mojego pokoju, a potem dobiegł mnie dźwięk wkładanego do dziurki klucza” — powiedział.

Głośno zapytał: „Kto tam?”, a wówczas dźwięk ucichł. Belknap wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Po chwili usłyszał dźwięk oddalających się kroków. Był przekonany, że pod drzwiami było dwóch ludzi, ale jeden najwyraźniej odszedł. Znowu zawołał i tym razem uzyskał odpowiedź. Głos należał do Patricka Quintana, dozorca.

Chciał wejść do pokoju.

„Odmówiłem otwarcia drzwi. Przez jakiś czas nalegał, po czym odszedł”.

Przez resztę nocy Belknap nie zmrugał oka.

Wkrótce potem odkrył oszustwo Holmesa. Ten przeproszał, tłumacząc, że na gwałt potrzebuje pieniędzy. Był tak przekonujący i uniżony, że Belknap dał się nabrać, choć nadal nie ufał mu za grosz. Dopiero dużo później zrozumiał, dlaczego Holmes tak bardzo chciał mu pokazać dach budynku. „Gdybym poszedł, fałszerstwo zapewne nigdy nie zostałoby wykryte, bo nie miałby tego kto zrobić. Ale nie poszedłem. Mam lęk wysokości”.

Kiedy cieśle i tynkarze pracowali przy przeróbkach budynku, Holmes skupił się na nowym ważnym projekcie. Naszkicował kilka możliwych wariantów, zapewne wzorując się na wcześniej widzianych podobnych obiektach, po czym wybrał taki, który, jego zdaniem, powinien działać: duża prostokątna „skrzynia” z niepalonej cegły, głęboka na dwa i pół metra, a wysoka i szeroka na metr, zamknięta w drugiej „skrzyni” z takiego samego materiału. Przestrzeń między ścianami tych „skrzyń” miał ogrzewać olejowy palnik, a wewnętrzna wnęka byłaby wydłużoną komorą pieca. Choć Holmes nigdy wcześniej nie budował pieców, był przekonany, że zdoła w tym urządzeniu uzyskać dostatecznie wysoką temperaturę, aby spopielić wszystko, co znajdzie się w środku. Szczególnie istotną zaletą projektu było zaś to, że z pieca nie wydobędą się żadne zapachy.

Holmes zamierzał zainstalować swój wynalazek w piwnicy. Wynajął w tym celu murarza o nazwisku Joseph E. Berkler, wyjaśniając, że piec będzie służył do produkcji i wyginania tafli szklanych dla Warner Glass Bending Company. Zgodnie z projektem Holmesa, Berkler dodał kilka metalowych elementów. Pracował szybko i już wkrótce piec był gotów do pierwszego testu.

Kiedy Holmes zapalił palnik, rozległ się oczekiwany szum. Piec zaczął emanować falę ciepła, docierającą aż do przeciwległych ścian piwnicy. Powietrze napełnił zapach częściowo spalonego oleju.

Ale sama próba przyniosła rozczarowanie. Piec nie dawał spodziewanej ilości ciepła. Holmes kazał poprawić palnik i spróbował jeszcze raz, ale niewiele się zmieniło.

Odszukał w książce adresowej miasta firmę zduńską i poprosił o przysłanie doświadczonego pracownika. Przedstawił się jako założyciel firmy Warner Glass — gdyby z jakichś powodów chciano sprawdzić, czy Warner Glass rzeczywiście istnieje, wystarczyło otworzyć książkę adresową Englewood na 1890 rok. Warner Glass było tam wymienione wraz z nazwiskiem właściciela, czyli Holmesem.

Szef firmy zduńskiej — jego nazwisko nigdy nie zostało podane do publicznej wiadomości — postanowił osobiście zająć się tą sprawą i umówił się z Holmesem w jego budynku. Klient okazał się młody, przystojny, niemal delikatny, a rozciągał wokół siebie aurę dobrobytu i zdecydowania. Jego oczy miały intensywny błękitny kolor. Sam budynek był raczej ponury, zdecydowanie poniżej standardów obowiązujących przy Sześćdziesiątej Trzeciej, ale miał doskonałą lokalizację, a dzielnica wokoło ewidentnie rozkwitała. A fakt, że tak młody człowiek

był właścicielem niemal całego kwartału, stanowił nie lada osiągnięcie.

Zdun udał się z Holmesem na piętro, do jego biura, i tam, w miłej, przewiewnej atmosferze narożnego pokoju, obejrzał projekty pieca. Holmes wyjaśnił, że nie może uzyskać „dostatecznie wysokiej temperatury”. Zdun poprosił o pokazanie samego urządzenia.

Holmes stwierdził, że nie jest to konieczne. Nie śmiałyby mu też zwracać głowy, po prostu potrzebuje rady i jest gotów za nią odpowiednio zapłacić.

Właściciel firmy zduńskiej wyjaśnił, że nie zdoła pomóc, nie widząc urządzenia.

Twarz Holmesa rozjaśniła się w uśmiechu. Ależ oczywiście, jeśli tylko ma czas, z radością pokaże mu piec.

Zaprowadził gościa na dół, na parter, po czym zeszli kolejną, ciemniejszą klatką schodową do piwnicy.

Znaleźli się w obszernej prostokątnej grocie, która ciągnęła się przez całą długość przecznicy, poprzecinana belkami i słupami. Wśród zalegających tu cieni stały kadzie i beczki, znajdowały się także kopczyki ciemnej substancji, niewykluczone, że ziemi. Nad dużym i wąskim stołem o stalowym blacie umieszczono kilka zgaszonych w tej chwili lamp. Obok stały dwie zniszczone skórzane torby. Piwnica wyglądała jak chodnik w kopalni, natomiast pachniała jak gabinet chirurga.

Zdun obejrzał piec. Stwierdził, że zawiera on wewnętrzną komorę z ogniotrwałych cegieł, zbudowaną w taki sposób, żeby do wnętrza nie sięgały płomienie, zauważył również dwa otwory na wierzchniej części wewnętrznej komory, przez które zebrane w środku gazy mogły uchodzić do właściwej komory spalania i ulec spaleni. To był interesujący projekt i mógł działać, choć w głębi duszy zdun był przekonany, że kształt pieca nie jest odpowiedni do wyginania szkła. Wewnętrzna komora była za mała, żeby pomieścić szerokie szklane tafle, jakie obecnie wstawiano w witryny sklepów w całym mieście. Poza tym jednym szczegółem nie zauważył nic niezwykłego, nie przewidywał też żadnych trudności w udoskonaleniu pieca.

Powrócił z ekipą robotników. Zainstalowano silniejszy palnik, który pozwalał uzyskać temperaturę tysiąca sześciuset pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Holmes wydawał się zadowolony.

Dopiero po pewnym czasie właściciel firmy zduńskiej uświadomił sobie, że dziwny kształt pieca i wysoka temperatura idealnie pasowały do zupełnie innego

celu. „Szczerze mówiąc, plany tego pieca nie różniły się wiele od planów pieców krematoryjnych, w których pali się zwłoki, a wprowadzone usprawnienia pozwalały na eliminację wszelkiego zapachu” — powiedział. Ale nastąpiło to dużo później.

Nieobecności Holmesa w Wilmette znów zaczęły się przeciągać, choć regularnie wysyłał Myrcie i córeczce dość pieniędzy, żeby mogły wygodnie żyć. Nawet ubezpieczył dziewczynkę na życie, ponieważ dzieci były takie delikatne i w każdej chwili mogły zniknąć z tego świata.

Interesy szły dobrze. Firma wysyłkowa przynosiła zaskakująco wysokie zyski, Holmes zaczął więc szukać sposobu na wyciągnięcie korzyści finansowych z najnowszej amerykańskiej pasji medycznej, a mianowicie z lekarstwa na alkoholizm, wynalezionego przez doktora Keeleya z Dwight w stanie Illinois. Drogeria działała bez zarzutu i przynosiła dochód, choć jedna z sąsiadek zauważyła, że doktor Holmes ma trudności z zatrudnianymi tam zwykle w charakterze sprzedawczyń młodymi i atrakcyjnymi kobietami. Sprzedawczynie te, jak jej się wydawało, wykazywały irytujące inklinacje do znikania bez ostrzeżenia. Czasami nawet porzucały swoje rzeczy w pokojach na piętrze. Była zdania, że takie zachowanie jest niepokojącą oznaką coraz większej rozwiązłości dzisiejszych czasów.

Prace przy przeróbce budynku Holmesa na hotel postępowały powoli, zakłócane zastojami i opóźnieniami. Zadanie zatrudniania nowych robotników spadło na Quinlana, Chappella i Pitezla — trzech pomocników Holmesa. Nie mieli problemów ze znalezieniem nowych ludzi. Tysiące robotników, zbędnych w innych miastach, przybyły do Chicago, mając nadzieję na znalezienie pracy przy wznoszeniu wystawy. Tutaj poniewczasie odkrywali, że na ten sam pomysł wpadło zbyt wielu ludzi, dlatego w mieście zawsze było mnóstwo osób gotowych podjąć pracę. Każdą pracę, za każde pieniądze.

Holmes skupił się na innych, przyjemniejszych sprawach. Sam los skrzyżował jego ścieżki z dwiema pięknymi kobietami, z których jedna miała niemal metr osiemdziesiąt wzrostu i zachwycające ciało, a druga, jej szwagierka, była przesłizną dziewczyną o czarnych włosach i cudownych ciemnych oczach.

To, że ta wysoka zjawiała się w jego życiu obciążona mężem i córką, dodało całej sytuacji niezwykłej atrakcyjności.

Godny ubolewania krajobraz

Architekci ze Wschodniego Wybrzeża opuścili New Jersey o szesnastej pięćdziesiąt 8 stycznia 1891 roku, w wagonie piątym sekcji szóstej pociągu North Shore Limited. Miejsca zarezerwował Hunt, żeby wszyscy podróżowali razem. Dzień wcześniej z Bostonu przyjechał Olmsted, żeby im towarzyszyć.

Była to magiczna chwila: wspianały pociąg mknął przez zimowy krajobraz, wioząc w jednym wagonie pięciu największych architektów w historii Stanów Zjednoczonych. Podróźni plotkowali, żartowali, pili i palili. Olmsted skorzystał z okazji i opisał z detalami park Jacksona oraz swoje próby dogadania się z licznymi komitetami zajmującymi się wystawą, które wydawały się wszechwładne. Szanował Burnhama za jego uczciwość, bezpośredniość i roztaczaną przez niego aurę przywództwa. Bez wątpienia powiedział o tym architektom, bez wątpienia też poświęcił wiele czasu omawianiu własnej wizji krajobrazu ekspozycji, a szczególnie swojego poglądu, że Wyspa Leśna powinna pozostać wolna od wszelkich rzucających się w oczy sztucznych struktur.

Na dwie godziny przed przybyciem do Chicago, podczas krótkiego postoju, McKim otrzymał informację, że jego matka, Sarah McKim, zmarła nagle w swoim domu, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Był z nią bardzo związany uczuciowo, porzucił więc towarzystwo i wszedł do powrotnego pociągu.

Architekci przybyli do Chicago późnym wieczorem w piątek 9 stycznia i udali się powozami do Wellington Hotel, gdzie Burnham wynajął im pokoje. Przyłączył się tam do nich van Brunt, który przyjechał z Kansas City. Następnego ranka wsiedli znów do powozów, które tym razem zawiozły ich na południe miasta, do parku Jacksona. Roota nie było, miał tego dnia wrócić z Atlanty.

Droga do parku zajęła około godziny. „To był taki mroźny, zimowy dzień — wspominał Burnham. — Niebo zasnuły chmury, a wody jeziora były wzburzone”.

W parku architekci wysiedli z powozów, wydechając w mroźnym powietrzu kłęby pary. Wiatr porывał ziarenka piasku i bił ich nimi boleśnie po twarzach, aż musieli osłaniać oczy. Hunt, skrzywiony z powodu podagry, kłął i nie chciał wierzyć własnym oczom. Olmsted, po nieprzespanej ciężkiej nocy, cierpiał z powodu bólu zębów. Kulał na skutek dawnego wypadku powozu.

Jezioro było szare, na horyzoncie niemal czarne. Jedynym barwnym akcentem w całym parku były zaczerwienione mrozem policzki przybyszów oraz błękit oczu Burnhama i Olmsteda.

Olmsted obserwował reakcje kolegów. Od czasu do czasu wymieniał spojrzenia z Burnhamem.

Architekci byli oszołomieni.

„Rozglądali się wokoło niemal z rozpaczą” — wspominał Burnham.

Park Jacksona stanowił wówczas dwa i pół kilometra kwadratowego pustkowie, niemal pozbawionego drzew, wyjąwszy grupy rozmaitych gatunków dębów — wielkolistnego, błotnego, jedwabistego i szkarłatnego — górujące nad splątanymi krzewami dzikiego bzu, śliwy amerykańskiej i wierzb. W najmniej osłoniętych miejscach był tylko piasek porośnięty kępami trawy. Pewien pisarz stwierdził, że park to miejsce „odludne i odrażające”, inny, że jest to „piaszczyste pustkowie przeklęte przez Boga i ludzi”. Było tu zwyczajnie brzydko. Sam Olmsted tak wyraził się o parku Jacksona: „Gdyby wokół miasta szukano terenów najmniej nadających się na park, nie znalazłoby się miejsca lepiej spełniającego takie wymagania”.

W rzeczywistości miejsce było jeszcze gorsze niż wyglądało. Wiele dębów uszło, choć ze względu na porę roku trudno je było odróżnić od żywych. Systemy korzeniowe pozostałych były mocno uszkodzone. Próbnymi odwiertami wykazały, że podłoże parku składa się z warstwy gleby próchnicznej grubości mniej więcej trzydziestu centymetrów, pod którą znajdowało się sześćdziesiąt centymetrów zwykłego piasku przykrywającego trzyipółmetrową warstwę piachu tak nasiąkniętego wodą, że, jak napisał Burnham, „zachowywała się niemal jak ruchome piaski — i tak ją czasami nazywano”. Mieszkańcy Chicago rozumieli wyzwanie stawiane architektom przez takie podłoże. Przybysze z Nowego Jorku, przywykli do podłoża skalnego, nie byli w stanie tego pojąć.

Największą wadą parku, przynajmniej z punktu widzenia Olmsteda, był brzeg jeziora, co roku cierpiący z powodu drastycznych zmian poziomu wody, czasami wynoszących ponad metr. Architekt zdawał sobie sprawę, że znacznie utrudni to obsadzanie brzegów roślinnością. Jeśli poziom wody opadnie, zwiedzający wystawę zobaczą ohydne połacie gołej ziemi odsłonięte przez cofniętą linię wody. Jeśli podniesie się zbyt wysoko, zaleje i zniszczy roślinność nadbrzeżną.

Architekci wsiedli do powozów. Wyboistymi ścieżkami ruszyli nad jezioro w tempie konduktu pogrzebowego i w równie posępnym nastroju. Burnham napisał: „Zniechęcenie połączyło się z uczuciem beznadziei i opanowało ludzi, którzy wówczas po raz pierwszy uświadomili sobie wielkość całego przedsięwzięcia i zrozumieli, jak nieuchronne są ograniczenia narzucane przez czas. [...] Za dwadzieścia jeden miesięcy miał nadejść dzień wyznaczony uchwałą Kongresu na inaugurację budynków, a całe przedsięwzięcie, łącznie z uporządkowaniem terenu i rozmieszczeniem eksponatów, należało zakończyć w ciągu zaledwie dwudziestu siedmiu i pół miesiąca, czyli do 1 maja 1893 roku”.

Nad jeziorem przybysze ponownie wysiedli z powozów. Pochodzący z Bostonu Peabody wspiął się na falochron i zwrócił się do Burnhama: „Chce pan powiedzieć, że naprawdę w dziewięćdziesiątym trzecim zamierzacie tu otworzyć wystawę?”. „Tak właśnie planujemy” — odparł Burnham.

„Tego się nie da zrobić” — stwierdził Peabody.

Burnham zmierzył go wzrokiem.

„Tyle że to już przesądzone” — oznajmił.

Ale nawet on nie potrafił sobie w pełni wyobrazić tego, co ich wszystkich czeka.

Root wrócił do Chicago akurat w chwili, kiedy architekci oglądali park Jacksona, i dokładnie na swoje czterdzieste pierwsze urodziny. Prosto ze stacji pojechał do Rookery. „Udał się do biura w doskonałym humorze — pisała Harriet Monroe — i tego samego dnia otrzymał zlecenie na duży budynek biurowy”. Ale po południu kreślarz Paul Starrett, który spotkał Roota w jednej z wind, stwierdził, że wygląda on na „chorego”. Jego dobry nastrój prysł. Znowu skarżył się na zmęczenie.

Architekci wrócili z wycieczki zniechęceni i pełni pretensji. Zebrali się w bibliotece firmy, gdzie przyłączył się do nich Root, nagle znów pełen życia, miły, zabawny i serdeczny. Jeśli ktokolwiek był w stanie zachwiać postawą tych ludzi i rozpalic w nich pasję, to, zdaniem Burnhama, mógł to być tylko jego wspólnik. Root zaprosił gości na następny dzień — była to niedziela — na herbatę do swojego domu przy Astor Place, po czym udał się do domu, aby wreszcie przywitać się z dziećmi i żoną Dorą, która, według słów Harriet Monroe, leżała w łóżku „niemal śmiertelnie chora” po niedawnym poronieniu.

Root powiedział Dorze o swoim znużeniu i zaproponował, żeby latem zaszyli się gdzieś na długi urlop. Ostatnie miesiące były trudne, wypełnione pracą do późnej nocy i dalekimi podróżami. Czuł się wyczerpany. Podróż na południe nie zmniejszyła napięcia, w jakim żył ostatnio. Wyglądał niecierpliwie końca przyszłego tygodnia, a konkretnie 15 stycznia, kiedy architekci mieli zakończyć konferencję i wrócić do domu.

„Po piętnastym nie będę już taki zajęty” — powiedział żonie.

Architekci ze Wschodniego Wybrzeża i z Chicago spotkali się ponownie wieczorem w University Club na kolacji wydanej na ich cześć przez Komitet do Spraw Terenu i Budynków Wystawy. Root czuł się zbyt zmęczony, żeby wziąć w niej udział. Najwyraźniej celem przyjęcia było rozpalenie entuzjazmu w przybyśszach ze wschodu i pokazanie im, że Chicago jest zdecydowane zrealizować swoje przechwałki dotyczące wystawy. Był to pierwszy z całej serii niezwykle wystawnych i obfitych bankietów, których jadłospisy każą się zastanawiać, czy którykolwiek z czołowych obywateli miasta miał choć jedną drożną arterię.

Kiedy goście przybyli na miejsce, czekali już na nich dziennikarze. Architekci zachowywali się uprzejmie, ale bardzo powściągliwie.

Mieli zasiąść przy wielkim stole w kształcie litery „T”, u którego szczytu zajął miejsce Lyman Gage, prezes wystawy, po prawej ręce mając Hunta, a po lewej Olmsteda. Pęki goździków oraz różowych i czerwonych róż zmieniły stół niemal

w ogrodową rabatę. Przy każdym nakryciu leżały kwiaty do butonierki. Wszyscy byli ubrani we fraki. W bankiecie nie brała udziału ani jedna kobieta.

Punktualnie o ósmej wieczorem Gage wziął pod ramię Hunta i Olmsteda, i poprowadził ich przez salon klubu do sali bankietowej.

Ostrygi

Kieliszek lub dwa kieliszki wina Montrachet

Żółwiowe *consommé*

Sherry Amontillado

Pieczona aloza *à la Maréchal*

Ogórki. Ziemniaki *à la Duchesse*.

Filet wołowy *à la Rossini*

Wino Chateau Lafite

Szampan Rinnart Brut

Fonds d'Artichaut Farcis

Szampan *Pommery Sec*

Sorbet au Kirsch

Papierosy

Słonka na grzance

Sałatka ze szparagów

Lody Canton Ginger

Sery: Pont l'Eveque, Rocquefort

Kawa. Likiery

Madera, rocznik 1815

Cygara

Gage przemawiał pierwszy. Wygłosił poruszającą mowę o wspianiałości przyszłej wystawy oraz o tym, jak ważne jest, żeby wielcy ludzie obecni na bankiecie myśleli przede wszystkim o ekspozycji, a dopiero na końcu o sobie, gdyż

jedynie dzięki podporządkowaniu się jednostek wspólnemu celowi może ona odnieść sukces. Oklaski były ciepłe i pełne entuzjazmu.

Drugi przemawiał Burnham. Mówił o własnej wizji wystawy i determinacji Chicago, aby tę wizję urzeczywistnić. On również podkreślał, jak wielką wagę ma praca zespołowa i poświęcenie własnych interesów. „Panowie — powiedział. — Rok 1893 będzie trzecią wielką datą w historii naszego kraju. Przy dwóch poprzednich okazjach, w 1776 i w 1861 roku, swoje siły połączyli wszyscy prawdziwi Amerykanie, a ja dziś proszę was o to samo!”

Tym razem sala dosłownie wybuchła entuzjazmem. „Tego wieczoru ludzie wychodzili z bankietu zjednoczeni jak żołnierze podczas kampanii” — wspominał Burnham.

Ale to mieszkańcy Chicago byli żołnierzami, którzy maszerowali. Harriet Monroe poznała architektów ze wschodu nazajutrz, w domu Roota, i wyszła z tego spotkania roztrzęsiona. „Kiedy z nimi rozmawiałam, zaskoczyła mnie ich apatyczna i beznadziejna postawa — pisała. — Trudno oczekiwać, żeby budynki wzniesione tak tanim kosztem były piękne. Monotonny teren wokół Chicago w zasadzie uniemożliwia efektowne grupowanie budynków. Czas, jaki pozostał na projektowanie i budowę, jest za krótki. Te i inne uwagi krytyczne wskazywały na ich lekceważące podejście do sprawy”.

Po podwieczorku Root odprowadził gości do powozów. Było ciemno i bardzo zimno. Po Astor Place mknął lodowaty wichur. Później często powtarzano, że Root wyszedł na dwór w wieczorowym stroju, nie włożywszy płaszcza.

Znikający punkt

*I*cilius Conner — młody jubiler, który wolał być nazywany „Nedem” po latach przenoszenia się z miejsca na miejsce dotarł wraz z żoną Julią i ośmioletnią córką Pearl do Chicago. Szybko odkrył, że jest to naprawdę miasto pełne okazji. Na początku 1891 roku znalazł pracę jako kierownik stoiska z biżuterią, zajmującego całą ścianę świetnie prosperującej drogerii na South Side, na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace. Po raz pierwszy w dorosłym życiu Neda przyszłość zaczęła wyglądać różowo.

Właściciel drogerii, choć bardzo młody, był zamożny i dynamiczny, prawdziwy człowiek swoich czasów. A było pewne, że są mu pisane jeszcze większe sukcesy, zważywszy, że tereny Światowej Wystawy Kolumbijskiej znajdowały się zaledwie kilka przystanków tramwajowych na wschód od jego budynku, na końcu Sześćdziesiątej Trzeciej. Mówiło się również, że nowa nadziemna kolejka, nazywana w Chicago Alley L, od kształtu estakad przecinających ulice miasta, zostanie przedłużona aż do parku Jacksona, oferując zwiedzającym jeszcze jeden sposób dotarcia na teren imprezy. Już teraz ruch na ulicy wzrósł bardzo, gdyż codziennie setki mieszkańców Chicago udawały się do parku, żeby zobaczyć tereny wybrane pod wystawę. Właściwie nie było tam jeszcze co oglądać. Ned i Julia stwierdzili, że park to brzydkie i opuszczone miejsce, pełne kopców piachu i dogorywających dębów, choć Pearl dobrze się tam bawiła, próbując łapać kijanki w kałużach stojącej wody. Wątpili, żeby coś pięknego mogło powstać w takim miejscu, niemniej Ned, jak większość nowych przybyszów w Chicago, był gotów przyznać, że jest to miejsce niepodobne do żadnego innego. Jeśli jakiegokolwiek miasto było w stanie zrealizować wyszukane przechwałki, jakie słyszał, to właśnie Chicago. Nowy pracodawca Neda, doktor H. H. Holmes, był doskonałym przykładem, jak to nazywano, „ducha Chicago”. Taki młody, a już właściciel budynku zajmującego cały kwartał — Ned wiedział z doświadczenia, że nie

byłoby to możliwe w żadnym innym miejscu w Stanach. A tutaj wydawało się czymś zwyczajnym.

Connerowie zamieszkali na pierwszym piętrze budynku, niedaleko apartamentów doktora Holmesa. Nie było to może szczególnie jasne i wesołe mieszkanie, ale za to było tu ciepło i blisko do pracy. Co więcej, doktor Holmes zaproponował, że zatrudni Julię jako sprzedawczynię w drogerii i nauczy ją prowadzić księgi. Później, kiedy do Chicago przeniosła się również dziewiętnastoletnia siostra Neda, Gertrude, Holmes postanowił zatrudnić ją w swojej nowej firmie sprzedającej wysyłkowo lekarstwa. Mając do dyspozycji trzy pensje, rodzina mogłaby sobie już niedługo pozwolić na własny dom, może przy jednej z tych szerokich, wysypanych makadamem ulic w Englewood. A już na pewno stać ich było na rowery i wycieczki do opery Timmermana, znajdującej się kawałek dalej, przy Sześćdziesiątej Trzeciej.

Jedna sprawa niepokoiła jednak Neda. Holmes był niezwykle uprzejmy wobec Gertie i Julii. Właściwie była to rzecz naturalna, do której Ned przywykł, ponieważ obie były prawdziwymi pięknosciami: Gertie smukła i ciemna, a Julia wysoka i o wspaniałej figurze. Poza tym było dla niego jasne, i to od pierwszej chwili, że Holmes jest mężczyzną, który lubi kobiety i którego kobiety również lubią. Drogeria jak magnes przyciągała śliczne młode dziewczyny. Kiedy Ned próbował je obsłużyć, zachowywały się wyniośle i wykazywały absolutny brak zainteresowania. Ich zachowanie zmieniało się radykalnie, jeśli do sklepu zaszedł Holmes.

Ned zawsze był przeciętnikiem, ale obecnie zaczął mieć wrażenie, że jest tylko częścią tła, jakby widzem własnego życia. Tylko córka, Pearl, okazywała mu tyle samo uwagi co zwykle. Ned obserwował z niepokojem, jak Holmes nadskakuje Gertie i Julii, jak się do nich uśmiecha i jak je obsypuje prezentami i ckliwymi komplementami — szczególnie Gertie. Oraz to, jak pod wpływem jego awansów obie kobiety zdają się rozkwitać. Kiedy Holmes odchodził, stawały się przygnębione i nagle zaczynały zachowywać się niecierpliwie i opryskliwie.

Jeszcze bardziej niepokojąca była zmiana w odnoszeniu się klientów do samego Neda. Nie chodziło przy tym o to, co mówili, ale o to, co było widać w ich oczach. Co dziwnie przypominało współczucie, a może nawet litość.

Pewnego wieczoru Holmes poprosił Neda o przysługę. Zaprowadził go do wielkiego skarbcza i wszedł do środka, po czym kazał Nedowi zamknąć drzwi i posłuchać, czy będzie słycać jego krzyki. „Zamknąłem drzwi i przyłożyłem ucho do szpary, ale dźwięki, które słycałem były bardzo słabe” — wspominał Ned. Kiedy otworzył drzwi, jego pracodawca wyszedł i poprosił, żeby teraz to on wszedł do środka i spróbował krzyceć. Holmes chciał się przekonać na własne uszy, jak niewiele było słycać na zewnątrz. Ned zrobił, o co go proszono, ale gdy tylko Holmes otworzył drzwi, natychmiast wyszedł na zewnątrz. „Wcale mi się to nie podobało” — wspominał.

Pytanie, po co ktoś chciałby mieć dźwiękoszczelny skarbiec, najwyraźniej nie przyszło mu do głowy.

Policja również otrzymywała ostrzeżenia, ale innego rodzaju. Były to listy od rodziców i wizyty detektywów wynajętych przez rodziny, które niknęły jednak w ogólnym chaosie. Znikanie wydawało się w Chicago ulubioną rozrywką. Za dużo takich zdarzeń przytrafiało się w całym mieście, żeby można je było porządnie zbadać. Za dużo czynników uniemożliwiała ustalenie wzorca tych zniknięć. Wielu patrolujących ulice policjantów nie miało odpowiednich kwalifikacji, gdyż zatrudniano ich na życzenie ludzi rządzących daną dzielnicą. Detektywów było niewiele, a ich umiejętności i możliwości były minimalne. Wzrok przesłaniała im klasa społeczna, do której należeli zaginieni ludzie. Zwykle zaginięcia — polskich dziewczyn, chłopców pracujących w Union Stock Yards, włoskich robotników, Murzynek — nie zasługiwały w ich oczach na wysiłek. Tylko zniknięcia ludzi zamożnych wymagały stosownej reakcji, ale nawet wtedy detektywi mogli jedynie rozesłać telegramy do innych miast i regularnie wizytować kostnicę, gdzie codziennie trafiały ciała niezidentyfikowanych mężczyzn, kobiet i dzieci. W pewnym momencie połowa sił policji była zaangażowana w badanie spraw zaginięć, co zmusiło komendanta policji do ogłoszenia, że rozważa możliwość stworzenia osobnego biura — „departamentu tajemniczych zniknięć”.

Kobiety i mężczyźni znikali w Chicago w równych proporcjach. Fannie Moore, młoda dziewczyna z Memphis, nie wróciła do wynajmowanego mieszkania i nikt jej więcej nie widział na oczy. J. W. Highleyman wyszedł pewnego dnia

do pracy, wsiadł do kolejki miejskiej i zniknął, jak to określiła „Tribune”, „tak całkowicie, jakby pochłonęła go ziemia”. Kobiety najprawdopodobniej gwałcono, mężczyzn rabowano, a ciała lądowały albo w mętnych wodach rzeki Chicago, albo w zaułkach dzielnic Halsted i Levee, albo wreszcie na niebezpiecznych terenach Clark, rozciągających się między Polk i Taylor, a określanych przez policyjnych weteranów mianem Cheyenne. Znalezione ciała wędrowały do kostnicy, a jeśli nikt się po nie nie zgłosił, przekazywano je do Rush Medical College albo do Cook County Hospital, gdzie przeprowadzano sekcje. Stamtąd wędrowały do laboratoriów, gdzie delikatnie usuwano ciało i tkankę łączną, przemywano kości wybielaczem i składano na powrót, żeby jako szkielety służyły lekarzom, muzeom historii naturalnej, a czasami prywatnym zbieraczom nowinek naukowych. Włosy sprzedawano na peruki, ubrania zaś przekazywano do domów opieki.

Podobnie jak w Union Stock Yards, także w Chicago niczego nie marnowano.

Sam

Architekci ze Wschodniego Wybrzeża i z Chicago spotkali się ponownie w poniedziałkowy ranek 12 stycznia w bibliotece firmy Burnham & Root, na najwyższym piętrze wieżowca Rookery. Roota nie było. William R. Mead przyjechał z Nowego Jorku w zastępstwie swojego pogrążonego w żałobie partnera, McKima. Kiedy czekali na przybycie ostatnich uczestników spotkania, goście raz po raz podchodzili do wychodzących na wschód okien biblioteki i przyglądali się ogromnej pościeli jeziora Michigan. Wpadające do pokoju światło było nienaturalnie jaskrawe ze względu na odbicia od powierzchni jeziora i jego zamrzniętych brzegów.

Burnham wstał, aby oficjalnie powitać przybyłych, ale wydawał się skrepowany. Był w pełni świadom powściągliwości przybyszów ze wschodu i zdeterminowany pozyskać ich za pomocą komplementów graniczących z pochlebstwem. Była to taktyka, którą, jak napisał Louis Sullivan, Burnham stosował z wielkim powodzeniem. „Sam nie był specjalnie łasy na pochwały, chyba że w kwestiach uczuciowych, ale szybko nauczył się, jak są skuteczne, jeśli posmaruje się nimi grubo wielkich biznesmenów — wspominał Sullivan. — Louis widział wiele razy, jak Burnham to robił. Początkowo był zaskoczony jego tupetem, ale jeszcze bardziej zaskakiwało go zdumiewające zachowanie adresatów. Metoda była prymitywna, ale skuteczna”.

I dalej: „Wkrótce stało się oczywiste, że coraz bardziej nachalnie i w coraz większym stopniu przeprosza architektów ze wschodu za obecność ich ciemnych braci z zachodu”.

Hunt również to zauważył.

„Do diabła — warknął. — Nie przyjechaliśmy tu na jakąś misję. Bierzmy się lepiej do roboty”.

W bibliotece rozległy się potakujące pomruki. Adler był rozbawiony. Sullivan uśmiechał się z pogardą. Olmsted obserwował wszystko z kamienną twarzą,

wsluchując się w ryk we własnych uszach, który jakoś nie chciał ucichnąć. Hunt się krzywił — podróz z Nowego Jorku i wyprawa do parku Jacksona fatalnie wpłynęły na jego podagrę.

Uwaga Hunta zaskoczyła Burnhama. Natychmiast przypomniał mu się ból, jaki zadało mu zlekceważenie ze strony obu wschodnich uniwersytetów — Harvardu i Yale. Równocześnie jednak słowa Hunta i poparcie, jakie im okazali zebrani, sprawiły, że skupił się na pracy, jaka ich czekała. Jak to napisał Sullivan: „Burnham porzucił swoje somnambuliczne kaprysy i się skupił. Był dość rozgarnięty, żeby zrozumieć, że »wujek Dick« — czyli Hunt — zrobił mu przysługę”.

Burnham poinformował zebranych, że od tej chwili będą tworzyć Radę Architektów Wystawy. Poprosił, żeby wybrali ze swojego grona przewodniczącego. Wybór padł na Hunta. „Naturalna dominacja mistrza znów dała o sobie znać, nie wywołując protestów — zanotował van Brunt. — Ponownie staliśmy się jego gorliwymi i radosnymi uczniami”.

Na sekretarza wybrano Sullivana, który na pewno nie należał do szczęśliwych uczniów Hunta. W jego oczach Hunt był sługusem martwego środowiska. Podobnie jak Burnham. Obaj symbolizowali wszystko, co uniemożliwiała Sullivanowi realizację własnego etosu, udowodnienia, że funkcja budynku powinna się wyrażać w jego projekcie — że forma nie tylko powinna iść za funkcją, ale że „funkcja tworzy albo organizuje jego formę”.

W oczach Sullivana Hunt był zwykłym reliktem przeszłości, Burnham zaś kimś znacznie bardziej niebezpiecznym, dostrzegał w nim bowiem pokrewną zdolność do obsesji. Był zdania, że architekturę Chicago determinują tylko dwie firmy: Burnham & Root oraz Adler & Sullivan. „W każdej z tych firm był człowiek z ustalonym raz na zawsze celem życia, dla którego był gotów nagiąć lub poświęcić wszystko inne — pisał Sullivan. — Daniel Burnham był opętany feudalną ideą władzy. Louis Sullivan równie mocno był opętany zbawienną ideą władzy demokratycznej”. Sullivan podziwiał Roota i Adlera, ale uważał, że funkcjonują oni na drugim planie. „John Root tak bardzo sobie dogadzał, że istniało ryzyko, że nigdy nie wykorzysta drzemiących w nim mocy. Adler był przede wszystkim technikiem, inżynierem, sumiennym administratorem [...]. Bez wątplenia Adlerowi brakowało wyobraźni. W pewien sposób dotyczyło to i Roota — to znaczy wyobraźni marzyciela. W takiej właśnie wyobraźni leżała siła Burnhama i pasja Louisa”.

Krótko przed południem Burnham wyszedł z biblioteki odebrać telefon od Dory Root. Poinformowała go, że jej mąż obudził się ciężko przeziębiony i nie będzie w stanie przybyć na spotkanie. Kilka godzin później zadzwoniła znowu. Przyszedł lekarz i rozpoznał zapalenie płuc.

Root był w dobrym humorze. Żartował i szkicował. „Nie po to całe życie unikałem chorób, żeby teraz poddać się tak łatwo — powiedział do Harriet Monroe. — Wiem, że mój koniec będzie nagły jak Tartar”.

Architekci kontynuowali spotkania, ale bez Burnhama, który przesiadywał przy łóżku swojego partnera, wyjąwszy krótkie wypadki do biblioteki, podczas których rozwiązywał narosłe problemy, i odwiedziny u Hunta, którego podagra uwięziła w pokoju w hotelu Wellington. Root żartował z pielęgniarkami. Na regularnym, odbywanym co środę spotkaniu Komitetu do Spraw Terenu i Budynków Wystawy przegłosowano uchwałę z życzeniami dla Roota szybkiego powrotu do zdrowia. Tego dnia Burnham napisał do chicagowskiego architekta W. W. Boyingtona: „Pan Root czuje się źle i nie jest pewne, czy wyzdrowieje, ale nadal ma szansę”.

W czwartek Root wydawał się dochodzić do siebie. Burnham ponownie napisał do Boyingtona: „Dziś jestem w stanie przekazać Panu nieco lepsze wieści. Noc minęła spokojnie i jest mu lepiej. Choć niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, jesteśmy pełni nadziei”.

Entuzjazm wśród architektów wzrastał. Ponieważ Hunt nadal był uwięziony w pokoju, spotkaniom przewodniczył Post. On i van Brunt kursowali tam i z powrotem między biblioteką w Rookery a hotelem Hunta. Wszyscy zaaprobowali pierwotny plan Burnhama, Olmsteda i Roota, wyrysowany na papierze pakowym, wnosząc niewiele poprawek. Ustalili, jak duże powinny być główne budynki i gdzie powinny się znajdować. Ustalili jednolity styl cesarstwa rzymskiego, co oznaczało, że budynki będą miały kolumny i frontony, i będą nawiązywać do chwały starożytnego Rzymu. Ten wybór stanowił obrazę dla Sullivana, który

brzydził się wtórnością, ale podczas spotkania nie zgłosił żadnych zastrzeżeń. Podjęto wtedy również jedną z najważniejszych, jak się później okazało, decyzji dotyczących wystawy. Ustalono mianowicie jednolitą wysokość, osiemnaście metrów, na jakiej miały się znajdować gzymsy wszystkich pałaców przy dziedzińcu centralnym. Gzymsy te były jedynie poziomym elementem dekoracyjnym. Ściany, dachy, kopuły i łuki mogły się wznosić na dużo większą wysokość, ale ustalając ten jeden wspólny punkt, architekci zapewnili harmonię wszystkich wywołujących największe wrażenie budowli ekspozycji.

W czwartek około szesnastej Codman i Burnham pojechali do Roota. Codman czekał w powozie. Burnham wszedł do środka.

Root walczył o każdy oddech. Przez cały dzień miał dziwne sny, w tym również ten, który powracał do niego często w przeszłości, że lata w powietrzu. Kiedy ujrzał Burnhama powiedział: „Nie zostawisz mnie więcej samego, prawda?”.

Burnham zapewnił, że nie, ale wyszedł, żeby sprawdzić, jak się miewa żona Roota siedząca w pokoju obok. Kiedy z nią rozmawiał, weszła kuzynka i powiedziała, że Root zmarł. Zgodnie z jej słowami, w ostatnich chwilach życia poruszał palcami po koldrze, jakby grał na pianinie. „Słyszysz? — zapytał ją. — Czy to nie cudowne? To właśnie nazywam muzyką”.

Dom pogrążył się w niesamowitej ciszy żałoby, zakłócaney jedynie sykiem gazowych lamp i znużonym tykaniem zegarów. Burnham, na dole, krążył w kółko. Nie wiedział, że jest obserwowany. Ciotka Harriet Monroe, Nettie, siedziała na ciemnych schodach prowadzących z gabinetu Roota na pierwsze piętro. Nasłuchiwała kroków Burnhama. W palenisku za jego plecami palił się ogień i rzucał wielkie cienie na przeciwległą ścianę. „Pracowałem. Planowałem i marzyłem, żebyśmy się stali największymi architektami na świecie — mówił Burnham. — Zmusiłem go, żeby to dostrzegł i żeby się na tym skupił... A teraz on sobie umiera... Niech to szlag, niech to szlag, niech to szlag!”.

Śmierć Roota oszołomiła Burnhama, oszołomiła całe Chicago. Burnham i Root byli partnerami i przyjaciółmi od osiemnastu lat. Zнали nawzajem swoje myśli. Nauczyli się polegać na umiejętnościach drugiego. A teraz Root odszedł. Ludzie zastanawiali się, czy jego śmierć oznacza również śmierć wystawy. W gazetach było mnóstwo wywiadów, w których czołowi obywatele miasta opisywali zmarłego jako główną siłę napędową całego przedsięwzięcia i twierdzili, że bez niego Chicago nie będzie w stanie zrealizować swojego marzenia. „Tribune” napisała, że Root był „z pewnością najbardziej znaczącym architektem Chicago, a być może nawet najlepszym w całym kraju”. Edward Jefferey, przewodniczący Komitetu do Spraw Terenu i Budynków Wystawy, powiedział: „Nie ma chyba architekta, który posiadałby zdolności i geniusz pozwalające podjąć prace przy wystawie tam, gdzie porzucił je pan Root”.

Burnham zachował milczenie. Rozważał wycofanie się z całego przedsięwzięcia. Walczyły w nim dwa uczucia: smutek i pragnienie, żeby wykrzyknąć publicznie, że to on, Burnham, był siłą napędzającą projekt ekspozycji. Że to on był tym partnerem, który nadawał rozpęd firmie Burnham & Root, który zmuszał ją do coraz większych osiągnięć.

Architekci ze Wschodniego Wybrzeża wyjechali w sobotę 17 stycznia. W niedzielę Burnham wziął udział w nabożeństwie żałobnym, w domu Roota przy Astor Place, a później w pogrzebie na cmentarzu Graceland, czarującym miejscu ostatniego spoczynku dla dobrze sytuowanych zmarłych, znajdującym się kilka kilometrów na północ od Pętli.

W poniedziałek z powrotem siedział za biurkiem. Napisał dwanaście listów. Obok, w biurze Roota, panowała cisza, meble przykryto pokrowcami. Ciepłariane kwiaty nasycaly swoim zapachem powietrze.

Stojące przed Burnhamem wyzwanie wydawało się jeszcze bardziej odstrasżające niż przedtem.

We wtorek upadł duży bank w Kansas City. W sobotę Lyman Gage oznajmił, że z dniem 1 kwietnia rezygnuje ze stanowiska prezesa wystawy, żeby zająć się

własnym bankiem. Dyrektor generalny ekspozycji, George Davis, początkowo nie chciał w to uwierzyć. „To jakiś nonsens — warknął. — Gage musi z nami zostać. Bez niego nie damy rady”.

Rozpoczęły się robotnicze zamieszki. Przywódcy związków zawodowych, czego obawiał się Burnham, zaczęli rzeczywiście wykorzystywać wystawę jako narzędzie do wywalczenia takich celów jak minimalna płaca i ośmiogodzinny dzień pracy. Ponadto istniały zagrożenia ze strony ognia, pogody i chorób. Już teraz zagraniczne gazety pytały, kto się odważy odwiedzić wystawę, będąc świadom osławionych problemów Chicago z kanalizacją. Nikt nie zapomniał, jak w 1885 roku zanieczyszczona woda spowodowała wybuch epidemii cholery i duru brzusznego, która zabiła aż dziesięć procent ludności miasta.

A wśród zasnuwającego Chicago dymu zbierały się bardziej mroczne siły. Gdzieś w sercu miasta młody irlandzki imigrant popadał w coraz większe szaleństwo, które miało go wreszcie pchnąć do czynu, jaki zaszokował cały kraj i zniszczył chwilę w marzeniach Burnhama będącą najważniejszą chwilą jego życia.

Nieco bliżej w skupionym oczekiwaniu uniosło głowę dużo dziwniejsze stworzenie. „Urodziłem się, mając w sobie diabła — napisało później. — Nic nie mogłem poradzić na to, że jestem mordercą, tak jak poeta nic nie może poradzić na to, że czuje inspirację do tworzenia poezji”.

CZEŚĆ II

Okropna walka

Chicago 1891—1893

Zjazd

We wtorek 24 lutego 1891 roku Burnham, Olmsted i Hunt wraz z pozostałymi architektami zebrali się w bibliotece na najwyższym piętrze Rookery. Celem spotkania miało być zaprezentowanie projektów głównych budynków ekspozycyjnych Komitetowi do Spraw Terenu i Budynków Wystawy. Przez cały ranek architekci obradowali we własnym gronie, a Hunt pełnił funkcję przewodniczącego. Podagra zmusiła go do trzymania jednej nogi na stole. Olmsted sprawiał wrażenie zmęczonego i słamszonego, tylko jego oczy błyszcząły jak kulki lazurytu. Do zespołu dołączył nowy członek, Augustus St. Gaudens, jeden z najlepiej znanych amerykańskich rzeźbiarzy, którego zaprosił Charles McKim, żeby pomógł ocenić rysunki. Członkowie Komitetu do Spraw Terenu i Budynków Wystawy przybyli o drugiej po południu. Biblioteka napelniła się zapachem cygar i zamrażniętej wełny.

W pokoju było ciemnawo, słońce zaczynało już zachodzić. Wiatr uderzał w okna. W kominku pod północną ścianą rozpalono duży ogień, który trzaskał i huczał, a gorące powietrze, niczym suche sirocco, powodowało mrowienie zmarzniętej skóry.

Po szorstkiej uwadze Hunta spotkanie się rozpoczęło.

Architekci po kolei wychodzili na środek biblioteki, rozwijali swoje rysunki i zawieszali na ścianie. Dla wszystkich natychmiast stało się jasne, że coś między nimi zaszło, zupełnie jakby w pokoju pojawiła się nowa siła. Mówili, jak wspominał Burnham, „niemal szeptem”.

Wszystkie zaprezentowane projekty były piękne, jeden bardziej wyszukany od drugiego. I ogromne — fantastyczne budynki stworzone w skali, jakiej nigdy wcześniej nie próbowano osiągnąć.

Hunt pokuśtykał na środek biblioteki i pokazał swój Budynek Administracyjny, który miał być najważniejszą budowlą wystawy, a jednocześnie bramą, przez którą zwiedzający będą wchodzić na jej teren. Zaprojektował obiekt na planie

ośmiokąta i zwieńczył kopułą, która od podstawy do szczytu miała osiemdziesiąt cztery metry wysokości, więcej niż kopuła amerykańskiego Kapitolu.

Następna zaprezentowana budowla okazała się jeszcze większa. Był to Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych autorstwa George'a B. Posta. Gdyby udało się go zbudować, byłby największym budynkiem, jaki wzniesiono na świecie, a przy jego budowie zużyto by tyle stali, że starczyłoby jej na dwa Mosty Brooklyńskie. Całość, zarówno w środku, jak i na zewnątrz, miała być oświetlona lampami elektrycznymi. Post umieścił w projekcie dwanaście elektrycznych wind, które miały wwozić zwiedzających na wyższe kondygnacje budynku. Aż cztery z nich poruszały się w centralnej wieży, skąd zwiedzający przechodzili na wewnętrzny most umieszczony sześćdziesiąt siedem metrów ponad podłogą, a dalej na zewnętrzny promenadę, z której rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na brzegi jeziora Michigan. Jak to określił jeden z przewodników po wystawie, „nigdy wcześniej taka panorama nie była dostępna zwykłym śmiertelnikom”.

Post zamierzał zwieńczyć budynek kopułą wysokości stu trzydziestu siedmiu metrów, co uczyniłoby z niego nie tylko największą budowlę na świecie, ale również najwyższą. Kiedy jednak rozejrzał się po bibliotece, dostrzegł w oczach swoich kolegów po fachu nie tylko podziw. Rozległy się szept. Tak silna więź łączyła z sobą tych architektów, że Post od razu zrozumiał, o co chodzi. Taka kopuła to byłoby już za wiele. Byłaby nie tyle zbyt wysoka, żeby można było w ogóle ją zbudować, ile zbyt dumna. Przyćmiłaby budynek zaprojektowany przez Hunta, a czyniąc to, przyćmiłaby również samego Hunta i zakłóciła harmonię innych budynków przy wielkim dziedzińcu. Dlatego, nie czekając na uwagi ze strony zebranych, Post powiedział cicho: „Nie będę nalegał na zbudowanie tej kopuły. Lepiej będzie, jeśli przeprojektuję tę część budynku”. Jego wypowiedź spotkała się z jednogłośnie, choć milczącą aprobatą.

Sullivan już raz przeprojektował swój budynek, zgodnie z sugestią Burnhama. Burnham chciał zlecić firmie Adler & Sullivan zaprojektowanie Sali Koncertowej wystawy, ale ci, częściowo dlatego, że czuli się skrzywdzeni, odrzucili tę propozycję. Wówczas zaproponował im zaprojektowanie Budynku Transportu, na co wyrazili zgodę. Dwa tygodnie przed spotkaniem Burnham napisał do Sullivana, sugerując, żeby zmodyfikował swój projekt, tworząc „jedno wielkie wejście od strony wschodniej, co pozwoli uczynić je dużo bogatszym niż te dwa,

które Pan proponuje [...]. Jestem pewien, że efekt, jaki będzie wywoływał Pański budynek, stanie się znacznie większy niż przy zachowaniu proponowanego rozwiązania dwóch wejść po dwóch stronach, z których żadne nie mogłoby być równie wspaniałe i efektowne jak wejście centralne”. Sullivan przyjął tę sugestię, ale nigdy nie zdradził, skąd wziął ten pomysł, choć to pojedyncze imponujące wejście szeroko komentowano podczas wystawy.

Wszyscy architekci, łącznie z Sullivanem, ulegli magii tej chwili, choć Sullivan później temu zaprzeczał. Kiedy następny architekt rozwijał swoje rysunki, „napięcie stawało się niemal bolesne” — wspominał Burnham. Rzeźbiarz Augustus St. Gaudens, wysoki, smukły i z kozią bródką, siedział w kącie zupełnie nieruchomo, jak figura woskowa. Na wszystkich twarzach Burnham widział „spokojne skupienie”. Było dla niego jasne, że architekci w końcu zrozumieli, że Chicago mówiło poważnie o swoich wielkich planach związanych z wystawą. „Rozwijano rysunek po rysunku — wspominał Burnham — a w miarę jak upływał ten dzień, w umysłach wszystkich obecnych formował się obraz, wizja znacznie wspanialsza i piękniejsza niż te, jakie dotąd istniały nawet w najbujniejszej fantazji”.

Kiedy nadszedł zmierzch, zapalono palniki gazowe, które zaczęły syczeć jak rozłoszczone koty. Ich światło oraz ogień buzujący w wielkim kominku sprawiały, że wierzchołek Rookery zdawał się płonąć. „W pokoju panowała cisza jak w grobowcu — napisał Burnham. — Było słycać tylko głos architekta prezentującego swój projekt. Zupełnie jakby wszystkich trzymał w swojej mocy ogromny magnes”.

Rozwieszono ostatni rysunek. Później jeszcze przez kilka chwil w bibliotece panowała cisza.

Lyman Gage, nadal prezes wystawy, poruszył się pierwszy. Ten bankier — wysoki, sztywny i zachowujący konserwatyzm tak w kwestii zachowania, jak i stroju — poderwał się nagle z miejsca i podszedł do okna, drżąc z emocji.

„Panowie, oddajecie się marzeniom — powiedział niemal szeptem. — Mam nadzieję, że uda się zrealizować choć połowę tej wizji”.

Teraz podniósł się Augustus St. Gaudens, który przez cały dzień zachowywał milczenie. Podszedł szybkim krokiem do Burnhama i ujął jego ręce w swoje dłonie. „Nie sądziłem, że ujrzę taką chwilę — powiedział. — Czy wiesz, przyjacielu, że było to największe spotkanie artystów od piętnastego stulecia?”

Olmsted również wyczuł, że zdarzyło się coś niezwykłego, ale spotkanie obudziło w nim też niepokój. Po pierwsze, potwierdziła się jego obawa, że architekci tracą z oczu naturę budynków, które zamierzają zbudować. Wspólna wizja wyłaniająca się z tych rysunków była w jego oczach zbyt poważna i monumentalna. W końcu chodziło przecież o przygotowanie Wystawy Światowej, na której ludzie powinni się przede wszystkim dobrze bawić. Świadom coraz większej wagi, jaką architekci przywiązują do wielkości, na krótko przed spotkaniem napisał do Burnhama, podpowiadając mu sposoby ożywienia parku Jacksona. Chciał, żeby po lagunach i kanałach pływało wszelkie możliwe ptactwo wodne oraz niewielkie łódki. Ale nie „jakieś tam łódki, tylko odpowiednie”. Ten temat stał się jego obsesją. W jego pojęciu architektura krajobrazu obejmowała wszystko co rośnie, lata, pływa albo w inny sposób pojawia się w projektowanej scenerii. Róże były muśnięciami czerwieni, łódki dodawały krajobrazowi życia. Ale tylko pod warunkiem, że zostanie wybrany właściwy ich rodzaj. Obawiał się skutków oddania decyzji w tym zakresie jednemu z licznych komitetów. Chciał, żeby Burnham od początku znał jego poglądy.

„Musimy sprawić, aby ruch po kanałach stanowił na wystawie element ożywczy i wesół” — napisał Olmsted. Gardził hałasem i dymem łodzi parowych. Chciał, żeby na potrzeby parku Jacksona zaprojektowano specjalnie łodzie elektryczne, pełne wdzięku i ciche. Uważał za najważniejsze, by pozostawały w bezustannym ruchu, nie powodując hałasu. Tylko w ten sposób mogłyby stanowić odpoczynek dla oka i ucha. „Należy się domagać, aby stworzono regularne linie łódek, jak linie omnibusów na ulicach miasta” — proponował. Pragnął również, żeby po wodach wystawy pływała flotyła dużych brzoźowych canoe, w których wiosłowaliby Indianie ubrani w skóry jeleni i pióropusze, a przy przystani cumowały rozmaite zagraniczne jednostki pływające. „Mam tu na myśli malajskie proa, katamarany, arabskie dau, chińskie sampany, japońskie pilotówki, tureckie kaiki, eskimoskie kajaki, alaskańskie wojenne kanu, zadaszone łodzie ze szwajcarskich jezior i tak dalej”.

Jednak jeszcze ważniejszym skutkiem spotkania w Rookery było uświadomienie sobie przez Olmsteda, że wzniosłe marzenia architektów w znacznym stopniu zwiększą i skomplikują już i tak przerażające wyzwanie, jakie czekało go w parku Jacksona. Kiedy wraz z Calvertem Vauxem projektowali Central Park

w Nowym Jorku, zaplanowali efekty wizualne, które miały stać się widoczne dopiero po kilku dekadach. A tutaj miał zaledwie dwadzieścia sześć miesięcy na zmienienie zdewastowanego pustkowia w coś w rodzaju Wenecji i na pokrycie brzegów jeziora, wysp, tarasów i alei wszelkimi możliwymi roślinami, które byłyby w stanie stworzyć wrażenie bogactwa natury, spełniającego jego wizję. Wstępne projekty budynków zaprezentowane na spotkaniu uświadomiły mu, że czasu będzie jednak dużo mniej niż dwadzieścia sześć miesięcy. Prace, które w największym stopniu zdeterminują sposób, w jaki zwiedzający będą postrzegać wystawę — zasadzenie i uzyskanie odpowiedniego wzrostu roślinności wokół głównych budynków — można będzie wykonać dopiero po zakończeniu głównego etapu budowy, kiedy zniknie cały sprzęt budowlany, tymczasowe drogi i ścieżki oraz inne herezje estetyczne. Budowle zaprezentowane w Rookery były jednak tak ogromne, tak pełne szczegółów, że ich budowa najprawdopodobniej zajmie większość pozostałego na przygotowania czasu, niewiele pozostawiając go na jego zadania.

Wkrótce po spotkaniu Olmsted opracował strategię prac krajobrazowych w parku Jacksona. W dziesięciostronicowym memorandum przedstawił istotę tego, w co wierzył przy projektowaniu krajobrazu, oraz sposób, w jaki zamierza walczyć o wyczarowanie efektów większych niż zwykły pokaz płatków i liści.

Skoncentrował się na centralnej lagunie, którą pogłębiarki już wkrótce miały zacząć wycinać w brzegu jeziora. Na jej środku miała pozostać wyspa, ochrzczo-na po prostu Wyspą Leśną. Główne budynki wystawy wznoszono by wzdłuż zewnętrznych brzegów laguny. Zdaniem Olmsteda, ten rejon stanowił największe wyzwanie. Wielki dziedziniec miał być architektonicznym sercem ekspozycji, a centralna laguna i Wyspa Leśna — sercem jej krajobrazu.

Przede wszystkim Olmsted pragnął uzyskać krajobrazową „aurę poetycznej tajemniczości”. Zamierzał wykorzystać kwiaty zupełnie inaczej niż w tradycyjnym ogrodnictwie — każda roślina zielna, każdy krzew i każde drzewo miały pełnić funkcję zgodną z tym, jak oddziałują na ludzką wyobraźnię. Sposobem na uzyskanie takiego efektu było, jak napisał, „skomplikowane zmieszanie wielu form liści, w miejscach eksponowanych nakładanie się i wymieszanie liści i łodyg o różnych odcieniach zieleni z innymi liśćmi i łodygami, stanowiącymi dla nich tło, dzięki czemu staną się mniej dokładnie zdefiniowane i bardziej zaciemnione, a jednak rozświetlone częściowo przez promienie słońca odbite w wodzie”.

Olmsted miał nadzieję, że stworzy dla oczu zwiedzających prawdziwy bankiet — spodnie części liści miały skrzyć się odbitym światłem, jasne kolory przebijać się spomiędzy źdźbeł wysokiej trawy, kołyszących się na wietrze. Nigdzie, jak napisał, nie powinno się tworzyć „wystawy kwiatów przyciągających uwagę dla siebie samych. Kwiaty zostaną użyte do stworzenia efektu plam i przebłysków jasnych kolorów, przebijając się nieśmiało przez wszechobecną zieleń. Należy unikać wszelkiego przepychu, jaskrawości lub krzykliwości kwiatów”.

Na brzegach Wyspy Leśnej Olmsted planował zasadzić paprocie, turzyce i wdzięczne sitowie, żeby wyczarować wrażenie obfitości i kunsztowności oraz „lekką przysłonić, nie zasłaniając całkowicie, kwiaty, które w innym wypadku zbyt mocno przyciągałyby wzrok”. Wyobrażał sobie ogromne pola pałek szerokolistnych, poprzetykanych sitowiem, kosaćcami i tatarakiem, wśród których kryłyby się kępy kwitnących kwiatów, na przykład jaskrawoczerwonej stroiczki szkarłatnej i żółtych, pelzających nisko jaskrów — posadzonych, jeśli okaże się to konieczne, na nieco wyniesionych stanowiskach, aby były widoczne wśród kołyszących się zielonych liści zajmujących pierwszy plan.

Na drugim, nieuczęszczanym brzegu, poniżej przylegających do budynków tarasów, zamierzał zasadzić rośliny pachnące, takie jak wiciokrzewy i orszeliny, aby ich zapach docierał do zwiedzających, gdy będą podziwiać widok na wyspę i lagunę.

Całościowy rezultat, napisał, „do pewnego stopnia mieć będzie charakter teatralnej sceny, królującej na wystawie przez jedno lato”.

Ale co innego przedstawić swoją wizję na papierze, a co innego wprowadzić ją w życie. Olmsted miał niemal siedemdziesiąt lat, bolały go zęby, w głowie mu huczało, a każda kolejna noc zmieniała się w pustynię bezsenności. Miał napięty plan zleceń nawet i bez wystawy — najważniejszym z nich było Biltmore, posiadłość Vanderbiltów w Północnej Karolinie. Gdyby wszystko poszło idealnie — to znaczy gdyby jego zdrowie nie pogorszyło się już bardziej, gdyby pogoda się utrzymała, gdyby Burnham ukończył budynki w terminie, gdyby prac nie zakłócały strajki, a liczne komitety i rady, które przeżywał „armią setek naszych szefów”, pojęły, że Burnhama należy zostawić w spokoju — zapewne byłby w stanie ukończyć projekt na czas.

W pewnym artykule w „Engineering Magazine” zadano pytanie, które nie padło podczas spotkania na najwyższym piętrze Rookery: „Jakim sposobem taka wielka budowa, znacznie przewyższająca rozmiarem wystawę paryską z 1889 roku, zostanie ukończona w zaledwie dwa lata?”.

Również Burnhamowi spotkanie w Rookery uświadomiło z przeraźliwą jasnością, jak niewiele czasu pozostało. Nic nie szło gładko, a na dodatek wszystko trwało dłużej niż powinno. Pierwsze prawdziwe prace w parku Jacksona rozpoczęły się 11 lutego, kiedy pięćdziesięciu włoskich imigrantów, zatrudnionych przez MacArthur Brothers, firmę budowlaną z Chicago, zaczęło kopać rów odpływowy. To było nic, zwykła rutyna, ale wieść o tych pracach rozeszła się szybko. W parku zjawili się pięciuset związkowców i przepędzili imigrantów. Dwa dni później, w piątek 13 lutego, sześciuset ludzi protestowało na terenie budowy przeciwko zatrudnianiu przez MacArthurów, jak to określano, „importowanych” robotników. Następnego dnia na pracowników MacArthurów zaszarżowało 2 tysiące ludzi, wielu uzbrojonych w zaostrzone kije. Złapano dwóch imigrantów i zaczęto ich bić. Interweniowała policja, tłum się wycofał, a McArthur poprosił burmistrza Cregiera o ochronę. Cregier polecił wniknąć w tę sprawę prawnikowi zatrudnianemu przez miasto, młodemu człowiekowi o nazwisku Clarence Darrow. Minęły dwa kolejne dni. Reprezentanci związków zawodowych spotkali się z przedstawicielami wystawy, żądając ograniczenia dnia pracy do ośmiu godzin, płacenia stawek narzuconych przez związki i dawania pierwszeństwa przy zatrudnieniu członkom organizacji. Po dwóch tygodniach obrad rada nadzorcza wystawy zgodziła się na ośmiogodzinny dzień pracy, obiecując, że pozostałe żądania przemysłu.

Konflikty pojawiły się również wśród ludzi nadzorujących organizację ekspozycji. Złożony z polityków Komitet Narodowy, na którego czele stał dyrektor generalny George Davis, chciał uzyskać finansową kontrolę nad przedsięwzięciem. Firma Exposition Company, stworzona przez czołowych biznesmenów z Chicago, na której czele stał prezes Lyman Gage, odmówiła. To ona zebrała pieniądze i, na Boga!, to ona zamierzała je wydać w sposób, jaki sama uzna za stosowne.

Wszystkim rządziły komitety. Dotychczasowe doświadczenia przyzwyczyły Burnhama do sprawowania całkowitej kontroli nad budżetem, jaki był konieczny, żeby wznosić drapacze chmur. A teraz na każdym kroku musiał prosić o zgodę komitet wykonawczy Exposition Company, nawet na to, żeby kupić deski kreślarskie. To było niezwykle frustrujące. „Musimy pchnąć sprawy naprzód — pisał Burnham. — Opóźnienia zdają się nie mieć końca”.

Niemniej czynił pewne postępy. Na przykład przeprowadził konkurs, który miał wyłonić panią architekt zdolną zaprojektować na potrzeby wystawy Budynek Kobiet. Wygrała dwudziestojednoletnia Sophia Hayden z Bostonu. Całe jej wynagrodzenie miała stanowić nagroda w konkursie, 1 tysiąc dolarów, choć każdy z architektów mężczyzn dostał 10 tysięcy. Sceptycznie odnoszono się do pomysłu, żeby zaprojektowanie tak ważnego budynku powierzyć zwykłej kobiecie, i do jej samodzielności przy tym zadaniu. „Zbadaliśmy wnikliwie fakty i stwierdziliśmy, że ta kobieta nie miała żadnej pomocy przy pracy — napisał Burnham. — Rysunki wykonała samodzielnie w domu”.

W marcu wszyscy architekci zgodnie uznali, że budowa posuwa się zbyt wolno. Gdyby ich projekty wykonano, jak początkowo planowali, z kamienia, stali i cegieł, nie było takiej siły, żeby były gotowe na dzień otwarcia. Dlatego przegłosowali pokrycie elewacji tych budynków wytrzymałą zaprawą gipsowo-włókninową. Taką zaprawą można było pokrywać drewniane ramy ścian albo kształtować z niej kolumny i posągi, uzyskując złudzenie kamienia. „Na całym terenie wystawy nie będzie ani jednej cegły” — stwierdził Burnham.

W samym środku tego wszystkiego, kiedy pracy cały czas przybywało, Burnham uświadomił sobie, że nie może już dłużej odkładać sprawy zatrudnienia projektanta na miejsce ukochanego Johna Roota. Potrzebował kogoś, kto zająłby się bieżącą działalnością firmy, kiedy on sam będzie doglądał budowy ekspozycji. Pewien przyjaciel zarekomendował mu Charlesa B. Atwooda z Nowego Jorku. Krążyły o tym człowieku różne opowieści i powszechnie wątpiono, czy można na nim polegać. Choć McKim odradzał, Burnham umówił się na spotkanie z Atwoodem w Nowym Jorku, w hotelu Brunswick.

Atwood wystawił go do wiatru. Burnham czekał godzinę, po czym wyszedł, zamierzając złapać powrotny pociąg do Chicago. Kiedy przechodził przez ulicę, podszedł do niego przystojny mężczyzna o ciemnych, świdrujących oczach. Miał na sobie czarny melonik i czarną pelerynę. Zapytał, czy ma przyjemność z panem Burnhamem.

„Zgadza się” — odparł Burnham.

„Jestem Charles Atwood. Chciał mnie pan widzieć?”

Burnham zmierzył go wzrokiem.

„Wracam do Chicago. Przemyślę sprawę i dam panu znać”.

Burnham zdążył na pociąg, a po przyjeździe do Chicago udał się prosto do swojego biura. Kilka godzin później do jego gabinetu wkroczył Atwood. Przyjechał tutaj za Burnhamem z Nowego Jorku.

Dostał tę pracę.

Jak się później okazało, Atwood skrywał pewien sekret. Był uzależniony od opium, co wyjaśniało wyraz jego oczu i dziwaczne zachowanie. Ale Burnham uznał go za geniusza.

Dla siebie i dla wszystkich, którzy przychodzili do jego biura w „chałupie”, Burnham wywiesił nad swoim biurkiem napis: SPIESZ SIĘ.

Czasu było tak mało, że komitet wykonawczy bezzwłocznie rozpoczął planowanie ekspozycji i wyznaczanie komisarzy wystawy, którzy na całym świecie mieli zbierać eksponaty. W lutym komitet przegłosował decyzję o wysłaniu młodego oficera piechoty, porucznika Masona A. Schufeldta, do Zanzibaru. Miał on odszukać plemię Pigmejów, o których istnieniu dowiedziano się niedawno z relacji dziennikarza Henry'ego Stanleya, wslawionego uratowaniem zaginionego Davida Livingstone'a, i przywieźć na wystawę „rodzinę tych dzikich karłów liczącą dwanaście lub czternaście osób”.

Komitet dał porucznikowi Schufeldtowi dwa i pół roku na wykonanie tego zadania.

Tymczasem Chicago, odgradzone od terenu wystawy nowym płotem, ogarniał zamęt i smutek. Przywódcy związków zawodowych grozili zorganizowaniem przeciw ekspozycji związkowców na całym świecie. „The Inland Architect”, cennie chicagowskie czasopismo, donosiło: „Ta nieamerykańska instytucja, związki zawodowe, propaguje nieamerykańskie zasady ograniczania lub odbierania wolności osobistej na nowym polu, to znaczy próbuje w jak największym stopniu przeszkadzać organizacji wystawy światowej”. Takie zachowanie, zdaniem redakcji, „w krajach mniej oświeconych i bardziej arbitralnych niż nasz

nazwano by zdradą”. Kondycja finansowa państwa dalej się pogarszała. W najnowszych chicagowskich drapaczach chmur biura stały puste. Tak się stało z budynkiem Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości, który trwał wielki, ciemny i w większości pusty kilka przecznic od Rookery. Dwadzieścia pięć tysięcy bezrobotnych krążyło po ulicach miasta. W nocy spali na komisariatach policji i w piwnicach ratusza. Związki zawodowe stawały się coraz silniejsze.

Stary świat przemijał. Zmarł P. T. Barnum, znany impresario cyrkowy, a złodzieje zwłok próbowali obrabować jego grób. Zmarł również generał William Tecumseh Sherman. W Atlancie świętowano z tego powodu, w końcu podczas wojny secesyjnej zdobył i spalił to miasto, walcząc po stronie Unii. Z zagranicy donoszono, zresztą błędnie, że Kuba Rozpruwacz powrócił. Krwawa zbrodnia w Nowym Jorku — brutalne morderstwo prostytutki Carrie Brown — zdawała się sugerować, że wyemigrował do Ameryki.

Tymczasem major R. W. McLaughry, były naczelnik więzienia stanu Illinois w Joliet, zaczął przygotowywać Chicago na falę zbrodni, którą, jak wszyscy oczekiwali, pociągnie za sobą wystawa. Otworzył w Auditorium Building biuro, które miało przyjmować i dystrybuować dane znanych przestępców według systemu Bertillona. System ten, opracowany przez francuskiego kryminologa Alphonse'a Bertillona, wymagał, aby policja dokonywała dokładnego pomiaru podejrzanych oraz notowała wszystkie ich cechy charakterystyczne. Bertillon wierzył, że wymiary każdego człowieka są niepowtarzalne, a zatem pozwalają odkryć prawdziwą tożsamość przestępców, którzy przenosili się z miasta do miasta, używając fałszywych nazwisk. W teorii detektyw z Cincinnati mógł przetelegrafować kilka liczb do śledczych w Nowym Jorku, a ci byli w stanie sprawdzić, czy posiadają takie same.

Pewien dziennikarz zapytał majora McLaughry'ego, czy wystawa naprawdę przyciągnie do miasta element kryminalny. Ten wahał się przez chwilę, a potem powiedział: „Uważam, że jest konieczne, żeby tutejsze władze przygotowały się na największy zjazd kryminalistów, jaki odbył się w tym kraju”.

Przyprawianie rogów

W rodzinie Connerów, mieszkającej w budynku Holmesa na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace, w sąsiedztwie przezywanym „zamkiem”, panował zamęt. Śliczna, ciemnowłosa Gertrude — siostra Neda — pewnego dnia cała we łzach oznajmiła, że nie zostanie w tym domu ani chwili dłużej i zamierza złapać pierwszy pociąg do Muscatine w stanie Iowa. Ned błagał, żeby mu wyjaśniła, co się stało, ale odmówiła.

Conner wiedział, że do siostry zalecał się pewien młody człowiek, i sądził, że jej łzy mają związek z czymś, co ten młodzieniec jej powiedział albo zrobił. Być może popełnili „niedyskrecję”, choć nie przypuszczał, by siostra była zdolna do aż takiego moralnego upadku. Ale im natarczywiej się dopytywał, co się stało, tym bardziej stawała się niespokojna i tym bardziej zamykała się w sobie. Żałowała, że kiedykolwiek przyjechała do Chicago, bo było to przeklęte, piekielne miejsce, pełne hałasu i kurzu, i dymu, i nieludzkich wież, które zasłaniały słońce. Nienawidziła tego miasta — a już szczególnie nienawidziła tego ponurego budynku i niemilknącego nigdy hałasu budowy.

Kiedy korytarzem przechodził Holmes, odwróciła się i zaczerwieniła, ale brat nic nie zauważył.

Ned wezwał firmę przewozową, żeby zabrała jej kufer. Odprowadził ją na stację. Nic mu nie chciała wyjaśnić, a pożegnała się z nim cała we łzach. Wkrótce pociąg ruszył ze stacji w kłębach dymu.

Po powrocie do Iowa — w bezpiecznym, choć nijakim Muscatine — Gertrude zachorowała... Taki przypadek. Choroba okazała się śmiertelna. Holmes zapewnił Neda, że bardzo mu przykro z powodu jego straty, ale w jego oczach widniał tylko płaski, błękitny spokój. Wyglądały jak jezioro w spokojny sierpniowy poranek.

Po wyjeździe Gertrude napięcie między Nedom a Julią wzrosło. Ich małżeństwo nigdy nie było dobrane. Jeszcze w Iowa byli bliscy rozstania, a teraz

znowu ich związek zaczął się rozpadać. Pearl, ich córka, zachowywała się coraz gorzej, w miarę jak psuły się stosunki w rodzinie. Albo milczała ponuro, albo miała napady złości. Ned nic z tego nie rozumiał. Miał „beztroską, niewinną naturę — jak napisał jakiś czas potem jeden z reporterów — i nigdy niczego nie podejrzewał”. Nie zauważył tego, co widzieli i jego przyjaciele, i stali klienci. „Przyjaciele powtarzali mi, że coś jest między Holmesem a moją żoną — opowiadał później. — Początkowo w to nie wierzyłem”.

Jakby wbrew tym ostrzeżeniom i rosnącemu niepokojowi, Ned wciąż podziwiał Holmesa. On sam był jedynie jubilerem w cudzym sklepie, natomiast jego pracodawca władał niewielkim imperium — a przecież jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Energia Holmesa i jego sukces sprawiały, że Ned czuł się jeszcze gorszy niż zwykle, szczególnie że Julia zaczęła na niego patrzeć jakby właśnie wyszedł z kadzi z lojem w Union Stock Yards.

Ned przyjął więc złożoną przez Holmesa ofertę, gdyż wydawało się na pierwszy rzut oka, że poprawi ona jego pozycję w oczach Julii. Mianowicie Holmes zaproponował, że odsprzeda mu całą drogerię na warunkach, które Ned — naiwny Ned — uznał za wyjątkowo wspaniałomyślne. Otóż jego pensja miała zostać podniesiona z 12 do 18 dolarów tygodniowo, aby było go stać na spłacanie sześciu dolarowej raty. Nie musiał się nawet kłopotać przekazywaniem tych 6 dolarów — Holmes miał je co tydzień odejmować automatycznie z jego, obecnie osiemnastodolarowej, pensji. Holmes obiecał również zająć się wszystkimi prawnymi aspektami transakcji i zarejestrować ją w magistracie. Ned miał jak dotąd dostawać 12 dolarów tygodniowo, ale obecnie byłby właścicielem dobrego sklepu w bogatej okolicy, która miała się stać jeszcze bogatsza z chwilą otwarcenia Światowej Wystawy Kolumbijskiej.

Conner przyjął propozycję, nie zastanawiając się wcale nad tym, dlaczego Holmes chce się pozbyć tak dochodowego interesu. Przestał się również niepokoić plotkami o romansie Holmesa z Julią. Gdyby między tym dwojgiem istniał jakiś niedyskretny związek, to czy szef oferowałby mu klejnot w koronie swojego imperium w Englewood?

Ku swojemu rozczarowaniu Ned wkrótce odkrył, że jego nowy status posiadacza w ogóle nie zmniejszył napięcia panującego w małżeństwie z Julią. Kłócili się teraz jeszcze bardziej, a okresy zimnego milczenia trwały coraz dłużej i wypełniały niemal wszystkie chwile, jakie spędzali razem. Holmes był pełen

współczucia. Postawił Nedowi lunch w swojej restauracji i przekonywał, że ich małżeństwo na pewno uda się ocalić. Julia była kobietą ambitną i oczywiście bardzo piękną, ale wkrótce na pewno wróci jej rozsądek.

Współczucie Holmesa było rozbijające, a myśl, że to on mógł być przyczyną zmiennych nastrojów Julii, wydawała się coraz bardziej niedorzeczna. Holmes zaproponował nawet, żeby Ned wykupił polisę na życie, ponieważ na pewno, kiedy ucichną jego małżeńskie nieporozumienia, będzie chciał zabezpieczyć los Julii i Pearl przed biedą po jego śmierci. Przekonywał również, żeby rozważył ubezpieczenie życia Pearl, i zaproponował, że sam zapłaci pierwszą składkę. Przyprowadził nawet agenta ubezpieczeniowego, niejakiego C. W. Arnolda.

Arnold twierdził, że zakłada nową agencję i pragnie sprzedać jak najwięcej polis, aby przyciągnąć uwagę największych firm ubezpieczeniowych. Wystarczy, żeby Ned zapłacił mu 1 dolara, a uzyska polisę, która zapewni na zawsze ochronę jego rodzinie.

Ale Ned nie chciał polisy. Odmawiał raz po raz, mimo nalegań Arnolda, aż wreszcie zaproponował, że skoro agent tak rozpaczliwie potrzebuje 1 dolara, to on mu go po prostu da.

Arnold i Holmes popatrzyli na siebie, a ich oczy były pozbawione wszelkiego wyrazu.

Wkrótce w drogerii zaczęli pojawiać się wierzyciele, domagając się zwrotu kredytów zabezpieczonych na wyposażeniu sklepu i zapasach maści, balsamów i innych towarów. Ned nie miał pojęcia o istnieniu tych długów i był pewien, że wierzyciele próbują go oszukać — dopóki nie okazali mu dokumentów podpisanych przez poprzedniego właściciela, H. H. Holmesa. Przekonawszy się, że długi są prawdziwe, Ned obiecał spłacić je najszybciej, jak będzie w stanie.

W tej kwestii Holmes również okazał mu współczucie, ale nic nie mógł zrobić. Każde rozwijające się przedsiębiorstwo generowało długi. Założył, że Ned wie przynajmniej tyle o interesach. Cóż, teraz będzie musiał do tego przywyknąć, bo, jak przypomniał, transakcja sprzedaży została już zrealizowana i nie można jej cofnąć.

Sprawa długów odnowiła podejrzenia Neda w stosunku do Holmesa i Julii. Zaczął przypuszczać, że przyjaciele mogą mieć rację i że między tą parą istnieje zakazany związek. Z pewnością wyjaśniałoby to zmianę, jaka zaszła w zachowaniu Julii, a nawet sprzedaż drogerii — być może była to milcząca ugoda: sklep w zamian za żonę.

Conner nie przedstawił Julii swoich podejrzeń. Zapowiedział jedynie, że jeśli jej zachowanie w domu nie ulegnie zmianie, jeśli nadal będzie taka zimna i wroga, to się rozstaną.

W odpowiedzi usłyszał tylko: „Już się nie mogę doczekać tej separacji”.

Mimo to żyli razem jeszcze jakiś czas, choć kłótnie stawały się coraz częstsze. W końcu Ned wykrzyknął, że ma dosyć, że ich małżeństwo jest skończone. Tę noc spędził w zakładzie fryzjerskim znajdującym się dokładnie pod ich mieszkaniem. Słyszał kroki żony, gdy chodziła po pokojach.

Następnego ranka oznajmił Holmesowi, że wyjeżdża i rzeka się swojego udziału w sklepie. Kiedy pracodawca nalegał, żeby przemyślał swoją decyzję, Ned się tylko roześmiał. Wyprowadził się z „zamku” i podjął pracę w sklepie jubilerskim w centrum Chicago, w firmie H. Purdy & Co. Pearl została z Julią i Holmesem.

Ned uczynił jeszcze jedną próbę odzyskania żony. „Kiedy wyprowadzałem się stamtąd, powiedziałem jej, że jeśli do mnie wróci i przestanie się kłócić, możemy znów żyć razem. Ale ona nie chciała wrócić”.

Przysiągł, że pewnego dnia wróci po Pearl. Wkrótce potem wyjechał z Chicago. Przeniósł się do Gilman w stanie Illinois, gdzie poznał pewną młodą kobietę i rozpoczął formalne zaloty. To zmusiło go do jeszcze jednych odwiedzin w budynku Holmesa, w sprawie rozwodu. Nie udało mu się wywalczyć opieki nad Pearl.

Po wyjeździe Neda, gdy rozwód stał się rzeczą przesądzoną, zainteresowanie Holmesa Julią zaczęło szybko wygasać. Obiecywał jej przedtem wielokrotnie, że się z nią ożeni, kiedy rozwód zostanie sfinalizowany, ale teraz taka

perspektywa wydawała mu się odpychająca. A już szczególnie nieatrakcyjna była obecność wiecznie obrażonej i pełnej pretensji Pearl.

Czasem w nocy, kiedy sklepy na parterze były już zamknięte, a Julia, Pearl i inni lokatorzy budynku spali, schodził do piwnicy, zawsze pamiętając, żeby zamknąć za sobą drzwi na klucz. Zapalał palnik w swoim piecu i podziwiał niezwykle żar, jaki był w stanie wytworzyć.

Stroskany

Burnham rzadko teraz widywał rodzinę. Wiosną 1891 roku na stałe zamieszkał w „chałupie” w parku Jacksona. Margaret została w Evanson z kilkoma służącymi, którzy pomagali jej w opiece nad piątką dzieci. Wprawdzie Burnhamów dzieliła jedynie krótka podróż pociągiem, jednak coraz większe wymagania, jakie stawiała Danielowi budowa wystawy, sprawiły, że była to odległość równie trudna do przebycia jak Przesmyk Panamski. Burnham mógł wysyłać telegramy, ale ich forma wymuszała zimną i niezręczną zwięzłość, a sposób przesyłania wykluczał wszelką prywatność. Dlatego pisał listy, i to często. „Nie wolno Ci sądzić, że ten pośpiech w moim życiu trwać będzie wiecznie — przekonywał żonę. — Po wystawie to rzucę. Już postanowiłem”. Wystawa była huraganem. „Opanowanie tej burzy jest moim największym pragnieniem”.

Co rano o świcie wychodził ze swojej kwatery i przeprowadzał inspekcję budowy. Sześć parowych pogłębiarek wielkości pływających stodół wgryzało się w brzeg jeziora, a pięć tysięcy robotników, uzbrojonych w łopaty, taczki i ciągnięte przez konie równiarki, powoli oczyszczało i niwelowało teren parku. Wielu z nich było ubranych w meloniki i płaszcze, jakby tylko tędy przechodzili i jakiś impuls kazał im się włączyć do pracy. Mimo obecności tak dużej liczby robotników na budowie brakowało zwykłego hałasu i krzątaniny. Park był po prostu za duży, a ludzie rozrzućeni w zbyt wielkiej odległości od siebie, aby obserwator mógł odnieść wrażenie intensywnej pracy. Jediną jej pewną oznaką był czarny dym unoszący się nad pogłębiarkami i wszechobecny zapach palonych liści, gdyż robotnicy podpalali stosy ściętych gałęzi. Lśniące białe słupki, którymi zaznaczono kształty planowanych budynków, sprawiały, że park wyglądał jak cmentarz z wojny secesyjnej. W tej surowości Burnham odnajdował piękno („Wśród drzew Wyspy Leśnej połyskiwały w słońcu długie białe namioty obozu założonego przez firmę budowlaną, stanowiąc miękką, białą nutę w tej burej okolicy, a

czysta, błękitna linia na horyzoncie jeziora kontrastowała radośnie z surowością i jałowością pierwszego planu”), ale powodowało ono również jego głęboką frustrację.

Prace postępowywały powoli, opóźniane przez pogarszające się relacje dwóch gremiów decyzyjnych odpowiedzialnych za zorganizowanie wystawy, czyli Komitetu Narodowego i firmy Exposition Company, oraz przez to, że architekci nie nadesłali do Chicago w terminie swoich rysunków. Wszystkie projekty były opóźnione. Na domiar złego nadal nie wymyślono nic, co byłoby w stanie przyćmić wieżę Eiffla, a prace nad budową terenów wystawowych weszły w tę niebezpieczną fazę początkową, w której zaczynają się pojawiać nagle i nieoczekiwane przeszkody.

Burnham wiedział, jak sobie radzić z osławioną nośnością gruntu w Chicago, ale warunki w parku Jacksona zaskoczyły nawet jego.

Na początku budowy nośność gruntu była „praktycznie nieznanym czynnikiem”, jak to ujął jeden z inżynierów. W marcu 1891 roku Burnham polecił przeprowadzenie testów, które pozwoliłyby ocenić, w jakim stopniu grunt będzie w stanie utrzymać wielkie budowle, wówczas znajdujące się jeszcze na kreślarskich deskach architektów. Szczególnie niepokojące było to, że obiekty te miały być wybudowane tuż obok świeżo wykopanych kanałów i lagun. Inżynierowie wiedzieli doskonale, że poddana naciskowi ziemia ma tendencję do przesuwania się i wypełniania sąsiadujących z nią wyrobisk. Pierwszy test przeprowadzono trzy i pół metra od laguny, w miejscu, gdzie miał się znajdować północno-wschodni narożnik Budynku Elektryczności. Wybudowano platformę o powierzchni jednej trzeciej metra kwadratowego i załadowano ją żelazem, aż uzyskano nacisk rzędu tysiąca trzystu czterdziestu kilogramów na metr kwadratowy — łącznie były to dwadzieścia dwie tony żelaza. Po piętnastu dniach stwierdzono, że platforma osiadła zaledwie pół centymetra. Wtedy, w odległości metra od niej wykopano głęboki rów. Przez następne dwa dni platforma osiadła o kolejne trzydzieści milimetrów, i to wszystko. To była dobra wiadomość. Oznaczała, że w fundamentach będzie można wykorzystać ruszt Rootera i nie martwić się o ewentualną katastrofę.

Chcąc się upewnić, że w całym parku panują takie same warunki gruntowe, Burnham polecił swojemu głównemu inżynierowi, Abrahamowi Gottliebowi, przeprowadzić podobne testy na terenach wyznaczonych pod inne budowle. Wszędzie uzyskiwano zbliżone wyniki, aż ludzie Gottlieba dotarli do miejsca, gdzie miał stanąć gigantyczny Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych projektu George'a Posta. Pod północną częścią obiektu grunt osiadł o mniej niż dwa

centymetry, tak samo jak w pozostałej części parku. Natomiast w części południowej platforma osiadła o dwadzieścia centymetrów, i to zanim robotnicy zdążyli ją w pełni obciążyć. W ciągu następnych czterech dni zapadła się jeszcze o osiemdziesiąt centymetrów i pewnie osiadałaby dalej, gdyby po prostu nie przerwano testu.

Sprawa była jasna: niemal wszędzie grunt w parku Jacksona był w stanie utrzymać „pływające fundamenty”, z wyjątkiem miejsca, gdzie miał się wznosić największy i najcięższy budynek na wystawie. Burnham zdawał sobie sprawę, że tutaj robotnicy będą musieli wbijać pale przynajmniej do warstwy twardego podłoża. Była to kosztowna komplikacja i źródło dodatkowych opóźnień.

Ale problemy z tym budynkiem dopiero się zaczynały.

W kwietniu 1891 roku Chicago poznało wyniki wyborów na stanowisko burmistrza. W najbogatszych klubach w mieście przemysłowcy świętowali i wznosili toasty. Carter Henry Harrison, którego uważali za polityka otwarcie sympatyzującego ze związkami zawodowymi, przegrał z Hempsteadem Washburnem, republikaninem. Burnham również pozwolił sobie na chwilę radości. W jego oczach Harrison reprezentował stare Chicago — pełne brudu, dymu i występku, czyli wszystko to, czemu wystawa miała zadać kłam.

Radosny nastrój przyćmiewała jednak trochę świadomość, że Harrison przegrał niewielką różnicą głosów, mniejszą niż cztery tysiące. Co więcej, uzyskał taki wynik bez wsparcia żadnej dużej partii. Kiedy odsunęli się od niego demokraci, wystartował jako kandydat niezależny.

W innej części miasta Patrick Prendergast oplakiwał porażkę. Harrison był jego bohaterem, jego nadzieją. Różnica głosów była jednak tak niewielka, że gdyby Harrison wystartował ponownie, na pewno by wygrał. Prendergast święcie w to wierzył i postanowił zdwoić wysiłki, żeby pomóc swojemu idolowi w odniesieniu sukcesu.

Burnhama nieustannie odrywały od prac w parku Jacksona inne sprawy. Nieoficjalnie pełnił funkcję ambasadora wystawy i musiał dbać o zachowanie dobrego imienia przedsięwzięcia oraz o przyszlą frekwencję. Zwykle były to pochłaniające czas i irytujące bankiety, spotkania i wycieczki — na przykład w czerwcu 1891 roku na żądanie dyrektora generalnego Davisa musiał podejmować w parku Jacksona hordy zagranicznych dygnitarzy, co zajęło mu dwa pełne dni. Niektóre takie okazje były jednak czystą przyjemnością. Kilka tygodni wcześniej Thomas Edison, powszechnie przezywany „Czarodziejem z Menlo Park”, złożył wizytę w „chałupie” Burnhama. Gdy gospodarz oprowadził go po budowie, Edison zaproponował, żeby do oświetlenia wykorzystano raczej żarówki, a nie łuki elektryczne, ponieważ dawały bardziej miękkie światło. Natomiast tam, gdzie nie można było uniknąć zastosowania lamp łukowych, należało je umieścić w białych kulach. I oczywiście Edison nalegał, aby do zasilania na wystawie użyto prądu stałego, czyli przeważającego wówczas standardu.

Miły nastrój tej wizyty maskował zaciętą walkę toczącą się poza granicami parku Jacksona o prawa do oświetlenia wystawy. Po jednej stronie barykady stała firma General Electric, powstała po przejęciu przez J. P. Morgana firmy Edisona i połączeniu jej z kilkoma innymi. Proponowała ona, że zainstaluje na ekspozycji system oświetlenia na prąd stały. Jej konkurentką była firma Westinghouse Electric, która była gotowa okablować park Jacksona instalacją na prąd przemienny, wykorzystując w tym celu patenty, które jej założyciel, George Westinghouse, odkupił kilka lat wcześniej od Nikoli Tesli.

Oferta General Electric opiewała na 1.8 miliona dolarów, przy czym firma twierdziła, że przedsięwzięcie nie przyniesie jej ani centa zysku. Kilku członków rady nadzorczej wystawy, posiadających akcje General Electric, zaczęło naciskać na Williama Bakera — prezesa Exposition Company po odejściu w kwietniu 1891 roku Lymana Gage'a — aby przyjął tę ofertę. Baker odmówił, nazywając ją „pawerską”. Wówczas, o dziwo, General Electric obniżyła koszt kontraktu do 554 tysięcy dolarów. Ale George Westinghouse, którego instalacja na prąd przemienny była z samej swojej natury tańsza i bardziej wydajna, złożył ofertę na 399 tysięcy dolarów. Wybór tej propozycji przez radę nadzorczą wystawy w znacznym stopniu zdeterminował kierunek rozwoju elektryczności.

Burnhama największym przerażeniem napawało to, że żaden z architektów nie przesłał na czas ukończonych rysunków.

Choć wcześniej zachowywał się służalczo wobec Richarda Hunta i ludzi ze Wschodniego Wybrzeża, obecnie zupełnie mu to przeszło. Dnia 2 czerwca 1891 roku w liście do Hunta napisał: „Brak Pańskich rysunków całkowicie nas unieruchamia. Czy możemy je otrzymać w tym stanie, w jakim są teraz, i dokończyć na miejscu?”.

Cztery dni później znów popędzał Hunta: „Opóźnienie, które Pan powoduje, nie przekazując rysunków, jest w największym stopniu bulwersujące”.

W tym samym miesiącu nastąpiła przerwa w pracach zespołu zajmującego się kształtowaniem krajobrazu, spowodowana poważną chorobą Olmsteda. On sam przypisywał ją zatruciu arsenikiem, wykorzystanym jako baza barwnika tapet w jego domu w Brookline. Być może jednak była to po prostu kolejna głęboka depresja, z rodzaju tych, jakie dręczyły go od lat.

Podczas rekonwalescencji zamówił cebulki kwiatowe i rośliny, które miały być uprawiane w dwóch wielkich szkółkach założonych na terenie wystawy. Były wśród nich: dąbrówka rozłogowa, starzec popielny, heliotropy odmiany President Garfield, przetacznik leśny, mięta polna, bluszcz pospolity i kanaryjski, werbeny, barwinki oraz pelargonie w najróżniejszych kolorach, wśród nich odmiany Black Prince, Christopher Columbus, Mrs. Truner, Crystal Palace, Happy Thought i Jeanne d'Arc. Rozesłał również armię zbieraczy na wybrzeża jeziora Calumet. Zebrano tam łącznie dwadzieścia siedem wagonów kosaćców, turzycy, sitowia i innych nadwodnych traw i roślin oraz cztery tysiące skrzynek korzeni lilii wodnych. Te ostatnie ludzie Olmsteda szybko zasadzili, po czym przyglądali się bezradnie, jak większość obumiera z powodu ciągle zmieniającego się poziomu wody jeziora.

Choć roślinność w szkółkach rozkwitała, tereny parku zostały jej zupełnie pozbawione. Robotnicy użyźnili ziemię tysiącem wagonów nawozu dostarczonego przez Union Stock Yards i kolejnymi dwoma tysiącami pochodzącymi od koni pracujących w parku Jacksona. Obecność tak wielkich połaci odsłoniętej ziemi i nawozu zaczęła być problemem. „Wystarczająco źle było podczas upałów, kiedy wiejący ze wschodu wiatr oślepił i ludzi i zwierzęta — pisał Rudolf Ulrich, kierownik robót wyznaczony przez Olmsteda. — Ale jeszcze gorzej zrobiło się

podczas deszczów, kiedy nieodwodniona i świeżo nawieziona ziemia nasiąkła wodą”. Konie zapadały się w błoto po brzuch.

Była już pełnia lata 1891 roku, kiedy do parku Jacksona dotarły ostatnie rysunki architektów. W miarę ich dostarczania Burnham ogłaszał przetargi na budowę. Miał pełną świadomość, że opieszałość architektów spowodowała opóźnienia w jego planach, dlatego w kontrakty firm budowlanych wstawiał klauzule, które czyniły z niego — jak to określiła „Chicago Tribune” — „tyrana”. W każdej umowie dokładnie określał datę oddania budynku oraz kary finansowe za każdy dzień opóźnienia. Pierwszy przetarg ogłosił 14 maja, a dotyczył on Budyńku Górnictwa. Chciał, żeby wzniesiono go do końca roku, co w najlepszym razie dawało siedem miesięcy na budowę (mniej więcej tyle czasu potrzebowałby właściciel domu w dwudziestym pierwszym wieku na zbudowanie garażu). „Jest arbitrem wszystkich dyskusji, a od jego decyzji nie ma odwołania — donosiła »Tribune«. — Jeśli w opinii pana Burnhama firma nie zatrudni dość robotników, żeby ukończyć budowę na czas, przysługuje mu prawo zatrudnienia odpowiedniej liczby ludzi i obciążenia firmy budowlanej kosztami”. Budynek Górnictwa był pierwszą z głównych budowli wystawy, jaką zaczęto wznosić, ale prace nad nim rozpoczęły się po 3 lipca 1891 roku, co pozostawiało mniej niż szesnaście miesięcy do dnia inauguracji.

W miarę jak rozpoczynały się poszczególne budowy, oczekiwania wobec parku zaczęły wzrastać. Pułkownik William Cody — Buffalo Bill — ubiegał się o koncesję na widowisko o Dzikim Zachodzie. Wrócił właśnie z pełnego sukcesów tournée po Europie, ale Komisja Budżetowa odrzuciła jego podanie ze względu na „niestosowność”. Niezrażony Cody zakupił dużą parcelę przylegającą do parku. Tymczasem w San Francisco dwudziestojednoletni przedsiębiorca o nazwisku Sol Bloom uświadomił sobie, że wystawa pozwoli mu wreszcie wykorzystać zakup, jakiego dokonał dwa lata wcześniej na ekspozycji w Paryżu. Oczarowany prezentowaną tam algierską wioską, kupił prawa do jej wystawiania, wraz z mieszkańcami, na kolejnych wystawach. Komisja Budżetowa odrzuciła i jego wniosek. Bloom wrócił do San Francisco, planując wypróbować inne, bardziej okrzęne sposoby uzyskania koncesji — ostatecznie miały mu one przynieść dużo

więcej niż to, o co się ubiegał. A młody porucznik Schufeldt dotarł wreszcie do Zanzibaru. Dnia 20 lipca zatelegrafował do prezesa Williama Bakera, że jest pewien, że uzyska dowolną liczbę Pigmejów z Kongo, o ile zgodę wyrazi król Belgii. „Prezes Baker chce mieć tych Pigmejów, podobnie jak wszyscy inni organizatorzy” – pisała „Tribune”.

Na planach wystawa wyglądała imponująco. W jej centrum znajdował się Wielki Dziedziniec, który wszyscy zaczęli nazywać Dziedzińcem Honorowym. Ogromne budowle zaprojektowane przez Hunta, Posta, Peabody'ego i resztę sprawiały, że już sam ten dziedziniec zapowiadał się na cud. Ale to nie było wszystko. Niemal każdy stan wchodzący w skład Unii planował wzniesienie własnego budynku. To samo chciało uczynić blisko dwieście firm i zagranicznych rządów. Wystawa miała przewyższać paryską imprezę pod każdym względem – pod każdym, z wyjątkiem jednego. Ten brak bardzo martwił Burnhama. Nadal nie wymyślono niczego, co choć dawałoby się porównać – nie wspominając już o przyćmiewaniu – z wieżą Eiffła. Wieża ta, wznosząca się na ponad trzysta metrów, pozostawała najwyższą zbudowaną przez człowieka konstrukcją na świecie i stanowiła nieznośne przypomnienie triumfu Paryża. „Zeiffłowanie Eiffela” stało się okrzykiem wojennym rady nadzorczej wystawy.

Konkurs zorganizowany przez „Tribune” przyniósł falę nieprawdopodobnie dziwnych propozycji. C. E. Richtel z Bridgeport w stanie Connecticut zaproponował budowę wieży o podstawie wysokości trzydziestu metrów i szerokości stu pięćdziesięciu, w której proponował umieścić drugą wieżę, a w niej z kolei trzecią. Co jakiś czas skomplikowany system hydrauliczny powodowałby teleskopowe wysuwanie się wież w górę – cała operacja zabierałaby kilka godzin – po czym powoli wszystko wracałoby do początkowego ustawienia. Na szczycie wewnętrznej wieży miała się znajdować restauracja, choć zdecydowanie bardziej odpowiedni byłby burdel.

Inny wynalazca, J. B. McComber, reprezentujący Chicago-Tower Spiral-Spring Ascension and Toboggan Transportation Company, zaproponował budowę wieży wysokości 2727 metrów, prawie dziewięciokrotnie wyższej od wieży Eiffła, i średnicy podstawy rzędu trzystu metrów, zagłębionej w ziemi na sześćset metrów. Szczyt tej wieży byłby połączony kolejką nadziemną bezpośrednio z Nowym Jorkiem, Bostonem, Baltimore i innymi miastami. Po zakończeniu zwiedzania wystawy goście dość odważni, żeby wjechać windą na szczyt wieży, mogliby wyruszyć stamtąd prosto do domu. „Ponieważ koszt wieży i jej linii

kolejowych ma znaczenie drugorzędne, nie wspominam tu o nich, mogę natomiast przedstawić wyliczenia na prośbę oceniających projekt” — napisał McComber.

Trzecia propozycja wymagałaby od zwiedzających jeszcze większej odwagi. Twórca, który krył się za inicjałami R. T. E., zaproponował budowę wieży wysokiej na 1,2 kilometra, na której miałyby być umocowany kabel długości sześciuset metrów, wykonany z „najlepszej gumy”. Na jego drugim końcu miał się znajdować wagon na dwieście osób. Ten wagon, razem z pasażerami, byłby wystrzelany z platformy na całą długość kabla, po czym kołysałby się w powietrzu, dopóki sam się nie zatrzyma. Twórca projektu proponował, aby na ziemi, dla bezpieczeństwa, „umieszczono dwuipółmetrową warstwę puchowej pościeli”.

Wszyscy wydawali się myśleć wyłącznie w kategoriach wież, oprócz Burnhama, który uważał, że wieża nie jest najlepszym podejściem do zagadnienia. Eiffel zbudował ją pierwszy i zrobił to najlepiej. Jego wieża była nie tylko wysoka. Była wdziękiem zaklętym w stal i oddawała doskonale ducha epoki, podobnie jak w swoim czasie Chartres. Zbudowanie wieży byłoby jedynie naśladowaniem Eiffela na polu, które podbił już we Francji.

W sierpniu 1891 roku sam Eiffel zatelegrafował do rady nadzorczej wystawy z pytaniem, czy może przesłać własną propozycję wieży. Była to prawdziwa niespodzianka i początkowo wydawała się wszystkim doskonałym rozwiązaniem problemu. Prezes Baker natychmiast odelegrafował Eiffelowi, że rada z radością zapozna się z jego propozycją. Jak powiedział w wywiadzie, skoro wystawa ma mieć swoją wieżę, „to pan Eiffel powinien ją zbudować. Jeśli obejmie nadzór nad budową, nie będzie to taki znowu eksperyment. Będzie mógł ulepszyć swoje plany wieży z Paryża i, jak sądzę, należy przyjąć, że nie stworzy wieży pod jakimkolwiek względem gorszej od tamtej”. Jednakże dla amerykańskich inżynierów przyjęcie propozycji Eiffela było niczym policzek. W ciągu następnego tygodnia inżynierowie ze wszystkich zakątków Stanów Zjednoczonych wymienili się telegramami, aż cała historia zaczęła wyglądać nieco inaczej. Nagle wszystkim zaczęło się wydawać, że wieża Eiffla w Chicago jest rzeczą pewną — że to sam Eiffel ma „zeiffłować Eiffela”. Inżynierowie byli wściekli. Do biura Burnhama przyszedł długi list protestacyjny, podpisany przez czołowych konstruktorów w kraju.

Przyjęcie tej „znakomitej, dżentelmeńskiej propozycji — pisali — będzie równie stwierdzeniu, że wielka liczba amerykańskich inżynierów, o których

zdolnościach świadczą dzieła wykonane za granicą oraz rozsiane jak Stany długie i szerokie, nie posiada dostatecznych umiejętności, aby rozwiązać ten problem. Taka akcja obrabuje ich z okazji do zaprezentowania ich profesjonalnych możliwości”.

Burnham przeczytał ten list z zadowoleniem. Cieszyło go, że amerykańscy inżynierowie w końcu zaczęli traktować wystawę z pasją, choć tak naprawdę rada nadzorcza nic Eiffelowi nie obiecała. Jego formalna propozycja przybyła tydzień później: była to wieża stanowiąca w zasadzie wyższą wersję wieży paryskiej. Rada przekazała jego ofertę do tłumaczenia, zapoznała się z nią, a następnie grzecznie odrzuciła. Jeśli na wystawie koniecznie musiała być wieża, powinna to być wieża amerykańska.

Ale amerykańscy inżynierowie nadal nie mieli nic ciekawego do zaproponowania.

Wróciwszy do Kalifornii, Sol Bloom zwrócił się w sprawie koncesji dla swojej algierskiej wioski do Mike'a De Younga, wpływowego wydawcy „San Francisco Chronicle” i jednego z członków Komitetu Narodowego wystawy. Opowiedział mu o prawach, które zakupił w Paryżu, i o odrzuceniu jego oferty przez Komisję Budżetową.

De Young znał Blooma, który jeszcze jako nastolatek rozpoczął pracę w należącem do De Younga Alcazar Theater i wspinał się szybko po szczeblach kariery, aż w wieku dziewiętnastu lat objął stanowisko skarbnika. W wolnym czasie zreorganizował pracę kas, bileterów i sprzedawców napojów, tworząc bardziej efektywną i spójną strukturę, która bardzo podniosła dochodowość teatru i jego własną pensję. Następnie przeprowadził podobną reorganizację w innych teatrach i z każdego z nich regularnie otrzymywał prowizję. Do treści sztuk wystawianych w Alcazar wprowadzał nazwy popularnych produktów, barów i restauracji, na przykład Cliff Hous«, co stało się dla niego źródłem dodatkowych dochodów. Zorganizował również kadrę profesjonalnych klakierów, znanych jako „klaka”, którzy zapewniali pełne entuzjazmu owacje, domagali się bisów i wołali „Brawo!” każdemu artyście, który za to zapłacił. Większość występujących istotnie płaciła, nawet najslawniejsza diwa tamtych czasów, Adelina Patti. Pewnego

dnia w periodyku teatralnym Bloom natrafił na informację o nowym meksykańskim zespole, który, jego zdaniem, miał wszelkie szanse spodobać się w Ameryce. Przekonał menedżera zespołu, aby pozwolił mu sprowadzić muzyków na północ, na tournée. Zarobił na nim 40 tysięcy dolarów, a miał w tym czasie zaledwie osiemnaście lat.

De Young obiecał Bloomowi, że zbada sytuację. Tydzień później wezwał go do swego biura.

„Jak szybko będzie pan gotów udać się do Chicago?” — zapytał.

Zaskoczony Bloom odparł: „Myślę, że za dwa dni”.

Sądził, że De Young załatwił mu ponowną możliwość ubiegania się o koncesję Komisji Budżetowej. Zawahał się i wyjaśnił, że nie widzi sensu wyjazdu, dopóki rada wystawy nie zdecyduje, jakie rozrywki chce zorganizować.

„Sytuacja zmieniła się od naszej ostatniej rozmowy — oświadczył De Young. — Teraz jest nam potrzebny ktoś, kto się tym zajmie”.

Podał Bloomowi telegram od Exposition Company, upoważniający go do zatrudnienia osoby, która zajęłaby się udzielaniem koncesji w Zakątku Uciech oraz nadzorowała ich budowę i promocję.

„Pan został wybrany na to stanowisko” — oznajmił.

„Nie mogę go przyjąć — zaprotestował Bloom. Nie chciał wyjeżdżać z San Francisco. — A nawet gdybym chciał, to mam tutaj zbyt dużo do stracenia, żeby rozważać taką propozycję”.

De Young przyjrzał mu się uważnie.

„Do jutra nie chcę od pana słyszeć już ani słowa” — powiedział.

Chciał, żeby Bloom pomyślał, jakie wynagrodzenie chce dostać za pokonanie swoich wątpliwości.

Bloom się zgodził, ale tylko dlatego, że propozycja De Younga dawała mu możliwość odrzucenia oferty w elegancki sposób. Uznał, że jedyne, co musi zrobić, to wymienić tak wysoką kwotę, żeby De Young nie mógł jej zaakceptować, „a kiedy szedłem ulicą, zdecydowałem, ile to będzie”.

„Kiedy pan tutaj wróci, powie mi pan, jaką chce mieć pan pensję — pożegnał go De Young. — Ja ją albo zaakceptuję, albo odrzucę. Nie będziemy negocjować. Czy to jasne?”.

Burnham starał się przewidzieć wszystkie możliwe zagrożenia dla wystawy. Miał świadomość, że Chicago ma reputację miasta pełnego występków i przemocy, dlatego nalegał na stworzenie wielkiej siły policyjnej — Straży Kolumbijskiej. Miał nią dowodzić pułkownik Edmund Rice, człowiek wielu zalet, który odparł szarżę Picketta pod Gettysburgiem. W przeciwieństwie do konwencjonalnych sił policyjnych, straż przyświecała nowatorska idea prewencji zamiast aresztowania złoczyńców po fakcie.

Zagrożeniem dla powodzenia wystawy były też kwestie zdrowotne, z czego Burnham doskonale zdawał sobie sprawę. Wybuch epidemii ospy, cholery albo jakiejś innej śmiertelnej choroby, których wiele krążyło po mieście, mógł spowodować klęskę imprezy i pogrzebać wszelkie nadzieje, jakie rada nadzorcza żywiła wobec frekwencji, a co za tym idzie — dochodowości przedsięwzięcia.

Nowa nauka, bakteriologia, której pionierami byli Robert Koch i Ludwik Pasteur, zdołała przekonać większość urzędników zajmujących się zdrowiem publicznym, że epidemie cholery i innych chorób bakteryjnych są powodowane pić skażonej wody. W wodzie pitnej Chicago roiło się od bakterii, za co w największym stopniu była odpowiedzialna rzeka Chicago. W 1871 roku, w monumentalnym inżynierskim spazmie, miasto zmieniło kierunek rzeki — obecnie nie wpadała już ona do jeziora Michigan, tylko do rzeki Des Plaines, a potem wraz z nią do Missisipi, zgodnie z teorią, że silny nurt obu tych rzek spowoduje takie rozrzedzenie zanieczyszczeń, że staną się całkiem nieszkodliwe (choć z taką koncepcją nie do końca zgadzały się miasta położone w dolnym ich biegu, na przykład Joliet). Jednakże, ku zaskoczeniu inżynierów, podczas długotrwałych deszczów rzeka Chicago cofała się i ponownie znosiła do jeziora Michigan martwe koty i fekalia, w dodatku w takich ilościach, że macki zanieczyszczonej wody docierały aż do ujęcia wody pitnej dla miasta.

Większość mieszkańców Chicago nie miała wyboru i musiała pić taką wodę, ale Burnham od początku był zdania, że robotnicy pracujący przy wystawie i przyszli zwiedzający muszą mieć dostęp do lepszego, bezpieczniejszego ujęcia. Pod tym względem również wyprzedzał swoje czasy. Na jego polecenie inżynier sanitarny William S. MacHarg zbudował na terenie parku Jacksona oczyszczalnię. Woda z jeziora była przepompowywana przez liczne zbiorniki, w których gotowano ją i poddawano saturacji. Ludzie MacHarga ustawili wielkie pojemniki z tak przygotowaną wodą w całym parku i napełniali je codziennie.

Burnham planował zamknąć oczyszczalnię przed dniem otwarcia i dać zwiędzającym wybór między dwoma innymi źródłami bezpiecznej wody pitnej: z jeziora, oczyszczonej przez filtry Pasteura i oferowanej bezpłatnie, oraz naturalnie czystej wodą, sprzedawanej po cencie za szklanekę, dostarczanej rurociągiem z odległości stu sześćdziesięciu kilometrów ze słynnych źródeł w Waukesha w stanie Wisconsin. W listopadzie 1891 roku Burnham polecił MacHargowi zbadać pięć źródeł w Waukesha i ocenić ich wydajność i czystość. Zaznaczył, żeby MacHarg uczynił to „po cichu”, co wskazuje, że zdawał sobie sprawę, że poprowadzenie wodociągu przez urodziwy krajobraz miasteczka może się spotkać z protestami. Nikt nie był sobie w stanie wówczas wyobrazić, że za kilka miesięcy wysiłki MacHarga staną się powodem zbrojnego starcia w środku nocy.

Burnhama najbardziej jednak martwiło niebezpieczeństwo pożaru. Zagłada Grannis Block, wraz z biurami, które miał tam z Rootem, pozostała w jego pamięci żywym i upokarzającym wspomnieniem. Wielki pożar w parku Jacksona mógł w każdej chwili zniszczyć wystawę. A przecież ogień był niezbędny do celów budowy. Tynkarze używali małych pieców, przezywanych salamandrami, żeby przyspieszyć schnięcie i utwardzanie tynku. Blacharze i elektrycy wykorzystywali ogień do topienia, zginania i łączenia. Nawet sama straż pożarna wykorzystywała ogień — były nim ogrzewane kotły napędzające pompy w konnych wozach strażackich.

Burnham wprowadził zabezpieczenia, które według panujących wówczas standardów były wyszukane, a nawet przesadne. Stworzył odrębny zespół straży pożarnej wystawy, polecił zainstalować setki hydrantów i telegraficznych alarmów przeciwpożarowych, a także zlecił budowę statku strażackiego, The Fire Queen, przystosowanego do poruszania się po płytkich kanałach parku i przepływania pod licznymi niskimi mostkami. Zgodnie ze specyfikacją projektu, wszystkie budynki miały być otoczone podwodnym wodociągiem, a we wnętrzu być wyposażone w rury pod ciśnieniem. Na terenie budowy obowiązywał także zakaz palenia, Burnham uczynił jednak co najmniej dwa wyjątki od tej reguły: jeden dla firmy budowlanej, która twierdziła, że jeśli zabroni palenia cygar, wszyscy jej robotnicy z Europy odejdą, a drugi dla wielkiego paleniska w „chałupie”, wokół którego co noc zbierali się inżynierowie, kreślarze i przyjezdni architekci, żeby pić wino, rozmawiać i palić cygara.

Zaraz na początku zimy Burnham polecił obłożyć wszystkie hydranty końskim nawozem, żeby woda nie zamarzała.

W najzimniejsze dni nawóz zaczynał parować. Wyglądało to tak, jakby same hydranty płonęły.

Sol Bloom wrócił do biura Mike'a De Younga pewien, że ten nie zaakceptuje zaproponowanej pensji, gdyż zdecydował się żądać takiego samego uposażenia, jakie otrzymywał prezydent Stanów Zjednoczonych: 50 tysięcy dolarów rocznie. „Im więcej o tym myślałem — wspominał Bloom — tym bardziej podobał mi się pomysł poinformowania Mike'a De Younga, że żadna niższa kwota nie wynagrodzi mi poświęcenia, jakim byłoby opuszczenie San Francisco”.

De Young poprosił go, żeby usiadł. Wyraz twarzy miał poważny i wyczekujący.

„Choć doceniam zaszczyt, jaki mnie spotyka — zaczął Bloom — uważam, że moja przyszłość jest tutaj, w tym mieście. Kiedy patrzę w przyszłość, widzę siebie...”.

De Young mu przerwał.

„Sol, miałeś mi powiedzieć, ile chcesz zarabiać” — powiedział cicho.

„Nie chcę, żeby pan pomyślał, że nie doceniam...”.

„Już to mówiłeś — stwierdził De Young. — A teraz mi powiedz, ile chcesz pieniędzy”.

Sprawy przybrały zupełnie taki obrót, jakiego oczekiwał Bloom. Z lekką obawą wymienił sumę: „Tysiąc dolarów tygodniowo”.

De Young się uśmiechnął.

„Cóż, to niezła pensja jak dla dwudziestoletniego młodzieńca, ale jestem pewien, że na nią zasłużysz”.

W sierpniu główny inżynier Burnhama, Abraham Gottlieb, stwierdził ze zgrozą, że zapomniał obliczyć obciążenia wiatrem dla głównych obiektów wystawy. Burnham natychmiast polecił firmom budowlanym — w tym Agnew & Co., wznoszącej Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych — wstrzymać roboty. Od miesięcy prześladowały go plotki, że zmusza ludzi do pracy w zbyt szybkim

tempie i że w rezultacie budynki mogą stwarzać zagrożenie. W Europie prasa utrzymywała, że pewne budowle są z góry „skazane”. A teraz Gottlieb przyznał się do potencjalnie katastrofalnego błędu.

Gottlieb protestował, że nawet bez dokładnych obliczeń siły wiatru budynki są dostatecznie wytrzymałe.

„Ja jednak nie mogę przyjąć takiego stanowiska” — pisał Burnham w liście do Jamesa Dredge'a, wydawcy wpływowego brytyjskiego magazynu „Engineering”. Polecił wzmocnić wszystkie budynki w takim stopniu, żeby były w stanie przetrzymać najsilniejsze huragany zanotowane w ciągu ostatnich dziesięciu lat. „Być może posuwam się do przesady — pisał do Dredge'a — ale mnie takie postępowanie wydaje się mądre i rozsądne, jeśli wziąć pod uwagę wielkość zaangażowanych środków”.

Gottlieb złożył rezygnację. Burnham zastąpił go Edwardem Shanklandem, inżynierem z własnej firmy, mającym reputację doskonałego konstruktora mostów.

Dnia 24 listopada 1891 roku Burnham ponownie napisał do Jamesa Dredge'a. Donosił, że znów znalazł się pod ostrzałem prasy w związku z konstrukcją budynków. „Obecnie krytykuje się mnie za to, że niepotrzebnie są aż tak mocne” — wyjaśnił.

Zaraz po przybyciu do Chicago Bloom odkrył, dlaczego tak niewiele osiągnięto przy organizacji Zakątko Uciech, oficjalnie nazywanego „departamentem U”. Aż do tej pory znajdował się on pod kontrolą Fredericka Putnama, profesora etnologii z Uniwersytetu Harvarda. Był to uznany antropolog, ale jak wiele lat później powiedział Bloom, postawienie go na czele departamentu U „było mniej więcej tak inteligentną decyzją, jak zrobienie z Alberta Einsteina szefa Ringling Brothers and Barnum & Bailey Circus”. Putnam zapewne zgodziłby się z tą opinią. Zwierzył się swojemu koledze z Harvardu, że „z największą chęcią pozbyłby się tego całego indiańskiego cyrku”.

Bloom podzielił się swoimi zastrzeżeniami z prezesem wystawy, Bakerem, a ten skierował go do Burnhama.

„Jest pan młodym człowiekiem, naprawdę bardzo młodym człowiekiem jak na zadanie, które panu powierzono” — stwierdził Burnham.

Ale i on był młody, kiedy John B. Sherman wszedł do jego biura i odmienił mu życie.

„Chcę, żeby pan wiedział, że ma pan moje pełne zaufanie — powiedział. — Kieruje pan samodzielnie Zakątkiem Uciech. Niech pan rusza do pracy. Odpowiada pan jedynie przede mną. Przygotuję stosowne dokumenty. Powodzenia”.

W grudniu 1891 roku najbardziej zaawansowana była budowa Budynku Górnictwa i Budynku Kobiet. Ta pierwsza przebiegała gładko dzięki zimie, która, jak na standardy Chicago, była niezwykle łagodna. Natomiast Budynek Kobiet stał się prawdziwą próbą, tak dla Burnhama, jak i dla jego młodej projektantki Sophii Hayden, głównie z powodu zmian, jakich domagała się Bertha Honore Palmer, stojąca na czele Damskiej Rady Wystawy, organu, któremu podlegały wszystkie sprawy mające coś wspólnego z kobietami. Bertha, mając za sobą bogactwo i pozycję towarzyską swojego męża, Pottera Palmera, przywykła do przeprowadzania swojej woli, czego jasno dowiodła wcześniej tego roku, tłumiąc bunt zorganizowany przez sekretarkę rady, a właściwie otwartą wojnę między frakcjami elegancko uczesanych i ubranych kobiet. W samym środku tego zamieszania jedna z przerażonych członkiń rady napisała do pani Palmer: „Mam wielką nadzieję, że z tego powodu Kongres nie nabierze pogardy dla naszej płci”.

Hayden przyjechała do Chicago, żeby wykończyć rysunki, po czym wróciła do domu, pozostawiając Burnhamowi kwestię realizacji projektu. Budowę rozpoczęto 9 lipca, a ostatnie warstwy tynku robotnicy zaczęli kłaść w październiku. Hayden przyjechała w grudniu, aby nadzorować wykończenie elewacji, co uważała za swój obowiązek. Szybko odkryła, że Bertha Palmer ma na ten temat inne zdanie.

We wrześniu, bez wiedzy Hayden, Palmer wezwała kobiety do przekazywania architektonicznych detali, które miały zdobić budynek i w rezultacie otrzymała całe muzeum kolumn, panneau, rzeźb, gzymsów, drzwi i innych tego typu elementów. Była zdania, że w budynku można wykorzystać wszystkie dary, szczególnie te nadesłane przez kobiety wpływowe. Ze swojej strony Hayden była przekonana, że taka mieszanina da w rezultacie estetycznego potworka.

Kiedy wpływowa dama z Wisconsin, pani Flora Ginty, przesłała kunsztownie rzeźbione drewniane drzwi, Hayden odmówiła ich przyjęcia. Pani Ginty poczuła się z tego powodu bardzo dotknięta. „Kiedy myślę o dniach, które poświęciłam, i kilometrach, jakie przejechałam, żeby je zdobyć dla Budynku Kobiet, mój gniew jeszcze wzrasta”. Pani Palmer była w tym czasie w Europie, ale jej prywatna sekretarka, Laura Hayes, plotkarka o niewiarygodnym zasięgu, dopilnowała, żeby jej chlebodawczyni poznała wszystkie szczegóły zajścia. Hayes poinformowała również panią Palmer, jakich rad udzieliła architektce: „Uważam, że lepiej mieć budynek wyglądający jak patchworkowa kapa niż odmówić przyjęcia rzeczy, które panie z rady z takim trudem zebrały”.

Patchworkowa kapa nie była tym, o czym marzyła Hayden. Nie okazując względów zobowiązaniom towarzyskim pani Palmer, odmawiała stanowczo przyjmowania darów. Wywiązała się prawdziwa wojna, toczona w duchu wieku poślacanego, pełna ukrytych afrontów i jadowitej grzeczności. Pani Palmer dokuczała coraz bardziej przygnębionej Hayden, gnębiła ją i obdarzała lodowatymi uśmiechami. Na koniec powierzyła kwestię wykończenia Budynku Kobiet komu innemu, projektantce o nazwisku Candace Wheeler.

Hayden walczyła w charakterystyczny dla siebie, cichy i uparty sposób, ale wreszcie dłużej nie mogła tego wszystkiego znieść. Przyszła do biura Burnhama, zaczęła mu opowiadać, co się dzieje, i nagle dostała ataku — załapała się łzami, krzyczała i nie mogła opanować szlochów. „Poważne załamanie — określiła to pewna znajoma — połączone z gwałtownym atakiem pobudzenia nerwowego”.

Zaskoczony Burnham wezwał jednego z chirurgów zatrudnionych przy wystawie. Hayden została dyskretnie wywieziona z parku w jednym z tych nowoczesnych angielskich ambulansów o cichych, gumowych oponach i zamknięta w sanatorium na przymusowy odpoczynek. Popadła w „melancholię”, którym to słowem określano wówczas depresję.

W parku Jacksona napięcie nerwowe było zjawiskiem endemicznym. Jak przekonał się Burnham, proste sprawy często okazywały się niemożliwie skomplikowane. Nawet Olmsted zrobił się poirytowany. Był błyskotliwy i czarujący, ale kiedy raz coś sobie postanowił, stawał się równie nieustępliwy jak blok

wapienia z Joliet. Pod koniec 1891 roku jego obsesją stały się łódki, jakie miano dopuścić do ruchu na kanałach wystawy. Zupełnie jakby to wyłącznie one miały zdecydować o sukcesie jego walki o „poetycką tajemnicę”.

W grudniu 1891 roku Burnham otrzymał ofertę od producenta holowników, optującego za wykorzystaniem na wystawie łodzi parowych. Olmsted dowiedział się o tym od Harry'ego Codmana, który nie tylko był jego kierownikiem operacyjnym w Chicago, ale pełnił też funkcję szpiega, informując na bieżąco swojego pryncypała o wszelkich zagrożeniach dla jego wizji krajobrazu. Codman posłał Olmstedowi kopię listu z ofertą, z dopiskiem, że producent holowników zdaje się cieszyć zaufaniem Burnhama.

Dnia 23 grudnia Olmsted napisał do Burnhama: „Podejrzewam, że nawet Codman uważa, że robię za wielki problem z wyboru tych łodzi i poświęcam mu zbyt wiele, jeśli już nie myśli, to troski, choć powinienem się poświęcić innym, bardziej krytycznym zagadnieniom, obawiam się też, że będzie Pan miał mnie za dziwaka”.

Mimo to ponownie dał upust swojej obsesji. Producent holowników, skarżył się Olmsted, traktuje kwestię łodzi jedynie jako zagadnienie przewożenia dużej liczby ludzi między różnymi punktami wystawy, tak tanio i szybko, jak to tylko jest możliwe. „Wie Pan doskonale, że główny cel, jaki chcemy osiągnąć, jest zupełnie inny. Nie próbuję uczynić z tego zagadnienia mojej deklaracji. Jest Pan równie świadom problemu jak ja. Wie Pan, że jest to kwestia poezji, i że jeśli na te wody mają zostać wprowadzone łodzie, byłoby kompletnym nonsensem użycie takich, które klóciłyby się z tym poetyckim celem”.

Olmsted nigdy nie brał pod uwagę kwestii transportowych. Łodzie na kanałach miały za zadanie podkreślić walory krajobrazowe. „Jeśli wprowadzimy na te wody nieodpowiednie łodzie, efekt będzie odrażający i zniszczy wartość tego, co w innym wypadku byłoby najcenniejszą, najbardziej oryginalną cechą wystawy. A w mojej opinii zniszczy ją celowo. Tysiąc razy lepiej [będzie] w ogóle nie wprowadzać tam łodzi”.

Jakby wbrew coraz bardziej natrętnemu wtrącaniu się komitetów, narastającemu konfliktowi między Burnhamem a dyrektorem generalnym Davisem oraz nieustannemu zagrożeniu strajkami, główne budynki wystawy zaczynały

nabierać kształtów. Robotnicy przygotowywali fundamenty z ogromnych prętów układanych na krzyż zgodnie z metodą rusztu Rootera, po czym, za pomocą napędzanych parą żurawi, ustawiali wysokie słupy z żelaza i stali, pełniące funkcję ram budynków. Następnie wypełniali te ramy rusztowaniem z tysięcy desek, tworząc ściany dość mocne, żeby utrzymały dwie grube warstwy zaprawy gipsowo-włókninowej. W miarę jak przy każdej budowlu robotnicy układali stopy świeżego drewna, obok wyrastały postrzępione pogórza trocin i drzazg. Powietrze pachniało ciętym drewnem i Bożym Narodzeniem.

W grudniu pojawiły się pierwsze wypadki na budowie — niejaki Mueller, pracujący przy Budynku Górnictwa, zmarł z powodu pęknięcia czaszki. Wkrótce potem nastąpiły trzy dalsze zgony:

Jansen, pęknięta czaszka, Budynek Elektryczności.

Allard, pęknięta czaszka, Budynek Elektryczności.

Algeer, śpiączka spowodowana nowym zjawiskiem — porażeniem elektrycznością, Budynek Górnictwa.

Przytrafiały się również dziesiątki pomniejszych wypadków. Na potrzeby prasy Burnham przybierał pozę pewności siebie i optymizmu. Dnia 28 grudnia

1891 roku w liście do wydawcy „Chicago Herald” napisał: „Nadal nierozstrzygniętych pozostaje kilka kwestii związanych z projektem i planami, ale wszystko pozostaje pod kontrolą i nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy zakończyć naszych prac do czasu uroczystości zaplanowanych na październik

1892 roku — dzień inauguracji — i na otwarcie wystawy 1 maja 1893 roku”.

Tymczasem prace przy wystawie były poważnie opóźnione, a jeszcze gorszych opóźnień uniknięto jedynie ze względu na niezwykle łagodną zimę. Październikowa inauguracja miała się odbyć w Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, ale do stycznia 1892 roku zdążono jedynie położyć pod niego fundamenty. Wszystko musiałoby odtąd iść zupełnie bez zakłóceń, jeśli wystawa miała być choć w części gotowa do zaprezentowania publiczności. A przede wszystkim współpracę musiałaby podjąć pogoda.

W całej Ameryce upadały banki i firmy prywatne, wszędzie groziły strajki, a cholera rozpoczęła swój powolny pochód przez Europę, wywołując obawy, że pierwsze zarażone statki przybiją wkrótce do portu w Nowym Jorku.

I jakby komukolwiek była potrzebna dodatkowa presja, „New York Times” ostrzegł: „klęska wystawy, właściwie zaś wszystko poza prawdziwym i głośnym sukcesem, stanie się kompromitacją całego kraju, a nie tylko samego Chicago”.

Pozostałości dnia

W listopadzie 1891 roku Julia Conner oznajmiła Holmesowi, że jest w ciąży, a on nie ma teraz innego wyjścia, jak się z nią ożenić. Holmes zareagował na jej słowa serdecznie i ze spokojem. Przytulił ją, pogładził po włosach i ze łzami w oczach zapewnił, że nie powinna się martwić, ponieważ na pewno weźmie z nią ślub, tak jak obiecał. Musiał tylko narzucić jeden warunek: obecnie dziecko nie wchodziło w rachubę. Ożeni się z nią jedynie wtedy, gdy ona zgodzi się na prosty zabieg aborcji. Był lekarzem i robił już wcześniej takie rzeczy. Zastosuje chloroform, nic więc nie będzie czuła, a kiedy się obudzi, będzie ją czekać perspektywa nowego życia jako pani H. H. Holmes. Na dzieci przyjdzie czas później. Teraz mają zbyt dużo do zrobienia, szczególnie jeśli chodzi o ukończenie hotelu i jego umeblowanie przed wystawą.

Wiedział, że ma nad Julią wielką władzę. Po pierwsze, była to władza, jaka pojawiała się w sposób naturalny, kiedy oczarowywał — zarówno kobiety, jak i mężczyzn — swoją fałszywą otwartością i ciepłem. Po drugie, była to władza związana z akceptacją społeczną. Choć pozamałżeńskie związki seksualne były powszechne, społeczeństwo tolerowało je jedynie wtedy, kiedy pozostawały tajemnicą. Księżęta z Union Stock Yards uciekali z pokojówkami, a właściciele banków uwodzili maszynistki. Jeśli powstawała taka konieczność, ich adwokaci organizowali ciche podróże za granicę, do europejskich gabinetów chirurgicznych, prowadzonych przez dyskretnych, choć kompetentnych lekarzy. Publiczna pozamałżeńska ciąża oznaczała hańbę i brak środków do życia. Holmes posiadał obecnie Julię tak absolutnie, jakby była jego niewolnicą w czasach sprzed wojny secesyjnej, i napawał się tą pozycją. Powiedział, że zabieg przeprowadzi w wigilię Bożego Narodzenia.

Spadł śnieg. Przy Prairie Avenue kolędnicy wędrowali od drzwi do drzwi, od czasu do czasu zapraszani do bogatych domów na grzany jablecznik i kakao. Powietrze pachniało palonym drewnem i pieczoną kaczką. Na północy, na cmentarzu Graceland, po pokrytych śniegiem pagórkach mknęły na saniach młode pary, podciągając koce szczególnie wysoko, kiedy mijały wysoką figurę strażnika przy grobowcu Dextera Gravesa, „Wieczne Odpoczywanie”. Była to zakapturzona postać, która z pewnej odległości sprawiała wrażenie, jakby tam, gdzie powinna mieć twarz, miała jedynie ciemność. Według legendy, jeśli zajrzy się w tę pustkę, zobaczy się zaświaty.

Pod numerem 701 przy Sześćdziesiątej Trzeciej w Englewood Julia Conner układała córkę do snu, z całych sił starając się uśmiechać i uczestniczyć w dziecięcym zachwycie związanym z oczekiwaniem Bożego Narodzenia. Tak, Święty Mikołaj przyjdzie na pewno i przyniesie jej wspaniałe prezenty. Holmes obiecał, że kupi Pearl wiele zabawek i słodczy, a dla Julii coś prawdziwie wspaniałego, przewyższającego wszystko, co mogłaby otrzymać od tego biednego, bezbarwnego Neda.

Padający śnieg wygłuszył stukot końskich kopyt o bruk. Pociągi, zbrojne w kły z lodu, przemykały przez skrzyżowanie przy Wallace.

Julia zeszła po schodach, do apartamentu zajmowanego przez państwa Crowe. Zaprzyjaźniła się bardzo z panią Crowe, a dziś pomogła jej ubrać choinkę, która miała być bożonarodzeniową niespodzianką dla Pearl. Opowiadała o tym, co będą jutro robić z Pearl, poinformowała też panią Crowe, że wkrótce wyjeżdża do Davenport w Iowa na ślub starszej siostry — „starej panny”, według określenia pani Crowe — która ku powszechnemu zdumieniu miała wyjść za mąż za kolejarza. Julia czekała na nadejście darmowych biletów, które pan młody miał jej przesłać pocztą.

Wyszła od państwa Crowe późno, w dobrym nastroju. Jej przyjaciółka wspominała później: „Nie powiedziała nic, co by wskazywało, że zamierza wyjechać tej nocy”.

Holmes życzył Julii „Wesołych Świąt” i przytulił ją do siebie, po czym wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju na piętrze, już przygotowanego do operacji. Stał tam przykryty białym płótnem stół, a obok leżał błyszczący zestaw chirurgiczny.

Instrumenty ułożono na kształt połyskliwego słonecznika ze stali. Były to narzędzia wzbudzające strach — piły do kości, haki brzuszne, trokar i trepan — których na pewno w większości nie potrzebował do zabiegu, a zostały ułożone w taki sposób, żeby Julia na pewno je zauważyła.

Holmes miał na sobie białe fartuch z podwiniętymi rękawami, być może włożył również kapelusz, a konkretnie melonik. Nie umył rąk, na twarzy nie miał maseczki. Nie było takiej potrzeby.

Kiedy Julia wzięła go za rękę, zapewnił, że nic nie poczuje. Obudzi się równie zdrowa jak teraz, ale bez ciężaru, który w sobie nosi. Wyjął zatyczkę z ciemnobrązowej butelki i natychmiast poczuł w nosie zapach srebrzystego oparu. Wylał trochę chloroformu na złożoną chusteczkę. Julia ścisnęła go mocniej za rękę, co uznał za szczególnie podniecające. Przyłożył chusteczkę do nosa i ust kobiety. Jej powieki zadrżały, po czym oczy uciekły w głąb czaszki. Później przyszedł odruchowy skurcz mięśni, taki, jak we śnie o bieganiu. Julia puściła jego rękę i rozczapierzyła dłoń. Jej stopy zadrżały, jakby wtórując szybkiemu rytmowi wygrywanemu na bębnie. Podniecenie Holmesa wzrosło. Spróbowała odepchnąć jego rękę, ale on był przygotowany na ten nagły przypływ sił, który zawsze nadchodził przed ostateczną utratą przytomności. Z jeszcze większą siłą przycisnął chusteczkę do jej twarzy. Zaczęła uderzać rękami w jego przedramiona, ale stopniowo siły ją opuszczały. Jej ramiona poruszały się teraz po powolnych łukach, kojących i zmysłowych, a dziki rytm ustał. Obecnie był to balet, sielanka.

Holmes, przytrzymując jedną dłoń chusteczkę na miejscu, wylał w fałdy materiału między swoimi palcami więcej chloroformu. Rozkoszował się uczuciem zimna, jakie wywoływał na skórze chloroform. Jedna ręka Julii opadła na stół, potem druga. Powieki opadły, uniosły się i wreszcie zamknęły na dobre. Nie sądził, żeby była dość sprytna, by symulować utratę przytomności, ale mimo to trzymał ją mocno dalej. Po kilku chwilach sięgnął po jej nadgarstek i zbadął puls. Był niemal niewyczuwalny, odległy jak grzmot oddalającego się pociągu.

Zdjął fartuch i odwinął rękawy. Chloroform i podniecenie sprawiły, że czuł się oszołomiony. Jak zwykle było to przyjemne uczucie, wyzwalające w nim ciepłą leniwość, takie wrażenie, jak gdyby siedział zbyt długo przed gorącym piecem. Zakorkował butelkę z chloroformem, poszukał świeżej chusteczki i ruszył korytarzem do pokoju Pearl.

Tylko chwilę zajęło mu złożenie chusteczki i zmoczenie jej chloroformem. Później, znalazłszy się na powrót w korytarzu, spojrzął na zegarek i przekonał się, że jest już Boże Narodzenie.

Ten dzień nic dla Holmesa nie znaczył. Bożonarodzeniowe poranki jego dzieciństwa dusiły się od pobożnych modlitw i ciszy, jakby dom przykrywał gigantycznych rozmiarów, gruby, wełniany koc.

W bożonarodzeniowy poranek państwo Crowe czekali w radosnym nastroju na przybycie Julii i Pearl. Wyobrażali sobie, jak oczy dziewczynki rozblęsną radośnie na widok ślicznego drzewka i prezentów ukrytych pod jego gałązkami. W mieszkaniu było ciepło, a powietrze pachniało cynamonem i jodłą. Minęła godzina. Państwo Crowe czekali tak długo, jak długo mogli, ale o dziesiątej rano ruszyli złapać pociąg do centrum Chicago, gdzie planowali odwiedzić przyjaciół. Nie zamknęli drzwi mieszkania na klucz, a Julii zostawili wesołą, zapraszającą wiadomość.

Wrócili wieczorem, około dwudziestej trzeciej, i zastali wszystko tak, jak zostawili. Najwyraźniej Julia i jej córka nie przyszły na choinkę. Następnego dnia rano poszli do mieszkania Julii, ale nikt im nie otworzył. Rozpytywali sąsiadów, czy ktoś widział Julię lub Pearl, ale nikt nie widział.

Kiedy zjawił się Holmes, pani Crowe zapytała go, gdzie może być Julia. Wyjaśnił, że razem z Pearl wyjechała do Davenport wcześniej niż to było planowane.

Pani Crowe nie miała więcej wieści od przyjaciółki. I ona, i sąsiadki uznały całą sprawę za bardzo zagadkową. Ustaliły, że po raz ostatni widziano Julię i Pearl w wigilię Bożego Narodzenia.

Nie była to tak do końca prawda. Julię widywano i później, choć nikt, nawet jej własna rodzina z Davenport w stanie Iowa, nie byłby w stanie jej rozpoznać.

Zaraz po Bożym Narodzeniu Holmes poprosił jednego ze swoich współpracowników, Charlesa Chappella, aby przybył do jego budynku. Wiedział, że Chappell był „preparatorem”, to znaczy, że posiadał umiejętność oczyszczania z ciała ludzkich kości i układania ich na powrót w kompletny szkielet, taki, jakiego wystawiano w gabinetach lekarskich i laboratoriach. Nauczył się tego przy przygotowywaniu zwłok dla studentów medycyny w szpitalu Cook County.

Podczas studiów Holmes widział na własne oczy, jak desperacko uczelnie medyczne próbują zdobywać zwłoki — i świeże, i szkielety. Coraz częściej prowadzono poważne, systematyczne studia medyczne, a dla naukowców ludzkie ciało było niczym lodowiec na biegunie, czymś, co należy zbadać i poznać. Szkielety wisiały też w gabinetach lekarskich, gdzie pełniły funkcję ilustrowanej encyklopedii. Przy popycie przewyższającym znacznie podaż lekarze nabrali zwyczaju przyjmowania, dyskretnie i z wdzięcznością, wszelkich oferowanych im zwłok. Nie popierali oczywiście morderstw, choć z drugiej strony nie czynili przesadnych wysiłków, żeby ustalić pochodzenie otrzymywanych ciał. Rabowanie grobów zmieniło się niemal w gałąź przemysłu, choć kameralną i wymagającą niezwykle zimnej krwi. Kiedy zwłoki całkowicie zniknęły z rynku, lekarze sami pomagali wykopywać świeżo umarłych.

Holmes był pewien, że nawet teraz, w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, popyt musi być bardzo wysoki. Chicagowskie gazety relacjonowały mrożące krew w żyłach historie o lekarzach profanujących groby. Po nieudanym napadzie na cmentarz w New Albany w stanie Indiana, który wydarzył się 24 lutego 1890 roku, doktor W. H. Wathen, stojący na czele Kentucky Medical College, powiedział reporterowi „Tribune”: „Ci panowie działali nie w imieniu Kentucky Medical College ani dla własnej korzyści, ale na potrzeby szkół medycznych w Louisville, którym ludzkie zwłoki są równie niezbędne jak człowiekowi powietrze”. Zaledwie trzy tygodnie później lekarze z Louisville powtórzyli swój napad. Próbowali obrabować groby w Stanowym Zakładzie dla Umysłowo Chorych w Anchorage w stanie Kentucky, tym razem działając w imieniu Uniwersytetu Louisville. „Tak, wysłaliśmy tę ekipę — powiedział jeden z wyższych urzędników uniwersytetu. — Musimy mieć ciała, a skoro państwo nie chce nam ich przekazywać, musimy je kraść. Semestr zimowy jest przepelniony i zużył tyle preparatów, że dla semestru wiosennego nic nie zostało”. Urzędnik nie czuł się w obowiązku przeproszać. „Cmentarz w tym zakładzie jest rabowany od lat i wątpię,

czy spoczywa na nim chociaż jedno ciało — wyjaśnił. — Jak już mówiłem, musimy mieć zwłoki. Bez nich nie sposób wykształcić lekarza i opinia publiczna musi to wreszcie zrozumieć. Jeśli nie zdołamy ich zdobyć w żaden inny sposób, uzbroimy studentów w strzelby Winchestera i każemy im zapewnić ochronę rabusiom grobów podczas pracy”.

Holmes miał oko do okazji, a ponieważ popyt na ciała był tak ogromny, pokusa zysku stała się nieodparta.

Zaprowadził Charlesa Chappella do pokoju na piętrze, gdzie stał stół, instrumenty medyczne i butle z rozpuszczalnikami. Ten widok nie wzbudził niepokoju Chappella, podobnie jak zwłoki na stole — wiedział, że Holmes jest lekarzem. Ciało należało do niezwykle wysokiej kobiety. Nie widać było niczego, co pozwoliłoby ustalić jej tożsamość. „Wyglądało jak ciało oskórowanego zająca, któremu przecięto skórę na głowie i ściągnięto — opowiadał potem.

— W niektórych miejscach razem ze skórą odeszły spore fragmenty ciała”.

Holmes wyjaśnił, że przeprowadzał sekcję, ale zakończył już swoje badania. Zaproponował Chappellowi 36 dolarów za oczyszczenie kości i czaszki oraz przygotowanie w pełni wypreparowanego szkieletu, a ten przystał na propozycję. Obaj z Holmesem umieścili ciało w kufrze wyłożonym grubym płótnem. Firma przewozowa dostarczyła kufer do domu Chappella.

Wkrótce potem Chappell dostarczył gotowy szkielet. Holmes mu podziękował, zapłacił i zaraz potem sprzedał jego dzieło Hahneman Medical College — szkole medycznej z Chicago, a nie z Filadelfii, gdzie znajdowała się uczelnia o tej samej nazwie — za wielokrotność sumy, jaką zapłacił Chappellowi.

W drugim tygodniu stycznia 1892 roku do mieszkania Julii w budynku Holmesa wprowadzili się nowi lokatorzy, rodzina Doyle'ów. Kiedy tam weszli, na stole stały naczynia, a na krześle wisiało ubranie Pearl. Mieszkanie sprawiało takie wrażenie, jakby jego poprzedni lokatorzy mieli wrócić za kilka minut.

Doyle'owie zapytali Holmesa, co tu się stało.

Ten z całkowitym spokojem przeprosił za bałagan i wyjaśnił, że siostra Julii nagle poważnie zachorowała i dlatego obie z córką udały się w pośpiechu na stację. Nie zachodziła potrzeba pakowania ich rzeczy, ponieważ obie, i Julia, i Pearl, były dobrze zaopatrzone i nie planowały wracać.

Później Holmes opowiadał inną historię. „Po raz ostatni widziałem ją w okolicach 1 stycznia 1892 roku, kiedy ustalaliśmy wysokość jej czynszu. Powiedziała wówczas, nie tylko mnie, ale i sąsiadom, że zamierza wyjechać”. Choć wszystkim mówiła, że celem jej wyjazdu jest Iowa, w rzeczywistości, jak opowiadał Holmes, „zamierzała pojechać gdzie indziej, ponieważ bała się, że mąż odbierze jej córkę. Podawała, że jedzie do Iowa tylko po to, by go zmylić”. Zaprzeczał, by łączyły go z Julią intymne stosunki, oraz temu, że poddała się „niedozwolonej operacji”, jak wówczas eufemistycznie określano aborcję. „Być może istotnie jest kobietą niecierpliwą i nie zawsze łagodną, ale nie sądzę, by ktoś z jej przyjaciół czy rodziny uwierzył, że jest kobietą amoralną albo taką, która bierze udział w przestępstwach”.

Rzucenie rękawicy

Rok 1892 rozpoczął się mrozem. Na ziemi leżało piętnaście centymetrów śniegu, a temperatura spadła do minus dziesięciu stopni Celsjusza. Na pewno nie była to najmroźniejsza chicagowska zima, ale tyle wystarczyło, żeby zamarzyły zawory we wszystkich trzech ujęciach wody pitnej miasta, co spowodowało czasowy brak wody w Chicago. Mimo niesprzyjającej pogody prace w parku Jacksona postępowały. Robotnicy zbudowali przenośną ogrzewaną osłonę, która pozwalała im nakładać warstwy zaprawy na zewnętrzne ściany Budynku Górnicztwa bez względu na temperaturę otoczenia. Budynek Kobiet był niemal skończony, zdjęto już nawet rusztowania. Gigantyczny Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych zaczynał wyłaniać się z fundamentów. Łącznie w parku Jacksona pracowały cztery tysiące robotników, a wśród nich stolarz i cieśla Elias Disney, który w nadchodzących latach opowiadał wiele historii o budowie magicznego królestwa nad jeziorem. A jego syn, Walt, spisywał te opowieści.

Za wysokim na dwa i pół metra płotem otaczającym teren wystawy i dwoma rzędami drutu kolczastego panował zamęt. Obniżenie pensji i redukcja zatrudnienia wywołały w całym kraju niepokoje wśród robotników. Związki zawodowe rosły w siłę, a Narodowa Agencja Detektywistyczna Pinkertona bogaciła się. Dobrze się zapowiadający działacz związkowy, Samuel Gompers, zjawił się w biurze Burnhama z zarzutem, że wystawa dyskryminuje członków związków. Burnham polecił swojemu kierownikowi robót, Dionowi Geraldine, zbadać sprawę. W miarę jak wzmagaly się niepokoje wśród robotników, a gospodarka słabła, podnosił się wskaźnik przemocy. Podsumowując rok 1891, „Chicago Tribune” podała, że w Ameryce zamordowano 5906 osób, prawie o czterdzieści procent więcej niż w 1890 roku.

Nadejście mrozów i niebezpieczeństwo strajków sprawiły, że rok 1892 nie rozpoczął się dla Burnhama pomyślnie, ale najbardziej martwiły go szybko

kurczące się zasoby finansowe Exposition Company. Prowadząc prace budowlane w takim tempie i na taką skalę, zużył dużo więcej pieniędzy niż ktokolwiek się spodziewał. Wprawdzie rada nadzorcza rozważała możliwość zwrócenia się do Kongresu o dotację w wysokości 10 milionów dolarów, ale jedynym szybkim wyjściem z sytuacji było ograniczenie wydatków. Dnia 6 stycznia Burnham polecił szefom swojego departamentu, aby podjęli natychmiastowe, a w wielu wypadkach drastyczne środki ograniczające koszty. Swojemu głównemu kreślarzowi, pracującemu nad projektami wystawy w biurach w Rookery, nakazał, aby natychmiast zwalniał każdego, kto pracuje „niedokładnie” albo „niedbale”, albo kto nie wykonuje wszystkich swoich obowiązków. Rudolfowi Ulrichowi, odpowiedzialnemu za tereny zielone, zasugerował: „Wydaje mi się, że obecnie może pan zredukować o połowę liczbę zatrudnionych robotników, a przy okazji pozbyć się wielu wysoko opłacanych ludzi”. Od tej chwili wszystkie prace ciesielskie miały być wykonywane jedynie przez pracowników firm budowlanych pracujących przy wystawie. Do Diona Geraldine Burnham napisał: „Bardzo proszę zwolnić wszystkich cieśli, jakich ma Pan na stanie”.

Aż do tej chwili traktował swoich robotników z niezwykłą jak na tamte czasy troską. Wyplacał im pensję, nawet gdy choroba lub rany uniemożliwiały im pracę, a na terenie wystawy założył szpital, który świadczył darmowe usługi medyczne. Ponadto kazał zbudować kwatery, w których robotnicy otrzymywali trzy obfite posiłki dziennie i spali w czystych łóżkach, w dobrze ogrzewanych pokojach. Profesor ekonomii politycznej z Princeton, Walter Wyckoff, przez cały rok podróżował po Stanach przebrany za niewykwalifikowanego robotnika i walczył o zatrudnienie wraz z rosnącą armią bezrobotnych. Przez pewien czas pracował również w parku Jacksona. „Za wysokimi barierami, strzeżonymi przez wartowników, a mającymi uniemożliwić niepotrzebne kontakty ze światem zewnętrznym, wielkie grupy zdrowych, silnych mężczyzn żyją i pracują we wspaniałym, sztucznym świetle — napisał. — Nie niepokoją nas tu widoki nieszczęść ani rozpaczliwej biedy wynikającej z braku pracy [...]. Pracujemy osiem godzin dziennie w spokojnych i bezpiecznych warunkach, mając całkowitą pewność zapłaty”.

Teraz jednak nawet wystawa zaczęła zwalniać ludzi, i to w fatalnym okresie. Wraz z nadejściem zimy zakończył się tradycyjny sezon budowlany. Rywalizacja o garść dostępnych posad stała się coraz bardziej zajadła, gdyż do Chicago, w nadziei znalezienia pracy przy ekspozycji, zjechały tysiące ludzi z całego kraju

— określanych jako „hobo” (włóczędzy), która to nazwa pochodziła od kolejowego okrzyku „ho, boy!”. Burnham wiedział, że zwolnionych czeka głód, bieda, a nawet utrata dachu nad głową. Ale wystawa miała pierwszeństwo.

Brak godnego rywala dla wieży Eiffla nie przestawał dręczyć Burnhama. Nadsyłane propozycje stawały się coraz dziwniejsze. Pewien wizjoner zaproponował budowę wieży o sto pięćdziesiąt metrów wyższej od paryskiej, ale wykonanej w całości z bali. Na jej szczycie miała się znajdować chata, w której można byłoby usiąść i coś przekąsić. Oczywiście chata z bali.

Burnham zdawał sobie sprawę, że jeśli wkrótce nie znajdzie się inżynier gotowy rzucić wyzwanie wieży Eiffla, po prostu zabraknie czasu na zbudowanie czegokolwiek godnego wystawy. Musiał w jakiś sposób pobudzić amerykańskich inżynierów. Okazja pojawiła się wraz z zaproszeniem do wygłoszenia mowy w Saturday Afternoon Club, stworzonym przez grupę inżynierów, którzy zaczęli się spotykać w soboty w restauracji, aby rozważać wyzwania stawiane przez budowę Światowej Wystawy Kolumbijskiej.

Podano posiłek, jak zwykle złożony z wielu dań, oraz wino, cygara, kawę i koniak. Przy jednym ze stolików siedział trzydziestotrzyletni inżynier z Pittsburga, właściciel firmy zajmującej się kontrolą jakości stali, która miała oddziały w Nowym Jorku i Chicago, i która podpisała kontrakt z wystawą na inspekcję całej stali wykorzystywanej do konstruowania budynków. Mężczyzna ten miał kościstą twarz, czarne włosy, czarne wąsy i ciemne oczy, a zatem taki wygląd, jaki wkrótce zaczął być pożądanym w gałęzi przemysłu, którą właśnie tworzył Thomas Edison. Był „niezwykle czarujący i towarzyski, i miał żywe poczucie humoru — pisali jego współpracownicy. — Na wszystkich zjazdach natychmiast stawał się postacią centralną, ponieważ doskonale posługiwał się mową i posiadał w zapasie wielką liczbę zabawnych anegdot i wspomnień”.

Podobnie jak inni członkowie Saturday Afternoon Club, inżynier oczekiwał, że mowa będzie dotyczyć wyzwań stawianych przez budowę całego miasta w tak niezwykle krótkim czasie, ale Burnham go zaskoczył. Oświadczywszy, że „architekci Ameryki okryli się chwałą” dzięki swoim projektom przygotowanym na wystawę, zganił inżynierów, że nie pokusili się o równą błyskotliwość, i oskarżył

ich o to, że „nie dołożyli prawie żadnych starań, żeby zaprezentować nowatorskie rozwiązania czy pokazać możliwości amerykańskiej sztuki inżynierskiej”.

Przez salę przeszedł pomruk niezadowolenia.

„Potrzeba nam czegoś niezwykłego — ciągnął Burnham — czegoś, co na Światowej Wystawie Kolumbijskiej odegrałoby rolę taką jak wieża Eiffla na wystawie w Paryżu”.

Ale nie może to być wieża, zaznaczył. Wieża nie jest czymś oryginalnym, wieżę zbudował już Eiffel. Nie wystarczy też „sam rozmiar”. „Jeśli amerykańscy inżynierowie chcą utrzymać swoją pozycję i swój prestiż, powinni zaprojektować i zbudować coś nowego, oryginalnego, śmiałego i wyjątkowego”.

Część zebranych poczuła się urażona. Inni przyznali Burnhamowi rację. Inżynier z Pittsburga poczuł się „dotknięty do żywego prawdą dźwięczącą w tych uwagach”.

I nagle wpadł mu do głowy pomysł, „niczym inspiracja”, od razu ze wszystkimi szczegółami. Niemalże mógł go zobaczyć, dotknąć i usłyszeć, jak przecina powietrze.

Nie zostało wiele czasu, ale gdyby szybko przygotował rysunki i zdołał przekonać Komisję Budżetową, że pomysł jest wykonalny, wystawa naprawdę „zeiffłowałaby Eiffela”. A gdyby tak się stało, miałby zapewnioną taką sławę jak francuski konstruktor.

Burnhamowi zapewne sprawiło przyjemność wystąpienie przed członkami Saturday Afternoon Club i otwarte strofowanie ich za porażkę, gdyż ostatnio wszystkie spotkania, jakie odbywał, szczególnie te z licznymi i nadal mnożącymi się komitetami i komisjami, stały się prawdziwymi ćwiczeniami z samokontroli. Ten niemający końca wiktoriański menuet podszytych fałszem dobrych manier zajmował ogromnie dużo czasu. Burnham potrzebował większej władzy — nie po to, aby zadowolić swoje ego, ale dla dobra wystawy. Wiedział, że jeśli nie zdoła przyspieszyć procesu decyzyjnego, opóźnień nie da się nadrobić, a jednak bariery stawiane efektywności ciągle rosły. Kurczenie się zasobów finansowych Exposition Company spowodowało gwałtowne pogorszenie się jej stosunków z Komitetem Narodowym. Dyrektor generalny Davis upierał się, że wszystkie

pieniądze pochodzące z budżetu państwa powinny podlegać kontroli jego komitetu. A gremium to sprawiało takie wrażenie, jakby codziennie tworzyło nowe wydziały, na czele których stawali pobierający pensje dyrektorzy — Davis mianował inspektora nadzoru owiec, z pensją, która na dzisiejsze pieniądze wynosiłaby około 60 tysięcy dolarów rocznie — z których każdy zgłaszał pretensje do jakiejś części władzy, zdaniem Burnhama należącej do niego.

Wkrótce walka o władzę zmieniła się w osobisty konflikt Burnhama z Davisem, a głównym polem bitwy stał się nadzór nad artystycznym projektem aranżacji wnętrz i ekspozycji. Burnham uważał za oczywiste, że jest to działka należąca do niego. Davis miał na ten temat odmienne zdanie.

Początkowo Burnham robił podchody. „Organizujemy obecnie specjalną ekipę dekoratorów wnętrz i architektów, którzy zajmą się tymi obszarami, a ja mam zaszczyt zaoferować Panu jej usługi — napisał do Davisa. — Rozumiem, jak delikatna jest kwestia sugerowania przez moich ludzi rozwiązań artystycznych, form i ułożenia eksponatów Pańskim ludziom bez Pańskiej pełnej aprobaty, dlatego niniejszym z szacunkiem o nią proszę”.

Ale Davis powiedział pewnemu dziennikarzowi: „Uważam, że obecnie dla wszystkich stało się już jasne, że nikt poza dyrektorem generalnym i jego agentami nie powinien się wtrącać w kwestie związane z ekspozycją”.

Konflikt trwał nadal. Dnia 14 marca Burnham i Davis jedli w Chicago Club obiad z japońskim delegatem na wystawę. Po posiłku obaj zostali w klubie, spierając się przyciszonym głosem aż do piątej rano dnia następnego. „To był dobrze spędzony czas — napisał Burnham do Margaret, której wtedy nie było w mieście. — Ociepliliśmy nasze stosunki, od tej pory droga będzie więc nieco łatwiejsza”.

Do jego listu zakradło się niezwykle znużenie. Napisał żonie, że planuje tego dnia zakończyć pracę wcześniej, pojechać do Evanston „i spać w Twoim łóżku, ukochana, i śnić o Tobie. Jakież pośpiech panuje w moim życiu! Gdzie się podziały całe lata?”.

Zdarzały się i chwile wytchnienia. Burnham najbardziej lubił wieczory, kiedy jego kadra kierownicza i odwiedzający teren budowy architektki zbierali się

w „chałupie” na kolację i dyskutowali długo w noc, siedząc przed wielkim kominkiem. Wysoko sobie cenił to poczucie koleżeństwa i opowiadane wówczas historie. Olmsted mówił o nieustających wyzwaniach, jakie stawało przed nim chronienie Central Parku przed nieprzemyślanymi zmianami. Pułkownik Edmund Rice, komendant wystawowej Straży Kolumbijskiej, opisywał, jakie to było uczucie stać w cieniu drzew pod Gettysburgiem, kiedy Pickett ruszył ze swoimi ludźmi przez pole bitwy.

Pod koniec marca 1892 roku na jeden z takich wieczorów Burnham zaprosił swoich synów. Chłopcy nie zjawili się o przewidywanej porze. Początkowo wszyscy przypisywali ich nieobecność często zdarzającym się opóźnieniom na kolei, ale w miarę upływu godzin niepokój Burnhama wzrastał. Wiedział równie dobrze jak wszyscy zebrani, że katastrofy kolejowe zdarzają się w Chicago niemal codziennie.

Zaczął zapadać zmierzch, gdy chłopcy w końcu przyjechali. Ich pociąg zatrzymało zerwanie się mostu na linii Milwaukee & St. Paul. Jak napisał Burnham do Margaret, „dotarli do »chałupy« w sam czas, aby usłyszeć, jak pułkownik Rice opowiada historie wojenne i wspomina życie na równinach, wśród osadników i Indian”.

Kiedy Burnham pisał ten list, byli z nim jego synowie. „Są bardzo szczęśliwi, że mogą tu być, i razem z panem Geraldine przeglądają właśnie duży album fotograficzny”. Album zawierał fotografie budynków wykonane przez Charlesa Dudleya Arnolda z Buffalo w stanie Nowy Jork, którego Burnham zatrudnił jako oficjalnego fotografa wystawy. Arnold również był obecny. Dzieci wkrótce przyłączyły się do niego i zajęły rysowaniem.

Burnham zakończył swój list następująco: „Wszyscy mamy się dobrze i jesteśmy zadowoleni z ilości i różnorodności pracy, jaką zesłał nam dobry los”.

Ale takie pełne spokoju przerwy nigdy nie trwały długo.

Konflikt między Burnhamem a Davisem znów się rozpalił. Rada nadzorcza Exposition Company postanowiła oficjalnie zwrócić się o środki finansowe do Kongresu, ale jej prośba pociągnęła za sobą śledztwo federalne w sprawie wydatków poniesionych na budowę wystawy. Burnham i prezes Baker spodziewali

się jakiejś ogólnej kontroli, a tymczasem zaczęto ich zdręczać pytaniami o najbardziej prozaiczne wydatki. Kiedy Baker przedstawił całkowite koszty wynajmu powozów, podkomisja zażądała podania nazwisk ludzi, którzy nimi jeździli. Podczas jednej z sesji w Chicago poproszono Davisa o oszacowanie ostatecznego kosztu wystawy, a ten, bez konsultacji z Burnhamem, przedstawił szacunek o dziesięć procent niższy niż kwota, którą Burnham obliczył dla Bakera i którą ten włączył do własnego oświadczenia dla komisji śledczej. Szacunek Davisa zmienił się w ten sposób w nieme oskarżenie, że Burnham i Baker nadmiernie rozdęli sumę konieczną do ukończenia budowy wystawy.

Słyszając to, Burnham poderwał się na równe nogi. Przewodniczący komisji kazał mu usiąść, ale stał nadal. Był wściekły, ledwie panował nad sobą. „Pan Davis nie spotkał się ze mną ani z moimi ludźmi, a wszelkie liczby, jakie panom podałem, po prostu wymyślił. Nie wie nic o tych sprawach” — oświadczył.

Jego wybuch obraził przewodniczącego komisji. „Sprzeciwiam się podobnym uwagom ze strony świadków stojących przed komisją i proszę, żeby pan Burnham wycofał swoją uwagę” — powiedział.

Burnham najpierw odmówił, a potem, bardzo niechętnie, zgodził się wycofać uwagę, że Davis nic nie wie o tych sprawach. Ale jedynie tę uwagę. Nie przeprosił.

Komisja wyjechała do Waszyngtonu, aby przestudiować dowody i ustalić, czy finansowanie ze strony państwa jest uzasadnione. Kongresmenów, jak pisał Burnham, „oszołomiła wielkość i skala przedsięwzięcia. Daliśmy każdemu górę danych do przetrawienia, i podejrzewam, że ich raport będzie bardzo zabawny, ponieważ mnie samemu potrzeba by było kilka miesięcy na jego stworzenie, mimo mojej wiedzy”.

Zakątek Uciech zaczął nabierać kształtu, przynajmniej na papierze. Profesor Putnam uważał, że miejsce to powinno przede wszystkim edukować zwiedzających, prezentując im inne kultury, ale Sol Bloom nie czuł takiego obowiązku. Zakątek Uciech miał dostarczać zabawy, miał być wielkim wesołym miasteczkiem, ciągnącym się przez ponad półtora kilometra od parku Jacksona aż do granic parku Waszyngtona. Miał wzbudzać zaciekawienie, dostarczać rozrywki,

a jeśli wszystko pójdzie dobrze, nawet szokować. Zdaniem Blooma, największą siłą przedsięwzięcia powinna być „spektakularna reklama”. Umieszczał anonse w periodykach na całym świecie, głosząc, że Zakątek Uciech będzie egzotycznym królestwem, prawdziwą ucztą dla oka, ucha i nosa. Miały się w nim znajdować autentyczne wioski z odległych krajów, w których będą mieszkać ich prawdziwi mieszkańcy — nawet Pigmeje, jeśli porucznikowi Schufeldtowi powiedzie się jego misja. Bloom uświadomił sobie, że jako władca Zakątku Uciech nie musi się już martwić o koncesję dla swojej algierskiej wioski. Mógł ją sobie sam przyznać. Czym prędzej sporządził stosowny kontrakt i wysłał go do Paryża.

Talent Blooma do promocji przyciągnął uwagę innych organizatorów wystawy, którzy zaczęli się do niego zwracać o pomoc przy tworzeniu jej oficjalnego profilu. W pewnym momencie poproszono go nawet o to, żeby pomógł dziennikarzom zrozumieć, jak niezwykle wielki będzie Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Biuro prasowe wystawy przekazało redakcjom szczegółowy wykaz monumentalnych, ale drętwych statystyk. „Z daleka było widać, że dziennikarzy zupełnie nie interesują akry i tony stali, powiedziałem więc: spójrzcie na to w ten sposób — budynek będzie dość wielki, żeby pomieścić całą stałą armię Rosji” — pisał Bloom.

Nie miał oczywiście pojęcia, czy Rosja w ogóle ma stałą armię, a jeśli tak, to jak liczną i ile metrów kwadratowych by zajęła, gdyby zebrać ją razem. Niemniej jego określenie stało się w Ameryce nową ewangelią. Czytelnicy Randu, czyli przewodników McNally'ego po wystawie, zawsze czuli przyjemny dreszczyk, wyobrażając sobie miliony ludzi w futrzanych czapach, słoczonych na zajmującej trzydzieści dwa akry podłodze tego budynku.

A Bloom nie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Anioł z Dwight

Wiosną 1892 roku asystent Holmesa, Benjamin Pitezel, znalazł się w mieście Dwight w stanie Illinois, położonym mniej więcej sto dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od Chicago. Poddawał się tutaj słynnej kuracji Keeleya leczącej alkoholizm. Pacjenci instytutu zatrzymywali się w dwupiętrowym hotelu Livingston – prostym budynku z czerwonej cegły, o łukowatych oknach i werandzie biegnącej przez całą długość fasady. Było to idealne miejsce na odpoczynek między iniekcjami „złotego środka” doktora Leslie Enraughta Keeleya. Złoto było sztandarowym składnikiem czerwono-biało–niebieskiego roztworu, przezywanego „biegunem golarza”, który pracownicy instytutu Keeleya wstrzykiwali trzy razy dziennie w ramiona pacjentów. Wielka dziewiętnastowieczna igła – przy zastrzyku miało się takie wrażenie, jakby w mięsień wbijano wąż ogrodowy – nieodmiennie zostawiała na skórze żółtą aureolę, co dla niektórych było powodem do dumy, a dla innych paskudnym piętnem. Reszta receptury była trzymana w sekrecie. Lekarzom i chemikom udało się stwierdzić, że roztwór zawierał substancje wywołujące przyjemny stan euforii i uspokojenia, niemal porównywalny z amnezją. Był on przekleństwem dla poczty Chicago, gdyż co roku otrzymywała setki listów z Dwight, w których brakowało najistotniejszego elementu – adresu przeznaczenia. Nadawcy po prostu zapominali, że aby list został właściwie doręczony, musi zawierać takie dane jak nazwisko adresata czy numer domu.

Pitezel od lat był pijakiem, ale ostatnio jego picie musiało się stać dokuczliwe, skoro to Holmes wysłał go do Keeleya i zapłacił za jego kurację. Pitezłowi wyjaśnił, że jest to gest zrodzony z uprzejmości, nagroda za jego lojalność, w istocie miał jednak, jak zwykle, inne motywy. Uznał, że alkohol wpływa ujemnie na użyteczność Pitezla i grozi pokrzyżowaniem już realizowanych planów. Napisał później o Pitezlu: „Był zbyt cennym człowiekiem, nawet jeśli wziąć pod uwagę jego wady, abym mógł się bez niego obyć”.

Prawdopodobnie chciał również, żeby Pitezel zebrał wszystkie możliwe dane o leku na alkoholizm i sposobie jego pakowania, chciał go bowiem podrobić i sprzedawać przez swoją firmę wysyłkową leków. W późniejszym okresie stworzył własne lecznicze spa na piętrze budynku w Englewood, które nazwał Instytutem Srebrnego Pyłu. Lek Keeleya był niezwykle popularny. Do Dwight przyjeżdżały tysiące osób pragnących położyć tamę swojemu brakowi wstrzemięźliwości. Wiele tysięcy kolejnych kupiło doustną wersję leku Keeleya. Sprzedawano ją w tak charakterystycznych butelkach, że Keeley prosił nabywców, by je niszczyli po zakończeniu kuracji, co miało nie dopuścić do tego, by pozbawiona skrupułów konkurencja napełniała je miksturami własnego pomysłu.

Codziennie Pitezel w gronie trzydziestu innych pacjentów poddawał się rytuałowi „przechodzenia przez linię”, aby otrzymać zastrzyk. Kobiety przyjmowały lek we własnych pokojach. Izolowano je od mężczyzn, aby chronić ich reputację. Chicagowskie kelnerki zawsze wiedziały, czy gość restauracji przyjmował lek, ponieważ kiedy proponowały mu drinka, nieodmiennie słyszały w odpowiedzi: „Nie, dziękuję. Byłem w Dwight”.

Pitezel wrócił do Englewood w kwietniu. Być może to psychotropowe właściwości zastrzyków Keeleya leżały u podstaw opowieści, którą uraczył Holmesa. Podobno spotkał u Keeleya kobietę wielkiej urody — w jego opinii nadprzyrodzonej urody — niejaką Emeline Cigrand. Była blondynką, miała dwadzieścia cztery lata, a od 1891 roku pracowała jako stenografka w biurze doktora Keeleya. Opisy odurzonego Pitezla musiały skusić Holmesa, ponieważ napisał do panny Cigrand i zaproponował jej posadę swojej osobistej sekretarki z pensją dwukrotnie wyższą niż u Keeleya. „Pochlebijająca oferta” — jak się wyraził później członek rodziny Cigrand.

Emeline bez wahania przyjęła propozycję. Instytut cieszył się pewnym prestiżem, ale wioska Dwight to nie było Chicago. Dwukrotnie większe zarobki i możliwość zamieszkania w mieście słynącym ze swoich podniet i uroków, w dodatku w chwili, gdy za rok miała się tam otworzyć wystawa światowa, czyniły z tej propozycji ofertę nie do odrzucenia. Panna Cigrand porzuciła posadę u Keeleya w maju, zabierając z sobą 800 dolarów oszczędności. Po przybyciu do Englewood wynajęła pokój w pensjonacie położonym niedaleko budynku Holmesa.

Holmes doszedł do wniosku, że Pitezel przesadził w opisach urody Emeline, ale niewiele. Rzeczywiście była śliczna z tymi rozświetlonymi blond włosami.

Holmes natychmiast zastosował wszystkie swoje uwodzicielskie techniki: kojący głos i dotyk oraz szczere błękitne spojrzenie.

Kupował jej kwiaty i zabierał do opery Timmermana, która znajdowała się przy tej samej ulicy. Podarował jej rower. Wieczorami jeździli razem po gładkim makadamie ulic Yale i Harvarda, prezentując sobą uroczy obrazek szczęśliwej młodej pary, pobłogosławionej urodą i pieniędzmi. („Biały pikowany kapelusz z czarnymi wstążkami i dwoma spiczastymi piórami z boku to najnowszy krzyk mody dla cyklistek” — napisał reporter prowadzący kronikę towarzyską w „Tribune”). Kiedy Emeline przywykła do swojego „kółka”, jak wszyscy nazywali rowery, choć stare i niebezpieczne bicykle o wielkich przednich kołach należały już do przeszłości, razem z Holmesem wybierała się na coraz dłuższe przejażdżki. Często jeździli wysadzonym wierzbami bulwarem Midway do parku Jacksona, żeby popatrzeć, jak powstaje wystawa. Tutaj zawsze otaczały ich tysiące ludzi, z których część również była cyklistami.

Kilka razy w niedzielę Emeline i Holmes pojechali do samego parku i przekonali się, że budowa wystawy nadal znajduje się we wczesnej fazie — prawdziwa niespodzianka, zważywszy szybkie zbliżanie się dwóch najważniejszych terminów: dnia inauguracji i dnia otwarcia. Większość terenu pokrywała naga ziemia, a budowa największego obiektu — Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych — ledwie się rozpoczęła. Kilka budowli powstawało w szybszym tempie i były już na ukończeniu, szczególnie Budynek Górnictwa i Budynek Kobiet. W parku można było spotkać mnóstwo dystygowanych osób — mężów stanu, księży, architektów oraz baronów przemysłowych Chicago. Przychodziły tutaj również damy z towarzystwa, na spotkania Damskiej Rady Wystawy. Przed bramę parku często zajeżdżał wielki czarny powóz pani Palmer, a także powóz jej towarzyskiego przeciwieństwa, burdelmamy Carrie Watson, charakterystyczny ze względu na połyskującą białą emalię, żółte koła i czarnego woźnicę ubranego w szkarłatny jedwab.

Emeline odkryła, że najprzyjemniej jeździ się na rowerze po silnym deszczu. W przeciwnym wypadku kurz wzbija się jak piasek nad Chartumem i przenika głęboko we włosy, z których potem nie sposób go wyczesać.

Pewnego południa, kiedy Emeline pisała na maszynie w biurze Holmesa, wszedł jakiś człowiek i zapytał o jej szefa. Był wysoki, gładko wygolony, wyjąwszy niewielki wąsik, i ubrany w tani garnitur. Wyraźnie przekroczył trzydziestkę. Był na swój sposób przystojny, ale jednocześnie skromny i pospolity — choć akurat w tej chwili wydawał się wściekły. Przedstawił się jako Ned Conner i powiedział, że kiedyś prowadził stoisko z biżuterią w drogerii na dole. Przyjechał przedyskutować problemy z hipoteką.

Znała to nazwisko — gdzieś je słyszała albo widziała w papierach Holmesa. Uśmiechnęła się i poinformowała Neda, że szefa nie ma w budynku. Nie miała pojęcia, kiedy wróci. Czy sama mogłaby jakoś pomóc?

Gniew Neda ostygł. Zaczął „rozmawiać o Holmesie” z Emeline, jak to potem określił.

Obserwował ją. Była młoda i ładna, „przystojna blondynka” — tak ją później opisał. Miała na sobie białą koszulową bluzkę i czarną spódnicę, która podkreślała jej szczupłą talię. Siedziała przy oknie, a słońce rozświetlało jej włosy. Pracowała na czarnym remingtonie, nowym i bez wątplenia nigdy niezapłaconym. Na podstawie własnych trudnych przeżyć i uwielbienia, jakie pojawiało się w jej oczach, kiedy mówiła o Holmesie, Ned odgadł, że ich stosunki nie sprowadzają się wyłącznie do pisania na maszynie. Później wspominał: „Powiedziałem jej, że moim zdaniem to zły człowiek i że będzie dla niej lepiej, jeśli będzie się trzymać od niego z daleka i rzuci jak najszybciej tę posadę”.

Przynajmniej chwilowo zignorowała jego radę.

Dnia 1 maja 1892 roku do pięciopokojowego mieszkania w budynku Holmesa wprowadził się M. B. Lawrence, lekarz, wraz z żoną. Na korytarzach często spotykali Emeline, choć nie mieszkała jeszcze tutaj. Nadal wynajmowała pokoje w pobliskim pensjonacie.

„Była to chyba najpiękniejsza i najmilsza młoda kobieta, jaką zdarzyło mi się poznać. Oboje z żoną dużo o niej myśleliśmy — opowiadał doktor Lawrence. — Widywaliśmy ją codziennie, często wpadała do nas na kilka minut porozmawiać z panią Lawrence”. Nierzadko spotykali też Emeline w towarzystwie Holmesa. „Wkrótce uświadomiłem sobie, że stosunki między panną Cigrand i panem

Holmesem nie są dokładnie takie, jak między pracownicą a pracodawcą. Uważaliśmy oboje, że należy z tego powodu raczej jej współczuć niż ją obwiniać”.

Holmes rozbudził w Emeline namiętność. Kochała go za jego ciepło, jego pieszczoty, niewzruszony spokój i urok. Nigdy wcześniej nie знаła takiego mężczyzny. Na dodatek był synem angielskiego lorda, o czym poinformował ją w głębokiej tajemnicy. Nie wolno jej było nikomu o tym powiedzieć, co trochę psuło rozkosz tej wiadomości, ale znacznie wzmacniało jej tajemniczość. Oczywiście zawierzyła sekret przyjaciółkom, ale tylko jeśli wcześniej przysięgły, że nie powiedzą nikomu więcej. W oczach Emeline pretensje Holmesa do arystokratycznego pochodzenia były wiarygodne. Jego nazwisko było takie wybitnie angielskie — żeby to stwierdzić, wystarczyło przeczytać niezwykle popularne opowiadania sir Arthura Conan Doyle'a. A angielskie pochodzenie wyjaśniało urok i doskonałe maniery, tak niezwykle w ordynarnym i głośnym Chicago.

Emeline była kobietą ciepłą i towarzyską. Często pisywała do swojej rodziny, mieszkającej w Lafayette w stanie Indiana, oraz do przyjaciółek z Dwight. Łatwo zawierała przyjaźnie. Regularnie jadła kolacje z właścicielką pierwszego pensjonatu, w którym się zatrzymała po przybyciu do Chicago. Uważała ją za swoją bliską przyjaciółkę.

W październiku złożyło jej wizytę dalekie kuzynostwo, doktor B. J. Cigrand z żoną. Doktor Cigrand, dentysta prowadzący gabinet u zbiegu North i Milwaukee w chicagowskiej North Side, skontaktował się z Emeline, ponieważ pracował nad historią rodu Cigrand. Nigdy wcześniej się nie spotkali. „Byłem oczarowany jej miłym obejściem i byстрыm umysłem — opowiadał później doktor Cigrand. — Fizycznie była wspaniałą kobietą, wysoka, doskonale zbudowana, z masą lnianych włosów”. Podczas swojej wizyty państwo Cigrand nie poznali Holmesa — zresztą nigdy osobiście go nie poznali — ale od Emeline usłyszeli wiele pochlebnych słów na temat jego uroku, hojności i biegłości w interesach. Emeline oprowadziła kuzynów po budynku Holmesa, opowiadając o jego wysiłkach, żeby przekształcić go w hotel dla gości wystawy. Poinformowała ich również, że nad Sześćdziesiątą Trzecią ma być zbudowana kolejka napowietrzna, która będzie

dowozić gości bezpośrednio do parku Jacksona. Nikt nie wątpił, że latem 1893 roku w Englewood zaroi się od zwiedzających. W oczach Emeline sukces Holmesa był nieunikniony.

Entuzjazm Emeline stanowił część jej uroku. Była ślepo zakochana w swoim młodym lekarzu, a zatem również we wszystkim, co robił. Ale doktor Cigrand nie podzielał jej wysokiego mniemania o budynku i jego perspektywach. Jego zdaniem, była to ponura, choć okazała budowla, zbudowana w zupełnie odmiennym duchu niż okoliczne domy. Wszystkie inne zamożne budynki w Englewood здаwały się naładowane energią, nie tylko z powodu wystawy światowej, ale również wspaniałej przyszłości, jaka czeka tę dzielnicę również po jej zakończeniu. Zaledwie kilka przecznic dalej wznosiły się wielkie, wyszukane rezydencje, a przy samej Sześćdziesiątej Trzeciej znajdowała się opera Timmermana i przylegający do niej hotel New Julien, których właściciele wykosztowali się mocno na dobry budulec i doskonałych fachowców. W przeciwieństwie do nich budynek Holmesa sprawiał wrażenie martwej przestrzeni, zupełnie jak kąt pokoju, którego nie oświetla lampa gazowa. Najwyraźniej nie konsultował się z żadnym architektem, a przynajmniej z żadnym dobrym. Korytarze w budynku były ciemne, umieszczono w nich zbyt dużo drzwi. Drewno było marnej jakości, ciesielka niedbała. Przejścia zakręcały pod dziwnymi kątami.

A jednak Emeline wydawała się zachwycona. Doktor Cigrand musiałby być naprawdę nieczułym człowiekiem, żeby zakłócić tę słodką, naiwną adorację. Później bez wątpienia żałował, że nie był z nią bardziej szczery i nie posłuchał swojego przeczucia co do tego budynku i rozbieżności między jego prawdziwym wyglądem a postrzeganiem go przez Emeline. Ale Emeline była zakochana. Nie miał ochoty jej ranić. Była taka młoda i oczarowana, a jej radość taka zaraźliwa, szczególnie dla doktora Cigranda, wykonującego zawód niosący tyle cierpienia, że doprowadzał do łez nawet dorosłych mężczyzn, którzy wielokrotnie dowiedli swojej odwagi.

Wkrótce po wizycie Cigrandów Holmes poprosił Emeline o rękę, a ona się zgodziła. Obiecał jej miesiąc miodowy w Europie, podczas którego oczywiście złożą wizytę jego ojcu, lordowi.

Dzień inauguracji

Olmsteda bolały zęby, w uszach mu huczało i nie mógł spać, ale przez pierwsze miesiące 1892 roku utrzymywał takie tempo pracy, jakie z trudem wytrzymałby mężczyzna młodszy od niego o pięćdziesiąt lat. Jeździł do Chicago, Asheville, Knoxville, Louisville i Rochester, a każda nocna podróż zwiększała jego cierpienia. W Chicago, mimo nieustających wysiłków Harry'ego Codmana, jego młodego asystenta, prace wciąż były bardzo opóźnione, czekające go zaś zadanie codziennie wydawało się większe. Pierwsza ważna data, inauguracja, wyznaczona na 21 października 1892 roku, była tuż-tuż — a przecież organizatorzy wystawy i tak ją przesunęli z 12 października, aby pozwolić Nowemu Jorkowi na przeprowadzenie własnych uroczystości kolumbijskich. Zważywszy kalumnie, jakimi Nowy Jork obrzucał wcześniej Chicago, był to akt niezwyklej łaskawości.

Opóźnienia w budowie poszczególnych obiektów wystawy były dla Olmsteda szczególnie frustrujące. Kiedy robotnicy budowlani się spóźniali, jego praca również wyhamowywała, a na domiar złego cierpiały także zakończone już przedsięwzięcia. Robotnicy zadeptywali świeżo posadzone rośliny i niszczyli wytyczone ścieżki. Szczególnie dotyczyło to Budynku Rządu Stanów Zjednoczonych. „W całym jego otoczeniu — donosił Rudolf Ulrich, kierownik robót nadzorowanych przez Olmsteda — składowano i rozrzucano materiały wszelkiej maści i każdego rodzaju w takich ilościach, że tylko nieustanne wywieranie nacisku na odpowiednich ludzi pozwoliło na jakiegokolwiek postępy prac. A nawet wtedy, choć cały czas czynimy takie postępy, nikt na nie nie zwraca uwagi. To, co stworzymy jednego dnia, drugiego jest niszczone”.

Opóźnienia i zniszczenia denerwowały Olmsteda, ale inne sprawy przysparzały mu jeszcze większych zgrzyot. Niewiarygodne, ale mimo wszystkich jego tyrad Burnham nadal rozważał dopuszczenie na wody wystawy parowych

holowników. I nikt zdawał się nie podzielać przekonania Olmsteda, że Wyspa Leśna powinna pozostać niezabudowana.

Co pewien czas przypuszczano na wyspę ataki, budząc w Olmstedzie zastały gniew na majstrowanie przy jego krajobrazach. Wszyscy chcieli dostać miejsce na Wyspie Leśnej. Pierwszy był Theodore Thomas, dyrygent orkiestry symfonicznej Chicago, który widział w niej idealne, a właściwie jedyne miejsce odpowiednie na salę koncertową godną wystawy. Olmsted do tego nie dopuścił. Drugi w kolejce był Theodore Roosevelt, stojący na czele amerykańskiej Komisji Administracji Państwowej i kanonierka w ludzkiej skórze. Uparł się, że wyspa byłaby idealnym miejscem na obóz myśliwski jego klubu Boone and Crockett. Zważywszy wpływy Roosevelta w Waszyngtonie, politycy z Komitetu Narodowego mocno popierali jego plan. Burnham, chcąc utrzymać spokój, również nalegał, żeby Olmsted wyraził zgodę. „Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdyby obóz umieszczono po północnej stronie wyspy, ukrywając między drzewami, wyłącznie jako eksponat i pod warunkiem, że byłby tak ukryty, że mogliby go zobaczyć tylko ludzie znajdujący się na wyspie, a nie wszyscy z brzegu?”

Olmsted miał wiele przeciwko temu pomysłowi. W końcu pozwolił Rooseveltowi rozbić obóz na mniejszej wyspie, pod warunkiem, że nie postawi żadnych budynków, ale jedynie „kilka namiotów, koni, ognisko et cetera”. Później zgodził się na wzniesienie niewielkiej chaty myśliwskiej.

Następny atak przypuścił rząd Stanów Zjednoczonych, który zamierzał umieścić na Wyspie Leśnej wystawę indiańską, a jeszcze kolejny — profesor Putnam, naczelną etnolog wystawy, który widział w niej idealne miejsce na kilka egzotycznych wiosek. Do wyspy zgłaszał też pretensje rząd Japonii. „Proponują postawienie na świeżym powietrzu swojej świątyni i oczywiście żądają miejsca na Wyspie Leśnej” — napisał w lutym 1892 roku Burnham. Było dla niego oczywiste, że coś w końcu na wyspie stanie — była zbyt dobrą miejscem, żeby mogła pozostać pusta. Nalegał, by Olmsted przyjął propozycję Japonii. „Bez wątplenia jest to rzecz pasująca do tej lokalizacji i nie wydaje mi się, żeby pod jakimkolwiek względem brakowało jej cech, na których panu zależy. Japończycy proponują postawienie tam absolutnie wyjątkowo pięknej rzeczy, a budynek pragną pozostawić po zamknięciu wystawy jako dar dla miasta Chicago”.

Obawiając się czegoś jeszcze gorszego, Olmsted wyraził zgodę.

Zupełnie nie poprawił mu humoru kolejny atak na jego ukochany Central Park, przeprowadzony w czasie, kiedy on walczył w obronie Wyspy Leśnej.

Za namową niewielkiej grupy bogatych obywateli Nowego Jorku legislatura stanowa po cichu przegłosowała zezwolenie na budowę „drogi szybkiego ruchu” w zachodniej części parku, aby bogacze mogli się tam ścigać w swoich powozach. Opinia publiczna zareagowała na tę ingerencję wybuchem gniewu, a Olmsted dorzucił list określający tę propozycję jako „nierozsądną, niesprawiedliwą i niemoralną”. Legislatura wycofała się z pomysłu.

Bezsensowność i ból, wyniszczająca praca i rosnąca frustracja — wszystko razem wpływało fatalnie na nastrój Olmsteda, aż pod koniec marca znalazł się na skraju fizycznego i psychicznego załamania. Znowu zaczęła go ogarniać depresja, której ataki prześladowały go przez całe dorosłe życie. „Kiedy Olmsted jest smutny — napisał kiedyś jego przyjaciel — logika jego przygnębienia jest straszna i niszcząca”.

Olmsted wierzył jednak, że jedyne, czego mu trzeba, to porządny odpoczynek. Zgodnie z ówczesnym leczniczym obyczajem, postanowił odzyskać zdrowie w Europie, której krajobrazy mogły się też przyczynić do wzbogacenia jego wizualnego słownika. Planował wycieczki do publicznych ogrodów i parków oraz na tereny wystawy w Paryżu.

Na czele biura w Brookline postawił swojego najstarszego syna, Johna, a Harry'emu Codmanowi powierzył kierownictwo nad pracami przy Światowej Wystawie Kolumbijskiej. W ostatniej chwili zdecydował się zabrać w podróż dwoje ze swoich dzieci, Marion i Ricka, oraz jeszcze jednego młodego człowieka, Phila Codmana, młodszego brata Harry'ego. Dla Marion i chłopców miała to być wyprawa marzeń. Dla samego Olmsteda okazała się czymś nieco bardziej ponurym.

Wypłynęli w sobotę 2 kwietnia 1892 roku, a do Liverpoolu zawinęli w tumanach gradu i śniegu:

Tymczasem Sol Bloom otrzymał z Francji telegram, którego treść przyjął z ogromnym zaskoczeniem. Musiał przeczytać go kilka razy, żeby w pełni pojąć, co się stało. Jego Algierczycy, kilkadziesiąt osób wraz ze zwierzętami i całym swoim dobytkiem, znajdowali się już na morzu. Płynęli do Ameryki na wystawę — o rok za wcześniej.

„Wyruszyli we właściwym miesiącu, ale w złym roku” — powiedział Bloom.

Olmsted stwierdził, że angielska wieś jest czarująca, ale pogoda — ponura i niezdrowa. Po krótkim pobycie w domu krewnych w Chislehurst razem z chłopcami ruszył do Paryża. Córka Marion została w Anglii.

W Paryżu Olmsted udał się przede wszystkim na dawne tereny wystawy. Ogrody wyglądały marnie, puste po długiej zimie, a budynki popadały w niezbyt piękną ruinę, ale po wystawie pozostało dość, aby dać mu „ogólne pojęcie”, jaka ona była. Jej tereny nadal cieszyły się popularnością wśród paryżan. Podczas jednej niedzielnej wizyty Olmsted i chłopcy naliczyli cztery orkiestry, widzieli otwarte stoiska z napojami i przekąskami oraz kilka tysięcy ludzi krążących po alejkach. Długa kolejka uformowała się u podstawy wieży Eiffla.

Cały czas mając w myślach wystawę w Chicago, Olmsted przestudiował wszystkie szczegóły. Trawniki były „dość nędzne”, żwirowe ścieżki „nieprzyjemne tak dla oczu, jak i dla stóp”. Uznał za naganne wykorzystanie na wielką skalę tradycyjnych rabat kwiatowych. „Wydaje mi się — napisał w liście do Johna do Brookline — że musiało tu być co najmniej denerwująco, krzykliwe i dziecinnie, o ile nie zakłócono brutalnie godności, jedności i kompozycji wystawy, czyniąc jej krzywdę”. Powtarzał wielokrotnie, że w Chicago będzie obstawać przy „odmiennym podejściu i prostocie, przy unikaniu tanich efektów i pretensjonalności”.

Ta wizyta na nowo obudziła w nim obawę, że w pogoni za przyćmieniem paryskiej imprezy Burnham i jego architekci stracili z oczu cel, jaki powinna spełniać wystawa światowa. Budynki w Paryżu, jak napisał Olmsted, „miały o wiele więcej kolorów i kolorowych ozdób, zamiast sztukaterii i rzeźby, niż się spodziewałem. Jak sądzę, dzięki temu były lepiej przystosowane do swojego celu, zaprojektowane bardziej na tę okazję, a mniej jako wielkie, trwałe pomniki architektury, jakimi będą nasze. Pytam, czy w tym świetle nasze projekty nie są błędem i czy nie wydadzą się zbyt zuchwałe w swoim architektonicznym majestacie, przedstawianiu rzeźbami oraz w innych wysiłkach zmierzających do uzyskania efektu napuszonej pompy”.

Olmsted lubił podróżować w młodym towarzystwie. W liście do żony, przebywającej w Brookline, napisał: „Bawię się doskonale i mam nadzieję, że gromadzę w sobie dobre zdrowie”. Wkrótce jednak po powrocie do Chislehurst

zaczęło się ono znowu psuć, a noce ponownie spustoszyła bezsenność. Napisał do Harry'ego Codmana, który sam cierpiał z powodu tajemniczej choroby brzusznej: „Mogę teraz jedynie stwierdzić, że jestem starszy i bardziej zużyty niż przypuszczałem”.

W Chislehurst złożył wizytę towarzyską pewien lekarz, Henry Rayner, który chciał poznać Olmsteda. Był specjalistą w sprawach leczenia zaburzeń nerwowych, a stan Olmsteda tak go przeraził, że zaproponował mu pobyt w swoim domu, w Hampstead Heath pod Londynem, i osobistą opiekę. Olmsted przyjął jego propozycję.

Mimo opieki Raynera jego stan się nie poprawił, a pobyt w Hampstead Heath wkrótce stał się nużący. „Musi pan wiedzieć, że jestem tu praktycznie więźniem — napisał do Harry'ego Codmana 16 czerwca 1892 roku. — Codziennie wyglądam zdecydowanej poprawy i jak dotąd codziennie spotyka mnie rozczarowanie”. Zdaniem Olmsteda, zakłopotany był również doktor Rayner. „Twierdzi, z wielką pewnością siebie i po licznych badaniach całej mojej anatomii, że nie cierpię na żadne schorzenie organiczne i że mam prawo oczekiwać, że w sprzyjających okolicznościach będę mógł pracować jeszcze kilka lat. Moje obecne problemy uważa za ten rodzaj kłopotów, jakie zaprowadziły mnie za granicę”.

Olmsted odbywał przejażdżki powozem po angielskiej wsi, „codziennie w większym lub mniejszym stopniu inną drogą”, i oglądał ogrody, cmentarze parafialne, prywatne parki i naturalne krajobrazy. Niemal każda ozdobna grządka stanowiła dla niego obrazę. Określał je jako „dziecinne, wulgarne, ostentacyjne albo impertynenckie, nie na miejscu, wywołujące dysharmonie”. Jednakże sama angielska wieś go oczarowała. „W Ameryce nie ma niczego, co dałoby się porównać z sielanką i malowniczym pięknem, które są w Anglii cechą powszechną. Nie mogę nie czuć zachwyty. Widok przede mną, kiedy piszę te słowa, przysłonięty deszczem, jest po prostu czarujący”. Odkrył, że najpiękniejsze pejzaże tworzą najprostsze, najbardziej naturalne zestawienia miejscowych roślin. „Najwspanialsze jest połączenie kolcolistu, róży wiśniówki, jeżyn, głogu i bluszczu. Nawet jeśli nic nie kwitnie, wygląda to czarująco. A tych roślin można kupić setki tysięcy w bardzo niskich cenach”.

Czasami widoki, które napotykał, stanowiły wyzwanie dla jego wizji parku Jacksona, w innych wypadkach ją potwierdzały. „Najlepsze tereny ozdobne, jakie oglądamy, to zawsze te, w których bluszcze i pnącza przechytują ogrodniaka. Nigdy nie będzie zbyt wielu pnączy i chwastów”. Wiedział, że czasu jest za

mało, żeby natura sama uzyskała podobny efekt. „Musimy w jak największym stopniu uformować pnącza i drzewa nad mostkami, ściągając w dół i umocowując gałęzie, aby uzyskać efekt zacienienia i nieregularnych odbić listowia w wodzie”.

Ponad wszystko wyjazdy te wzmocniły jego wiarę, że Wyspa Leśna, pomijając japońską świątynię, powinna pozostać tak dzika, jak to tylko jest możliwe. „Obecnie przywiązuję jeszcze większą niż przedtem wagę do tej wyspy oraz do użycia wszelkich możliwych naturalnych środków w celu stworzenia nieprzepuszczalnej zasłony gęstych, wielkich grup listowia na jej obrzeżach — napisał do Harry'ego Codmana. — Wielka obfitość małych szczegółów poddana ogólnemu efektowi [...]. Nigdy nie będzie tam dość sitowia, adlumii, anredery, smilaksu, powojnika wirginijskiego, jeżyn, groszku pachnącego, bielunia dziędzierzawy, mniszków, tych mniejszych, zachodnich słoneczników i wilców”.

Ale rozumiał również, że dzikość, którą chciał osiągnąć, musi być okiełznana przez doskonałych ogrodników. Martwił się, że Chicago nie podola temu zadaniu. „Standard zachowywany przez byle angielskiego robotnika, wynajmowacza koni czy łotra, w kwestii schludności i elegancji ogrodów, parków oraz ścieżek i dróg jest nieskończenie wyższy niż ten reprezentowany przez chicagowskich ksiąząt handlu czy koneserów sztuki, a my okryjemy się hańbą, jeśli nie uda nam się wypracować poziomu wyższego niż ten, jaki nasi panowie są przygotowani uznać za odpowiedni” — napisał do Codmana.

Ogólnie Olmsted zyskał pewność, że opracowany przez niego krajobraz wystawy odniesie sukces. Dręczyło go jednak nowe zmartwienie. „Jedyna chmura, jaką widzę teraz nad wystawą, to cholera — napisał w liście do swojego biura w Brookline. — Wieści z Rosji i z Paryża, jakie dotarły dziś rano, są alarmujące”.

Kiedy Algierczycy Sola Blooma zbliżali się do wybrzeży Ameryki, robotnicy przydzieleni do Zakątka Uciech wzniesli tymczasowe budynki, w których mieli zamieszkać przybysze. Bloom pojechał po swoją wioskę do Nowego Jorku i zarezerwował dwa wagony, żeby ją przewieźć do Chicago.

Kiedy Algierczycy zesli na ląd, natychmiast zaczęli się rozchodzić we wszystkie strony jednocześnie. „Już widziałem, jak się gubią, coś ich przejeżdża albo

ładują w więzieniu” — opowiadał Bloom. Miał wrażenie, że nikt nad nimi nie panuje. Podbiegł do nich, wykrzykując polecenia po francusku i angielsku, a wówczas zbliżył się do niego ogromny ciemnoskóry mężczyzna i doskonałą angielszczyzną rodem z Izby Lordów oświadczył: „Sugerowałbym, aby zaczął się pan zachowywać nieco grzeczniej. W przeciwnym razie mogą stracić cierpliwość i wrzucić pana do wody”.

Mężczyzna przedstawił się jako Archie. Kiedy się nieco uspokoił, wyjaśnił Bloomowi, że spędził dziesięć lat w Londynie, gdzie służył jako ochrona osobista pewnego bogatego człowieka. „Obecnie jestem odpowiedzialny za przewóz moich towarzyszy do miejsca o nazwie Chicago — powiedział. — Rozumiem, że to gdzieś w głębi kraju”.

Bloom poczęstował go cygarem i zaproponował, żeby został jego ochroniarzem i asystentem.

„Pańska oferta jest całkowicie satysfakcjonująca” — odparł Archie.

Obaj zapalili, wypuszczając dym w wonny mrok otulający nowojorski port.

Burnham z całych sił walczył o zwiększenie tempa budowy, szczególnie Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, który musiał być ukończony do dnia inauguracji. W marcu, kiedy do uroczystości zostało zaledwie pół roku, zaczął korzystać z „tyrańskiej” klauzuli zawartej w kontraktach na budowę. Poleciał firmie wznoszącej Budynki Elektryczności, aby podwoiła liczbę robotników i kazała im pracować również w nocy, przy świetle elektrycznym. Zagroził firmie zajmującej się Budynkiem Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych tym samym losem, jeśli nie zwiększy tempa pracy.

Właściwie stracił już nadzieję na przyćmienie czymś wieży Eiffla. Ostatnio odrzucił kolejny dziwaczny pomysł, przedstawiony przez poważnego młodego inżyniera z Pittsburgha, który słuchał jego mowy wygłoszonej w Saturday Afternoon Club. Autor projektu był dość wiarygodny — jego firma miała kontrakt na inspekcję całej stali wykorzystywanej przy budowie wystawy — ale rzecz, której zbudowanie zaproponował, nie wzbudzała zaufania. „Jest zbyt delikatne” — powiedział inżynierowi. Ludzie będą się bali.

Niesprzyjająca wiosenna pogoda dodatkowo utrudniała prace. We wtorek 5 kwietnia 1892 roku o godzinie szóstej pięćdziesiąt rano nagle wichura

zniszczyła właśnie ukończoną stację pomp wystawy i porwała dwadzieścia metrów budynku stanu Illinois. Trzy tygodnie później kolejna wichura zniszczyła dwieście czterdzieści metrów południowej ściany Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. „Wiatr — jak stwierdziła »Tribune« — najwyraźniej żywi urazę do terenów wystawy światowej”.

Aby znaleźć nowe sposoby na przyspieszenie prac, Burnham wezwał do Chicago architektów ze Wschodniego Wybrzeża. Jednym z najważniejszych problemów była kolorystyka elewacji głównych budynków, a szczególnie pokrytej zaprawą gipsowo-włókninową kolumnady Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Podczas spotkania powstał pomysł, który na krótką metę obiecywał dramatyczne przyspieszenie prac, a ostatecznie miał się stać tą cechą wystawy, która zaszczerpiła w wyobraźni całego świata przekonanie o niezemskiej urodzie tego przedsięwzięcia.

Jakkolwiek by patrzeć, kwestia kolorystyki należała do Williama Pretymana, oficjalnego „dyrektora koloru wystawy”. Burnham wyznał później, że dał tę pracę Pretymanowi „głównie z powodu jego wielkiej przyjaźni z Johnem Rootem”. Pretyman był wyjątkowo źle predysponowany do tego zadania. Harriet Monroe, która знаła i jego, i jego żonę, napisała: „Jego geniusz cierpiał z powodu jego wyniosłości i nieugiętości, które to cechy charakteru nie pozwalały mu na ustępstwa czy kompromisy. Jego życie było tragedią braku logiki”.

W dniu spotkania architektów Pretyman przebywał na Wschodnim Wybrzeżu. Obrady zaczęto bez niego. „Naciskałem na wszystkich, wiedząc, że prowadzę okropną walkę z czasem — wspominał Burnham. — Dyskutowaliśmy o kolorystyce i wreszcie wpadliśmy na pomysł: niech wszystko będzie doskonale białe. Nie pamiętam, kto to zasugerował. Być może był to taki pomysł, który wpada do głowy kilku osobom równocześnie. W każdym razie podjąłem taką decyzję”.

Budynek Górnictwa, zaprojektowany przez Solona S. Bemana z Chicago, był już niemal ukończony i stał się budowlą testową. Burnham polecił pomalować go na kremową biel. Po powrocie Pretyman „wpadł we wściekłość”, jak wspominał Burnham.

Upierał się, że tylko do niego należy decyzja dotycząca koloru.

„Nie widzę tego w ten sposób. Decyzja należy do mnie” — oznajmił mu Burnham.

„W porządku, w takim razie odchodzę” — oświadczył Pretymman.

Burnham za nim nie tęsknił. „To był niebezpieczny typ człowieka i bardzo dziwny — stwierdził. — Pozwoliłem mu odejść, a potem powiedziałem Charlesowi McKimowi, że potrzebuję człowieka, który potrafiłby czuwać nad tą kwestią, i że nie będę podejmował tej decyzji ze względu na przyjaźń”.

McKim zarekomendował nowojorskiego malarza, Francisza Milleta, który brał udział w spotkaniu poświęconym kolorystyce. Burnham go zatrudnił.

Millet szybko dowiódł swojej wartości. Po kilku eksperymentach zdecydował się na „zwykłą białą farbę ołowiową”, później zaś opracował metodę jej nakładania nie pędzlem, ale za pomocą węża ze specjalną końcówką wykonaną z dyszy do gazu — tym sposobem uzyskał pierwszą farbę w sprayu. Burnham przezwiał Milleta i jego ekipę malarzy „Gangiem Wybielaczy”.

W pierwszym tygodniu maja silna burza zalała Chicago oceanem deszczu i spowodowała odwrócenie biegu rzeki Chicago. Znów ścieki zagroziły skażeniem wody pitnej — na jeziorze, w pobliżu jej ujęcia, zauważono rozkładające się ścierwo konia.

To wydarzenie uzmysłowiło Burnhamowi, jak ważne jest, żeby przed dniem otwarcia doprowadzić na teren wystawy wodę ze źródeł w Waukesha. W lipcu 1891 roku obiecano kontrakt na te prace firmie Hygeia Mineral Springs, na której czele stał niejaki J. E. McElroy, ale jak do tej pory nie poczyniła ona postępów. W marcu 1892 roku Burnham polecił Dionowi Geraldine, swojemu kierownikowi robót, żeby zaczął nalegać na tę sprawę „z największą energią i dopiłnował, aby nie nastąpiły opóźnienia”.

Hygeia zapewniła sobie prawa do budowy rurociągu od swojego źródła w Waukesha, przez miasteczko, aż na teren wystawy, ale nie spodziewała się zaciełego oporu mieszkańców, pełnych obaw, że rurociąg zeszpeci krajobraz i osuszy słynne źródła. Kierujący firmą McElroy, pod rosnącym naciskiem Burnhama, uciekł się do środków desperackich.

W sobotni wieczór 7 maja 1892 roku załadował na specjalny pociąg rury, kilofy, łopaty i trzystu ludzi, i ruszył do Waukesha, zamierzając położyć rurociąg pod osłoną nocy.

Wiść o tej wyprawie wyprzedziła pociąg. Kiedy wjechał na stację, ktoś zaczął dzwonić na trwogę i zaraz wokół pociągu zebrała się wielka liczba mężczyzn uzbrojonych w pałki, pistolety i strzelby. Podjechały też, w chmurze pary, dwa wozy strażackie — ich załogi były gotowe zalać układaczu rur wodą. Jeden z miejscowych przywódców zapowiedział McElroyowi, że jeśli zacznie realizować swój plan, nie wyjedzie stąd żywy.

Wkrótce do niewielkiej armii na stacji przyłączyło się około tysiąca mieszkańców miasteczka. Grupa mężczyzn wytoczyła z ratusza działo i wycelowała je w należący do firmy Hygeia zakład butelkowania wody.

Po krótkim impasie McElroy i jego ludzie wrócili do Chicago.

Burnham nadal domagał się wody, zwłaszcza że robotnicy ułożyli już w parku Jacksona rury prowadzące do dwustu saturatorów.

McElroy zrezygnował z prób ułożenia rurociągu bezpośrednio w miasteczku Waukesha. Kupił źródło w miejscowości Big Bend, dwadzieścia kilometrów na południe od Waukesha, jeszcze w granicach hrabstwa. Odwiedzający wystawę mogli więc rzeczywiście pić wodę ze źródeł Waukesha, a ani Burnham, ani McElroy nie zamierzali się rozwódzić nad tym drobnym szczegółem, że woda pochodzi z hrabstwa, nie zaś ze słynnego miasteczka.

Wzrastające wciąż tempo prac w parku Jacksona dotknęło wszystkich. W miarę wznoszenia budynków architekci zaczęli dostrzegać błędy w swoich projektach, ale tempo prac było tak mordercze, że groziło im utrwaleniem w kamieniu, a raczej w zaprawie, na cały czas trwania wystawy. Frank Millet nieoficjalnie opiekował się budowlami architektów ze Wschodniego Wybrzeża w czasie ich długich nieobecności na budowie, pilnując, żeby jakaś podjęta ad hoc decyzja nie spowodowała nieodwracalnych usterek estetycznych. Dnia 6 czerwca 1892 roku napisał do Charlesa McKima, projektanta Budynku Rolnictwa: „Lepiej będzie, jeśli napisze Pan list, w którym jasno wyliczy Pan wszystkie konieczne zmiany, ponieważ nim się Pan zorientuje, sprawa może być nieaktualna. Dziś zapobiegłem wylaniu betonowej podłogi w Rotundzie upierając się, że musi

Pan tam mieć cegłę [...]. Sprawienie, żeby coś zostało wykonane właściwie, wymaga mnóstwa czasu i troski. Ale wystarczy sekunda, by padło polecenie wykonania rzeczy błędnej. Wszystkie moje uwagi są ściśle poufne, a piszę w ten sposób, aby wyraził Pan dobitnie i wprost swoje życzenia”.

Robotnicy zatrudnieni przez firmę Francisca Agnewa przy wznoszeniu Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych rozpoczęli niebezpieczny proces stawiania olbrzymich stalowych dźwigarów, które miały podtrzymywać dach budynku i utworzyć największą wykonaną przez człowieka, pozbawioną podpór przestrzeń wewnętrzną.

Wzdłuż całej długości budynku ułożono trzy równoległe pary szyn. Na nich, na podwoziach wagonów, ustawiono „wędrownika”, czyli gigantycznych rozmiarów żuraw składający się z trzech wysokich wież, spiętych na szczycie platformą. Z jego pomocą robotnicy mogli podnosić i ustawiać na miejscu dwa dźwigary równocześnie. Projekt George'a Posta przewidywał dwadzieścia dwa dźwigary, z których każdy ważył dwieście ton. Samo przywiezienie materiałów do parku wymagało sześciuset wagonów.

W środę 1 czerwca fotograf wystawy, Charles Arnold, zrobił zdjęcie Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, żeby zarejestrować postępy w budowie. Każdy, kto widział tę fotografię, po prostu musiał dojść do wniosku, że obiektu nie da się ukończyć w ciągu czterech i pół miesiąca, a tyle zostało do dnia inauguracji. Dźwigary znajdowały się na miejscach, ale nie było dachu. Ściany dopiero zaczynały nabierać kształtu. Kiedy Arnold robił zdjęcie, na budowie pracowały setki ludzi, ale skala budynku była tak wielka, że żadnego z nich nie było na pierwszy rzut oka widać. Drabiny, które wznosiły się z jednego poziomu rusztowania na drugi, sprawiały wrażenie konstrukcji z zapalek i nadawały całej strukturze złudzenie kruchości. Na pierwszym planie widniały góry gruzu.

Dwa tygodnie później Arnold wrócił, aby wykonać następną fotografię, i uwiecznił zupełnie inną scenę. Scenę zniszczenia.

Wieczorem 13 czerwca, tuż po godzinie dziewiątej, tereny wystawy zaatakowała kolejna nagle burza, która w dodatku szczególnie upodobała sobie Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Duża część północnej ściany budowli runęła, co z kolei spowodowało zawalenie się podwieszanej galerii, która według projektu miała obiegać całe wnętrze. Trzy tysiące metrów sześciennych drewna spadło na podłogę. Fotografia Arnolda ukazuje maleńkiego człowieczka, być może

Burnhama, stojącego przed wielką górą połamanego drewna i pogiętej stali.

I to ten — ze wszystkich budynków właśnie ten.

Francis Agnew, właściciel firmy budowlanej, przyznał, że ściana była niedostatecznie wzmocniona, ale winę za ten stan rzeczy zrzucił na Burnhama, który zmuszał ludzi, żeby budowali zbyt szybko.

Burnham zaczął ich zmuszać jeszcze bardziej. Zrealizował swoją groźbę i podwoił liczbę robotników pracujących przy budynku. Pracowali nocą, w deszczu, w duszącym upale. Tylko w sierpniu budynek pochłonął trzy życia. Gdzie indziej na terenie budowy zginęło kolejnych czterech ludzi, a dziesiątki robotników ucierpiały z powodu złamań, poparzeń i innych ran. Wystawa, według jednej z późniejszych ocen, była bardziej niebezpiecznym miejscem pracy niż kopalnia.

Burnham zintensyfikował swoją walkę o większą władzę. Ciągłe starcia między Exposition Company a Komitetem Narodowym stały się niemal nie do zniesienia. Nawet śledczy z ramienia Kongresu zrozumieli, że źródłem niezgody i niepotrzebnych wydatków są zachodzące na siebie uprawnienia. Ich raport zalecał zredukowanie pensji Davisa o połowę, co było jasną wskazówką przeniesienia ciężaru władzy. Firma i komitet wypracowały między sobą rodzaj rozejmu. Dnia 24 sierpnia rada nadzorcza mianowała Burnhama dyrektorem departamentu robót. Czyli szefem wszystkiego.

Wkrótce potem Burnham wysłał listy do dyrektorów wszystkich departamentów, łącznie z Olmstedem. „Przejąłem osobistą kontrolę nad wszystkimi trwającymi pracami na terenie Światowej Wystawy Kolumbijskiej — napisał. — Od tej chwili, aż do odwołania, będą Panowie odpowiadać wyłącznie przede mną i tylko ode mnie przyjmować polecenia”.

Tymczasem młody inżynier z Pittsburgha utwierdził się w swoim przekonaniu, że opracowana przez niego próba rzucenia wyzwania wieży Eiffla może odnieść sukces. Poprosił swojego współnika, W. F. Gronaua, aby obliczył siły działające między elementami zaprojektowanej przez niego struktury. W inżynierskim żargonie, miała ona niewielkie „obciążenie stałe”, czyli ciężar nieruchomości mas cegieł i stali. Niemal wszystko było w niej „obciążeniem zmiennym”,

czyli ciężarem, który zmienia się w czasie, jak w wypadku pociągu przejeżdżającego przez most. „Nikt przede mną czegoś takiego nie liczył” — wspominał Gronau. Po trzech tygodniach intensywnej pracy przedstawił jednak szczegółowe wyliczenia. Liczby były przekonujące nawet dla Burnhama. W czerwcu Komisja Budżetowa zgodziła się, że to coś należy wybudować, i przyznała koncesję.

Jednak zaraz następnego dnia ją wycofała — po nocy pełnej myśli o gwałtownych wiatrach, pękającej stali i dwóch tysiącach zabitych członkowie komisji zmienili zdanie. Jeden z nich nazwał nawet projekt „potwornością”. Chór inżynierów skandował, że coś takiego nie może zostać zbudowane, a przynajmniej nie, jeśli chce się zachować margines bezpieczeństwa.

Ale młody inżynier nadal nie przyznawał się do porażki. Wydał 25 tysięcy dolarów na rysunki i dodatkowe obliczenia, i z ich pomocą zwerbował zastęp inwestorów, wśród których znalazło się dwóch sławnych inżynierów — Robert Hunt, szef znanej chicagowskiej firmy, i Andrew Onderdonk, który pomagał zbudować Kanadyjską Kolej Pacyficzną.

Wyczuł też zmianę na samej wystawie. Nowy szef Zakątka Uciech, Sol Bloom, był szybki niczym błyskawica i skłonny do wszelkich ekstrawagancji — im bardziej były nowatorskie i zaskakujące, tym lepiej. A Burnham zdobył niemal nieograniczoną władzę nad budową i działaniem wystawy.

Inżynier gotował się na trzecią próbę.

W pierwszym tygodniu września 1892 roku Olmsted i jego młodzi towarzysze opuścili Anglię i ruszyli do domu, wypływając z Liverpoolu na pokładzie statku City of New York. Morze było wzburzone, przeprawa trudna. Choroba morska dopadła Marion, a Rick cały czas miał mdłości. Zdrowie Olmsteda znów podupało. Wróciła bezsenność. Napisał: „Kiedy wróciłem, byłem w gorszym stanie niż gdy wyjeżdżałem”. Teraz jednak nie miał już czasu na przychodzenie do siebie. Dzień inauguracji przypadał za miesiąc, a Harry Codman był znowu chory, unieruchomiony przez ten sam problem brzuszny, który prześladował go latem. Olmsted ruszył do Chicago przejąć bezpośredni nadzór nad pracami do czasu wyzdrowienia Codmana. „Nadal w dużym stopniu torturuje mnie neuralgia i ból zębów — pisał. — Jestem zmęczony i coraz bardziej boję się nerwowości i zmartwień”.

W Chicago zastał park zupełnie odmieniony. Budynek Górnictwa był ukończony, podobnie Budynek Rybołówstwa. Prace budowlane przy większości pozostałych obiektów były już bardzo zaawansowane, dotyczyło to także, co niesamowite, gigantycznego Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, po którego rusztowaniach i dachu uwijały się setki robotników. Sama podłoga tej budowli wymagała zużycia pięciu wagonów gwoździ.

Jednakże na tych pracach ucierpiał krajobraz. Cały teren poprzecinały tymczasowe ścieżki. Wozy wyjeżdżały doły w poprzek zaplanowanych dróg i trawników. Wszędzie było mnóstwo śmieci. Ktoś, kto przyszedłby tu po raz pierwszy, nigdy by nie uwierzył, że ludzie Olmsteda w ogóle pracowali.

Oczywiście Olmsted wiedział, że uczyniono wielkie postępy, ale takiego rodzaju, który umykał pobieżnym spojrzeniom. Tam, gdzie kiedyś był łąd, teraz rozciągały się laguny. Wzniesienia, na których stały budynki, zostały usypane przez jego ekipę. Na wiosnę jego ludzie zasadzili niemal wszystko, co wyhodowano w szkółkach wystawy, a dodatkowo 200 tysięcy drzew, roślin wodnych i paproci oraz 30 tysięcy sadzonek wierzby — wszystko pod kierunkiem niezwykle kompetentnego głównego ogrodnika, E. Dehna.

Burnham chciał, aby w czasie, jaki pozostał do dnia inauguracji, ludzie Olmsteda skoncentrowali się na oczyszczaniu terenu, ozdabianiu go kwiatami i tymczasowymi trawnikami z darni. Olmsted rozumiał, że takie akcje są konieczne, choć stały w sprzeczności z jego tezą, której przestrzegał w całej swojej karierze, że należy projektować efekty krajobrazowe, których nie będzie jeszcze widać przez dziesięciolecia. „Oczywiście ucierpią na tym główne prace” — napisał.

Podczas jego nieobecności dokonał się jeden bezdyskusyjny postęp. Burnham przyznał koncesję na łodzie firmie Electric Launch and Navigation Company, która wyprodukowała śliczne elektryczne łodki, takie właśnie, o jakie walczył Olmsted.

W dniu inauguracji nawet prasa okazała się na tyle grzeczna, że pominęła milczeniem surowy wygląd terenu wystawy i niewykończony stan Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Inne postępowanie byłoby aktem niełojalności wobec Chicago i całego narodu.

Na inaugurację czekał cały kraj. Francis J. Bellamy, wydawca „Youth's Companion”, uznał za wspaniały pomysł, jeśli tego dnia wszyscy uczniowie w Ameryce, jednym głosem, podarują coś swojej ojczyźnie. Napisał przysięgę wierności, którą Biuro Edukacji rozesłało niemal do wszystkich szkół w kraju. Rozpoczęła się słowami: „Przysięgam wierność mojej Fladze i Republice, której jest symbolem”.

Na czele wielkiej parady Burnham i inni dygnitarze weszli do Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, gdzie trzydzieści dwa akry podłogi zappełniła stała armia złożona ze 140 tysięcy mieszkańców Chicago. Promienie słońca przebijały się przez mgiełkę ludzkich oddechów. Na obitym na czerwono podwyższeniu dla mówców ustawiono pięć tysięcy żółtych krzesel, na których zasiedli ubrani na czarno biznesmeni oraz zagraniczni goście i kler, odziany w szkarłat, purpurę, zieleń i złoto. Były burmistrz, Carter Harrison, ponownie ubiegający się o swoją piątą kadencję, podawał wszystkim rękę, a widok jego czarnego, miękkiego kapelusza wywoływał wiwaty stojących w tłumie popleczników. Po drugiej stronie budynku pięć tysięcy chórzystów śpiewało *Alleluja* Haendla, a towarzyszyło im pięciuset muzyków. W pewnym momencie, jak wspominał jeden z widzów: „Nagle dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi wstało i zaczęło równocześnie machać białymi chustkami do nosa. Powietrze zmieniło się w spirale kurzu, które wibrowały pod wielkim, pozebrowanym stalą sufitem [...]. Człowiek czuł się oszołomiony, miał wrażenie, że cały budynek się chwieje”.

Wnętrze Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych było tak wielkie, że trzeba było opracować specjalne sygnały, za pomocą których dawano znać chórowi, że mówca zakończył mowę i mogą odśpiewać kolejną pieśń. Nie istniały jeszcze mikrofony, tylko niewielka część zebranych słyszała więc co mówiono. Reszta, krzywiąc się z wysiłku, usiłowała dosłyszeć, co mówią widoczni w oddali ludzie, gestykulujący gwałtownie w tłumiącym wszelkie słowa miazmacie szeptów, kaszlnięć i skrzypienia skórzanych butów. Harriet Monroe, poetka, która była szwagierką Johna Roota, widziała, jak dwaj najwięksi mówcy w kraju, pułkownik Henry Watterson z Kentucky i Chauncey M. Depew z Nowego Jorku, zajmują kolejno miejsca na podium. „Obaj mówcy rzucali swoje słowa na wiatr, w kierunku wielkiego, szepczącego i szeleszczącego tłumu słuchaczy, którzy nie mogli ich usłyszeć”.

To był wielki dzień dla panny Monroe. Napisała długi poemat na cześć uroczystości, swoją *Odę kolumbijską*, i tak długo męczyła licznych wpływowych przyjaciół, aż umieścili ją w programie uroczystości. Przyglądała się z dumą, jak aktorka czyta ją kilku tysiącom ludzi stojących dość blisko, żeby coś usłyszeć. W przeciwieństwie do większości zebranych Monroe uważała, że jej poemat jest znakomity, tak bardzo, że na swój koszt kazała wydrukować pięć tysięcy kopii, które miały być rozprowadzone wśród uczestników. Sprzedała niewiele i przypisała tę klęskę upadającej w Ameryce miłości do poezji.

Tej zimy zużyła niesprzedane kopie na opał.

Prendergast

*D*nia 28 listopada 1892 roku Patrick Eugene Joseph Prendergast, szalony irlandzki imigrant i zwolennik Harrisona, pisał kolejną ze swoich kartek pocztowych. Miał teraz dwadzieścia cztery lata i mimo szybko pogarszającego się zdrowia psychicznego nadal pracował w Inter Ocean jako kierownik dystrybucji. Ta kartka, jak wszystkie inne, miała dziesięć centymetrów szerokości i trzynaście długości, po jednej stronie była zupełnie pusta, a po drugiej miała nadruk pocztu i jednocentowy znaczek. W czasach, kiedy pisanie listów było codziennością, ludzie uważali takie kartki za fatalny środek przekazu, niewiele lepszy niż telegram, ale dla Prendergasta ten prostokąt sztywnego papieru był narzędziem, które dawało mu głos w drapaczach chmur i bogatych rezydencjach Chicago.

Tę konkretną kartkę zaadresował do „A. S. Trude'a, prawnika”. Wypisał litery nazwiska dużym, kaligraficznym pismem, chcąc jak najszybciej wypełnić uciążliwy obowiązek adresowania kartki, przed przejściem do samej wiadomości.

To, że Prendergast wybrał Trude'a na jednego ze swoich korespondentów, nie było niespodzianką. Wiele czytał i dysponował rozległą wiedzą na temat wypadków tramwajowych, morderstw i machinacji w ratuszu, jakże często opisywanych na łamach gazet. Wiedział, że Alfred S. Trude jest jednym z najlepszych obrońców w sprawach kryminalnych w Chicago i że od czasu do czasu bywa zatrudniany jako oskarżyciel publiczny, co stanowiło wówczas powszechną praktykę w szczególnie ważnych sprawach.

Zapisał kartkę od góry do dołu, od brzegu do brzegu, niewiele wagi przywiązując do utrzymywania równych, poziomych linii. Ścisnął pióro tak mocno, że wygniął sobie wgłębienia na czubkach palca wskazującego i kciuka. „Mój drogi Panie Trude — rozpoczął. — Czy odniósł pan bolesne obrażenia?”. Jak donosiła prasa, Trude został lekko ranny w wypadku. „Pański uniżony

sługa błaga o zgodę na wyrażenie swojego szczerego współczucia i ufa, że choć nie staje przed Panem osobiście, niemniej nie będzie miał Pan wątpliwości co do jego szczerego współczucia z powodu Pana nieszczęśliwego wypadku — życzy on Panu szybkiego powrotu do zdrowia z obrażeń z wypadku, który na nieszczęście Pana spotkał”.

Pisał w tonie poufałym, pozwalającym domniemywać, że jest Trude'owi równy. W miarę pisania litery stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie sprawiały wrażenie raczej wytłoczonych niż napisanych. „Przypuszczam, panie Trude, że przyzna Pan, że największym autorytetem w dziedzinie prawa jest Jezus Chrystus — i że wie Pan również, że pozostawanie w zgodzie z prawem zależy od przestrzegania tych dwóch przykazań, że powinien Pan kochać Boga najbardziej ze wszystkich, a sąsiada jak siebie samego — są to najważniejsze przykazania, nie sądzi Pan?”.

Wiadomość przeskakiwała z tematu na temat jak koła pociągu na górcie rozrządowej. „Czy widział Pan kiedyś obrazek z grubym mężczyzną, który szuka swojego psa, choć ten jest u jego stóp i nie ma pojęcia, co się dzieje — czy zwrócił pan uwagę na kota?”.

Nie zakończył wiadomości i się nie podpisał. Zabrakło mu miejsca, dlatego po prostu wysłał kartkę.

Trude przeczytał wiadomość i uznał za dzieło dziwaka. Ewidentnie z każdym rokiem rosła liczba zaburzonych umysłowo kobiet i mężczyzn. W więzieniach było ich mnóstwo, zeznał później jeden ze strażników. Co nieuniknione, niektórzy stawali się niebezpieczni, jak Charles Guiteau, człowiek, który zabił w Waszyngtonie prezydenta Garfielda.

Bez jakichś jasnych przyczyn Trude zatrzymał tę kartkę.

„Niech to będzie natychmiast”

*P*od koniec listopada młody inżynier z Pittsburgha ponownie zaprezentował swoją propozycję „zeiffłowania Eiffela” przed Komisją Budżetową. Tym razem oprócz rysunków i wyliczeń przedstawił listę inwestorów, nazwiska wpływowych ludzi w radzie nadzorczej swojej firmy oraz dowód, że zebrał dość pieniędzy, żeby w całości sfinansować swój projekt. Dnia 16 grudnia 1892 roku komisja przyznała mu koncesję w Zakątku Uciech. I decyzja ta nie została już cofnięta.

Teraz potrzebował kogoś, kto byłby gotów pojechać do Chicago i nadzorować budowę. Doszedł do wniosku, że zna odpowiedniego człowieka: Luthera V. Rice'a, zastępcę głównego inżyniera w firmie Union Depot & Tunnel Company z St. Louis. Napisał do niego list rozpoczynający się słowami: „Mam w ręku wielki projekt na wystawę światową w Chicago. Zamierzam zbudować obracające się pionowo koło średnicy siedemdziesięciu sześciu metrów”.

W liście nie podał jednak prawdziwych rozmiarów swojej wizji: że na kole będzie zamocowanych trzydzieści sześć wagonów wielkości wagonów Pullmana, zdolnych pomieścić sześćdziesiąt osób każdy i wyposażonych we własny bufet. I że przy całkowitym wykorzystaniu na kole będzie się kręcić 2160 osób, wznosząc się na wysokość dziewięćdziesięciu metrów nad parkiem Jacksona, czyli nieco wyżej niż korona mającej obecnie sześć lat Statui Wolności.

Napisał do Rice'a: „Jeśli może Pan przyjechać, niech to będzie natychmiast”. I podpisał swój list George Washington Gale Ferris.

Chappell powraca

Pewnego dnia w pierwszym tygodniu grudnia 1892 roku Emeline Cigrand wyruszyła w drogę do budynku Holmesa w Englewood, niosąc niewielką, starranie zapakowaną paczkę. Początkowo była w radosnym nastroju — paczka zawierała prezent gwiazdkowy, który nieco przedwcześnie zamierzała wręczyć swoim przyjaciołom, Lawrence'om. Ale kiedy zbliżyła się do rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace, spochmurniała. Kiedyś ten budynek wydawał jej się niemal pałacem — nie ze względu na zalety architektoniczne, ale na to, co zdawał się obiecywać — teraz jednak okazał się bezbarwny i zniszczony. Weszła schodami na piętro i skierowała się prosto do mieszkania Lawrence'ów. Ich ciepłe przyjęcie rozproszyło jej troski. Wręczyła paczkę pani Lawrence, która zaraz ją rozpakowała. W środku był cynowy talerz, na którym Emeline namalowała prześliczny las.

Prezent bardzo uradował panią Lawrence, ale również trochę zaniepokoił. Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze trzy tygodnie. Zapytała, dlaczego Emeline nie poczekała trochę i nie dała jej tego talerza wtedy, kiedy mogłaby się jej zrewanżować prezentem.

Twarz Emeline się rozjaśniła. Wyjaśniła, że jedzie do domu, do Indiany, aby spędzić święta z rodziną.

„Wyglądała na zachwyconą perspektywą wizyty w domu — opowiadała pani Lawrence. — Mówiła o rodzinie z ogromną miłością i była szczęśliwa jak dziecko”. Ale wyczuła również w głosie przyjaciółki jakieś zdecydowanie, coś, co sugerowało, że podróż ma jeszcze inny cel. „Ale nie opuszczasz nas na zawsze?” — zapytała.

„Cóż, nie wiem jeszcze. Być może” — odparła Emeline.

Pani Lawrence się roześmiała.

„Pan Holmes nigdy sobie bez ciebie nie poradzi”.

Emeline skrzywiła się i odrzekła:

„Poradzi sobie, jeśli będzie musiał”.

Ta uwaga potwierdziła podejrzenia Lawrence'ów. „Od pewnego czasu miałem wrażenie, że uczucia panny Cigrand wobec pana Holmesa uległy zmianie — wspominał doktor Lawrence. — W świetle tego, co się stało, wierzę obecnie, że odkryła pewne cechy prawdziwego charakteru pana Holmesa i postanowiła go opuścić”.

Być może zaczęła wierzyć w historie, które słyszała w sąsiedztwie — o skłonności Holmesa do kupowania rzeczy na kredyt, a później niepłacenia za nie. Były one powszechnie znane, ale początkowo puszczała je mimo uszu jako plotki zazdrośników. Później pojawiły się spekulacje, że powierzyła Holmesowi swoje 800 dolarów oszczędności» a one znikły we mgle obietnic przyszłych ogromnych zysków. Nie zapomniała również ostrzeżenia Neda Connera. Ostatnio zaczęła mówić o powrocie do Dwight i podjęciu pracy u doktora Keeleya.

Emeline nigdy nie pożegnała się z Lawrence'ami, jej wizyty po prostu ustały. Ten wyjazd bez słowa pożegnania zdumiał bardzo panią Lawrence, gdyż pozostawał w całkowitej sprzeczności z charakterem panny Cigrand. Nie wiedziała, czy powinna się czuć dotknięta, czy zaniepokojona. Zapytała Holmesa, czy coś wie o nieobecności Emeline.

Zwykle Holmes patrzył pani Lawrence w oczy z otwartością, która ją nieco niepokoiła, ale tym razem unikał jej spojrzenia.

„Och, wyjechała, żeby wyjść za mąż” — powiedział, jakby ta sprawa zupełnie go nie obchodziła.

Wiadomość zaszokowała panią Lawrence.

„Nie rozumiem, dlaczego nie wspomniała mi nic o małżeństwie”.

Holmes wyjaśnił, że to była tajemnica: Emeline i jej narzeczony zwierzyli się ze swoich planów tylko jemu.

Ale to wyjaśnienie spowodowało dalsze pytania pani Lawrence. Dlaczego młoda para utrzymywała wszystko w takiej tajemnicy? Dlaczego Emeline nic jej nie powiedziała, choć dzieliły się tak wielką liczbą sekretów?

Pani Lawrence tęskniła za Emeline, za tym, jak jej żywy charakter i postać — pełna uroku buzia i jasne włosy — rozjaśniały ponure korytarze „zamku”. Nadal była niespokojna, a kilka dni później znów zagadnęła Holmesa.

Ten wyciągnął z kieszeni kwadratową kopertę.

„To pani wszystko wyjaśni” — powiedział.

W kopercie znajdowało się zawiadomienie o ślubie. Nie tłoczone, jak to było w zwyczaju, tylko pisane na maszynie. Ten fakt również zaskoczył panią

Lawrence. Emeline nigdy nie zgodziłaby się na tak prozaiczny sposób przekazania tak ważnej nowiny.

Zawiadomienie brzmiało następująco:

PAN ROBERT E. PHELPS
PANNA EMELINE G. CIGRAND
POBIORĄ SIĘ W ŚRODĘ 7 GRUDNIA 1892 ROKU
W CHICAGO

Holmes powiedział pani Lawrence, że zawiadomienie wręczyła mu osobiście Emeline. „Kilka dni po wyjeździe przysłała po swoją pocztę i wówczas dała mi zawiadomienie o ślubie, jak również dwa czy trzy dodatkowe, dla moich lokatorów, których w tym czasie nie było w domu — wyjaśniał we wspomnieniach. — A niedawne śledztwo wykazało, że przynajmniej pięć osób z Lafayette i okolicy otrzymało podobne zawiadomienia, ze znaczkiem pocztowym i w kopercie zaadresowanej jej własnym charakterem pisma, co dowodzi, że musiała je rozesłać sama, po porzuceniu posady u mnie”.

Rodzina i przyjaciele Emeline rzeczywiście dostali pocztą zawiadomienia o ślubie i rzeczywiście sprawiały one wrażenie zaadresowanych osobiście przez pannę Cigrand. Najprawdopodobniej Holmes podrobił jej charakter pisma albo skłonił Emeline do zaadresowania kopert, pod pretekstem jakiegoś oczywistego celu, na przykład rozesłania kartek świątecznych.

Ale pani Lawrence to zawiadomienie niczego nie wyjaśniło. Emeline nigdy nie wspominała o żadnym Robercie Phelpsie. A jeśli rzeczywiście przysłała tu z zawiadomieniami o ślubie, dlaczego nie wręczyła go jej osobiście?

Następnego dnia ponownie zatrzymała Holmesa i tym razem zapytała, co wie o tym Phelpsie. W taki sam lekceważący sposób Holmes powiedział: „Och, to facet, którego panna Cigrand gdzieś poznała. Nic o nim nie wiem, oprócz tego, że dużo podróżuje”.

Wiść o małżeństwie Emeline dotarła do redakcji gazety w jej rodzinnym mieście. Doniesiono o nim oficjalnie 8 grudnia 1892 roku, w małej rubryce towarzyskiej. Napisano, że Emeline to „wytworna dama”, która „ma silny i czysty charakter. Jej liczni przyjaciele uważają, że dokonała dobrego wyboru męża i z całego serca życzą jej szczęścia”. W informacji znajdowała się również garść faktów z jej życia, na przykład o pracy stenografia w archiwum hrabstwa.

„Stamtąd — informował artykuł — wyjechała do Dwight, a następnie do Chicago, gdzie spotkała swoje przeznaczenie”. „Przeznaczenie” było tu kokieterijną aluzją do małżeństwa.

Pani Lawrence nie przestała nękać Holmesa pytaniami o Emeline, ale odpowiadał jej monosylabami. Zaczęła sądzić, że Emeline nie tyle wyjechała, ile zniknęła, i przypomniała sobie, że wkrótce po ostatniej wizycie panny Cigrand rutynę życia w budynku Holmesa zakłóciło dziwne wydarzenie.

„Następnego dnia po zniknięciu panny Cigrand, czy może raczej nazajutrz po dniu, kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni, drzwi do biura Holmesa były zamknięte na klucz i nikt nie wchodził do środka oprócz niego samego i Patricka Quintana — wspominała pani Lawrence. — Około siódmej wieczorem Holmes wyszedł z biura i poprosił dwóch mężczyzn, którzy mieszkali w budynku, żeby pomogli mu znieść na dół kufer”. Kufer był duży i nowy, miał mniej więcej sto dwadzieścia centymetrów długości. Jego zawartość najwyraźniej była ciężka, z którego to powodu trudno było go unieść. Holmes przez cały czas napominał swoich pomocników, żeby uważali. Na dole czekał już wóz, który zabrał kufer.

Pani Lawrence twierdziła później, że w tamtej chwili nabrała pewności, że Holmes zabił Emeline. Jednak ani ona, ani jej mąż nie próbowali wyprowadzić się z budynku, nie poszli też na policję. Nikt nie poszedł. Ani pani Lawrence, ani państwo Cigrand, ani Ned Conner, ani rodzice Julii, państwo Smythe. Zupełnie jakby nikt się nie spodziewał, że policja zainteresuje się kolejnym zniknięciem, a jeśli już się zainteresuje, to okaże się na tyle kompetentna, żeby przeprowadzić efektywne śledztwo.

Niedługo potem do magazynów w pobliżu rodzinnego miasta Emeline przybył kufer zawierający jej rzeczy i wszystkie ubrania, jakie zabrała z sobą, kiedy opuszczała dom w 1891 roku, żeby podjąć pracę u Keeleya. Jej rodzice początkowo wierzyli — a raczej mieli nadzieję — że odesłała kufer do domu, ponieważ

wyszła za mąż za bogatego człowieka i nie potrzebowała już takich starych i znożonych rzeczy Cigrandowie nie otrzymali więcej wiadomości od Emeline, nawet w Boże Narodzenie. „I to pomimo że miała zwyczaj pisać do rodziców dwa albo trzy razy w tygodniu” — wspominał doktor B. J. Cigrand, daleki kuzyn Emeline i dentysta na chicagowskiej North Side.

Rodzice Emeline nadal jednak nie dopuszczali do siebie myśli o morderstwie. Peter Cigrand powiedział: „W końcu zacząłem wierzyć, że musiała umrzeć w Europie, a jej mąż albo nie znał naszych adresów, albo zaniedbał zawiadomienia nas o tym fakcie”.

Zapewne Cigrandowie i Lawrence'owie martwiliby się bardziej, gdyby znali kilka innych faktów.

Na przykład ten, że nazwisko Phelps było pseudonimem asystenta Holmesa, Benjamina Pitezla, którego używał w instytucie Keeleya, gdzie poznał Emeline.

Albo ten, że 2 stycznia 1893 roku Holmes ponownie poprosił o pomoc Charlesa Chappella, preparatora, i posłał mu kufer zawierający zwłoki kobiety. Górna połowa ciała niemal pozbawiona była tkanek.

Lub ten, że kilka tygodni później LaSalle Medical College w Chicago otrzymało doskonale wypreparowany szkielet.

I że coś dziwnego zdarzyło się w wielkim skarbcu w budynku Holmesa. Ten fenomen, odkryty przez policję trzy lata później, opierał się wszelkim naukowym wyjaśnieniom.

W jakiś sposób na gładkiej emalii wykończeniowej po wewnętrznej stronie drzwi do skarba, w miejscu znajdującym się mniej więcej pół metra nad podłogą, został wytrawiony odcisk stopy. Palce, podeszwa i pięta odbiły się tak wyraźnie, że nie było wątpliwości, że odcisk pozostawiła kobieta. Liczba szczegółów wprawiła policję w zdumienie, podobnie jak trwałość odcisku. Próbowali zetrzeć go ręką, później skrawkiem materiału i wodą z mydłem, ale pozostał nienaruszony.

Nikt nie potrafił ze stuprocentową pewnością wyjaśnić tego zjawiska. Najbardziej prawdopodobna teoria zakładała, że Holmes zwabił do skarba kobietę, która była wówczas bosa albo może w ogóle naga, i że zamknął ją w środku, zatrzaszkując hermetyczne drzwi. Kobieta pozostawiła odcisk stopy podczas ostatniej beznadziejnej próby otwarcia drzwi siłą. Na wyjaśnienie trwałości odcisku detektywi wysunęli teorię, że Holmes, o którym było wiadomo, że bardzo

interesował się chemią, wcześniej wylał na podłogę kwas, aby za pomocą reakcji chemicznej przyspieszyć zużywanie się tlenu w skarbcu. Według tej teorii Emeline musiała wdepnąć w kwas, po czym zapała się nogą o drzwi, w ten sposób dosłownie wytrawiając odcisk swojej stopy w emalii.

Odkrycie to przyszło jednak dużo później. Na początku 1893 roku, roku wystawy, nikt, nawet sam Holmes, nie wiedział o odcisku stopy na drzwiach.

„Twarde fakty”

Na początku stycznia 1893 roku zrobiło się zimno i tak już zostało. Temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Podczas swoich porannych przejażdżek Burnham odkrywał blady, zamrożony na kość świat. Wszędzie leżały kopczyki końskiego nawozu. Przy brzegach Leśnej Wyspy lód, gruby na pół metra, skuł sitowie i turzyce Olmsteda. Burnham zdawał sobie sprawę, jak bardzo opóźnione są prace przy założeniach zielonych i krajobrazowych, a na domiar złego reprezentujący Olmsteda w Chicago Harry Codman, na którym wszyscy nauczyli się polegać, leżał w szpitalu, zbierając siły po operacji. Dręcząca go, nawracająca choroba okazała się zapaleniem wyrostka robaczkowego. Operacja, przeprowadzona pod eterem, przebiegła dobrze i Codman dochodził do siebie, ale wiadomo było, że jego powrót do zdrowia będzie powolny. Tymczasem do dnia otwarcia pozostały tylko cztery miesiące.

Panujący mróz zwiększył ryzyko pożaru. Niezbędne ogniska — salamandry i cynowe beczki — powodowały dziesiątki drobnych i bez trudu gaszonych zaproszeń ognia, ale mróz zwiększał niebezpieczeństwo. Rury z wodą i hydranty zamarły, a robotnicy zaczęli łamać wydany przez Burnhama zakaz palenia ognisk i papierosów. Straż Kolumbijska zwiększyła czujność. Jej członkowie najbardziej cierpieli z powodu mrozu. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę tkwili na straży w odludnych zakątkach parku Jacksona, właściwie pozbawieni jakiegokolwiek schronienia. „Ci, którzy służyli wówczas w straży, do końca życia będą pamiętać zimę 1892/1893 roku” — napisał pułkownik Rice, komendant. Strażnicy najbardziej obawiali się przydziału do sektora na południowym krańcu parku, obok Budynku Rolnictwa, który przezywali Syberią. Pułkownik Rice wykorzystywał ten ich lęk. „Każdy strażnik przydzielony na stanowisko przy południowym ogrodzeniu szybko odkrywał, że ma na sumieniu jakieś drobne naruszenie dyscypliny albo że jego wygląd wyklucza przebywanie w bardziej reprezentacyjnych miejscach parku”.

George Ferris walczył z mrozem za pomocą dynamitu. Był to jedyny efektywny sposób przebicia się przez prawie metr zamrożonej ziemi. Ale nawet po zerwaniu tej skorupy pojawiały się problemy. Tuż pod jej powierzchnią znajdowała się sześciometrowa warstwa piachu, przekleństwo chicagowskich architektów, teraz na domiar złego lodowato zimna, co dla robotników okazało się prawdziwą torturą. Za pomocą strumieni gorącej pary topiono błoto i zapobiegano zamarzaniu cementu. Trzeba było wbijać drewniane pale aż na głębokość warstwy nośnej, znajdującej się dziesięć metrów poniżej. Na wierzchu układano ruszt ze stali i zalewano go cementem. W otwartych komorach dwadzieścia cztery godziny na dobę pracowały pompy, osuszając konstrukcję. Ten sam proces należało powtórzyć przy każdej z ośmiu czterdziestosiedmiometrowych wież, które miały podtrzymywać ogromną oś Koła Ferrisa, pierwowzoru dzisiejszych diabelskich młynów.

Początkowo Ferris najbardziej martwił się o to, czy zdoła zdobyć dość stali, żeby zbudować swoją machinę, szybko uświadomił sobie jednak, że jest w lepszej sytuacji niż inni klienci stalowni. Za pośrednictwem swojej firmy poznał większość krajowych producentów stali i ich wyroby. Wielu było mu winnych przysługę, mógł też składać zamówienia w wielu różnych firmach. „Żadna stalownia nie była w stanie wykonać całego kontraktu, dlatego zawarto umowy z kilkoma firmami, wybierając je ze względu na jakąś szczególną cechę, dzięki której były najodpowiedniejsze do osiągnięcia danego celu” — stwierdzał raport firmy Ferrisa. Ponadto Ferris zarządzał armią inspektorów, którzy oceniali jakość każdego składnika stosowanego przez stalownię. Było to dla niego znaczne ułatwienie, ponieważ planowane koło miało się składać ze stu tysięcy części, których wielkość wahała się od niewielkich sworzni do gigantycznej osi. Ta oś, w chwili wyprodukowania jej przez firmę Bethlehem Steel, była największym kiedykolwiek odlanym na świecie elementem mechanizmu. „Konieczna była doskonała precyzja, ponieważ przeważającą większość części można było połączyć dopiero na miejscu, a błąd o ułamek centymetra mógł mieć tragiczne następstwa”.

Koło, na którego pomysł wpadł Ferris, tak naprawdę składało się z dwóch kół oddalonych od siebie o dziewięć metrów i osadzonych na jednej osi. Burnhama początkowo przerażała delikatność całej konstrukcji. Każde z tych kół było w istocie gigantycznym kołem od roweru. Wieniec, czyli brzeg koła, łączyły z „pajakiem” umieszczonym na osi smukłe stalowe pręty, o przekroju zaledwie sześciu centymetrów i długości dwudziestu czterech metrów. Konstrukcję usztywniały

rozpory i skośne pręty biegnące między kołami, w zamierzeniu mające im dać solidność kolejowego mostu. Wążący ponad dziewięćset kilogramów łańcuch łączył koło zębate na osi z kołem zębatym napędzanym przez bliźniacze silniki parowe o mocy tysiąca koni mechanicznych. Ze względów estetycznych kotły miały być umieszczone dwieście metrów od Zakątka Uciech, skąd parę do silników doprowadzano by za pomocą podziemnych rur o przekroju dwudziestu pięciu centymetrów.

Przynajmniej tak to wyglądało na papierze. Już jednak samo wykopanie i położenie fundamentów okazało się dużo trudniejsze niż spodziewali się Ferris i Rice, a mieli pełną świadomość, że czekają ich dużo większe problemy. Największym wyzwaniem będzie przeniesienie gigantycznej osi na miejsce, na szczyt ośmiu wież. Wraz z elementami mocującymi ważyła 64 424 kilogramy. Nigdy wcześniej nie próbowano unieść podobnego ciężaru. Na żadną wysokość.

Podczas pobytu w Brookline Olmsted otrzymał telegram zawiadamiający o śmierci Harry'ego Codmana. Jego protegowanego, którego kochał jak syna. Zmarły miał dwadzieścia dziewięć lat. „Zapewne usłyszysz o naszym wielkim nieszczęściu — pisał Olmsted do swojego przyjaciela, Gifforda Pinchota. — Obecnie czuję się jak ktoś stojący na pokładzie wraku i ledwie mogę sobie wyobrazić, kiedy znów będziemy w stanie unosić się na powierzchni”.

Olmsted pojmował, że teraz to on sam będzie musiał przejąć bezpośredni nadzór nad pracami przy wystawie, ale czuł się mniej zdolny do tego niż kiedykolwiek wcześniej. Wraz z Philem, bratem Harry'ego, przyjechał do Chicago na początku lutego i zastał miasto skute mrozem. Temperatura spadła do ośmiu stopni poniżej zera. Dnia 4 lutego Olmsted usiadł po raz pierwszy za biurkiem Codmana, uginającym się pod stosami faktur i notatek. Głowa pulsowała mu z bólu, w uszach ryczało. Bolało go gardło. Trwał w głębokim smutku. Zadanie uporządkowania papierów Codmana i przejęcia po nim prac przy wystawie wydawało mu się nie do wykonania. Zapytał swojego byłego asystenta, Charlesa Eliota, obecnie jednego z najlepszych architektów krajobrazu w Bostonie, czy mógłby mu pomóc. Po pewnym wahaniu Eliot wyraził zgodę. Po przyjeździe do Chicago natychmiast zauważył, że Olmsted jest chory. Wieczorem 17 lutego

1893 roku w miasto uderzyła śnieżycą, a Olmsted, pod opieką lekarza, leżał uwięziony w pokoju hotelowym.

Tej nocy napisał do Johna, przebywającego w biurze firmy w Brookline. Znużenie i smutek kładło się cieniem na każdej stronie listu. „Mam wrażenie, że nadszedł czas, żebyś przestał na mnie liczyć” — napisał. Prace w Chicago zaczęły wyglądać beznadziejnie. „Coraz bardziej jasne staje się to, że w obecnym stanie rzeczy nie zdołamy wykonać tu naszych obowiązków”.

Na początku marca Olmsted i Eliot wrócili do Brookline. Eliot stał się teraz pełnoprawnym współnikiem, a firma zmieniła nazwę na Olmsted, Olmsted & Eliot. Prace przy wystawie nadal były mocno opóźnione i stanowiły dla Olmsteda główne źródło zmartwień, ale zdrowie i wymagania innych kontraktów zmusiły go do opuszczenia Chicago. Pełen wątpliwości przekazał obowiązki swojemu kierownikowi robót, Rudolfowi Ulrichowi, któremu przestawał ufać. Dnia 11 marca wysłał do niego długi, pełen instrukcji list.

„Nigdy wcześniej, w żadnym z licznych zleceń, za które byłem odpowiedzialny, nie zawierzyłem tak wiele uznaniu asystenta czy współpracownika — pisał. — W sytuacji, w jakiej nas postawiła śmierć pana Codmana i moje złe zdrowie, jestem jednak bardziej niż kiedykolwiek skłonny kontynuować taką politykę i posunąć się w niej jeszcze dalej. Ale muszę wyznać, że czynię to z wielkim niepokojem”.

Dał jasno do zrozumienia, że ten niepokój jest związany z osobą samego Ulricha, a szczególnie z jego „wrodzoną skłonnością” do tracenia z oczu ogólnego planu i koncentrowania się na drobnych zadaniach, którymi lepiej zajęliby się jego podwładni. Zdaniem Olmsteda, groziło to podatnością na żądania organizatorów wystawy, szczególnie Burnhama. „Proszę nigdy nie tracić z oka tego, że nasza odpowiedzialność jako *artystów* krajobrazu odnosi się przede wszystkim do ogólnej, wszechstronnej *scenerii* wystawy” — pisał. „Ten obowiązek polega nie na założeniu ogrodu czy stworzeniu ogrodowych efektów, ale dotyczy scenerii wystawy jako całości. Przede wszystkim scenerii w szerokim i ogólnym sensie [...]. Jeśli z braku czasu i środków albo dobrej pogody nie uda nam się zrealizować detali, nasze niepowodzenie będzie wybacalne. Jeśli natomiast zawiedzie- my w sprawach dotyczących szeroko pojętych efektów krajobrazowych,

poniesiemy klęskę w kwestii będącej naszym podstawowym obowiązkiem”.

Dalej wyliczał Ulrichowi, co martwi go najbardziej w wystawie. Między innymi była to kolorystyka wybrana przez Burnhama i jego architektów. „Proszę mi pozwolić przypomnieć sobie, że teren ekspozycji już zaczął być powszechnie nazywany Białym Miastem [...]. Obawiam się, że na tle bezchmurnego niebieskiego nieba i błękitnego jeziora, wielkie, górujące nad wszystkim masy bieli, połyskujące w jaskrawym, gorącym letnim słońcu Chicago, oraz w jego odbiciach w wodzie, którą mamy i na terenie wystawy, i poza nią, okażą się przytłaczające”. To, jak napisał, czyni sprawą ważniejszą niż wcześniej stworzenie przeciwwagi w formie „gęstych, rozległych, bujnych grup zieleni”.

Olmstedowi najwyraźniej przyszło do głowy, że może ponieść na wystawie klęskę, i ta świadomość bardzo go martwiła. Czasu było mało, pogoda panowała okropna. Wiosenny okres sadzenia będzie krótki. Olmsted zaczynał myśleć w kategoriach rozwiązań rezerwowych. Ostrzegął Ulricha: „Proszę nie podejmować żadnych działań na polu roślin ozdobnych, jeśli nie będzie Pan absolutnie pewien, że wystarczy Panu czasu i środków, żeby doprowadzić projekt do perfekcji. Proszę się nie bać zwykłych, pozbawionych ozdób, gładkich powierzchni”.

Znacznie lepiej jest poskąpić ozdób niż dać ich zbyt dużo. „Wolę, żeby myśleli o nas, że zostawiamy za wiele prostych i gładkich, wręcz nagich powierzchni, niż że tworzymy jaskrawe, krzykliwe, tanie i powierzchowne. Warto, żebyśmy okazali gust dżentelmenów”.

Spadł śnieg, całe masy śniegu. Padał dzień po dniu, aż tysiące jego ton spoczęły na dachach budynków w parku Jacksona. Wystawa miała być imprezą letnią, działającą od maja do października. Nikt nie pomyślał o tym, żeby tak zaprojektować dachy, aby wytrzymały wielki ciężar śniegu.

Kiedy ludzie pracujący w Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych usłyszeli jęczenie stali, uciekli, szukając schronienia. Dach budynku, ten cud końca dziewiętnastego wieku, zamykający największą pozbawioną podpór przestrzeń wewnętrzną w historii, w wielkiej chmurze śniegu i srebrnego szkła runął na podłogę.

Niedługo potem do parku Jacksona wyruszył dziennikarz z San Francisco. Przybył, gotów podziwiać wielkie osiągnięcia armii robotników Burnhama, ale widok, jaki zastał w skutym lodem parku, wzbudził jego głębokie zaniepokojenie.

„Odnosi się wrażenie, że jest to rzecz niemożliwa — pisał. — Oczywiście ludzie kierujący tym przedsięwzięciem twierdzą, że będą gotowi na czas. A jednak twarde fakty, przed jakimi stoimy, są takie, że jedynie Budynek Kobiet zbliża się do fazy ukończenia, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz”.

A przecież wystawa miała zostać otwarta za niewiele ponad dwa miesiące.

Zdobycie Minnie

Dla Holmesa, mimo mrozu utrzymującego się przez dwa pierwsze miesiące 1893 roku, sprawy nigdy nie wyglądały lepiej. Po gładkim pozbyciu się Emeline mógł się skoncentrować na rosnącej sieci swoich firm. Delektował się ich „skalą”. Miał udziały w legalnym przedsiębiorstwie produkującym maszynę do powielania dokumentów. Sprzedał firmę wysyłkową lekarstw i założył własny ośrodek leczenia alkoholizmu, Instytut Srebrnego Pyłu, będący odpowiedzią na złoty środek Keeleya. Pobierał czynsz od Lawrence’ów i innych lokatorów, a ponadto był właścicielem dwóch domów, jednego przy Honoré Street, a drugiego, całkiem nowego, w Wilmette, gdzie obecnie mieszkały jego żona Myrta i córka Lucy. Sam zaprojektował ten dom i zbudował z pomocą aż siedemdziesięciu pięciu robotników, z których większość nigdy nie dostała pieniędzy za swoją pracę. A wkrótce jego hotel zacznie przyjmować pierwszych gości przybywających na wystawę światową.

Wiele czasu poświęcił urzędzeniu swojego hotelu. Zamówił wysokiej klasy meble od Tobey Furniture Company oraz kryształ i porcelanę z French, Potter Crockery Company, oczywiście nie płacąc ani centa, choć miał świadomość, że wkrótce dostawcy spróbują zrealizować skrypty dłużne, które im wręczył. Ale to go nie martwiło. Wiedział z doświadczenia, że zwlekanie i szczerą skrucha to potężne narzędzia, za pomocą których można zwodzić wierzycieli miesiącami czy nawet latami, a niekiedy bez końca. Czuł jednak, że nie będzie to w tym wypadku konieczne. Jego czas w Chicago dobiegał końca. Pytania pani Lawrence stawały się coraz bardziej natarczywe i niemal oskarżycielskie, a niektórzy wierzyciele zaczęli okazywać niezwykłą stanowczość. Jeden z nich, firma Merchant & Co, która dostarczyła stal na piec w piwnicy i skarbiec, posunęła się nawet do uzyskania nakazu warunkowego zwrotu mienia, chcąc odzyskać stal. Podczas inspekcji budynku nie znaleziono jednak niczego, co można by było zidentyfikować jako produkt pochodzący z tej firmy.

Jeszcze bardziej denerwujące były listy od rodziców zaginionych córek oraz prywatni detektywi, którzy zaczęli się zjawiać na jego progu. Niezależnie od siebie, rodziny Cigrandów i Connerów wynajęły prywatnych „niuchaczy” do odszukania swoich zaginionych córek i synowych. Choć początkowo te wizyty wzbudzały niepokój Holmesa, szybko się zorientował, że nikt tak naprawdę nie wierzy, że miał coś wspólnego z zaginięciami. Detektywi nie dawali do zrozumienia, że podejrzewają jakąś nieczystą grę. Potrzebowali informacji — nazwisk przyjaciół, nowych adresów, sugestii gdzie dalej szukać.

Oczywiście z radością im pomagał. Zapewniał jak bardzo, ale to bardzo, mu przykro, że nie może im dostarczyć żadnych nowych informacji, które zmniejszyłyby troskę rodziców. Jeśli będzie miał wiadomość od zaginionych, oczywiście natychmiast da im znać. Przy pożegnaniu potrzasał mocno rękami detektywów i zapraszał, żeby zatrzymali się u niego, jeśli praca zaprowadzi ich jeszcze kiedyś w przyszłości do Englewood. Rozstawali się zawsze tak serdecznie, jakby się znali przez całe życie.

W tamtej chwili — w marcu 1893 roku — dręczył go tylko jeden problem, brak fachowej pomocy. Potrzebował nowej sekretarki. Oczywiście wokoło nie brakowało kobiet szukających pracy, ponieważ wystawa przyciągnęła do Chicago całą ich armię. Na przykład liczba panien ubiegających się o posadę nauczycielki w pobliskiej Normal School podobno była wielokrotnie wyższa niż zwykle. Sztuka polegała jednak na tym, żeby wybrać osobę o odpowiednim charakterze. Kandydatki musiały posiadać pewne umiejętności w zakresie stenografii i pisania na maszynie, ale to, czego Holmes poszukiwał i co potrafił bezbłędnie wyczuć, to pewna charakterystyczna mieszanka samotności, słabości i potrzeby kontaktu. Kuba Rozpruwacz odnajdywał to coś w ubogich prostytutkach z Whitechapel, a Holmes w kobietach okresu przejściowego, w świeżych, czystych młodych kobietach, po raz pierwszy w historii wolnych, ale niepewnych, co oznacza ta wolność, i nieświadomych, jakie za sobą pociąga ryzyko. Pragnął uczucia posiadania i władzy, jakie mu zapewniały. Tym, co uwielbiał najbardziej, było wyczekiwanie — powolne zdobywanie miłości, potem samego życia, a na koniec kryjących się w nim sekretów. Następujące na końcu pozbywanie się materiału było nieistotne, było czystą rozrywką. To zaś, że potrafił je zmienić w dochodowe przedsięwzięcie, stanowiło po prostu świadectwo jego mocy.

W marcu los oddał mu w ręce doskonałą zdobycz. Nazywała się Minnie R. Williams. Poznał ją kilka lat wcześniej, podczas pobytu w Bostonie, i już wtedy

rozważał jej zdobycie, ale odległość okazała się zbyt wielka, a czas nieodpowiedni. Tymczasem teraz przeniosła się do Chicago, a Holmes miał powody podejrzewać, że sam był jedną z przyczyn tych przenosin.

Minnie miała teraz dwadzieścia pięć lat i w przeciwieństwie do jego poprzednich zdobyczy nie była ładna. Niska i pulchna — ważyła około siedemdziesięciu kilogramów — o męskim nosie, grubych, ciemnych brwiach i prawie zupełnie pozbawiona szyi. Twarz miała nijaką, policzki pełne. „Twarz dziecka — określił ją jeden ze świadków. — Zapewne nie była zbyt mądra”.

Już jednak w Bostonie Holmes odkrył, że posiada inne ujmujące cechy.

Minnie Williams i jej siostra Anna urodziły się w stanie Missisipi. Zostały wcześniej osierocone i wychowały się u różnych wujów. Opiekunem Anny był wieloletni doktor W. C. Black z Jackson w Missisipi, wydawca gazetki metodystów „Christian Advocate”. Minnie wyjechała do Teksasu, a jej opiekunem był odnoszący sukcesy biznesmen. Traktował ją dobrze, a w 1886 roku zapisał ją do bostońskiej Academy of Elocution. Zmarł w trakcie jej trzyletnich studiów, a w testamencie zapisał jej posiadłość wycenianą na 50 do 100 tysięcy dolarów (w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze około 1.5 do 3 milionów dolarów).

Jej siostra, Anna, została nauczycielką. Uczyła w Midlothian Academy w Midlothian w Teksasie.

Holmes poznał Minnie na spotkaniu towarzyskim w domu jednej z szanowanych bostońskich rodzin, kiedy podróżował w interesach pod pseudonimem Henry Gordon. Wypytał o nią dyskretnie i dowiedział się o spadku składającym się przede wszystkim z parceli w samym sereu Fort Worth w Teksasie.

Przedłużył swój pobyt w Bostonie. Zabierał ją do teatru, na koncerty i kupował jej kwiaty, książki i słodycze. Zabieganie o jej względy było żałośnie łatwe. Nazywała go Harry. Za każdym razem, kiedy jej mówił, że musi wracać do Chicago, była, ku jego rozkoszy, zdruzgotana. Przez cały 1889 rok odwiedzał regularnie Boston i porywał Minnie w wir przedstawień i kolacji, chociaż najbardziej wyglądał dni tuż przed wyjazdem, kiedy pragnienie jego obecności rozpalało się w niej jak pożar suchego lasu.

Po pewnym czasie jednak znużyła go ta gra. Odległość była zbyt duża, podobnie jak powściągliwość Minnie. Jego wizyty w Bostonie stawały się coraz rzadsze, chociaż nadal odpowiadał na jej listy z żarliwością kochanka.

Zniknięcie Holmesa złamało Minnie serce. Była w nim zakochana, jego wizyty były dla niej źródłem podniecenia, jego wyjazdy — otchłanią rozpacz. Czula się zdezorientowana: miała wrażenie, że się do niej zaleca, nawet zachęcał ją, żeby rzuciła studia i uciekła z nim do Chicago, po czym zniknął i nawet jego listy przychodziły coraz rzadziej. Z radością opuściłaby Boston, żeby wyjść za mąż, ale nie na tak lekkomyślnych warunkach, jakie proponował. Byłby doskonałym mężem. Czującym w sposób, jaki rzadko spotyka się u mężczyzn, i tak doskonale prosperującym w interesach. Brakowało jej jego ciepła i dotyku.

Wkrótce listy od niego w ogóle przestały przychodzić.

Po ukończeniu Academy of Elocution Minnie przeniosła się do Denver, gdzie próbowała stworzyć własne przedsiębiorstwo teatralne. Straciła na tej próbie 15 tysięcy dolarów. Nadal marzyła o Harrym Gordonie. Kiedy jej firma upadła, myślała o nim coraz częściej. Marzyła również o Chicago, mieście, które było na ustach wszystkich i do którego wszyscy chcieli się przenieść. Zważywszy, że to tam mieszkał Harry i że wkrótce miano tam otworzyć Światową Wystawę Kolumbijską, Chicago stało się w jej oczach pokusą nie do odparcia.

Przeniosła się do Chicago w lutym 1893 roku i zatrudniła jako stenografica w firmie prawniczej. Napisała do Harry'ego z wiadomością o swoim przyjeździe.

Harry Gordon złożył jej wizytę prawie natychmiast i powitał ją ze łzami w oczach. Był taki ciepły i czuły. Zupełnie jakby nigdy się nie rozstali. zaproponował, żeby zaczęła pracować dla niego, jako jego osobista sekretarka. Mogliby się wtedy widywać codziennie, nie martwiąc się o wścibską gospodynię Minnie, która pilnowała ich tak, jakby była jej rodzoną matką.

Taka perspektywa zachwyciła Minnie. Harry wprawdzie nadal nie wspominał nic o małżeństwie, ale widziała wyraźnie, że ją kocha. I była w Chicago, a tu wszystko było inne, mniej sztywne i formalne. Wszędzie, gdziekolwiek poszła,

widziała kobiety w swoim wieku chodzące po ulicach bez asysty, pracujące, żyjące po swojemu. Przyjęła ofertę Harry'ego. Wydawał się tym zachwycony.

Ale postawił dziwny warunek. Otóż publicznie Minnie miała go nazywać Henrym Howardem Holmesem, pseudonimem, który, jak jej wyjaśnił, przyjął w interesach. Nigdy nie wolno jej było używać nazwiska Gordon ani okazywać zaskoczenia, kiedy ludzie nazywali go doktorem Holmesem. Choć oczywiście zawsze mogła się do niego zwracać per Harry.

Zajmowała się jego korespondencją i prowadziła księgi, a on skoncentrował się na szykowaniu hotelu na wystawę światową. Jadali razem kolacje w jego biurze, przy czym potrawy przynoszono z restauracji na dole. Minnie wykazywała „doskonałe predyspozycje do pracy — jak napisał Holmes we wspomnieniach. — W pierwszych tygodniach mieszkała dość daleko, ale później, mniej więcej od 1 marca do 15 maja 1893 roku, zajmowała pokoje przylegające do biura, w tym samym budynku”.

Harry dotykał ją i pieścił, pozwalając, żeby jej oczy napelniały się łzami uwielbienia. Wreszcie poprosił ją o rękę. Była wniebowzięta. Jej Harry był taki przystojny i dynamiczny. Wiedziała, że gdy się już pobiorą, będą prowadzić cudowne życie, dostatnie i pełne podróży. Napisała o swoich nadziejach do siostry, Anny.

W ostatnich latach siostry bardzo się do siebie zbliżyły, pokonując panującą wcześniej między nimi obcość. Korespondowały z sobą często. Minnie pisała głównie o swoim coraz szybciej rozwijającym się romansie i wyrażała zdumienie, że taki przystojny mężczyzna wybrał na żonę właśnie ją.

Anna była nastawiona sceptycznie. Na jej gust romans rozwijał się zbyt szybko i zyskiwał stopień zażyłości gwałcący wszystkie skomplikowane reguły, jakimi rządzi się narzeczeństwo. Wiedziała, że Minnie jest słodka, ale zdawała sobie też sprawę, że siostra nie jest pięknocią.

Skoro Harry Gordon był takim ideałem, jeśli chodzi o wygląd i interesy, dlaczego wybrał na żonę właśnie ją?

W połowie marca Holmes otrzymał list od Petera Cigranda, ojca Emeline, zawierający kolejną prośbę o pomoc w odszukaniu córki. List nosił datę 16 marca. Holmes odpowiedział natychmiast, 18 marca. Powiadamiał Cigranda, że

Emeline porzuciła posadę u niego 1 grudnia 1892 roku. Jego odpowiedź była napisana na maszynie. Możliwe, że to Minnie, jako jego osobista sekretarka, przepisała ten list.

„Otrzymałem jej zawiadomienie o ślubie około 10 grudnia” — głosił. Po ślubie Emeline odwiedziła Holmesa dwukrotnie, ostatni raz 1 stycznia 1893 roku, „kiedy to z rozczarowaniem przyjęła brak poczty dla niej. Mam wrażenie, że mówiła, że pisała do Państwa wcześniej. Zanim odeszła z posady, osobiście zwierzyła mi się, że wraz z mężem zamierza się udać do Anglii w sprawie jego interesów, ale kiedy zjawiała się tu po raz ostatni, zachowywała się tak, jakby zrezygnowali z podróży. Proszę dać mi znać, jeśli będą Państwo mieli jakąś wiadomość od niej. Proszę również o podanie adresu jej stryja, tu w mieście, a udam się do niego osobiście i zapytam, czy była u niego, ponieważ wiem, że miała zwyczaj odwiedzać go często”.

Dodał również postscriptum, napisane atramentem: „Czy pytali Państwo jej przyjaciół z Lafayette, czy mieli od niej wieści? Jeśli nie, sądzę, że należałoby to uczynić. Proszę mnie informować o wszelkich nowinach”.

Holmes obiecał Minnie podróż do Europy, lekcje rysunku, wspaniały dom i oczywiście dzieci — uwielbiał dzieci — tyle że najpierw muszą się zająć pewnymi kwestiami finansowymi, które wymagają ich wspólnej uwagi. Wyjaśnił, że ma plan, który może im przynieść wielkie zyski finansowe, i przekonał ją, żeby przekazała tytuł własności do ziemi w Fort Worth człowiekowi o nazwisku Alexander Bond. Uczyniła to 18 kwietnia 1893 roku. Sam Holmes pełnił funkcję notariusza. Następnie Bond przekazał tytuł własności kolejnej osobie, niejakiemu Bentonowi T. Lymanowi. Holmes pełnił funkcję notariusza i w tej transakcji.

Minnie kochała swojego przyszłego męża i ufała mu. Nie miała pojęcia, że Alexander Bond to pseudonim samego Holmesa, a za nazwiskiem Bentona Lymana kryje się asystent Holmesa, Benjamin Pitezel. Nie zorientowała się też, że za pomocą kilku pociągnięć pióra jej ukochany Harry wziął w posiadanie większość jej spadku po wuju. Co więcej, nie wiedziała, że formalnie jej narzeczony jest już żonaty z dwiema kobietami, Clara Lovering i Myrtłą Belknap, i że w każdym z tych małżeństw ma dzieci.

Pogłębiwszy jeszcze uwielbienie Minnie dla swojej osoby, Holmes przeprowadził drugi manewr finansowy. Założył firmę Campbell-Yates Manufacturing Company, która, według rejestru, miała się zajmować kupnem i sprzedażą. W akcie założycielskim wskazał pięciu członków zarządu: H. H. Holmesa, M. R. Williamsa, A. S. Yatesa, Hiram S. Campbella i Henry'ego Owensa. Owens był woźnym, którego Holmes zatrudniał, a Hiram S. Campbell — fikcyjnym właścicielem budynku w Englewood. Yates miał być podobno biznesmenem zamieszkałym w Nowym Jorku, choć w rzeczywistości był w takim samym stopniu postacią fikcyjną jak Campbell. A M. R. Williams to nie kto inny jak Minnie. Firma nie kupowała niczego i niczego nie sprzedawała — istniała po to, żeby posiadać aktywa i dostarczać referencji wierzycielom, którzy zaczęli się odnosić sceptycznie do skryptów dłużnych Holmesa.

Później, kiedy powstały wątpliwości co do legalności firmy, Holmes przekonał Henry'ego Owensa, woźnego, aby podpisał zaprzysiężone oświadczenie, w którym stwierdzał, że nie tylko jest dyrektorem finansowym firmy, ale że również poznał osobiście Yatesa i Campbella, i że Yates wręczył mu świadectwa udziałowe określające jego udział w firmie. Owens powiedział później o Holmesie: „Nakłonił mnie do napisania tych oświadczeń, obiecując mi moje zaległe wynagrodzenie i wykorzystując te swoje hipnotyzerskie umiejętności, i szczerze wierzę, że miał na mnie wówczas silny wpływ. Kiedy byłem przy nim, zawsze miał nade mną władzę”.

Dodał również: „Nigdy nie otrzymałem swoich zaległych poborów”.

Holmes — Harry — chciał, żeby ślub odbył się szybko i po cichu: tylko on, Minnie i pastor. Wszystko zorganizował. W oczach Minnie ta mała uroczystość była absolutnie legalna i na swój sposób szalenie romantyczna. W rzeczywistości ich związek nigdy nie został wpisany do rejestru małżeństw hrabstwa Cook w stanie Illinois.

Straszne rzeczy czynione przez dziewczęta

*P*rzez całą wiosnę 1893 roku ulice Chicago zapępniały tłumy przyjezdnych bezrobotnych, ale poza tym miasto zdawało się wolne od problemów finansowych, jakie prześladowały resztę kraju. Przygotowania do wystawy sprawiały, że jego gospodarka kwitła, choć był to rozkwit sztuczny. Budowa odnogi kolejki nadziemnej Alley L do parku Jacksona dawała pracę setkom ludzi. W miasteczku firmowym Pullmana, położonym na południowych krańcach Chicago, robotnicy pracowali przez całą dobę, aby wykonać zaległe zamówienia na wagony, które miały przywozić zwiedzających na wystawę. Napływ nowych zleceń gwałtownie jednak spadł. Union Stock Yards zamówiło w firmie Burnhama projekt nowego dworca pasażerskiego, który miał się mieścić tuż przy wejściu na ich teren. Miał on obsługiwać tych odwiedzających ekspozycję, którzy po obejrzeniu Białego Miasta będą szukać odmiany w purpurze krwi. W centrum miasta Montgomery Ward otworzył salon dla zwiedzających, gdzie zmęczeni przybysze mogli wypoczywać na miękkich kanapach, przeglądając liczący pięćset stron katalog firmy. Wszędzie wyrastały nowe hotele. Pewien przedsiębiorca, Charles Kiler, był przekonany, że po otworzeniu hotelu „pieniędzy będzie tyle, że nie nadążymy ich wkładać do kufrów”.

Do parku Jacksona codziennie docierały eksponaty, i to w coraz większej liczbie. Wszędzie było mnóstwo dymu, hałasu, błota i zamieszania, jakby zbierała się tam armia przed atakiem na Chicago. Kryte wozy firm spedycyjnych Wells-Fargo i Adams Express przemierzały powoli park, ciągnięte przez ogromne konie. Nocami przybywały do parku pociągi towarowe. Zmieniano lokomotywy, a te ciągnęły pojedyncze wagony po płataninie tymczasowych torów na miejsce przeznaczenia. Towarowce pływające po jeziorze wypływały na brzeg blade drewniane skrzynie zaopatrzone w napisy w obcych językach. Stał dla George'a Ferrisa przybyła w pięciu pociągach, z których każdy był złożony

z trzydziestu wagonów. Parowce Inmana dostarczyły naturalnej wielkości model jednego z oceanicznych liniowców firmy. Firma Bethlehem Steel przysłała gigantyczne sztaby stali i inne fragmenty pancerza, w tym wygięte płyty, grube na czterdzieści pięć centymetrów, z których miała być zbudowana wieżyczka pancernika Indiana. Wielka Brytania dostarczyła lokomotywy i modele statków, w tym kunsztowną, dziewięciometrową replikę najnowszego brytyjskiego okrętu wojennego Victoria, tak szczegółową, że nawet łańcuchy na poręczach były odane w skali.

Z Baltimore przybył długi, ciemny pociąg, który mknąc przez prerie, wzbudzał strach w sercach mężczyzn i kobiet, ale zachwycał małych chłopców, z otwartymi buziami biegnących do torów. Wiózł broń wyprodukowaną przez zakłady Essen Works, należące do Fritza Kruppa, niemieckiego potentata zbrojeniowego. Wśród nich znajdowała się największa armata na świecie, potrafiąca wystrzelić ważący tonę pocisk z taką siłą, że przebijał płytę z kutego żelaza metrowej grubości. Lufę tej armaty trzeba było przewozić w specjalnie do tego celu zbudowanym wagonie, wyposażonym w stalową kołyskę opartą na dwóch niezwykle długich platformach. Normalny wagon miał osiem kół, natomiast ten aż trzydzieści dwa. W lipcu zeszłego roku dwaj inżynierowie Kruppa przyjechali do Ameryki i przeprowadzili inspekcję trasy, aby osobiście się upewnić, że mosty należące do linii Pennsylvania Railroad będą zdolne udźwignąć ważącą sto czternaście ton armatę. Armata szybko zyskała sobie przewisko „dziecinka Kruppa”, choć jeden z dziennikarzy nazywał ją „oswojonym potworem” Kruppa.

Do Chicago zmierzał również pociąg z mniej ponurym ładunkiem. Wynajął go Buffalo Bill na potrzeby swojego spektaklu Dzikie Zachód. Jechała nim niewielka armia: stu byłych amerykańskich kawalerzystów, dziewięćdziesięciu siedmiu Indian z plemion Czejenów, Kiowa, Pawnee i Siuksów, pięćdziesięciu kozaków i huzarów, sto osiemdziesiąt koni, osiemnaście bizonów, dziesięć łosi, dziesięć mułów i tuzin innych zwierząt. Pociąg wiózł również Phoebe Anne Moses z Tiffin w stanie Ohio, młodą kobietę o niezwykłym zamiłowaniu do broni i wyczuciu kierunku. Bill nazywał ją Annie, a prasa panną Oakley.

Wieczorami Indianie i żołnierze grali razem w karty.

Do amerykańskich portów zaczęły zawijać statki z całego świata, wiozące na pokładach niezwykle egzotyczne ładunki. Sfinksy. Mumie. Strusie i drzewa kawowe. Jednakże najbardziej egzotycznym ładunkiem byli ludzie. Rzekomi

kanibale z Dahomeju. Lapończycy z Laponii. Syryjscy jeźdźcy. Dnia 9 marca parowiec o nazwie Guildhall wyruszył do Nowego Jorku z egipskiej Aleksandrii, wioząc stu siedemdziesięciu pięciu autentycznych mieszkańców Kairu, zrekrutowanych przez przedsiębiorcę George'a Pangalosa. Mieli zamieszkać na kairskiej ulicy zbudowanej w Zakątku Uciech. W ładowniach Guildhalla płynęło dwadzieścia osłów, siedem wielbłądów oraz kolekcja małp i jadowitych węży. Na liście pasażerów znajdowała się jedna z najsławniejszych egipskich tancerek *danse du ventre*, młoda i wykwintnie kobieca Farida Mazhar, która miała stać się w Stanach legendą. Pángalos zapewnił sobie parcelę w samym środku Zakątko Uciech, obok Koła Ferrisa, w muzułmańskiej diasporze, gdzie znajdowały się również mauretański pałac i algierska wioska Sola Blooma. Przedwczesny przyjazd Algierczyków okazał się dla tego ostatniego niespodziewaną finansową gratką.

Bloom otworzył swoją wioskę już w sierpniu 1892 roku, na długo przed dniem inauguracji. W ciągu miesiąca uzyskał pełny zwrot kosztów i zaczął zbierać obfite zyski. Algierska wersja *danse du ventre* okazała się szczególnie silnym wabikiem, kiedy ludzie się zorientowali, że ta nazwa oznacza „taniec brzucha”. Plotkowano o półnagich, wijących się nieprzyzwoicie kobietach, choć tak naprawdę był to taniec elegancki, stylizowany i dość niewinny. „Napływały tłumy — wspominał Bloom. — Miałem prawdziwą kopalnię złota”.

Jak zwykle improwizując, Bloom jeszcze w inny sposób wywarł trwały wpływ na to, jak w Ameryce zaczęto postrzegać Bliski Wschód. Press Club z Chicago poprosił go o zorganizowanie zamkniętego pokazu *danse du ventre* dla swoich członków. Bloom, który nigdy nie stronił od darmowej reklamy, bez wahania przyjął zaproszenie i ruszył do klubu z dziesięcioma tancerkami. Jednakże po przybyciu stwierdził, że w charakterze oprawy muzycznej klub zapewnił tylko jednego pianistę, w dodatku takiego, który nie miał pojęcia, jaka muzyka powinna towarzyszyć równie egzotycznemu tańcowi.

Bloom pomyślał przez chwilę, zanucił pod nosem, a potem wystukał melodię jednym palcem na klawiaturze fortepianu:



Przez następny wiek ta melodia i różne wariacje na jej temat stanowiły ilustrację muzyczną wielu, w większości tandetnych filmów, zwykle towarzysząc wypęzaniu kobry z koszyka. Wymyślono do niej również sztubackie słowa: „A w południowej Francji nie noszą portek”.

Bloom żałował, że nie wpadło mu do głowy, żeby zastrzec sobie prawa do tej melodii. Tantiemy przyniosłyby mu miliony dolarów.

Z Zanzibaru dotarły smutne wieści. Nie będzie Pigmejów. Porucznik Schureldt umarł, przyczyna zgonu była niejasna.

Napływały również rady, oczywiście przede wszystkim z Nowego Jorku. Ta, która dotknęła obywateli Chicago najbardziej, przyszła od niejakiego Warda McAllistera, lizusa i chłopca na posyłki pani Williamowej Astor, cesarzowej nowojorskiego towarzystwa. Zbulwersowany chicagowskim dniem inauguracji, podczas którego śmietanka towarzyska i motłoch mieszały się w tak wielkich ilościach i z tak nieodpowiednią zażyłością, McAllister w artykule opublikowanym w „New York World” radził: „To, czego pragną tutejsi ludzie z towarzystwa, to nie ilość ale jakość. Gościnność wobec całej rasy ludzkiej nie jest rzeczą pożądaną”.

Zachęcał panie domu z Chicago, żeby zatrudniały kuchmistrzów z Francji, poprawiając przy okazji swój kulinarny styl. „W obecnych, nowoczesnych czasach towarzystwo nie może się obyć bez francuskich kucharzy — pisał. — Człowiek, który przywykł do delikatnych filetów wołowych, pasztetów z żółwia, indyków nadziewanych truflami i tym podobnych rzeczy, nie doświadczy przyjemności, zasiadając do obiadu złożonego z gotowanego baraniego udźca z rzepą”. Najgorsze było to, że McAllister mówił zupełnie serio.

I jeszcze: „Powiniennem również doradzić, aby nadmiernie nie chłodzono wina. Butelkę należy włożyć do kąpieli, uważając, żeby szyjka nie była pokryta lodem, ponieważ jest w niej niewiele wina i lód podziąła przede wszystkim na nie. Po dwudziestu pięciu minutach od umieszczenia w kąpieli wino będzie w

idealnym stanie, doskonale do natychmiastowego podania. Za idealny stan uważam taki, w którym nalewane z butelki zawiera maleńkie płatki lodu. To jest wino prawdziwie frappé”.

Na co redakcja „Chicago Journal” odpowiedziała: „Burmistrz nie schłodzi nadmiernie swojego wina. Będzie ono schłodzone dokładnie na tyle, aby goście mogli zdmuchnąć piankę z kieliszków, nie wyęzając wulgarnie swoich ust i płuc. Podawane u niego kanapki z szynką, pączki i przepiórki po irlandzku, lepiej znane w regionie Bridgeport jako nóżki w galarecie, będą z pewnością triumfem sztuki gastronomicznej”. Jedna z chicagowskich gazet nazwała McAllistera „pokolorowanym zadkiem myszy”.

Chicago było zachwycone takimi ciętymi odpowiedziami — w przeważającej części, bo na pewnych poziomach uwagi McAllistera zadały głębokie rany. Był to tylko pojedynczy, nadęty głos, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że odezwał się on, mając na to sankcję nowojorskiej błękitnej krwi. Czołowi obywatele Chicago zawsze straszliwie się bali, że należą do drugiej klasy. Nikt nie był w stanie przewyżżyć Chicago pod względem smykałki do interesów, ale wśród klasy wyższej trwała starannie ukrywana obawa, że podczas swojego rozwoju przemysłowego miasto nie zachowało najwspanialszych cech towarzystwa. Wystawa miała być wielkim, białym sztandarem, którym zamierzano zamachać przed twarzą pani Astor. Pełna przepysznych klasycznych budynków załadowanych sztuką, ze swoją czystą wodą, elektrycznym oświetleniem i nadmiernie rozdętymi szeregami policji, stanowiła sumienie Chicago, była miastem, jakim ono chciało być.

Tę chicagowską obawę w szczególny sposób uosabiał Burnham. Ponieważ nie przyjęto go ani do Yale, ani do Harvardu, a tym samym odmówiono mu „własnego” początku kariery, stał się świadomym wywieranego wrażenia koneserem rzeczy wyszukanych. Organizował w swoim domu i biurze recitale, wstąpił do najlepszych klubów, kolekcjonował najlepsze wina, a obecnie prowadził największą niemilitarną kampanię w historii kraju. Mimo to dziennikarze z rubryki towarzyskiej nadal nie opisywali kreacji jego żony, kiedy we dwoje udawali się do opery, choć pisali o wieczorowych sukniach mesdames Palmer, Pullman i Armour. Wystawa miała być i dla Burnhama, i dla Chicago odkupieniem. „Ludzie z zewnątrz już uznali naszą materialną wielkość i to, że jesteśmy niemal najlepsi w produkcji i handlu — pisał. — Nadal jednak twierdzą, że nie jesteśmy w tym samym stopniu kulturalni i wytworni. Pomysły i prace mojego biura od samego początku miały na celu zmianę tego poglądu”.

Rady przychodziły również w formie książek. Niejaka Adelaide Hollingsworth uczciła wystawę liczącą ponad siedemset stron *The Columbia Cook Book*, którą opublikowała na początku 1893 roku. Choć jej książka rzeczywiście zawierała imponujące przepisy na wieprzowinę w mące kukurydzianej, głowę wołową i pieczoną głowę cielęcia oraz wskazówki, jak przyrządzić szopa pracza, oposa, bekasiki, siewki i kosy (w zapiekance) oraz „jak opiekać, zrobić potrawkę, dusić lub smażyć wiewiórki”, była czymś więcej niż zwykłą książką kucharską. Hollingsworth reklamowała ją jako wszechstronny przewodnik, pomagający nowoczesnej młodej mężatce stworzyć spokojny, pełen optymizmu i zdrowy dom. To żona powinna nadawać ton każdemu dniu. „Stół przy śniadaniu nie powinien być miejscem, gdzie leczy się koszmary senne i objawy depresji, ale takim, gdzie powstaje radosny nastrój dnia”. Rady pani Hollingsworth odsłaniały czasami, niechętny, pewne pikantne szczegóły wiktoriańskiego życia. W części poświęconej najlepszym sposobom prania jedwabnej bielizny radziła: „Jeśli jest koloru czarnego, dodaj do płukania nieco amoniaku zamiast kwasu”.

Jednym z najbardziej dokuczliwych problemów tamtych czasów były „cuchnące stopy”, uporczywa dolegliwość powodowana zwyczajem mycia nóg tylko raz na tydzień. Hollingsworth podawała, jak jej zaradzić: „Weź jedną część kwasu solnego na dziesięć części wody. Codziennie nacieraj stopy tym roztworem, zanim pójdziesz do łóżka”. Aby pozbyć się z oddechu zapachu cebuli, trzeba wypić mocną kawę. Na ugryzienia szczurów najlepsze są ostrygi. Aby śmietana się ubiła, należy do niej dodać odrobinę soli. Aby mleko się nie zsiadło, powinno się dodać do niego chrzanu.

Hollingsworth oferowała również porady lekarskie („Nie siadaj nigdy między osobą gorączkującą a ogniem”), prezentowała też najróżniejsze techniki radzenia sobie z nagłymi wypadkami, takimi jak przypadkowe otrucie. Wśród sposobów na wywołanie wymiotów znajdował się i taki: „Wstrzyknij tytoń w odbytu za pomocą cybucha fajki”.

Jacob Riis, dziennikarz z Nowego Jorku, który poświęcił się opisywaniu nędzy, w jakiej mieszkają najbiedniejsi Amerykanie, przyjechał do Chicago, wioząc z sobą dużo poważniejsze rady. W marcu wygłosił mowę w Hull House, domu opieki społecznej ufundowanym przez Jane Addams, „świętą Jane”. Hull House stał się bastionem postępowej myśli społecznej, prowadzonym przez młode kobiety o silnej woli, „których obecność urozmaicali — jak to ujął jeden z odwiedzających — poważni, pełni samopoświęcenia mężczyźni o łagodnym sposobie bycia, którzy z przepaszającym wyrazem twarzy snuli się z pokoju do pokoju”. Clarence Darrow regularnie przebywał spacerem krótką odległość dzielącą jego biuro w Rookery od Hull House. Podziwiano go tutaj za jego intelekt i empatię społeczną, choć prywatnie pogardzano nim za niechlujny sposób ubierania się i zdecydowanie gorszą niż przykładowa higienę osobistą.

W okresie, kiedy Riis wygłaszał swoją mowę w Hull House, i on, i Addams byli chyba najlepiej znanymi osobami w Ameryce. Riis odwiedził najgorsze dzielnice Chicago i oświadczył, że są one gorsze niż wszystko, co widział w Nowym Jorku. Zwrócił uwagę słuchaczy na szybko zbliżający się termin otwarcia wystawy, ostrzegając: „Musicie, jeśli mogę się tak wyrazić, rozpocząć wielkie porządki w swoich domach i poprawić stan ulic w mieście. Nawet w najgorszych porach roku na ulicach w Nowym Jorku nie ma tyle brudu”.

Chicago już od pewnego czasu próbowało oczyścić swoje ulice, okazało się jednak, że jest to monumentalne wyzwanie. Zintensyfikowano wysiłki, żeby pozbyć się śmieci, i zaczęto brukować ulice. Powołano specjalnych inspektorów, by wymusić przestrzeganie nowych zarządzeń ograniczających emisję dymu. Gazety prowadziły krucjaty przeciw niebezpiecznym zaułkom i nadmiernemu zadymieniu, informując, kto jest temu przede wszystkim winien — na liście znalazł się między innymi niedawno otwarty budynek bractwa wolnomularskiego, zbudowany przez Burnhama, który „Chicago Tribune” przyrównała do Wezuwiusza.

Carrie Watson, czołowa burdelmama Chicago uznała, że jej interes również zasługuje na odnowienie. Już wcześniej był to przybytek luksusowy, miał nawet własną kręgielnię, gdzie funkcję kręgli pełniły butelki z szampanem. Ale teraz Watson postanowiła zwiększyć liczbę sypialni i podwoić personel. Podobnie jak inni właściciele burdeli, spodziewała się wielkiego wzrostu popytu. I nie rozczarowała się. Ani, jak się wydaje, jej klienci. Burdelmama o przywisku Chicago

May wspominała później z sentymentem burzliwy rok wystawy: „Jakież okropne rzeczy robiły niektóre dziewczęta! Zawsze robi mi się niedobrze, jak tylko o tym pomyślę. Sama wzmianka o szczegółach tego cyrku nie nadaje się do druku. Myślę, że czasy najgorszego zepsucia w Rzymie nie umywają się do Chicago w tych szokujących czasach”.

Człowiekiem, który uczynił Chicago tak gościnnym dla Carrie Watson i Chicago May, jak również dla Mickeya Finna, Bathhouse Johna Coughlina oraz kilku tysięcy właścicieli saloonów i jaskiń hazardu, był nie kto inny, tylko Carter Henry Harrison. Podczas swoich czterech kadencji zrobił wiele, żeby zmienić Chicago w miejsce, gdzie toleruje się ludzkie słabostki, nawet jeśli karmią się wielkimi ambicjami. Po nieudanym starcie w wyborach 1891 roku Harrison kupił gazetę, „Chicago Times” i zajął się jej wydawaniem. Pod koniec 1892 roku dał jasno do zrozumienia, że bardzo chciałby zostać „burmistrzem wystawy” i poprowadzić miasto przez jego najwspanialsze dni, ale, jak stwierdził, jedynie jasny sygnał ze strony wyborców sprawi, że weźmie udział w wyborach. Dostał taki sygnał. W całym mieście zaczęły się tworzyć Stowarzyszenia Cartera H. Harrisona, a na początku 1893 roku został jednym z dwóch kandydatów do nominacji partii demokratycznej. Drugim był Washington Hesing, wydawca wpływowej niemieckiej gazety „Staats-Zeitung”.

Kandydaturze Harrisona były przeciwne wszystkie gazety w mieście, wyjąwszy jego własnego „Timesa”, jak również Burnham i większość czołowych obywateli Chicago. Dla Burnhama i innych nowe Chicago, symbolizowane przez wyrastające w parku Jacksona Białe Miasto, wymagało nowego przywództwa — z pewnością nie w osobie Harrisona.

Odmiennego zdania była przebywająca w mieście armia robotników. Zawsze uważali Harrisona za jednego ze „swoich”, „naszego Cartera”, nawet mimo tego, że wychował się na plantacji w Kentucky, uczęszczał do Yale, mówił płynnie po francusku i po niemiecku oraz znał na pamięć obszerne fragmenty sztuk Szekspira. Rządził już przez cztery kadencje. Uważano za rzecz stosowną, żeby swoją piątą kadencję odbył w roku wystawy. Przez dzielnice robotnicze przepłynęła fala nostalgii.

Nawet przeciwnicy przyznawali, że Harrison, mimo swoich korzeni tkwiących w najlepszym towarzystwie, był niezwykle pociągającym kandydatem dla chicagowskich klas niższych. Był zniewalający, utalentowany i chciał rozmawiać z każdym o wszystkim. Potrafił również uczynić z siebie ośrodek konwersacji. „Wszyscy jego przyjaciele to zauważyli — opowiadał Joseph Medili, niegdyś zwoleńnik, ale potem jeden z najbardziej zajadłych przeciwników Harrisona. — Śmiali się z tego albo uśmiechali i nazywali to Harrisonią Cartera”. Choć eks-burmistrz miał już sześćdziesiąt osiem lat, nadal tryskał energią i siłą, a kobiety były zgodne co do tego, że jest teraz przystojniejszy niż był po pięćdziesiątce. Owdowiał dwukrotnie. Krążyły plotki, że związał się obecnie z dużo młodszą kobietą. Miał ciemnoniebieskie oczy o wielkich źrenicach i twarz wolną od zmarszczek. Przypisywał swój młodzieńczy wygląd dużej ilości kawy, jaką wypijał co rano. Był ujmujący w swoich dziwactwach. Uwielbiał arbuzy. W sezonie jadał je przy wszystkich trzech posiłkach. Uwielbiał też buty — miał osobną parę na każdy dzień tygodnia — i jedwabną bieliznę. Często widywano go, jak przemierza ulice miasta na białej klaczy z Kentucky, w czarnym kapeluszu z miękkim rondem, ciągnąc za sobą ogon z dymu z cygara. W czasie kampanii, podczas rozmów z wyborcami, często kierował swoje uwagi do wypchanego orła, którego nosił z sobą jako maskotkę. Medili oskarżał go o wspieranie najniższych instynktów miasta, ale nazywał go również „najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego stworzyło nasze miasto”.

Ku zaskoczeniu klasy rządzącej Chicago siedemdziesiąt osiem procent z sześciuset osiemdziesięciu jeden delegatów na konwencję demokratów oddało w pierwszym głosowaniu głos na Harrisona. Elita demokratów zaczęła nalegać na republikanów, żeby przedstawili kandydata, którego oni również mogliby poprzeć, wszystko, byle uniemożliwić Harrisonowi powrót na stanowisko. Republikanie wybrali Samuela W. Allertona, bogatego pakowacza z Prairie Avenue. Największe i najbardziej wpływowe gazety połączyły siły, aby go wesprzeć i podkopać zaufanie do Harrisona.

Były burmistrz kwitował ich ataki uśmiechem. Podczas mowy wygłoszonej do dużej grupy popleczników w Auditorium Building Harrison nazwał Allertona „godnym podziwu rzeźnikiem świń. Przyznaję to i nie oskarżam go, ponieważ morduje też królewski angielski, ale przecież nie może na to nic poradzić”.

Harrison szybko zdobywał poparcie.

Patrick Prendergast, młody, szalony irlandzki imigrant, był niezwykle dumny z popularności, jaką cieszył się Harrison, i wierzył, że jego własne wysiłki bardzo się przyczyniły do rozmachu trwającej kampanii. Wpadła mu do głowy pewna idea. Kiedy dokładnie, nie potrafił powiedzieć, po prostu nagle się tam znalazła i stała się źródłem satysfakcji. Czytał wiele o prawie i polityce, i rozumiał dobrze, na czym polega pierwsza zasada działania maszyny władzy: jeśli pracowałeś na korzyść tej maszyny, ona ci za to odpłaci. A to oznaczało, że Harrison miał u niego dług.

To przekonanie zjawilo się w Prendergastcie nagle, niczym błyskawica, niczym pierwszy promyk słońca muskający co rano wieżowiec bractwa wolnomularskiego. Myślał o tym teraz bez przerwy, po tysiąc razy dziennie. To był jego skarb, dzięki któremu prostował ramiona i unosił dumnie podbródek. Harrison na pewno wygra. Wielki wybuch entuzjazmu w dzielnicach robotniczych na pewno da mu zwycięstwo. A kiedy zostanie wybrany, bez wątpienia zaofaruje Prendergastowi jakieś stanowisko. Będzie musiał. Takie było prawo politycznej maszyny, równie niezmiennie jak siły napędzające pociągi Chicago Limited w drodze przez prerie. Prendergast chciał zostać dyrektorem wydziału prawnego miasta. Byłby to koniec użerania się z gazeciarkami, którzy nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce. Koniec brodzenia w żółtawym błocie gotującym się między płytami chodnika. Koniec z wączaniem rozkładających się końskich zwłok porzucanych na środku ulicy. Kiedy Harrison obejmie urząd, dla Patricka Prendergasta nastąpi zbawienie.

Ta idea stała się dla niego źródłem chwil niewysłowionej radości. Kupił więcej kartek pocztowych i rozsyłał kordialne wiadomości do ludzi, którzy już wkrótce mieli się stać jego towarzyszami i kolegami z klubu — sędziów, prawników i chicagowskich ksiąząt przemysłu. Oczywiście wysłał kolejną kartkę do swojego dobrego znajomego, Alfreda S. Trude'a, obrońcy.

„Mój drogi panie Trude” — rozpoczął. Chciał napisać następnie „Alleluja”, ale niektóre słowa sprawiały mu trudność. Gorączkowo rzucił się w dalsze pisanie.

„Alielujia — napisał. — Próba bandy z »Heralda«, co by przeszkodzić manifestacji woli ludu, została odparta i Carter H. Harrison, wybrany przez lud, będzie naszym następnym burmistrzem. Zaufanie do gazety niesławnie spadło. Co

wiem o kandydaturze tego biedaka Washingtona Hesinga — ma u mnie odwrotność mojego współczucia. W obecnych kłopotach mam nadzieję, że to go nie załamie — ani tej szanowanej gazety. Chwała Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu!” . Pisał tak bez ładu i składu jeszcze kilka linijek, po czym zakończył: „Przyjaźń jest prawdziwą próbą charakteru, mimo wszystko z szacunkiem

P. E. J. Prendergast”.

I znów coś w tym przesłaniu zwróciło uwagę Trude'a. Na kartki zwrócili również uwagę inni adresaci korespondencji Prendergasta, mimo licznej poczty, jaką każdy z nich otrzymywał od ludzi rzeczywiście równych im statusem, gdyż były to czasy, kiedy każdy, kto umiał pisać, czynił to na szeroką skalę. W łądolo-dzie słów, który nasuwał się na dwudziesty wiek, kartki Prendergasta były niczym kawałki miki, połyskujące szaleństwem, domagające się uwagi i zapamiętania.

Dlatego Trude ponownie zachował jego przesłanie.

W kwietniu 1893 roku obywatele Chicago wybrali Cartera Henry'ego Harrisona na piątą kadencję, a on, w ramach przygotowań do wystawy, zamówił dwieście beczek whisky, którą jego biuro miało serwować wysoko postawionym gościom ratusza.

Jak dotąd nie poświęcił ani jednej myśli Patrickowi Eugene'owi Josephowi Prendergastowi.

Zaproszenie

Chwilowo Holmes zaprzestał dalszych posunięć względem majątku Minnie. Jego żona poinformowała swoją siostrę, Annę, o przeniesieniu własności do ziemi w Forcie Worth i Holmes wyczuwał, że szwagierka zrobiła się podejrzliwa co do jego prawdziwych intencji. Tym się jednak nie niepokoił. Rozwiązanie w swojej istocie było bardzo proste.

Pewnego pogodnego i pachnącego wiosennego dnia — jakby pod wpływem nagłego impulsu — Holmes zaproponował, żeby Minnie zaprosiła siostrę do Chicago. Chciał, by na jego koszt zwiedziła wystawę.

Minnie była zachwycona. Wysłała dobre wieści Annie, a ta natychmiast przyjęła zaproszenie. Holmes był pewien, że to zrobi. Bo jakżeby mogła je odrzucić? Już sama okazja, żeby zobaczyć Minnie, stanowiła nie lada gratkę. A jeśli dodać do tego Chicago i wielką wystawę, propozycji po prostu nie można było odrzucić, bez względu na to, jakie podejrzenia żywiła Anna wobec jego związku z Minnie.

Minnie ledwie się mogła doczekać końca roku szkolnego, kiedy jej siostra zakończy swoje obowiązki w Midlothian Academy. Planowała pokazać Annie wszystkie cuda Chicago — drapacze chmur, sklep Marshalla Fielda, Auditorium Building i oczywiście wystawę światową — ale przede wszystkim nie mogła się doczekać, kiedy przedstawi Annie swój osobisty cud, pana Henry'ego Gordona. Swojego Harry'ego.

W końcu Anna sama się przekona, jak bezpodstawne są wszystkie jej podejrzania.

Ostatnie przygotowania

*P*rzez pierwsze dwa tygodnie kwietnia pogoda była wspaniała, ale pojawiły się inne kłopoty. Czterech robotników straciło życie: dwóch zostało porażonych prądem, a dwóch doznało pęknięcia czaszki. Ich śmierć zwiększyła tegoroczną liczbę wypadków śmiertelnych na wystawie do siedmiu. Zrzeszeni w związkach zawodowych pracujący przy wystawie cieśle, w pełni świadomi swojego znaczenia w ostatniej fazie budowy, wykorzystali sprzyjający moment i porzucili pracę, domagając się minimalnego wynagrodzenia ustalonego przez związki i innych ustępstw, o które walczone od dawna. Tylko jedna z ośmiu wież Koła Ferrisa stała już na miejscu, a robotnicy nie zakończyli jeszcze napraw w Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Co rano na dach tego budynku wspinały się setki ludzi. Co wieczór ostrożnie opuszczali się na ziemię, tworząc długą, pionową kolejkę, która z pewnej odległości przypominała kolumnę mrówek. „Gang Wybielaczy” Franka Milleta pracował pełną parą, malując budynki przy Dziedzińcu Honorowym. W niektórych miejscach warstwa zaprawy gipsowo-włókninowej zaczęła pękać i odpadać, tereny wystawy zaczął więc patrolować zespół lataczy. Panująca w parku atmosfera „nerwowych wysiłków” przypominała Candace Wheeler, projektantce zatrudnionej do wykończenia Budynku Kobiet, „niedostatecznie wyposażony dom, który szykuje się na przyjęcie gości”.

Mimo strajku cieśli i ogromu pracy, jaką jeszcze należało wykonać, Burnham był w optymistycznym nastroju. Jego humor poprawiła dobra pogoda. Zima była długa i mroźna, ale teraz powietrze wypełniał zapach pierwszych pąków i odmarzającej ziemi. Poza tym czuł się kochany. Pod koniec marca został ufetowany wielkim bankietem zorganizowanym głównie przez Charlesa McKima, a wydanym w Nowym Jorku, w Madison Square Garden — w starym Garden, elegancznej, mauretańskiej budowli zaprojektowanej przez partnera McKima, Stanforda Whitea. McKim zwrócił się do Franka Milleta z prośbą o zaproszenie najlepszych krajowych malarzy. Mieli zająć miejsca obok najwybitniejszych pisarzy, architektów oraz mecenasów, którzy ich wspierali, ludzi takich jak Marshall Field

i Henry Villard, i wspólnie poświęcić cały wieczór na wychwalanie Burnhama — nieco przedwcześnie — za osiągnięcie niemożliwego. Oczywiście spożyli doskonały posiłek.

Menu:

Ostrygi à la Alaska

Sauternes

ZUPY

Bulion wiosenny. Krem z selerów.

Amontillado

PRZEKAŚKI

Kotleciki à la Chateaubriand. Solone migdały. Oliwki itd.

RYBY

Okoń w sosie holenderskim. Młode ziemniaczki.

Miersfeiner. Moet et Chandon. Perrier Jouet. Extra Dry Special

DANIE GŁÓWNE

Polędwica wołowa z grzybami. Fasolka szparagowa. *Pommes duchesse.*

PRZYSTAWKI

Kotlet cielęcy z ryżem. Zielony groszek.

SORBET

Fantazyjna sałata rzymska.

PIECZEŃ

Kaczka. Sałata.

Pontet Canet

DESERY

Babeczki fantazyjne. Wybór ciastek. Cukierki. Herbatniki.

Wybór owoców.

SERY

Roquefort i Camembert

KAWA

Apollinaris

Koniak. Likiery. Cygara

Gazety podały, że Olmsted był również obecny, ale w rzeczywistości był wtedy w Asheville, w Północnej Karolinie, gdzie prowadził prace w posiadłości Vanderbilta. Jego nieobecność stała się powodem spekulacji, że trzyma się na uboczu z powodu urażonej dumy, ponieważ nie przyznano mu honorowego miejsca przy stole i ponieważ na zaproszeniu wymieniono jako największe sztuki jedynie malarstwo, architekturę i rzeźbę, nie czyniąc żadnej wzmianki o architekturze krajobrazu. Rzeczywiście, Olmsted przez całą swoją karierę walczył o szacunek dla architektury krajobrazu jako odrębnej gałęzi sztuk pięknych, jednak nieprzybycie na bankiet z powodu urazu zupełnie nie leżało w jego charakterze. Najprostsze wyjaśnienie wydaje się najlepsze: Olmsted był chory, wszystkie jego prace były opóźnione, nie lubił wszelkich uroczystości, a przede wszystkim nienawidził odległych podróży pociągiem, szczególnie w miesiącach przejściowych, kiedy w wagonach, nawet w najlepszych wagonach pałacowych Pullmana, było albo za gorąco, albo za zimno. Gdyby przybył na bankiet, usłyszałby, jak Burnham mówi gościom: „Każdy z was zna nazwisko i geniusz tego, który zajmuje pierwsze miejsce w sercach amerykańskich artystów, który jest twórcą waszego parku i parków w wielu innych miastach. To on był naszym najlepszym doradcą i naszym nieustającym mentorem. W najszerszym sensie to on jest planistą wystawy, on — Frederick Law Olmsted [...]. Jest artystą, który maluje za pomocą jezior i porośniętych lasem zboczy, za pomocą trawników i pokrytych puszcza wzgórz, za pomocą stoków gór i widoków na ocean. To on powinien dziś stać tutaj, gdzie ja stoję teraz [...]”.

Co nie oznacza, że Burnham zamierzał usiąść. Rozkoszował się okazywaną mu uwagą i srebrnym, grawerowanym „pucharem wiwatowym”, który napełniony winem, krążył wokół stołu i z którego pili wszyscy goście — mimo powszechnie panujących w mieście chorób zakaźnych: tyfusu brzuszego, dyfterytu, gruźlicy i zapalenia płuc. Wiedział, że pochwały są przedwczesne, ale bankiet był zapowiedzią jeszcze większej chwały, która spadnie na niego na zamknięciu wystawy, oczywiście pod warunkiem, że spełni ona ogromne oczekiwania stawiane jej przez świat.

Bez wątpienia uczyniono wielkie postępy. Sześć najwspanialszych budynków wznosiło się już przy centralnym dziedzińcu, tworząc bardziej dramatyczny i imponujący efekt niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Statua Republiki autorstwa Daniela Chestera Frencha — przezywana „Dużą Mary” — stała w wewnętrznym basenie dziedzińca, całkowicie ukończona i błyszcząca, gdyż całą

jej powierzchnię pokryto złotem. Wraz z postumentem mierzyła trzydzieści cztery metry wysokości. Na terenie parku stany, firmy i zagraniczne rządy wzniosły łącznie ponad dwieście budynków. White Star Line zbudowała na północno-zachodnim brzegu laguny, naprzeciwko Wyspy Leśnej, czarującą małą świątynię, której stopnie prowadziły wprost do wody. Olbrzymia armata Kruppa zajęła swoje miejsce w pawilonie nad jeziorem po południowej stronie Dziedzińca Honorowego.

„Skala całego przedsięwzięcia w miarę postępu prac okazuje się coraz bardziej ogromna” — pisał McKim do Richarda Hunta. Nieco zbyt ogromna, zauważył złośliwie, przynajmniej w wypadku Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Jego własny Budynek Rolnictwa, jak napisał, „musi ucierpieć w porównaniu z tym wielkim, wznoszącym się naprzeciwko sąsiadem, gdyż ten liczący sześćdziesiąt pięć metrów wysokości kolos — umieszczony poza główną osią — musi przytłaczać i nas, i wszystko wokół”. Powiadomił Hunta, że właśnie spędził dwa dni z Burnhamem oraz dwie noce w jego „chałupie”. „Pracuje dalej, wypełniając swoje obowiązki, i wygląda dobrze, i wszyscy jesteście mu wiele winni za nieustającą uwagę poświęcaną naszym najdrobniejszym życzeniom”.

Nawet strajk cieśli nie martwił Burnhama. W mieście było mnóstwo bezrobotnych, niezrzeszonych fachowców, gotowych zastąpić nieobecnych strajkujących. „Niczego się nie obawiam z tej strony” — napisał 6 kwietnia w liście do Margaret. Dzień był zimny, „ale pogodny i piękny, wspaniały dzień, żeby żyć i pracować”. Robotnicy „instalowali ozdoby — pisał. — Wczoraj na lagunach wypuszczono masę kaczek, które pływają wokół z zadowoleniem i chyba dziś rano podoba im się życie”. Olmsted zamówił ponad osiemset kaczek i gęsi, siedem tysięcy gołębi i na wszelki wypadek pewną ilość egzotycznych ptaków, w tym cztery czaple śnieżne, cztery bociany, dwa pelikany brunatne i dwa flamingi. Jak do tej pory wypuszczono jedynie zwykle białe kaczki. „Za dwa lub trzy dni — pisał Burnham — wszystkie ptaki zostaną wypuszczone na wodę, która już teraz jest spokojniejsza i piękniejsza niż w zeszłym roku”. Pogoda nadal była piękna: rześka, słoneczna i sucha. Dnia 10 kwietnia, w poniedziałek, napisał do Margaret: „Jestem bardzo szczęśliwy”.

W następnych dniach jego nastrój uległ zmianie. Krążyły pogłoski, że inne związki zawodowe zamierzają się przyłączyć do strajku cieśli i wstrzymać tym samym wszystkie prace w parku Jacksona. Nagle wystawa znowu zrobiła się niebezpiecznie odległa od stanu ukończenia. Nie rozpoczęto jeszcze budowy

magazynów na zapasowe eksponaty na południowym krańcu terenu. Gdziekolwiek Burnham spojrział, widział tory kolejowe i tymczasowe drogi, puste wagony towarowe i skrzynki. Kłębki wełny drzewnej używanej do pakowania walały się po całym parku. Ten niewykończony stan wywoływał w nim rozczarowanie. Był zły na żonę.

„Dlaczego nie piszesz do mnie codziennie? — dopytywał się w czwartek. — Na próżno wyglądam twoich listów”.

W biurze trzymał zdjęcie Margaret. Za każdym razem, kiedy koło niego przechodził, brał je w dłoń i patrzył na nie z tęsknotą. Dziś, do tej pory, patrzył na nie w ten sposób dziesięć razy, co zresztą napisał. Liczył, że odpocznie po 1 maja, ale teraz uświadomił sobie, że intensywne prace będą trwać jeszcze długo po otwarciu wystawy. „Zwiedzający uznają ją za zupełnie ukończoną, a ja chciałbym, żeby tak było. Przypuszczam, że każdy, kto bierze udział w wyścigu, przeżywa momenty rozpaczy, gdy zbliża się do mety. Ale nigdy nie należy się im poddawać”.

Margaret przesłała mu czterolistną koniczynę.

Na terenie wystawy panowało zamieszanie, ale nie obok, na piętnastu akrach gruntu wydzierzawionych przez Buffalo Billa. Jego spektakl nosił obecnie oficjalny tytuł: Dziki Zachód Buffalo Billa i Światowy Zjazd Ujeżdźdzący Koni. Pierwsze przedstawienie dano 3 kwietnia i od razu udało się zapełnić widzami arenę na osiemnaście tysięcy miejsc. Widzowie wchodzili przez bramę, na której po jednej stronie widniał Kolumb pod proporcem z napisem PILOT OCEANU, PIERWSZY PIONIER, a po drugiej Buffalo Bill pod napisem PILOT PRERII, OSTATNI PIONIER.

Arena i obóz zajmowały całe piętnaście akrów ziemi. W namiotach spały setki Indian, żołnierzy i robotników. Annie Oakley uczyniła swój namiot niezwykle przytulnym, miała nawet ogród pełen pierwiosnków, pelargonii i malw. We wnętrzu namiotu ustawiła kanapę, fotele na biegunach, porozkładała skóry kuguarów, dywan od Axminister i inne wybrane przedmioty z życia domowego. Oraz oczywiście kolekcję najrozmaitszej broni.

Buffalo Bill zawsze rozpoczął swój spektakl od pieśni *The Star-Spangled Banner*, która w 1931 roku stała się hymnem Stanów Zjednoczonych, granej

przez jego Kowbojski Zespół. Następnie odbywała się Wielka Defilada, podczas której żołnierze z Ameryki, Anglii, Francji, Niemiec i Rosji paradowali konno wokół areny. Po nich zjawiała się Annie Oakley, dająca pokaz strzelania do różnych niesamowitych celów. Oczywiście trafiała. Kolejnym numerem był indiański atak na stary dyliżans, Deadwood Mail Coach, któremu z pomocą przybywał Buffalo Bill ze swoimi ludźmi. (Podczas poprzedniego kontraktu, w Londynie, Indianie atakowali dyliżans pędzący po terenach wokół pałacu windsorskiego. W pojeździe siedziało czterech królów i księżę Walii. Powoził sam Buffalo Bill.) Następnie sam Cody prezentował skomplikowane umiejętności strzeleckie: mknął wokół areny na koniu, strzelając z winchestera do szklanych kul, wyrzucanych w powietrze przez jego asystentów. Punktem kulminacyjnym spektaklu był atak na chatę osadników, podczas którego Indianie, którzy niegdyś masakrowali żołnierzy i cywilów, przeprowadzali markowany atak na chatę pełną białych osadników i zostawali pokonani — jak zwykle — przez Buffalo Billa i grupę kowbojów strzelających ślepymi nabojami. Jeszcze przed rozpoczęciem właściwego sezonu Cody zastąpił ten atak bardziej dramatyczną „bitwą pod Little Big Horn [...] ukazującą ze ścisłością historyczną ostatnią szarżę Custerą”.

Wystawa okazała się trudnym okresem dla małżeństwa pułkownika Cody'ego. Spektakl zatrzymywał go z dala od domu w North Platte w Nebrasce, ale jego nieobecność nie była głównym problemem. Bill lubił kobiety, a kobiety lubiły Billa. Pewnego dnia jego żona Louisa — Lulu — przyjechała do Chicago z niespodziewaną małżeńską wizytą i odkryła, że żona Billa już jest na miejscu. W recepcji hotelu poinformowano ją, że zostanie zaprowadzona do „apartamentu państwa Codych”.

Pelen obaw, że rozszerzający się strajk może dotkliwie opóźnić prace przy wystawie, a nawet uniemożliwić jej ukończenie, Burnham rozpoczął negocjacje z cieślami i spawaczami. Koniec końców zgodził się ustalić płacę minimalną i płacić półtorej stawki za nadgodziny oraz podwójną stawkę za pracę w niedzielę i kluczowe święta, w tym przede wszystkim Święto Pracy. Związkowcy ze swojej strony zobowiązali się pracować do końca wystawy. Wyraźna ulga Burnhama wskazuje, że jego wcześniejsza brawura była tylko na pokaz.

„Możesz sobie wyobrazić, że chociaż zmęczony, jaki idę do łóżka szczęśliwy” — napisał do żony. Jak wielkie było jego wyczerpanie, widać po błędach składniowych, z którymi zawsze z całych sił walczył. „Siedzieliśmy od wczesnego popołudnia do dziewiątej. Wierzę, że aż do końca wystawy podobna próba się nie powtórzy, więc twoje zdjęcie, które mam przed sobą, jest niezwykle piękne, kiedy zerka na mnie z biurka”.

Zdaniem Burnhama, było to zwycięstwo odniesione na rzecz wystawy, ale ustępstwa, jakie wówczas poczynił, okazały się przełomem w historii organizacji związkowych, a podpisane wówczas umowy — wzorami, które naśladowały inne związki. Kapitulacja organizatorów wystawy wpompowała parę w i tak już wcześniej wrzący amerykański — i chicagowski — ruch związkowy.

Kiedy Olmsted wrócił do Chicago, jak zawsze w towarzystwie swojego triumwiratu dolegliwości, zastał teren budowy w stanie gorączki. Burnham zdawał się być wszędzie jednocześnie. W czwartek 13 kwietnia Olmsted napisał do syna, Johna: „Wszyscy tutaj znajdują się w pędzie, który sprawia wrażenie niezorganizowanego”. Wiatry wzbijały tumany kurzu nad pustymi obszarami parku. Jeden za drugim przybywały pociągi z eksponatami, które już dawno powinny stać na swoich miejscach. Dwa dni później Olmsted pisał: „Będziemy musieli wziąć na siebie winę za cudze spóźnienia, gdyż działania we wszystkich miejscach kolidują obecnie z naszymi. W najlepszym razie najważniejsza część naszej pracy będzie musiała zostać wykonana w nocy, już po otwarciu wystawy. Nie widzę innego sposobu opanowania tego szaleństwa. Pracują tu tysiące ludzi podlegających rozmaitym szefom, ale, jak mam nadzieję, stopniowo ich praca zacznie się z sobą łączyć”.

Część winy za nieukończony krajobraz przypisywał sobie, gdyż po śmierci Harry'ego Codmana nie mianował godnego zaufania kierownika operacyjnego w Chicago. Dnia 15 kwietnia 1893 roku napisał do Johna: „Obawiam się, że źle postąpiliśmy, w tak wielkim stopniu przekazując sprawy Ulrichowi i Philowi. Ulrich nie jest, mam nadzieję, świadomie nieuczciwy, tylko przewrotny w takim stopniu, że oszukuje, wprowadza w błąd i nie można na nim polegać. Jego energia w większości wyczerpuje się na sprawy, którymi w ogóle nie powinien się zajmować [...]. Nie mogę mu ufać nawet z dnia na dzień”.

Frustracja, jaką wywoływał u Olmsteda Ulrich, narastała, a brak zaufania jeszcze się pogłębiał. Nieco później, znów w liście do Johna, Olmsted napisał: „Ulrich jest nam nieświadomie niewierny. Trudność polega na tym, że ma ambicję uzyskać zaszczyty wcale mu nieprzysługujące. Bardziej zależy mu na tym, żeby być niezwykle aktywnym, pracowitym, gorliwym i w ogóle użytecznym niż na tym, by uzyskać dobre wyniki w AK [architekturze krajobrazu]”. Olmsted stał się szczególnie podejrzliwy wobec niewolniczej powolności, jaką Ulrich okazywał Burnhamowi. „Ma się wrażenie, że jest w całym parku naraz, załatwiając wszelkie możliwe sprawy, a pan Burnham i wszyscy inni szefowie departamentów bez przerwy wołają: »Ulrich!«. Przeprowadzając inspekcję prac w towarzystwie Burnhama, zauważyłem, że bez przerwy mówi do swojego sekretarza: «Powiedz Ulrichowi, żeby zrobił to» i »Powiedz Ulrichowi, żeby zrobił tamto«. Protestuję przeciw temu, ale odnosi to niewielki skutek. Nigdy nie mogę go zastać przy pracy, chyba że się specjalnie umówię, a wówczas i tak okazuje zniecierpliwienie i chce już sobie iść”.

W głębi serca Olmsted obawiał się, że Burnham przeniósł swoją lojalność na Ulricha. „Przypuszczam, że nasz czas się kończy — nasza umowa dobiega końca i lękam się, że Burnham zamierza pozwolić nam odejść i polegać wyłącznie na Ulrichu, gdyż nie ma kwalifikacji, żeby dostrzec jego brak kompetencji, rozwagi i przemyśleń. Muszę uważać, aby nie nudzić Burnhama, który jest oczywiście w ogromnej mierze przepracowany”.

Szybko pojawiły się inne przeszkody. Z Kalifornii nie przybyła ważna dostawa roślin, pogłębiając już i tak krytyczny brak sadzonek. Nawet dobra pogoda, która utrzymywała się przez pierwsze dwa tygodnie kwietnia, spowodowała opóźnienia. Brak deszczu i to, że prace wodociągowe w parku nie zostały jeszcze ukończone, oznaczały, że Olmsted nie może obsadzić roślinami wyeksponowanych obszarów. Wiatr nadal wzbijał kurz („przerażający kurz — jak pisał — prawdziwe pustynne burze piaskowe”), który podrażniał mu oczy i nawiewał żwir w zagnione usta. „Próbuję wyjaśnić, dlaczego tak niewiele ukończyłem [...] — pisał. — Sądzę, że przez pewien czas zwiedzający będą okropnie rozczarowani naszą pracą — przez kilka następnych tygodni potrzebna tu będzie silna i krytyczna ręka, zdolna powstrzymać Ulricha przed skierowaniem energii w niewłaściwym kierunku”.

Dnia 21 kwietnia Olmsted był znów przykuty do łóżka „z bólem gardła, ropiejącym zębem i bólem uniemożliwiającym sen”.

Mimo tego jego nastrój stopniowo się poprawiał. Kiedy udawało mu się spojrzeć ponad opóźnienia i dwulicowość Ulricha, widział postępy. Wybrzeża Wyspy Leśnej właśnie zaczynały eksplodować wielką obfitością młodych liści i pączków, a japońska świątynia, Hooden, wyprodukowana w Japonii i złożona na miejscu przez japońskich robotników, w nieznacznym stopniu odwracała uwagę od lesistego efektu. Elektryczne łodzie przybyły na miejsce i okazały się prześliczne, dokładnie takie, jakich sobie życzył, a ptactwo wodne na lagunach dawało pełną energii przeciwagę statycznemu, białemu ogromowi Dziedzińca Honorowego. Olmsted doszedł do wniosku, że ekipy Burnhama nie ukończą poprawek i malowania przed 1 maja, i że jego własne prace również dalekie będą od ukończenia, ale widział wyraźny postęp. „Zatrudniono większe siły i codziennie widać wyraźnie postęp prac” — pisał.

Jednak nawet ta iskierka optymizmu miała wkrótce zgasnąć, gdyż nad premiami, w kierunku Chicago, przesuwiał się silny front pogodowy.

W tym okresie, choć dokładna data nie jest znana, roznosiciel mleka o nazwisku Joseph McCarthy zatrzymał swój wózek opodal chicagowskiego parku Humboldta. Był ranek, około godziny jedenastej. Jego uwagę zwrócił pewien mężczyzna w parku. Znał go. To był Patrick Prendergast, nadzorca roznosicieli gazet w „Inter Ocean”.

Zdziwiło go, że Prendergast chodzi w kółko. A jeszcze bardziej to, że głowę ma odchyloną do tyłu, kapelusz zaś tak bardzo ściągnięty do przodu, że zasłania mu oczy.

Kiedy McCarthy tak się przyglądał, Prendergast wpadł twarzą na drzewo.

Zaczął padać deszcz. Początkowo nie martwiło to Burnhama. Deszcz spowodował opadnięcie kurzu, który wzbijał się z pozbawionych roślin obszarów budowy — których, jak przyznawał z rozczarowaniem, było zdecydowanie zbyt dużo — a wszystkie dachy były już gotowe, nawet dach nad Budynkiem Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych.

„Pada — napisał do Margaret we wtorek 18 kwietnia — i chyba po raz pierwszy mogę powiedzieć: »niech pada«. Dachy są wreszcie w dobrym stanie i możemy się nie martwić o przecieki”.

Ale deszcz padał dalej, i to coraz większy. W nocy był tak ulewny, że światła elektryczne ledwie się przez niego przebijały. Zmienił kurz w błoto, w którym grzęzły wozy i potykały się konie. I, niestety, były przecieki. W środową noc padało szczególnie mocno i wkrótce ze szklanego sufitu Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych na wystawione poniżej eksponaty zaczęło spadać kilka sześćdziesięciometrowych wodospadów. Burnham przybył do budynku wraz z armią robotników i strażników, i całą noc spędził na walce z przeciekami.

„Zeszłej nocy w parku Jacksona mieliśmy okropną burzę — pisał do Margaret w czwartek. — Obiekty nie ucierpiały, tylko dach Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych zaczął przeciekać po wschodniej stronie, siedzieliśmy więc tam do północy, zabezpieczając eksponaty. Jedna z gazet twierdzi, że był przy tym dyrektor generalny Davis i zajmował się wszystkim, i że nie opuścił budynku, dopóki sytuacji nie opanowano. Oczywiście pan D. nie miał z tym wszystkim nic wspólnego”.

Deszcz skoncentrował uwagę wszystkich na tym, ile jeszcze pozostało do zrobienia. W ten sam czwartek Burnham napisał do Margaret ponownie: „Pogoda jest tu okropna i to już od zeszłego wtorku, ale trzymam się, choć przed nami stoi iście gigantyczne zadanie [...]. Napięcie w ostatnim miesiącu jest naprawdę wielkie. Nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić. Jestem zdumiony moim własnym spokojem wobec tego wszystkiego”. Ale wyzwanie, jak napisał, dowiodło wartości jego zastępców. „Napięcie, w jakim żyją, pokazało, kto jest uczyniony z dobrej materii, a kto nie. Muszę ci powiedzieć, że w tych warunkach niewielu stanęło na wysokości zadania, ale na kilku na pewno można polegać. Reszcie muszę cały czas stać nad głową, i to przez nich jestem taki zmęczony”.

Jak zwykle, tęsknił za Margaret. Nie było jej w mieście, ale miała wrócić przed dniem otwarcia wystawy. „Będę wyglądał Twój ego przybycia, najdroższa — pisał. — Musisz być gotowa ulec, kiedy przyjedziesz”.

W tamtych zapiętych na ostatni guzik czasach ten list wręcz buchał namiętością.

Codziennie to samo: zaparowane okna, papier pozwijany z powodu panującej wilgoci, demoniczny aplauz deszczu o dachy i wszędzie smród potu i wilgotnej wełny, szczególnie w robotniczej stołówce w porze lunchu. Deszcz dostawał się do kanałów przewodów elektrycznych i wywoływał spięcia. Przy Kole Ferrisa pompy, których zadaniem było osuszanie fundamentów wież, pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale nie mogły sobie poradzić z taką ilością wody. Deszcz przeciekał przez dach Budynku Kobiet i uniemożliwił rozstawianie eksponatów. W Zakątku Uciech cierpieli z jego powodu Egipcjanie, Algierczycy i półnaczy Dahomejczycy. Jedynie Irlandczycy w Wiosce Irlandzkiej pani Hart zdawali się całkiem zadowoleni.

Szczególnie zniechęcony tym deszczem był Olmsted. Krople spadały na ziemię już nasiąkniętą wodą i wypełniały najdrobniejsze zagłębienia w każdej ścieżce. Kałuże zmieniały się w jeziora. Koła wyładowanych wozów zapadały się w błoto i pozostawiały w ziemi głębokie szramy, wydłużając listę dziur, które trzeba było wypełnić, wyrównać i pokryć darnią.

Mimo deszczu tempo prac jeszcze wzrosło. Olmsted był zdumiony samą liczbą pracujących tu robotników. Dnia 27 kwietnia, trzy dni przed otwarciem, napisał do swojej firmy: „Pisałem wam, że zatrudniono tu 2 tysiące ludzi — to śmieszne. Dwa tysiące ludzi zostało zatrudnionych bezpośrednio przez pana Burnhama. W tym tygodniu jest ich ponad dwa razy tyle, nie licząc sił firm budowlanych. A biorąc pod uwagę personel tych firm i koncesjonariuszy, obecnie pracuje na terenie wystawy 10 tysięcy robotników, a będzie ich więcej, jeśli uda się więcej znaleźć. Nasza praca jest paskudnie opóźniona, ponieważ nie sposób nająć ludzi w odpowiedniej liczbie”. (Jego szacunki były zaniżone — w ostatnich tygodniach budowy łączna liczba robotników zatrudnionych w parku wynosiła prawie 20 tysięcy). Skarżył się, że nadal ma zbyt mało roślin. „Mam wrażenie, że zawiodły wszystkie źródła sadzonek i że w rezultacie da się odczuć ich poważny brak”.

Wreszcie stan jego zaropiałego zęba nieco się poprawił i nie był już przykuty do łóżka: „Wrzód się zmniejszył — pisał. — Nadal muszę się żywić chlebem z mlekiem, ale wyszedłem dziś na deszcz i czuję się lepiej”.

Jednakże tego samego dnia napisał do Johna prywatny i bardziej posępny list. „Mamy zdecydowanego pecha. Dziś znowu lało”. Burnham naciskał, żeby Olmsted wykorzystał wszelkie możliwe sztuczki, aby doprowadzić Dziedzinnie Honorowy do reprezentacyjnego wyglądu. Chciał na przykład posadzić w donicach palmy i rododendrony, i ustawić na tarasach, czyli uciec się do takich tymczasowych środków, jakimi Olmsted pogardzał. „Wcale mi się to nie podoba” — pisał. Cierpiał, że musi „uciekać się do doraźnych środków jedynie po to, żeby dać na otwarcie marny pokaz swojej sztuki”. Wiedział, że zaraz po otwarciu cały ten wystrój trzeba będzie usunąć. Dolegliwości, frustracja i rosnący natłok pracy nadwreżyły jego ducha i sprawiły, że czuł się dużo starszy niż był w istocie. „Dieta w tymczasowej stołówce, hałas, ciągle walenie deszczu, kałuże — wszystko to nie daje wiele wytchnienia choremu starcowi, a moje gardło i usta są nadal w takim stanie, że muszę rozmaczać całe jedzenie”.

Ale się nie poddał. Mimo deszczu przemierzał teren wystawy, kierując sadzeniem i zadarnianiem, co rano o świcie brał też udział w obowiązkowych spotkaniach kluczowych pracowników, które urządzał Burnham. Wysiłek i pogoda nie pozwalały na polepszenie się jego zdrowia. „Zaziębłem się i nie spałem całą noc z powodu bólu kości, a obecnie żywię się tostami z herbatą — napisał w piątek 28 kwietnia. — Niemal bez przerwy leje, co powstrzymuje tym samym nasze prace”. Jednakże szaleństwo przygotowań na poniedziałkowe otwarcie nie słabło. „To dziwne widzieć podczas ulewy malarzy przy pracy, na drabinach i rusztowaniach — pisał. — Wielu jest przemokniętych do suchej nitki, a, jak sądzę, pojawiają się i zacieki”. Zauważył, że wielka Fontanna Kolumbijska u zachodniego krańca wewnętrznego basenu nie jest jeszcze gotowa, choć miała to być główna atrakcja ceremonii otwarcia. Test jej działania wyznaczono na następny dzień, niedzielę. „Moim zdaniem wcale nie wygląda na ukończoną, ale oczekuje się, że zadziała, kiedy będzie ją oglądał prezydent w najbliższy poniedziałek” — pisał.

Jeśli chodzi o prace w jego własnym departamencie, Olmsted nie krył rozczarowania. Miał nadzieję do tej pory osiągnąć znacznie więcej. Wiedział również, że inni dzielają jego rozczarowanie. „Czuję już tchnienie niezasłużonego krytycyzmu ze strony ludzi równie wykształconych jak Burnham, z powodu wrażenia, jakie czyni nieskończona praca i niedokończona kompozycja” — żalił się w liście. Wiedział, że w wielu miejscach park wygląda na biedny i zaniedbany, i że pozostało jeszcze mnóstwo pracy — wszyscy widzieli dziury — ale usłyszeć o tym

od innych, szczególnie od człowieka, którego podziwiał i szanował, było niezwykle przygnębiającą perspektywą.

Data otwarcia pozostała niezmieniona. Zbyt dużo spraw puszczono w ruch, żeby nawet myśleć o jej odłożeniu. Ceremonię otwarcia planowano rozpocząć w poniedziałkowy poranek paradą zdążającą od Pętli do parku Jacksona, którą miał poprowadzić nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, Grover Cleveland. Do Chicago przybywał pociąg za pociągiem, przywożąc mężów stanu, książąt i potentatów z całego świata. Prezydent Cleveland przybył wraz z wiceprezydentem i switą złożoną z członków swojego gabinetu, senatorów i dowódców wojskowych, a także ich żon, dzieci i przyjaciół. Deszcz parował wokół czarnych lokomotyw. Tragarze wynosili z wagonów bagażowych wielkie kufry. Wzdłuż ulic, przed stacjami kolejowymi, stały całe karawany błyszczących od deszczu czarnych powozów, których czerwone światelka pozycyjne deszcz otaczał aureolami. Cicho przemijały cenne godziny.

Wieczorem 30 kwietnia, w wieczór poprzedzający dzień otwarcia, teren wystawy odwiedził brytyjski dziennikarz, F. Herbert Stead. Nazwisko Stead było powszechnie znane w Ameryce za sprawą sławnego brata Herberta, Williama, byłego wydawcy londyńskiej „Pall Mall Gazette”, a ostatnio twórcy „The Review of Reviews”. Herbert, któremu poruczono zrelacjonowanie ceremonii otwarcia, postanowił wybrać się na zwiady przed czasem, aby zyskać nieco bardziej szczegółowe pojęcie o topografii wystawy.

Padło mocno, kiedy wysiadał z powozu i szedł do parku Jacksona. Wszędzie połyskiwały światła przytłumione zasłoną deszczu. Stawy, w które zmieniły się eleganckie ścieżki Olmsteda, drżały od milionów padających na nie kropel. Setki pustych wagonów towarowych tworzyły czarną ścianę, nieprzenikloną dla światła. Wszędzie było widać drewno, puste skrzynki i resztki drugiego śniadania robotników.

Cała scena wprost rozdzierała serce, a równocześnie wzbudzała zakłopotanie. Ceremonia otwarcia miała się rozpocząć następnego ranka, a przecież cały teren był pokryty śmieciem i gruzem — znajdując się w stanie, jak napisał Stead, „wielkiej niegotowości”.

Deszcz padał przez całą noc.

W tę samą niedzielę późnym wieczorem, kiedy deszcz walił w parapety okien, wydawcy chicagowskich gazet porannych układali śmiało, kunsztowne nagłówki na potrzeby historycznych poniedziałkowych numerów. Ani razu od 1871 roku, od wielkiego pożaru w Chicago, gazety nie były tak poruszone jednym wydarzeniem. Ale trzeba było wypełnić również codzienne obowiązki. Zecerzy składali w kasztach ogłoszenia drobne i osobiste oraz inne reklamy, które wypełniały wewnętrzne strony gazet. Niektórzy pracowali tej nocy przy niewielkiej notatce, zawiadamiającej o otwarciu nowego hotelu, najprawdopodobniej zbudowanego pośpiesznie jak wiele innych, żeby zbić majątek na oczekiwanym napływie zwiedzających. Ten przynajmniej miał dobrą lokalizację — na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Wallace w Englewood, czyli w odległości krótkiej przejażdżki nową linią Alley L od bramy wystawy przy Sześćdziesiątej Trzeciej.

Właściciel nazwał swój przybytek Hotelem Wystawy Światowej.

CZĘŚĆ TRZECIA

W Białym Mieście

(maj—październik 1893 roku)

Dzień otwarcia

Dwadzieścia trzy błyszczące czarne powozy stały rzędem w żółtym błocie przed hotelem Lexington przy Michigan Avenue. Prezydent Cleveland wsiadł do siódmego z nich, lando. Burnham i Davis zasiedli razem w szóstym. Obaj zachowywali się uprzedzająco grzecznie, choć ani nie porzucili wzajemnej nieufności, ani nie rozwiązyali konfliktu o władzę na wystawie. Księżę Veragua, w prostej linii potomek Kolumba, siedział w czternastym powozie. Księżna zajmowała piętnasty, razem z Berthą Palmer, której diamenty emanowały niemal namacalnym żarem. Burmistrz Harrison, jadący w ostatnim powozie, wywoływał najgłośniejsze wiwaty. W pozostałych pojazdach zajęli miejsca różni dygnitarze. Kiedy parada ruszyła na południe, w kierunku parku Jacksona, ulica z tyłu zaroiła się morzem głów. Dwieście tysięcy mieszkańców Chicago ruszyło za nią pieszo lub na koniach, w faetonach, wiktoriach i karyklach, a także w zatłoczonych omnibusach i tramwajach. Tysiące innych wybrały pociąg i stłoczyły się w jasnożółtych wagonach zakupionych przez Illinois Central, żeby przetransportować na wystawę jak najwięcej osób, a przezywanych „wagonami bydłęcymi”. Każdy, kto miał białą chusteczkę, machał nią, a z każdej latarni zwisały białe flagi. Wiatr wydymał mokre białe draperie zawieszane na fasadach budynków. Na spotkanie tłumu wyszło 1.5 tysiąca członków Straży Kolumbijskiej w nowych, jasnoniebieskich płóciennych mundurach, białych rękawiczkach i czarnych pelerynach z żółtą lamówką. Grzecznie i życzliwie kierowali wszystkich do Budynku Administracyjnego, który łatwo było rozpoznać ze względu na wysoką złotą kopułę.

Powozy nadjechały od strony bulwaru Midway, przebywając najpierw Zakątek Uciech. Kiedy powóz prezydenta zakręcił w Avenue of Nations, czyli trzynastą przecznicę Midway, wyszło słońce, wywołując ryk aprobaty tłumu. Na parcelach wzdłuż bulwaru wzniesiono czterdzieści instalacji, z których kilka miało rozmiary niewielkiego miasteczka. Procesja minęła chatę Siedzącego Byka,

Wioskę Lapońską, miejsce obozowania Dahomejczyków, którzy podobno byli kanibalami, i położoną naprzeciw Farmę Strusią, pachnącą topionym masłem i jajkami. Na farmie można było spróbować omletów z jaj strusich, choć tak naprawdę były to jaja kurze. Następnie przejechano obok Wioski Austriackiej i Balonu na Uwięzi, w którym można się było unieść w powietrze na znaczną wysokość. Procesja objechała położone w samym centrum Zakątko Uciech, choć, niestety, jeszcze niegotowe Koło Ferrisa, które Burnham obejrzał z niezadowoleniem. W tej chwili był to półksiężyc ze stali, uwięziony w drapaczu chmur rusztowań.

Kiedy powóz prezydenta Clevelanda zbliżył się do Wioski Algierskiej Sola Blooma, położonej w muzułmańskiej części Zakątko Uciech, Bloom pokłonił się głęboko, a kobiety z wioski odrzuciły zasłony. Bloom przysięgał potem, że był to zwyczajowy gest wyrażający szacunek, ale oczywiście z nim nigdy niczego nie można było być pewnym. Powozy minęły Ulicę Kairską — jeszcze nieotwartą, kolejne rozczarowanie — oraz Wioskę Turecką i Jawajską Jadalnię. Przed Zwierzęcym Widowiskiem Hagenbacka, najsłynniejszym zoo objazdowym tamtych czasów, treserzy skłonili do ryku cztery tresowane lwy. Po prawej stronie, w oddali, prezydent ujrzał proporce Dzikiego Zachodu Buffalo Billa, powiewające nad areną, którą pułkownik Cody zbudował przy Sześćdziesiątej Trzeciej.

W końcu powozy dotarły do parku Jacksona.

Na Światowej Wystawie Kolumbijskiej zdarzały się prawdziwe cuda — na przykład nie rozpuszczała się wykonana z czekolady Wenus z Milo, a ważący prawie tonę ser w pawilonie stanu Wisconsin nie pleśniał — największym jednak cudem była zmiana, jaka dokonała się w parku Jacksona podczas tej długiej i mokrej nocy poprzedzającej przybycie prezydenta Clevelanda. Oczom Herberta Steada, kiedy powrócił tutaj nazajutrz rano, ukazała się równina marszczonej przez wiatr wody, która nadal pokrywała znaczne połacie parku, ale puste wagony towarowe i resztki opakowań zniknęły. Dziesięć tysięcy robotników, pracując przez całą noc, wyrównało zaprawę i farbę na budynkach, zasadziło bratki i rozłożyło darń, z kolei tysiąc sprzątarek umyło, wywoskowało i wyfroterowało podłogi w wielkich budynkach. Słońce coraz częściej wychodziło zza chmur,

a w rześkim, pachnącym deszczem powietrzu te fragmenty parku, które nie kryły się pod wodą, wyglądały wesoło, schludnie i porządnie. „W dniu otwarcia wystawy pierwszym zaskoczeniem okazały się trawniki Olmsteda” — stwierdził Paul Starrett, jeden z ludzi Burnhama.

O jedenastej przed południem prezydent Cleveland wszedł po schodach na podium dla mówców, wzniesione pod gołym niebem po wschodniej stronie Budynku Administracyjnego, i zajął swoje miejsce. Był to sygnał do rozpoczęcia uroczystości. Tłum runął przed siebie. Dwadzieścia kobiet zemdlało. Dziennikarze, którzy mieli dość szczęścia, żeby znaleźć się w przednich rzędach, zajęli się pewną starszą panią — przenieśli ją nad barierką i ułożyli na stole dla prasy. Przez tłum przepychali się członkowie Straży Kolumbijskiej ze szpadami w dłoniach. Zamęt panował do chwili, gdy dyrektor generalny Davis zasygnalizował orkiestrze, żeby zaczęła grać Marsz Kolumbijski.

Ponieważ uroczystości dnia inauguracji powszechnie krytykowano za ich ogłupiającą długość, na dzień otwarcia organizatorzy wystawy zaplanowali krótki program i starali się za wszelką cenę przestrzegać harmonogramu. Najpierw modlitwę wygłosił ociemniały pastor, choć i tak mało kto go słyszał, zważywszy, jak wielką połąć terenu zajmowali widzowie. Następnie wygłoszono odę do Kolumba, równie długą i trudną do zniesienia, jak sama wyprawa odkrywcy („A potem z bocianiego gniazda/Pinty padł okrzyk: Światło! Światło!” i tak dalej w podobnym stylu).

Następny przemawiał dyrektor generalny Davis, prezentując zebrany całkowicie fałszywy obraz rzeczywistości. Wychwalał mianowicie idealną harmonię, w jakiej współpracowały przy budowie Komitet Narodowy, Exposition Company i Damska Rada Wystawy. Ci, którzy wiedzieli o walkach toczących się i w tych gremiach, i między nimi, przyglądali się uważnie Burnhamowi, ale nie zauważyli żadnej zmiany wyrazu jego twarzy. Davis ustąpił miejsca prezydentowi.

Cleveland, olbrzymi i ubrany na czarno, milczał przez chwilę, z powagą przyglądając się zebrany. Obok mównicy stał stół przykryty amerykańską flagą. Leżała na nim niebiesko-czerwona aksamitna poduszka, a na niej złoty klucz telegraficzny.

Tłum — ubrani na czarno lub szaro mężczyźni i kobiety w sukniach o często ekstrawaganckich kolorach: fioletowym, jasnoczerwonym, szmaragdowym i w kapeluszach ze wstążkami, kwiatami lub piórami — wypełniał każdy centymetr kwadratowy tarasów i trawników na Dziedzińcu Honorowym.

Wysoki mężczyzna w wielkim białym kapeluszu i białym płaszczu z koźlej skóry, wykończonym suto srebrem, górował nad otaczającymi go ludźmi. Był to Buffalo Bill, przyciągający wzrok kobiet. Słońce wyjrzało zza strzępków rozpraszających się chmur i rozświetliło białe panamy noszone przez niektórych zwiedzających. Z podium, na którym stał prezydent, scena wydawała się radosna i rześka, ale na poziomie gruntu przeważała woda, błoto i paskudny mlaskający dźwięk, towarzyszący każdej zmianie pozycji. Jediną „osobą”, która miała suche stopy, była Statua Republiki autorstwa Daniela Chestera Frencha („Duża Mary”), owinięta płóciennym pokrowcem.

Mowa Clevelanda była najkrótsza. Kiedy ją wygłosił, podszedł do nakrytego flagą stołu. „Tak jak za jednym dotknięciem włącza się maszyna, która daje wystawie światło, niech i nasze nadzieje i aspiracje obudzą siły, które w przyszłości zawsze będą wpływać na dobrobyt, godność i wolność ludzkości” — powiedział.

Dokładnie o dwunastej osiem dotknął złotego klucza, a przez tłum przetoczył się okrzyk. Robotnicy na dachach natychmiast dali sygnał ludziom rozstawionym w parku i marynarzom na pokładzie okrętu wojennego Michigan, zacumowanego na jeziorze. Klucz zamknął obwód elektryczny, uruchamiając Elektroautomatyczny Włącznik i Wyłącznik, podłączony do gigantycznego silnika parowego Allisa o mocy trzech tysięcy koni mechanicznych, ukrytego w Budynku Maszyn. Odezwał się posrebrzany gong Włącznika, koło zębate zaczęło się obracać, otworzył się zawór i silnik obudził się do życia, poruszając skomplikowany system wałów i łożysk. Równocześnie ruszyło trzydzieści kolejnych silników zainstalowanych w tym budynku. Trzy ogromne pompy Worthingtona podłączone do wodociągów wystawy zaczęły unosić swoje dyszle i tłoki, niczym modliszki walczące z zimnem. Przez rury popłynęły miliony litrów wody. Silniki pracowały coraz szybciej, wprawiając ziemię w drżenie. Na najwyższym maszcie na Dziedzińcu Honorowym zaczęła powiewać amerykańska flaga, olbrzymia niczym żagiel, a na dwóch bocznych masztach pojawiła się flaga Hiszpanii i flaga Kolumba. Woda, tłoczona przez pompy Worthingtona, wystrzeliła z fontanny MacMonniesa na wysokość trzydziestu metrów, tworząc tęczową kurtynę i zmuszając zwiedzających do otworzenia parasoli. Nagle wszędzie pojawiły się flagi, sztandary i chorągwie. Przez całą długość Budynku Maszyn rozwinęła się wielka czerwona draperia, a z połączonych ramion „Dużej Mary” spadł płócienny pokrowiec. Zebrani musieli zasłonić oczy przed blaskiem słońca odbijającego się od

jej złotej skóry. W niebo wleciało dwieście białych gołębi, odezwały się działa okrętu Michigan, gwizdały parowe gwizdki. Tłum zaczął spontanicznie śpiewać *My Country 'Tis of Thee*, pieśń, którą wielu uważało za hymn narodowy, choć jeszcze żaden utwór nie został nim oficjalnie uznany. Kiedy widzowie śpiewali, obok chudej, bladej kobiety z pochyloną szyją zjawił się jakiś mężczyzna. Chwilę później Jane Addams stwierdziła, że nie ma torebki. Wielka wystawa została otwarta.

Choć Burnham zdawał sobie sprawę, jak wiele jeszcze pracy pozostało do wykonania — że Olmsted musi zdwoić swoje wysiłki, a Ferris skończyć to cholerne koło — sukces wystawy wydawał się pewny. Gratulacje napływały pocztą i za pośrednictwem telegrafu. Pewien przyjaciel powiedział Burnhamowi: „Ten widok wybuchł przede mną pięknem w pełni rozkwitniętej róży”. W oficjalnej historii ekspozycji oceniono, że w dniu otwarcia w parku Jacksona tłoczyło się ćwierć miliona ludzi. Według innych szacunków było ich 500 tysięcy, a nawet 620 tysięcy. Pod koniec dnia wszystko wskazywało na to, że chicagowska wystawa stanie się najliczniej odwiedzaną imprezą w historii świata.

Ten optymizm przetrwał zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

We wtorek 2 maja do parku Jacksona przyszło zaledwie 10 tysięcy osób. Gdyby taka frekwencja utrzymała się dalej, wystawa miała szansę przejść do historii jako największa porażka świata. Żółte wagony bydlęce Illinois Central były niemal puste, podobnie jak wagoniki kolejki Alley L, jeżdżącej wzdłuż Sześćdziesiątej Trzeciej. Wszelka nadzieja, że jest to jedynie chwilowe załamanie, zgasła następnego dnia, kiedy siły drążące gospodarkę kraju wybuchły wreszcie, wywołując panikę na Wall Street. Ceny akcji spadły gwałtownie. Przez cały następny tydzień przychodziły coraz bardziej martwiące wieści.

W czwartkowy wieczór 5 maja National Cordage Company, trust, który kontrolował osiemdziesiąt procent amerykańskiej produkcji ropy naftowej, znalazł się pod sekwestrem sądowym. Następnie przestał działać chicagowski Chemical National Bank, wydarzenie szczególnie złowróżbne dla organizatorów wystawy, ponieważ ten bank jako jedyny uzyskał koncesję na otwarcie oddziału na terenie ekspozycji, i to w niezwykle wyeksponowanym miejscu — w Budynku

Administracyjnym. Trzy dni później upadł kolejny duży chicagowski bank, wkrótce potem trzeci, Evanston National Bank, w miasteczku Burnhama. W całym kraju sytuacja wyglądała podobnie. W Brunswick w stanie Georgia spotkali się prezesi dwóch dużych banków. Jeden z nich przeprosił na chwilę, poszedł do swojego biura i strzelił sobie w głowę. Oba banki upadły. W mieście Lincoln w stanie Nebraska dzieci w wieku szkolnym upodobały sobie Nebraska Savings Bank. Miejscowi nauczyciele pracowali jako agenci banku i co tydzień zbierali pieniądze od uczniów i wpłacali na ich książeczki oszczędnościowe. Kiedy rozeszły się pogłoski, że bank jest bliski upadku, na ulicach zaroilo się od dzieci błagających o swoje pieniądze. Inne banki przyszły z pomocą Nebraska Savings Bank i ten tak zwany dziecięcy run został opanowany.

Osoby, które w innych okolicznościach zapewne pojechałyby do Chicago obejrzeć wystawę, wołały zostać w domu. Przerażające wieści o sytuacji na rynku działały zniechęcająco, ale szale przeważyły pogłoski o niedokończonym charakterze ekspozycji. Skoro ludzie mieli tylko jedną szansę na taki wyjazd, pragnęli pojechać wtedy, kiedy wszystkie eksponaty znajdą się już na miejscach, a wszystkie atrakcje będą działać. Szczególnie Koło Ferrisa, o którym mówiono, że to cud inżynierii, przy którym wieża Eiffla wygląda jak dziecięca budowla — oczywiście jeśli będzie działać i jeśli się nie zawali pod wpływem pierwszego silniejszego podmuchu wiatru.

Zdecydowanie za dużo elementów wystawy nie zostało ukończonych, sam Burnham był gotów to przyznać. Wraz ze swoją brygadą architektów, kreślarzy, inżynierów i robotników budowlanych dokonał wiele w niezwykle krótkim czasie, ale najwyraźniej nie dość, żeby przezwyciężyć tłumiący efekt szybko upadającej gospodarki. Windy w Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, zachwalane jako jeden z cudów wystawy, nadal nie działały. Koło Ferrisa było w połowie budowy. Olmsted musiał jeszcze zniwelować i obsadzić roślinami tereny wokół Pawilonu Kruppa, Budynku Przemysłu Skórzanego i Budynku Chłodni. Brakowało chodników na stacji kolejowej wystawy, nie było również darni wokół ekspozycji New York Central i Pennsylvania Railroad, Sali Koncertowej oraz budynku stanu Illinois, w oczach większości mieszkańców Chicago najważniejszego na całej wystawie. Instalowanie eksponatów i budowa pawilonów dla wystawców w Budynku Elektryczności były skandalicznie opóźnione. Dnia 2 maja firma Westinghouse dopiero zaczęła wznosić swój pawilon.

Burnham przesłał surowe napomnienia Olmstedowi, Ferrisowi i wszystkim firmom budowlanym, które nie zakończyły jeszcze robót. Presję szczególnie mocno odczuł Olmsted, któremu pracę dodatkowo komplikowały ciągłe opóźnienia w instalowaniu ekspozycji i zniszczenia powodowane przez wyładowane wozy krążące po terenie wystawy. Samo General Electric składało w parku piętnaście wagonów ekspozatów. Przygotowania do dnia otwarcia kosztowały departament Olmsteda wiele cennego czasu, podobnie jak sadzenie roślin i naprawianie zniszczeń, jakich na terenie parku dokonywał tłum zwiedzających. Spora część z dziewięćdziesięciu kilometrów dróg i ścieżek wystawy nadal znajdowała się pod wodą lub tonęła w błocie. Równie wiele alejek było pozapadanych i pełnych dziur, ponieważ korzystano z nich, gdy grunt był jeszcze rozmiękły. Wynajęta przez Olmsteda do konserwacji dróg firma zatrudniła ośmiuset robotników i sto koni przy wyrównywaniu ścieżek i ponownym pokrywaniu ich żwirem. „Czuję się nadal całkiem dobrze, ale codziennie jestem wykończony pracą — pisał 15 maja Olmsted do syna. — Bardzo trudno wszystkiemu podołać. Moje ciało jest takie przepracowane, a przecież nigdy nie jestem w stanie zakończyć tego, co zaplanowałem”.

Burnham wiedział, że przede wszystkim należy dokończyć budowę wystawy, jednocześnie jednak trzeba zacząć wabić ludzi, aby przemogli swoje finansowe obawy i przyjechali do Chicago. Dlatego stworzył nowe stanowisko — dyrektora ceremonii — i powierzył je Francisowi Milletowi, dając mu wielką swobodę działania. Millet organizował pokazy fajerwerków i parady. Wyznaczył dni specjalne na cześć poszczególnych stanów i państw, a nawet zawodów, takich jak szewcy, młynarze, cukiernicy, stenografici. Swoje dni mieli również Rycerze Fintiasza — członkowie istniejącego do dzisiaj świeckiego zakonu rycerskiego — i Katolicy Rycerze Ameryki. Dzień 25 sierpnia został ogłoszony Dniem Ludności Kolorowej, a 9 października — Dniem Chicago. Frekwencja zaczęła rosnąć, ale niewiele. Pod koniec maja wystawę zwiedzało zaledwie 33 tysiące osób dziennie, znacznie poniżej oczekiwań Burnhama i innych organizatorów, a co jeszcze ważniejsze — znacznie poniżej poziomu koniecznego, żeby impreza zaczęła przynosić zyski. Co gorsza, Kongres i Komitet Narodowy, uginając się pod presją ruchu sabatariańskiego, polecili zamykać wystawę w niedziele, w ten sposób uniemożliwiając jej zwiedzenie kilku milionom pracowników najemnych, dla których był to jedyny dzień wolny od pracy.

Burnham miał nadzieję, że kryzys szybko zostanie zażegnany, ale okazała się ona płonna. Upadało coraz więcej banków, coraz więcej ludzi traciło pracę, produkcja przemysłowa spadała, a strajki nabierały coraz gwałtowniejszego charakteru. Dnia 5 czerwca zaniepokojeni depozytariusze przypuścili szturm na osiem chicagowskich banków. A firma Burnhama przestała dostawać nowe zlecenia.

Hotel Wystawy Światowej

Do hotelu Holmesa zaczęli napływać pierwsi goście, choć nie w takiej liczbie, jakiej i on, i inni hotelarze z chicagowskiej South Side oczekiwali. Przyciągała ich głównie lokalizacja hotelu, zaledwie o krótką przejażdżkę kolejką Alley L od parku Jacksona. Mimo że pokoje na pierwszym i drugim piętrze w większości stały puste, Holmes ze szczerym żalem w głosie informował mężczyzn, że wszystko ma zajęte, i odsyłał ich do pobliskich hoteli. Jego hotel zapełniały kobiety, w większości całkiem młode i wyraźnie nienawykłe do samotnego życia. Ich obecność Holmes uważał za odurzającą.

Tymczasem Minnie Williams zaczęła się robić coraz bardziej kłopotliwa. Wraz z przybywaniem do hotelu każdej następnej niewinnej dziewczyny jej zazdrość rosła, zaczynała też niemal stale przebywać u boku Holmesa. Jej zachowanie niespecjalnie go irytowało, po prostu stała się niewygodna. Była teraz częścią jego aktywów, zdobyczą, którą należy zachować na odpowiednią porę, niczym mucha owinięta w kokon pajęczyny.

Zaczął szukać w gazetach ogłoszeń o mieszkaniach do wynajęcia w okolicach dość odległych od jego budynku, aby uczynić mało prawdopodobnymi niezapowiedziane wizyty. Znalazł takie miejsce w North Side, pod numerem 1220 przy Wrightwood Avenue, dziesięć przecznic od parku Lincolna, w pobliżu Halsted. Była to śliczna, ocieniona drzewami część miasta, choć uroda tego miejsca stanowiła dla Holmesa jedynie element kalkulacji. Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze dużego prywatnego domu, którego właścicielem był niejaki John Oker. Jego córki zajmowały się wynajmem. Po raz pierwszy zamieściły ogłoszenie w gazetach w kwietniu 1893 roku.

Holmes pojechał obejrzeć mieszkanie sam i przy okazji porozmawiał z Johnem Okerem. Przedstawił się jako Henry Gordon i powiedział, że pracuje na rynku nieruchomości.

Oker był pod wielkim wrażeniem potencjalnego lokatora. Był taki elegancki – choć może lepszym słowem byłoby „wymagający” – a jego ubranie

i zachowanie sugerowały zamożność. Był zachwycony, kiedy Henry Gordon powiedział, że wynajmie mieszkanie. A ucieszył się jeszcze bardziej, gdy ten zapłacił mu gotówką 40 dolarów zaliczki. Miał się wprowadzić wraz z żoną za kilka tygodni.

Holmes przedstawił Minnie tę przeprowadzkę jako od dawna odwiekaną konieczność. Teraz, kiedy się pobrali, potrzebne im było mieszkanie większe i milsze niż to, które obecnie zajmowali w „zamku”. Wkrótce w budynku będzie mnóstwo osób zwiedzających wystawę, ale nawet bez gości hotelowych nie było to miejsce odpowiednie dla rodziny.

Pomysł przeniesienia się do dużego, słonecznego mieszkania przypadł Minnie do gustu. Prawdę mówiąc, „zamek” potrafił być ponury. A właściwie zawsze był ponury, Minnie zaś chciała się czymś pochwalić przed Anną. Była jednak nieco zdumiona tym, że Harry wybrał miejsce położone tak daleko, aż na North Side, skoro w Englewood było tyle pięknych domów. Być może wytłumaczyła to sobie w ten sposób, że nie chciał płacić wyśrubowanego czynszu, jakiego żądano w tych okolicach w okresie trwania wystawy.

Holmes i Minnie przenieśli się do nowego mieszkania 1 czerwca 1893 roku. Lora Oker, córka właściciela, powiedziała, że Gordon „wydawał się bardzo czuły dla żony”. Małżeństwo jeździło na wycieczki rowerowe i przez jakiś czas miało służącą. „Mogę tylko powiedzieć, że jego zachowanie podczas pobytu u nas było bez zarzutu — stwierdziła panna Oker. — Minnie Williams przedstawił jako swoją żonę, a my zawsze zwracaliśmy się do niej per pani Gordon. Nazywała go Harry”.

Kiedy Minnie zamieszkała przy Wrightwood Avenue, Holmes mógł swobodnie cieszyć się swoim Hotelem Wystawy Światowej.

Jego goście spędzali większość czasu w parku Jacksona albo w Zakątku Uciech i często wracali dopiero po północy. Kiedy przebywali w hotelu, zwykle siedzieli w pokojach, ponieważ Holmes nie urządził wspólnych pomieszczeń — biblioteki, sali gier czy pokoju do pisania — jakie zwykle zapewniały wielkie hotele w rodzaju Richelieu, Metropole czy pobliskiego New Julien Hotel. Nie urządził również ciemni, które hotele w pobliżu parku Jacksona zaczęły instalować dla wygody rosnącej liczby fotoamatorów, przezywanych „maniakami kodaka”,

wykonujących zdjęcia za pomocą najnowszego wynalazku — przenośnego aparatu fotograficznego.

Kobiety uważały hotel za raczej ponury, szczególnie w nocy, ale obecność przystojnego i wyraźnie bogatego właściciela pomagała rozprościć tę posępność. W przeciwieństwie do mężczyzn, których znały w Minneapolis, Des Moines czy Sioux Falls, Holmes był ciepły, czarujący i rozmowny. I dotykał ich z zażyłością, którą w domu zapewne uznałyby za obrażę, ale która tutaj, w Chicago, w tym nowym świecie, jakoś wydawała się na miejscu — jakby był to kolejny aspekt wielkiej przygody, na którą wyruszyły. A czym byłaby przygoda, gdyby nie wydawała się nieco niebezpieczna?

Właściciel hotelu był chyba również bardzo wyrozumiały. Nie wydawał się wcale przejęty, gdy od czasu do czasu goście znikali z nienacka, nie płacąc rachunków. To, że Holmes czasami roztaczał wokół siebie woń chemikaliów — właściwie zaś, że cały budynek wydychał chwilami szpitalny zapach — nikomu nie przeszkadzało. W końcu był lekarzem, a w budynku na parterze znajdowała się apteka.

Prendergast

*P*atrick Prendergast wierzył, że wkrótce otrzyma nominację na dyrektora wydziału prawnego. Chciał być przygotowany na to wydarzenie i zaczął robić plany, kogo zatrudni w swoim biurze, kiedy nominacja już przybędzie. Dnia 9 maja 1893 roku wysłał kolejną kartkę, zaadresowaną do niejakiego W. F. Colinga z biura „Staats-Zeitung”. Wygłosił mu kazanie na temat tego, że Jezus jest najwyższym autorytetem w kwestii prawa, a następnie przekazał dobrą wiadomość.

„Jestem kandydatem na stanowisko dyrektora wydziału prawnego — napisał. — Jeśli otrzymam nominację, Pan zostanie moim asystentem”.

Noc to czarodziejka

*M*imo niekompletnej ekspozycji, pokrytych koleinami ścieżek i pustych polaci pozbawionej roślinności ziemi, wystawa ukazała swoim pierwszym zwiedzającym wizję tego, czym może być miasto i czym być powinno. Czarne Miasto czaiło się na północy w mroku dymu i śmieci, z kolei Białe Miasto, oglądane przez zwiedzających ekspozycję, szczyciło się czystymi toaletami publicznymi, czystą wodą, służbami medycznymi wyposażonymi w ambulanse, elektrycznym oświetleniem ulic i systemem przetwarzania ścieków, który przekazywał farmom całe tony nawozu. Zorganizowano dzienną opiekę nad dziećmi zwiedzających — powszechnym tematem żartów był numerki, który otrzymywano, zostawiając dziecko w Budynku Dzieci. Wyglądał zupełnie jak numerki do szatni. Nieliczni, choć krzykliwi krytycy wyrażali obawy, że ubodzy rodzice zmienią budynek w skład niechcianych dzieci. Ale tylko jedno dziecko, nieszczęsny Charlie Johnson, zostało porzucone, nie zgubiono natomiast żadnego, choć pod koniec dnia zawsze wyczuwało się wyraźny niepokój.

W budynkach wystawy zwiedzający napotykali urządzenia i wynalazki zupełnie nowe i dla nich, i dla świata. Słyszeli muzykę graną na żywo przez orkiestrę znajdującą się w Nowym Jorku, a transmitowaną do Chicago przez telefon dalekiego zasięgu. W kinetoskopie Edisona ujrzeli pierwsze ruchome obrazy i przyglądali się ze zdumieniem, jak błyskawice trzaskają wokół ciała Nikoli Tesli. Dane im było zobaczyć jeszcze bardziej piekielne rzeczy — pierwszy suwak krawiecki, pierwszą na świecie całkowicie zelektryfikowaną kuchnię, w której znajdowała się nawet automatyczna zmywarka do naczyń oraz Pudełko Cioci Jemimy, podobno zawierające wszystko, czego potrzeba do przygotowania naleśników. Próbowali nowej gumy do żucia o dziwnym smaku, noszącej nazwę Juicy Fruit, oraz prażonej kukurydzy pokrytej karmelem, sprzedawanej pod nazwą Cracker Jack. Nowym chrupkom śniadaniowym, Shredded Wheat, nie wróżono

sukcesu — ktoś określił je jako „przemieloną wycieraczkę” — ale nowe piwo raziło sobie nieźle, wygrywając konkurs zorganizowany na wystawie. Później browar produkował je pod nazwą Pabst Blue Ribbon. Zwiedzający podziwiali również najnowszy — niewykluczone, że i najważniejszy — wynalazek, jakiego dokonano w dziedzinie organizacji dokumentów, a mianowicie szafkę opracowaną przez Melvila Deweya, wynalazcę dziesiętnej klasyfikacji bibliotecznej*. Między „poważnymi” eksponatami były rozmieszczone najróżniejsze ciekawostki. Lokomotywa utkana z jedwabnej nici. Most wiszący zrobiony z mydła marki Kirk. Olbrzymia mapa Stanów Zjednoczonych ułożona z pikli. Producenci śliwek przysłali konnego rycerza naturalnej wielkości wykonanego ze śliwek, a Kopalnia Soli Avery z Luizjany zaprezentowała kopię Statui Wolności wyciętą w bloku soli. Zwiedzający przezywali ją „żoną Lota”.

* Jest to używana do dziś szafka, w której dokumenty przechowuje się pionowo, w teczkach zawieszanych na prowadnicach.

Jednym z najbardziej przykuwających uwagę punktów wystawy był Pawilon Kruppa, gdzie w samym centrum ekspozycji przedstawiającej różne armaty stał „oswojony potwór” Fritza Kruppa. Popularny przewodnik po ekspozycji, nazywany Oszczędzaczem Czasu, który oceniał każdą ekspozycję w skali od jednego do trzech — jeden oznaczało coś ledwie interesującego, a trzy coś wyjątkowo interesującego — dał Pawilonowi Kruppa trzy punkty. W wielu zwiedzających obecność broni wzbudziła jednak niepokój. Pani D. C. Taylor, częsta bywalczyni wystawy, nazywała ogromną armatę Kruppa „wstrętną, szkaradną, dyszącą krwią rzeczą, triumfem barbarzyństwa przykucniętym wśród triumfów światowej cywilizacji”.

Pani Taylor uwielbiała za to Dziedziniec Honorowy i zauważyła, jak niezwykle poważnie zachowują się ludzie krążący wśród jego pałaców. „Wszyscy poruszaliśmy się powoli i mówiliśmy przyciszonym głosem. Nikt się nie spieszył ani nie okazywał zniecierpliwienia, wszyscy byli pod urokiem tego miejsca, urokiem, który panował nad nami od otwarcia wystawy aż po jej zamknięcie”.

Atmosfera panująca w Zakątku Uciech była zupełnie inna. Tutaj pani Taylor zaryzykowała zwiedzenie Ulicy Kairskiej, kiedy ją wreszcie otwarto, i po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy taniec brzucha. Uważnie obserwowała tancerkę. „Czyni kilka drobnych kroczków w jedną stronę, zatrzymuje się, uderza

w kastaniety, a potem robi to samo w drugą stronę. Następnie stawia kilka kroków do przodu, zatrzymuje się i kilka razy unosi i opuszcza brzuch, zgodnie z rytmem muzyki, nie poruszając żadnym mięśniem w innych częściach ciała. Czyni to z niesamowitą gwałtownością, równocześnie mając głowę i stopy idealnie wyprostowane”.

Kiedy pani Taylor wraz z towarzyszkami opuszczała Ulicę Kairską, nuciła sobie cicho *My Country 'Tis of Thee*, jak przestraszone dziecko ostrożnie mijające cmentarz.

Wystawa była tak wielka, tak nie do ogarnięcia, że Straż Kolumbijska była zasypanych pytaniami. Pytania te były jak choroba, jak wietrzna ospa retoryki, na którą cierpiał w pewnym stopniu każdy zwiedzający. Strażnicy odpowiadali cierpliwie na ciągle te same zapytania, często zadawane pospiesznie lub oskarżycielskim tonem. Ale niektóre były zaskakujące.

„W którym budynku jest papież?” — zapytała pewna kobieta.

Usłyszała ją Teresa Dean, która prowadziła poświęconą wystawie rubrykę w codziennej gazecie.

„Papieża tutaj nie ma, proszę pani” — odpowiedział strażnik.

„A gdzie jest?”

„We Włoszech, w Europie, proszę pani”.

Kobieta zmarszczyła brwi.

„A w którą to stronę?”

Strażnik, przekonany, że jego rozmówczyni żartuje, odpowiedział żartobliwie:

„Trzy przecznice pod laguną”.

Na co ona: „A jak tam dojdę?”

Inna zwiedzająca, która szukała wystawy figur woskowych, zwróciła się do strażnika z zapytaniem: „Może mi pan powiedzieć, gdzie jest budynek ze sztucznymi ludźmi?”.

Kiedy ten zaczął jej tłumaczyć, że nie wie, wtrącił się inny zwiedzający.

„Słyszałem o nich — powiedział. — Są w Budynku Kobiet. Niech pani pyta o Damską Radę Wystawy”.

Pewien mężczyzna bez nóg, który zwiedzał wystawę poruszając się za pomocą protez i kul, musiał sprawiać wyjątkowo kompetentne wrażenie, ponieważ inny zwiedzający bombardował go bezustannie pytaniami. W końcu kaleka zaczął się żalić, że bardzo go męczy konieczność odpowiadania na tyle pytań.

„Chciałbym wiedzieć jeszcze tylko jedno i potem nie będę już pana kłopotał” — powiedział wówczas jego rozmówca.

„A o co chodzi?”

„Chciałbym wiedzieć, jak pan stracił nogi”.

Kaleka oświadczył, że odpowie jedynie pod warunkiem, że będzie to naprawdę ostatnie pytanie. Na inne nie odpowie. Czy to jasne?

Jego prześladowca obiecał.

Wówczas okaleczony mężczyzna, w pełni świadomy, że jego odpowiedź spowoduje natychmiast kolejne pytania, powiedział: „Zostały odgryzione”.

„Odgryzione! Jakim cudem...”

Ale umowa to umowa. Chichocząc pod nosem, kaleka pokuśtykał dalej.

Ekspozycje walczyły z sobą o zwiedzających, ale to spektakl o Dzikim Zachodzie Buffalo Billa przyciągał nieprzeliczone tłumy. Gdyby Cody otrzymał koncepcję, o którą się ubiegał, tłumy przybywające na jego spektakl najpierw musiałyby zapłacić za bilet do parku Jacksona, co na pewno podniosłoby liczbę zwiedzających i dochody do zadowalającego poziomu. Cody był również gotów zorganizować przedstawienia w niedziele, a ponieważ jego arena znajdowała się poza terenem wystawy, nie musiał oddawać połowy dochodów Exposition Company. Przez sześć miesięcy zorganizował trzysta osiemnaście przedstawień, na które średnio przychodziło 12 tysięcy widzów, czyli łącznie blisko 4 miliony osób.

Często spektakl Cody'ego przyćmiewał samą wystawę. Wejście na arenę znajdowało się tak blisko jednego z najczęściej używanych wejść do parku Jacksona, że niektórzy zwiedzający sądzili, że przedstawienie o Dzikim Zachodzie jest w istocie wystawą światową i podobno wracali do domu uszczęśliwieni. W czerwcu grupa kowbojów zorganizowała wyścig na liczącej 1.6 tysiąca kilometrów trasie z Chadron w Nebrasce do Chicago. Miał się on odbyć na cześć wystawy i planowano zakończyć go w parku Jacksona. Nagroda była niebagatelna — 1 tysiąc dolarów. Cody dołożył do tego jeszcze 500 i ozdobne siodło, ale pod warunkiem, że wyścig zakończy się na jego arenie. Organizatorzy przyjęli propozycję.

Dziesięciu jeźdźców, wśród nich „Grzechotnik” Pete i podobno nawrócony bandyta z Nebraski o nazwisku Doc Middleton, wyruszyli z hotelu Baline w

Chardon rankiem 14 czerwca 1893 roku. Regulamin wyścigu zezwalał jeźdźcom na zabranie dwóch koni i wymagał, żeby po drodze meldowali się w różnych punktach kontrolnych. Najważniejsza zasada głosiła, że w chwili przekroczenia linii mety jeździec musi dosiadać jednego z koni, na których rozpoczął wyścig.

Rywalizacja była brutalna, pełna łamania zasad i rannych zwierząt. Middleton odpadł wkrótce po dotarciu do Illinois. Oprócz niego wyścigu nie ukończyło jeszcze czterech uczestników. Pierwszym, który przekroczył linię mety, był zatrudniony na kolei John Berry, dosiadający konia Truczna, który wjechał na arenę Dzikiego Zachodu 27 czerwca o dziewiątej trzydzieści rano. Buffalo Bill, olśniewający w srebrze i białej kozłej skórze, czekał już, żeby go powitać, wraz z całym zespołem Dzikiego Zachodu i 10 tysiącami obywateli Chicago. John Berry musiał się jednak ostatecznie zadowolić samym siodłem, ponieważ późniejsze badania ujawniły, że wkrótce po rozpoczęciu wyścigu zapakował swoje konie do zmierzającego na wschód pociągu i pierwsze sto pięćdziesiąt kilometrów odbył w luksusowych warunkach.

Cody ponownie przyćmił wystawę w lipcu, kiedy jej organizatorzy odrzucili prośbę burmistrza Cartera Harrisona, aby jeden dzień zadedykować ubogim dzieciom z Chicago i wpuszczać je na teren za darmo. Rada nadzorcza uważała, że to zbyt wygórowana prośba w sytuacji, gdy toczy się zażarta walka o podniesienie frekwencji płatnych zwiedzających. Liczył się każdy bilet, nawet dziecięce połówki. Buffalo Bill natychmiast zorganizował Dzień Ulicznika na Dzikim Zachodzie. Każdemu dziecku z Chicago oferował darmowy bilet na pociąg, darmowy wstęp na arenę i na teren całego obozowiska plus wszystkie słodczyce i lody, jakie tylko zdoła zjeść.

W wyznaczonym dniu zjawilo się 15 tysięcy dzieci.

Dziki Zachód Buffalona może i rzeczywiście był „niestosowny”, jak stwierdziła rada nadzorcza, odrzucając jego prośbę o koncesję na terenie parku Jacksona, ale obywatele Chicago byli w nim zakochani.

Rozpogodziło się — i tak już zostało. Ścieżki wyschły, świeżo rozwinięte kwiaty napełniały powietrze swoją wonią. Wystawcy stopniowo uzupełniali ekspozycje, a elektrycy usuwali ostatnie wadliwe połączenia ze skomplikowanej sieci

zasilającej prawie 200 tysięcy żarówek zainstalowanych na wystawie. Z polecenia Burnhama na terenie całego parku trwały intensywne prace porządkowe. Dnia 1 czerwca 1893 roku robotnicy zdjęli tymczasowe tory, które przecinały trawniki w pobliżu laguny od południowej strony Budynku Elektryczności i Budynku Górnictwa. „Uderzająco zauważalna zmiana w ogólnym stanie rzeczy to brak wielkich wież ze skrzynek ustawionych na zewnętrznych dziedzińcach pałaców rzemiosła, rolnictwa, maszyn i innych wielkich budynków” — napisała „Tribune” 2 czerwca. Nieotwarte skrzynki i śmieci, które zaledwie tydzień wcześniej zaśmiecały wnętrze Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, szczególnie w pawilonach Rosji, Norwegii, Danii i Kanady, zostały usunięte i obecnie wnętrze prezentowało się „zupełnie inaczej i znacznie, znacznie lepiej”.

Chociaż kryjące się we wnętrzach pałaców ekspozycje robiły wielkie wrażenie, pierwsi zwiedzający park Jacksona od razu zauważyli, że największa siła wystawy leży w dziwnej powadze samych budynków. Dziedziniec Honorowy okazał się piękniejszy i bardziej majestatyczny niż to sobie wymarzano w bibliotece w Rokery. Niektórzy zwiedzający tak byli poruszeni jego widokiem, że zaczęli płakać.

Za ten fenomen nie odpowiadał jakiś jeden element. Każdy z budynków był wielki, ale wrażenie zostało spotęgowane tym, że wszystkie budowle zaprojektowano w stylu neoklasycyzyzm, wszystkie miały gzymsy na tej samej wysokości, wszystkie zostały pomalowane na ten sam delikatny, biały kolor i wszystkie były tak szokująco, tak niesamowicie niepodobne do tego, co większość zwiedzających widziała we własnych zakurzonych rodzinnych miasteczkach. „Żadne inne dzieło ludzkiej twórczości nie wydało mi się tak doskonałe jak Dziedziniec Honorowy” — napisał James Fullerton Muirhead, autor i wydawca przewodnika. Dziedziniec, wyjaśniał dalej, „był praktycznie nienaganny. Estetyczne wrażenia obserwatora były tak pełne i tak dokładnie zaspokojone, jak podczas patrzenia na arcydzieło malarstwa lub rzeźby, równocześnie łagodzone i wzmacniane poczuciem takiej wielkości i wspaniałości, jakie tylko może wzbudzić pojedyncze dzieło sztuki”. Edgar Lee Masters, prawnik z Chicago i wybijający się poeta, nazwał Dziedziniec „niczym nieograniczonym marzeniem o pięknie”.

Ten sam kolor, a może raczej ten sam brak koloru sprawiał, że dziedziniec prezentował ogromny zakres efektów kolorystycznych, w miarę podróży słońca po niebie. Wczesnym rankiem, kiedy Burnham przeprowadzał inspekcję,

budynki miały odcień bładoniebieski i zdawały się unosić na widmowym obłoku przygruntowej mgły. Co wieczór słońce zabarwiało je na kolor ochry i rozpalało porwane przez wietrzyk drobinki kurzu, aż samo powietrze wydawało się lekko pomarańczową zasłoną.

Jednego takiego wieczoru Burnham na pokładzie elektrycznej łódki obwoził po terenie wystawy wycieczkę. W grupie zwiedzających znajdowała się wdowa po Johnie Roocie, Dora, i kilku zagranicznych gości. Burnham uwielbiał oprowadzać po parku przyjaciół i dygnitarzy, ale zawsze starał się reżyserować te wycieczki, aby przybysze zobaczyli ekspozycję w taki sposób, w jaki, jak wierzył, powinno się ją oglądać: budynki ujęte z pewnej perspektywy, pojawiające się w określonym porządku, zupełnie jakby nadal siedział w swojej bibliotece i pokazywał rysunki zamiast prawdziwych budowli. Próbował narzucić swoją estetyczną wolę wszystkim zwiedzającym, przez pierwszy rok budowy upierając się, żeby ograniczyć liczbę wejść do parku Jacksona do zaledwie kilku, a te rozmieścić tak, aby ludzie musieli przejść albo przez Dziedziniec Honorowy, albo przez wielką bramę na stacji kolejowej po zachodniej stronie parku, albo przez wejście po wschodniej stronie od strony brzegu jeziora. Jego dążenie do uzyskania mocnego pierwszego wrażenia było oznaką talentu showmana, ale ujawniało również tkwiącego w nim estetycznego despotę. Nie udało mu się narzucić swojej woli. Rada nadzorcza chciała, żeby wejść było wiele, a koleje nie zgodziły się na skierowanie całego ruchu wystawowego na jedną stację. Burnham nigdy się do końca nie poddał. Przez całą wystawę, jak napisał, „nalegaliśmy, aby nasi goście, których opinię ceniliśmy sobie najbardziej, najpierw byli kierowani na Wielki Dziedziniec”.

Elektryczna łódka, wioząca Burnhama, Dorę Root i zagranicznych dygnitarzy, cicho przecinała wody laguny, mącąc odbicie Białego Miasta w jej spokojnych wodach. Zachodzące słońce pozłociło tarasy na wschodnim brzegu, brzeg zachodni zaś ukryło w ciemnoniebieskim cieniu. Kobiety w sukniach w kolorze karmazynu i akwamaryny przechadzały się powoli po nabrzeżu. Głosy dryfowały po wodzie, przeplatając się ze śmiechem, który brzmiał jak kryształ trącony podczas toastu.

Następnego dnia po najpewniej trudnej nocy Dora Root napisała do Burnhama, dziękując mu za wycieczkę. Przy okazji próbowała przekazać swoje skomplikowane uczucia.

„Nasza godzina na lagunie zeszłego wieczoru była ukoronowaniem czarującego dnia — pisała. — Tak wspomniałem, że obawiam się, że przeciągalibyśmy ją

w nieskończoność, gdyby nasi zagraniczni przyjaciele nie byli nastawieni na nieco bardziej pieprzną rozrywkę. Sądzę, że nigdy z własnej woli nie przestałabym dryfować po tej krainie marzeń”. Widok wywołał w niej kontrastowe uczucia. „Wszystko wydało mi się takie nieskończenie smutne, a równocześnie tak czarujące, że mam wrażenie, jakby częścią mądrości było wzlatywanie w jednej chwili nad lasy czy góry, gdzie zawsze można znaleźć spokój. Tak wiele chciałabym powiedzieć o Twojej pracy z ostatnich dwóch lat — dzięki której tak cudownie została zrealizowana wizja piękna, jaką miał John — ale nie ufam sobie dostatecznie. Zbyt dużo to dla mnie znaczy i myślę, mam nadzieję, że to zrozumiesz. Przez lata dzieliłam jego nadzieje i ambicje — i mimo wysiłków te dawne zainteresowania nadal trwają. To wielka ulga dla mnie móc to napisać. Ufam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu”.

Wieczory na terenie wystawy były uwodzicielskie, ale jej noce były porywające. Każdy budynek i każde przejście okalały lampy — był to najwspanialszy pokaz oświetlenia elektrycznego, jaki dotąd zorganizowano, i pierwszy test wykorzystania na dużą skalę prądu przemiennego. Sama ekspozycja pochłaniała trzy razy więcej prądu niż całe Chicago. Był to kamień milowy w rozwoju inżynierii, ale dla zwiedzających najważniejsza była sama możliwość ujrzenia tylu światel w jednym miejscu i w jednym czasie. Każdy budynek, łącznie z Budynkiem Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, był otoczony białymi żarówkami. Ogromne reflektory—szperacze — największe, jakie dotąd wyprodukowano (ich światło było podobno widać z odległości stu kilometrów) — zamontowano na dachu Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, skąd przeczesywały teren wystawy i jej sąsiedztwo. Duże barwne żarówki oświetlały trzydziestometrowy pióropusz wody wyrzucany przez Fontannę MacMonniesa.

Dla wielu zwiedzających te nocne pokazy światła były pierwszym zetknięciem się z elektrycznością. Hilda Satt, dziewczynka, która niedawno przyjechała z Polski, poszła na wystawę z ojcem. „Kiedy na niebie gasło słońce, nagle zapaliły się miliony światel, wszystkie w jednej chwili — wspominała wiele lat później. — Ponieważ wcześniej widziałam jedynie lampy naftowe, to wszystko zdawało mi się nagłą wizją Niebios”.

Ojciec wyjaśnił jej, że światła włączono za pomocą elektrycznych przełączników.

„Bez zapalek?” — zapytała.

Dzięki światłom i wszechobecnym niebieskim duchom ze Straży Kolumbijskiej wystawa pokonała kolejną barierę: po raz pierwszy obywatele Chicago mogli spacerować w nocy zupełnie bezpiecznie. Już to jedno przyciągało tutaj niekończący się strumień zwiedzających, szczególnie młodych par, uwięzionych w gorsecie wiktoriańskich zalotów i marzących o spokojnych, ciemnych miejscach.

W nocy światła i oddzielająca je ciemność pozwalały zamaskować wiele wad wystawy — wśród nich, jak napisał John Ingalls w „Cosmopolitanie”, „nieprzemierzoną liczbę szczątków niezliczonych drugich śniadań” — i stworzyć na kilka godzin doskonale miasto ze snów Daniela Burnhama.

„Noc jest czarodziejką wystawy” — napisał Ingalls.

Pierwsi zwiedzający wrócili do domów i opowiedzieli rodzinie i przyjaciołom, że wystawa, choć niedokończona, jest dużo wspanialsza i robi o wiele większe wrażenie niż kazano im oczekiwać. Montgomery Schuyler, czołowy krytyk architektury z czasów Burnhama, napisał: „Zwiedzający, którzy po raz pierwszy ujrzeli ekspozycję, twierdzili najczęściej, że nic, co czytali albo widzieli na zdjęciach, nie dało im o niej pojęcia ani nie przygotowało ich na to, co zobaczyli”. Dziennikarze z odległych miast przekazywali telegrafem tę samą uwagę swoim wydawcom, a historie o budzonym przez nią zachwycie i zdumieniu zaczęły przesączać się do zabitych deskami mieścin. Na farmach i w odległych dolinach ludzie porażeni tym, co czytali codziennie w gazetach o upadającej gospodarce kraju, zaczęli mimo wszystko myśleć o Chicago. Wyprawa była droga, ale sprawiała wrażenie wartej przedsięwzięcia. A nawet koniecznej.

Modus operandi

No i się zaczęło. Z restauracji Holmesa, gdzie jego goście jadali posiłki, zniknęła kelnerka. Jednego dnia była w pracy, następnego już się nie zjawiała, przy czym nie było też dobrego wyjaśnienia przyczyn jej nagłego wyjazdu. Holmes sprawiał wrażenie, jakby nic nie wiedział o jej losie, podobnie jak inni. Zniknęła Jennie Thompson, stenografka, oraz kobieta o nazwisku Evelyn Stewart, która albo pracowała dla Holmesa, albo tylko mieszkała w jego hotelu jako gość. Ulotnił się również bez słowa lekarz, który przez jakiś czas wynajmował biuro w „zamku” i który zaprzyjaźnił się z Holmesem — często widywano ich razem.

W hotelu, jak fala przypływu, pojawiał się i znikał chemiczny zapach. W pewne dni na korytarzach można było wyczuć kaustyczną woń, jakby ktoś zużył tutaj za dużo środka czyszczącego, w inne unosił się srebrzysty szpitalny zapach, sugerujący, że gdzieś w budynku pracuje dentysta usypiający swoich pacjentów przed zabiegiem. Poza tym był chyba jakiś problem z instalacją gazową, gdyż okresowo woń ulatniającego się gazu przenikała korytarze.

Nadeszły kolejne zapytania od rodzin i znajomych. Jak zwykle Holmes był bardzo uczynny i pełen współczucia. Nikt nadal nie zawiadomił policji. Miała wiele innych zajęć, gdyż do miasta zaczęli w coraz większej liczbie przybywać bogaci goście i zagraniczni dygnitarze, za którymi, jak cienie, zjawiali się kieszonkowcy, bandyci i drobni naciągacze.

Holmes nie zabijał bezpośrednio jak Kuba Rozpruwacz, rozkoszujący się ciepłem i zawartością zwłok, ale lubił być w pobliżu. Na tyle blisko, żeby wyczuwać zbliżanie się śmierci w narastającej panice swoich ofiar. To właśnie wtedy

posiadanie wchodziło w najbardziej satysfakcjonującą fazę. Skarbiec tłumil większość krzyków i huk uderzeń w drzwi, ale nie wszystkie. Dlatego kiedy hotel był pełen gości, Holmes uciekał się do cichszych sposobów. Napelniał pokój gazem i czekał, aż ofiara otruje się we śnie, albo zakradał się do pokoju za pomocą klucza uniwersalnego i przyciskał nasączoną chloroformem chusteczkę do jej twarzy. To on wybierał sposób zadania śmierci, co było widowym dowodem jego władzy.

Zawsze też akt śmierci, niezależnie od rodzaju, dawał mu w posiadanie świeży materiał, który mógł potem dowolnie eksploatować.

Wypreparowanie kości przez jego bardzo utalentowanego współpracownika, Chappella, stanowiło ostatnią fazę posiadania, fazę triumfu, choć korzystał z tych usług oszczędnie. Częściej pozbywał się zużytych materiałów w swoim piecu albo w dołach wypełnionych niegaszonym wapnem. Nie ważył się zbyt długo przechowywać szkieletów przygotowanych przez Chappella. W bardzo wczesnym okresie swojej działalności przyjął zasadę, że nie będzie sobie zostawiał pamiątek. Posiadanie, za którym gonił, było rzeczą przemijającą, jak zapach świeżo ściętych hiacyntów. Kiedy mijało, mogła je przywrócić jedynie następna zdobycz.

Jeden dobry obrót

W pierwszym tygodniu czerwca ludzie Ferrisa zaczęli usuwać ostatnie fragmenty bali i desek z rusztowania, które dotychczas kryło i podtrzymywało konstrukcję wielkiego koła. Górna część tworzyła na tle nieba łuk sięgający w najwyższym punkcie osiemdziesięciu i pół metra, czyli wysokości, na jakiej znajdowało się ostatnie zamieszkane piętro budynku bractwa wolnomularskiego — najwyższego drapacza chmur w mieście, wzniesionego przez Burnhama. Nie zawieszono jeszcze ani jednego z trzydziestu sześciu wagonów, ale samo koło było już gotowe do pierwszego obrotu. Konstrukcja, bez żadnych dodatkowych elementów, sprawiała niebezpiecznie kruche wrażenie. „Dla umysłu niemechanicznego niemożliwe jest zrozumienie, jak taka rzecz rodem z zamieszkaney przez olbrzymy Krainy Brobdingnag Swifta może utrzymać się w pionie — napisał Julian Hawthorne, syn Nathaniela, znanego amerykańskiego pisarza. — Nie ma ona żadnych widocznych podpór — żadnych, które sprawiałyby wrażenie wystarczająco solidnych. Szprychy wyglądają zupełnie jak pajęczyna. Wykonano je zgodnie z modą panującą przy produkcji najnowszych rowerów”.

W czwartek 8 czerwca Luther Rice zasygnalizował palaczom przy ogromnych kotłach parowych, które znajdowały się ponad dwieście metrów dalej, przy Lexington Avenue, poza terenem Zakątka Uciech, aby rozpalili ogień i zaczęli napełniać parą ukryte pod ziemią rury o przekroju dwudziestu pięciu centymetrów. Kiedy w kotłach uzyskano odpowiednie ciśnienie, dał znak inżynierowi stojącemu w kanale pod kołem i para z wizgiem wprawiła w ruch tłoki bliźniaczych silników o mocy stu koni mechanicznych. Koła zębate obracały się gładko i cicho. Rice nakazał zatrzymać silnik. Robotnicy rozpoczęli zakładanie dziesięcotonowego łańcucha na koła zębate przy silnikach oraz na zębatkę w samym kole. Rice wysłał telegram do Ferrisa, który przebywał wówczas w swoim biurze w Hamilton Building w Pittsburghu: „Silniki przyjęły parę i pracują bez zarzutu.

Łańcuch założony na koła zębate i przygotowany do pierwszego obrotu koła”.

Ferris nie mógł sam udać się do Chicago, ale wysłał swojego współnika, W. F. Gronaua. Wczesnym rankiem w piątek 9 czerwca, kiedy pociąg przejeżdżał przez South Side, Gronau przekonał się, że koło góruje nad całą okolicą — tak samo jak dzieło Eiffela w Paryżu. Uwagi innych pasażerów na temat wielkości koła i delikatności jego konstrukcji napełniły go mieszaniną dumy i niepokoju. Ferris, który miał już dość opóźnień w budowie i nagabywań Burnhama, powiedział Gronauowi, żeby albo uruchomił koło, albo kazał je zerwać z wieży.

Ostatnie poprawki i inspekcje zajęły większość piątku, ale tuż przed zapadnięciem zmroku Rice poinformował Gronaua, że — jego zdaniem — wszystko jest gotowe.

„Nie ufałem sobie na tyle, żeby przemówić, dlatego tylko skinieniem głowy kazałem zaczynać” — wspominał Gronau. Bardzo chciał sprawdzić, czy koło zadziała, ale równocześnie „z radością zgodziłbym się na odłożenie próby”.

Należało jedynie puścić parę i patrzeć, co się stanie. Nikt przedtem nie zbudował tak ogromnego koła. Nie było innej gwarancji, że obróci się ono gładko i spokojnie, nie zgniatając podpór, oprócz nadziei inżynierów opartej na wyliczeniach, które odzwierciedlały znane właściwości żelaza. Nigdy wcześniej żadna konstrukcja nie była narażona na tak niezwykle naprężenia.

Obok stała śliczna żona Ferrisa, Margaret, zarumieniona z podniecenia. Gronau przypuszczał, że doświadcza ona takiego samego ogromnego napięcia jak on sam.

„Nagle oderwał mnie od tych myśli okropny hałas” — wspominał. W niebo wbił się potężny warkot, który kazał wszystkim w okolicy — Algierczykom z wioski Blooma, Egipcjanom, Persom i zwiedzającym w promieniu stu metrów — zatrzymać się i spojrzeć na koło.

„Unosząc głowę, zobaczyłem, jak koło powoli rusza — wspominał Gronau. — Co za widok! Co za hałas!”.

Pobiegł do Rice'a, który stał w kanale silnika, sprawdzając ciśnienie pary i zachowanie podpór. Sądził, że zastanie go przy gwałtownych próbach wyłączenia silnika, ale Rice sprawiał niefrasobliwe wrażenie.

Wyjaśnił, że testował jedynie system hamulcowy koła, który tworzyła stalowa obręcz nałożona na oś. Podczas tej próby koło przesunęło się o jedną ósmą swojego obwodu. Hałas, wyjaśnił Rice, spowodowała rdza odrapywana z obręczy.

Inżynier stojący w kanale zwolnił hamulec i przesunął przekładnię. Koła zębate zaczęły się obracać, wprawiając łańcuch w ruch.

W tym czasie wielu Algierczyków, Egipcjan i Persów — zapewne również kilka tancerek brzucha — zebrało się na peronie obok koła, który tworzyły ułożone schodkowo platformy, pozwalające pasażerom wsiadać do sześciu wagonów równocześnie. Wszyscy trwali w milczeniu.

Kiedy koło zaczęło się obracać, z jego piasty i szprych posypały się nakrętki i śruby, wypadł także jeden klucz francuski, może nawet dwa klucze. Konstrukcja pochłonęła 28 416 śrub — ktoś po prostu musiał o kilku zapomnieć.

Nie zwracając uwagi na ten stalowy deszcz, mieszkańcy afrykańskich i azjatyckich wiosek wiwatowali i tańczyli na platformach. Niektórzy zaczęli grać na instrumentach. Robotnicy, którzy ryzykowali życiem, budując koło, zaryzykowali je ponownie i wspinali się na obracającą się konstrukcję. „Nie zamontowano jeszcze wagonów, ale to nie powstrzymało ludzi — wspięli się między szprychy i wygodnie zasiedli na piąście koła, tak jak siada się w fotelu” — wspominał Gronau.

Koło potrzebowało aż dwudziestu minut na wykonanie pełnego obrotu. Dopiero kiedy go zakończyło, Gronau uznał, że próba się powiodła. „Miałem ochotę krzyczeć z radości” — powiedział.

Pani Ferris podała mu rękę. Tłum wiwatował. Rice wysłał telegram do Ferrisa, który przez cały dzień czekał na wieści, z każdą godziną bardziej niespokojny. Biuro Western Union w Pittsburghu przyjęło ten telegram o dwudziestej pierwszej dziesiątej i ubrany na niebiesko posłaniec zaniósł go Ferrisowi przez chłodną wiosenną noc. Rice napisał: „Wykonano ostatecznie połączenia i poprawki, parę puszczono o szóstej wieczorem. Wykonano jeden pełny obrót koła, wszystko działa poprawnie. Obrót zajął dwadzieścia minut. Gratuluję Panu całkowitego sukcesu. W Zakątku Uciech wielki entuzjazm”.

Następnego dnia, w sobotę 10 czerwca, Ferris wysłał telegram do Rice'a: „Pana telegram, informujący, że wczoraj wieczorem o szóstej wykonano pierwszy obrót koła i że był on pod każdym względem sukcesem, spowodował wielką radość w całym naszym obozie. Chcę Panu pogratulować w tej sprawie i prosić Pana, żeby jak najszybciej zamontował Pan wagony, pracując w dzień i w nocy — jeśli nie będzie Pan mógł zakładać wagonów w nocy, proszę wylewać babbitem panewki, aby przyspieszać pracę”.

Koło działało, ale Ferris, Gronau i Rice wiedzieli, że czekają ich dużo poważniejsze próby. Od razu w sobotę robotnicy zaczęli wieszać wagony, nakładając na

koło pierwsze poważne obciążenie. Każdy z trzydziestu sześciu wagonów ważył trzysta ton, co łącznie dawało blisko 500 tysięcy kilogramów. A do tego należało jeszcze dodać jakieś 10 tysięcy kilogramów, kiedy pasażerowie wsiądą do wagonów.

Również w sobotę, wkrótce po otrzymaniu telegramu z gratulacjami od Ferrisa, Rice odtelegrafował, że pierwszy wagon został zawieszony na kole.

Poza parkiem Jacksona pierwszy obrót Koła Ferrisa przyciągnął zaskakująco niewiele uwagi. Miasto, a szczególnie jego warstwa frappé, skupiło swoje zainteresowanie na innym wydarzeniu rozgrywającym się w parku Jacksona — pierwszej oficjalnej wizycie reprezentantki Hiszpanii, infantki Eulalii, najmłodszej siostry nieżyjącego króla Alfonsa XII i córki wygnanej królowej Izabeli II.

Wizyta nie przebiegała najlepiej.

Infantka miała dwadzieścia dziewięć lat i, według słów urzędnika z Departamentu Stanu, była „raczej przystojna, pełna wdzięku i rozumna”. Przybyła dwa dni wcześniej pociągiem z Nowego Jorku. Natychmiast przewieziono ją do Palmer House i zakwaterowano w najbardziej luksusowym apartamencie. Zagorzali miłośnicy Chicago uznali tę wizytę za pierwszą prawdziwą okazję do zademonstrowania wykwintności miasta i dowiedzenia świata, a przynajmniej Nowemu Jorkowi, że Chicago jest równie dobrze przygotowane do podejmowania członków królewskich rodów, jak do produkowania pędzli ze świńskiej szczeciny. Pierwsze ostrzeżenie, że wizyta może nie przebiegać w pełni zgodnie z planem, pojawiło się w informacji agencji telegraficznej przesłanej z Nowego Jorku, a ostrzegającej naród przed skandalem, jakim było to, że ta młoda kobieta paliła papierosy.

Pierwszego dnia swojego pobytu w Chicago, czyli we wtorek 6 czerwca, infantka wymknęła się po południu z hotelu incognito, jedynie w towarzystwie damy dworu i asystenta przydzielonego jej przez prezydenta Clevelanda. Bardzo bawiły ją spacer po mieście, podczas których nikt jej nie rozpoznawał. „Prawdę mówiąc, nic nie mogło mi dostarczyć większej rozrywki niż przechadzanie się wśród tłumów ludzi, którzy z zacięciem czytali o mnie w gazetach i oglądali moje zdjęcia, w różnym stopniu do mnie podobne” — pisała.

Pierwszą wizytę złożyła w parku Jacksona w czwartek 8 czerwca, w dniu pierwszego obrotu Koła Ferrisa. Towarzyszył jej burmistrz Harrison. Tłumy oklaskiwały ją jedynie z powodu jej królewskiego pochodzenia, a gazety ochrzciły ją królową wystawy i pisały o jej wizycie na pierwszych stronach. Dla niej jednak to wszystko było bardzo męczące. Zazdrościła chicagowskim kobietom ich wolności. „Z pewną goryczą uświadomiłam sobie — pisała do matki — że gdyby postępowanie kiedykolwiek dotarło do Hiszpanii, dla mnie byłoby już za późno, żeby się nim cieszyć”.

Następnego ranka, w piątek, uznała, że wypełniła już swoje oficjalne obowiązki i nadszedł czas, żeby zaczęła się bawić. Dlatego odrzuciła zaproszenie Komitetu Ceremonii i dla kaprysu udała się na lunch do Wioski Niemieckiej.

Jednakże towarzystwo Chicago dopiero się rozgrzewało. Infantka należała do królewskiego rodu, dlatego — na Boga! — podejmą ją po królewsku. Na ten wieczór została zaproszona na przyjęcie wydawane przez Berthę Palmer w posiadłości Palmerów przy Lake Shore Drive. W ramach przygotowań pani Palmer zamówiła tron, który ustawiono na specjalnym podeście.

Zaskoczona podobieństwem nazwy hotelu, w którym mieszkała, do nazwiska gospodyni przyjęcia, infantka zaczęła zadawać pytania. Kiedy ją poinformowano, że Bertha Palmer jest żoną właściciela hotelu, zadała chicagowskiemu towarzystwu ranę, której nigdy nie miało zapomnieć ani wybaczyć. Oświadczyła mianowicie, że w żadnym wypadku nie pójdzie na przyjęcie wydane przez „żonę oberżysty”.

Przeważała jednak dyplomacja i infantka zgodziła się przybyć. Ale nie była w radosnym nastroju. O zmiernych upał zmienił się w ulewę i kiedy Eulalia dotarła do drzwi frontowych pani Palmer, miała zupełnie przemoczone białe atłasowe pantofelki, a wszelka jej cierpliwość wobec przyjęcia wyparowała. Wypełniała swoje obowiązki przez równiutko godzinę, po czym uciekła.

Następnego dnia opuściła oficjalny lunch w Budynku Administracyjnym i znów jadła w Wiosce Niemieckiej. Wieczorem spóźniła się o godzinę na koncert w sali koncertowej wystawy, który został zorganizowany na jej cześć. Sala była wypełniona po brzegi członkami najlepszych chicagowskich rodzin. Infantka siedziała na widowni równo pięć minut.

Uraza zaczęła przebijać przez nieustające doniesienia prasowe z jej wizyty. W sobotę 10 czerwca „Tribune” kręciła nosem: „Jej Wysokość [...] ma zwyczaj lekceważyć program wizyty i oddawać się niezależnie własnym skłonnościom”.

Gazety Chicago często robiły aluzję do jej zwyczaju postępowania zgodnie z „własną, słodką wolą”.

Tymczasem infantka zaczęła szczerze lubić Chicago. Doskonale bawiła się na wystawie, a najbardziej polubiła chyba Cartera Harrisona. Podarowała mu nawet złotą papierośnicę wysadzaną diamentami. Na krótko przed swoim wyjazdem, wyznaczonym na środek 14 czerwca, napisała do matki: „Będę opuszczać Chicago z nieudawanym żalem”.

Natomiast w Chicago nikt nie żałował jej wyjazdu. Gdyby zdarzyło jej się czytać „Chicago Tribune” z tego środowego poranka, znalazłaby tam pełen rozżalenia artykuł wstępny, który stwierdzał: „Członkowie rodów królewskich są w najlepszym razie kłopotliwymi gośćmi dla republikanów, a członkowie rodu królewskiego Hiszpanii są najbardziej kłopotliwi ze wszystkich koronowanych głów [...]. Było ich zwyczajem spóźnianie się i wychodzenie wcześniej, czym powodowali powszechny żal, że nie spóźnili się jeszcze bardziej i nie wyszli jeszcze wcześniej, albo może jeszcze lepiej, że w ogóle się zjawili”.

I tu jednak można było wyczuć woń zranionych uczuć. Chicago zastawiło swój stół najlepszą zastawą i kryształami — nie z powodu ogromnego szacunku dla królewskiej krwi, ale żeby pokazać światu, jak wspaniały stół jest zdolne przygotować — a tymczasem gość honorowy wymigiwał się od uczy, żeby jeść kielbasę, kapustę kiszoną i pić piwo.

Nannie

Anna Williams — „Nannie” — przyjechała z Midlothian w Teksasie w połowie czerwca 1893 roku. Teksas był gorący i pełen kurzu, natomiast Chicago okazało się chłodne i pełne dymu, pociągów i hałasu. Siostry ze łzami w oczach padły sobie w ramiona i pogratulowały jedna drugiej doskonałego wyglądu, po czym Minnie przedstawiła swojego męża, Henry'ego Gordona. Harry'ego. Był niższy niż kazały Annie przypuszczać listy siostry i nie tak znowu przystojny, ale tkwiło w nim coś, czego nie zdołały oddać nawet pochlebne słowa Minnie. Tryskał ciepłem i czarem. Mówił cicho i łagodnie. Dotykał ją w sposób, który kazał jej rzucać Minnie przepaszające spojrzenia. Wysłuchał jej relacji z podróży z uwagą, która sprawiała, że Anna miała wrażenie, że jest z nim sama w wagonie. I cały czas przyglądała się jego oczom.

Jego ciepło, uśmiech i wyraźny afekt do Minnie szybko uspokoiły podejrzenia Anny. Naprawdę wydawał się zakochany w jej siostrze. Był serdeczny i nie ustawał w wysiłkach, żeby zadowolić żonę, a prawdę mówiąc — nie ustawał w wysiłkach, żeby zadowolić również ją, Annę. Przynosił w prezencie biżuterię. Podarował Minnie złoty zegarek z łańcuszkiem, specjalnie dla niej wykonany przez złotnika zatrudnionego w drogerii na dole. Niemal nieświadomie Anna zaczęła go nazywać „szwagrem Harrym”.

Najpierw Minnie i Harry zabrali ją na zwiedzanie Chicago. Wielkie wieżowce i luksusowe domy wzbudziły w niej podziw, ale dym, mrok i wszechobecny zapach gnijących śmieci napawały ją obrzydzeniem. Holmes zabrał obie siostry do Union Stock Yards, gdzie przewodnik pokazał im samo serce rzeźni. Ostrzegал, żeby nie poślizgnęli się we krwi. Zobaczyli, jak obala się świnie i przewozi kwiczącą po linie do ubojni poniżej, gdzie mężczyźni z okrwawionymi nożami w rękach z wprawą podcinają jej gardło. Wieprze, niektóre nadal żywe, były następnie zanurzane w kadzi z wrzącą wodą, po czym oskrobywane ze szczeciny — szczecinę zbierano w kubkach ustawionych pod stołami, na których odbywało

się czyszczenie. Później parująca świnia przejeżdżała od stanowiska do stanowiska, a na każdym z nich ludzie uzbrojeni w noże wykonywali kilka nacięć. Wreszcie kawały mięsa zaczynały spadać na stoły. Holmes przyglądał się temu wszystkiemu nieporuszony. Minnie i Anna były przerażone, ale również dziwnie podniecone efektywnością tej rzezi. Rzeźnie uosabiała wszystko to, co Anna słyszała o Chicago i jego nieodpartym, wręcz dzikim dążeniu do władzy i bogactwa.

Następna w kolejce do zwiedzania była wielka wystawa. Pojechali tam Alley L, wzdłuż Sześćdziesiątej Trzeciej. Tuż przed wjazdem na teren ekspozycji pociąg mijał arenę Dzikiego Zachodu Buffalo Billa. Z wysokiej estakady mogli zobaczyć samą arenę i otaczający ją amfiteatr dla publiczności. Widzieli konie, bizona i autentyczny dyliżans. Pociąg minął płot wystawy, po czym zjechał z estakady na końcowy peron, na tyłach Budynku Transportu. Szwagier Harry zapłacił za wstęp: 50 centów od osoby. Tu nawet Holmes musiał zapłacić gotówką.

Oczywiście najpierw zwiedzili Budynek Transportu. Obejrzeni ekspozycję firmy Pullmana zatytułowaną „Ideał przemysłu”, na której znajdował się pełen szczegółów model miasteczka przemysłowego, jakie firma wysławiała jako raj dla robotników. W przybudówce Budynku Transportu, pełnej wagonów i lokomotyw, przeszli przez całą długość dokładnej kopii Pullmanowskiego pociągu linii New York & Chicago Limited, pełnego pluszowych krzeseł i dywanów, kryształowych kieliszków i drewnianych błyszczących boazerii. W pawilonie linii Inman zobaczyli ogromny, naturalnej wielkości przekrój oceanicznego liniowca. Wyszli z budynku przez wielkie Złote Drzwi, które na tle zabarwionego lekko na czerwono frontu budynku tworzyły pożącaną tęczę.

Tutaj po raz pierwszy Anna odczuła ogromną skalę wystawy. Przed nią widniał szeroki bulwar, po którego lewej stronie ciągnęła się laguna z Wyspą Leśną, a po prawej wysokie fasady Budynku Górnictwa i Budynku Elektryczności. W oddali widziała pociąg przemykający po całkowicie zelektryfikowanych, umieszczonych na estakadzie torach, które otaczały teren parku. Bliżej wody laguny przecinały ciche elektryczne łódki. Na drugim końcu bulwaru, majacząc jak zbocza Gór Skalistych, wznosił się Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Przed jego fasadą przemykały białe mewy. Był obezwładniająco wielki. Holmes i Minnie zabrali ją tam w następnej kolejności. Kiedy znalazła się w środku, przekonała się, że budynek jest jeszcze większy niż wydaje się z zewnątrz.

Błękitna mgielka ludzkich oddechów i kurz zamazywały widok kunsztownego sklepienia sufitu, znajdującego się siedemdziesiąt pięć metrów powyżej. W połowie wysokości, sprawiając takie wrażenie, jakby były zawieszane w powietrzu, wisiało pięć elektrycznych żyrandoli, największych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Każdy z nich miał średnicę dwudziestu trzech metrów i świecił z mocą równą 828 tysiąca świec. Pod żyrandolami rozciągało się położone wewnątrz budynku miasto, pełne „połączanych kopuł i połyskliwych minaretów, meczetów, pałaców, kiosków i lśniących pawilonów” — według słów popularnego Przewodnika po Światowej Wystawie Kolumbijskiej, wydanego przez firmę Rand, McNally & Co. W samym centrum stała trzydziestosześcioletnia wieża zegarowa, najwyższa z tych wewnętrznych budowli. Jej samonakręcający się zegar, którego tarcza miała średnicę dwóch metrów, podawał czas w dniach, godzinach, minutach i sekundach. A od czubka wieży do dachu budynku było jeszcze trzydzieści dziewięć metrów.

Minnie przyglądała się, rozpromieniona i dumna, jak wzrok Anny błądzi po wnętrzu miasta, później zaś w górę, ku jego stalowemu niebu. Zgromadzono tutaj tysiące eksponatów, a perspektywa obejrzenia choć ułamka ich liczby działała zniechęcająco. Widzieli gobeliny w Pawilonie Francuskim i maskę pośmiertną Abrahama Lincolna, wystawioną przez American Bronze Company. Inne firmy amerykańskie pokazały zabawki, broń, laski spacerowe, kufry, wręcz każdy możliwy produkt — a także wiele akcesoriów pogrzebowych i kamiennych nagrobków, trumien i różnych narzędzi przynależnych do zawodu grabarza.

Minnie i Anna szybko się zmęczyły. Wyszły z ulgą na taras nad Kanałem Północnym i ruszyły na Dziedziniec Honorowy. Tutaj Annę ponownie przytłoczył rozciągający się wokół widok. Było już południe, a słońce stało wysoko. Złocista Statua Republiki, czyli „Duża Mary”, wyglądała jak płonąca pochodnia. Basen, w którym ustawiono postument figury, połyskiwał, jakby był pełen diamentów. W oddali było widać trzynaście wysokich białych kolumn tworzących perystyl, między którymi przebłyskiwały fragmenty niebieskiego jeziora. Światło napelniające dziedziniec było tak intensywne, że aż bolały od niego oczy. Wielu zwiedzających włożyło okulary o niebieskich szklach.

Udali się na lunch. Mieli niezwykle szeroki wybór jadłodajni, w których można było coś zjeść. W większości głównych budynków znajdowały się bufety. W samym Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych było ich dziesięć, plus dwie duże restauracje, jedna niemiecka, a druga francuska. Kawiarnia w Budynku

Transportu, na tarasie nad Złotymi Drzwiami, zawsze cieszyła się popularnością i oferowała gościom wspaniały widok na lagunę. Kilka godzin później Holmes kupił im czekoladę, lemoniadę i piwo korzenne w jednym ze stoisk Hires Root Beer Oases, licznie rozsiansych po całym parku.

Wracali na wystawę niemal codziennie. Powszechnie uważano, że potrzeba minimum dwóch tygodni na zwiedzenie jej w stopniu zadowalającym. Jednym z najbardziej przykuwających uwagę budynków był Budynek Elektryczności. W jego „teatorium” wysłuchali koncertu orkiestry grającej właśnie w Nowym Jorku i obejrzeni ruchome obrazy w kinetoskopie Edisona. Edison wystawił również dziwny metalowy cylinder, który potrafił przechowywać głos. „Człowiek z Europy mówi do swojej żony w Ameryce, pakuje do skrzynki cylinder z nagrany głosem i wysyła go pocztą ekspresową — pisał przewodnik wydany przez Rand, McNally & Co. — Kochanek przemawia godzinami do cylindra, a jego ukochana może usłyszeć jego słowa, jakby tysiące kilometrów zostały zredukowane do zaledwie metra”.

Zobaczyli również pierwsze krzesło elektryczne.

Zarezerwowali sobie cały jeden dzień na Zakątek Uciech. Nic, czego doświadczyła w Missisipi czy w Teksasie, nie przygotowało Anny na to, co przeżywała teraz. Taniec brzucha. Wielbłądy. Balon pełen wodoru, który unosił zwiedzających ponad trzysta metrów w górę. „Namawiacze”, zachwalający rozrywki z podwyższonych platform, próbowali ją skusić, żeby zajrzała do Mauretańskiego Pałacu, gdzie pełno było lustrzanych pokoiów i iluzji wzrokowych, a w eklektycznym muzeum figur woskowych można było zobaczyć postaci tak różne, jak Czerwony Kapturek i Maria Antonina w drodze na gilotynę. Wszystko tu było kolorowe. Ulica Kairska jarzyła się żółcią, różem i purpurą, Nawet bilety wstępu tworzyły tęczę — jaskrawy błękit do Teatru Tureckiego, róż do Wioski Lapońskiej i jasny fiolet do weneckich gondoli.

Niestety, Koło Ferrisa nie było jeszcze gotowe.

Opuścili Zakątek Uciech i ruszyli powoli spacerem na południe, w kierunku Szesćdziesiątej Trzeciej i stacji Alley L. Byli zmęczeni, zadowoleni i syci wrażeń, ale Harry obiecał, że przywiezie tutaj siostry jeszcze raz — 4 lipca, na pokaz fajerwerków, który, jak wszyscy oczekiwali, będzie największym, jakiego świadkiem miasto było kiedykolwiek.

Szwagier Harry wydawał się zachwycony Anną i zaprosił ją, żeby została u nich na lato. Pochlebiona tym zaproszeniem, napisała do domu z prośbą, żeby wysłano jej kufer na adres Wrightwood.

Najwyraźniej miała nadzieję, że coś takiego się zdarzy, ponieważ spakowała go już wcześniej.

Na wystawę poszedł również asystent Holmesa, Benjamin Pitezel. Kupił zabawkę dla swojego synka Howarda — ludzika z cyny, przymocowanego do rączki bąka. Ta zabawka szybko stała się największym skarbem chłopca.

Zawrót głowy

W miarę jak ludzie Ferrisa nabierali wprawy w zawieszaniu wielkich wagonów, prace przy kole postępowały coraz szybciej. Do wieczora w niedzielę 11 czerwca zawieszono sześć wagonów, co, licząc od daty pierwszego obrotu koła, dawało średnią dwóch wagonów dziennie. Nadszedł czas na pierwsze próby z pasażerami. Pogoda nie mogła być lepsza na tę okazję — słońce było złociste, a niebo ciemnoniebieskie na wschodzie.

Pani Ferris uparła się wziąć udział w pierwszej przejażdżce, i to mimo wysiłków Gronaua, żeby ją od tego powstrzymać. Gronau przeprowadził inspekcję koła, żeby zyskać pewność, że wagon będzie się kołysać bez przeszkód. Inżynier w kanale włączył silniki i obrócił koło, aby ustawić testowy wagon przy jednej z platform. „Nie wsiadałem do wagonu z lekkim sercem — wspominał potem Gronau. — Byłem przewrażliwiony. A przecież nie mogłem odmówić udziału w tej przejażdżce. Dlatego przybrałem śmiały wyraz twarzy i wsiadłem do wagonu”.

Przyłączył się do nich Luther Rice oraz dwóch kreślarzy i były inżynier mostów miasta Chicago, W. C. Hughes. Do wagonu wsiadły też jego żona i córka.

Wagon kołysał się lekko, gdy pasażerowie zajmowali miejsca. Jeszcze nie oszklono wielkich okien ani nie zamocowano metalowej siatki, która miała je pokrywać. Kiedy ostatni z pasażerów wsiadł do wagonu, Rice niefrasobliwie skinął na inżyniera i koło zaczęło się obracać. Instynktownie wszyscy złapali się parapetów i słupków.

W miarę obrotu wagon przechylał się na czopach, które nie tylko łączyły go z kołem, ale także utrzymywały w poziomie. „Ponieważ nasz wagon odbywał tę podróż po raz pierwszy — wspominał Gronau — czopy zacinęły się lekko w swoich uchwytach, a w rezultacie powstawał chrzęszczący hałas, który nie był rzeczą przyjemną w naszym stanie nerwów”.

Wagon wzniosł się kawałek, po czym niespodziewanie się zatrzymał, co kazało się zastanawiać, jak pasażerowie się z niego wydostaną, jeśli koła nie uda się ponownie wprawić w ruch. Rice i Gronau podeszli do pozbawionych szyb okien, aby sprawdzić, co się stało. Kiedy wyjrzeni na zewnątrz, natychmiast pojęli problem: coraz szybciej rosnący tłum gapiów, ośmielony widokiem pasażerów w pierwszym wagonie, wdarł się do kolejnego wagonu, ignorując zabraniające tego okrzyki. Obawiając się, że ktoś może zostać ranny albo stracić życie, inżynier zatrzymał koło i pozwolił pasażerom wsiąść.

Gronau ocenił, że w wagonie poniżej znajduje się około stu osób. Nikt nie próbował ich wyrzucić. Koło ponownie zaczęło się obracać.

Ferris stworzył coś więcej niż zwykłą konstruktorską nowinkę. Podobnie jak wynalazcy windy, wyczarował zupełnie nowe fizyczne doznania. Pierwszą reakcją Gronaua — która szybko miała się zmienić — było rozczarowanie. Oczekiwał, że poczuje coś takiego jak wtedy, kiedy się wjeżdża na górę szybką windą, odkrył natomiast, że jeśli patrzy prosto przed siebie, niemal nic nie czuje.

Stanął na końcu wagonu, aby lepiej móc obserwować jego zachowanie oraz poruszanie się koła. Kiedy wyjrzał na zewnątrz i ujrzał uciekającą w dół pajęczynę szprych, gwałtowne wznoszenie się wagonu stało się oczywiste.

„[...] Miałem wrażenie, jakby wszystko wokoło opadało, a wagon trwał nieruchomo. Stanie na końcu wagonu i wpatrywanie się w sieć metalowych szprych jeszcze zwiększało to dziwaczne wrażenie [...]”. Powiedział innym, że jeśli mają wrażliwe żołądki, nie powinni iść w jego ślady.

Kiedy wagon osiągnął najwyższy punkt koła — osiemdziesiąt metrów ponad ziemią — pani Ferris weszła na krzesło i zaczęła wiwatować, wywołując okrzyki w następnym wagonie i na ziemi.

Wkrótce jednak pasażerowie zamilkli. Wrażenie nowości minęło i teraz odczuwali prawdziwą moc tego doświadczenia.

„Najpiękniejszy widok rozciąga się podczas opadania wagonu, gdyż wtedy ma się przed sobą cały teren wystawy — wspominał Gronau. — Widok był tak wspałały, że opuścił mnie cały niepokój i czujność co do ruchów wagonu”. Słońce również zaczęło się zniżać, oświetlając na pomarańczowo nabrzeżny krajobraz. „Przystań była pełna najrozmaitszych stateczków, które z naszej perspektywy

wyglądały jak drobinki kurzu, a odbite promienie wspaniałego zachodu słońca oświetlały całą scenię, czyniąc wszystko jeszcze piękniejszym”. Cały park здаwał się teraz kunsztownym obrazem, utkanym z kolorów, faktur i ruchu. Błękitne jak lapis-lazuli laguny. Elektryczne łódki ciągnące za sobą diamentowe smugi. Karminowe kwiaty wychylające się spośród sitowia i tataraku. „Ten widok był tak porywający, że wszelkie rozmowy ucichły i wszyscy kontemplowali ze skupieniem wspaniałą scenię. Nigdy nie widziałem niczego równie pięknego i bardzo wątpię, bym kiedyś zobaczył”.

Chwila zadumy została przerwana, kiedy kolejny deszcz śrub i nakrętek posypał się z piasty na dach wagonu.

Tymczasem gapiom udało się przedostać przez blokadę straży i wsiąść do następnych wagonów. Gronau i Rice zaczęli ich stamtąd usuwać. Inżynier w kanale utrzymywał koło w ruchu, choć zmrok sprawiał, że kontynuowanie testu stawało się niebezpieczne. Poszukiwacze wrażeń nie dawali jednak za wygraną. W końcu Rice poinformował tych, którzy wdarli się do wagonów, że jeśli nie wysiądą, uniesie ich na samą górę i zostawi tam na noc. „To wreszcie przyniosło zadowalający skutek” – powiedział Gronau.

Zaraz po opuszczeniu wagonu pani Ferris wysłała do męża telegram opisujący szczegóły sukcesu. Odpowiedział jej, również telegraficznie: „Niech Cię Bóg błogosławi, najdroższa”.

Następnego dnia, w poniedziałek 12 czerwca, Rice zatelegrafował do Ferrisa: „Dziś zawieszono sześć kolejnych wagonów. Ludzie szaleją, musimy wzmocnić straże, żeby ich powstrzymać od wsiadania”. We wtorek liczba zawieszonych wagonów wynosiła dwadzieścia jeden, do zamontowania pozostawało jeszcze piętnaście.

Burnham, jak zwykle obsesyjnie skoncentrowany na szczegółach, usiłował przeforsować decyzję co do stylu i miejsca ustawienia płotu wokół koła. Chciał, żeby był to płot ażurowy, pełen otworów. Ferris życzył sobie, aby był pełny.

Ferris miał już dość nacisków Burnhama i jego wtrącania się do całego przedsięwzięcia. Wysłał telegram do Luthera Rice'a: „[...] ani Burnham, ani nikt inny nie ma prawa dyktować nam, czy mamy mieć plot otwarty, czy zamknięty, nawet z artystycznego punktu widzenia”.

Wola Ferrisa przeważała i ostatecznie ustawiono plot pełny.

Wreszcie wagony zostały zawieszono i Koło Ferrisa było gotowe na przyjęcie pierwszych pasażerów płacących za bilety. Rice chciał rozpocząć działalność w niedzielę 18 czerwca, dwa dni wcześniej niż planowano, ale że koło miało przejść teraz swój największy test — przyjmując pełen ładunek pasażerów, wśród nich całe rodziny — rada nadzorcza firmy Ferrisa kazała mu się wstrzymać jeszcze przez jeden dzień. Członkowie rady wysłali do Ferrisa telegram następującej treści: „Nierozsądnie jest udostępniać koło publiczności przed planowanym dniem otwarcia, ponieważ nie jest dokończono i istnieje niebezpieczeństwo wypadków”.

Ferris przyjął ich decyzję, choć niechętnie. Na krótko przed wyruszeniem do Chicago zatelegrafował do Rice'a: „Skoro rada nadzorcza zdecydowała, że koło ma być uruchomione dopiero w środę, możesz spełnić ich życzenie”.

Jest wielce prawdopodobne, że na decyzję rady wpłynął wypadek, jaki zdarzył się w poprzednią środę, 14 czerwca, w Zakątku Uciech na ułożonym w kształcie elipsy Torze Lodowym, gdzie ślizgający się na połączonych sankach pasażerowie mogli rozwinąć prędkość do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Właściciele właśnie ukończyli budowę i zaczęli przeprowadzać pierwsze próby z pasażerami, którymi byli wyłącznie pracownicy firmy. Nagle do sanek przedarła się grupa gapiów i zajęła miejsca — ośmiu w pierwszych, sześciu w drugich. Wśród intruzów było trzech Algierczyków Blooma, którzy udali się na tor, ponieważ, jak wyjaśnił jeden z nich: „Żaden z nas nigdy nie widział lodu”. Należy wątpić w prawdziwość tego twierdzenia, zważywszy, że Algierczycy spędzili w Chicago jedną z najmroźniejszych zim w tym mieście.

Około osiemnastej czterdzieści pięć operator zwolnił sanki i już wkrótce mknęły po lodzie z maksymalną prędkością. „Słońce właśnie zachodziło, kiedy usłyszałem jak sanki wyjeżdżają zza zakrętu — opowiadał jeden z członków

Straży Kolumbijskiej, który był świadkiem wypadku. — Miało się wrażenie, że fruną. Pierwsze minęły zakręt. Wyniosło je nieco po zachodniej stronie, ale pomknęły dalej bez szwanku. Drugie trafiły w ten sam punkt, ale wyskoczyły z toru. Górna część wagonika, w którym ludzie trzymali się z całych sił siedzeń, rozwaliła bandę i spadła na ziemię. Sanie przewróciły się do góry nogami, a pasażerowie znaleźli się pod nimi”.

Sanie spadły z wysokości czterech i pół metra. Jeden z pasażerów zginął na miejscu, a pewna kobieta doznała złamania szczęki i obu nadgarstków. Czterech mężczyzn, w tym dwóch Algierczyków, odniosło rany.

Wypadek był tragiczny i stanowił czarną plamę na obliczu wystawy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Koło Ferrisa, wyposażone w trzydzieści sześć wagonów zdolnych pomieścić ponad 2 tysiące pasażerów, potencjalnie może się stać przyczyną katastrofy na niemal niewyobrażalną skalę.

Potrzebny poganin

Mimo obaw Olmsted pozostawił obowiązek ukończenia założeń zielonych wystawy w rękach Ulricha, a sam wyruszył w podróż w interesach, która zaprowadziła go aż do szesnastu stanów. W połowie czerwca znalazł się ponownie w posiadłości Vanderbilta w Północnej Karolinie. Podczas podróży — w wagonach, na stacjach i w hotelach — wypytywał nieznajomych, co sądzą o chicagowskiej ekspozycji, nie ujawniając, że ma z nią coś wspólnego. Bardzo martwiła go frekwencja, dlatego pytał podróżnych, czy odwiedzili już wystawę, a jeśli tak, to co o niej myślą. Ale najbardziej interesowały go opinie ludzi, którzy jeszcze jej nie odwiedzili — chciał wiedzieć, co o niej słyszeli, czy planują na nią pojechać i co ich powstrzymuje.

„Wszędzie widać rosnące zainteresowanie wystawą — napisał do Burnhama z Biltmore 20 czerwca. — Wszędzie daje się odczuć, że ludzie planują na nią się wybrać”. Relacje z pierwszej ręki wywoływały rosnące zainteresowanie. Duchowni, którzy ją zwiedzili, wspominali o niej w kazaniach. Olmsted z radością odkrył, że zwiedzającym najbardziej podobały się nie ekspozyty, ale budynki, drogi wodne i krajobraz, oraz że ekspozycja wszystkich zaskoczyła. „Ludzie, którzy wybrali się na wystawę, w większości odkryli więcej niż gazety [...] kazały im oczekiwać — zakończył list. — W całym kraju podnosi się fala entuzjazmu”.

Ale zauważył także, że inne czynniki równoważą to pozytywne nastawienie. Choć relacje z wystawy są pełne entuzjazmu, „niemal zawsze wspomina się o tym, że jest niedokończona, co sprzyja opinii, że jeszcze wiele trzeba na niej zrobić i że później będzie wspanialsza”. Farmerzy planowali udać się na nią po zbiorach. Wiele osób odkładało wyjazd, oczekując, że pogłębiający się kryzys gospodarczy kraju i presja wywierana przez Kongres zmusi wreszcie linie kolejowe do obniżenia opłat za przejazd do Chicago. Takim czynnikiem była również pogoda. Ludzie — przekonani, że w Chicago w lipcu i sierpniu jest zbyt gorąco — przesuwali wyjazd na jesień.

Najbardziej szkodliwym czynnikiem, jaki odkrył Olmsted, było powszechne przekonanie, że wszyscy, którzy udadzą się do Chicago, zostaną „niemiłosiernie oskubani”, szczególnie w restauracjach na wystawie, które miały „paskarskie” ceny. „Ten pogląd jest powszechny i na pewno działa silniej niż Pan może to oceniać z Chicago — pisał Olmsted do Burnhama. — Rozpowszechniają go zarówno bogaci, jak i biedni [...]. Sam mam wrażenie, że zapłaciłem za lunch na wystawie dziesięć razy więcej niż kilka dni temu, za równie smaczny, w Knoxville w Tennessee. Oszczędna klasa farmerska, która jeszcze nie odwiedziła wystawy, na pewno mocno to odczuje”.

Olmsted miał też inny powód, żeby się martwić o wysokie ceny posiłków. „Odniesie to ten skutek, że ludzie będą zabierać jedzenie z sobą w coraz większych ilościach i w coraz większym stopniu zaśmiecać papierem i odpadkami teren parku”.

Zdaniem Olmsteda, najważniejsze było skupienie się w tej chwili na sprawach, które będą miały największe przełożenie na historię, jakie ludzie zabierają z sobą do rodzinnych miast. „To jest taka reklama, którą trzeba za wszelką cenę rozwijać, ten pełen napięcia, zaraźliwy entuzjazm biorący swoje źródło w prawdziwej doskonałości. Kwestia polega nie na tym, czy ludzie będą zadowoleni, ale jak wielki ogarnie ich podziw i jak mocno wpłyną na innych, opowiadając, jak nadszodziejanie dobrze bawili się na miejscu”.

Dlatego natychmiastowej uwagi wymagają pewne oczywiste wady, pisał Olmsted. Na przykład żwirowe ścieżki. „Na całym terenie wystawy nie ma chyba ani kawałka odpowiedniej albo chociaż zdatnej do chodzenia żwirowej ścieżki — wyjaśniał. — Mam wrażenie, że ani robotnicy, ani inspektor, którego zadaniem jest nadzorowanie ich pracy, nigdy w życiu nie widzieli porządnej żwirowej ścieżki i że nie mają absolutnie żadnego pojęcia, jak coś takiego wygląda. Jakie wady mają Pańskie ścieżki?”. Olmsted napisał „Pańskie ścieżki”, nie zaś „moje” albo „nasze”, choć przygotowanie alejek spacerowych należało do zadań jego departamentu. „W niektórych miejscach spod powierzchni wystają kocie łby albo niewielkie kamienie, po których żadna dama w letnich pantoflach nie jest w stanie stąpać bez bólu. W innych miejscach materiał powierzchni jest taki, że gdy jest mokro, robi się mulisty i przez to nieprzyjemnie po nim chodzić. Ponadto muł pozostawiony samemu sobie brudzi buty i suknie, co znacznie umniejsza zadowolenie pań”. Podróż do Europy dała mu wiedzę o tym, jak powinna wyglądać naprawdę dobra żwirowa ścieżka. „Powinna być tak gładka i czysta, jak podłoga w salonie”.

Czystość terenów wystawy również ustępowała europejskim standardom — w tym zakresie potwierdziły się obawy Olmsteda. Wszędzie było mnóstwo śmieci, a do ich sprzątnięcia skierowano za mało ludzi. Ekspozycja wymagała dwukrotnie większej ich liczby, twierdził Olmsted, oraz starannego nadzoru ich pracy. „Widziałem papiery, które ewidentnie zostały zmiecione z tarasów w krzewy oddzielające je od laguny — pisał. — Takie miganie się od obowiązków robotników zatrudnionych do utrzymywania tarasów w czystości powinno być uznawane za przestępstwo kryminalne”.

Martwił go także hałas tych kilku parowców, którym Burnham, mimo jego wielokrotnych protestów, pozwolił pływać po wodach wystawy obok łodzi elektrycznych. „Te łodzie są tanie, pozbawione wdzięku i niezgrabne i równie nie na miejscu przy, jak to ludzie nazywają, Dziedzińcu Honorowym, jak krowa w ogrodzie różanym”.

Największym zmartwieniem Olmsteda było jednak to, że główna — czyli znajdująca się w parku Jacksona — część wystawy nie dostarcza rozrywki. „Zbyt dużo jest tutaj niecierpliwego i nużącego obowiązku zwiedzania. Zmuszania się do zwiedzania, zanim trzeba będzie wracać do domu. Dlatego zwiedzający są w nastroju melancholijnym, należy zatem podjąć wielkie wysiłki, żeby to zmienić”.

Tak jak przedtem starał się wyczarować atmosferę magii w swoim krajobrazie, obecnie nalegał, aby zadbano o na pozór przypadkowe, pełne uroku chwile. Koncerty i parady mogły pomóc, ale miały zbyt „określoną i zaplanowaną” naturę. Olmsted chciał „drobnych przypadków [...], mniej ewidentnie zaplanowanego charakteru. Mniej oficjalnych wydarzeń, a więcej sprawiających bardziej spontaniczne wrażenie”. Miał tu na myśli muzyków grających na waltorniach na Leśnej Wyspie, których muzyka dryfowałaby nad wodą. Chińskie lampiony rozwieszane na łódkach i mostach. „Albo roztańczone i podskakujące maski z tamburynami, takie, jakie widuje się we Włoszech? Nawet sprzedawcy lemoniady mogliby pomóc, gdyby ich ubrać w malownicze stroje. Albo sprzedawcy ciastek ubrani jak piekarze, w płaskie czapki i nieskazitelną biel, od stóp do głów”. W wieczory, kiedy zwiedzających przyciągały z Zakątka Uciech do parku Jacksona wielkie imprezy, „czy nie można by wynająć tanio kilku tych rozlicznych pogan, czarnych, białych i żółtych, aby nienatrzętnie zmieszali się z tłumem na głównym dziedzińcu, ubrani w swoje stroje narodowe?”.

Kiedy Burnham przeczytał ten list, musiał dojść do wniosku, że Olmsted postradał rozum. Ostatnie dwa lata życia poświęcił na stworzenie monumentalnego piękna, a teraz Olmsted chciał, żeby zwiedzający się śmiali. Choć on, Burnham, pragnął, aby niemieli z zachwytu. Nie będzie żadnego podskakiwania i tańczenia. Żadnych pogan.

Wystawa była miastem marzeń, ale było to marzenie Burnhama. We wszystkich aspektach stanowiło odbicie autorytarnych cech jego charakteru — od nadmiernej liczby służb porządkowych po ścisły zakaz zrywania kwiatów. Nigdzie nie było to tak ewidentne jak we wprowadzonym na wystawie zakazie fotografowania bez zezwolenia.

Burnham oddał wyłączność na sprzedaż oficjalnych zdjęć z wystawy jednemu fotografowi, Charlesowi Dudleyowi Arnoldowi, a takie załatwienie sprawy dawało mu kontrolę nad tym, jakiego rodzaju wizerunki rozchodzą się po kraju, i wyjaśniało, dlaczego na wszystkich zdjęciach widać wyłącznie schludnych, dobrze ubranych ludzi z klasy średniej. Inny przedsiębiorca dostał wyłączność na sprzedaż zwiedzającym wystawę kodaków, przy czym kodak był to nowy rodzaj przenośnego aparatu fotograficznego, który nie wymagał zmiany obiektywów i migawki. Na cześć ekspozycji Kodak nazwał składaną wersję swojego popularnego modelu numer cztery Kolumbem. Zdjęcia, jakie robiły te nowe aparaty, szybko zaczęto przezywać „snap shot” — niegdyś angielscy myśliwi używali tego określenia do opisania bardzo szybkiego strzału. Każdy, kto chciał wnieść na teren wystawy własnego kodaka, musiał wykupić zezwolenie za 2 dolary, a ta opłata znacznie przekraczała możliwości finansowe większości zwiedzających. Ulica Kairska w Zakątku Uciech wymagała dodatkowej opłaty w wysokości 1 dolara. Fotograf amator z klasycznym, dużym aparatem i niezbędnym statywem musiał zapłacić 10 dolarów, czyli mniej więcej tyle samo, ile przyjezdni płacili za jeden dzień pobytu na wystawie, wliczając w to zakwaterowanie, posiłki i bilety wstępu.

Mimo obsesji Burnhama na punkcie kontroli i szczegółów, jedno wydarzenie na wystawie całkowicie umknęło jego uwadze. Dnia 17 czerwca wybuchł niewielki pożar w podobnym do zamku Budynku Chłodni, wznoszącym się w południowo-zachodniej części parku, a zbudowanym przez firmę Hercules Iron Works. Zadaniem budynku była produkcja lodu, przechowywanie łatwo psujących się

produktów należących do wystawców i restauracji, a także obsługa lodowiska dla zwiedzających, którzy zapragnęliby skorzystać z atrakcji, jaką była jazda na łyżwach w lipcu. Budynek był przedsięwzięciem prywatnym. Burnham nie miał nic wspólnego z jego budową, wyjąwszy zatwierdzenie projektu. Co zaskakujące, architekt, który go zaprojektował, nazywał się Frank P. Burnham, ale nie był z nim w żaden sposób spokrewniony.

Pożar wybuchł pod kopułą centralnej wieży, ale został szybko opanowany i spowodował zniszczenia na kwotę zaledwie 100 dolarów. Mimo to firmy ubezpieczeniowe zaczęły się bliżej przypatrywać budynkowi, a wynik tych oględzin wprowadził je w przerażenie. Kluczowy element całej konstrukcji nigdy nie został zainstalowany. Siedmiu ubezpieczycieli wymówiło swoje polisy. Komendant straży pożarnej, Edward W. Murphy, pełniący funkcję szefa departamentu straży pożarnej na wystawie, ostrzegł komitet ubezpieczycieli: „Ten budynek jest dla nas większym problemem niż wszystkie inne na terenie ekspozycji. Podczas pożaru to prawdziwa pułapka, a niewątpliwie niedługo stanie w płomieniach”.

Nikt nie powiedział Burnhamowi o tym pożarze. Nikt nie powiedział mu także o wymówieniu polis ani o przepowiedni Murphy'ego.

Nareszcie

O wpół do czwartej po południu w środę 21 czerwca 1893 roku, pięćdziesiąt jeden dni po terminie, George Washington Gale Ferris zajął miejsce na podium dla mówców, wzniesionym przed jego kołem. Czterdziestoosobowa orkiestra stanu Iowa zasiadła już w jednym z wagonów i grała *My Country 'Tis Thee*. Na podium obok Ferrisa stali: burmistrz Harrison, Bertha Palmer, cała rada miejska Chicago i reprezentacja organizatorów wystawy. Burnham najwyraźniej nie był obecny.

Wagony były już w pełni oszklone, a okna zabezpieczono metalową siatką, aby, jak to ujął jeden z dziennikarzy, „żaden szaleniec nie miał okazji popełnić samobójstwa, skacząc z koła, i żeby nie wypadła z okna żadna rozhisteryzowana kobieta”. Konduktorzy, przeszkoleni, jak uspokajając pasażerów z lękiem wysokości, stali w pięknych mundurach przy drzwiach każdego wagonu.

Orkiestra zamilkła, a koło się zatrzymało. Rozpoczęły się przemówienia. Ferris zajął miejsce dla mówców ostatni i radośnie zapewnił słuchaczy, że człowiek uznany za szalonego, ponieważ „miał w głowie koło”, wydobył je stamtąd i ustawił w centrum Zakątka Uciech. Przypisał sukces całego przedsięwzięcia swojej żonie, Margaret, która stała zaraz za nim na podium. Zadedykował swoje koło wszystkim inżynierom w Ameryce.

Pani Ferris podała mu złoty gwizdek, po czym oboje, wraz z innymi dostojnikami, wsiedli do pierwszego wagonu. Harrison jak zwykle miał na głowie swój czarny, miękki kapelusz.

Kiedy Ferris zagwizdał, orkiestra stanu Iowa zaczęła grać *America*, a koło znów zaczęło się obracać. Pasażerowie przejechali kilka obrotów, popijając szampana i paląc cygara, po czym wysiedli wśród wiwatów zebranego na dole tłumu. Do wagonów wsiedli pierwsi pasażerowie płacący za bilety.

Koło obracało się aż do jedenastej wieczorem, zatrzymując się tylko po to, żeby wysadzić część pasażerów i zabrać kolejnych. Nie zacięło się ani razu, choć

wszystkie wagony były wypełnione po brzegi, a podpory ani razu nie jęknęły.

Ferris Company nie wstydziła się reklamować osiągnięcia swojego założyciela. W ilustrowanej broszurze zatytułowanej *Pamiętka Koła Ferrisa* napisano: „Zbudowane wbrew licznym przeszkodom, stanowi osiągnięcie, które jest odbiciem tak wielkiego zaufania do swojego pomysłodawcy, że gdyby pan Ferris był poddany monarchii a nie obywatelem wielkiej republiki, jego uczciwe serce uderzałoby w piersi obwieszoną orderami”. Ferris nie mógł się powstrzymać, żeby nie dokuczyć Exposition Company za to, że nie dała mu wcześniej koncesji na budowę. „Nieumiejętność dostrzeżenia ważności tego wynalazku kosztowała Exposition Company wiele tysięcy dolarów” — napisano w *Pamiętce*.

Było to ogromne niedomówienie. Gdyby Exposition Company utrzymała swoją pierwszą koncesję z czerwca 1892 roku, zamiast czekać z jej przyznaniem aż sześć miesięcy, koło byłoby gotowe na otwarcie ekspozycji 1 maja 1893 roku. Wystawa nie tylko straciła pięćdziesiąt procent udziałów z dochodów z Koła Ferrisa za te pięćdziesiąt jeden dni — straciła również frekwencję, jaką z pewnością by zapewniło i na której tak bardzo zależało Burnhamowi. A tak przez półtora miesiąca koło stanowiło jedynie symbol niedokończonego stanu wystawy.

Obawy o bezpieczeństwo pasażerów utrzymywały się jednak nadal. Ferris czynił, co mógł, żeby je rozwiać. *Pamiętka* podawała, że nawet maksymalna liczba pasażerów nie ma „większego wpływu na ruch czy szybkość koła niż podobna liczba much w wagonach” — było to dziwnie nieprzyjemne porównanie. Broszura dodawała, że „przy budowie tego wielkiego koła skalkulowano wszystkie możliwe zagrożenia i im zaradzono”.

Ale Ferris i Gronau wykonali swoją pracę za dobrze. Projekt był tak elegantski, tak mistrzowski w wykorzystywaniu mocy cienkich prętów ze stali, że koło sprawiało wrażenie, jakby nie mogło się oprzeć wywieranym na nie napięciom. Może i nie było niebezpieczne, ale na takie wyglądało.

„Prawdę mówiąc, wygląda na zbyt lekkie — zauważył jeden z dziennikarzy. — Człowiek się obawia, że te cienkie pręty, które utrzymują cały ogromny ciężar,

są zbyt słabe, żeby spełnić swoje zadanie. Nie sposób uniknąć myśli o tym, co by się stało, gdyby silny wiatr z nad prerii uderzył w tę budowlę z boku. Czy tak cienkie pręty wystarczą, by utrzymać nie tylko ogromny ciężar konstrukcji i 2 tysiące pasażerów, którzy mogą pomieścić się w wagonach, ale również nacisk wiatru?”.

Trzy tygodnie później otrzymano odpowiedź na to pytanie.

Fala przyływu

I nagle zaczęli przybywać. Entuzjazm, który Olmsted zauważył pod czas swoich podróży, choć nadal daleki od wywołania prawdziwej fali przyływu, wreszcie zaczął sprowadzać zwiedzających do parku Jacksona. Pod koniec czerwca, mimo że linie kolejowe nadal nie obniżyły cen, wpływy z biletów na wystawę stały się ponad dwukrotnie większe. W czerwcu średnia miesięczna wyniosła 89 170 osób wobec fatalnych majowych 37 501. Nadal było to znacznie poniżej 200 tysięcy odwiedzających dziennie, którą to liczbę wymarzyli sobie organizatorzy ekspozycji, ale tendencja wyglądała zachęcająco. Hotele od Englewood po Pętlę nareszcie zaczęły się zapelniać. Ogrodowa kawiarnia na dachu Budynku Kobiet obsługiwała 2 tysiące osób dziennie, dziesięć razy więcej niż w dniu otwarcia. Niestety, wyprodukowana w wyniku tego wzrostu ilość śmieci przewyższyła wydolność systemu ich usuwania, który polegał na tym, że trzech sprzątaczy znosiło wielkie beczki cuchnących odpadków po tych samych trzech kondygnacjach schodów, których używali klienci. Sprzątacze nie mogli korzystać z wind, ponieważ Burnham nakazał je wyłączać po zmroku, aby mieć dość prądu na nocną iluminację. Kiedy zapach zaczął być dokuczliwy, kierownik kawiarni postawił na dachu budynku zsuwnię i zagroził, że będzie zrzucał śmieci prosto na ukochane trawniki Olmsteda.

Burnham cofnął swoje zarządzenie.

Wystawa stała się tak silnym magnesem, że pewna kobieta, Lucille Rodney z Galveston w Teksasie, przeszła pieszo ponad 2 tysiące kilometrów wzdłuż torów kolejowych, żeby ją zobaczyć. „Nie nazywajcie jej już Białym Miastem nad jeziorem — pisał w »Cosmopolitanie« sir Walter Besant, angielski historyk i powieściopisarz. — To jest Kraina Marzeń”.

Nawet Olmsted sprawiał wrażenie zadowolonego, chociaż oczywiście nadal okazywał krytycyzm. On również za pomocą jednego centralnego wejścia

pragnął zawiązać pierwszym wrażeniem, jakie zrobi na zwiedzających wystawa. Zarzucenie tego pomysłu, napisał w oficjalnej analizie krytycznej opublikowanej w „The Inland Architect”, „wiele ujęło” z wartości ekspozycji, choć dodał pospiesznie, że czyni tę krytykę „w żadnym razie nie po to, żeby się skarżyć”, ale jako profesjonalista dający wskazówki innym, którzy mogą stanąć przed podobnym wyzwaniem. Nadal żałował, że Wyspa Leśna nie została zostawiona w spokoju, i potępił pozbawione planu wznoszenie koncesjonowanych budynków, które „zniszczyły perspektywę i zaburzyły przestrzenie, jakich przeznaczeniem było stworzenie ulgi dla oka po nieustającym napięciu uwagi, do jakiego zmuszały budynki wystawy”. Efekt, jak napisał, „był zły”.

Ogólnie jednak był zadowolony, szczególnie z samego procesu budowy. „Nrawdę uważam za niezwykle zadowolające, że udało się znaleźć tak wielu ludzi o wykształceniu technicznym i że można ich było tak szybko zatrudnić i odpowiednio zorganizować, i sprawić, żeby współpracowali tak doskonale w tak krótkim czasie. Uważam za niezwykle godną uwagi okoliczność, że podczas całego przedsięwzięcia tak niewiele było sporów, tak niewiele przykładów zazdrości, zawiści i walki”.

Zasługę przypisywał Burnhamowi. „Nie sposób przecenić pracowitości, talentu i taktu, za pomocą których osiągnął ten rezultat zwierchnik nas wszystkich”.

Zwiedzający wkładali najlepsze ubrania, jakby szli do kościoła, i zachowywali się zaskakująco poprawnie. W ciągu sześciu miesięcy trwania wystawy Straż Kolumbijska dokonała jedynie 2929 aresztowań, mniej więcej szesnaście dziennie, zwykle za złe zachowanie i drobne kradzieże, przy czym kieszonkownicy szczególnie upodobili sobie wiecznie zatłoczone akwarium. Strażnicy zidentyfikowali stu trzydziestu pięciu byłych skazanych i usunęli ich z terenu ekspozycji. Ukarali trzydzieści osób grzywną za nielegalne wnoszenie kodaków, a trzydzieści siedem za fotografowanie bez zezwolenia. Przeprowadzili śledztwo w sprawie odkrycia na terenie parku trzech płodów. Detektyw Pinkertona „atakował zwiedzających” w Pawilonie Tiffany'ego, a pewien „Zulus zachowywał się nieprzyzwoicie”. W swoim oficjalnym raporcie dla Burnhama pułkownik Rice,

komendant straży, napisał: „Biorąc pod uwagę dziesiątki tysięcy zatrudnionych tutaj pracowników i miliony zwiedzających, trzeba przyznać, że nasz sukces jest fenomenem”.

Przy tylu osobach kręcących się wśród silników parowych, wielkich obracających się kół, wozów strażackich ciągniętych przez konie i wywracających się sanek, ambulansów wystawy, nadzorowane przez doktora Gentlesa, bez chwili przerwy zwoziły posiniaczonych, krwawiących i przegrzanych zwiedzających do szpitala wystawy. Podczas imprezy szpital udzielił pomocy 11 602 pacjentom, sześćdziesięciu czterem dziennie, z powodu ran oraz dolegliwości, które wskazują wyraźnie, że prozaiczne niedomagania ludzi nie zmieniły się znów tak bardzo przez wieki. Na liście znajdowało się między innymi:

820 przypadków biegunki

154 przypadki zatwardzeń

21 przypadków hemoroidów

434 przypadki niestrawności

365 przypadków ciał obcych w oku

364 przypadki silnych bólów głowy

594 przypadki omdleń, utraty przytomności i wyczerpania

1 przypadek ogromnego wzdęcia

i 169 przypadków zębów, które bolały jak cholera.

Jedną z największych rozkoszy wystawy było to, że nigdy się nie wiedziało, kto może stanąć obok przy czekoladowej Wenus z Milo, przy ozdobnym karawanie albo pod lufą potwora Kruppa, ani kto może usiąść przy sąsiednim stoliku w Big Tree Restaurant albo w Philadelphia Café, albo w gospodzie Pod Wielkim Białym Koniem, replice pubu opisanego przez Dickensa w Klubie Pickwicka. Albo kto może nagle chwycić cię za ramię na Kole Ferrisa, kiedy wasz wagon zacznie opadać w dół. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, opisany przez osoby towarzyszące jako „w połowie prostak, w połowie kutwa”, spacerował po wystawie incognito — choć preferował co gorsze dzielnice Chicago. Indianie, którzy niegdyś skalpowali głowy białych, wymykali się z obozu Buffalo Billa, podobnie jak Annie Oakley oraz kozacy, huzarzy, lansjerzy i urlopowani członkowie amerykańskiej Szóstej Kawalerii grający w widowisku pułkownika Cody'ego. Wódz Stojący Niedźwiedź przejechał się Kołem Ferrisa odziany w wielki rytualny pióropusz i nie potargał sobie ani jednego z dwustu piór. A Indianie ujeżdżali emaliowane drewniane konie na karuzeli w Zakątku Uciech.

Wśród zwiedzających byli Paderewski, Houdini, Tesla, Edison, pianista Scott Joplin, Darrow, profesor z Princeton, niejaki Woodrow Wilson (późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych) oraz słodka starsza dama w czarnej, jedwabnej letniej sukni, ozdobionej niezapominajkami, Susan B. Anthony. Burnham zjadł lunch z Teddym Rooseveltem i potem przez wiele lat używał wykrzyknika: „Świetnie, do diaska!”. Diamond Jim Brady, znany z ogromnego apetytu przedsiębiorca i filantrop, zjadł kolację z aktorką Lillian Russell i zaspokoił swoją pasję do słodkiej kukurydzy.

Nikt nie widział Twaina. Wiadomo było, że przyjechał do Chicago obejrzeć wystawę, ale rozchorował się i spędził jedenaście dni w pokoju hotelowym, po czym wyjechał, nie ujrawszy ani razu Białego Miasta.

On, ze wszystkich ludzi.

W przypadkowych spotkaniach na wystawie kryły się czary.

Frank Haven Hall, dyrektor Instytutu Edukacji Niewidomych stanu Illinois, zaprezentował zwiedzającym nowe urządzenie, wykonujące szablony do drukowania książek w piśmie brajla. Wcześniej Hall wynalazł maszynę do pisania dla ociemniałych, tak zwaną Hall Braille Writer, której nigdy nie opatentował, ponieważ uważał, że nie wolno czerpać zysków z pomocy niewidomym. Pewna dziewczyna, dowiedziawszy się, że to właśnie Hall wynalazł maszynę do pisania, której tak często używała, rzuciła mu się na szyję, uściskała go i pocałowała,

Kiedy Hall opowiadał później, jak poznał głuchą i niewidomą pisarkę Helen Keller, zawsze miał oczy pełne łez.

Pewnego dnia, kiedy Damska Rada Wystawy rozważała, czy należy poprzeć pomysł otwierania ekspozycji w niedzielę, pewien zaciekły sabatarianin zaczął Susan B. Anthony w korytarzu Budynku Kobiet i zaczął atakować jej opinię, że wystawa powinna być otwarta przez cały tydzień. (Anthony nie należała do rady, a zatem, mimo swojej ogólnokrajowej sławy, nie mogła brać udziału w

spotkaniach). Odwołując się do najbardziej szokującej rzeczy, jaką mógł wymyślić, zapytał, czy chciałaby, żeby jej syn poszedł w niedzielę na widowisko Buffalo Billa zamiast do kościoła.

„Tak — ona na to. — Dużo więcej by się nauczyła...”.

Dla ludzi pobożnych ta wymiana zdań stała się dowodem niegodziwości ruchu sufrażystek, którego Anthony była współorganizatorką. Kiedy dowiedział się o niej Cody, poczuł się tak rozbawiony, że wysłał Anthony podziękowanie i zaproszenie na spektakl. Zaproponował jej rolę na dowolne przedstawienie, jakie wybierze.

Jak zwykle na początku występu, Cody wjechał na arenę na koniu. Jego długie siwe włosy spływały spod białego kapelusza, a srebrne wykończenie jego białej kurtki połyskiwało w słońcu. Puścił konia w galop, ruszając w kierunku łoży Anthony. Publiczność zamarła.

Zatrzymał konia, wzbijając chmurę kurzu, zdjął kapelusz i skłonił się ceremonialnie, niemalże dotykając czołem brzegu siodła.

Anthony wstała i oddała ukłon, po czym — „rozweselona jak dziewczynka”, według słów jednej z przyjaciółek — pomachała Cody'emu chusteczką.

Nikomiu nie umknęło znaczenie tej sceny. Oto jeden z największych bohaterów przeszłości Ameryki oddał cześć jednej z czołowych bohaterki przyszłości tego kraju. Ich spotkanie sprawiło, że widownia wstała i zaczęła klaskać.

Pogranicze być może wreszcie rzeczywiście zniknęło, jak to ogłosił Frederick Jackson Turner w swojej historycznej mowie wygłoszonej na wystawie, ale przez tę chwilę trwała jeszcze, połyskując w słońcu jak ślad łyż na policzku.

Wydarzyła się katastrofa i Brytyjczycy owinęli swój kunsztowny model H.M.S. Victoria w czarne sukno. Dnia 22 czerwca 1893 roku, podczas manewrów w okolicach Trypolisu, ten cud okrętowej techniki został staranowany przez H.M.S. Camperdown. Kapitan Victorii skierował okręt pełną parą w kierunku wybrzeża, zamierzając osadzić go na mieliznie, zgodnie z obowiązującym we flocie rozkazem, gdyż z mielizny łatwiej było podnieść zatopioną jednostkę. Dziesięć minut później, płynąc pełną parą, krążownik przechylił się i zatonął wraz z częścią załogi uwięzioną pod pokładem. Inni, którzy mieli dość szczęścia,

żeby wyskoczyć za burłę, zostali przemieleni przez obracające się śruby albo śmiertelnie poparzeni podczas wybuchu kotłów. „Było słyhać wrzaski i krzyki, a w białej pianie pojawiały się czerwone od krwi ręce i nogi oraz rozdarte ciała — pisał dziennikarz. — Wir wyrzucał na powierzchnię bezgłowe zwłoki, które przez chwilę unosiły się na falach, po czym tonęły, niknąc z oczu”. Ten wypadek kosztował życie czterystu osób.

Koło Ferrisa szybko stało się najbardziej popularną atrakcją wystawy. Co dziennie odbywały nim przejażdżkę tysiące osób. W tygodniu, który rozpoczął się 4 lipca, Ferris sprzedał 61 395 biletów, a dochód brutto wyniósł 30 697.50 dolara. Exposition Company zabrała z tego mniej więcej połowę, a w rękach Ferrisa pozostał zysk, który w tym jednym tygodniu wynosił 13 948 dolarów (według dzisiejszej wartości pieniądza około 400 tysięcy dolarów).

Nadal utrzymywały się wątpliwości co do bezpieczeństwa przejażdżek Kołem Ferrisa, krążyły też niepotwierdzone plotki o samobójstwach i wypadkach. Według jednej z nich, przerażony mops wyskoczył z okna wagonu. Nieprawda, twierdziła firma Ferrisa. Ta historia to wymysł dziennikarza, „któremu zabrakło nowin i musiał zacząć zmyślać”. Gdyby jednak nie okna zabezpieczone metalową siatką, sprawa mogłaby wyglądać całkiem inaczej. Podczas jednej z przejażdżek na ogół spokojnego człowieka o nazwisku Wherritt opanował nagle lęk wysokości. Czuł się całkiem dobrze, dopóki wagon nie ruszył. Kiedy się wznosił, Wherrittowi zrobiło się słabo i niemal zemdlał. Niestety, z wagonu nie można było się porozumieć z inżynierem nadzorującym pracę koła, i poprosić, aby je zatrzymał.

Wherritt rzucał się w panice po całym wagonie, pędząc przed sobą pasażerów „jak stado przerażonych owiec” — według jednej z relacji. Zaczął uderzać całym ciałem w ściany wagonu z taką siłą, że zdołał wygiąć warstwę stali. Konduktor i kilku pasażerów próbowało go obezwładnić, ale wyrwał się im i rzucił do drzwi. Zgodnie z obowiązującą procedurą, konduktor zamknął je na klucz na początku przejażdżki. Wherritt szarpał nimi i potłukł w nich szybę, ale nie zdołał ich otworzyć.

Kiedy wagon zaczął opadać, Wherritt uspokoił się i zaczął się śmiać i płakać z ulgi — aż uświadomił sobie, że koło wcale się nie zatrzyma. Na jedną przejażdżkę

przypadały zawsze dwa obroty. Nieszczęśnik ponownie wpadł w szal i został obezwładniony przez konduktora i pasażerów, ale wszyscy zaczęli już odczuwać zmęczenie. Obawiali się tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Wherritt im uciekł. Konstrukcja wagonu była mocna, ale jego ściany, okna i drzwi zostały tak zaprojektowane, żeby zniechęcać pasażerów do prób samobójczych, a nie stawiać opór takiemu ludzkiemu kafarowi. A Wherritt zdołał już potłuc szkło i wygiąć stal.

Nagle podeszła do nich jedna z kobiet i zaczęła rozpinąć spódnicę. Ku zaskoczeniu zebranych, zdjęła ją, zarzuciła Wherrittowi na głowę i przytrzymała, mrużąc mu słowa pociechy. Efekt był natychmiastowy. Wherritt zrobił się „spokojny jak struś”.

Kobieta rozbierająca się publicznie, mężczyzna ze spódnicą na głowie — dziwy wystawy zdawały się nie mieć końca.

Wystawa była wielką dumą Chicago. Głównie dzięki Danielowi Burnhamowi miasto dowiodło, że potrafi stworzyć coś cudownego mimo przeszkód, które według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny były pognębić przedsięwzięcie. Wszędzie było widać przejawy poczucia własności wobec ekspozycji, nie tylko wśród tych dziesiątek tysięcy obywateli miasta, którzy kupili w niej udziały. Hilda Satt zauważyła to w zmianie, jaka zaszła w jej ojcu, kiedy pokazywał jej ekspozycję. „Wydawał się osobiście dumny z wystawy, jakby pomagał przy jej planowaniu — powiedziała. — Kiedy wspominam tamte dni, mam wrażenie, że większość ludzi w Chicago czuło podobnie. Miasto podejmowało u siebie cały świat, a my braliśmy w tym udział”.

Ale oprócz dumy wystawa dała Chicago coś jeszcze. Było to światło, którym miasto mogło rozjaśniać zbierający się mrok gospodarczej zapaści. Erie Railroad zachwiało się, a potem upadło. Następne w kolejce były Northern Pacific. W Denver trzy duże banki zbankrutowały tego samego dnia i pociągnęły za sobą najrozmaitsze inne firmy. Obawiając się rozruchów głodowych, władze miasta wezwały na pomoc wojsko. W Chicago wydawcy „The Inland Architect” próbowali uspokajać nastroje: „Panujące warunki to kwestia przypadku. Kapitał jest jedynie ukryty. Przedsiębiorczość została tylko postraszona, nie pokonana”. Wydawcy się jednak mylili.

W czerwcu dwóch biznesmenów popełniło samobójstwo tego samego dnia i w tym samym hotelu Metropole w Chicago. Jeden poderżnął sobie gardło brzytwą o wpół do jedenastej rano. Drugi dowiedział się o tym samobójstwie od hotelowego fryzjera. Tego wieczoru w swoim pokoju obwiązał szyję jedwabną szarfą od smokingu, następnie położył się na łóżku i przywiązał drugi koniec do ramy łóżka. Potem stoczył się na podłogę.

„Wszyscy są teraz przerażeni i sądzą, że zostali zrujnowani w dużo większym stopniu niż sąsiedzi” — pisał Henry Adams.

Na długo przed końcem wystawy ludzie zaczęli opłakiwać jej nieunikniony kres. Mary Hartwell Catherwood napisała: „Co zrobimy, kiedy ta Kraina Cudów zostanie zamknięta? Kiedy zniknie? Kiedy czary się skończą?”. Jedną z pań z Damskiej Rady Wystawy, Sallie Cotton z Północnej Karoliny, matka szóstki dzieci, która przyjechała do Chicago na lato, uchwyciła w swoim dzienniku tę powszechną troskę, że po obejrzeniu wystawy „wszystko będzie się wydawać małe i pozbawione znaczenia”.

Wystawa była taka doskonała, a jej wdzięk i piękno zdawały się zapewniać, że dopóki trwa, nic naprawdę złego nie może się przydarzyć nikomu, nigdzie.

Dzień Niepodległości

Poranek 4 lipca 1893 roku wstał wietrzny i szary. Pojawiła się obawa, że pogoda zepsuje wyszukany pokaz fajerwerków, zorganizowany przez a Milleta w ramach walki o frekwencję na wystawie, która — mimo stałego, cotygodniowego wzrostu — nadal pozostawała w tyle za oczekiwaniami. Słońce wyszło późnym rankiem, ale przez większość dnia porywisty wiatr przemierzał park Jacksona. Późnym popołudniem Dziedziniec Honorowy skąpało miękkie, złociste światło, a na północy zebrały się chmury burzowe. Ale nie podeszły bliżej. Tłum rósł szybko. Holmes, Minnie i Anna utknęli wśród masy wilgotnych mężczyzn i kobiet. Wiele osób miało z sobą koce i kosze pełne jedzenia, ale szybko się okazało, że brakuje miejsca, by rozłożyć się na piknik. Dzieci było niewiele, zjawiała się natomiast chyba cała Straż Kolumbijska — jasnoniebieskie mundury odcinały się od tłumu jak krokusy od wiosennej ziemi. Stopniowo złociste światło popołudnia zaczęło przechodzić w kolor lawendy. Wszyscy ruszyli w kierunku jeziora. „Na długości kilometra, wzdłuż wspaniałego łuku promenady, nad samym brzegiem jeziora zebrał się tłum, głęboki na co najmniej sto osób” — donosiła „Tribune”. To „Morze Czarne” ludzi było niespokojne. „Wiele godzin siedzieli i czekali, napętniając powietrze dziwną, niespokojną wrzawą”. Pewien człowiek zaczął śpiewać *Nearer My God to Thee* i natychmiast przyłączyło się do niego kilka tysięcy ludzi.

Kiedy zapadł zmrok, wszyscy zaczęli wpatrywać się w niebo w oczekiwaniu pierwszej rakiety z planowanego pokazu fajerwerków. Na drzewach i balustradach wisiały tysiące chińskich lampionów. Wszystkie wagony na Kole Ferrisa były oświetlone czerwonym światłem. Na jeziorze kołysały się setki statków, jachtów i łodzi — na dziobach, bomach i takielunku miały zapalone kolorowe latarnie.

Tłum był gotów wiwatować z byle powodu. Wiwatował, kiedy orkiestra wystawy odegrała *Home Sweet Home*, pieśń, która zawsze potrafiła doprowadzić

do łez dorosłych ludzi, szczególnie tych, którzy przybyli do miasta niedawno. Wiwatował, kiedy na Dziedzińcu Honorowym zapaliły się światła i wszystkie pałace zdawały się obramowane złotem. Wiwatował, kiedy wielkie reflektory—szperacze umieszczone na dachu Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych wydobywały z ciemności fragmenty tłumu i kiedy fontanna MacMonniesa zaczęła wyrzucać w powietrze kolorowe pióropusze wody („Tribune” nazwała je „pawimi piórami”).

O dziewiątej wieczorem tłum jednak ucichł. Na północy w niebo wzniosło się niewielkie jasne światełko i zdawało się dryfować wzdłuż brzegu jeziora, w kierunku nabrzeża. Kiedy oświetlił je jeden ze szperaczy, okazało się, że jest to duży balon załogowy. Światło paliło się znacznie poniżej kosza, a w następnej chwili wybuchło w czerwone, białe i niebieskie iskry, tworząc na tle czarnego nieba amerykańską flagę. Balon i flaga dryfowały powoli nad głowami tłumu. Za nimi podążało światło szperacza, którego promień obramowała chmura siarki unosząca się za balonem. Kilka sekund później nad brzegiem jeziora zaczęły się wzbijać w niebo kolejne rakiety. Mężczyźni z pochodniami w rękach biegali po plaży, odpalając kolejne fajerwerki, a inni, znajdujący się na pokładach barek, wystrzelili wielkie obracające się race i wrzucali do jeziora bomby, które wybuchwały w zadziwiających gejzerach czerwonej, białej i niebieskiej wody. Bomby i rakiety wystrzelivano coraz szybciej, aż wreszcie, w punkcie kulminacyjnym pokazu, skomplikowana płatanina drutów zawieszona na sali koncertowej na brzegu jeziora rozbłysła nagle, tworząc gigantyczny portret Jerzego Waszyngtona.

Tłum wiwatował.

Wszyscy ruszyli do wyjścia w tym samym czasie i już wkrótce wielka czarna fala ludzi zalała stację Alley L i kolei Illinois Central. Holmes i siostry Williams czekali kilka godzin, zanim udało im się dostać do pociągu zmierzającego na północ, ale długie oczekiwanie nie zepsuło im nastroju. Tej nocy rodzina Okerów słyszała śmiech dobiegający z mieszkania na piętrze, pod numerem 1220 przy Wrightwood.

Wesołość miała swój powód. Holmes osłodził jeszcze tę czarowną noc, czytając Minnie i Annie zaskakująco hojną propozycję.

Przed pójściem spać Anna opisała swojej ciotce w Teksasie te fantastyczne wieści.

„Jutro ja, moja siostra i szwagier Harry jedziemy do Milwaukee, a potem do Old Orchard Beach rzeką Świętego Wawrzyńca. Spędzimy dwa tygodnie w Maine, a później udamy się do Nowego Jorku. Szwagier Harry uważa, że mam talent. Chce, żebym się zastanowiła nad studiami w Akademii Sztuk Pięknych. Następnie popłyniemy do Niemiec, po drodze zwiedzając Londyn i Paryż. Jeśli mi się tam spodoba, zostanę na studia. Szwagier Harry mówi, że nie będziecie się już nigdy musieli o mnie kłopotać, ani pod względem finansowym, ani żadnym innym. On i moja siostra będą się mną opiekować”.

„Niech ciocia do mnie zaraz napisze na adres w Chicago, a list zostanie mi przekazany” – dodała.

Nie wspomniała nic o swoim kufrze, który nadal tkwił w Midlothian, czekając na wysyłkę do Chicago. Chwilowo musiała się obyć bez niego. Kiedy dotrze na miejsce, załatwi za pomocą telegrafu, żeby go jej przesłano do Maine albo może do Nowego Jorku, aby miała przy sobie wszystkie swoje rzeczy podczas podróży do Europy.

Anna położyła się tej nocy spać z sercem bijącym szybko z podniecenia z powodu pokazu fajerwerków i niespodzianki Holmesa. Później William Capp, prawnik teksańskiej kancelarii Capp & Canty, stwierdził: „Anna nie miała żadnego majątku, więc taka okazja, jak ta opisana w liście, wiele dla niej znaczyła”.

Następny ranek również miał być przyjemny, ponieważ Holmes oznajmił, że zabierze Annę – tylko ją – do Englewood, na krótką wycieczkę po jego Hotelu Wystawy Światowej. Musiał się tam zająć ostatnimi sprawami przed wyjazdem do Milwaukee. Tymczasem Minnie miała szykować mieszkanie w Wrightwood dla lokatora, który je po nich wynajmie.

Holmes był takim czarującym mężczyzną. A kiedy Anna poznała go bliżej, doszła do wniosku, że rzeczywiście jest całkiem przystojny. Gdy napotykała wzrok jego cudownych błękitnych oczu, miała wrażenie, że rozgrzewają całe jej ciało. Minnie uczyniła naprawdę doskonały wybór.

Niepokój

W nocy bileterzy podliczyli sprzedane bilety i stwierdzili, że tego jednego dnia, 4 lipca, na wystawę przybyło 283 273 zwiedzających — dużo więcej niż przez cały pierwszy tydzień po otwarciu.

Był to pierwszy wyraźny znak, że Chicago stworzyło jednak coś niezwykłego. Odnowił on nadzieje Burnhama, że wystawa w końcu osiągnie taką frekwencję, na jaką liczył.

Jednak następnego dnia wystawę przyszło obejrzeć zaledwie 79 034 osoby. Trzy dni później liczba ta skurczyła się jeszcze bardziej, do 44 537 osób. Bankierzy, którzy obsługiwali dług ekspozycji, zaczęli się robić niespokojni. Zatrudniony rewident już wcześniej obliczył, że departament Burnhama wydał ponad 22 miliony dolarów (mniej więcej 660 milionów według obecnej wartości pieniądza), a więc dwa razy tyle, ile pierwotnie planowano. Bankierzy zaczęli naciskać na radę nadzorczą wystawy, aby powołała Komitet Redukcji Kosztów, który zajęłby się nie tylko szukaniem sposobów na ograniczenie wydatków, ale również podejmowaniem wszelkich redukujących koszty działań, jakie uzna za konieczne, w tym również zwolnienia z pracy i likwidację całych departamentów i komitetów.

Burnham zdawał sobie sprawę, że oddanie przyszłości wystawy w ręce bankierów będzie oznaczać jej pewną klęskę. Jedyнным sposobem na zmniejszenie ich nacisków było uzyskanie dużo większych wpływów z biletów wstępu. Według szacunków, aby uniknąć finansowej klęski — co byłoby wielkim upokorzeniem dla dumnych chicagowskich przedsiębiorców, którzy uważali się za panów dolara — wystawa musiałaby sprzedawać co najmniej 100 tysięcy biletów dziennie przez całą resztę swojego trwania.

Aby można było choć mieć nadzieję na taką sprzedaż, koleje musiałyby obniżyć swoje ceny, a Frank Millet powinien zintensyfikować wysiłki i przyciągnąć ludzi ze wszystkich zakątków Stanów Zjednoczonych.

Jednak w sytuacji pogłębiającej się depresji gospodarczej — kiedy banki upadały coraz częściej i mnożyły się samobójstwa — wydawało się to niemożliwe.

Klaustrofobia

Holmes wiedział, że większość, o ile nie wszyscy goście jego hotelu, będą na wystawie. Pokazał Annie drogerię, restaurację i zakład fryzjerski, po czym zabrał ją na dach, aby mogła zobaczyć ładne, ocienione drzewami sąsiedztwo. Zakończył wycieczkę w swoim biurze, gdzie poprosił Annę, żeby spoczęła, po czym przeprosił ją na chwilę. Wziął plik papierów i zaczął czytać.

W pewnej chwili z roztargnieniem poprosił Annę, żeby poszła do sąsiedniego pokoju, a właściwie skarbcza, i przyniosła mu dokument, który tam zostawił.

Z radością spełniła jego prośbę.

Holmes ruszył po cichu za nią.

Początkowo miała wrażenie, że drzwi zamknęły się przez przypadek. W pomieszczeniu zapanowała zupełna ciemność. Anna zaczęła walić w drzwi i wołać Harry'ego. Nasłuchiwała przez chwilę, po czym waliła dalej. Nie bała się, czuła się tylko trochę nieswojo. Nie lubiła ciemności, która tutaj była całkowita — zdecydowanie ciemniejsza niż w bezksiężycowe noce w Teksasie. Zapukała knykciami w drzwi i znów nasłuchiwała. Powietrze zaczęło się robić nieświeże.

Holmes również nasłuchiwał. Siedział spokojnie na krześle przy ścianie, która oddzielała jego biuro od skarbcza. Czas mijał. Było bardzo spokojnie. Lekki wietrzyk przeleciał przez biuro — taki przewiew to jedna z przyjemności

zajmowania narożnego pokoju. Powiew, jeszcze chłodny, niósł z sobą poranny zapach trawy na preriach i wilgotnej ziemi.

Anna zdjęła but i zaczęła uderzać obcasem w drzwi. W pomieszczeniu robiło się coraz cieplej. Pot pokrył jej twarz i ramiona. Doszła do wniosku, że Harry, nieświadomy jej wypadku, udał się w jakieś inne rejony hotelu. To by wyjaśniało, dlaczego nie zareagował jeszcze na jej walenie. Może poszedł po coś do sklepów na dole? Kiedy zaczęła rozważać taką możliwość, poczuła lekką obawę. W pomieszczeniu naprawdę robiło się coraz cieplej. Trudno było nabrać tchu. I musiała do łazienki.

Na pewno będzie ją bardzo przepraszał, a ona nie okaże mu, jak okropnie się bała. Spróbowała zacząć myśleć o podróży, która miała się zacząć dziś po południu. To, że ona, skromna nauczycielka z Teksasu, wkrótce będzie przemierzać ulice Londynu i Paryża, nadal wydawało jej się nieprawdopodobne. Ale przecież Harry jej to obiecał i wszystko pozałatwiał. Już za kilka godzin wsiądzie do pociągu, odbędzie krótką podróż do Milwaukee, a wkrótce potem, razem z Minnie i Harrym, będzie już w drodze do ślicznej, chłodnej doliny rzeki Świętego Wawrzyńca, płynącej na granicy Stanów Zjednoczonych i Kanady. Widziała siebie, jak siedzi na obszernej werandzie jakiegoś dobrego hotelu nad rzeką, popijając herbatę i oglądając zachód słońca.

Znów zaczęła walić w drzwi i dodatkowo również w ścianę oddzielającą skarboniec od przewiewnego biura Harry'ego.

Wreszcie, jak zawsze, nadeszła panika. Holmes wyobrażał sobie Annę skuloną w kącie. Gdyby zechciał, mógł podejść do drzwi, otworzyć je, wziąć ją w ramiona i płakać wraz z nią nad tragedią, której uniknęli o włos. Mógł to uczynić w ostatnim momencie, w ostatnich kilku sekundach. Mógł to uczynić. Albo mógł otworzyć drzwi i zajrzeć do Anny z szerokim uśmiechem — żeby wiedziała, że to nie był wypadek — a potem zamknąć je z powrotem, z trzaskiem, i wrócić na krzesło, i czekać, co będzie dalej. Albo mógł napełnić skarboniec gazem. Syk i

ohydny zapach równie wyraźnie jak jego uśmiech powiedziałyby jej, że dzieje się coś niezwykłego.

Mógł zrobić każdą z tych rzeczy.

Musiał się skupić, żeby usłyszeć jej szlochy. Hermetyczne drzwi, stalowe ściany i izolacja z wełny mineralnej wygłuszały większość dźwięków, ale wiedział z doświadczenia, że jeśli usiądzie przy rurze gazowej, usłyszy wszystko dużo wyraźniej.

To była chwila, której pragnął najbardziej. Dawała mu seksualne spełnienie, które zdawało się trwać godzinami, choć w rzeczywistości krzyki i błagania milły dość szybko.

Napełnił skarbiec gazem, tak na wszelki wypadek.

Holmes wrócił do mieszkania w Wrightwood i powiedział Minnie, żeby się szykowała — Anna czeka na nich w „zamku”. Objął ją, pocałował i powiedział, że jest bardzo szczęśliwy i że bardzo lubi jej siostrę.

Podczas podróży pociągiem do Englewood wydawał się spokojny i odprężony, jakby przejechał na rowerze wiele kilometrów.

Dwa dni później, 7 lipca, rodzina Okerów dostała list od Henry'ego Gordona z informacją, że już nie potrzebuje mieszkania na piętrze. Przyjęli wiadomość z zaskoczeniem, ponieważ byli pewni, że Gordon i obie siostry nadal zajmują mieszkanie. Lora Oker poszła na górę sprawdzić. Zapukała, nie dostała odpowiedzi, więc weszła.

„Nie mam pojęcia, jak wydostali się z domu, ale wokoło było widać ślady pośpiesznego pakowania, na podłodze leżało kilka książek i drobiazgów — opowiadała potem. — Jeśli w książkach były jakieś zapiski, zostały usunięte, ponieważ wyrwano strony przedtytułowe”.

Również 7 lipca agent firmy transportowej Wells-Fargo w Midlothian w Teksasie załadował na wóz bagażowy wielki kufer, który miał zostać wyekspediowany pociągiem na północ. Ten kufer — kufer Anny — został zaadresowany:

„Panna Nannie Williams, pod opieką H. Gordona, 1220 Wrightwood Ave., Chicago”.

Kufer dotarł do miasta kilka dni później. Woźnica z Wells-Fargo próbował dostarczyć go pod adres przy Wrightwood. Nie znalazł nikogo o nazwisku Williams ani Gordon, przywiózł więc kufer do biura Wells-Fargo. Nikt się po niego nie zgłosił.

Tymczasem Holmes złożył wizytę pewnemu mieszkańcowi Englewood, Cephasowi Humphreyowi, który miał własny wóz bagażowy i zarabiał na życie, przewożąc meble, skrzynie i inne duże przedmioty. Holmes poprosił go, by odebrał od niego skrzynię i kufer. „Chcę, żeby przyjechał pan po te rzeczy po zmroku, ponieważ nie chcę, aby sąsiedzi widzieli” — powiedział.

Humphrey zjawił się zgodnie z ustaleniami. Holmes zaprowadził go do pokoju na piętrze, pozbawionego okien, ale za to wyposażonego w solidne drzwi.

„To było okropne miejsce — wspominał Humphrey. — Nie było wcale okien, a tylko bardzo ciężkie drzwi. Dostałem gęziej skórki, wchodząc tam. Miałem wrażenie, że coś się tam stało, ale pan Holmes nie dał mi wiele czasu na zastanawianie się nad tą sprawą”.

Skrzynia okazała się dużym prostopadłościanem z drewna, mniej więcej o wymiarach trumny. Humphrey zniósł ją na dół pierwszą. Na chodniku postawił ją na sztorc. Holmes, który obserwował go z okna, zapukał głośno w szybę i zawołał: „Nie rób tak! Połóż ją na płask!”.

Humphrey posłuchał, po czym wrócił na górę po kufer. Był ciężki, ale jego przeniesienie nie sprawiło mu większych trudności.

Holmes polecił mu zawieźć podłużną skrzynię na stację Union Depot i wyjaśnił, gdzie na peronie ma ją postawić. Najwyraźniej wcześniej ustalił z agentem firmy przewozowej, że odbierze skrzynię i załaduje do pociągu. Nie ujawnił miejsca przeznaczenia.

Jeśli zaś chodzi o kufer, Humphrey nie mógł sobie przypomnieć, dokąd go zawiózł, ale późniejsze ustalenia wskazują, że dostarczył go do domu Charlesa Chappella w pobliżu szpitala Cook County.

Wkrótce potem Holmes obdarował niespodziewanie rodzinę swojego asystenta, Benjamin Pitezla. Żonie Pitezla, Carrie, dał kolekcję sukien, kilka par butów i kapeluszy, które należały do jego kuzynki, panny Minnie Williams. Wyszła ona za mąż, przenieśli się na wschód i już nie potrzebowała tych rzeczy. Zaproponował, żeby Carrie pocięła suknie i uszyła z nich stroje dla swoich trzech córek. Żona Pitezla okazała mu wielką wdzięczność.

Holmes zaskoczył również prezentem swojego woźnego, Pata Quinlana. Podarował mu dwa solidne kufry oznaczone inicjałami MRW

Burza i pożar

*L*iczba zadań, jakie spadały na Burnhama, wcale się nie zmniejszyła, a tempo, w jakim pracowało jego biuro, było nadal szybkie. Budynki zostały ukończone, wszystkie eksponaty znajdowały się na miejscach, ale wystawa zaczęła podlegać nieubłaganym prawom niszczenia, równie nieuchronnie jak ciemnieje srebro. Niszczenia i tragedii.

Niedziela 9 lipca była dniem gorącym i bezwietrznym. Koło Ferrisa stało się jednym z najbardziej obleganych miejsc, podobnie jak kosz balonu na Uwięzi. Ten balon, ochrzczony Chicago, był napełniony 2835 metrami sześciennymi wodoru, a do ziemi mocował go łańcuch nawijany na kołowrót. Do trzeciej po południu zdążył wykonać trzydzieści pięć podróży w górę, na wysokość trzystu metrów. Zdaniem niemieckiego baloniarza pracującego w koszu, dzień był idealny na przejażdżki, tak bezwietrzny, że ołowiany ciężarek spuszczonej z kosza na dół trafiałby dokładnie w kołowrót.

Jednakże o trzeciej po południu kierujący balonem G. E Morgan sprawdził przyrządy i stwierdził nagły spadek ciśnienia barometrycznego, widomy znak, że zbiera się na burzę. Wstrzymał sprzedaż biletów i polecił swoim ludziom zamocować solidnie balon. Zauważył, że operatorzy Koła Ferrisa nie podjęli odpowiednich środków ostrożności. Koło nadal się obracało.

Chmury zaczęły się zbierać, niebo nabrało fioletowego koloru, a z północnego wschodu nadleciał wiatr. Niebo zdawało się obniżać nad ziemią, pojawiła się też niewielka trąba powietrzna, która tańczyła na południu, nad brzegiem jeziora, kierując się ku terenom wystawy.

Koło Ferrisa było pełne pasażerów, którzy z coraz większym niepokojem obserwowali *danse du ventre* trąby powietrznej, przemierzającej park Jacksona prosto w kierunku Zakątka Uciech.

Morgan nakazał swoim ludziom chwycić liny kotwicowe balonu i trzymać z całej siły.

Nagły zmrok, jaki zapadł w parku Jacksona, wywabił Burnhama na zewnątrz. Silny wiatr zdawał się nadlatywać ze wszystkich kierunków jednocześnie. Porywał opakowania po drugich śniadaniach, które unosiły się w powietrzu jak mewy. Niebo zdawało się stykać z budynkami wystawy, gdzieś rozległ się brzęk szkła, ale nie cichy odgłos okna wybitego kamieniem, tylko głośny brzęk wielkiej tafli upadającej na ziemię.

W Budynku Rolnictwa z sufitu spadła wielka szklana tafla i rozbiła ładę, przy której zaledwie kilka sekund wcześniej młoda kobieta sprzedawała cukierki. Sześć kolejnych tafli zostało zwianych z Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych. Wystawcy pospiesznie przykrywali swoje eksponaty sukniem.

Wiatr zerwał cztery metry kwadratowe poszycia kopuły Budynku Maszyn i dach węgierskiej kawiarni. Załoga jednej z elektrycznych łodzi Olmsteda pospiesznie przybiła do brzegu, wysadziła pasażerów i właśnie kierowała się do przystani, kiedy podmuch wiatru uderzył w markizę i przewrócił ważącą pięć ton łódź na bok. Sternik i konduktor dopłynęli bezpiecznie do brzegu.

W powietrzu unosiły się olbrzymie pióra. Dwadzieścia osiem strusi ze Strusiej Farmy w Zakątku Uciech zniosło tę stratę z typową dla siebie klasą.

Pasażerowie w wagonach Koła Ferrisa szykowali się na najgorsze. Jedna z kobiet zemdląła. Któryś z pasażerów napisał później do „Engineering News”: „Trzeba było połączonych wysiłków dwóch z nas, żeby zamknąć mocno drzwi. Wiatr był tak silny, że krople deszczu wydawały się zamiast pionowo, lecieć zupełnie poziomo”. Koło jednak obracało się dalej, jakby wiatr wcale nie wiał. Pasażerowie poczuli jedynie słabą wibrację. Autor listu do gazety, ewidentnie sam będący inżynierem, ocenił, że wichura odchyliła koło na jeden bok zaledwie o niecałe cztery centymetry.

Pasażerowie patrzyli, jak wiatr wyrywa balon z rąk przytrzymujących go ludzi, na chwilę unosząc w powietrze Morgana. Wicher walił w balon, jakby to był worek treningowy, po czym rozerwał go na kawałki i zaniósł szczątki liczącej 9 tysięcy metrów powłoki na odległość aż ośmiuset metrów.

Morgan przyjął to nieszczęście ze spokojem. „Z pewną przyjemnością obserwowałem nadejście burzy — opowiadał — a widok rozrywanego balonu był jedyny w swoim rodzaju, choć dla ludzi, którzy mieli udział w tym przedsięwzięciu, niewątpliwie bardzo kosztowny”.

Nie wiadomo, czy burza ta miała cokolwiek wspólnego z tym, co wydarzyło się następnego dnia, w poniedziałek 10 lipca, ale zbieżność czasowa wydaje się podejrzana.

W poniedziałek, zaraz po pierwszej po południu, kiedy Burnham nadzorował naprawy, a robotnicy usuwali z terenu wystawy rozrzucone przez burzę szczątki, z kopuły wieży Budynku Chłodni, która paliła się już raz wcześniej, 17 czerwca, zaczął unosić się dym.

Wieża była zbudowana z drewna, a w jej środku biegł wielki żelazny komin, który odprowadzał dym z trzech kotłów umieszczonych w budynku poniżej. Komin kończył się około osiemdziesięciu centymetrów poniżej szczytu wieży, i tam należało zamontować dodatkowo krótką żelazną rurę, aby wyprowadzić opary na zewnątrz. Ta rura była kluczowym elementem projektu Franka Burnhama, gdyż miała chronić drewniane ściany wieży przed rozgrzanymi gazami wydobywającymi się z kominu. Z jakichś jednak powodów wykonawca jej nie zamontował. Tym samym budynek był jak dom, którego komin kończy się nie nad dachem, ale na poddaszu.

Pierwszy alarm dotarł do straży pożarnej wystawy o trzynastej trzydzieści dwie. W stronę ognia ruszyły z turkotem wozy strażackie. Do budynku i na dach weszło dwudziestu strażaków pod dowództwem kapitana Jamesa Fitzpatricka. Z dachu przedostali się do wieży, po czym wspięli się po schodach kolejne dwadzieścia metrów w górę, na zewnętrzny balkon. Za pomocą lin wciągnęli tu wąż i ośmiometrową drabinę. Przymocowali solidnie wąż do wieży.

Fitzpatrick i jego ludzie nie wiedzieli, że pożar, który wybuchł na szczycie wieży, jest w istocie śmiertelną pułapką. Płonące szczątki wpadły w przestrzeń między stalowym kominem a wewnętrzną ścianą, wykonaną z gładkiej, jasnej sośniny. Wzniciły tu ogień, ale ten, w tak ciasnym miejscu, szybko wyczerpał cały dostępny tlen i przygasł. Pozostała po nim jednak rozgrzana plazma, która potrzebowała jedynie dopływu powietrza, żeby wybuchnąć.

Kiedy strażacy na balkonie wieży skoncentrowali się na gaszeniu ognia powyżej, u ich stóp pojawił się niewielki pióropusz białego dymu.

Departament straży pożarnej przyjął drugi alarm o trzynastej czterdzieści jeden i włączył wielką syrenę umieszczoną w Budynku Maszyn. Tysiące zwiedzających ruszyły w kierunku dymu i zapełniły trawniki i ścieżki otaczające budynek. Niektórzy przynieśli z sobą lunch. Na miejsce przybył Burnham, a także Davis. Straż Kolumbijska zaczęła torować drogę dodatkowym wozom strażackim i wozom z drabinami. Pasażerowie na Kole Ferrisa mieli najlepszy i najbardziej przerażający widok na to, co stało się następnie.

„Nigdy dotąd świadkami równie strasznej tragedii nie było tak wielkie morze pełnych cierpienia twarzy” — donosił departament straży pożarnej.

Nagle płomienie pojawiły się na wieży mniej więcej piętnaście metrów poniżej Fitzpatricka i jego ludzi. Świeże powietrze wpadło w przestrzeń między ścianą a kominem. Nastąpił wybuch. Strażacy, według oficjalnego raportu, mieli wrażenie, „jakby zapaliła się zawartość szybu wentylacyjnego otaczającego komin i całe wnętrze wieży w jednej chwili zmieniło się w rozżarzony piec”.

Strażak John Davis stał na balkonie wraz z kapitanem Fitzpatrickiem i resztą kolegów. „Zobaczyłem, że jest tylko jedna szansa ratunku i postanowiłem z niej skorzystać — opowiadał później. — Skoczyłem w kierunku węża i miałem szczęście go złapać. Reszta chłopaków zamarła chyba z przerażenia i nie była w stanie się ruszyć”.

Davis i jeszcze jeden strażak zjechali po wężu na dół. Strażacy na balkonie zorientowali się, że nie mają szans na ucieczkę, i zaczęli się z sobą żegnać. Świadkowie widzieli, jak się obejmują i podają sobie ręce. Kapitan Fitzpatrick chwycił linę i spuścił się po niej przez ogień na dach budynku, gdzie upadł ze złamaną nogą i obrażeniami wewnętrznymi. Połowa jego wspaniałych wąsów została spalona. Inni szukali śmierci, skacząc z balkonu, w niektórych wypadkach przebijając dach budynku.

Komendant straży pożarnej Murphy i dwóch innych strażaków wspięli się na drabinę po Fitzpatricka. Opuścili go na linie do kolegów czekających na dole. Jeszcze żył, ale już dogorywał.

Pożar zabił łącznie dwunastu strażaków i trzech robotników. Fitzpatrick zmarł tego wieczoru, o dziewiątej.

Następnego dnia liczba zwiedzających wystawę przekroczyła 100 tysięcy osób. Dymiące ruiny Budynku Chłodni okazały się wabikiem nie do odparcia.

Koroner natychmiast rozpoczął dochodzenie, podczas którego sąd wysłuchał zeznań Daniela Burnhama, Franka Burnhama, urzędników z Herkules Iron Works i rozmaitych strażaków. Daniel Burnham zeznał, że nie wiedział o poprzednim pożarze ani o braku rury i twierdził, że ponieważ budynek stanowił własność prywatną, nie miał obowiązku nadzoru nad jego budową, wyjąwszy zatwierdzenie planów. We wtorek 18 lipca sędzia postawił jemu, komendantowi straży pożarnej Murphy'emu i dwóm pracownikom Hercules Iron Works zarzuty kryminalnego zaniedbania i przekazał sprawę do rozpatrzenia sądowi przysięgłych.

Burnham był zaskoczony, ale zachował milczenie. „Próba uznania Pana w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialnym za te wypadki śmiertelne jest prawdziwym skandalem — pisał Dion Geraldine, jego kierownik robót. — Ludzie, którzy wydali taki wyrok, musieli być bardzo głupi albo całkowicie źle poinformowani”.

Zgodnie ze zwykłą procedurą Burnham i inni powinni zostać umieszczeni w areszcie do czasu wyznaczenia kaucji, ale w tym wypadku biuro koronera wydawało się nieco zdezorientowane. Szeryf nawet nie próbował aresztować Burnhama, który zaraz następnego ranka wpłacił kaucję.

Kiedy w powietrzu unosił się jeszcze swąd zwęglonego drewna, Burnham przeprowadził inspekcję zewnętrznych promenad na dachach Budynku Transportu oraz Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, a także balkonów i galerii w Budynku Administracyjnym. Obawiał się, że pożar w tych obiektach lub między eksponatami mógłby spowodować panikę zakończoną dużo większą tragedią. Codziennie setki ludzi wychodziły na dach Budynku Rzemiosła i Sztuk

Wyzwolonych, skąd jedyną drogą w dół była winda. Burnham już sobie wyobrażał, jak przerażeni ludzie próbują się ześlizgnąć po oszklonym dachu, który załamuje się pod ich ciężarem i spadają sześćdziesiąt metrów w dół, na podłogę, między eksponaty.

Jakby nie mogło już być gorzej, 18 lipca — tego samego dnia, kiedy sąd zarządził aresztowanie Burnhama — rada nadzorcza wystawy ugięła się pod presją banków i przegłosowała powołanie Komitetu Redukcji Kosztów, wyposażonego w niemal nieograniczoną władzę przy cięciu wydatków na całej ekspozycji. Jego członkami mianowano trzech zimnokrwistych dżentelmenów. Późniejsza uchwała, zatwierdzona przez radę nadzorczą Exposition Company, stwierdzała, że od 1 sierpnia „żadne wydatki związane czy to z budową i konserwacją, czy też prowadzeniem wystawy nie będą ponoszone, jeśli nie zostaną zatwierdzone przez ten komitet”. Od początku było jasne, że pierwszym celem nowego komitetu będzie departament robót, kierowany przez Burnhama.

Równie jasne, przynajmniej dla Burnhama, było to, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje wystawa w chwili, gdy obaj z Milletem walczą o zwiększenie liczby zwiedzających — a była to kampania, która niosła z sobą własne, niezbędne koszty — jest trójka liczykrupów oszczędzająca każdy nowy wydatek. Millet miał kilka niezwykłych pomysłów na imprezy w sierpniu, w tym na wielki bal w Zakątku Uciech, podczas którego organizatorzy wystawy, z Burnhamem włącznie, tańczyliby z kobietami z Dahomeju i algierskimi tancerkami brzucha. To, że komitet uzna nakłady na ten bal i na inne imprezy Milleta za nieuzasadnione, wydawało się pewne. Burnham wiedział jednak, że takie wydatki, jak również dalsze nakłady na policję, usuwanie śmieci oraz naprawę dróg i trawników, są wystawie żywotnie potrzebne.

Obawiał się, że Komitet Redukcji Kosztów nieodwracalnie, na zawsze, okaleczy wystawę.

Miłość

Skutki pożaru Budynku Chłodni były nadal widoczne, kiedy z St. Louis przybyła grupa nauczycielek, której towarzyszył młody dziennikarz. Dwadzieścia cztery nauczycielki wygrały konkurs zorganizowany przez gazetę „St. Louis Republic”, co upoważniało je do pobytu na wystawie na koszt pisma. Wraz z wybranymi przyjaciółmi i członkami rodziny — łącznie grupa liczyła czterdzieści osób — zostały zapakowane do luksusowego wagonu sypialnego o nazwie Benares, dostarczonego przez linie kolejowe Chicago & Alton. Przybyły na chicagowski Union Depot w poniedziałek 17 lipca o ósmej rano i natychmiast powozami udały się do swojego hotelu, Varsity, położonego na tyle blisko terenów wystawy, że z balkonów na pierwszym piętrze mogły podziwiać Koło Ferrisa, dach Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych oraz połączaną głowę „Dużej Mary”.

Towarzyszący im dziennikarz — Theodore Dreiser — był młody i pełen przyciągającej mu uroku pewności siebie, która przyciągała uwagę młodych kobiet. Flirtował ze wszystkimi, ale oczywiście najbardziej pociągała go ta, która wydawała się najmniej nim zainteresowana. Była to niewielka, ładna i powściągliwa Sara Osborne White, którą były konkurent do ręki przezywał „Wiklinką”, z uwagi na jej tendencje do ubierania się na brązowo. Raczej nie była w typie Dreisera, który miał już doświadczenia seksualne i był właśnie w całkowitym fizycznym związku z gospodynią, od której wynajmował pokój. Dla niego Sara White promieniowała „czymś niezwykle intensywnym, co ukrywała roztaczana wokoło atmosfera najwyższej niewinności i panińskiej powściągliwości”.

Dreiser przyłączył się do nauczycielek na Kole Ferrisa i towarzyszył im podczas wizyty na spektaklu Buffalo Billa — kobiety powitał osobiście pułkownik Cody i podał każdej z nich rękę. Towarzyszył paniom również podczas zwiedzania Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, gdzie, jak powiedział, człowiek

„mógł krążyć przez rok i nie poczuć znużenia”. W Zakątku Uciech przekonał Jamesa J. Corbetta, żeby spotkał się z paniami. Corbett był bokserem i pokonał Johna L. Sullivana podczas wielkiego pojedynku we wrześniu 1892 roku, pojedynku, który zawłaszczył sobie nazajutrz całą pierwszą stronę „Chicago Tribune”. Corbett również podał paniom rękę, choć jedna odmówiła jej przyjęcia. Nosiła nazwisko Sullivan.

Dreiser starał się wykorzystać każdą szansę, żeby odseparować pannę White od grupy z „Republic”, którą przezywał „Straszną Czterdziestką”, ale Sara zabrała z sobą siostrę, Rose, co poważnie komplikowało sprawy. Przynajmniej raz Dreiser spróbował pocałować oporną pannę. A ona mu powiedziała, żeby przestał być taki „sentymentalny”.

Nie udało mu się jej uwieść, ale sam padł ofiarą uwiedzenia — uwodzicielką była wystawa. Porwała go, jak to ujął, „w sen, z którego nie byłem w stanie się obudzić przez wiele miesięcy”. Szczególnie pociągające były noce, „kiedy długie cienie łączyły się w jedność, a nad jeziorem i kopułami pałaców Białego Miasta zapalały się gwiazdy”.

Sara White tkwiła w jego myślach jeszcze długo po wyjeździe z wystawy. W St. Louis pisywał do niej i rozpoczął formalne zaloty. W ich trakcie postanowił udoskonalić swoją sztukę pisarską. Porzucił St. Louis i podjął pracę redaktora wiejskiej gazety w Michigan, ale stwierdził szybko, że realia życia w małym miasteczku nie przystają do jego wyobrażeń. Po kilku innych przystankach osiadł w Pittsburghu. Pisywał nadal do Sary White i odwiedzał ją zawsze, gdy przyjeżdżał do St. Louis. Zaproponował jej, żeby usiadła mu na kolanach. Odmówiła.

Jednakże przyjęła jego oświadczenia. Dreiser pokazał jej zdjęcie swojemu przyjacielowi, Johnowi Maxwellowi z „St. Louis Globe-Democrat”. Tam, gdzie Dreiser widział ponętą i tajemniczą kobietę, Maxwell ujrzał tylko bezbarwną nauczycielkę. Próbował ostrzec Dreisera: „Jeśli ożenisz się teraz — i to z konwencjonalną, ograniczoną kobietą, starszą od siebie — będziesz skończony”.

To była dobra rada dla mężczyzny takiego jak Dreiser. Ale Dreiser jej nie przyjął.

Koło Ferrisa stało się ulubionym środkiem lokomocji zakochanych. Pary chciały zawierać ślub w najwyższym punkcie obrotu koła. Luther Rice nigdy nie wyraził na to zgody, ale w dwóch wypadkach, kiedy pary rozesłały już zaproszenia, zgodził się na przeprowadzenie ceremonii ślubu w swoim biurze. Mimo romantycznego potencjału nocne przejażdżki kołem nigdy nie zyskały popularności. Ulubioną godziną była złocista pora między piątą a szóstą po południu.

Holmes, znów wolny i wzbogacony o posiadłość ziemską, przyprowadził na wystawę nową kobietę, Georgiane Yoke, którą poznał na początku tego roku w domu towarowym Schlesinger & Meyer. Pracowała tam jako sprzedawczyni. Georgiana wychowała się we Franklin w stanie Indiana, gdzie mieszkała z rodzicami aż do 1891 roku, kiedy to wyruszyła szukać lepszego i ciekawszego życia w Chicago. Miała dwadzieścia trzy lata, kiedy poznała Holmesa, a jej niewielki wzrost i złociste włosy sprawiały, że wyglądała na jeszcze młodszą, praktycznie dziecko — wyjąwszy może ostre rysy twarzy i inteligencję kryjącą się w ogromnych, błękitnych oczach.

Nigdy wcześniej nie знаła nikogo takiego jak Holmes. Był przystojny, elokwentny i najwyraźniej zamożny. Posiadał nawet posiadłość w Europie. Jednakże było jej go trochę żal. Był taki samotny — cała jego rodzina nie żyła, wyjąwszy jedną ciotkę, która mieszkała w Afryce. Niedawno zmarł jego ostatni wuj i zostawił mu duży spadek, składający się z posiadłości na południu, w Fort Worth w Teksasie.

Holmes podarował jej wiele upominków, wśród nich Biblię, diamentowe kolczyki oraz medalion („małe serduszko wysadzone perłami” — opowiadała).

Na wystawie zabrał ją na Koło Ferrisa, wynajął gondolę, po czym spacerowali ciemnymi, pachnącymi ścieżkami Wyspy Leśnej w miękkim blasku chińskich lampionów.

Poprosił ją, żeby została jego żoną. Zgodziła się.

Ostrzegł jednak, że małżeństwo będzie musiał zawrzeć pod innym nazwiskiem — Henry Mansfield Howard. Tak nazywał się jego nieżyjący wuj, wyjaśnił. Był bardzo przywiązany do swojego nazwiska i zapisał Holmesowi swój

majątek jedynie pod warunkiem, że je przyjmie. Holmes przystał na to, z szacunku dla pamięci wuja.

Burmistrz Harrison również sądził, że jest zakochany. Jego wybranką była panna Annie Howard z Nowego Orleanu. On miał sześćdziesiąt osiem lat i zdołał już owdowieć dwukrotnie. Ona miała dwadzieścia kilka lat — nikt nie wiedział dokładnie ile, ale oceniano, że między dwadzieścia jeden a dwadzieścia siedem. Według jednej z relacji, była „bardzo pulchna” i „pełna życia”. Przyjechała do Chicago na czas wystawy i wynajmowała dom niedaleko rezydencji burmistrza. Swoją czas spędzała na ekspozycji, kupując dzieła sztuki.

Harrison i panna Howard mieli pewne wieści dla miasta, ale burmistrz nie zamierzał ich ogłosić przed 28 października, kiedy na wystawie miał się odbyć Dzień Miast Amerykańskich. W istocie miał to być jego dzień — dwa dni przed oficjalnym zamknięciem imprezy miał stanąć przed kilkoma setkami burmistrzów z całego kraju i napawać się swoją pozycją przywódcy miasta, które zbudowało największą wystawę w dziejach.

Szaleńcy

Dnia 31 lipca 1893 roku, po dwóch przesłuchaniach, Komitet Redukcji Kosztów przekazał swój raport radzie nadzorczej wystawy. Stwierdził w nim, że finansowe zarządzanie ekspozycją „można scharakteryzować jedynie jako karygodnie ekstrawaganckie”. Konieczne były natychmiastowe drastyczne cięcia w wydatkach i zatrudnieniu. „Jeśli chodzi o Departament Robót, właściwie nie mamy pojęcia co powiedzieć — głosił raport. — Nie mieliśmy dość czasu, żeby zagłębić się w szczegóły, ale odnieśliśmy nieodparte wrażenie, że prowadzony jest — tak obecnie, jak i w przeszłości — zgodnie z ogólną zasadą, że pieniądze nie mają znaczenia”.

Komitet Redukcji Kosztów postawił sprawę jasno. Sukces finansowy wystawy, przynajmniej w oczach trzech członków komitetu, jest równie ważny jak jej oczywisty sukces estetyczny. Honor czołowych obywateli Chicago, którzy byli dumni ze swojej pozbawionej sentymentów — niektórzy mogliby wręcz powiedzieć bezwzględnej — pogoni za maksymalnym zyskiem, był zagrożony. Raport stwierdzał na zakończenie: „Jeśli nie mamy się okryć publiczną hańbą jako przedsiębiorcy, należy zdecydowanie i ostro zająć się tą kwestią”.

W osobnych oświadczeniach Komitet Redukcji Kosztów nalegał, aby rada nadzorcza przekształciła go w ciało stałe i powierzyła mu prawo do zatwierdzania lub odrzucania wszelkich wydatków wystawy, bez względu na ich wielkość.

Było to zbyt wiele, nawet dla twardych biznesmenów zasiadających w radzie nadzorczej. Prezes Higinbotham oświadczył, że pręcej zrezygnuje ze stanowiska niż powierzy komuś taką władzę. Inni członkowie rady zareagowali podobnie. Dotknięci tą odmową trzech członkowie Komitetu Redukcji Kosztów sami złożyli rezygnację. Jeden z nich powiedział dziennikarzowi: „Gdyby rada była zdolna utrzymać komitet wraz z pierwotnie planowanymi dla niego uprawnieniami, poleciałoby dość głów, żeby wypełnić basen na głównym dziedzińcu [...]”.

Raport komitetu był zbyt ostry, zbyt wiele ganił w czasie, gdy w całym Chicago panował nastrój powszechnej radości, że w ogóle udało się zbudować wystawę i że okazała się piękniejsza niż wszyscy oczekiwali. Nawet Nowy Jork przeprosił — w każdym razie uczynił to jeden z nowojorskich wydawców. W czwartek 10 sierpnia 1893 roku Charles T. Root, wydawca „New York Dry Goods Reporter”, w ogóle niespokrewniony z nieżyjącym współnikiem Burnhama, opublikował artykuł wstępny, w którym przypominał kpiny i wrogość, jaką okazywała Chicago nowojorska prasa od chwili, gdy to miasto wygrało prawo do zbudowania wystawy. „Setki gazet, wśród nich wiele najsilniejszych gazet codziennych ze Wschodniego Wybrzeża, okazywały rozbawienie z powodu niezwykle zabawnego pomysłu, że to prymitywne, nowobogackie, pakujące mięso miasto ma zaplanować i zbudować prawdziwą wystawę światową [...]”. Utyskiwania ucichły, pisał, ale jak dotąd niewielu utyskiwaczy poczyniło *amende honorable*, które ewidentnie należało się Chicago. Poglębił jeszcze swoją herezję, dodając, że gdyby Nowy Jork uzyskał prawo do organizacji wystawy, na pewno nie dokonałby tak wspaniałej rzeczy. „Na ile zdołałem zaobserwować, Nowy Jork nigdy nie poświęca się swoim przedsięwzięciom tak całkowicie jak Chicago, a bez podobnego wspaniałego zwarcia szeregów, prestiżu, wyższości finansowej i tego typu rzeczy nie zdołałby dorównać Białemu Miastu”. Nadszedł czas, napisał, aby wyznaczyć prawdę: „Chicago rozczarowało swoich wrogów i zaskoczyło świat”.

Żaden z członków rady nadzorczej wystawy ani dyrektorów departamentów nie miał jednak złudzeń. Frekwencję, wprawdzie stale rosnącą, należało zwiększyć jeszcze bardziej, i to szybko. Tylko trzy miesiące pozostały do uroczystego zamknięcia, wyznaczonego na 30 października. (Zamknięcie miało się odbyć ostatniego dnia października, czyli 31, ale jakiś niezidentyfikowany wyrobnik rządu federalnego uznał, że październik ma tylko trzydzieści dni.)

Rada nadzorcza nalegała na linie kolejowe, żeby obniżyły ceny. „Chicago Tribune” uczyniła z redukcji cen biletów kolejowych krucjatę i wprost atakowała przedsiębiorstwa kolejowe. „Zachowują się niepatriotycznie, gdyż jest to wystawa krajowa, a nie lokalna — głosił artykuł wstępny z 11 sierpnia 1893 roku. — Są również całkowicie i beznadziejnie samolubne”. Następnego dnia gazeta wybrała sobie na cel szczególnie złośliwej oceny Chaunceya Depewa, prezesa linii New York Central: „Pan Depew przez cały czas pozował na szczególnego przyjaciela wystawy światowej i hojnie deklarował, że jego linie wspomogą ją i umożliwią

przybycie na miejsce dziesiątkom tysięcy ludzi spoza Niagara Falls [...]”. A przecież Depew nie wypełnił swojej obietnicy. „Pan Chauncey Depew powinien przedłożyć swoją rezygnację z pozycji adoptowanego syna Chicago. Chicago nie chce już o nim słyszeć”.

Tymczasem Frank Millet, dyrektor ceremonii, zwiększył wysiłki, żeby promować wystawę i organizował coraz więcej egzotycznych uroczystości. Przeprowadził wyścigi łodzi w basenie przy Dziedzińcu Honorowym — startowali w nich przeciw sobie mieszkańcy różnych wiosek z Zakątka Uciech. Co wtorek wieczorem staczali też przeciw sobie bitwę w jednostkach pływających charakterystycznych dla swojej ojczyzny. „Chcemy zorganizować coś, co ożywi laguny i basen — powiedział Millet w wywiadzie. — Ludzie mają dosyć oglądania elektrycznych łódek. Jeśli uda nam się skłonić Turków, wyspiarzy z mórz południowych, Syngalezów, Eskimosów i amerykańskich Indian, by wypłynęli na wielki basen w swoich narodowych łodziach, z całą pewnością będzie to rzecz nowa i bardzo interesująca”.

Millet zorganizował również pojedynki pływackie między „typami” z Zakątka Uciech, jak to określała prasa. Odbływały się one w piątki. Pierwszy wyścig przeprowadzono 11 sierpnia na lagunie, a rywalizowali między sobą Zulusi i Indianie z Ameryki Południowej. W szranki wstąpili też Dahomejczycy oraz Turcy, „niektórzy włochaci jak goryle” — stwierdziła „Tribune” z antropologicznym zapamiętaniem typowym dla tej epoki. „Wyścigi są godne uwagi ze względu na brak ubioru u zawodników oraz na powagę, z jaką podchodzą do wygrania 5 dolarów w złocie”.

Wspaniałym osiągnięciem Milleta był wielki bal w Zakątku Uciech, wydany w środę 16 sierpnia wieczorem. „Tribune” nazwała go „Balem dziwołagów” i rozbudzała apetyt zwiedzających artykułem wstępnym, w którym najpierw poruszono sprawę rosnącej wrzawy w Damskiej Radzie Wystawy, dotyczącej tancerek brzucha. „Czy obawy tych dobrych pań [...] są spowodowane obrazą moralności, czy przewidywaniem, że tancerki dostaną skrętu kiszek, jeśli będą czynić takie wygibasy, nie jest jasne, niemniej zajęły stanowisko, że rzeczy, które są zwyczajne nad brzegami Nilu czy na targach Syrii, nie przystoją w Zakątku Uciech, ciągnącym się między parkami Jacksona a Waszyngtona”.

A tymczasem, dodawała „Tribune”, tancerki brzucha i wszystkie inne zepsute, bezwstydnne, na wpół rozebrane kobiety z Zakątka Uciech zostały zaproszone na wielki bal, gdzie, jak należy się spodziewać, będą tańczyć z organizatorami

wystawy, w tym z samym Burnhamem i Davisem. „A zatem, jak się zdaje, zaistniała sytuacja pełna przerażających możliwości — pisała gazeta. — Niewątpliwie spowoduje ona dreszcze we wspólnym łonie Damskiej Rady Wystawy, gdy panie zajmą się rozważaniem, co się stanie, kiedy dyrektor generalny Davis stanie w pierwszej parze z jakąś fascynującą Fatimą, a ona dostanie skrętu kiszek w samym środku tańca. Albo jeśli [Potter] Palmer ruszy w tany z jakąś kapłanką ze świątyni Luksoru, a ona dostanie tej samej dolegliwości. Albo jeśli burmistrz Harrison, który należy do wszystkich narodów, ze wszystkimi zatańczy. Czy panowie będą powstrzymywać wygibasy swoich partnerek protestami lub siłą, czy też idąc za panującą w ich krajach modą, sami również spróbują orientalnych figur? Przypuśćmy, że prezes Higinbotham znajdzie się vis-à-vis namaszczonej olejkiem, półnagiej piękności z Fidżi albo dahomejskiej amazonki wykonującej skomplikowane kroki tańca kanibali — czy ma ją naśladować, czy zaryzykować głowę przy próbach jej powstrzymania?”

Imprezie dodatkowego smaczku dodała obecność w parku Jacksona George'a Francisa Traina — zwanego powszechnie „Obywatелеm Trainem” — w białym garniturze, czerwonej szarfi i czerwonym tureckim fezie, którego Millet wybrał na gospodarza balu, a także wyścigów łodzi, zawodów pływackich i wszystkich innych imprez, jakie tylko zdołał zorganizować. Train był jedną z najslawniejszych osób tamtych czasów, choć nikt tak naprawdę nie wiedział dlaczego. Mówiło się, że stanowił pierwowzór postaci Phileasa Fogga, globtrotera opisanego w książce *W 80 dni dookoła świata*. Sam Train utrzymywał, że prawdziwym powodem zaproszenia go na wystawę była chęć ocalenia jej za pomocą jego parapsychologicznych zdolności do podniesienia frekwencji. Zdolności te zbierały się w jego ciele w postaci energii elektrycznej. Wędrował po terenie ekspozycji, pocierając dłonie, aby oszczędzać tę energię i odmawiał podawania ludziom ręki, gdyż mogłoby to umniejszyć jego moc. „Chicago zbudowało wystawę. Wszyscy inni próbowali ją zabić. Ale Chicago ją zbudowało, a ja jestem tutaj, żeby ją ocalić, i niech mnie powieszają, jeśli tego nie dokonam” — powiedział.

Bal odbył się w Natatorium, dużym budynku w Zakątku Uciech, gdzie można było pływać i zażywać kąpeli. Znajdowała się tutaj również sala balowa i bankietowa. Z sufitu spływały żółto-czerwone flagi, a w galeriach wychodzących na salę balową zarezerwowano łoża dla organizatorów wystawy i najlepszych rodzin z towarzystwa. Burnham otrzymał taką łożę, podobnie jak Davis, Higinbotham

i oczywiście Palmerowie. W galeriach znajdowały się też miejsca siedzące i stojące dla gości płacących za wejściówki. Na barierkach łóż zawieszono trójkąty z jedwabiu haftowanego w złote arabeski, które połyskiwały w świetle umieszczonych obok żarówek. Uzyskano dzięki temu efekt niedającego się opisać przepychu, choć Komitet Redukcji Kosztów na pewno nie zaaprobowałby tego wydatku.

Tego wieczoru o dziewiątej piętnaście „Obywatel Train” — ubrany jak zwykle na biało, ale tym razem, z jakichś powodów, dźwigający naręcze pachnącego groszku — poprowadził pochód egzotycznych, często bosonogich gości po schodach Natatorium do sali balowej poniżej. Trzymał za rękę dziesięcioletnią meksykańską baletniczkę, a za nim postępowali mężczyźni i kobiety w strojach właściwych dla ich narodów. Sol Bloom pilnował porządku na parkiecie.

Oficjalny program balu dedykował kolejne tańce poszczególnym gościom i urzędnikom. Przewodniczący Davis miał poprowadzić kadryla, Burnham taniec „Berlin”, a burmistrz Harrison — polkę. Po zakończeniu tańców goście mieli odśpiewać *Home Sweet Home*.

Było gorąco. Wódz Siuksów, Deszcz w Twarz, który niegdyś zabił brata Custer, a teraz zajmował chatę Siedzącego Byka w Zakątku Uciech, miał twarz pomalowaną zieloną farbą, która powoli zaczęła spływać. Lapończyk był ubrany w koszulę z futra. Eskimoskie kobiety miały na sobie bluzki ze skóry morsa. Maharadża z Kapurthali, który w tym tygodniu przyjechał na wystawę z Indii, siedział na prowizorycznym tronie na podium w sali balowej, wachlowany przez trzech służących.

Sala była pełna barw i ruchu. Japończycy w czerwonym jedwabiu. Beduini odziani na czerwono i czarno. Rumuni w czerwieni, błękicie i żółci. Kobiety, które zwykle nie nosiły na sobie niemal nic — jak Aheze z Amazonii czy Zahtobe z Dahomeju — dostały krótkie spódniczki uszyte z małych flag amerykańskich. „Tribune” w niezamierzonej parodii własnego zamięłowania do opisywania strojów bogaczy podała, że Lola, wyspiarka z mórz południowych, miała na sobie „narodowy strój z kory z dużym dekoltem i bez rękawów”. W miarę upływu nocy i konsumpcji wina kolejka do tańca z Lolą rosła. Tancerki brzucha przybyły, niestety, w sukniach i turbanach. Mężczyźni w czarnych frakach krążyli po parkiecie, „wirując z czarnymi amazonkami o bujnych włosach i w naszyjnikach z żębów”. Chicago — a być może i świat — nigdy nie widziało niczego podobnego.

„Tribune” nazwała bal „najdziwniejszym zgromadzeniem od czasu zniszczenia Wieży Babel”.

Oczywiście podano posiłek. Oficjalne menu wyglądało następująco:

DODATKI

gotowane ziemniaki à la Wioska Irlandzka
międzynarodowa siekanina à la Zakątek Uciech

BUFET

pieczony misjonarz à la Dahomej, Zachodnie Wybrzeże Afryki
suszony bizon à la Wioska Indiańska
nadziewany struś à la Farma Strusia
gotowane garby wielbłąda à la Ulica Kairska
potrawka z małpy à la Hagenbeck

PRZYSTAWKI

potrawka z renifera à la Laponia
pieczone śnieżki à la Tor Lodowy
skryształizowany napój mrożony z wystawy szkła Libby

CIASTA

wietrzne pączki à la Balon na Uwięzi
wybór kanapek przygotowanych specjalnie przez Wystawę WYROBÓW SKÓRZANYCH

A na deser program proponował „dwadzieścia pięć procent wpływów brutto”.

Bal zakończył się o wpół do piątej nad ranem. Egzotyczni goście wracali powoli do *Zakątka Uciech*. Pozostali wsiedli do powozów i zasnęli albo nucili ci-chutko After the Ball — przebój tego dnia — kiedy woźnice rozwozili ich do domu po pustych ulicach rozbrzmiewających echem stukotu końskich kopyt.

Bal i inne pomysły Franka Milleta stworzyły na wystawie nieco bardziej szaloną, weselszą atmosferę. W dzień mogła się stroić w skromną suknię bieli, ale w nocy tańczyła boso i żłopała szampana.

Frekwencja rosła. W sierpniu dziennie odwiedzały ekspozycję średnio 112 403 osoby — wreszcie przekraczając ten żywotny próg 100 tysięcy. Zapas był jednak niewielki. Szczególnie że kryzys gospodarczy pogłębiał się z każdym dniem, a sytuacja na rynku pracy zrobiła się płynna.

Dnia 3 sierpnia padł duży chicagowski bank, Lazarus Silverman. Firma Burnhama od dawna była jego klientem. W nocy 10 sierpnia Charles J. Eddy, były dyrektor zbankrutowanych linii kolejowych Reading Railroad, jednej z pierwszych ofiar paniki, przyszedł do parku Waszyngtona, położonego na północnym krańcu bulwaru Midway, i się zastrzelił. Oczywiście mieszkał w hotelu Metropole. Było to w tym roku trzecie samobójstwo wśród gości hotelu. Burmistrz Harrison ostrzegał, że szeregi bezrobotnych wzrosły do alarmującego poziomu. „Jeśli Kongres nie da nam pieniędzy, będziemy mieli zamieszki, które wstrząsną całym krajem” — powiedział. Dwa tygodnie później robotnicy starli się z policją przed ratuszem. Była to niewielka konfrontacja, ale „Tribune” określiła ją jako rozruchy. Kilka dni później 25 tysięcy bezrobotnych robotników zebrało się nad brzegiem jeziora w centrum miasta i wysłuchało mowy Samuela Gompersa, wygłoszonej z wozu dla mówców numer pięć. Gompers zapytał: „Dlaczego bogacze tego kraju siedzą w bankach i windach, gdy niezatrudnieni robotnicy włączają się po ulicach, a próźniacy, którzy gromadzą złoto tylko po to, żeby wydać je na rozpustę, rozbijają się w pięknych powozach, z których przyglądają się naszym pokojowym spotkaniom i nazywają je rozruchami?”

Dla przemysłowców i księży handlu z Chicago, którzy dowiedzieli się o mowie Gompersa z niedzielnych gazet, było to szczególnie niepokojące pytanie, ponieważ zapowiadało żądania czegoś znacznie więcej niż tylko pracy. Gompers nawoływał do fundamentalnej zmiany w relacjach między robotnikami a ich nadzorcami.

Była to niebezpieczna mowa, której skutki za wszelką cenę należało stłumić.

Prendergast

To było podniecające — ta perspektywa zostania jednym z najważniejszych urzędników w mieście. Wreszcie Prendergast mógł zostawić za sobą zimne poranki, brudne ulice i wstrętnych gazeciarzy, którzy go nie słuchali i ciągle mu dokuczali. Jednakże zaczynał się niecierpliwić. Jego nominacja na dyrektora wydziału prawnego miasta powinna już nadejść.

Pewnego popołudnia, w pierwszym tygodniu października, Prendergast pojechał tramwajem do ratusza, żeby obejrzeć swoje przyszłe biuro. Odszukał odpowiedniego urzędnika i się przedstawił.

Niesamowite, ale urzędnikowi jego nazwisko nic nie powiedziało. A kiedy Prendergast wyjaśnił, że burmistrz Harrison planuje mianować go nowym dyrektorem wydziału prawnego, zaczął się śmiać.

Prendergast uparł się, że chce porozmawiać z obecnym dyrektorem, Krausem. Z pewnością Kraus będzie wiedział, kim jest.

Urzędnik poszedł po Krausa.

Ten wyszedł ze swojego biura i wyciągnął rękę. Przedstawił Prendergasta pracownikom jako swojego „następcę” na stanowisku. Nagle wszyscy zaczęli się uśmiechać.

Początkowo Prendergast sądził, że są to uśmiechy uznania, że wkrótce to on będzie kierował wydziałem, ale nagle się zorientował, że oznaczały zupełnie coś innego.

Kraus zapytał, czy chce zaraz przejąć stanowisko.

„Nie — odparł Prendergast. — Mnie się nie spieszy”.

Nie była to prawda, ale to pytanie poruszyło Prendergasta. Nie podobał mu się sposób, w jaki Kraus je zadał. W ogóle mu się nie podobał.

Nadchodzi triumf

O dziesiątej rano w poniedziałek 9 października 1893 roku, dnia, który Frank Millet wyznaczył na Dzień Chicago, kasjerzy przy bramie wystawy przy Sześćdziesiątej Czwartej obliczyli kontrolnie swoją sprzedaż i stwierdzili, że przez to jedno wejście przeszło do tej pory 60 tysięcy zwiedzających. Wiedzieli z doświadczenia, że w zwykłe dni ich sprzedaż biletów stanowi mniej więcej jedną piątą sprzedaży całkowitej, stąd oszacowali, że do parku Jacksona weszło już 300 tysięcy ludzi — więcej niż w jakimkolwiek innym dniu do wieczora. Taka sprzedaż zbliżała się już do światowego rekordu frekwencji, czyli 397 tysięcy zwiedzających, który należał do wystawy w Paryżu. A przecież dzień dopiero się zaczynał. Kasjerzy wyczuli, że dzieje się coś niezwykłego. Napływ zwiedzających zdawał się z każdą godziną zwiększać. Przy niektórych kasach liczba gości wzrosła tak bardzo i tak szybko, że na podłodze zaczęły się tworzyć srebrne stosy monet, w których tonęły stopy kasjerów.

Millet i inni organizatorzy spodziewali się wysokiej frekwencji. Chicago było dumne ze swojej wystawy, a wszyscy wiedzieli, że jeszcze tylko trzy tygodnie zostały do jej ostatecznego zamknięcia. Aby zapewnić maksymalną frekwencję, burmistrz Harrison wydał oficjalną odezwę, proszącą, żeby wszystkie przedsiębiorstwa zawiesiły działanie na ten jeden dzień. Zamknęły się sądy, podobnie jak Izba Handlowa. Wystawie pomogła też pogoda. Poniedziałek był dniem rześkim jak jabłko, temperatura nie przekraczała siedemnastu stopni, a niebo miało jaskrawy, ciemnoniebieski kolor. Wszystkie hotele były wypełnione do granic możliwości, a nawet bardziej — niektórzy kierownicy byli zmuszeni wstawiać łóżka polowe do recepcji i korytarzy. Wellington Catering Company, która obsługiwała osiem restauracji i czterdzieści bufetów na terenie parku Jacksona, przygotowała się na ten dzień, wysyłając w dwóch wagonach kolejowych ziemniaki, 4 tysiące półbeczek piwa, 57 tysięcy litrów lodów i 18 tysięcy kilogramów

mięsa. Jej kucharze przygotowali 200 tysięcy kanapek z szynką i 400 tysięcy filiżanek kawy.

Jednakże nikt nie spodziewał się aż takiego natłoku zwiedzających. W południe szef kas, Horace Tucker, wysłał telegram do zarządu wystawy: „Paryski rekord został zrównany z ziemią, a ludzie dalej przychodzą”. Jeden kasjer, L. E. Decker, siostrzeniec Buffalo Billa, który od ośmiu lat sprzedawał bilety na spektakl o Dzikim Zachodzie, sprzedał podczas swojej zmiany 17 843 bilety, najwięcej ze wszystkich, i wygrał nagrodę ufundowaną przez Horace'a Tuckera, pudełko cygar. Wszystkie krzesła w centrali Straży Kolumbijskiej zajmowały zgubione dzieci (dziewiętnastcioro spędziło tam noc i zostało odebrane przez rodziców dopiero następnego ranka). Pięć osób zginęło na terenie wystawy lub w jej pobliżu, w tym robotnik pomagający przygotować planowany na wieczór pokaz fajerwerków oraz pewien zwiedzający, który wysiadł z jednego tramwaju prosto pod koła drugiego. Pewna kobieta straciła stopę, kiedy napierający tłum zrzucił ją z platformy wagonu kolejowego. George Ferris, który tego dnia przejechał się swoim kołem, spojrzął w dół i wykrztusił: „Tam jest chyba z milion osób!”.

Fajerwerki zaczęły się punktualnie o ósmej wieczorem. Millet zaplanował wyszukany pokaz „stałych” fajerwerków, czyli ogni sztucznych przymocowanych do wielkich metalowych ram i tworzących rozmaite portrety i żywe obrazy. Pierwszy przedstawiał wielki pożar z 1871 roku, w tym krowę pani O'Leary przewracającą lampę naftową, co podobno wywołało to tragiczne wydarzenie. Noc rozbrzmiewała eksplozjami i sykiem fajerwerków. Na finał pirotechnicy odpalili prosto w czarne niebo nad jeziorem 5 tysięcy rakiet naraz.

Prawdziwy punkt kulminacyjny nadszedł jednak już po zamknięciu wystawy dla zwiedzających. W ciszy, w powietrzu nadal pachnącym prochem, inkasenci, którym towarzyszyli uzbrojeni strażnicy, odwiedzili wszystkie kasy i zabrali utarg, łącznie trzy tony srebrnych monet. Przeliczyli pieniądze, pozostając pod silną strażą. O pierwszej czterdzieści pięć w nocy podali dokładną wartość wpływów.

Ferris określił liczbę zwiedzających prawie dokładnie. Tego jednego dnia za wstęp do parku Jacksona zapłaciło 713 646 ludzi (tylko 31 059 z nich — czyli cztery procent — stanowiły dzieci). Kolejnych 37 380 zwiedzających weszło na przepustki, podnosząc liczbę zwiedzających do 751 026 osób. Było to więcej ludzi niż kiedykolwiek w historii przyszło jednego dnia na pokojową imprezę.

Zdaniem „Tribune”, jedynym większym zgromadzeniem była armia Kserksesa licząca ponad 5 milionów ludzi, zebrana w piątym wieku przed naszą erą. Paryski rekord, wynoszący zaledwie 397 tysięcy osób, rzeczywiście został zrównany z ziemią.

Kiedy ta wieść dotarła do „chałupy” Burnhama, przez całą noc trwały wiwaty, lał się szampan i snuto opowieści. Ale najlepsza wiadomość nadeszła następnego dnia, kiedy zarząd World s Columbian Exposition Company, którego przechwałki powszechnie wyśmiewano, przekazał Illinois Trust and Savings Company czek na kwotę 1.5 miliona dolarów i tym sposobem spłacił ostatni z długów wystawy.

„Wietrzne Miasto” zwyciężyło.

Burnham i Millet zaczęli teraz przygotowania do wielkiego dnia Burnhama, czyli do uroczystości zamknięcia wystawy, wyznaczonej na 30 października. Wydarzenie to miało ostatecznie potwierdzić, że Burnham dotrzymał słowa, a jego praca wreszcie się zakończyła — że po raz pierwszy nie miał już tutaj nic do roboty. Burnham wierzył, że w tym momencie nic nie przyćmi triumfu wystawy ani jego własnej pozycji w historii architektury.

Wyjazdy

Frank Millet miał nadzieję, że uroczystość zamknięcia wystawy przyciągnie jeszcze więcej ludzi niż Dzień Chicago. Kiedy snuł swoje plany, wielu ludzi, którzy pomagali Burnhamowi w tym wielkim przedsięwzięciu, zaczęło wracać do normalnego życia.

Charles McKim niechętnie porzucał wystawę. Dla niego była jasnym światłem, które na jakiś czas rozwiało cienie zalegające w jego życiu. Opuścił park Jacksona nagle, rankiem 23 października, i jeszcze tego samego dnia napisał do Burnhama: „Wie Pan, jak nie lubię się żegnać, i zapewne był Pan przygotowany na mój dzisiejszy wyjazd. Jeśli powiem, że jest mi przykro opuszczać Was wszystkich, będzie to jedynie wielkim omówieniem.

Podarowaliście mi wspaniały okres, a ostatnie dni wystawy na zawsze pozostaną w mojej pamięci, podobnie jak te pierwsze, szczególnie te związane z Pana osobą. Miło będzie móc przez resztę życia, jakie nam pozostało, wspominać to wydarzenie i rozmawiać o tym wszystkim bez końca i, rzecz jasna, nie muszę chyba zaznaczyć, że może Pan na mnie liczyć pod każdym względem i tak często, jak tylko będę Panu potrzebny”.

Następnego dnia McKim napisał do przyjaciela w Paryżu o coraz bardziej rozpowszechnionym w Chicago przekonaniu, które podzielał i on, i Burnham, że wystawa była zbyt wielkim cudem, żeby po oficjalnym zamknięciu, które miało nastąpić zaledwie za sześć dni, 30 października, pozwolić jej po prostu popaść w ruinę. „Ambicją wszystkich zainteresowanych jest usunięcie jej w taki sam czarodziejski sposób, w jaki wyrosła. Z powodów finansowych, jak również z innych oczywistych powodów, proponowano wysadzenie budynków w powietrze za pomocą dynamitu. Innym pomysłem jest zniszczenie ich za pomocą ognia. Ten ostatni sposób byłby najłatwiejszy i stanowiłby sam w sobie wspaniałe widowisko, wyjąwszy niebezpieczeństwo zaproszenia ognia w wypadku wiatru od jeziora”.

Ani McKim, ani Burnham tak naprawdę nie sądzili, że wystawa powinna być spalona. Budynek zaprojektowano w taki sposób, żeby zmaksymalizować wartość materiałów odzyskiwanych przy rozbiórce. Rozmowy o podpaleniu służyły raczej stłumieniu rozpaczy, że oto sen dobiega końca. Nikt nie mógł znieść myśli, że Białe Miasto miałooby trwać puste i opuszczone. Dziennikarz z „Cosmopolitan” napisał: „Lepiej, żeby zniknęło nagle, w błysku chwały, zamiast popadać stopniowo w ruinę. Nie ma bardziej melancholijnego widoku niż odświetna sala nazajutrz po bankiecie, kiedy goście już wyszli, a światła pogasły”.

Później te rozważania o pożarze zaczęły się wydawać proctwem.

Olmsted również zrywał więź. Pod koniec lata napięty harmonogram prac i okropny upał spowodowały kolejne załamanie jego zdrowia i znów uruchomiły jego bezsenność. Miał w realizacji wiele projektów, z których najważniejszym było Biltmore, ale czuł, że zbliża się już do kresu swojej kariery. Miał siedemdziesiąt jeden lat. Dnia 6 września 1893 roku napisał do przyjaciela, Freda Kingsbury'ego: „Nie mogę przyjechać do Ciebie, często więc marzę o przejażdżce po naszych starych miejscach i spotkaniu z Tobą i innymi, ale w dużym stopniu poddałem się już losowi. Muszę wlec się swoją ścieżką aż do końca”. Pozwolił sobie jednak również na rzadkie u niego okazanie satysfakcji: „Cieszę się z moich dzieci — wyjaśniał Kingsbury'emu. — Są jednym z centrów mojego życia, drugim jest ulepszanie krajobrazu i sprawianie, że ludzie zaczynają się nim cieszyć. Mimo moich słabości, które prześladują mnie okrutnie, nie powinno się o mnie myśleć jak o nieszczęśliwym starcu”.

Louis Sullivan, syty chwały i nagród za swój Budynek Transportu — szczególnie jego Złote Drzwi — znów podjął współpracę z Dankmarem Adlerem, ale w zmienionych okolicznościach. Pogłębiająca się recesja i błędne kroki podjęte przez obu partnerów spowodowały, że firma miała niewiele zleceń. W całym 1893 roku ukończyli tylko dwa budynki. Sullivan, który nigdy nie był łatwy dla swoich współpracowników, wpadł we wściekłość, kiedy odkrył, że jeden z młodszych architektów firmy w wolnym czasie projektuje domy dla własnych klientów. Natychmiast go wyrzucił.

Tym młodym człowiekiem był Frank Lloyd Wright.

Zatrudnienie na wystawie straciło również dziesięć tysięcy robotników i wróciło do świata, w którym nie było pracy, w dodatku już pełnego bezrobotnych. Po zamknięciu ekspozycji na ulicach Chicago miało się znaleźć wiele tysięcy kolejnych. Zagrożenie rozruchami stało się równie ewidentne jak pogłębiający się chłód jesieni. Burmistrz Harrison był pełen współczucia i robił, co mógł. Zatrudnił tysiące ludzi przy sprzątaniu ulic i polecił komisariatom, żeby w nocy przyjmowały bezdomnych szukających miejsca do spania. Chicagowska „Commercial and Financial Chronicle” donosiła: „Nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy tak nagłego i ostrego zatrzymania działalności przemysłowej”. Produkcja surówki spadła o połowę, a budowy nowych linii kolejowych niemal stanęły w miejscu. Zapotrzebowanie na wagony dla pasażerów udających się na wystawę oszczędziło Pullman Works, ale pod koniec imprezy również i George Pullman zaczął redukować pensje i zatrudnienie. Nie obniżył jednak czynszów w swoim firmowym miasteczku.

Białe Miasto przyciągało ludzi i chroniło ich. A teraz, na progu zimy, Czarne Miasto witało ich z powrotem brudem, głodem i przemocą.

Holmes również wyczuł, że czas opuścić Chicago. Naciski ze strony wierzycieli i rodzin zaczynały być zbyt mocne.

Najpierw podłożył ogień na najwyższym piętrze swojego „zamku”. Płomienie wyrządziły minimalne szkody, ale i tak złożył wniosek o 6 tysięcy dolarów odszkodowania z polisy wykupionej przez swoje nieistniejące alter ego, Hirma S. Campbella. Inspektor z firmy ubezpieczeniowej, F. G. Cowie, nabrał podejrzeń i rozpoczął drobiazgowo badania. Chociaż nie znalazł żadnych konkretnych dowodów podpalenia, był przekonany, że to Holmes albo jego wspólnik podłożył ogień. Doradził firmie ubezpieczeniowej, żeby wypłaciła odszkodowanie jedynie bezpośrednio Hiramowi S. Campbellowi, i to pod warunkiem, że stawi się osobiście.

Holmes nie mógł sam się zgłosić po pieniądze, gdyż Cowie go znał. W zwykłych okolicznościach zatrudniłby kogoś, kto podałyby się za Campbella i odebrał

odszkodowanie, ale ostatnio robił się coraz bardziej ostrożny. Opiekunowie Minnie Williams wysłali prawnika, niejakiego Williama Cappa, żeby odszukał dziewczynę i chronił jej majątek. Opiekun Anny, wieloletni doktor Black, wynajął prywatnego detektywa, który odwiedził budynek Holmesa. A od Cigrandów, Smythe'ów i innych rodzin ciągle przychodziły listy. Nikt jeszcze nie oskarżył Holmesa o oszustwo, ale ta nowa fala poszukiwań była większa i bardziej — choć nie wprost — oskarżycielska niż wszystko, czego dotąd doświadczył. Hiram S. Campbell nigdy nie zgłosił się po odszkodowanie.

Ale Holmes przekonał się, że śledztwo Cowie'a miało też drugi, bardziej niszczący skutek. Kiedy inspektor szukał informacji o Holmesie, przy okazji pobudził i zjednoczył jego wierzycieli — sprzedawców mebli i stali, producentów rowerów i robotników budowlanych, których młody doktor oszukał w ciągu ostatnich pięciu lat. Wierzyciele zatrudnili prawnika o nazwisku George B. Chamberlin, radcę prawnego chicagowskiej Lafayette Collection Agency, który prześladował Holmesa od chwili, gdy ten nie zapłacił firmie produkującej piece za przeróbki swojego urządzenia. W późniejszym okresie Chamberlin miał twierdzić, że był pierwszym człowiekiem w Chicago podejrzewającym, że Holmes jest przestępcą.

Jesienią 1893 roku Chamberlin skontaktował się z Holmesem i zaprosił go na spotkanie w swoim biurze. Holmes sądził, że porozmawiają tylko we dwóch, w cztery oczy, ale kiedy przybył na miejsce, stwierdził, że czeka już na niego dwudziestu wierzycieli z adwokatami oraz jeden śledczy z policji.

Ta sytuacja go zaskoczyła, ale nie zbiła z tropu. Podał rękę swoim wierzycielom i patrzył im prosto w oczy, mimo objawów ich wściekłości. Temperatura spotkania natychmiast schłodziła się o kilka stopni. Potrafił wywierać na ludzi taki wpływ.

Chamberlin planował, że to spotkanie będzie pułapką, która zburzy nieprzeniknioną fasadę, za którą krył się Holmes. Wielkie wrażenie uczyniła na nim zdolność tego człowieka do zachowania beztrioski mimo nienawiści, jaka wypełniała pokój. Poinformował Holmesa, że łącznie jest winien swoim wierzycielom 50 tysięcy dolarów.

Holmes przybrał poważny wyraz twarzy. Rozumiał, że są zaniepokojeni, i wyznał swoje przewiny. Ambicja kazała mu wykroczyć poza swoją płynność finansową. Wszystko byłoby dobrze i wszystkie długi zostałyby spłacone, gdyby nie panika z 1893 roku, gdyż to ona go zrujnowała i zniszczyła wszystkie jego nadzieje, podobnie jak nadzieje niezliczonych przedsiębiorców w Chicago i w całym kraju.

Chamberlin z niedowierzaniem zauważył, że niektórzy wierzyciele kiwają głowami ze współczuciem.

W oczach Holmesa pojawiły się łzy. Zaoferował swoje najgłębsze, płynące ze szczerego serca przeprosiny. A także zaproponował rozwiązanie. Mianowicie wyrówna długi, oferując wierzycielom hipotekę zabezpieczoną na jego rozmaitych nieruchomościach.

Na te słowa Chamberlin omal nie wybuchnął śmiechem, a przecież jeden z adwokatów obecnych na spotkaniu naprawdę doradzał wierzycielom, aby przyjęły tę ofertę. Fałszywa serdeczność Holmesa ewidentnie uspokajała wierzycieli. Kilka chwil wcześniej chcieli, żeby śledczy aresztował ich dłużnika natychmiast, gdy wejdzie do pokoju. A teraz chcieli rozmawiać o tym, co można zrobić w przyszłości.

Chamberlin kazał Holmesowi zaczekać w sąsiednim pokoju.

Holmes posłuchał. I czekał cierpliwie.

W miarę upływu spotkania — i rozgrzewania się atmosfery — prawnik, który poprzednio doradzał akceptację hipoteki, wyszedł z biura Chamberlina i pod pretekstem chęci napicia się wody poszedł do pokoju, w którym siedział Holmes. Przez chwilę rozmawiali. Co dokładnie zdarzyło się potem, nie jest jasne. Chamberlin twierdził później, że adwokat był tak rozżłoszczony odrzuceniem jego rady, że ostrzegł Holmesa, że wierzyciele ponownie skłaniają się ku aresztowaniu. Możliwe również, że Holmes po prostu zaproponował mu pieniądze albo użył swojej fałszywej serdeczności i łzawego żalu, aby wyłudzić informację, ku jakim rozwiązaniom skłaniają się wierzyciele.

Adwokat wrócił na spotkanie.

Holmes uciekł.

Wkrótce potem ruszył do Fort Worth w Teksasie, zamierzając czerpać zyski z ziemi Minnie Williams. Miał w stosunku do tej posiadłości swoje plany. Część zamierzał sprzedać, a na pozostałej części wznieść dwupiętrowy budynek, taki sam jak ten w Englewood. Tymczasem zamierzał wykorzystać ziemię jako zabezpieczenie kredytów i weksli. Spodziewał się, że będzie prowadzić bardzo dostatnie i satysfakcjonujące życie, przynajmniej do chwili, gdy nadejdzie czas na przeprowadzkę do kolejnego miasta. Zabrał z sobą swojego asystenta, Benjamina Pitezla, oraz narzeczoną, niewielką i śliczną pannę Georgiane Yoke. Tuż przed wyjazdem z Chicago nabył polisę na życie od firmy Mutual Life Association z Filadelfii. Ubezpieczył Pitezla na 10 tysięcy dolarów.

Zmierzch

Przez cały październik liczba zwiedzających wystawę rosła szybko, ponieważ coraz więcej osób uświadamiało sobie, że na obejrzenie Białego Miasta i mają coraz mniej czasu. Dnia 22 października ekspozycję zwiedziło 138 011 osób. Dwa dni później już 244 127. Przejazdżkę Kołem Ferrisa odbywało 20 tysięcy osób dziennie, o osiemdziesiąt procent więcej niż na początku miesiąca. Wszyscy mieli nadzieję, że frekwencja jeszcze wzrośnie i że uroczystość zamknięcia wystawy, wyznaczona na 30 października, pokona rekord ustanowiony w Dniu Chicago.

Aby przywabić jeszcze więcej zwiedzających, Frank Millet zaplanował całonocną uroczystość z muzyką, przemowami, fajerwerkami i lądowaniem samego „Kolumba”. Do brzegu jeziora miały przybić naturalnych rozmiarów repliki statków Niña, Pinta i Santa María, zbudowane specjalnie w tym celu w Hiszpanii. Millet wynajął aktorów do odegrania ról Kolumba i jego kapitanów, załogi zaś miały się składać z ludzi, którzy przyprowadzili statki do Chicago. Z Budynku Ogrodnictwa pożyczył tropikalne rośliny i drzewa, i kazał je przenieść na brzeg jeziora. Zamierzał rozsypać na plaży opadłe liście dębu i klonu, aby podkreślić fakt, że przybycie Kolumba do brzegów Ameryki nastąpiło jesienią, choć, rzecz jasna, palmy i opadłe liście niezbyt do siebie pasowały. Po wylądowaniu Kolumb miał wbić miecz w ziemię i oddać Nowy Świat pod panowanie Hiszpanii, po czym jego ludzie ustawiliby się w taki sposób, jak to przedstawiono na dwucentowym znaczku pocztowym, wydanym z okazji odkrycia Ameryki. Jak zapowiadała „Tribune”, Indianie z Dzikiego Zachodu Buffalo Billa i z różnych wiosek mieli „zerkać ostrożnie” na lądującą grupę, jednocześnie wydając okrzyki i biegając „bez ładu i składu”. W zamierzeniu Milleta inscenizacja ta miała przenieść widzów „czteryście lat wstecz” — mimo tego, że hiszpańskie okręty do brzegu miały przyciągnąć parowe holowniki.

Wcześniej jednak miał się odbyć wielki dzień burmistrza Harrisona, czyli Dzień Miast Amerykańskich, zaplanowany na sobotę 28 października.

Wystosowane przez Harrisona zaproszenia na wystawę przyjęło 5 tysięcy burmistrzów i radnych miejskich, wśród nich burmistrzowie San Francisco, Nowego Orleanu i Filadelfii. Archiwa milczą na temat tego, czy burmistrz Nowego Jorku przyjął zaproszenie, czy nie.

Tego dnia, z samego rana, Harrison uradował dziennikarzy informacją, że tak, plotki na temat jego i młodziutkiej panny Annie Howard są prawdziwe, a nawet więcej, data ślubu została wyznaczona na 16 listopada.

Moment chwały przyszedł po południu, kiedy wygłaszał mowę do zebranych burmistrzów. Przyjaciele twierdzili, że nigdy jeszcze nie wyglądał tak przystojnie, nigdy nie był tak pełen życia.

Wychwalał niezwykle przekształcenie, jakiemu poddano park Jacksona. „Spójrzcie na niego teraz! — powiedział. — Te budynki, ta sala, ten odwieczny sen poetów stanowi w całości szaloną ambicję szalonych architektów”. I dalej: „Ja sam zawarłem nową umowę na życie — być może była to aluzja do panny Howard — i wierzę, że ujrzę dzień, w którym Chicago będzie największym miastem Ameryki i trzecim co do wielkości miastem na Ziemi”. Miał już sześćdziesiąt osiem lat, ale ogłosił: „Zamierzam żyć jeszcze przez ponad pół wieku, a pod koniec tego czasu Londyn będzie drżał z obawy, że Chicago go przewyższy [...]”.

Rzuciwszy okiem na burmistrza z Omaha, łaskawie zgodził się uznać jego miasto za przedmieście.

Potem zmienił kurs. „Czuję się okropnie, kiedy patrzę na tę wielką wystawę i myślę o tym, że stopniowo popadnie w ruinę” — powiedział. Miał nadzieję, że zniszczenie będzie szybkie i zacytował niedawną uwagę Burnhama: „»Niech zniknie. Musi zniknąć, więc niech zniknie. Weźmy pochodnię i spalmy ją do szczytu«. Uważam tak samo. Skoro nie możemy jej zachować na następny rok, będę popierać projekt podłożenia pod nią ognia, aby zniknęła spod jasnego nieba i znalazła swoje miejsce w odwiecznych niebiosach”.

Prendergast więcej nie mógł już znieść. Wizyta w biurze dyrektora wydziału prawnego — według sprawiedliwości, jego własnym biurze — była upokarzającym przeżyciem. Wyśmiewali się z niego. Drwili. A przecież Harrison obiecał mu to stanowisko. Co musiał zrobić, żeby zwrócić uwagę burmistrza? Jego kartki pocztowe pozostały bez odpowiedzi. Nikt do niego nie napisał, nikt nie brał go poważnie.

O drugiej po południu, w Dniu Miast Amerykańskich, Prendergast wyszedł z domu swojej matki i udał się na Milwaukee Avenue. Tu za 4 dolary odkupił używany sześćostrzałowy rewolwer od sprzedawcy butów. Wiedział, że ten konkretny model potrafi zniecka wypalić, jeśli się nim potrząśnie albo go upuści, załadował więc do niego tylko pięć nabojów, a przed kurkiem ustawił pustą komorę.

Później wiele domniemywano na podstawie tego środka ostrożności.

O trzeciej po południu, mniej więcej wtedy, kiedy Harrison wygłaszał swoją mowę, Prendergast wszedł do Unity Building w śródmieściu Chicago, gdzie znajdowało się biuro gubernatora Johna P. Altgeld.

Był bladym i dziwnie podnieconym. Jeden z urzędników uznał jego zachowanie za niepokojące i nie pozwolił mu wejść dalej.

Prendergast wrócił na ulicę.

Było już niemal ciemno, kiedy Harrison opuścił park Jacksona i w ten zimny, zadymiony wieczór ruszył na północ, do swojej rezydencji przy Ashland Avenue. W ostatnim tygodniu temperatura gwałtownie spadła, w nocy był zaledwie jeden stopień powyżej zera, a niebo bez przerwy zakrywały chmury. Harrison dotarł do domu o siódmej wieczorem. Pomajstrował przy oknie na parterze, a potem usiadł do kolacji z dwójkiem swych dzieci, Sophie i Prestonem. Miał więcej dzieci, ale dorosłych, które nie mieszkały już w domu. Oczywiście do kolacji podano arbuza.

W środku posiłku, mniej więcej o siódmej trzydzieści, ktoś zadzwonił do frontowych drzwi. Otworzyła Mary Hanson, pokojówka, i ujrzała młodego człowieka o gładko ogolonej twarzy i krótko przyciętych ciemnych włosach. Wyglądał na chorego. Chciał się widzieć z burmistrzem.

W samej prośbie nie było nic dziwnego. Wieczorne wizyty zupełnie obcych ludzi były na porządku dziennym w domu przy Ashland, ponieważ Harrison szczylił się tym, że może z nim porozmawiać każdy mieszkaniec Chicago, bez

względu na swój status społeczny. Dzisiejszy gość wydawał się jednak bardziej podejrzany niż inni i zachowywał się dziwnie. Mimo to Mary Hanson kazała mu wrócić za pół godziny.

Dzień był dla burmistrza szalenie ekscytujący, ale również wyczerpujący. Zasnął przy stole. Na krótko przed ósmą jego syn wyszedł z jadalni i udał się na górę, do swojego pokoju, przebrać się na spotkanie, które miał umówione na mieście. Sophie również poszła do siebie, na piętro, napisać list. Dom był przytulny i jasno oświetlony. Mary Hanson i reszta służby zebrali się w kuchni na swoją kolację.

Punktualnie o ósmej wieczorem znów rozległ się dzwonek u drzwi i znów Hanson otworzyła.

Na progu stał ten sam młody człowiek. Hanson kazała mu zaczekać w przedpokoju i poszła po burmistrza.

„Musiała być ósma, kiedy usłyszałem hałas — zeznał Preston, syn Harrisona. — Byłem zdumiony. Zabrzmiało to tak, jakby ze ściany spadł obraz”. Sophie też usłyszała huk, a także krzyk ojca. „Nic sobie nie pomyślałam, ponieważ sądziłam, że to zasłona spadła na podłogę gdzieś na tyłach domu — powiedziała. — A jeśli chodzi o krzyk ojca, to wzięłam go za ziewnięcie. On miał zwyczaj ziewać bardzo głośno”.

Preston wyszedł z pokoju i zobaczył, że w holu unosi się dym. Kiedy schodził po schodach, usłyszał dwa kolejne huki. „Ostatni był bardzo wyraźny i głośny — zeznał. — Wiedziałem, że to musiał być strzał z rewolweru”. Brzmiał „jak eksplozja w kanałach”.

Zbiegł do holu i zobaczył, że Harrison leży na wznak, otoczony służbą, a w powietrzu unosi się siny dym wystrzału. Krwi było niewiele. Preston krzyknął: „Ojcu nic się nie stało, prawda?”.

Burmistrz sam mu odpowiedział.

„Stało się. Zostałem zastrzelony. Umrę”.

Na ulicy rozległy się trzy kolejne strzały. Stangret strzelił z własnego rewolweru — raz w powietrze, żeby zaalarmować policję, i raz do Prendergasta, a Prendergast strzelił do niego.

Zamieszanie sprowadziło sąsiada, Williama J. Chalmersa, który wsunął Harrisonowi pod głowę swój zwinięty płaszcz. Burmistrz powiedział, że został

postrzelony w serce, ale Chalmers mu nie uwierzył. Krwi było bardzo niedużo.

Zaczęli się spierać.

Chalmers zapewniał Harrisona, że nie został postrzelony w serce.

Harrison odwarknął: „Zapewniam cię, że tak. To śmierć”.

Kilka chwil później jego serce przestało bić.

„Umarł wściekły, ponieważ mu nie uwierzyłem — opowiadał Chalmers. — Nawet w chwili śmierci był władczy i stanowczy”.

Prendergast udał się do pobliskiego komisariatu policji przy Desplains Street i spokojnie zwrócił się do dyżurnego sierżanta O. Z. Barbera: „Proszę mnie aresztować. To ja zastrzeliłem burmistrza”. Sierżant potraktował jego oświadczenie sceptycznie, wówczas Prendergast podał mu swój rewolwer, wydzielający silny zapach spalonego prochu. Barber stwierdził, że bębenek zawiera cztery użyte łuski i jeden nabój. Szósta komora była pusta.

Zapytał Prendergasta, dlaczego zastrzelił burmistrza.

„Ponieważ zawiódł moje zaufanie. Wspierałem go podczas kampanii i obiecał mnie mianować dyrektorem wydziału prawnego. Nie dotrzymał słowa”.

Exposition Company odwołała uroczystość zamknięcia wystawy. Zrezygowano z jubileuszowej parady i z lądowania Kolumba. Harlow Higinbotham, George Davis i Bertha Palmer nie wygłosili swoich mów. Odwołano rozdanie nagród, Burnham i Olmsted nie dostąpili dnia chwały. Nikt nie odśpiewał *Hail Columbia* ani *Auld Lang Syne*. Zamiast ceremonii zamknięcia wystawy w sali koncertowej odbyła się uroczystość żałobna. Gdy goście się schodzili, organista grał na wielkich organach *Marsz żałobny* Chopina. W sali było tak zimno, że urzędnik kierujący uroczystością pozwolił mężczyznom pozostać w kapeluszach.

Wielebny doktor J. H. Barrows odczytał modlitwę, a potem, na prośbę organizatorów wystawy, również mowę, którą Higinbotham przygotował na planowaną uroczystość zamknięcia. Nadal była aktualna, szczególnie jeden ustęp:

„Odwracamy się plecami do najwspanialszego marzenia cywilizacji i mamy zamiar w proch go obrócić. To zupełnie jak śmierć bliskiego przyjaciela”.

Zebrani wychodzili powoli w szare, zimne popołudnie.

Punktualnie o czwartej czterdzieści pięć, o zachodzie słońca, okręt Michigan wystrzelił dwadzieścia jeden razy z działa, a tysiąc mężczyzn zajęło stanowiska przy wszystkich flagach wystawy. Po ostatnim wystrzale wielka flaga przy Budynku Administracyjnym została opuszczona na ziemię. Równocześnie z masztów opadło tysiąc innych flag, a na Dziedzińcu Honorowym trębacze i fagociści grali *The Star-Spangled Banner* oraz *America*. Do pieśni przyłączyło się 200 tysięcy zwiedzających, wielu z płaczem.

Wystawa dobiegła końca.

Kondukt pogrzebowy Cartera Harrisona, złożony z sześciuset powozów, ciągnął się na wiele kilometrów. Procesja przebiegała się powoli i w milczeniu przez czarne morze ludzi ubranych w żałobne stroje. Kondukt otwierał karawan, na którym umieszczono czarną trumnę ze zwłokami Harrisona, a za nim szła ukochana klacz Harrisona, ze strzemionami skrzyżowanymi na pustym siodle. Białe flagi, symbolizujące Białe Miasto, wszędzie były opuszczone do połowy masztów. Tysiące mężczyzn i kobiet, ze znaczkami z napisem NASZ CARTER, patrzyły w milczeniu, jak powóz za powozem mijają ich najwięksi obywatele miasta. Armour, Pullman, Schwab, Field, McCormick, Ward.

I Burnham.

To była dla niego trudna droga. Przebył ją już raz, grzebiąc Roota. Wystawa zaczęła się od śmierci, a teraz kończyła się śmiercią.

Tak długi był kondukt, że potrzebował aż dwóch godzin, żeby minąć jakiś punkt. Kiedy dotarł do cmentarza Graceland, położonego po północnej stronie miasta, zapadł już zmrok, a nad ziemią unosiła się lekka mgiełka. Długie szeregi policjantów stały po obu stronach drogi prowadzącej do zbudowanej z piaskowca kaplicy cmentarza. Z boku stało pięćdziesięciu członków Zjednoczonych Niemieckich Towarzystw Śpiewaczych.

Harrison usłyszał kiedyś ich śpiew podczas pikniku i w żartach poprosił, żeby zaśpiewali na jego pogrzebie.

Zabójstwo Harrisona opadło na miasto jak ciężka zasłona. Były czasy przed zabójstwem i czasy po zabójstwie. Gazety, zamiast prześcigać się w opisach rezultatów wystawy, w większości popadły w milczenie. Wystawa była otwarta jeszcze, nieoficjalnie, 31 października i wiele osób poszło tam po raz ostatni, jakby składając wyrazy uszanowania zmarłemu krewnemu. Zapłakana kobieta zwierzyła się dziennikarce, Teresie Dean: „To pożegnanie jest smutniejsze niż wszystkie, jakie przeżyłam”. William Stead, brytyjski wydawca, którego brat pisał o otwarciu wystawy, przyjechał do Chicago z Nowego Jorku w wieczór oficjalnego jej zamknięcia, ale po raz pierwszy odwiedził park Jacksona następnego dnia. Stwierdził, że nic, co widział w Paryżu, Rzymie czy Londynie, nie było równie doskonale jak Dziedziniec Honorowy.

Tego wieczoru po raz ostatni oświetlono teren wystawy. Stead napisał: „Jezioro leżało pod gwiazdami ciemne i ponure, ale na jego brzegu połyskiwało w złocistej poświacie miasto z kości słoniowej, przepiękne, jak sen poety, ciche jak miasto umarłych”.

Czarne Miasto

Wystawa nie była w stanie powstrzymać Czarnego Miasta na długo. Po jej oficjalnym zamknięciu kolejne tysiące robotników zasilily szeregi armii bezrobotnych, a bezdomni zasiedlili wielkie, opuszczone pałace wystawy. „Biedacy wyszli chudzi i wygłodzeni po okropnej zimie, jaka nastąpiła po wystawie światowej — pisał Robert Herrick w swojej powieści *The Web of Life*. — W to piękne przedsięwzięcie rozrzutne miasto włożyło całą swoją siłę i zaprezentowawszy światu niezwykle kwiat swojej energii, załamało się [...]. Ogromna ozdoba okazała się dla niego zbyt wielka. Kilometry pustych sklepów, hoteli, bloków mieszkalnych, nagle skarłały. Dziesiątki tysięcy ludzi przywabionych do radosnego miasta niezwykle wysokimi wynagrodzeniami nagle zostały pozostawione samym sobie, bez jedzenia czy prawa do chronienia się w pozbawionych lokatorów budynkach”. To ten kontrast był taki bolesny. „Co za widowisko! — pisał Ray Stannard Baker w swojej *American Chronicle*. — Co za upadek po przepychu i rozrzutności wystawy światowej, która niedawno zamknęła swoje podwoje! W jednym miesiącu szczyt wspaniałości, dumy i uniesienia. W następnym głębia niedoli, cierpienia, głodu i zimna”.

Podczas tej pierwszej nieludzkiej zimy fotograf Burnhama, Charles Arnold, wykonał serię fotografii bardzo odmiennych od oficjalnych. Na jednej z nich widać Budynek Maszyn okopcony dymem i zaśmiecony. W ścianę ewidentnie ciśnięto butelką z jakimś ciemnym płynem. U podstawy kolumny stoi duże pudło, najwyraźniej dom jakiegoś pozbawionego pracy dzikiego lokatora. „To prawdziwa rozpacz — napisała o swojej wizycie w parku Jacksona 2 stycznia 1894 roku Teresa Dean, dziennikarka. — Żałujesz, że tu przyszaś. Gdyby wokoło nie było tylu ludzi, wyciągnęłabyś ręce i zaczęła się modlić, aby wszystko było jak dawniej. To takie okrutne, naprawdę okrutne, dać nam podobną wizję, pozwolić nam przez sześć miesięcy śnić i wędrować po niebiosach, a potem zabrać ją z naszego życia”.

Sześć dni po jej wizycie wybuchły pierwsze pożary, niszcząc między innymi słynny perystyl. Następnego ranka „Duża Mary”, wyszczerbiona i zbrukana, wznosiła się nad terenem pełnym powyginanej i poczerwiałej stali.

Ta zima stała się próbą ogniewą dla amerykańskiego ruchu robotniczego. Robotnikom ludzie pokroju Eugene a Debsa czy Samuela Gompersa coraz bardziej zdawali się zbawcami, a chicagowscy książęta przemysłu diabłami. George Pullman nadal redukował pensje i zatrudnienie, nie zmniejszając czynszów, choć skarbiec jego firmy był wypchany ponad 60 milionami dolarów w gotówce. Przyjaciele ostrzegali go, że postępuje głupio i że nie docenia wściekłości swoich robotników. Pullman wywiózł rodzinę z Chicago i ukrył swoją najlepszą porcelanę. Dnia 11 maja 1894 roku 2 tysiące robotników rozpoczęło strajk w jego zakładach, otrzymując wsparcie od Związku Zawodowego Pracowników Amerykańskich Kolei Debsa. W całym kraju wybuchały strajki, a Debs zaczął planować ogólnokrajowy strajk generalny, który miał się rozpocząć w lipcu. Prezydent Cleveland polecił wojskom federalnym wkroczyć do Chicago i oddał je pod dowództwo generała Nelsona A. Milesa, wcześniej pełniącego funkcję wielkiego marszałka wystawy. Miles nie czuł się dobrze na tym nowym stanowisku. Wyczuwał w szerzących się niepokojach coś nowego, „groźniejszego i o większym zasięgu niż wszystko, co zdarzyło się wcześniej”. Wypełnił jednak rozkaz — tym samym były wielki marszałek wystawy skończył, walcząc z ludźmi, którzy ją zbudowali.

Strajkujący zatrzymywali pociągi i palili wagony. Dnia 5 lipca 1894 roku podpalacze podłożyli ogień pod siedem największych pałaców wystawy — pod ogromny Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych Posta, pod kopułę Hunta, pod Złote Drzwi Sullivana, pod wszystkie. Wewnątrz Pętli ludzie zbierali się na dachach, w najwyżej położonych biurach w Rookery, budynku wolnomularstwa i budynku Związku Krzewienia Wstrzemięźliwości, a także we wszystkich innych wysoko położonych miejscach, żeby oglądać odległą pożogę. Płomienie wzbijały się w nocne niebo na wysokość trzydziestu metrów i oświetlały wielkie połacie jeziora.

Z opóźnieniem spełniało się życzenie Burnhama. „Nie było żalu, raczej uczucie przyjemności, że to żywioł a nie niszczyciele, pochłonie spektakl ery kolumbijskiej” — stwierdziła „Chicago Tribune”.

W tym samym roku, nieco później, przyszło zdumienie.

„Setki ludzi pojechały do Chicago obejrzeć wystawę i nigdy więcej o nich nie słyszano — stwierdził »New York World«. — «Lista zaginionych» w chwili zamknięcia wystawy była długa, a w większości wypadków podejrzewano jakieś świństwo. Czy zaginieni, ludzie w Chicago obcy, znaleźli drogę do »zamku« Holmesa, podążając za jego uludnymi reklamami, i już nigdy go nie opuścili? Czy Holmes wznosił swój »zamek« w pobliżu wystawy, żeby móc zabijać ofiary hurtowo?».

Początkowo policja Chicago nie miała innej odpowiedzi niż ta najbardziej oczywista: że w Chicago w czasie wystawy tak bardzo łatwo było zniknąć.

Tajemnice „zamku” Holmesa ujrzały wreszcie światło dzienne, ale tylko dzięki uporowi samotnego detektywa z odległego miasta, który oplakiwał własną, okropną stratę.

CZEŚĆ IV

Okropieństwa ujawnione

1895 rok

„Własność H. H. Holmesa”

Detektyw Frank Geyer był dużym mężczyzną o miłej, uczciwej twarzy, wielkich, przypominających morsa wąsach i nowo nabytej powadze w spojrzeniu i zachowaniu. Był jednym z najlepszych detektywów w Filadelfii. Pracował w policji od dwudziestu lat i zbadał blisko dwieście zabójstw. Znał morderstwo i jego niezmienny wzorzec. Mężowie zabijali żony, żony zabijały mężów, a biedni zabijali innych, zawsze z tych samych powodów: pieniędzy, zazdrości, namiętności i miłości. Bardzo rzadko morderstwo zawierało elementy tajemnicze, rodem z powieści sprzedawanych po 10 centów albo z opowiadań sir Arthura Conan Doyle'a. Od samego jednak początku sprawa prowadzona obecnie przez Geyera — a był już czerwiec 1895 roku — odbiegała od normy. Jednym z jej niezwykłych aspektów było to, że podejrzany już przebywał w więzieniu, aresztowany siedem miesięcy wcześniej za oszustwo ubezpieczeniowe. Obecnie zajmował celę w filadelfijskim Moyamensing.

Podjejrany był lekarzem, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Mudgett, choć powszechnie znano go pod pseudonimem H. H. Holmes. Kiedyś mieszkał w Chicago, gdzie podczas Światowej Wystawy Kolumbijskiej w 1893 roku wraz ze swoim współpracownikiem, Benjaminem Pitezlem, prowadził hotel. Następnie obaj przenieśli się do Fort Worth w Teksasie, później do St. Louis, aż wreszcie do Filadelfii, po drodze dokonując licznych oszustw. W Filadelfii Holmes oszukał Fidelity Mutual Life Association na blisko 10 tysięcy dolarów, najwyraźniej fignując śmierć ubezpieczonego, Bena Pitezla. Wykupił to ubezpieczenie w 1893 roku w biurach Fidelity w Chicago, tuż przed zamknięciem wystawy. Gdy wypłynęły dowody oszustwa, Fidelity wynajęło Narodową Agencję Detektywistyczną Pinkertona — „oko, które nigdy nie śpi” — aby odszukała Holmesa. Detektywi agencji podjęli trop w Burlington w stanie Vermont i ruszyli za nim do Bostonu, gdzie doprowadzili do jego aresztowania przez miejscową policję. Holmes

przyznał się do oszustwa i zgodził się na powrót do Filadelfii na proces. W tej chwili sprawa wydawała się zamknięta. Ale teraz, w czerwcu 1895 roku, stawało się coraz bardziej jasne, że Holmes wcale nie sfinagował śmierci Bena Pitezla, tylko go zabił, a następnie upozorował wypadek. Ponadto zaginęło troje z pięciorga dzieci Pitezla — Alice, Nellie i Howard — a po raz ostatni widziano je w towarzystwie Holmesa.

Geyerowi powierzono zadanie odszukania dzieci. Poprosił go o przyjęcie tej sprawy prokurator okręgowy Filadelfii, George S. Graham, który współpracował z nim podczas najbardziej drażliwych śledztw w mieście i nauczył się na nim polegać. Tym razem jednak Graham pomyślał dwa razy, zanim złożył propozycję, ponieważ kilka miesięcy wcześniej Geyer stracił żonę Marthę i dwunastoletnią córkę Esther w pożarze, jaki wybuchł w jego domu.

Geyer przesłuchał Holmesa w jego celi, ale nie dowiedział się niczego nowego. Więzień twierdził, że kiedy po raz ostatni widział dzieci Pitezla, były żywe i wybierały się pod opieką kobiety o nazwisku Minnie Williams w podróż do miejsca, gdzie ukrywał się ich ojciec.

Geyer stwierdził, że Holmes jest ugrzeczniejszy i wygadany, prawdziwy towarzyski kameleon. „Holmes ma wielką skłonność do kłamstwa pełnego kwiecistych ozdobników, a wszystkie jego historie roją się od krzykliwych ozdób, które w jego zamierzeniu mają wzmocnić ich wiarygodność — napisał. — Kiedy mówi, sprawia wrażenie szczerego. Robi się wzruszający, gdy wzruszenie słuchacza najlepiej może posłużyć jego celom, głos mu wtedy drży, a w oczach często zbierają się łzy. Potem wraca nagle do stanowczego i przekonującego sposobu mówienia, jakby pełne uczuć wspomnienia zbudziły w jego sercu oburzenie albo stanowczość”.

Holmes twierdził, że zdobył zwłoki przypominające Bena Pitezla i umieścił je na piętrze domu wynajętego specjalnie na potrzeby oszustwa. Zbiegiem okoliczności lub wskutek jakiegoś skrzywionego przejawu humoru, dom znajdował się dokładnie na tyłach kostnicy miejskiej, kilka przecznic od ratusza. Przyznał, że tak upozował zwłoki, aby wyglądało na to, że Pitezel zginął podczas przypadkowego wybuchu. Oblał rozpuszczalnikiem górną część ciała i podpalił, a potem ułożył je na podłodze, w pełnym słońcu. Kiedy ciało odkryto, rysy twarzy były

tak zmienione, że uniemożliwiały identyfikację. Holmes zgłosił się na ochotnika, że pomoże koronerowi przy ustalaniu tożsamości zmarłego. Podczas sekcji nie tylko pomógł odszukać na szyi zwłok charakterystyczną brodawkę, ale wyciągnął nawet własny lancet, sam ją usunął i nonszalanckim gestem wręczył urzędnikowi.

Koroner chciał, aby przy identyfikacji był obecny również członek rodziny Pitezla. Żona zmarłego, Carrie, była chora i nie mogła przybyć. W zastępstwie przysłała swoją drugą córkę, Alice, która miała wówczas piętnaście lat. Ludzie koronera tak owinęli ciało, aby dziewczynka zobaczyła jedynie zęby Pitezla. Wydawała się pewna, że zwłoki należą do jej ojca. Towarzystwo Ubezpieczeniowe Fidelity wypłaciło odszkodowanie, a Holmes udał się do St. Louis, gdzie mieszkała obecnie rodzina Pitezla. Tutaj przekonał Carrie, żeby oprócz Alice powierzyła jego opiece jeszcze dwoje ze swoich dzieci, wyjaśniając, że ich ukrywający się ojciec bardzo pragnie je zobaczyć. Zabrał z sobą jedenastoletnią Nellie i ośmioletniego Howarda, po czym z całą trójką małych Pitezłów wyruszył w dziwną i smutną podróż.

Geyer wiedział z listów Alice, że początkowo traktowała tę wyprawę jako rodzaj przygody. W liście do matki, datowanym na 20 września 1894 roku, napisała: „Szkoda, że nie widziałas tego co ja”. W niektórych listach dawała upust swojej niechęci do przesłodzonego sposobu bycia Holmesa. „Nie lubię, jak mówi do mnie dziecinko, mała, kochanie i podobne bzdury”. Następnego dnia napisała: „Mamo, czy kiedykolwiek widziałas albo jadłas czerwone banany? Ja zjadłam trzy. Są takie duże, że jak je wezmę w rękę, to kciuk i palec wskazujący ledwie mi się stykają”. Od chwili opuszczenia St. Louis Alice nie miała wieści z domu i była pewna obaw, że choroba matki stała się ciężka. „Czy dostałaś ode mnie cztery listy oprócz tego? — pisała. — Czy jesteś jeszcze chora i leżysz w łóżku, czy już wstałaś? Chciałabym dostać od ciebie jakąś wiadomość”.

Jedno Geyer wiedział na pewno — żaden z tych listów nie dotarł nigdy do Carrie Pitezel. Podczas podróży Alice i Nellie pisały regularnie do matki i dawały te listy Holmesowi, oczekując, że je wyśle. Ale nie wysyłał. Wkrótce po jego aresztowaniu policja odkryła metalowe pudełko z napisem WŁASNOŚĆ H. H. HOLMESA, zawierające różne dokumenty oraz dziesięć listów od dziewczynek. Przechowywał je w pudełku, jakby to były muszle zebrane na plaży.

Pani Pitezel szalała z niepokoju i smutku, mimo zapewnień Holmesa, że Alice, Nellie i Howard przebywają w Londynie, w Anglii, pod fachową opieką

Minnie Williams. Scotland Yard przeprowadził poszukiwania, ale nie natrafił na żaden ślad dzieci. Geyer miał niewielką nadzieję, że jego własne śledztwo zakończy się bardziej owocnie. Ponieważ minęło już ponad pół roku od czasu, kiedy po raz ostatni widziano dzieci, „nie jest to bardzo zachęcające zadanie, a wszyscy zainteresowani sądzą, że dzieci się nigdy nie odnajdą — napisał. — Jednak prokurator okręgowy wierzy, że powinno się uczynić jeszcze jeden, ostatni wysiłek, aby je odnaleźć, jeśli już nie z innych powodów, to ze względu na ich nieszczęsną matkę. Nie narzucono mi żadnych ograniczeń, powiedziano, żebym kierował się w tej sprawie własnym osądem i podążał za wszelkimi śladami, na jakie natrafie”.

Geyer wyruszył na swoje poszukiwania 26 czerwca 1895 roku, w gorący wieczór bardzo upalnego lata. Na początku czerwca obszar wysokiego ciśnienia — „strefa stałego wysokiego ciśnienia” — usadowił się w samym środku nadatlantyckich stanów. Za jego sprawą temperatura w Filadelfii znacznie przekroczyła trzydzieści stopni. Było wilgotno i bezwietrznie. Mimo nocy powietrze w pociągu, którym jechał Geyer, trwało nieruchome i gorące. Z męskich przedziałów unosił się dym z cygar, a na każdej stacji rechot żab i granie świerszczy napępniały wagon. Geyer zasypiał i budził się po chwili.

Następnego dnia, kiedy pociąg pędził na zachód przez palone słońcem pustkowiec stanów Pensylwania i Ohio, Geyer jeszcze raz przeczytał kopie listów dzieci, szukając czegoś, co być może przeoczył, a co pozwoliłoby mu ukierunkować poszukiwania. Listy nie tylko stanowiły niepodważalny dowód, że dzieci były z Holmesem, ale zawierały również pewne informacje geograficzne, które pozwoliły Geyerowi odtworzyć ogólne zarysy trasy tej dziwnej podróży. Ich pierwszym przystankiem było chyba Cincinnati.

Detektyw Geyer dotarł do Cincinnati o siódmej trzydzieści wieczorem w czwartek 27 czerwca. Zameldował się w Palace Hotel. Następnego ranka udał się na komisariat policji, aby poinformować tamtejszego komendanta o swojej misji. Ten przydzielił mu do pomocy detektywa Johna Schnooksa, z którym znali się od dawna.

Geyer miał nadzieję zrekonstruować całą podróż dzieci, choć niełatwo było osiągnąć ten cel. Oprócz swojego rozumu, notatnika, kilku zdjęć i listów miał

niewiele narzędzi, żeby wykonać to zadanie. Wraz z detektywem Schnooksem przygotowali listę wszystkich hoteli w Cincinnati znajdujących się w okolicach stacji kolejowych, po czym odwiedzili każdy z nich, sprawdzając, czy w księgach nie ma śladu po Holmesie i dzieciach. To, że Holmes używał pseudonimu, wydawało się oczywiste, Geyer zabrał więc z sobą zdjęcia, a nawet opis charakterystycznego kufra z „płaską pokrywą”, należącego do dzieci. Ale minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy dzieci pisały swoje listy, i było wątpliwe, żeby ktoś je jeszcze pamiętał.

W tym punkcie jednak Geyer się mylił.

Detektywi wędrowali od hotelu do hotelu, a dzień robił się coraz bardziej upalny. Wszędzie byli uprzejmi i nie okazywali zniecierpliwienia, choć co chwilę musieli wyjaśniać całą sprawę od początku i tłumaczyć, co ich tu sprowadza.

Na Central Avenue weszli do małego, niedrogiego hotelu Atlantic House i jak zwykle zapytali recepcjonistę, czy mogą przejrzeć księgę. Najpierw sprawdzili wpisy z 28 września 1894 roku, to jest z dnia, kiedy Holmes, mający już pod swoją opieką Alice, zabrał Nellie i Howarda z ich domu w St. Louis. Geyer sądził, że przyjechali do Cincinnati tego samego dnia wieczorem. Przesuwał palcem po stronie, aż natrafił na wpis „Alex E. Cook” — według księgi hotelowej, ten gość podróżował z trójką dzieci.

Wpis przypomniał coś Geyerowi. Holmes użył nazwiska Cook już wcześniej, żeby wynająć dom w Burlington w stanie Vermont. Ponadto Geyer znał teraz doskonale jego charakter pisma. A pismo w księdze hotelowej wyglądało znajomo.

Według księgi, „Cookowie” zapłacili tylko za jeden nocleg, ale z listów dziewczynek wynikało, że spędziły w tym mieście jeszcze jedną noc. Choć wydawało się dziwne, że Holmes kłopotał się przenosinami do innego hotelu, Geyer wiedział z doświadczenia, jak niebezpieczne jest czynienie założeń co do zachowań kryminalistów. Obaj ze Schnooksem podziękowali recepcjoniście za poświęcony im czas, po czym ruszyli zbadać resztę hoteli.

Słońce stało już wysoko, ulice drżały od żaru. Cykady przekazywały sobie wiadomości z drzewa na drzewo. Na rogu Szóstej i Vine detektywi weszli do

hotelu o nazwie Bristol i odkryli, że w sobotę 29 września 1894 roku zameldował się tutaj niejaki „A. E. Cook” wraz z trójką dzieci. Kiedy recepcjonista zobaczył zdjęcia, potwierdził, że gośćmi tymi byli Holmes, Alice, Nellie i Howard. Wymeldowali się następnego ranka, w niedzielę 30 września. Data pasowała do chronologii wypadków — Geyer wiedział z listów dzieci, że w niedzielny ranek opuścili Cincinnati, a wieczorem przybyli do Indianapolis.

Nie był jednak jeszcze gotowy opuścić Cincinnati. Miał przecucie. Ludzie Pinkertona ustalili, że Holmes czasami wynajmował domy w miastach, przez które podróżował, tak jak to uczynił w Burlington. Geyer i Schnooks skupili teraz uwagę na tutejszych agencjach nieruchomości.

Poszukiwania w końcu zaprowadziły ich do biura J. C. Thomasa na Trzeciej Wschodniej.

Coś w Holmesie musiało powodować, że ludzie go zapamiętywali, ponieważ przypomnieli go sobie zarówno Thomas, jak i jego pracownik. Okazało się, że wynajął dom przy Poplar Street, pod numerem 305, tym razem posługując się nazwiskiem „A. C. Hayes”, i wpłacił hojną zaliczkę.

Thomas zeznał, że umowę zawarto 28 września, w piątek, kiedy Holmes i dzieci przyjechali do Cincinnati. Holmes zajmował ten dom tylko dwa dni.

Agent nie mógł służyć innymi szczegółami, ale skierował detektywów do niejakiej Henrietty Hill, która mieszkała obok wynajętego domu.

Geyer i Schnooks natychmiast złożyli wizytę pannie Hill i stwierdzili, że jest ona bystrą obserwatorką i kocha plotki. „Właściwie nie ma o czym opowiadać” — stwierdziła, po czym opowiedziała im mnóstwo rzeczy.

Po raz pierwszy zauważyła nowego lokatora w sobotę 29 września, kiedy przed wynajętym domem zatrzymał się wóz meblowy. Wsiadł z niego mężczyzna z chłopcem. Uwagę panny Hill zwróciło przede wszystkim to, że wóz był pusty, wyjąwszy stalowy piec kuchenny, który wydawał się dużo za wielki do prywatnego domu.

Zdaniem panny Hill, piec był tak duży, że aż wspomniała o nim sąsiadom. Następnego ranka Holmes przyszedł pod jej frontowe drzwi i oświadczył, że

zdecydował się jednak nie przeprowadzać do wynajętego domu. Jeśli chce mieć ten piec, to proszę bardzo.

Detektyw doszedł do wniosku, że Holmes musiał wyczuć nadmierną uwagę sąsiadów i zmienił plany. Ale jakie to były plany? W tamtym czasie Geyer napisał: „Nie byłem wówczas w stanie docenić niezwykłego znaczenia, jakie miało wynajęcie domu na Poplar Street i dostarczenie tam pieca tak wielkich rozmiarów”. Z pewnością jednak „złapałem mocno koniec sznurka”, który doprowadzi do dzieci.

Kierując się wskazówkami zawartymi w listach dziewczynek, Geyer podziękował detektywowi Schnooksowi za pomoc i złapał pociąg do Indianapolis.

W Indianapolis było chyba jeszcze goręcej. Liście zwisały z drzew nieruchomo jak ręce niedawno zmarłych.

Wczesnym niedzielnym rankiem Geyer udał się do komisariatu policji i otrzymał nowego pomocnika, detektywa Davida Richardsa.

Część śladu łatwo było odszukać. W liście z Indianapolis Nellie Pitezel napisała: „Mieszkamy w English H.”. Detektyw Richards znalazł to miejsce: English Hotel.

W księdze hotelowej Geyer znalazł wpis z 30 września, mówiący o „trójce dzieci Canningów”. Jak wiedział, Canning było to panieńskie nazwisko Carrie Pitezel.

Nic jednak nie było takie proste, jak się na pierwszy rzut oka wydawało. Według wpisu, dzieci Canningów wymeldowały się następnego dnia, w poniedziałek 1 października, choć Geyer wiedział z listów, że przebywały w Indianapolis przynajmniej jeszcze przez tydzień. Najwyraźniej Holmes powiełał już raz zastosowany schemat.

Geyer rozpoczął takie same metodyczne poszukiwania, jakie przeprowadził w Cincinnati. Wraz z detektywem Richardsem sprawdzał hotel po hotelu, ale nie znalazł żadnej innej wzmianki o dzieciach.

Znalazł natomiast coś innego.

W hotelu o nazwie Circle Park odkrył wpis „pani Georgia Howard”, a wiedział, że jest to jedno z nazwisk często używanych przez Holmesa. Doszedł do

wniosku, że panią Howard musiała być ostatnia żona Holmesa, Georgiana Yoke. Według księgi hotelowej, zameldowała się w niedzielę 30 września 1894 roku i spędziła w hotelu cztery noce.

Geyer pokazał zdjęcia właścicielce hotelu, pani Rodius, a ona rozpoznała na nich Holmesa i Yoke, ale dzieci nie. Wyjaśniła, że zaprzyjaźniła się z panią Howard. Ta w jednej z rozmów powiedziała jej, że jej mąż jest „bardzo bogatym człowiekiem i że ma posiadłości i stada bydła w Teksasie. Miał podobno również dużą posiadłość w Berlinie w Niemczech, gdzie zamierzali niedługo pojechać, jak tylko mąż uporządkuje interesy na tyle, żeby móc się wyrwać”.

Chronologia tych pobytów w hotelach była zagmatwana. Na ile Geyer mógł stwierdzić, w tę niedzielę, 30 września, Holmes zdołał zakwaterować swoją żonę i trójkę dzieci w różnych hotelach w tym samym mieście, nie zdradzając jedynym istnienia drugich.

Ale dokąd dzieci udały się później?

Geyer i Richards sprawdzili księgi wszystkich hoteli i pensjonatów w Indianapolis, ale nie znaleźli śladu po dzieciach.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie, ale na szczęście Richards przypomniał sobie, że jesienią 1894 roku działał tutaj jeszcze hotel o nazwie Circle House, obecnie nieczynny. Popytali w innych hotelach, kto był jego właścicielem, aż wreszcie natrafili na byłego recepcjonistę z Circle House, od którego dowiedzieli się, że księgi hotelowe znajdują się w posiadaniu pewnego prawnika w centrum miasta.

Prowadzono je niechlujnie, ale wśród gości, którzy zameldowali się w poniedziałek 1 października, Geyer znalazł znajomy wpis: „Trójka dzieci Canningów”. Wynikało z niego, że dzieci pochodzą z Galva w stanie Illinois — miasta, gdzie wychowała się pani Pitezel. Teraz Geyer bardzo chciał porozmawiać z byłym kierownikiem hotelu, Hermanem Ackelowem. Okazało się, że obecnie prowadzi on saloon w zachodnim Indianapolis.

Detektyw wyjaśnił mu powód swojej wizyty i od razu pokazał zdjęcia Holmesa i dzieci Pitezlów. Ackelow milczał przez chwilę. Tak, powiedział, jest tego pewien. Człowiek widoczny na zdjęciu był w jego hotelu.

Jednak to dzieci pamiętał najlepiej. I opowiedział detektywowi dlaczego.

Aż do tej chwili Geyer wiedział o pobycie dzieci w Indianapolis tyle, ile wyczytał z listów znalezionych w blaszanym pudełku. Między 6 a 8 października Alice i Nellie napisały co najmniej trzy listy, które przejął Holmes. Były krótkie i pełne błędów, ale pozwalały się domyślić, jak wyglądało ich życie, i zorientować, że Holmes trzymał je w stanie przypominającym niewolę. „Mamy się tu dobrze — pisała Nellie w sobotę 6 października. — Dziś jest trochę ciepłej. Tyle tu jeździ powosuf, że prawie nie słyhać własnych myśli. Najpierw pisałam do ciebie kryształowym piurem [...]. Jest całe zeszkła, więc muszę uwarzać, bo inaczej się stłoczę, a to jest 5 centuf”.

Alice napisała list tego samego dnia. Ona najdłużej przebywała z dala od matki, a podróż zaczęła być dla niej męcząca i smutna. Była sobota, padało. Przeiębiła się i czytała *Chatę wuja Toma* tak długo, że oczy zaczęły ją boleć. „Sądzę, że niedziela będzie jeszcze dłuższa niż nie wiem co [...]. Dlaczego do mnie nie piszesz? Nie dostałam od ciebie ani jednego listu odkąd wyjechałam, a pojutrze to będzie już trzy tygodnie”.

W poniedziałek Holmes dał dzieciom list od pani Pitezel. Alice natychmiast napisała odpowiedź, zawierającą słowa: „Wydaje się, że bardzo tęsknisz za domem”. Donosiła również, że mały Howard jest trudny. „Pewnego ranka pan H. powiedział mi, żebym mu kazała zostać w pokoju następnego ranka, bo go potrzebuje i przyjdzie go zabrać”. Ale Howard nie posłuchał i kiedy Holmes po niego przyszedł, chłopca nigdzie nie można było znaleźć. Holmes się rozzłościł.

Mimo smutku i nudy Alice dostrzegła kilka wartych wzmianki radosnych chwil: „Wczoraj jedliśmy tłuczone ziemniaki, winogrona, kurczaka, każde z nas dostało szklanekę mleka, loda. Gulasz również był bardzo dobry i ciasto cytrynowe też”.

Panią Pitezel zapewne pocieszyłby fakt, że dzieci są tak dobrze karmione, gdyby otrzymała ten list. Ale na pewno nie historia, którą były kierownik hotelu opowiedział Geyerowi.

Codziennie Ackelow posyłał swojego najstarszego syna do pokoju dzieci, żeby wołał je na posiłki. Chłopiec często mówił, że dzieci płakały, „najwyraźniej zrozpaczone, z tęsknoty za domem, za matką czy wiadomością od niej” — zanotował Geyer. Niemiecka pokojówka, Caroline Klausmann, która sprzątała w pokoju dzieci, była świadkiem wielu bolesnych scen. Przeniosła się do Chicago, poinformował Ackelow. Geyer zanotował sobie jej nazwisko.

Ackelów przypomniał też sobie, że: „Holmes mówił, że Howard to bardzo niegrzeczny chłopiec i że próbuje go umieścić w jakimś zakładzie albo oddać go do terminu u jakiegoś farmera, gdyż chciał się pozbyć obowiązku opieki nad nim”.

Geyer wciąż żywił słabą nadzieję, że dzieci żyją, tak jak utrzymywał Holmes. Mimo dwudziestu lat w policji trudno mu było uwierzyć, że ktoś mógłby zupełnie bez powodu zabić trójkę dzieci. Dlaczego Holmes robił sobie tyle kosztów i zachodu, przenosząc dzieci z miasta do miasta, z hotelu do hotelu, jeśli jedynie chciał je zabić? Dlaczego kupił każdemu z nich kryształowe pióro i zabrał je do zoo w Cincinnati i kazał im dawać ciasto cytrynowe i lody?

Geyer ruszył następnie do Chicago, ale opuszczał Indianapolis z wielką niechęcią („Coś mi mówiło, że Howard nie opuścił tego miasta żywy”). W Chicago, ku swojemu zaskoczeniu, odkrył, że policja nic nie wie o Holmesie. Odszukał Caroline Klausmann, która obecnie pracowała w Swiss Hotel przy Clark Street. Kiedy pokazał jej zdjęcia dzieci, w jej oczach wezbrały łzy.

Później złapał pociąg do Detroit, miasta, z którego Alice napisała ostatni z listów znalezionych w blaszanym pudełku.

Zaczął wyczuwać swoją zwierzynę. W Holmesie nie było nic racjonalnego, ale jego zachowanie zdawało się powielać pewien schemat. Geyer wiedział, czego powinien szukać w Detroit, i w towarzystwie kolejnego detektywa z miejscowej policji ponownie rozpoczął cierpliwą pielgrzymkę po hotelach i pensjonatach. Choć już setki razy opowiadał tę historię i pokazywał fotografie, nigdy nie okazywał zmęczenia, był cierpliwy i grzeczny. To było jego siłą. Jego słabością była wiara, że zło ma swoje granice.

Ponownie odnalazł ślad dzieci i równoległe informacje o miejscu zamieszkania Holmesa i Yoke, ale tym razem odkrył coś jeszcze dziwniejszego — że w tym samym czasie, w hotelu Geiss w Detroit, była zameldowana Carrie Pitezal i jej dwoje pozostałych dzieci, Dessie i mały Wharton. Czyli teraz, jak skonstatował

Geyer ze zdumieniem, Holmes przenosił z miejsca na miejsce trzy różne grupy podróźnych, przesuując je po kraju, jakby to były zabawki.

I odkrył coś jeszcze.

To, że Holmes nie tylko trzymał Carrie z dala od Alice, Nellie i Howarda, ale że umieścił ich wszystkich w hotelach odległych od siebie o zaledwie trzy przecznice. Nagle prawdziwe znaczenie tego, co robił Holmes, stało się dla niego jasne.

Przeczytał ponownie ostatni list Alice. Napisała go do dziadków w niedzielę 14 października, tego samego dnia, kiedy jej matka z Dessie i niemowlęciem zameldowała się w hotelu Geis's. To był najsmutniejszy z listów. Alice i Nellie były przeziębione, a pogoda zrobiła się zimowa. „Powiedzcie mamie, że muszę mieć płaszcz — pisała Alice. — Niemal zamarzałam w tym cienkim żakiecie”. Brak ciepłych rzeczy zmuszał dzieci do siedzenia przez cały dzień w pokoju hotelowym. „Nellie i ja możemy tylko rysować, a ja mam tak dość siedzenia, że chce mi się wstać i pofrunąć. Tak bym chciała was zobaczyć. Tak tęsknię za domem, że nie wiem, co robić. Wharton zaczął już pewnie chodzić, nie sądzicie? Tak bym chciała go tutaj mieć, zabiłby na pewno masę czasu”.

Geyer poczuł się zbulwersowany. „Kiedy to biedne dziecko, Alice, pisała do dziadków w Galva w Illinois, skarżąc się na chłód, wysyłała wiadomości do matki, prosząc o cieplejsze i wygodniejsze ubrania, i żałowała, że nie ma z nią Whartona, niemowlęcia, które pomogłoby jej zabić czas — kiedy to zmęczone, samotne i tęskniące za domem dziecko pisało ten list, jej matka, siostra i ten utęskniony Wharton znajdowali się w odległości dziesięciominutowego spaceru od niej, i to przez pięć kolejnych dni”.

Uświadomił sobie, że dla Holmesa była to gra. Posiadał ich wszystkich i napawał się tym posiadaniem.

Jedno zdanie z listu Alice bezustannie krążyło w myślach Geyera.

„Howarda teraz z nami nie ma” — napisała.

Więzienie Moyamensing

Holmes siedział w swojej celi w więzieniu Moyamensing, dużym budynku z wieżyczkami i blankami przy Dziesiątej i Reed w południowej Filadelfii. Nie wydawał się specjalnie przejęty uwięzieniem, choć skarżył się na jego niesprawiedliwość. „Wielkie upokorzenie związane z poczuciem, że jestem więźniem, doskwiera mi dużo bardziej niż inne niewygody, jakie muszę znosić” — napisał, choć w rzeczywistości wcale nie czuł żadnego upokorzenia. Jeśli w ogóle coś czuł, było to zadowolenie z siebie i satysfakcja, że jak dotąd nikt nie był w stanie dostarczyć konkretnego dowodu na to, że zabił Bena Pitezla czy jego zaginione dzieci.

Jego cela miała wymiary trzy na cztery metry, wąskie zakratowane okno, umieszczone wysoko w zewnętrznej ścianie i jedną lampę elektryczną, którą strażnicy gasili o dziewiątej wieczorem. Ściany były pomalowane na białą. Więzienie zbudowano z kamienia, co przytępiało nieco okropny upał, który spadł na miasto i większość kraju, ale nic nie mogło zaradzić wysokiej wilgotności powietrza, z której słyęła Filadelfia. Warstewka wody przylegała do Holmesa i innych więźniów jak płaszcz z wilgotnej wełny, ale jemu i to zdawało się nie przeszkadzać. Stał się wzorowym więźniem — a właściwie wzorem wzorowego więźnia. Używał swojego czaru, aby zdobyć przywileje u strażników. Wolno mu było nosić własne ubranie, a także „zachować zegarek i inne drobne przedmioty”. Odkrył również, że jeśli zapłaci, dostanie jedzenie, gazety i czasopisma przynoszone z zewnątrz. Czytał o swojej złej sławie, szybko rosnącej w całym kraju. Czytał o tym, że Frank Geyer, detektyw policji z Filadelfii, który przesłuchiwał go w czerwcu, jest teraz na Środkowym Zachodzie, szukając dzieci Pitezla. Te poszukiwania go zachwyciły. Zaspokoili jego wielką potrzebę uwagi ze strony innych ludzi i dały mu poczucie władzy nad detektywem. Wiedział, że poszukiwania Geyera zakończą się niczym.

W celi Holmesa znajdowało się łóżko, stółek i stół, przy którym zaczął pisać swoje wspomnienia. Twierdził, że pisze je od poprzedniej zimy, a dokładnie od 3 grudnia 1894 roku.

Rozpoczął je tak, jakby to była bajka. „Chodźcie ze mną, jeśli chcecie, do małej, spokojnej wioski w Nowej Anglii, położonej między malowniczo postrzępionymi wzgórzami stanu New Hampshire [...]. Tu, w 1861 roku, ja, Herman W. Mudgett, autor tych wspomnień, przyszedłem na świat. Nie mam powodów przypuszczać, że pierwsze lata mojego życia różniły się od przeżyć innych zwykłych wiejskich chłopców”. Daty i miejsca zostały podane zgodnie z prawdą, natomiast opis typowej wiejskiej idylli dzieciństwa był prawie na pewno zmyśleniem. Jedną z typowych cech psychopatów jest to, że jako dzieci kłamią jak z nut, wykazują niezwykle okrucieństwo wobec zwierząt i innych dzieci, i często dokonują aktów wandalizmu, przy czym szczególnie lubują się w podpaleniach.

Holmes włączył do swoich wspomnień „dziennik więzienny”, który, jak twierdził, prowadził od chwili przybycia do Moyamensing. Jest bardziej prawdopodobne, że wymyślił ten dziennik specjalnie na potrzeby swoich wspomnień, zamierzając z jego pomocą udowodnić, że jest niewinny, przez pokazanie czytelnikom, jakim to jest serdecznym i pobożnym człowiekiem. Twierdził w nim, że opracował sobie całodzienny harmonogram, którego celem była samopoprawa. Codziennie wstawał o wpół do siódmej rano i „kąpał się za pomocą gąbki”, po czym sprzątał celę. Jadł śniadanie o siódmej. „Nie będę jadł żadnego mięsa, kiedy jestem w tak ścisłym zamknięciu”. Planował ćwiczyć i czytać poranną prasę do dziesiątej rano. „Od dziesiątej do dwunastej i od czternastej do szesnastej przez sześć dni w tygodniu będę się poświęcał moim dawnym pracom medycznym i innym studiom, w tym etnografii, francuskiemu i niemieckiemu”. Przez resztę dnia zamierzał czytać różne periodyki i książki z biblioteki.

Jeden z wpisów głosił, że czyta *Trilby*, bestseller z 1894 roku autorstwa George'a du Maurier, opowiadający o młodej śpiewaczce, Trilby O'Farrell, i jej opętaniu przez hipnotyzera Svengali. Holmes napisał: „niektóre części sprawiły mi wielką przyjemność”.

W innych miejscach grał na uczuciach czytelników.

Wpis z 16 maja 1895 roku: „Moje urodziny. Mam trzydzieści cztery lata. Zastanawiam się, czy — jak w poprzednich latach — mama do mnie napisze [...]”.

W innym miejscu opisał wizytę swojej ostatniej żony, Georgiany Yoke. „Cierpiała i choć bohatersko starała się to przede mną ukryć, nie zdołała. A konieczność pożegnania jej za kilka minut i wiedza, że wychodzi w świat, dźwigając tak wielki ciężar, sprawiły mi więcej cierpienia niż jakiegokolwiek zmagania ze śmiercią. Każdy dzień, nim będę pewien, że jest bezpieczna i nikt jej nie skrzywdzi, będzie dla mnie śmiercią za życia”.

Ze swojej celi Holmes napisał również długi list do Carrie Pitezell, który skomponował w sposób wskazujący, że wiedział, że policja czyta jego pocztę. Twierdził stanowczo, że Alice, Nellie i Howard byli z „panną W.” w Londynie i że gdyby tylko policja sprawdziła starannie jego historię, szybko rozwiązałyby tajemnicę miejsca pobytu dzieci. „Dbałem o te dzieci, jakby były moimi własnymi, a znasz mnie dość dobrze, żeby osądzić lepiej niż obcy. Ben nigdy nie uczyniłby niczego przeciwko mnie ani ja przeciwko niemu, podobnie jak rodzeni bracia. Nigdy się nie kłóciliśmy. Poza tym jest dla mnie wart zbyt wiele, żebym miał go zabijać, gdy już brak innych powodów. Jeśli chodzi o dzieci, nigdy nie uwierzę, chyba że powiesz mi to osobiście, że uważasz je za zmarłe albo że ja zrobiłem coś, by je usunąć z drogi. Znając mnie tak dobrze, czy możesz sobie wyobrazić, że zabijam małe i niewinne dzieci, szczególnie, nie mając żadnego motywu?”.

Wyjaśnił również brak listów od dzieci. „Zapewne piszą listy, które panna W. dla własnego bezpieczeństwa, zatrzymuje”.

Holmes czytał uważnie gazety codzienne. Najwyraźniej poszukiwania prowadzone przez detektywa przyniosły niewiele. Holmes nie wątpił, że Geyer wkrótce będzie zmuszony zakończyć swoje łowy i wrócić do Filadelfii.

Ta perspektywa sprawiała mu niezwykłą przyjemność.

Lokator

W niedzielę 7 lipca 1895 roku detektyw Geyer dotarł w swoich poszukiwaniach do Toronto, gdzie policja przydzieliła mu do pomocy detektywa Alfa Cuddy'ego. Geyer i Cuddy wspólnie przeprowadzili poszukiwania w hotelach i pensjonatach Toronto i po kilku dniach ustalili, że tutaj również Holmes przeniósł równocześnie wszystkie trzy grupy podróżnych.

Holmes i Yoke zatrzymali się w Walker House: „G. Howe z żoną, z Columbus”.

Pani Pitezel w Union House: „Pani C. A. Adams i córka, z Columbus”.

Dziewczęta mieszkały w Albion: „Alice i Nellie Canning z Detroit”.

Nikt nie pamiętał, czy widział Howarda.

Następnie Geyer i Cuddy zaczęli przeszukiwać archiwa agencji wynajmu nieruchomości i kontaktować się z właścicielami domów do wynajęcia, ale Toronto było dużo większe niż miasta, w których Geyer prowadził dotąd poszukiwania. Zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania. W poniedziałek rano, 15 lipca, Geyer obudził się, mając w perspektywie kolejny dzień ogłupiającej rutyny, ale kiedy przybył na komisariat, zastał detektywa Cuddy'ego w zaskakująco dobrym humorze. Napłynęła wskazówka, którą uznał za obiecującą. Pewien człowiek, Thomas Ryves, przeczytał opis Holmesa w lokalnej gazecie i doszedł do wniosku, że przypomina on człowieka, który w październiku 1894 roku wynajmował dom obok, pod numerem 16 przy St. Vincent Street.

Geyer był nastawiony nieufnie. Wrzawa w gazetach na temat jego misji i przyjazdu do Toronto spowodowała napływ takich wiadomości, jak dotąd całkowicie bezużytecznych.

Cuddy zgodził się, że ta ostatnia wskazówka też może być pogonią za niczym, ale przynajmniej była to jakaś zmiana rutyny.

W tym czasie cały kraj był już zafascynowany Geyerem, amerykańskim Sherlockiem Holmesem. Doniesienia o jego podróżach pojawiały się w gazetach w całym kraju. W tamtych czasach możliwość, że jakiś mężczyzna zabił troje dzieci, uważano za rzecz potworną, wykraczającą daleko poza normę. W samotnych, prowadzonych w dusznym upale poszukiwaniach detektywa Geyera było coś takiego, co poruszało wyobraźnię wszystkich. Stał się uosobieniem tego, jak mężczyźni lubili o sobie myśleć: jeden człowiek wykonujący straszliwy obowiązek, i to wykonujący go dobrze, wbrew wszelkim przeciwnościom. Miliony ludzi budziły się co rano z nadzieją, że przeczytają w gazetach, że ten oddany detektyw odnalazł wreszcie zaginione dzieci.

Geyer zwracał niewiele uwagi na swoją nową sławę. Niemal miesiąc minął od rozpoczęcia poszukiwań, a co zdołał osiągnąć? Każda nowa faza śledztwa rodziła tylko nowe pytania: Dlaczego Holmes zabrał dzieci? Dlaczego przedsięwziął tę pokrętną podróż z miasta do miasta? Jaką mocą dysponował, że miał aż taką władzę?

W Holmesie było coś takiego, czego po prostu nie rozumiał. Każda zbrodnia ma motyw, ale siła, która napędzała Holmesa, zdawała się istnieć poza światem, jaki znał Geyer.

Ciągle dochodził do tego samego wniosku: Holmes doskonale się bawił. Zaranżował oszustwo ubezpieczeniowe dla pieniędzy, ale całą resztę robił dla zabawy. Badał, jak wielką ma moc sterowania życiem innych ludzi.

Geyera najbardziej drażniło to, że ciągle nie miał odpowiedzi na podstawowe pytanie: Gdzie są teraz dzieci?

Detektywi stwierdzili, że Thomas Ryves jest czarującym Szkotem w zaawansowanym wieku. Powitał ich z entuzjazmem. Wyjaśnił, dlaczego lokator z domu obok zwrócił jego uwagę. Po pierwsze, zjawił się tutaj z niewielką liczbą mebli — materacem, starym łóżkiem i niezwykle wielkim kufrem. Pewnego razu po południu przyszedł do domu Ryvesa pożyczyć szpadel. Powiedział, że chce wykopać w piwnicy dół do przechowywania ziemniaków. Zwrócił szpadel następnego dnia rano, a jeszcze następnego usunął z domu wielki kufer. Ryves więcej go nie widział.

Detektyw Geyer, poruszony tymi informacjami, kazał Ryvesowi czekać na siebie przed sąsiednim domem za godzinę. Następnie wraz z Cuddym udał się

do domu agentki nieruchomości, która obsługiwała transakcję wynajmów. Prawie bez wstępów Geyer pokazał jej zdjęcie Holmesa. Natychmiast go rozpoznała. Był bardzo przystojny i miał zdumiewające, błękitne oczy.

„Miałem wrażenie, że to zbyt piękne, żeby miało być prawdą” — napisał Geyer. Wraz z Cuddym podziękowali agentce i szybko wrócili na St. Vincent Street. Ryves czekał na nich na zewnątrz.

Geyer poprosił o pożyczanie szpadla, a Ryves przyniósł mu ten, który pożyczł wcześniej sąsiadowi.

Dom był czarujący, o spadzistym dachu z ząbkowanym wykończeniem, jak domek z piernika z bajki, ale nie stał samotnie w lesie, tylko w sercu Toronto, przy porządnej ulicy pełnej eleganckich domów, których podwórza ogrodzono parkanami ze zwieńczeniem w kształcie *fleur-de-lis*. Kwitnący powojnik oplatał jedną z kolumn werandy.

Drzwi otworzyła obecna lokatorka, pani J. Armbrust. Ryves przedstawił detektywów, a ona wpuściła ich do środka. Weszli do przedpokoju dzielącego dom na dwie części, z których każda zawierała trzy pokoje. Schody prowadziły na piętro. Geyer poprosił, żeby pani Armbrust pokazała im piwnicę.

Gospodyni zaprowadziła ich do kuchni, gdzie podniosła z podłogi płachtę ceraty. Pod spodem znajdowały się kwadratowe drzwi w podłodze. Kiedy detektywi je otworzyli, kuchnię wypełnił zapach wilgotnej ziemi. Pani Armbrust przyniosła lampy.

Geyer i Cuddy zeszli po stromych stopniach, bardziej przypominających drabinę niż schody, do małego pomieszczenia o wymiarach trzy na trzy metry, ale wysokiego tylko na nieco ponad metr. Lampy emanowały drżącym pomarańczowym światłem, które powiększało cienie rzucone przez detektywów. Pochyleni nisko, starając się nie uderzyć w belki nad głową, Geyer i Cuddy badali szpadlem podłogę. W południowo-zachodnim narożniku Geyer wyczuł miękką ziemię. Łopata wbiła się w nią z niepokojącą łatwością.

„Wystarczył niewielki otwór, żeby gazy wydostały się na zewnątrz. Smród był straszny” — napisał Geyer.

Na głębokości niecałego metra natrafili na ludzką kość.

Wezwali przedsiębiorcę pogrzebowego, niejakiego B. D. Humphreya, żeby pomógł im odgrzebać szczątki. Detektywi ostrożnie zeszli do piwnicy. Humphrey zeskokczył na dół.

Smród rozszedł się już po całym domu. Pani Armbrust była niepocieszona. Potem przybyły na miejsce trumny. Ludzie z zakładu pogrzebowego postawili je w kuchni.

Dzieci pochowano nago. Alice leżała na boku, a jej głowa znajdowała się po zachodniej stronie grobu. Nellie ułożono twarzą do ziemi, częściowo przykrywała ciało Alice. Gęste, starannie zaplecione czarne włosy leżały na jej plecach, jakby przed chwilą zostały uczesane. Mężczyźni rozłożyli na podłodze piwnicy płachtę materiału.

Zaczęli od Nellie.

„Unieśliśmy ją najdelikatniej, jak mogliśmy, ale rozkład zwłok był tak zaawansowany, że ciężar zaplecionych z tyłu włosów zerwał skórę z jej głowy” — napisał Geyer.

Odkryli coś jeszcze: stopy Nellie zostały odcięte. Nie znaleziono ich śladu podczas przeszukania domu, które później przeprowadziła policja. Początkowo ten czyn mordercy wydawał się zagadkowy, aż Geyer przypomniał sobie, że Nellie miała zdeformowane stopy. Holmes amputował je, żeby uniemożliwić identyfikację zwłok.

Pani Pitezel dowiedziała się o odkryciu zwłok dziewcząt z porannej prasy. Pojechała w odwiedziny do przyjaciół do Chicago i dlatego Geyer nie mógł do niej zatelegrafować. Od razu wsiadła do pociągu do Toronto. Detektyw wyszedł po nią na stację i zawiózł do swojego hotelu, Rossin House. Była wyczerpana i smutna i prawie bez przerwy omdlewała. Geyer zaaplikował jej sole trzeźwiące.

Wraz z Cuddym przyszedł po nią następnego dnia po południu, żeby zawieźć ją do kostnicy. Zabrali z sobą brandy i sole trzeźwiące. Geyer napisał: „Powiedziałem jej, że zobaczy jedynie zęby i włosy Alice oraz włosy Nellie. Wywarło to na niej paraliżujące wrażenie i omal nie zemdląła”.

Ludzie koronera zrobili, co mogli, żeby uczynić identyfikację zwłok jak najmniej przerażającą. Usunęli resztki ciała z czaszki Alice i starannie wypolerowali jej zęby, po czym resztę ciała przykryli prześcieradłem. Samą część twarzową czaszki nakryli papierem i wycięli w nim dziurę, przez którą było widać tylko zęby. Tak samo koroner z Filadelfii uczynił z ojcem Alice.

Umyli włosy Nellie i ułożyli je na prześcieradle pokrywającym zwłoki jej starszej siostry.

Cuddy i Geyer stanęli po obu bokach pani Pitezeli i wprowadzili ją do kostnicy. Natychmiast rozpoznała zęby Alice. Potem zwróciła się do Geyera i zapytała: „Gdzie jest Nellie?”. Dopiero po chwili zauważyła długie, czarne włosy młodszej córki.

Koroner, nie mogąc znaleźć żadnych śladów przemocy, wysunął teorię, że Holmes zamknął dziewczęta w wielkim kufrze, a następnie wypełnił go gazem, którym zasila się lampy. Rzeczywiście, kiedy policja odnalazła kufer, okazało się, że z boku ma wywierconą dziurę, zakrytą prowizoryczną łatką.

„Trudno o większe zaskoczenie niż łatwość, z jaką Holmes zamordował dwie małe dziewczynki w samym sercu Toronto, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń” — pisał Geyer. Był pewien, że gdyby nie decyzja prokuratora Grahama, „te morderstwa nigdy nie wyszłyby na jaw, a pani Pitezeli poszłyby do grobu, nie wiedząc, czy jej dzieci żyją, czy umarły”.

Dla Geyera odnalezienie dziewcząt było „jednym z najbardziej satysfakcjonujących wydarzeń w życiu”, choć nie była to satysfakcja pełna, zważywszy, że Howard nadal pozostawał zaginiony. Pani Pitezeli nie chciała uwierzyć w jego śmierć. „Z całych sił trzymała się nadziei, że w końcu zostanie odnaleziony żywy”.

Nawet Geyer miał nadzieję, że w tym wypadku Holmes nie kłamał i zrobił tak, jak powiedział recepcjoniście w Indianapolis. „Czy [Howard] został

umieszczony w jakimś zakładzie, jak Holmes głosił, że zamierza zrobić, czy też został ukryty w jakimś nieznanym miejscu, gdzie nie sposób go odnaleźć? Czy żyje, czy został zabity? Byłem zdumiony, skonsternowany i błądziłem w mroku po omacku”.

Żywy trup

W Filadelfii, we wtorkowy poranek 16 lipca 1895 roku — w dniu, w którym gazety opisały odkrycia Geyera w Toronto — z biura prokuratora okręgowego wykonano pilny telefon do dowódcy straży więzienia Moyamensing. Wiceprokurator Thomas W. Barlow polecił nie dawać Holmesowi żadnych gazet. Chciał zaskoczyć Holmesa tą wiadomością, mając nadzieję, że wstrząśnie nim ona tak bardzo, że przyzna się do winy.

Polecenie Barlowa przyszło zbyt późno. Strażnik wysłany, żeby przejąć poranne gazety, zastał więźnia przy stole, przeglądającego prasę tak spokojnie, jakby czytał o pogodzie.

Holmes twierdził w swoich wspomnieniach, że wiadomość nim wstrząsnęła. Gazety dotarły do niego tego ranka jak zwykle o ósmej trzydzieści. „Ledwie je otworzyłem, zobaczyłem wielkie nagłówki informujące o odnalezieniu dzieci w Toronto. Przez chwilę wydawało się to zupełnie niemożliwe, miałem wrażenie, że to jedna z tych prasowych sensacji, które pojawiały się we wcześniejszych etapach dochodzenia [...]”. Ale nagle, napisał, uświadomił sobie, że to musiała być prawda. Minnie Williams je zabiła albo kazała je zabić. Wiedział, że była związana z pewnym podejrzanym osobnikiem, przezywanym „Hatch”. Zapewne zasugerowała zabicie dzieci, a on jej posłuchał. To było zbyt straszne, nie do pojęcia. „Nie doczytałem artykułu — w jego miejsce przed moimi oczami pojawiły się te dwie małe twarzyczki, jak na mnie patrzyły, kiedy je opuszczałem w pośpiechu — czułem niewinne dziecięce pocałunki, którymi obdarzyły mnie tak nieśmiało, i znów usłyszałem ich poważne pożegnania. Zrozumiałem, że oto spadł na mnie kolejny ciężar, który będę dźwigać aż do grobu [...]. Myślę, że w tamtej chwili na pewno postradałbym zmysły, gdybym nie został pilnie wezwany do biura prokuratora okręgowego”.

Poranek był gorący. Holmes został przewieziony na Bond Street, do ratusza. Powietrze było lepkie jak toffi. W biurze prokuratora okręgowego przesłuchał

go Barlow. „Philadelphia Public Ledger” doniósł, że „geniusz wyjaśnień opuścił Holmesa. Przez dwie godziny siedział pod gradem pytań i odmawiał zeznań. W żadnym razie nie był zastraszany, ale w najmniejszym stopniu nie dał powodów do satysfakcji”.

Holmes napisał: „Nie byłem w stanie znieść tych oskarżeń ani odpowiadać na liczne pytania”. Powiedział Barlowowi, że panna Williams i „Hatch” najwyraźniej zabili również Howarda.

Odwieziono go do Moyamensing. Zaczął na poważnie szukać wydawcy swoich wspomnień, w nadziei, że uda mu się je szybko opublikować i zmienić opinię publiczną na swoją korzyść. Skoro nie mógł bezpośrednio wykorzystać swoich wielkich zdolności przekonywania, chciał przynajmniej spróbować uczynić to pośrednio. Zawarł umowę z Johnem Kingiem, dziennikarzem, który miał się zająć wydaniem i sprzedażą książki.

Napisał do Kinga: „Uważam, że powinien Pan uzyskać z nowojorskiego »Heralda« i filadelfijskiego »Press« wszystkie wycinki, jakie mają, i przekazać te, które wybierzemy, drukarzowi, żeby je zgalwanizował na własny koszt”. Szczególnie zależało mu na zdjęciu z „Heralda”, na którym był sportretowany z brodą. Chciał mieć również „odręczne podpisy obu moich nazwisk (Holmes i Mudgett) wygrawerowane i powielone galwanicznie, które pojawiłyby się pod zdjęciem”. Chciał, żeby to wszystko wykonano szybko, aby, gdy tylko rękopis zostanie złożony w drukarni, wszystkie elementy książki były gotowe do druku.

Dał Kingowi kilka wskazówek handlowych: „Jak tylko książka zostanie opublikowana, niech ją Pan umieści na stojakach z prasą w Filadelfii i Nowym Jorku. Niech Pan wybierze jedną dobrą ulicę, zostawi tam książkę i za pół godziny wróci po pieniądze. Nie ma sensu robić tego przed południem, kiedy ludzie są zajęci. Prowadziłem w ten sposób sprzedaż jako student i wiem, że ta metoda działa”.

„Poza tym, jeśli lubi Pan podróżować, niech Pan przejedzie po miejscach wymienionych w książce i spędzi kilka dni w Chicago, Detroit i Indianapolis. Niech Pan prześle egzemplarze książki do gazet w tych miastach, aby zamieściły swój komentarz, to pomoże sprzedaży [...]”.

Świadom, że również ten list zostanie przeczytany przez stróżów prawa, wykorzystał go do głoszenia swojej niewinności. Nalegał, żeby King, kiedy wymagania sprzedaży zaprowadzą go do Chicago, udał się do konkretnego hotelu, przeszukał księgi hotelowe i odebrał od recepcjonistów oświadczenie pod

przysięgą, że Minnie Williams zatrzymała się tam wraz z Holmesem na długo po swojej rzekomej śmierci.

„Jeśli była wtedy trupem, była trupem wyjątkowo żywym” – napisał do Kinga.

„Te męczące dni”

To była dziwna chwila dla Geyera. Zbadał już każdy ślad, sprawdził każdy hotel, odwiedził każdy pensjonat i wszystkich agentów nieruchomości, a przecież musiał rozpocząć swoje poszukiwania od początku. Gdzie? Jaka droga mu pozostała? Nadal było duszno, jakby pogoda specjalnie chciała mu dokuczyć.

Instynkt mu podpowiadał, że Holmes zabił Howarda w Indianapolis. Wrócił do tego miasta 24 lipca i znów dostał do pomocy detektywa Davida Richardsa. Tym razem jednak zwrócił się również do prasy. Następnego dnia wszystkie gazety w mieście pisały o jego przyjeździe. Odwiedziło go w hotelu mnóstwo ludzi, sugerując, gdzie powinien szukać Howarda. „Liczba tajemniczych osób, które wynajęły dom w Indianapolis lub okolicach, rosła z dnia na dzień” — pisał Geyer. Wraz z Richardsem brnął przez upał od biura do biura, od domu do domu, i nie znalazł nic. „Dni mijały, a ja nadal tkwiłem w mroku. Zaczęło wyglądać na to, że tym razem ten śmiały i sprytny kryminalista przechytrzył detektywów [...] i że zniknięcie Howarda Pitezla przejdzie do historii jako nierozwiązana zagadka”.

Tymczasem zagadka, jaką był sam Holmes, stawała się coraz głębsza i mroczniejsza.

Odkrycie przez Geyera zwłok dziewczynek skłoniło policję Chicago do wkroczenia do „zamku” Holmesa w Englewood. Kiedy zaczęli zgłębiać jego tajemnice, natrafiali na nowe dowody, że Holmes był kimś znacznie gorszym niżby to wynikało nawet z makabrycznych odkryć Geyera. Spekulowano, że podczas wystawy światowej mógł zabić dziesiątki ludzi, w większości młode kobiety. Jeden z szanków, niewątpliwie przesadzony, podawał liczbę dwustu osób. Przeważająca

część ludzi uważała jednak za niemożliwe, żeby Holmes dokonał tylu zbrodni i nie został przyłapany. Geyer chętnie by się z nimi zgodził, ale jego własne poszukiwania co rusz ujawniały talent tego przestępcy do unikania wszelkich podejrzeń.

Chicagowscy detektywi rozpoczęli swoje badania „zamku” w piątek 19 lipca wieczorem. Najpierw dokonali pobieżnych oględzin budynku. Na drugim piętrze znajdowały się niewielkie pokoje hotelowe. Na pierwszym naliczono trzydzieści pięć pokoi, których przeznaczenie trudniej było sklasyfikować. Niektóre z nich wyglądały jak zwykłe sypialnie, inne nie miały okien, za to były wyposażone w drzwi, które czyniły je hermetycznymi. Jedno pomieszczenie zostało zamienione w skarbiec o ścianach ze stali. Policja znalazła tam dyszę gazową, która ewidentnie nie miała innego zastosowania, jak wypełnianie skarbcza gazem. Jej zawór znajdował się w osobistych apartamentach Holmesa. Z kolei w biurze Holmesa znaleziono książeczkę czekową kobiety o nazwisku Lucy Burbank. Saldo na rachunku wynosiło 23 tysiące dolarów. Kobiety nie udało się odnaleźć.

Najbardziej upiorna faza przeszukań rozpoczęła się wtedy, kiedy policjanci, trzymając wysoko migotliwe latarnie, zeszli do piwnicy hotelu, zbudowanej z cegieł i drewna pieczary, mierzącej piętnaście na pięćdziesiąt metrów. Odkryć dokonano prawie natychmiast: kadź z kwasem, na której dnie leżało osiem żeber i fragmenty ludzkiej czaszki, kopce palonego wapna, wielki piec, stół sekcyjny poplamiony czymś ciemnym, zapewne krwią. Znaleźli narzędzia chirurgiczne i zwęglone buty na wysokim obcasie.

I kolejne kości:

Osiemnaście dziecięcych żeber.

Kilka kręgów.

Jedną kość ze stopy.

Jedną łopatkę.

Jedną panewkę stawu biodrowego.

Ze ścian i z dołów pełnych popiołu i palonego wapna wystawały fragmenty ubrań, w tym dziewczęca sukienka i poplamiony krwią roboczy kombinezon. Ludzkie włosy zatkały rurę kominową pieca. Policjanci odkopali dwa groby pełne palonego wapna i ludzkich szczątków. Wyszuli teorię, że szczątki należały do dwóch kobiet z Teksasu, Minnie i Anny Williams, o których zaginięciu policja z Chicago dowiedziała się dopiero ostatnio. W popiele wielkiego pieca znaleźli kawałek łańcuszka, który jubiler z drogerii Holmesa rozpoznał jako łańcuszek do zegarka подарowany przez Holmesa Minnie. Znaleźli również list, który

Holmes napisał do aptekarza zatrudnionego w jego drogerii: „Czy widuje Pan duchy sióstr Williams i czy bardzo zakłócają Panu spokój?”.

Następnego dnia policja znalazła ukryte pomieszczenie, położone w południowo-zachodnim narożniku piwnicy. Zaprowadził ich tam niejaki Charles Chappell, który twierdził, że pomagał Holmesowi preparować szkielety ze zwłok. Był bardzo chętny do współpracy i wkrótce policja odzyskała trzy dokładnie wy-preparowane szkielety. Czwarty spodziewano się otrzymać od chicagowskiego Hahneman Medical College.

Jednego z najbardziej zdumiewających odkryć dokonano na pierwszym piętrze, w pomieszczeniu zamienionym w skarbiec. Na wewnętrznych drzwiach znajdował się odcisk bosej kobiecej stopy. Policja wysunęła teorię, że zrobiła go kobieta, którą Holmes udusił wewnątrz hermetycznego skarbcza. Przypuszczali, że nazywała się Emeline Cigrand.

Policja Chicago wysłała do prokuratora okręgowego Grahama telegram, że podczas przeszukania budynku Holmesa natrafiono na szkielet dziecka. Graham wysłał Geyera do Chicago, żeby sprawdził, czy te szczątki mogą należeć do Howarda Pitezla.

Detektyw zastał Chicago w stanie szoku po odkryciach w „zamku”. Doniesienia prasowe były bardzo wyczerpujące i zajmowały większość pierwszych stron gazet codziennych. OFIARY SZATANA — głosił nagłówek w „Tribune”. W artykule, który zajmował aż sześć z siedmiu kolumn pierwszej strony, napisano, że w budynku odnaleziono szczątki Howarda Pitezla.

Geyer spotkał się z inspektorem prowadzącym śledztwo i dowiedział się, że lekarz, który przeprowadził oględziny dziecięcej czaszki, stwierdził, że należała do małej dziewczynki. Inspektor sądził, że wie kim ona była, i wymienił nazwisko: Pearl Conner. Geyerowi nic to nie powiedziało.

Przekazał rozczarowującą wiadomość Grahamowi, a ten polecił mu wracać do Filadelfii na konsultacje i odpoczynek.

W środowy wieczór 7 sierpnia, kiedy temperatura powietrza przekraczała trzydzieści stopni, a wewnątrz wagonu kolejowego było rozgrzane jak piec, Geyer wyruszył ponownie w podróż, tym razem w towarzystwie najlepszego inspektora z towarzystwa ubezpieczeniowego Fidelity Mutual, W. E. Gary'ego. Geyer cieszył się z tego towarzystwa.

Pojechali do Chicago, później do Indiany, gdzie zatrzymali się w Logansport i Peru, potem do Montpelier Junction w Ohio i do Adrian w Michigan. Całe dni poświęcali na poszukiwania w hotelach, pensjonatach i agencjach nieruchomości, „a wszystko — jak napisał Geyer — na próżno”.

Choć krótki pobyt w Filadelfii odnowił w nim nadzieję, obecnie czuł, jak nadzieja ta zeń „szybko ulatuje”. Nadal wierzył, że przecucie go nie myliło, że Howard był w Indianapolis albo okolicach. Pojechał tam jeszcze raz, po raz trzeci tego lata.

„Muszę wyznać, że nie wracałem do Indianapolis w radosnym nastroju” — napisał. Wraz z inspektorem Garym zameldował się w tym samym hotelu co wcześniej, Spencer House. Niepowodzenie w odszukaniu Howarda, mimo włożonych w nie wysiłków, było frustrujące, jak również zaskakujące. „Tajemnica ta wydaje się niemożliwa do zgłębienia” — napisał.

W czwartek 19 sierpnia Geyer dowiedział się, że poprzedniej nocy „zamek” Holmesa w Englewood, jego mroczna kraina marzeń, został doszczętnie spalony. Nagłówki na pierwszej stronie „Chicago Tribune” krzychały: „Jaskinia Holmesa spalona. Ogień niszczy miejsce mordu i tajemnic”. Strażacy podejrzewali podpalenie. Policja wysunęła teorię, że ten, kto podłożył ogień, chciał zniszczyć jeszcze nieujawnione tajemnice budynku. Nikt nie został aresztowany.

Detektyw Geyer i inspektor Gary wspólnie zbadali dziewięćset tropów. Rozszerzyli śledztwo, obejmując nim małe miasteczka na obrzeżach Indianapolis. „Do poniedziałku — pisał Geyer w raporcie — przeszukamy wszystkie miasteczka w okolicach oprócz Irvington, a na jego przeszukanie wystarczy nam kolejny

dzień. Kiedy skończymy z Irvington, nie mam pojęcia, dokąd powinniśmy się zwrócić”.

Pojechali do Irvington we wtorek rano, 27 sierpnia 1895 roku, tramwajem elektrycznym, nowym rodzajem pojazdów, który ciągnął moc przez aparat w kształcie koła umieszczony na dachu wagonu, nazywany odbierakiem. Tuż przed pętlą Geyer zauważył tablicę agencji wynajmu nieruchomości. Obaj z Garym postanowili zacząć poszukiwania od niej.

Właścicielem był niejaki pan Brown. Poprosił detektywów, żeby usiedli, ale woleli stać. Nie sądzili, by wizyta potrwała długo, a przed zapadnięciem zmroku mieli jeszcze wiele biur do odwiedzenia. Geyer rozpakował swoją, obecnie już przybrudzoną, paczkę fotografii.

Brown poprawił okulary i obejrzał zdjęcie Holmesa. Po dłuższej chwili powiedział: „Nie powierzono mi wynajmu tego domu, ale miałem klucze i pewnego dnia zeszłej jesieni ten człowiek przyszedł do mojego biura i bardzo obcesowo kazał sobie je przekazać”. Geyer i Gary stali zupełnie nieruchomo, Brown ciągnął: „Pamiętam go bardzo dobrze, ponieważ nie podobały mi się jego maniery i uważałem, że powinien okazać więcej szacunku moim siwym włosom”.

Detektywi popatrzyli po sobie. Obaj usiedli równocześnie. „Cały trud — wspominał Geyer — wszystkie te męczące dni i tygodnie w rozjazdach, znój i podróże w najgorętszych miesiącach roku, miotanie się między wiarą i nadzieją a rozczarowaniem i rozpaczą, wszystkie one zostały mi wynagrodzone w tej jednej chwili, kiedy poczułem, że zasłona tajemnicy zaraz się uniesie”.

Podczas późniejszego dochodzenia młodzieniec o nazwisku Elvet Moorman zeznał, że pomagał Holmesowi zainstalować w domu wielki piec na drewno. Przypomniał sobie, że zapytał, dlaczego Holmes nie zakłada pieca gazowego, a ten odpowiedział, że „uważa, że gaz nie jest zdrowy dla dzieci”.

Właściciel warsztatu naprawczego w Indianapolis zeznał, że Holmes przyszedł do jego sklepu 3 października 1894 roku z dwiema walizeczkami narzędzi chirurgicznych i poprosił o ich naostrzenie. Odebrał je dwa dni później.

Detektyw Geyer zeznał, że podczas przeszukania domu otworzył komorę spalania komina, który sięgał od dachu do piwnicy. Kiedy przesiewał przez siatkę

przeciw owadom zebrany tam popiół, znalazł ludzkie zęby i fragment szczęki. Znalazł również „dużą, zwęgloną masę, która po przecięciu okazała się ugotowanymi fragmentami żołądka, wątroby i śledziony”. Organy zostały zbyt ciasno upchane w kominie i z tego powodu się nie spaliły.

Oczywiście wezwano także panią Pitezel. Rozpoznała płaszcz Howarda, jego szpilkę do krawata oraz szydełko należące do Alice.

Na koniec koroner pokazał jej zabawkę, którą Geyer znalazł w domu. Był to cynowy ludzik umieszczony na szczycie bąka. Rozpoznała ją. Jakże mogłaby inaczej? To był największy skarb Howarda. Pani Pitezel sama zapakowała kufer dzieci przed ich wyjazdem z Holmesem. Ojciec kupił Howardowi tę zabawkę na chicagowskiej wystawie światowej.

Premedytacja

Dnia 12 września 1895 roku filadelfijska ława przysięgłych zdecydowała o postawieniu Holmesa w stan oskarżenia w sprawie o zabójstwo Benjamina Pitezla. Przedstawiono tylko dwóch świadków oskarżenia — L. G. Fouse'a, prezesa towarzystwa ubezpieczeniowego Fidelity Mutual Life, oraz detektywa Franka Geyera. Holmes trwał przy twierdzeniu, że dzieci zostały zabite przez Minnie Williams i tajemniczego „Hatcha”. Ławy przysięgłych w Indianapolis i Toronto uznały to twierdzenie za nieprzekonujące. Indianapolis oskarżyło Holmesa o zamordowanie Howarda Pitezla, a Toronto — Alice i Nellie Pitezel. Jeśli nie zostałyby skazany w Filadelfii, wymiar sprawiedliwości miał jeszcze dwie szanse. Jeśli w Filadelfii uznano by go winnym, pozostałe sprawy nabrałyby czysto formalnego znaczenia, ponieważ, zważywszy naturę morderstwa popełnionego na Pitezlu, jedynym możliwym wyrokiem byłaby kara śmierci.

Wspomnienia Holmesa dotarły na półki księgarń. Na ostatnich stronach stwierdzał: „Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem, a nawet poniżej średniej, jeśli chodzi o siłę fizyczną i zdolności umysłowe, i że zaplanowanie i przeprowadzenie tak niezwykłej liczby przestępstw, jakie mi się przypisuje, leżałoby całkowicie poza moją mocą [...]”.

Prosił opinię publiczną, żeby zawiesiła osąd na czas, kiedy on będzie pracować nad obaleniem wysuniętych przeciw niemu oskarżeń, przy czym było to „zadanie, które, jak czuję, potrafię wykonać sprawnie i z sukcesem. Nie mogę więc powiedzieć koniec — to nie jest koniec — gdyż ponadto pozostaje zadanie postawienia przed sądem tych, za których przestępstwa ja dzisiaj cierpię, i to nie po to, żeby przedłużyć moje życie czy je ocalić, gdyż od dnia, kiedy dowiedziałem się o przerażających odkryciach w Toronto, nie obchodzi mnie życie, ale po to, by tym, którzy mnie podziwiali i szanowali w przeszłości, nie mówiono w przyszłości, że poniosłem haniebną śmierć mordercy”.

Dziennikarze nie mogli zrozumieć jednego — jak Holmes zdołał uniknąć podejrzeń ze strony chicagowskiej policji. „Chicago Inter Ocean” pisał: „To wielkie upokorzenie pomyśleć, że gdyby nie wysiłki towarzystw ubezpieczeniowych, które Holmes oszukał lub próbował oszukać, ten człowiek nadal przebywałby na wolności, żerując na społeczeństwie, tak dobrze potrafił maskować ślady swoich zbrodni”. Chicagowskie „upokorzenie” nie było zaskoczeniem, napisał „New York Times”. Każdy, kto zna tę historię, „musi poczuć zdumienie, że policja miejska i prokuratura nie tylko nie zdołały zapobiec tym okropnym zbrodniom, ale nawet uzyskać na ich temat jakiegokolwiek wiedzy”.

Jednym z najbardziej zaskakujących, a nawet przerażających odkryć było to, że szef chicagowskiej policji podczas swojej wcześniejszej kariery prawniczej reprezentował Holmesa w wielu standardowych procesach cywilnych.

„Chicago Times-Herald” spojrział na sprawę w bardziej ogólnym kontekście i napisał o Holmesie: „Jest on cudownym dzieckiem zła, demonem w ludzkiej skórze, istotą tak nie do pojęcia, że żaden pisarz nie ośmieliłby się stworzyć podobnej postaci. Ta historia ilustruje doskonale koniec stulecia”.

EPILOG

Ostatnia przeprawa

Wystawa

Wystawa wywarła silny i trwały wpływ na psychikę narodu, w kwestiach zarówno dużych, jak i małych. Ojciec Walta Disneya, Elias, pomagał zbudować Białe Miasto. Królestwo Czarów Walta mogło być jego potomkiem. Wystawa na pewno wywarła wielki wpływ na rodzinę Disneyów. Okazała się takim błogosławieństwem finansowym, że kiedy w tamtym roku urodził się ich trzeci syn, Elias chciał mu dać na imię Kolumb. Ale jego żona, Flora, zaprotestowała i chłopiec został ochrzczony Roy. Walt urodził się następny, 5 grudnia 1901 roku. Wystawę odwiedził pisarz L. Frank Baum i jego współpracownik, rysownik William Wallace Denslow. Jej wspaniałość legła u podstawy stworzonej przez nich krainy Oz. Japońska świątynia na Wyspie Leśnej oczarowała Franka Lloyda Wrighta i być może wpłynęła na formę jego „preriovych” projektów rezydencji. Wystawa skłoniła prezydenta Harrisona do uznania 12 października za święto narodowe, Dzień Kolumba, które dzisiaj świętuje się wielkimi paradami i długim weekendem. Od 1893 roku każdy festyn ma własny Zakątek Uciech i własny diabelski młyn, czyli koło Ferrisa, a w każdym sklepie spożywczym można nabyć produkty, które narodziły się na wystawie. Chrupki śniadaniowe przetrwały. W każdym domu jest mnóstwo żarówek zasilanych prądem przeniennym — możliwość ich powszechnego wykorzystania przetestowano właśnie na wystawie. I niemal każde miasto, niezależnie od wielkości, ma jakiś fragment starożytnego Rzymu, jakiś ukochany, otoczony kolumnami bank, bibliotekę czy pocztę. Kolumny zapewne są pokryte graffiti albo pomalowane na jakiś źle pomyślany kolor, ale pod spodem trwa w nich poświata Białego Miasta. Nawet Lincoln Memorial w Waszyngtonie nosi znamiona wystawy.

Największy wpływ wywarła ona jednak na to, w jaki sposób Amerykanie zaczęli postrzegać swoje miasta i swoich architektów. Przygotowała całą Amerykę — a nie tylko kilku bogatych patronów architektury — do postrzegania

miast w sposób, w jaki nie widziano ich nigdy wcześniej. Elihu Root powiedział, że wystawa wyprowadziła „nasz naród z pustyni stereotypu prosto w nowe idee architektonicznej piękna i szlachetności”. Henry Demarest Lloyd uważał, że pokazała masom Amerykanów „możliwości komunalnego piękna, użyteczności i harmonii, o jakich nie byli w stanie nawet marzyć. W żaden inny sposób taka wizja nie mogła przeniknąć do ich życia pełnego prozaicznej harówki i będzie można odnaleźć ją w ich rozwoju jeszcze w trzecim i czwartym pokoleniu”. Wystawa nauczyła ludzi uwikłanych jedynie w konieczności rozumieć, że miasto nie musi być mrocznym, brudnym i niebezpiecznym bastionem pragmatyzmu. Może być również piękne.

William Stead natychmiast zauważył siłę wystawy. Wizja Białego Miasta i jego wyraźny kontrast z Czarnym Miastem skłoniły go do napisania *If Christ Came to Chicago*, książki, której często przypisuje się zapoczątkowanie ruchu upiększania miast, mającego na celu podniesienie aglomeracji amerykańskich do poziomu wielkich miast europejskich. Podobnie jak Stead, władze miejskie na całym świecie uznały wystawę za ideał, do którego osiągnięcia należy dążyć. Zwracały się do Burnhama z prośbą, żeby zastosował taką samą, całościową koncepcję urbanistyczną, jaka była widoczna w Białym Mieście, w ich miastach. W ten sposób stał się on pionierem nowoczesnego planowania urbanistycznego. Stworzył plany urbanistyczne dla Cleveland, San Francisco i Manili, walczył również o wskrzeszenie i rozszerzenie wizji L'Enfanta w mieście Waszyngton. W każdym z tych wypadków pracował za darmo.

Pomagając przy opracowywaniu nowego planu urbanistycznego Waszyngtonu, Burnham przekonał prezesa Pennsylvania Railroad, Alexandra Cassatta, aby usunął swoje tory kolejowe i składy z centrum miasta. Powstała w ten sposób niezabudowana, zielona przestrzeń, która dziś sięga od Kapitolu do Lincoln Memorial. Inne miasta również zwracały się do Burnhama z prośbą o plany urbanistyczne, wśród nich Fort Worth, Atlantic City i St. Louis, ale odrzucił ich prośby, chcąc poświęcić wszystkie siły swojemu ostatniemu planowi, opracowanemu dla Chicago. W następnych latach miasto zrealizowało wiele elementów tego planu, na przykład stworzyło wstęgę prześlicznych parków nad brzegiem jeziora oraz „Mile Cudów” przy Michigan Avenue. Część terenów nad jeziorem nazwano parkiem Burnhama. Znajduje się tam stadion Soldier Field oraz Field Museum poświęcone historii naturalnej, które sam zaprojektował. Park

Burnhama ciągnie się na południe wąskim pasem zieleni nad samym brzegiem jeziora aż do parku Jacksona. Tutaj, w Pałacu Sztuk Pięknych, przebudowanym po wystawie na budynek stały, mieści się obecnie Muzeum Nauki i Przemysłu. Widać stąd laguny i Wyspę Leśną, dziś dziką i pełną splątanej roślinności, co zapewne wywołałoby uśmiech na twarzy Olmsteda — choć na pewno znalazłby w niej coś, co mógłby skrytykować.

Na początku dwudziestego wieku wystawa stała się przyczyną gorącej debaty wśród architektów. Krytycy twierdzili, że zniszczyła chicagowską szkołę architektury i zastąpiła ją silnym przywiązaniem do przestarzałego stylu klasycznego. Ten pogląd, powielany z jednej rozprawy krytycznej do drugiej, zdobył sławę dzięki dziwnej dynamice, która uczyniła go trudnym, a nawet — jak to się często dzieje w ciasnych i zagraconych pokojach akademickiej debaty — niebezpiecznym do odrzucenia.

To Louis Sullivan pierwszy potępił głośno wpływ wystawy na architekturę, ale dopiero pod koniec życia i długo po śmierci Burnhama.

Sprawy nie układały się dla Sullivana pomyślnie po zamknięciu wystawy. W pierwszym roku powystawowej depresji firma Adler & Sullivan zdobyła tylko dwa zlecenia. „W 1895 roku nie otrzymała żadnego. W lipcu 1895 roku Adler porzucił firmę. Sullivan miał wówczas trzydzieści osiem lat i nie potrafił pielęgnować znajomości, które mogłyby zaowocować wystarczającą liczbą nowych zleceń, żeby utrzymać wypłacalność. Kiedy kolega architekt poprosił go o sugestie, jak ulepszyć jeden ze swoich projektów, Sullivan odparł: „Jeśli ci powiem, i tak nie zrozumiesz, o czym mówię”.

Gdy firma zaczęła się chwiać, Sullivan był zmuszony zrezygnować z biura w Auditorium Building i sprzedać własność osobistą. Pił dużo i brał bromid, środek na poprawienie nastroju. Między 1895 a 1922 rokiem zbudował tylko dwadzieścia pięć nowych budowli, mniej więcej jedną rocznie. Od czasu do czasu chodził do Burnhama po pieniądze, choć nie jest jasne, czy zwracał się otwarcie o pożyczkę, czy też sprzedawał mu materiały ilustracyjne z własnej kolekcji. Wpis z dziennika Burnhama z 1911 roku stwierdza: „Louis Sullivan przyszedł wyciągnąć więcej pieniędzy od DHB”. W tym samym roku Sullivan zadeedykował serię rysunków „Danielowi H. Burnhamowi, z najlepszymi życzeniami od przyjaciela, Louisa H. Sullivana”.

Mimo to Sullivan przesycił wydaną w 1924 roku autobiografię przesadnymi atakami na Burnhama oraz na wpływ, jaki wywarła wystawa na masy, które stanęły u jej bram. Klasyczny styl Białego Miasta zrobił tak ogromne wrażenie,

twierdził Sullivan, że skazał Amerykę na kolejne pół wieku naśladownictwa. Wystawa była „chorobą zakaźną”, „wirusem”, formą „postępującego zapalenia mózgu”. Jego zdaniem, miała tragiczne konsekwencje. „W ten sposób architektura zmarła w krainie wolnych i odważnych ludzi — w krainie szczytującej się swoją żarliwą demokracją, swoją wynalazczością, swoją pomysłowością, swoją unikatową śmiałością, przedsiębiorczością i postępem”.

Zła opinia Sullivana o Burnhamie i wystawie była równoważona jedynie przez jego własne, wygórowane zdanie o sobie i swojej misji, która miała polegać na wniesieniu do architektury czegoś świeżego i rozpoznawalnie amerykańskiego. Frank Lloyd Wright przejął sztandar od Sullivana. Wprawdzie ten wyrzucił go z pracy w 1893 roku, ale później się zaprzyjaźnili. W miarę jak coraz wyżej wznosiła się akademicka gwiazda Wrighta, to samo działo się z gwiazdą Sullivana. Natomiast gwiazda Burnhama spadła z nieba. Dla krytyków architektury i historyków stało się *de rigueur*, że Burnham, przez swój lęk przed architektami ze wschodu i niewolnicze oddanie ich tęsknotom klasycznym, w istocie zabił amerykańską architekturę.

Jednak taki pogląd, jak przyznają ostatnio niektórzy historycy i krytycy architektury, jest zbyt wielkim uproszczeniem. Wystawa pokazała Ameryce, co to jest piękno, i jako taka była koniecznym krokiem, który dał oparcie takim ludziom, jak Frank Lloyd Wright i Ludwig Mies van der Rohe.

Dla Burnhama, personalnie, wystawa była całkowitym triumfem. Pozwoliła mu spełnić dane rodzicom przyrzeczenie, że zostanie największym architektem w Ameryce, gdyż z pewnością za takiego był uważany w swoich czasach. Podczas ekspozycji doszło do zdarzenia, którego wagi dla Burnhama nie dostrzegł nikt oprócz jego najbliższych przyjaciół. Zarówno Harvard, jak i Yale przyznały mu honorowe tytuły, uznając jego osiągnięcia przy budowie wystawy. Ceremonie odbyły się tego samego dnia. Wziął udział w harwardzkiej. Dla niego te nagrody były formą odkupienia. Dawne niepowodzenie na egzaminach wstępnych na te uniwersytety — ten brak „odpowiedniego początku” — prześladowało go przez całe życie. Jeszcze wiele lat po otrzymaniu tych nagród, kiedy zwracał się do Harvardu z prośbą, żeby przyjęto warunkowo jego syna, Daniela, którego wyniki na egzaminach wstępnych były dalekie od doskonałości, napisał: „Musi wiedzieć, że potrafi wygrać, a kiedy się tego nauczy, pokaże swoją prawdziwą wartość, tak jak ja to uczyniłem. Największym rozczarowaniem mojego życia jest to, że nikt się na mnie nie poznał w Cambridge [...] i nie poinformował władz, do czego jestem zdolny”.

Burnham pokazał to samodzielnie, w Chicago, przez najtrudniejszą pracę swojego życia. Jeżył się, słysząc powszechny pogląd, że większość zasługi w kwestii piękna wystawy należy przypisać Johnowi Rootowi. „Do chwili jego śmierci gotowe były ledwie niejasne sugestie co do planu — tłumaczył. — Przekonanie o jego roli w projekcie było budowane stopniowo przez kilkoro ludzi, głównie kobiety i bliskich przyjaciół, którzy oczywiście kiedy wystawa okazała się piękna, pragnęli mocniej związać z nią pamięć o nim”.

Śmierć Roota była dla Burnhama ogromnym ciosem, ale również uwolniła go, pozwoliła mu się stać lepszym architektem. „Wielu kwestionowało pogląd, czy strata pana Roota istotnie była niepowetowana” — pisał James Ellsworth w liście do biografy Burnhama, Charlesa Moore'a. Ellsworth zakończył stwierdzeniem, że śmierć Roota „uwydlatniła w panu Burnhamie wartości, których mógłby w sobie nigdy nie rozwinąć, gdyby pan Root żył”. Zawsze uważano, że Burnham prowadzi firmę, a Root tworzy wszystkie projekty. Istotnie, „opierał się bardziej lub mniej” na artystycznych zdolnościach Roota, pisał Ellsworth, ale dodał zaraz, że po śmierci współnika „nikt by się nie domyślił [...] ani nie dowiedział z jego działań, że kiedykolwiek miał partnera albo że kiedyś nie kierował oboma zagadnieniami”.

W 1901 roku, u zbiegu Dwudziestej Trzeciej i Broadway w Nowym Jorku, na skrzyżowaniu w kształcie trójkąta, Burnham zbudował Fuller Building, który mieszkańcy Manhattanu uznali za niesamowicie podobny do powszechnie używanego urządzenia domowego i przewali go Flatiron — Żelazko. Wzniósł jeszcze dziesiątki innych budowli, wśród nich dom handlowy Gimbla w Nowym Jorku, Filenes w Bostonie i obserwatorium Mount Wilson w Pasadenie w Kalifornii. Z dwudziestu siedmiu budynków, które wraz z Johnem Rootem zbudował na obszarze chicagowskiej Pętli, tylko trzy stoją do dziś, wśród nich Rookery, którego biblioteka na najwyższym piętrze wygląda mniej więcej tak, jak podczas tego magicznego spotkania w lutym 1891 roku, oraz Reliance Building, przepięknie przerobiony na Burnham Hotel. Restauracja w tym hotelu nazywa się Atwood, na cześć Charlesa Atwooda, który zastąpił Roota na stanowisku głównego projektanta Burnhama.

Burnham stał się jednym z pierwszych działaczy na rzecz ochrony środowiska. „Aż do naszych czasów nie stosowało się ścisłej gospodarki przy wykorzystaniu surowców naturalnych, ale należy zacząć ją odtąd stosować, chyba, że jesteśmy aż tak niemoralni, żeby pogorszyć warunki, w jakich będą żyły nasze dzieci” — powiedział. Posiadał wielką, choć źle ukierunkowaną, wiarę

w samochody. Odejście konia do historii miało być w jego opinii „końcem plagi barbarzyństwa”. „Kiedy ta zmiana nadejdzie, cywilizacja uczyni prawdziwy krok do przodu. Bez dymu, bez gazu, bez końskiego nawozu, nasze powietrze i ulice staną się czyste. A czy to nie oznacza, że polepszy się zdrowie i duch mieszkańców?”.

W zimowe noce w Evanston wraz z żoną i państwem Wright odbywał przejażdżki saniami. Stał się zapalonym graczem w brydża, choć powszechnie uważano, że jest w tej grze beznadziejny. Obiecał żonie, że po wystawie zwolni tempo pracy, ale tak się nie stało. Powiedział Margaret: „Sądziłem, że wystawa oznacza intensywne życie, ale obecnie stwierdzam, że natłok wszystkich tych ważnych zainteresowań wypełnia mi równie dokładnie każdy dzień, tydzień czy rok”.

Zdrowie Burnhama zaczęło podupadać zaraz na początku dwudziestego wieku, kiedy przekroczył pięćdziesiątkę. Dorobił się zapalenia okrężnicy, a w 1909 roku dowiedział się, że ma cukrzycę. Obie choroby zmusiły go do nieco zdrowszego odżywiania się. Cukrzyca niszczyła jego krążenie i spowodowała infekcję stopy, która prześladowała go do końca życia. W miarę upływu lat coraz bardziej interesował się zjawiskami nadprzyrodzonymi. Pewnej nocy w San Francisco, w bungalowie, który zbudował na zamglonym wierzchołku Twin Peaks, swojej „chałupie” do planowania, zwierzył się przyjacielowi: „Gdybym miał dość czasu, na pewno zdołałbym dowieść ciągłości życia po śmierci, wychodząc od konieczności, w ujęciu filozoficznym, wierzenia w absolutną i uniwersalną moc”.

Wiedział, że jego czas zbliża się do końca. Dnia 4 lipca 1909 roku, kiedy wraz z przyjaciółmi stał na dachu Reliance Building, patrząc na miasto, które uwielbiał, powiedział: „Zobaczcie je pięknym. Ja nie. Ale będzie piękne”.

Łabędzi śpiew

Ryk w uszach, ból zębów i bezsenność nigdy nie odstępowały Olmsteda, a wkrótce w jego oczach pojawiła się niepokojąca pustka. Zaczął być roztargniony. Dnia 10 maja 1895 roku, dwa tygodnie po swoich siedemdziesiątych trzecich urodzinach, napisał do syna Johna: „Dziś po raz pierwszy stało się dla mnie ewidentne, że moja pamięć ostatnich wydarzeń jest zawodna”. Miał siedemdziesiąt trzy lata. Latem, ostatniego dnia, jaki spędził w biurze w Brookline, napisał trzy listy do George'a Vanderbilta, przy czym w każdym pisał mniej więcej to samo.

Gdzieś we wrześniu 1895 roku, w, jak to określił, „najbardziej gorzkim tygodniu mojego życia”, zwierzył się swojemu przyjacielowi, Charlesowi Eliotowi, z lęku, że jego stan wkrótce będzie wymagał umieszczenia go w zakładzie dla umysłowo chorych. „Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo się boję, że uznają za wskazane wysłanie mnie do zakładu — napisał 26 września. — Wszystko, tylko nie to. Mój ojciec był dyrektorem schroniska dla umysłowo chorych, a ponieważ w kilku takich zakładach byłem zatrudniony, a w kilku innych byłem obserwatorem, mój strach przed nimi jest ogromny”.

Jego zaniki pamięci postępowały coraz szybciej. Cierpiał na depresję i paranoję, i oskarżał swojego syna Johna, że szykuje „przewrót”, aby usunąć go z firmy. Żona Olmsteda, Mary, zabrała go do Maine, do ich domku na wyspie, gdzie jego depresja jeszcze się pogłębiła, a chwilami zaczął się robić agresywny. Bil trzymanego przez rodzinę konia.

W końcu Mary i jej synowie zrozumieli, że niewiele mogą dla Olmsteda zrobić. Nie sposób było go opanować, a jego demencja postępowała. Z wielkim smutkiem i zapewne z równie wielką ulgą Rick umieścił ojca w McLean Asylum w Waverly w stanie Massachusetts. Pamięć Olmsteda okazała się jeszcze na tyle dobra, że poznał, że sam zaprojektował teren wokół zakładu McLeana. Ale ten fakt nie przyniósł mu pocieszenia, gdyż natychmiast zauważył to samo

zjawisko, które niszczyło wartość wszystkich jego prac – Central Parku, Biltmore, wystawy światowej i tylu innych. „Nie przestrzegali mojego planu – napisał. – Niech ich szlag!”.

Olmsted zmarł o drugiej nad ranem 28 sierpnia 1903 roku. Jego pogrzeb był skromny, tylko rodzina. Mary, jego żona, która widziała, jak na jej oczach znika wielki człowiek, nie wzięła w nim udziału.

Koło Ferrisa przyniosło 200 tysięcy dolarów zysku i zostało na miejscu aż do wiosny 1894 roku, kiedy George Ferris kazał je rozebrać i złożyć ponownie na chicagowskiej North Side. Wówczas jednak straciło już aurę nowości, a także frekwencję, jaką zapewniał mu Zakątek Uciech. Zaczęło przynosić straty, które wraz z kosztami przeniesienia, wynoszącymi 150 tysięcy dolarów, i stratami, jakie przyniosła firmie Ferrisa postępująca depresja, zmusiły go do sprzedania większości swoich udziałów w tym przedsięwzięciu.

Jesienią 1896 roku Ferris rozstał się z żoną. Ona wróciła do rodziców, on przeniósł się do Duquesne Hotel w centrum Pittsburgha. Dnia 17 listopada 1896 roku trafił do szpitala Mercy, gdzie zmarł pięć dni później, najprawdopodobniej na tyfus brzuszny. Miał trzydzieści siedem lat. Rok później jego prochy nadal pozostawały w rękach przedsiębiorcy pogrzebowego, który odebrał ciało. „Prośba pani Ferris o wydanie prochów została odrzucona, gdyż zmarły miał bliższych krewnych” – wyjaśniał przedsiębiorca pogrzebowy. We wspomnieniu o zmarłym dwaj przyjaciele powiedzieli, że Ferris „źle ocenił swoją wytrzymałość i zmarł jako męczennik własnej ambicji stania się sławnym”.

W 1903 roku firma rozbiórkowa Chicago House Wrecking Company kupiła koło na aukcji za 8150 dolarów, po czym złożyła je na Wystawie Kupieckiej w Luizjanie w 1904 roku. Tam znów zaczęło przynosić zyski i zarobiło dla swoich nowych właścicieli 215 tysięcy dolarów. Dnia 11 maja 1906 roku firma wysadziła je w powietrze, aby odzyskać złom. Pierwszy, czterdziestopięciokilogramowy ładunek miał oderwać koło od podpór i przewrócić na bok. Tymczasem koło zaczęło się powoli obracać, jakby na pożegnanie, po czym runęło pod własnym ciężarem, tworząc górę pogiętej stali.

Sol Bloom, szef Zakątką Uciech, po wystawie stał się bogatym młodym człowiekiem. Zainwestował dużo w firmę, która kupowała łatwo psującą się żywność i wysyłała ją w najnowszych wagonach-chłodniach do odległych miast. Było to dobre, przyszłościowe przedsięwzięcie, ale strajk robotników Pullmana zatrzymał cały ruch kolejowy w obrębie Chicago i żywność zgniła w wagonach. Bloom był zrujnowany. Nadal jednak był młody i nadal nazywał się Bloom. Za ostatnie pieniądze kupił dwa drogie garnitury, zgodnie z teorią, że cokolwiek będzie robił później, musi wyglądać przekonująco. „Ale jedna rzecz była całkiem jasna — pisał. — Bankructwem wcale się nie przejmowałem. Zaczynałem z niczym, a teraz znów nic nie miałem. Czyli wyszedłem na zero. Prawdę mówiąc, lepiej niż na zero. Przeżyłem fantastyczny okres”.

W przyszłości Bloom miał zostać kongresmanem i jednym z twórców karty, której podpisanie dało początek Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Wystawa przyniosła Buffalo Billowi 1 milion dolarów zysku (około 30 milionów dolarów na dzisiejsze pieniądze), które zużył na założenie miasta Cody w stanie Wyoming, zbudowanie cmentarza i lunaparku w North Platte w stanie Nebraska, spłacenie długów pięciu kościołów w Platte, zakup gazety w stanie Wisconsin i popchnięcie kariery teatralnej ślicznej młodej aktorki o nazwisku Katherine Clemmons, co istotnie przyspieszyło postępujący rozpad jego małżeństwa. W pewnym momencie oskarżył żonę, że próbuje go otruć.

Panika 1907 roku zniszczyła jego Dziki Zachód i zmusiła go do występowania w cyrkach. Miał ponad siedemdziesiąt lat, ale nadal wyjeżdżał na arenę w wielkim białym kapeluszu wykończonym srebrem. Zmarł w Denver, w domu swojej siostry, 10 stycznia 1917 roku, nie mając nawet dość pieniędzy na opłacenie własnego pogrzebu.

Theodore Dreiser ożenił się z Sarą Osborne White. W 1898 roku, na dwa lata przed wydaniem *Siostry Carrie*, napisał do Sary: „Poszedłem do parku Jacksona i obejrzałem to, co pozostało z kochanej starej wystawy światowej, gdzie nauczyłem się Ciebie kochać”. Zdradzał ją nieustannie.

Dla Dory Root małżeństwo z Johnem było jak przejażdżka na komecie. Wprowadziło ją w świat sztuki i pieniędzy, gdzie wszystko wydawało się pełne życia i energii. Dowcip jej męża, jego talent muzyczny, te niezwykle długie palce, tak doskonale widoczne na wszystkich fotografiach, dawały blask jej dniom, blask, którego nigdy nie zdołała odtworzyć po jego śmierci. Pod koniec pierwszego dziesięciolecia dwudziestego wieku napisała do Burnhama długi list. „Tak wiele dla mnie znaczy Twoja opinia, że dobrze sobie radziłam w minionych latach — napisała. — Mam tak wielkie wątpliwości co do siebie, kiedy zacznę myśleć na ten temat, że słowa poparcia ze strony kogoś, kto tak mocno przeżył życie, dają mi nowy impuls. Jeśli praca nad nadejściem nowej generacji i pokorne przekazywanie pochodni to cały obowiązek kobiety, sądzę, że zasłużyłam na pochwałę”.

Ale wiedziała, że wraz ze śmiercią Johna drzwi do tego innego, jaśniejszego królestwa zamknęły się przed nią delikatnie, ale stanowczo. „Gdyby John żył — pisała do Burnhama — wszystko byłoby inne. Dzięki bodźcom, jakie dawałoby mi jego radosne życie, byłabym jego żoną i matką jego dzieci, i to by było interesujące!”.

Patrick Eugene Joseph Prendergast został postawiony przed sądem w grudniu 1893 roku. Oskarżał go adwokat występujący zwykle w sprawach kryminalnych, a zatrudniony do tej sprawy przez stan Illinois.

Nazywał się Alfred S. Trude.

Obrońcy Prendergasta próbowali dowieść, że ich klient jest szalony, ale ława przysięgłych złożona ze wściekłych i pogrążonych w żalu obywateli Chicago

uznała inaczej. Za ważny dowód poczytalności Prendergasta uznano staranność, z jaką ustawił pod kurkiem rewolweru pustą komorę, kiedy nosił broń w kieszeni. Dnia 29 grudnia, o czternastej dwadzieścia osiem, po naradzie trwającej godzinę i trzy minuty ława przysięgłych uznała go winnym. Sędzia wydał wyrok śmierci. Przez cały proces i późniejszą apelację Prendergast wysyłał do Trude'a kartki pocztowe. Dnia 21 lutego 1894 roku napisał: „Nikt nie powinien być skazywany na śmierć, bez względu na to kim jest, jeśli można tego uniknąć, dla społeczeństwa takie barbarzyństwo jest demoralizujące”.

W sprawę włączył się Clarence Darrow, któremu udało się zapewnić skazanemu badania poczytalności. Jednakże i to zawiodło, i Prendergast został stracony. Darrow nazwał go „nieszczęsnym obłąkanym imbecylem”. Ta egzekucja pogłębiła jego już i tak wielką nienawiść do kary śmierci. „Żal mi wszystkich ojców i matek” — powiedział wiele lat później podczas swojej obrony Nathana Leopolda i Richarda Loeba, młodzieńców oskarżonych o dokonanie zabójstwa dla zabawy. „Matka, która patrzy w błękitne oczy swojego dziecka, nie może się nie zastanawiać, jaki będzie jego koniec, czy ziszczą się najwspanialsze marzenia, jakie jest w stanie wymyślić, czy też spotka je śmierć na szafocie”.

Leopold i Loeb, którzy stali się znani na całym świecie, rozebrali swoją ofiarę, młodego chłopca, do naga, żeby utrudnić identyfikację. Część ubrań wrzucili do lagun Olmsteda w parku Jacksona.

W Nowym Jorku, w hotelu Waldorf-Astoria, na początku następnego wieku kilkudziesięciu młodych ludzi w wieczorowych strojach zebrało się wokół ogromnego tortu. Nagle pokryty bitą śmietaną wierzch ciasta zaczął się ruszać i z wnętrza wynurzyła się kobieta. Była oszalamiająco piękna, o oliwkowej skórze i długich czarnych włosach. Nazywała się Farida Mazhar. Zebrani byli zbyt młodzi, żeby pamiętać, że kiedyś, dawno temu, wykonywała *danse du ventre* na największej wystawie w historii. Wszyscy za to zauważyli, że była zupełnie naga.

Holmes

Jesienią 1895 roku w Filadelfii rozpoczął się proces o zabójstwo Benjamina E Pitezla. Prokurator okręgowy George Graham sprowadził do Chicago trzydziestu pięciu świadków z Cincinnati, Indianapolis, Irvington, Detroit, Toronto, Bostonu, Burlington i Fort Worth, ale nigdy ich nie powołano. Sędzia zdecydował, że Graham może przedstawić wyłącznie dowody związane bezpośrednio z zamordowaniem Pitezla i w ten sposób wyeliminował z archiwów historycznych liczne szczegóły mordów popełnionych przez doktora Hermana W. Mudgetta, alias Holmesa.

Graham przyniósł również na salę sądową brodawkę, którą Holmes usunął ze zwłok Benjamina Pitezla, oraz drewniane pudełko zawierające czaszkę Pitezla. Złożono wiele makabrycznych zeznań dotyczących stanu rozkładu zwłok i płynów ustrojowych oraz działania chloroformu. „Z jego ust sączył się czerwony płyn, a każdy nacisk na brzuch lub klatkę piersiową powodował jego przyspieszone wypływanie” — zeznał doktor William Scott, aptekarz, który towarzyszył policji w domu, w którym odkryto ciało Pitezla.

Po szczególnie potwornym fragmencie zeznań doktora Scotta Holmes wstał i powiedział: „Chciałbym prosić, aby sąd zarządził przerwę odpowiedniej długości na lunch”.

Podczas procesu zdarzały się chwile pełne smutku, szczególnie gdy zeznawała pani Pitezel. Była ubrana na czarno, miała czarny kapelusz i narzutkę, i wyglądała bladą i smutno. Często urywała w połowie zdania i ukrywała twarz w dłoniach. Graham pokazał jej listy od Alice i Nellie, i poprosił, żeby zidentyfikowała pismo. To było dla niej zaskoczenie. Załamała się. Holmes nie okazał żadnych uczuć. „Wyraz jego twarzy wskazywał na absolutną obojętność — donosił dziennikarz z «Philadelphia Public Ledger». — Robił notatki równie beztrzesko, jakby siedział we własnym biurze i pisał list do partnera w interesach”.

Graham zapytał panią Pitezela, czy widziała dzieci od chwili, gdy w 1894 roku zabrał je Holmes. Odpowiedziała niemal niesłyszalnie: „Widziałam je w kostnicy w Toronto, jedno koło drugiego”.

Tak wiele chusteczek pojawiło się w rękach kobiet i mężczyzn stojących na galerii, że sala sądowa sprawiała wrażenie, jakby nagle spadł tu śnieg.

Graham nazwał Holmesa „najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie”. Ława przysięgłych uznała go za winnego, a sędzia skazał na śmierć przez powieszenie. Prawnicy Holmesa założyli apelację i przegrali.

Kiedy Holmes oczekiwał na egzekucję, przygotował długie oświadczenie, trzecie z kolei, w którym przyznawał się do zabicia dwudziestu siedmiu osób. Jak poprzednie dwa, to również było mieszaniną prawdy i kłamstwa. Kilka osób, do których zamordowania się przyznał, odnaleziono żywe. Nigdy się nie dowiemy, ile dokładnie ofiar zabił. Na pewno przynajmniej dziewięć: Julię i Pearl Conner, Emeline Cigrand, siostry Williams oraz Pitezla i jego dzieci. Nikt nie wątpił, że zabił też wielu innych. Szacunki sięgały nawet dwustu osób, choć aż taka liczba wydawała się mało prawdopodobna nawet przy jego niezwykłym apetycie na zbrodnię. Detektyw Geyer uważał, że gdyby ludzie Pinkertona nie wytropili Holmesa i nie doprowadzili do jego aresztowania w Bostonie, zabiłby z pewnością resztę rodziny Pitezla. „To, że zamierzał zamordować również panią Pitezela, Dessie i maleńkiego Whartona, jest zbyt ewidentne, żeby temu zaprzeczać”.

Holmes w swoim oświadczeniu otwarcie kłamał, a przynajmniej oszukiwał samego siebie. Napisał: „Jestem przekonany, że od chwili uwięzienia zmieniłem się makabrycznie w stosunku do tego, jak wyglądałem wcześniej, jeśli chodzi o rysy twarzy i figurę [...]. Moja głowa i twarz przybierają stopniowo podłużny kształt. Szczerze wierzę, że zaczynam przypominać diabła — że to upodobnienie jest już niemal na ukończeniu”.

Jednakże jego opis zabicia Alice i Nellie brzmi prawdziwie. Wyznał, że zamknął dziewczynki w dużym kufrze, w którego wieku zrobił dziurę. „Tak je zostawiłem do czasu, kiedy mogłem wrócić i bez pośpiechu je zabić. O piątej po południu pożyczyłem szpadel od sąsiada i złożyłem wizytę u pani Pitezela w jej hotelu. Potem wróciłem do swojego hotelu, zjadłem kolację i o siódmej wieczorem wróciłem znów do domu, gdzie były uwięzione dzieci, i zakończyłem ich życie, podłączając do kufra gaz. Potem nadszedł czas na otwarcie kufra i obejrzenie ich małych, poczerniałych i wykrzywionych twarzyczek, a później na wykopanie im płytkich grobów w piwnicy domu”.

Napisał o Pitezlu: „Niech stanie się jasne, że od pierwszej godziny naszej znajomości, jeszcze zanim się dowiedziałem, że ma rodzinę, która dostarczyła mi później dodatkowych ofiar, by zadowolić moją krwiożerczość, zamierzałem go zabić”.

Holmes obawiał się, że ktoś może ukraść jego własne ciało po egzekucji, dlatego zostawił prawnikom wskazówki co do tego, jak ma zostać pochowany. Odmówił zgody na autopsję. Jego adwokaci odrzucili ofertę 5 tysięcy dolarów za jego ciało. Wistar Institute w Filadelfii ubiegał się o jego mózg. Ta prośba również została odrzucona, ku wielkiemu żalowi Miliona Greemana, kuratora sławnej kolekcji eksponatów medycznych w Wistar. „Ten człowiek był kimś więcej niż przestępcą, który działał pod wpływem impulsu — powiedział Greeman. — Był człowiekiem, który studiował zbrodnię i planował swoją karierę. Jego mózg mógłby być cenną pomocą dla nauki”.

Tuż przed dziesiątą rano 7 maja 1896 roku, po śniadaniu złożonym z jajek na twardo, tostów i kawy, Holmes został zaprowadzony na szubienicę więzienia Moyamensing. To była trudna chwila dla strażników. Lubili Holmesa. Wiedzieli, że jest mordercą, ale był mordercą czarującym. Zastępca komendanta, człowiek o nazwisku Richardson, sprawiał wrażenie zdenerwowanego, kiedy przygotowywał pętlę. Holmes odwrócił się do niego, uśmiechnął i powiedział: „Nie spiesz się, stary”. O dziesiątej trzynastcie Richardson zwolnił zapadnię i powiesił go.

Zgodnie z poleceniem Holmesa, robotnicy zatrudnieni przez przedsiębiorcę pogrzebowego Johna J. O'Rourke'a napełnili trumnę cementem, ułożyli w niej zwłoki i pokryli kolejną warstwą cementu. Następnie przetransportowali trumnę przez wiejskie tereny rozciągające się na południe od miasta na katolicki cmentarz Świętego Krzyża w hrabstwie Delaware, niedaleko Filadelfii. Z wielkim wysiłkiem przenieśli ciężką trumnę do znajdującego się w centrum cmentarza grobowca, gdzie dwóch detektywów Pinkertona pilnowało jej przez całą noc. Spali na zmianę w białej sosnowej trumnie. Następnego dnia robotnicy otworzyli podwójny grób i również napełnili go cementem, a potem opuścili do środka trumnę z ciałem Holmesa. Zalali trumnę cementem i zamknęli grób. „Holmes najwyraźniej chciał za wszelką cenę uchronić swoje szczątki przed naukowym badaniem, przed słojami z preparatami i skalpelem” — napisał „Public Ledger”.

Po pochówku Holmesa zaczęły się dziać dziwne rzeczy, w obliczu których jego twierdzenie, że jest diabłem, zaczęło się wydawać niemal wiarygodne.

Detektyw Geyer rozchorował się ciężko. Naczelnik więzienia Moyamensing popełnił samobójstwo. Przewodniczący ławy przysięgłych został śmiertelnie porażony prądem w dziwnym wypadku. Ksiądz, który udzielił Holmesowi ostatniego namaszczenia, znaleziono martwego w jego własnym kościele, a przyczyna śmierci pozostała tajemnicą. Ojciec Emeline Cigrand został groteskowo poparzony podczas wybuchu kotła. Biuro prokuratora generalnego George'a Grahama strawił ogień. Jediną rzeczą, która wyszła z pożaru nietknięta, była fotografia Holmesa.

Grób Hermana Webstera Mudgetta alias H. H. Holmesa nie ma nagrobka. Obecność jego ciała na cmentarzu Świętego Krzyża jest czymś w rodzaju tajemnicy. Została odnotowana jedynie w starych rejestrach, które podają, że grób znajduje się w sekcji piętnastej, rząd dziesiąty, miejsce czterdzieste pierwsze, między grobami numer 3 i 4, zaraz przy Alei Łazarza, nazwanej tak od biblijnego bohatera, który zmarł i został wskrzeszony. Wpis stwierdza również: „trzy metry cementu”. Na samym cmentarzu między starymi grobami rośnie trawnik. Groby należą do dzieci i do pilota z pierwszej wojny światowej.

Nikt tutaj nigdy nie złożył kwiatów, ale Holmes nie został całkowicie zapomniany.

W 1997 roku policja Chicago aresztowała na lotnisku O'Hare niejakiego Michaela Swango, lekarza. Początkowo oskarżano go tylko o oszustwo, choć podejrzewano, że jest seryjnym mordercą, który morduje pacjentów w szpitalu, podając im śmiertelne dawki leków. Ostatecznie uznano doktora Swango winnym czterech morderstw, ale śledczy uważali, że popełnił ich znacznie więcej. Podczas aresztowania policja znalazła przy nim notes z fragmentami książek, które albo go inspirowały, albo zdawały się popierać jego czyny. Jeden z fragmentów pochodził z książki o H. H. Holmesie *The Torture Doctor*, autorstwa Davida Franke. Przepisany fragment miał za zadanie ukazać czytelnikowi umysł Holmesa:

„Mógł spojrzeć na siebie w lustrze i powiedzieć sobie, że jest jednym z najbardziej potężnych i niebezpiecznych ludzi na świecie — głosił notes Swango. — Mógł poczuć, że jest bogiem w przebraniu”.

Na pokładzie *Olympic*

Na pokładzie *Olympic* Burnham czekał na wieści o losie Franka Milleta i jego statku. Tuż przed wyruszeniem w podróż napisał odręcznie dziewiętnastostronicowy list do Milleta, w którym nalegał, żeby wziął on udział w następnym spotkaniu Komisji Lincolna, która miała wybrać projektanta Lincoln Memorial. Burnham i Millet popierali mocno Henry'ego Bacona z Nowego Jorku, a Burnham sądził, że zdołał przekonać komisję wygłoszoną przed nią mową. „Ale ja to wiem – i ty też, drogi Franku – że [...] gdy tylko pies odwróci się tyłem, zbiegają się szczury i zaczynają się wgryzać w to samo miejsce”. Podkreślał, jak ważna jest obecność Milleta na kolejnym spotkaniu komisji. „Bądź tam i powtarzaj argument, że powinni wybrać człowieka, do którego mają zaufanie. Pozostawiam tę sprawę w twoich rękach z całym zaufaniem”. Własnoręcznie zaadresował kopertę, pewny, że poczta Stanów Zjednoczonych będzie wiedzieć, co należy zrobić:

SZANOWNY PAN F. D. MILLET
KTÓRY PRZYBĘDZIE NA PAROWCU TITANIC
DO NOWEGO JORKU

Burnham miał nadzieję, że gdy *Olympic* dotrze na miejsce, gdzie tonie *Titanic*, zastanie Milleta żywego i usłyszy od niego bulwersującą historię tej podróży, ale w nocy *Olympic* wrócił na swój poprzedni kurs, do Anglii. Inny statek już dotarł do *Titanica*.

Istniał jednak jeszcze inny powód powrotu statku *Olympic* na pierwotny kurs. Budowniczy obu liniowców, J. Bruce Ismay, pasażer *Titanica* i jeden z niewielu mężczyzn, którzy wyszli z katastrofy żywi, stanowczo obstawał przy tym, żeby żaden z ocalałych nie zobaczył, jak z pomocą przychodzi im bliźniak *Titanica*. Obawiał się, że ten szok będzie zbyt wielki i zbyt upokarzający dla *White Star Line*.

Ogrom katastrofy Titanica szybko stał się oczywisty. Burnham stracił przyjaciela. Steward stracił syna. William Stead również znajdował się na pokładzie i utonął. W 1886 roku w „Pall Mall Gazette” Stead ostrzegł przed prawdopodobną katastrofą, jeśli linie okrętowe nadal będą eksploatować liniowce ze zbyt małą liczbą szalup ratunkowych. Jeden z ocalałych z Titanica twierdził, że słyszał, jak Stead powiedział: „Sądzę, że to nic poważnego, pójdę się więc z powrotem położyć”.

Tej nocy, w ciszy kabiny, kiedy gdzieś na północy ciało jego ostatniego dobrego przyjaciela dryfowało zamrożnięte po dziwnie spokojnych wodach Atlantyku, Burnham otworzył swój dziennik i zaczął pisać. Czuł się niezwykle samotny. Napisał: „Frank Millet, którego kochałem, był na pokładzie [...]. W ten sposób zrywa się moja łączność z jednym z najlepszych przyjaciół z wystawy”.

Burnham żył jeszcze tylko czterdzieści siedem dni. Kiedy wraz z rodziną podróżował po Heidelbergu, zapadł w śpiączkę, zapewne z powodu połączonego ataku cukrzycy, zapalenia okrężnicy i infekcji stopy, pogorszonych dodatkowo zatruciem pokarmowym. Zmarł 1 czerwca 1912 roku. Margaret przeniosła się później do Pasadeny w Kalifornii, gdzie przeżyła czasy wojny, epidemii i straszliwej depresji, a także kolejnej wojny. Zmarła 23 grudnia 1945 roku. Oboje są pochowani w Chicago, na Graceland, na maleńkiej wyspie na stawie cementarza. W pobliżu spoczywa John Root, a także Palmerowie, Louis Sullivan, burmistrz Harrison, Marshall Field, Philip Armour i tak wielu innych. Pochowano ich w grobowcach lub grobach, skromnych lub wspaniałych. Potter i Bertha nadal dominują, jakby znaczenie statusu nie malało nawet po śmierci. Spoczywają na wielkim akropolu z piętnastoma olbrzymimi kolumnami, górującym nad stawem. Inni zgromadzili się wokół nich. W krystalicznie czysty jesienny dzień niemal słyszy się tutaj pobrzękiwanie kryształów, szelest jedwabiu i wełny, niemal czuje się zapach drogich cygar.

PRZYPISY I ŹRÓDŁA

W Chicago wieku połączanego oczarowała mnie gotowość tego miasta do porwania się na niemożliwe w imię własnego honoru, koncepcja tak obca współczesnej psychice, że dwóch rozsądnych czytelników pierwszej wersji tej książki wyraziło zdumienie, że Chicago tak bardzo chciało uzyskać prawo do organizacji wystawy. Doszedłem do wniosku, że takie zestawienie dumy i niezgłębionego zła pozwoli na głęboki wgląd w naturę ludzi i ich ambicje. Im więcej czytałem o Światowej Wystawie Kolumbijskiej, tym bardziej byłem oczarowany. To, że George Ferris zapragnął zbudować coś tak wielkiego i nowatorskiego — i że powiodło mu się już przy pierwszej próbie — wydaje się w dzisiejszych czasach, gnębionych procesami sądowymi o stwarzanie zagrożenia dla życia, niemal niepojęte.

Bogate źródła na temat wystawy i Daniela Burnhama zachowały się we wspaniale prowadzonych archiwach chicagowskiego Towarzystwa Historycznego oraz w bibliotekach Ryesona i Burnhama w Art Institute w Chicago. Doskonałą bazę informacyjną uzyskałem w bibliotece Suzallo Uniwersytetu Waszyngtońskiego, jednej z najlepszych i najbardziej sprawnie prowadzonych bibliotek, jakie zdarzyło mi się poznać. Odwiedzałem również Bibliotekę Kongresu w Waszyngtonie, gdzie wiele szczęśliwych godzin spędziłem zakopany w papierach Fredericka Lawa Olmsteda, choć moje szczęście czasami mąciły nieudane próby odszyfrowania jego okropnego charakteru pisma.

Dokopałem się — i przeczytałem — do dziesiątek książek o Burnhamie, Chicago, wystawie i o końcu ery wiktoriańskiej. Kilka okazało się szczególnie cennych: *Burnham of Chicago* Thomasa Hinesa (1974), *FLO: A Biography of Frederick Law Olmsted* Laury Wood Roper (1973) oraz *.4 Clearing in the Distance* Witolda Rybczyńskiego (1999). Nieocenionym towarzyszem w mojej podróży do dawnego Chicago stała się szczególnie jedna książka, *City of the Century* Donalda L. Millera (1996). Znalazłem cztery bardzo użyteczne przewodniki:

AIA Guide to Chicago Alice Sinkevitch (1993), *Graveyards of Chicago* Matta Hucke i Ursuli Bielski (1999), *Official Guide to the Worlds Columbian Exposition* Johna Flinna (1893) oraz *Handbook to the World's Columbian Exposition* wydany przez Rand & McNally & Co. (1893). Przewodnik Matta Hucke'a i Ursuli Bielski zachęcił mnie do złożenia wizyty na cmentarzu Graceland, który okazał się niezwykle czarującą przystanią, gdzie, paradoksalnie, historia staje się żywa.

Holmes stał się postacią ulotną, w dużej części z powodu niefortunnej decyzji sędziego z Filadelfii, zabraniającej prokuratorowi okręgowemu Grahamowi powołania ponad trzydziestu świadków. O Holmesie napisano kilka książek, ale żadna nie opowiada dokładnie o tym samym. Dwie z nich: *Depraved* Harolda Schechtera i *The Torture Doctor* Davida Frenke'a (praca cytowana przez współczesnego seryjnego mordercę, doktora Swango) wydają się najbardziej godne zaufania. Istnieją dwie inne prace, solidnie oparte na faktach. Jedną z nich są wspomnienia detektywa Franka Geyera, *The Holmes-Pitezal Case*, zawierające szczegółowy opis wypadków od chwili aresztowania Holmesa. Geyer zacytował tu wyjątki z ważnych dokumentów, które już nie istnieją. Miałem dość szczęścia, żeby uzyskać kopię od internetowego antykwariusza. Drugą pracą jest *The Trial of Herman W. Mudgett, alias H. H. Holmes*, opublikowany w 1897 roku dokładny zapis procesu. Znalazłem egzemplarz w bibliotece prawniczej Uniwersytetu Waszyngtońskiego.

Holmes pozostawił wspomnienia — *Holmes' Own Story*, które odnalazłem w zbiorze książek rzadkich Biblioteki Kongresu. Napisał również co najmniej trzy przyznania się do winy. Dwa pierwsze zostały zacytowane w książce Geyera, trzecie, najbardziej sensacyjne, pojawiło się w „Philadelphia Inquirer”, który zapłacił Holmesowi za nie wysokie honorarium. Te pamiętniki i wyznania, choć w większości zawierają nieprawdę, pozwalają poznać cenne szczegóły, które zgadzają się z faktami ustalonymi podczas procesu albo przez Geyera i całe zastępy dziennikarzy, którzy pisali o Holmesie po jego aresztowaniu w Bostonie. Opierałem się mocno na artykułach publikowanych w „Chicago Tribune” i dwóch gazetach z Filadelfii, „Inquirer” i „Public Ledger”. W wielu z nich było mnóstwo nieścisłości i, jak podejrzewam, ubarwień. Wydobyłem je na światło dzienne ze względu na pojawiające się tam okruchy faktów albo cytaty z oryginalnych dokumentów, takich jak listy, telegramy, wywiady i inne materiały odkryte przez policję albo dostarczone przez świadków, którzy wyrosli jak grzyby po deszczu, kiedy natura „zamku okropności” Holmesa stała się wiadomością z

pierwszych stron gazet. Jednym z najbardziej zaskakujących i fascynujących aspektów kryminalnego śledztwa w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku jest stopień, w jakim policja pozwalała prasie na bezpośredni dostęp do miejsc zbrodni, nawet podczas trwania śledztwa. W pewnym momencie podczas śledztwa w sprawie Holmesa szef policji Chicago powiedział dziennikarzowi z „Tribune”, że wkrótce zamiast detektywów, będzie miał pod swoją komendą oddział dziennikarzy.

Zapewne nigdy nie będzie wiadomo, co dokładnie skłaniało Holmesa do popełniania zbrodni. Ja skoncentrowałem się na jego dążeniu do posiadania i dominacji, prezentując jedynie jedną z możliwości. Ale jest całkiem możliwe, że grała tutaj rolę dowolna liczba innych motywów. Oparłem swoją relację na znanych faktach z życia Holmesa oraz na tym, czego psychiatrzy zdołali się dowiedzieć o psychopatycznych seryjnych mordercach i siłach, które nimi powodują. Doktor James O. Raney, psychiatra z Seattle, który od czasu do czasu przygotowuje opinie dla sądu, przeczytał maszynopis mojej książki i podzielił się ze mną swoimi obserwacjami na temat psychopatów, których w dzisiejszych podręcznikach psychiatrii określa się dużo pospolitszą nazwą, a mianowicie ludźmi cierpiącymi na „antyspołeczne zaburzenia osobowości”. Dobrze, że Alfred Hitchcock umarł, zanim dokonana się ta zmiana w nazewnictwie.

Wydaje się, że oprócz Holmesa nikt nie był obecny podczas popełniania przez niego zbrodni — to znaczy nikt, kto by przeżył — a jednak w książce pozwoliłem sobie zrekonstruować dwa z jego morderstw. Przyszło mi to z trudnością. Wiele czasu poświęciłem na ponowne przestudiowanie *Z zimną krwią* Trumana Capote'a, aby zrozumieć, w jaki sposób została stworzona ta mroczna i nadal głęboko poruszająca relacja. Niestety, Capote nie pozostawił komentarzy. Aby zbudować swoje sceny mordu, wykorzystałem znane fakty i zbudowałem z nich prawdopodobny opis wydarzeń, tak jak to czyni prokurator w mowie końcowej. Mój opis śmierci Julii Conner, otrutej chloroformem, opiera się na zeznaniu eksperta z procesu Holmesa, który opisał działanie chloroformu i to, co wiedzano wówczas o wpływie, jaki wywiera na ludzki organizm.

Nie zatrudniam szperaczy ani nie szukam materiałów przez Internet. Jest mi potrzebny fizyczny kontakt ze źródłami, a można go uzyskać tylko w jeden sposób. Każda wyprawa do biblioteki czy archiwum jest dla mnie jak krótkie opowiadanie kryminalne. Podczas takich wypraw zawsze trafiają się chwile, kiedy

przeszłość ożywa, *zapala* się jak zapalka w ciemnościach. Podczas jednej z wizyt w Towarzystwie Historycznym w Chicago odnalazłem kartki, które Prendergast wysłał do Alfreda Trude'a. Zobaczyłem na własne oczy, jak mocno przyciskał ołówek, pisząc te przesłania.

Próbowałem jak najbardziej ograniczyć długość cytatów. Cytuję wypowiedzi i kontrowersyjne szczegóły, ale nie umieszczam cytatów dotyczących powszechnie znanych i akceptowanych faktów. W wypadku obu scen zabójstwa prezentuję moje podejście do nich i rozumowanie, podaję też fakty, na których się oparłem. Wyszczególnione poniżej cytaty tworzą mapę. Każdy, kto pójdzie moim śladem, powinien dojść do takich samych wniosków jak ja.

PROLOG: NA POKŁADZIE *OLYMPIC*

Na pokładzie *Olympic*

15. Był 14 kwietnia...: Burnham podał numery kabin we wpisie do swojego dziennika z 3 kwietnia 1912 roku. Archiwum Burnhama, Dziennik, pozycja 2. Informacje na temat liniowców *Olympic* i *Titanic* patrz Brinnin, Lynch, Eaton i Haas oraz *White Star*. Ta ostatnia pozycja, w której zamieszczono reprint artykułów opublikowanych w 1911 roku w „Shipping World and Shipbuilder”, zawiera szczegółowy opis obu statków oraz plany i schematy pokładów i kabin na liniowcu *Olympic*.
15. „Nie interesuje mnie...”: Moore, *Burnham*, „Architect”, 2:172
18. „największym wydarzeniem...”: Miller, 488

CZĘŚĆ II ZAMROŻONA MUZYKA

Czarne miasto

23. „Nigdy przedtem...”: Miller, 511
 23. „Salony i sypialnie...”: *ibidem*, 516
 24. „człowieka, z którego...”: *ibidem*, 193
- „Kłopoty dopiero się zaczynają”
27. „To właśnie te przechwałki...”: Dedmon, 221
 29. „jastrzębie, myszołowy...”: „Chicago Tribune”, 24 lipca 1889 roku
 30. „Ludzie, którzy pomagali...”: „Chicago Tribune”, 2 sierpnia 1889 roku

30. „Smutek, jaki ogarnął...”: „ChicagoTribune”, 24 lutego 1890 roku
31. „Panowie, jestem gotów zaświadczyć...”: *ibidem*
32. „z archiwów Old Central...”: Hines, 402
32. „Zjawilem się na Harvardzie...”: *ibidem*, 11
33. „największym architektem...”: *ibidem*, 12
33. „Proszę bardzo, oto...”: Miller, 315
34. „Chcę działać na wielką skalę...”: Sullivan, Louis, 285
35. „W każdej rodzinie...”: list, Daniel Hudson Burnham Jr. do Charlesa Moorea, 21 lutego 1918, Archiwum Burnhama, korespondencja z Charlesem Moorem, pudło 27, teczka 3
36. „To długie czekanie nas zaniepokoiło...”: Monroe, *Poet's Life*, 59
36. „tak absolutnie szczęśliwe...”: *ibidem*, 60
37. „niemającym sobie równych...”: Miller, 321
38. „zaczęła znajdować odbicie...”: Moore, *Burnham*, „Architect”, 1:24 38. „o ile...”: *ibidem*, 1:321
38. „Cały budynek ma służyć...”: *ibidem*
39. „Mountauk był tym...”: Hines, 53
39. „życzyli sobie mieć biura tam...”: Miller, 326
40. „Daniel Hudson Burnham był...”: Starrett, 29
40. „Nie należy tworzyć skromnych planów...”: *ibidem*, 311
40. „Nigdy nie spotkałem nikogo...”: Miller, 319
40. „Miał niezwykle zdolności konwersacyjne...”: *ibidem*, 316
41. „zawsze przychodziło mi na myśl...”: *ibidem*, 317
41. „W biurze panował ciągły pośpiech...”: Starrett, 32
41. „Praca każdego z nich...”: Miller, 318
42. „miastem gordyjskim...”: Lewis, 19
42. „gigantyczny obsceniczny fotoplastykon...”: *ibidem*, 136
42. „Zrobiłem to...”: Burnham do matki, list niedatowany, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodziny Bumhamów, pudło 25, teczka 2
42. „Nie wolno Ci się martwić...”: Burnham do Margaret, 29 lutego 1888 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodziny Bumhamów, pudło 25, teczka 3
43. „Koroner to nieprzyjazny mały doktorzek...”: Burnham do Margaret, 3 marca 1888 roku, *ibidem*
43. „Burnham nie był zadowolony...”: Sullivan, Louis, 294
43. „obsmarować kolejną fasadę...”: Morrison, 64
43. „niewinnym, z sercem pochłoniętym...”: Sullivan, Louis, 291
44. „Był słoniowaty...”: *ibidem*, 288

46. „Kiedy będziemy mieli przyjemność...”: „Chicago Tribune”, 25 lutego 1890 roku
 46. „Najwspanialsza wystawa nowoczesnych czasów...”: *ibidem*
 47. „Chicago jest jak człowiek...”: „Chicago Tribune”, 27 lutego 1890 roku

Konieczne zapasy

48. „mierzył sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu...”: Franke, 24. Franke reprodukuje podobiznę karty należącej do „Galerii Przestępców” oraz wzrost Holmesa, jego wagę i tak dalej, zanotowane przez bostońską policję zaraz po aresztowaniu.

48. „Jego oczy są wielkie...”: Schechter, 282
 49. „słupie telegraficznym...”: *Englewood Directory*, 37 49. „Choć czasami tereny...”: Sullivan, Gerald, 49
 49. „Holmes wszedł do sklepu...”: Mudgett, 22–23, Schechter, 13–17, Boswell i Thompson, 81. Patrz również *Town of Lake Directory*, 217
 51. „odór, surowy i prymitywny...”: Sinclair, 25
 51. „rzece śmierci...”: *ibidem*, 34
 51. „Codziennie musiałem minąć...”: Mudgett, 6
 51. „Puścili mnie dopiero...”: *ibidem*, 6
 52. „synkiem mamusi...”: *ibidem*, 199
 52. „dwunastoletniej ukochanej...”: *ibidem*, 200
 52. „Jedynym przyjacielem...”: Schechter, 12
 53. „wędrownego fotografa...”: Mudgett, 7
 53. „Nie byłbym na pewno bardziej...”: *ibidem*, 8
 53. „Przechowywałem ją przez lata...”: *ibidem*
 54. „Jego nazwisko pojawiło się...”: *ibidem*, 14
 54. „pierwszy prawdziwie nieuczciwy...”: *ibidem*, 15
 55. „Nie mogę uważać tej wyprawy...”: *ibidem*, 16
 55. „W końcu dotarł do Mooers Forks...”: *ibidem*, 16, „Chicago Tribune”, 13 lipca 1895 roku, „New York Times”, 31 lipca 1895 roku
 55. „Niektórzy profesorowie...”: Franke, 118
 55. „Jesienią 1885 roku...”: Mudgett, 17
 56. „Otóż plan wymagał...”: *ibidem*, 19 56. „A to wymagało...”: *ibidem*, 20
 56. „i po raz pierwszy...”: *ibidem*
 57. „właściciel domu...”: „Chicago Tribune”, 31 lipca 1895 roku
 57. „Było to moje pierwsze...”: Mudgett, 21
 58. „Miasto wytyczyło całe kilometry...”: Dreiser, *Siostra Carrie*, 16

- 58. „takie było zainteresowanie domami...”: Sullivan, Gerald, 14
- 59. „W 1868 roku niejaka pani H. B. Lewis...”: *ibidem*
- 59. „Dla kadry kierowniczej...”: *Catalogue*, 3
- 60. „Miałem dobry zawód...”: Mudgett, 23
- 60. „Wywiesił nowy szyld...”: Franke, 210

„Stosowność”

- 61. „przyjaciół Burnhama...”: Ellsworth do Olmsteda, 26 lipca 1890 roku, Archiwum Burnhama, pudło 58, teczka 13
- 62. „Przez całe życie...”: Rybczyński, *Clearing*, 385–386
- 63. „plamami bieli albo czerwieni...”: Olmsted, „Landscape Architecture”, 18 63. „Projektuję tak, żeby uzyskać...”: Rybczyński, *Clearing*, 396
- 63. „Niech Pan sobie wyobrazi...”: Olmsted do van Brunta, 12 stycznia 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
- 64. „bez przerwy znajdujemy się...”: Roper, 421
- 64. „Ulegał długotrwałym...”: Rybczyński, *Clearing*, 247–248, 341
- GA. „Moje stanowisko w tej sprawie...”: Ellsworth do Olmsteda, 26 lipca 1890 roku
- 65. „Z pewnością Olmsted potwierdził...”: szczegóły kontraktu, 1890, Archiwum Olmsteda, rolka 41, Rybczyński, *Clearing*, 387
- 65. „Kiedy może Pan tu być...”: telegram zacytowany w liście Olmsteda do Butterwortha, 6 sierpnia 1890 roku, Archiwum Burnhama, pudło 58, teczka 13
- 65. „Ujrzawszy to miasto...”: „Chicago Tribune”, 7 lipca 1890 roku
- 66. „człowiek, z którym będą mogli...”: Codman do Olmsteda, 25 października 1890 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 57
- 67. „Należy sobie życzyć...”: Olmsted, *Report*, 51
- 70. „człowieka światowego...”: Sullivan, Louis, 287
- 71. „poklepała tę zaprawę tak...”: „Chicago Tribune”, 2 listopada 1890 roku 71. „Jak twierdził świadek, Root...”: Miller, 316
- 71. „W szkole wyróżniał się...”: „Chicago Record”, 16 grudnia 1893 roku, Archiwum McGooerty’ego
- 72. „Zupełnie nagle zrobił się...”: „Chicago Record”, 15 grudnia 1893 roku, *ibidem*
- 73. „mroczna chmura...”: „Chicago Tribune”, 16 listopada 1890 roku

„Proszę się mnie nie bać”

- 77. „Ambicja była przekleństwem życia...”: Schechter, 238
- 78. „Jego obecność...”: Franke, 112

78. „Mówi się, że małe dzieci...”: *ibidem*
79. „Wizja budynku i jego funkcji...”: „Philadelphia Public Ledger”, 22, 25, 26, 27, 29, 30 lipca 1895 roku, „Chicago Tribune”, 17, 21, 23, 25, 27, 28, 29 lipca, 18 sierpnia 1895 roku, „New York Times”, 25, 26, 29, 31 lipca 1895 roku.
80. „Fundamenty osiadają nierówno...”: „Chicago Tribune”, 25 lipca 1895 roku 80. „A wysoka rotacja robotników...”: *ibidem*, Schechter, 28–29
80. „Nie wiem...”: Franke, 95–96
81. „Początkowo, jak opowiadał Latimer...”: *ibidem*, 43
81. „Mogę go opisać jako...”: Geyer, 26–27
82. „zdrowym ciele...”: *Trial*, 145 82. „Chodź ze mną...”: Schechter, 25
82. „Pitezł był jego narzędziem...”: *Trial*, 449
83. „kapitana Horace'a Elliotta...”: *EngUwood Directory*, 36 .84. „ku rozgoryczeniu nowego właściciela...”: Schechter, 36
84. „To był najbardziej ugrzeczniiony...”: Franke, 42–43
85. „Czasami sprzedawałem mu...”: *ibidem*, 111
86. „Proszę się mnie nie bać...”: „Chicago Tribune”, 31 lipca 1895 roku, „New York Times”, 31 lipca 1895 roku, Franke, 110
86. „W przeciwieństwie do większości Amerykanów...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku
86. „W ogłoszeniu zamieszczonym...”: Hoyt, 177

Pielgrzymka

87. „Zaraz potem rada nadzorcza...”: Burnham i Millet, 14–17, Burnham, *Design*, 7–9, Monroe, Root, 222–223
88. „zażądał zgody na wybudowanie...”: Burnham do Komitetu do Spraw Terenu i Budyneków Wystawy, 1 grudnia 1890 roku, Archiwum Burnhama, pudło 58, teczka 3
89. „Być może nie przyszło Panu...”: Burnham do Davisa, 8 grudnia 1890 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 1
89. „zraniony do żywego...”: Monroe, *Root*, 235
89. „będąc przekonany...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 3
91. „McKim, niech szlag trafi twoje preambuły...”: Moore, *McKim*, 113
92. „W swojej opinii...”: Monroe, *Poet's Life*, 115
93. „Wszyscy wyrazili zgodę...”: Burnham do Olmsteda, 23 grudnia 1890 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 57
94. „Obiecali, że to przemyślą...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 3

- 94. „Burnham wierzył...”: Sullivan, Louis, 319
- 95. „Sądzę, że miał nadzieję...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 4
- 95. „Root powiedział, że jest zmęczony...”: „Inland Architect and News Record”, tom 16, numer 8 (styczeń 1891 roku), 88
- 96. „Był przygnębiony...”: Monroe, *Root*, 249
- 96. „Czuł, że jest to największa...”: *ibidem*, 249

Hotel na wystawę

- 98. „Parodiując szybko rozwijające się...”: Boswell i Thompson, 81
- 98. „Kiedy wujeczny dziadek Myrty...”: *ibidem*, 80, Schechter, 235, „Chicago Tribune”, 27 lipca 1895 roku, „New York Times”, 29 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 29 lipca 1895 roku
- 99. „Po powrocie do Englewood...”: Boswell i Thompson, 80
- 99. „dla psychopaty nic nie jest święte...”: patrz *Oxford English Dictionary*, wydanie drugie
- 99. „Pół wieku później...”: Cleckley, 369
- 100. „Ludzie wykazujący najczystsza...”: Milton et al., 124
- 101. „Kiedy szedłem do łóżka...”: Schechter, 235
- 101. „Nagle usłyszałem...”: *ibidem*
- 101. „Odmówiłem otwarcia...”: *ibidem*
- 101. „Gdybym poszedł...”: Boswell i Thompson, 80
- 102. „Holmes zamierzał zainstalować...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku
- 102. „Szef firmy zdłużskiej...”: Franke, 94–95
- 103. „dostatecznie wysokiej temperatury...”: *ibidem*, 94
- 104. „Szczerze mówiąc...”: *ibidem*
- 104. „Sprzedawczyni te...”: „Philadelphia Public Ledger”, 27 lipca 1895 roku

Godny ubolewania krajobraz

- 105. „Architekci ze Wschodniego Wybrzeża...”: Hunt do Olmsteda, 6 stycznia 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 58
- 105. „Na dwie godziny przed...”: Moore, *McKim*, 113, „Chicago Tribune”, 11 stycznia 1891 roku
- 106. „To był taki mroźny...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 3
- 106. „Rozglądali się wokół...”: Burnham, *Design*, 24
- 106. „odludne i odrażające...”: Ingalls, 142
- 106. „piaszczyste pustkowie...”: Bancroft, 46
- 106. „Gdyby wokół miasta...”: „A Report Upon the Landscape”, 8, Archiwum Olmsteda, rolka 41
- 106. „zachowywała się niemal...”: Burnham i Millet, 45

107. „Największą wadą parku...”: „A Report Upon the Landscape”, 7, Archiwum Olmsteda, rol-
ka 41
107. „Zniechęcenie połączyło się...”: Burnham i Millet, 45
107. „Chce pan powiedzieć...”: Hines, 82, Moore, wywiad z Burnhamem, 4
107. „Udał się do biura...”: Monroe, *Root*, 259
107. „chorego...”: Starrett, 47
108. „niemal śmiertelnie chora...”: Monroe, *Poet's Life*, 113
108. „Po piętnastym...”: *ibidem*, 260
109. „Ostrygi...”: „Chicago Tribune”, 11 stycznia 1891 roku
110. „Panowie...”: Poole, 184, Moore, *Burnham, Architect*, 43 110. „Tego wieczoru ludzie...”:
Burnham, *Design*, 26
110. „Kiedy z nimi rozmawiałam...”: Monroe, *Root*, 249, Monroe, *Poet's Life*, 113

Znikający punkt

111. „po latach przenoszenia się...”: „Chicago Tribune”, 21,23,24,26,28,29 lipca 1895 roku,
„Philadelphia Public Ledger”, 22, 23, 27 lipca 1895 roku, Boswell i Thompson, 83–84, Franke, 98–
101, Schechter, 39–44
113. „Zamknąłem drzwi i...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku
113. „departamentu tajemniczych zniknięć...”: „Chicago Tribune”, 1 listopada 1892 roku
113. „Fannie Moore...”: *ibidem*
113. „J. W. Highleyman wyszedł...”: *ibidem*
114. „Cheyenne...”: *ibidem*

Sam

115. „Sam nie był specjalnie...”: Sullivan, Louis, 288 115. „Wkrótce stało się oczywiste...”: *ibi-*
dem, 320
115. „Do diabła — warknął...”: *ibidem*
116. „Burnham porzucił...”: *ibidem*
116. „Naturalna dominacja...”: Baker, *Hunt*, 398
116. „funkcja tworzyła...”: Sullivan, Louis, 290
116. „W każdej z tych firm...”: *ibidem*, 288
116. „John Root tak bardzo...”: *ibidem*
117. „Nie po to całe życie unikałem...”: Monroe, *Root*, 261
117. „Pan Root czuje się źle...”: Burnham do Boyingtona, 14 stycznia 1891 roku, Archiwum Burn-
hama, korespondencja służbowa, tom 1
117. „Dziś jestem w stanie...”: Burnham do Boyingtona, 15 stycznia 1891 roku, *ibidem*
118. „Nie zostawisz mnie...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 5

118. „Słyszysz? — zapytał ją...”: *ibidem*
118. „Pracowałem. Planowałem i...”: Monroe, *Poet's Life*, 114
119. „z pewnością najbardziej znaczącym...”: „Chicago Tribune”, 16 stycznia 1891 roku
119. „Nie ma chyba architekta...”: „Chicago Tribune”, 17 stycznia 1891 roku
120. „To jakiś nonsens...”: „Chicago Tribune”, 25 stycznia 1891 roku
120. „Urodziłem się, mając w sobie...”: „Philadelphia Inquirer”, 12 kwietnia 1896 roku

CZEŚĆ II: OKROPNA WALKA

Zjazd

123. „Podagra zmusiła go...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 6
123. „niemal szeptem...”: „The Organization, Design and Construction of the Fair”, 7 stycznia 1895 roku, 56, Archiwum Moore'a
123. „Zaprojektował go na planie...”: *Rand, McNally*, 49–57
124. „nigdy wcześniej taka panorama...”: *ibidem*, 126
124. „Nie będę nalegał na zbudowanie...”: Moore, *Burnham, Architect*, 47 (W wywiadzie Moore'a z Burnhamem cytat brzmi nieco inaczej: „Nie będę nalegał na zbudowanie tej kopuły. Zapewne przeprojektuję tę część budynku”.)
124. „jedno wielkie wejście...”: Burnham do Sullivana, 11 lutego 1891 roku, Archiwum Burnhama, korespondencja służbowa, tom 1
125. „napięcie stawało się...”: Burnham i Millet, 29
125. „spokojne skupienie...”: „The Organization, Design and Construction of the Fair”, 7 stycznia 1895 roku, 56, Archiwum Moore'a
125. „Rozwijano rysunek po rysunku...”: Burnham i Millet, 29
125. „W pokoju panowała cisza jak...”: Moore, *Burnham, Architect*, 47
125. „Panowie, oddajecie się marzeniom...”: „The Organization, Design and Construction of the Fair”, 7 stycznia 1895 roku, 58, Archiwum Moore'a
125. „Nie sądziłem, że...”: W literaturze pojawiają się różne wersje uwagi St. Gaudensa. Ja połączyłem elementy dwóch z nich. Patrz Burnham, *Design*, 39, Hines, 90
116. „Musimy sprawić, aby...”: Olmsted do Burnhama, 26 stycznia 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 41
126. „Należy się domagać...”: *ibidem*
126. „Mam tu na myśli małajskie...”: *ibidem*
127. „aureę poetycznej tajemniczości”: „Memorandum as to What is to be Aimed at in the Planting of the Lagoon District of the Chicago Exposition”, Archiwum Olmsteda, rolka 59

127. „skomplikowane zmieszanie wielu...”: *ibidem*
128. „wystawy kwiatów...”: *ibidem* 128. „lekką przysłonić...”: *ibidem* 128. „Całościowy rezultat...”: *ibidem*
128. „armią setek naszych...”: Olmsted do „Freda” (najprawdopodobniej Fredericka J. Kingsbury'ego, swojego przyjaciela) 20 stycznia 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
128. „Jakim sposobem...”: Lewis, 172
129. „Musimy pchnąć sprawy naprzód...”: „Chicago Tribune”, 20 lutego 1891 roku
130. „Zbadaliśmy wnikliwie fakty...”: raport dyrektora robót, 24 października 1892 roku, Archiwum Burnhama, pudło 58, teczka 12
130. „Na całym terenie wystawy...”: „Chicago Tribune”, 20 marca 1891 roku
130. „Atwood wystawił go do wiatru...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 7
131. „Był uzależniony od opium...”: *ibidem*
131. „SPIESZ SIĘ...”: „Chicago Tribune”, 16 maja 1891 roku
131. „licząc dwanaście lub...”: „Chicago Tribune”, 20 lutego 1891 roku
131. „Ta nieamerykańska instytucja...”: „Inland Architect and News Record”, tom 17, numer 5 (czerwiec 1891 roku), 54
132. „Zmarł P. T. Barnum...”: „Chicago Tribune”, 30 maja 1891 roku
132. „Uważam, że jest konieczne...”: „Chicago Tribune”, 4 lutego 1891 roku

Przyprawianie rogów

133. „Śliczna, ciemnowłosa Gertrude...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku
134. „beztroską, niewinną naturę...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku 134. „Przyjaciele powtarzali mi...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku
134. „Mianowicie Holmes zaproponował...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku
135. „Holmes zaproponował nawet...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku
136. „Już się nie mogę doczekać...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku 136. „Słyszał kroki żony...”: *ibidem*
136. „Kiedy wyprowadzałem się...”: *ibidem*
137. „Czasem w nocy, kiedy sklepy na parterze...”: Jest to spekulacja, ale oparłem ją na następujących dowodach pośrednich: wiadomo, że w Mooers Holmes spacerował w nocy, co sugeruje, że nie spał dobrze. Psychopaci potrzebują podniet, a piec byłby tu atrakcją, której trudno się oprzeć. Podziwianie go i rozpalanie mogło wzmacniać poczucie władzy nad lokatorami śpiącymi na wyższych piętrach.

Stroskany

138. „Nie wolno Ci sądzić...”: Burnham do Margaret, 15 marca 1892 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, teczka 4
138. „Wśród drzew...”: Burnham i Millet, 36
139. „praktycznie nieznanym czynnikiem...”: „Inland Architect and News Record”, tom 22, numer 1 (sierpień 1893 roku), 8
139. „Wybudowano platformę...”: *ibidem*
141. „Edison zaproponował...”: „Chicago Tribune”, 12, 13 maja 1891 roku
141. „Oferta General Electric...”: Baker, *Life*, 158–159
142. „Brak Pańskich rysunków...”: Burnham do Hunta, 2 czerwca 1891 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 2
142. „Opóźnienie, które Pan powoduje...”: Burnham do Hunta, 6 czerwca 1891 roku, *ibidem* 142. „Podczas rekonwalescencji zamówił...”: „List of bedding plants to be ordered either in this country, or from Europe”, 13 czerwca 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 59
142. „Wystarczająco źle było...”: Ulrich, 11
143. „Jest arbitrem wszystkich...”: „Chicago Tribune”, 14 maja 1891 roku
143. „niestosowność...”: *World's Fair*, 851
144. „Prezes Baker chce mieć...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1891 roku
144. „C. F. Richtel z Bridgeport...”: „Chicago Tribune”, 12 października 1889 roku
144. „Ponieważ koszt wieży...”: „Chicago Tribune”, 2 listopada 1889 roku
145. „Twórca projektu proponował...”: „Chicago Tribune”, 9 listopada 1889 roku 145. „W sierpniu 1891 roku...”: „Chicago Tribune”, 5 sierpnia 1891 roku
145. „Inżynierowie byli wściekli...”: „Chicago Tribune”, 16 sierpnia 1891 roku 147. „Jak szybko...”: Bloom, 117
150. „Im więcej o tym myślałem...”: *ibidem*
151. „Ja jednak nie mogę...”: Burnham do Dredge'a, 18 listopada 1891 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 4
151. „Obecnie krytykuje się mnie...”: Burnham do Dredge'a, 24 listopada 1891 roku, *ibidem* 151. „było mniej więcej tak inteligentną decyzją...”: Bloom, 119 151. „z największą chęcią...”: Sandweiss, 14
151. „Jest pan młodym człowiekiem...”: Bloom, 120
152. „Mam wielką nadzieję...”: Allen do Palmer, 21 października 1891 roku, Chicago Historical Society, World s Columbian Exhibition, Archiwum Damskiej Rady Wystawy, teczka 3
153. „Kiedy myślę o dniach...”: Weimann, 176

153. „Uważam, że lepiej mieć budynek...”: *ibidem*
153. „Poważne załamanie...”: *ibidem*, 177
154. „Podejrzewam, że nawet Codman...”: Olmsted do Burnhama, 23 grudnia 1891 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
154. „W grudniu...”: Burnham, *Final Official Report*, 78
155. „Nadal nierozstrzygniętych pozostaje...”: *Interim Report on Construction*, „To Editor of the Chicago Herald”, 28 grudnia 1891 roku, Archiwum Burnhama, pudło 58, teczka 9
155. „klęska wystawy...”: Lewis, 175

Pozostałości dnia

Holmes nie wyjawiał, w jaki sposób zabił Julię i Pearl Conner, nie podał również, jak obezwładnił swoje ofiary, choć raz, przy innej okazji, stwierdził, że Julia zmarła podczas „kryminalnego zabiegu”, czyli aborcji. Opisaną w tym rozdziale scenę zabójstwa skonstruowałem na podstawie kilku źródeł. Były to znane fakty (na przykład, że Holmes posiadał dwie walizeczki narzędzi chirurgicznych, że zainstalował w swoim budynku stoły sekcyjne, że lubił posługiwać się chloroformem i kupował go w dużych ilościach), praca detektywistyczna wykonana przez innych badaczy historii Holmesa (Schechtera, Franke'a oraz Boswella i Thompsona), oświadczenia Holmesa złożone po aresztowaniu, badania psychiatryczne charakteru, motywów i potrzeb psychopatycznych zbrodniarzy oraz zeznania złożone podczas procesu Holmesa, dotyczące reakcji ludzkiego organizmu na przedawkowanie chloroformu. Sprawa Conner oraz dorabianie sobie przez Charlesa Chappella na dorywczych pracach anatomicznych zyskały sobie wielką popularność w prasie. Oprócz źródeł, które wymieniam poniżej, patrz również „Chicago Tribune”, 21, 23, 24, 25, 26, 28, 29, 30 lipca 1895 roku, „The New York Times”, 29 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 23,27,29,30 lipca 1895 roku, Boswell i Thompson, 81–86, Franke, 98–101, Schechier, 39–44.

156. „W listopadzie 1891...”: Schechter, 43–44
157. „Zaprzężyła się bardzo...”: „Chicago Tribune”, 29 lipca 1895 roku
158. „Wyjął zatyczkę z ciemnobrązowej butelki...”: *Merck's Manual*, 28
158. „Julia ścisnęła go mocniej za rękę...”: *Trial*, 166, 420–422
159. „W bożonarodzeniowy poranek...”: „Chicago Tribune”, 29 lipca 1895 roku
160. „Ci panowie działali...”: „Chicago Tribune”, 27 lutego 1890 roku. Patrz również wydanie z 2 marca 1890 roku, w którym opisano intrygującą, choć zapewne nieprawdziwą historię o człowieku pochowanym w St. Louis żywcem — rzekomo w głębokiej śpiączce — którego ciało ukradli studenci medycyny. Studenci zorientowali się w prawdziwym stanie zwłok zaraz po wykonaniu pierwszego nacięcia i porzucili nieszczęśnika na schodach budynku sądu. Tu ocknął się on ze śpiączki i odkrył

na swoim brzuchu bolesną ranę niewiadomego pochodzenia. Przynajmniej tak twierdzono w tej historii.

160. „Tak, wysłaliśmy tę ekipę...”: „Chicago Tribune”, 24 marca 1890 roku

161. „Wyglądało jak ciało...”: „Philadelphia Public Ledger”, 29 lipca 1895 roku. W tym artykule podano również wysokość wynagrodzenia Chappella — 36 dolarów

161. „Kiedy tam weszli...”: Franke, 101

162. „Po raz ostatni widziałem ją...”: Mudgett, 33

Rzucenie rękawicy

163. „wśród nich stolarz i cieśla...”: Hines, 74–75

163. „Dobrze się zapowiadający działacz...”: Burnham do Geraldine, 24 lutego 1892 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 6

164. „niedokładnie...”: Burnham do Cloyesa, 6 stycznia 1862, *ibidem*, tom 5 164. „wydaje mi się...”: Burnham do Ulricha, 6 stycznia 1892, *ibidem*

164. „Za wysokimi barierami...”: Wyckoff, 248

165. „ho, boy...”: *Oxford English Dictionary*, wydanie drugie, 278, Wyckoff, 11 165. „niezwykle czarujący i...”: Anderson, 53

165. „architekci Ameryki...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 1

166. „dotknięty do żywego...”: *ibidem*

167. „inspektora nadzoru owiec...”: „Chicago Tribune”, 14 lipca 1892 roku

167. „Organizujemy obecnie...”: Burnham do Davisa, 12 listopada 1891 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 4 167. „Uważam, że obecnie dla wszystkich...”: „Chicago Tribune”, 5 stycznia 1892 roku

167. „To był dobrze spędzony czas...”: Burnham do Margaret, 15 marca 1892 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, pudło 25, teczka 4

168. „Pod koniec marca...”: Burnham do Margaret, 31 marca 1892 roku, *ibidem*

169. „Pan Davis nie spotkał się ze mną...”: „Chicago Tribune”, 9 kwietnia 1892 roku

169. „Kongresmenów, jak pisał Burnham...”: Burnham do Margaret, 31 marca 1892 roku

170. „spektakularna reklama...”: Bloom, 120 170. „Z daleka było widać...”: *ibidem*

Anioł z Dwight

Obok wyszczególnionych poniżej źródeł, przy tworzeniu tego rozdziału opierałem się na szczegółowych relacjach ze sprawy Cigrand, publikowanych w „Chicago Tribune” i „Philadelphia Public

Ledger”, a także na obszernych opisach tej sprawy znajdujących się u Boswella i Thompsona, Franke'a i Schechtera.

Szczegółowy szkic historyczny H. Wayne'a Morgana na temat imperium leczenia alkoholizmu Leslie Enraughta Keeleya — *No, Thank You, I've Been to Dwight*, opublikowany w „Illinois Historical Journal”, oferuje fascynujący wgląd w dawne pasje ludzkie.

Patrz „Chicago Tribune”, 26,27,29,30,31 lipca 1895 roku; „Philadelphia Public Ledger”, 27, 29 i 31 lipca 1895 roku, Boswell i Thompson, 86—87, Franke, 102—105, Schechter, 48—51 171. „Wiosną 1892 roku...”: Schechter, 48 171. „Złoto było sztandarowym...”: Morgan, 149 171. „Był on przekleństwem dla poczty...”: *ibidem*, 159—160

171. „był zbyt cennym człowiekiem...”: Mudgett, 122

172. „Do Dwight przyjeżdżały tysiące ludzi...”: Morgan, 157 172. „przechodzenia przez linię...”: *ibidem*, 154

172. „Nie, dziękuję. Byłem w Dwight...”: *ibidem*, 158

172. „Opisy odurzonego Pitezla...”: Schechter, 48—49

172. „Pochlebająca oferta...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

172. „Emeline bez wahania przyjęła...”: *ibidem*

173. „Białe pikowany kapelusz...”: „Chicago Tribune”, 7 sierpnia 1895 roku

174. „rozmawiać o...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku 174. „przystojna blondynka...”:

ibidem

174. „Powiedziałem jej...”: *ibidem*

174. „Była to chyba najpiękniejsza...”: Franke, 102

174. „Wkrótce uświadomiłem sobie...”: *ibidem*

175. „synem angielskiego lorda...”: Schechter, 49

175. „Byłem oczarowany...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

Dzień inauguracji

177. „W całym jego otoczeniu...”: Ulrich, 19

178. „Czy miałby Pan coś przeciwko temu...”: Burnham do Olmsteda, 20 listopada 1891 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 4

178. „kilka namiotów...”: Burnham do Buchanana, 9 grudnia 1891 roku, *ibidem*

178. „Proponują postawienie...”: Burnham do Olmsteda, 5 lutego 1892 roku, *ibidem*

179. „nierozsądną, niesprawiedliwą...”: Roper, 434

179. „Kiedy Olmsted jest...”: Rybczyński, *Clearing*, 247—248 179. „Wyruszyli we właściwym miesiącu...”: Bloom, 122

180. „ogólne pojecie...”: Olmsted, *Report by ELO.,hmeúeñ* 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 41
180. „Wydaje mi się...”: Olmsted do Johna, 15 maja 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
180. „Budyńki w Paryżu...”: Olmsted, *Report by EL. O.*
181. „Bawię się doskonale...”: Rybczyński, *Clearing*, 391
181. „Mogę teraz jedynie stwierdzić...”: Olmsted do Codmana, 25 maja 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
181. „pewien lekarz, Henry Rayner...”: Roper, 439
181. „Musi pan wiedzieć, że...”: Olmsted do Codmana, 16 czerwca 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
181. „codziennie w większym...”: Olmsted do „wspólników”, 21 lipca 1892 roku, *ibidem*
181. „dziecinne, wulgarne...”: *ibidem*
181. „W Ameryce nie ma niczego...”: Olmsted do Codmana, 30 lipca 1892 roku, *ibidem*
181. „Najwspanialsze jest połączenie...”: Olmsted do Johna, 15 maja 1892 roku, *ibidem*
181. „Najlepsze tereny ozdobne...”: Olmsted do Johna Olmsteda, 19 maja 1892 roku, *ibidem*, rolka 41
182. „Musimy w jak największym stopniu...”: Olmsted do „wspólników”, 17 lipca 1892 roku, *ibidem*
182. „Obecnie przywiązuje jeszcze większą...”: Olmsted do Codmana, 20 kwietnia 1892 roku, *ibidem*
182. „Standard zachowywany przez...”: Olmsted do Codmana, 21 kwietnia 1892 roku, *ibidem*, rolka 22
182. „Jedyna chmura, jaką...”: Olmsted do „wspólników”, 21 lipca 1892 roku, *ibidem*
183. „Już widziałem, jak...”: Bloom, 122
183. „Sugerowałbym, aby...”: *ibidem*
183. „Obecnie jestem odpowiedzialny...”: *ibidem*
183. „Jest zbyt delikatne...”: Barnes, 177
184. „Wiatr...”: „Chicago Tribune”, 28 kwietnia 1892 roku
184. „głównie z powodu jego wielkiej...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 8
184. „Jego geniusz cierpiał...”: Monroe, *Poet's Life*, 103
184. „Naciskałem na...”: Hiñes, 101
185. „Nie widzę tego w ten sposób...”: Moore, wywiad z Burnhamem, 8
185. „zwykłą białą farbę ołowiową...”: Millet, 708
185. „Gangiem Wybielaczy...”: Hall, 213
185. „z największą energią...”: Burnham do Geraldine, [nieczytelne] marca 1892 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja służbowa, tom 6
186. „W sobotni wieczór...”: McCarthy, *Should We Drink*, 8–12, „Chicago Tribune”, 1 marca, 8, 9, 13, 20 maja 1892 roku, Burnham, *Final Official Report*, 69–70

186. „Lepiej będzie, jeśli napisze Pan list...”: Moore, *McKim*, 120
187. „W środę 1 czerwca...”: fotografia, Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, 1 czerwca 1892 roku, Archiwum Burnhama, pudło 64, teczka 34
- 187— „Dwa tygodnie później...”: fotografia, Budynek Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych, 13 czerwca 1892 roku, Archiwum Burnhama, portfolio 13
188. „właściciel firmy budowlanej...”: „Chicago Tribune”, 15 czerwca 1892 roku
188. „Przejąłem osobistą kontrolę...”: Burnham do Olmsteda, 14 września 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 59
189. „Nikt przede mną...”: Anderson, 53 189. „potwornością...”: Barnes, 177
189. „Kiedy wróciłem, byłem w gorszym...”: Rybczyński, *Clearing*, 391
189. „Nadal w dużym stopniu...”: Olmsted do syna Johna, 11 października 1892 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
190. „Na inaugurację czekał...”: Schlereth, 174
191. „Nagle dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi...”: Wheeler, 846
191. „Obaj mówcy rzucali...”: Monroe, *Poet's Life*, 130
192. „Tej zimy zużyła...”: *ibidem*, 131

Prendergast

193. „dnia 28 listopada 1892 roku...”: Prendergast do Alfreda Trude'a, Archiwum Trude'a, „Chicago Record”, 15 i 16 grudnia 1893 roku, w Archiwum McGoorty'ego, „Chicago Tribune”, 15, 16, 17, 21, 22 grudnia 1893 roku
193. „Mój drogi panie Trude...”: Prendergast do Alfreda Trude'a, Archiwum Trude'a

„Niech to będzie natychmiast”

195. „Mam w ręku...”: Ferris do Rice'a, 12 grudnia 1892 roku, Korespondencja Ferrisa, różne, Archiwum Ferrisa
195. „że na kole...”: Anderson, 55, Miller, 497

Chappell powraca

196. „Prezent bardzo uradował...”: Franke, 102
196. „Wyglądała na zachwyconą...”: *ibidem*
197. „Od pewnego czasu miałem wrażenie...”: *ibidem*
197. „Później pojawiły się spekulacje...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku 197. „Och, wyjechała...”: Franke, 104 197. „To pani wszystko...”: *ibidem*

198. „Zawiadomienie brzmiało...”: *ibidem*, 105
199. „Kilka dni po wyjeździe...”: Mudgett, 247, patrz również Mudgett, 246–249 199. „Och, to facet, którego...”: Franke, 105
199. „wytworna dama...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku
199. „Następnego dnia po zniknięciu...”: Franke, 104
199. „Niedługo potem...”: „Chicago Tribune”, 31 czerwca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 31 lipca 1895 roku
200. „I to mimo tego...”: „Philadelphia Public Ledger”, 27 lipca 1895 roku
200. „W końcu zacząłem wierzyć...”: „Chicago Tribune”, 31 lipca 1895 roku
200. „że nazwisko Phelps...”: „Chicago Tribune”, 31 lipca 1895 roku
200. „że 2 stycznia 1893 roku...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku
200. „że kilka tygodni później...”: Schechter, 51
200. „W jakiś sposób...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca, 1 sierpnia 1895 roku
200. „Na wyjaśnienie trwałości odcisku...”: „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1895 roku

„Twarde fakty”

202. „Ci, którzy służyli...”: Rice, 10, 12
203. „George Ferris walczył z mrozem...”: Anderson, 58, maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 4 (w kwestii użycia dynamitu — patrz Ulrich, 24)
203. „Żadna stalownia nie była w stanie...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 3, Anderson, 55, 57, Meehan, 30
204. „Wraz z elementami mocującymi...”: „Report of Classified and Comparative Weights of Material Furnished by Detroit Bridge & Iron Works for the 'Ferris Wheel'”, Archiwum Ferrisa
204. „Zapewne usłyszysz...”: Stevenson, 416
205. „Mam wrażenie, że nadszedł czas...”: Olmsted do syna Johna, 17 lutego 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
205. „Nigdy wcześniej...”: Olmsted do Ulricha, 3 marca 1893 roku, *ibidem*, rolka 41 207. „Odnosi się wrażenie...”: Bancroft, 67

Zdobycie Minnie

Swoje wnioski dotyczące motywów Holmesa oparłem na wynikach badań psychopatów przeprowadzonych w dwudziestym wieku. Zachowanie Holmesa — jego oszustwa, liczne małżeństwa, niezwykle czar, nieodróżnianie dobra od zła oraz budząca nieomal grozę zdolność do wyczuwania w ludziach słabości i podatności — zadziwiająco dobrze pasuje do opisów najgorszych psychopatów. (Pod koniec dwudziestego wieku psychiatrzy oficjalnie porzucili termin „psychopata” oraz

późniejsze określenie „socjopata” na korzyść „antyspołecznych zaburzeń osobowości”, choć w mowie potocznej funkcjonuje przede wszystkim to pierwsze określenie).

Wyjątkowo klarowne przedstawienie problemu psychopatów znajduje się w pionierskiej pracy doktora Herveya Cleckleya *The Mask of Sanity*, opublikowanej w 1976 roku. Na stronie 198 pisze on o „zaskakującej władzy, jaką niemal wszyscy psychopaci i częściowi psychopaci zdobywają i jaką opętują uległą kobietę”. Patrz również *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*, wydanie czwarte, 645–660, Wolman, 362–368, Milion et al., całość, ale szczególnie strona 155, gdzie jest cytowana przeprowadzona przez Philippe'a Pinela ocena psychopatycznych seryjnych morderców: „Choć ich zbrodnie mogą wydawać się chore, oni sami nie są chorzy ani w sensie medycznym, ani prawnym. Seryjny morderca jest zwykle osobowością socjopatyczną, której brak kontroli wewnętrznej – poczucia winy czy sumienia – jaka kierowałaby jego zachowaniem, posiada natomiast wielką potrzebę władzy i dominowania nad innymi. Potrafi odróżnić dobro od zła, rozumie, że popełnił czyn karalny, ale po prostu nie obchodzi go jego ofiara. Socjopata nigdy nie jest w stanie przyswoić sobie kodeksu moralnego, który zabrania morderstwa. Liczy się tylko jego zabawa”.

Również w pracy Miliona et al., na stronie 353, jeden z autorów opisuje przypadek pacjenta o imieniu Paul, który posiadał „niezwykłą zdolność do identyfikowania naiwnych, biernych i podatnych na wpływy kobiet – kobiet otwartych na manipulację i wykorzystywanie”.

W wypadku sprawy Williams opierałem się, tak jak wcześniej, na licznych artykułach prasowych oraz na książkach Boswella i Thompsona, Franke i Schechtera. Patrz „Chicago Tribune”, 20, 21, 27 i 31 lipca oraz 4 i 7 sierpnia 1895 roku, „New York Times”, 31 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 23 i 26 listopada 1894 roku, 22 grudnia 1894 roku, 22, 24, 27, 29 lipca 1895 roku, Boswell i Thompson, 86–90, Franke, 106–109, Schechter, 58–63. 208. „Instytut Srebrnego Pyłu...”: „Chicago Tribune”, 27 lipca 1895 roku 208. „aż siedemdziesięciu pięciu robotników...”: „Chicago Tribune”, 25 lipca 1895 roku 208. „Tobey Furniture Company...”: „Chicago Tribune”, 27 lipca 1895 roku 208. „French, Potter Crokery Company...”: *ibidem*

208. „Merchant & Co...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

209. „w pobliskiej Normal School...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku

210. „Twarz dziecka...”: Boswell i Thompson, 87

210. „urodziły się w stanie Missisipi...”: Szczegóły na temat pochodzenia Minnie i Anny Williams zacerpnąłem przede wszystkim z „Chicago Tribune” z 31 lipca 1895 roku.

210. „Przez cały rok 1889...”: Nie jest jasne, kiedy i w jaki sposób Holmes zalecał się do Minnie, ale na pewno jeździł do Bostonu, żeby się z nią zobaczyć, i czynił to dość często, żeby zdobyć jej uczucie. „Chicago Tribune” z 29 lipca 1895 roku opisuje pierwsze spotkanie Minnie z Holmesem. Inne szczegóły, takie jak data przyjazdu Minnie do Bostonu i opis jej późniejszych podróży, w tym

straty 15 tysięcy dolarów w nieudanej próbie stworzenia trupy teatralnej, patrz „Chicago Tribune”, 20 lipca 1895 roku. Patrz również „Philadelphia Public Ledger”, 22 listopada 1894 roku oraz 27 i 29 lipca 1895 roku. 212. „doskonale predyspozycje do pracy...”: Mudgett, 45

212. „Anna była nastawiona sceptycznie...”: Schechter, 61

213. „Otrzymałem jej zawiadomienia o ślubie...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku

213. „Uczyniła to...”: „Chicago Tribune”, 27 i 31 lipca 1895 roku

214. „Założył firmę...”: „Philadelphia Public Ledger”, 21 i 23 listopada 1894 roku 214. „Nakłonił mnie do...”: „Philadelphia Public Ledger”, 25 lipca 1895 roku

214. „ich związek nigdy nie został...”: „Philadelphia Public Ledger”, 26 listopada 1894 roku

Straszne rzeczy czynione przez dziewczęta

215. „pieniędzy będzie tyle...”: Kiler, 61 217. „Napływały tłumy...”: Bloom, 135

217. „Bloom pomyślał przez chwilę...”: *ibidem*, 135–136

228. „Bloom żałował...”: *ibidem*, 135

228. „to, czego pragną tutejsi...”: Dedmon, 223–224

219. „Burmistrz nie schłodzi nadmiernie...”: *ibidem*, 224

219. „Pokolorowanym zadkiem...”: *ibidem*

219. „Ludzie z zewnątrz już uznali...”: Hines, 108

220. „jak opiekać...”: Hollingsworth, 155 220. „Stół przy śniadaniu...”: *ibidem*, 12

220. „Jeśli jest koloru...”: *ibidem*, 581

220. „Weź jedną część kwasu...”: *ibidem*, 612

220. „Nie siadaj nigdy...”: *ibidem*, 701

220. „Wstrzyknij tytoń w...”: *ibidem*, 749

221. „których obecność urozmaicali...”: Miller, 420

221. „Clarence Darrow regularnie...”: Tierney, 84

221. „Musicie, jeśli...”: Lewis, 36

222. „Jakież okropne rzeczy robiły...”: Tierney, 84

223. „Wszyscy jego przyjaciele...”: Miller, 440

223. „Był ujmujący w swoich...”: Johnson, 81–88, Poole, 158, 160, 163, 169

223. „najbardziej niezwykłym człowiekiem...”: Miller, 438

223. „godnym podziwu rzeźnikiem...”: Abbot, 212

224. „Mój drogi panie Trude...”: Prendergast do Trude'a, Archiwum Daniela P. Trude'a

Zaproszenie

226. „Holmes zaproponował...”: Schechter, 61

226. „Planowała pokazać Annie...”: Wymieniłem tutaj kilka atrakcji wieku połączanego, które osoby zwiedzające Chicago uznały za szczególnie interesujące. To, że Minnie planowała pokazać Annie to wszystko, nie jest rzeczą pewną, lecz prawdopodobną. Niestety, nie prowadziła dziennika, który ukazałby nam szczegóły jej życia.

Ostatnie przygotowania

227. „nerwowych wysilków...”: Wheeler, 832

228. „Menu...”: Program „Banquet to Daniel Hudson Burnham”, Archiwum Burnhama, pudło 59

229. „Każdy z was zna...”: Moore, *Burnham, Architect*, 74

230. „Skala całego przedsięwzięcia...”: Moore, *McKim*, 122

230. „Niczego się nie obawiam...”: Burnham do Margaret, 6 kwietnia 1893 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, pudło 25

230. „Jestem bardzo szczęśliwy...”: Burnham do Margaret, 10 kwietnia 1893 roku, *ibidem*

231. „Dlaczego nie piszesz do...”: Burnham do Margaret, 13 kwietnia 1893 roku, *ibidem* 231. „Zwiedzający uznają ją...”: *ibidem*

231. „Margaret przesłała mu...”: Burnham do Margaret, 18 kwietnia 1893 roku, *ibidem*

231. „PILOT OCEANU...”: Carter, 368

232. „W recepcji hotelu...”: *ibidem*, 374

233. „Możesz sobie wyobrazić...”: Burnham do Margaret, 10 kwietnia 1893 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, pudło 25

233. „Wszyscy tutaj znajdują...”: Olmsted do syna Johna, 13 kwietnia 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22

233. „Będziemy musieli wziąć na siebie...”: Olmsted do syna Johna, 15 kwietnia 1893 roku, *ibidem*

233. „Obawiam się, że...”: *ibidem*

234. „Ulrich jest nam nieświadomie niewierny...”: Olmsted do syna Johna, 3 maja 1893 roku, *ibidem*

234. „Przypuszczam, że nasz czas się kończy...”: *ibidem*

234. „przerażający kurz...”: Olmsted do syna Johna, 13 kwietnia 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22

234. „z bólem gardła...”: Olmsted do syna Johna, 23 kwietnia 1893 roku, *ibidem*

235. „Zatrudniono większe siły...”: *ibidem*

235. „Zdziwiło go, że...”: „Chicago Record”, 16 grudnia 1863 roku, w Archiwum McGoorty'ego

236. „Pada...”: Burnham do Margaret, 18 kwietnia 1893 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, pudło 25 236. „Zeszłej nocy w parku...”: Burnham do Margaret, 20 kwietnia 1893 roku, *ibidem*
236. „Pogoda jest tu okropna...”: *ibidem*
237. „Pisałem wam...”: Olmsted do niezidentyfikowanego adresata (list podstemplowany jako otrzymany i przeczytany przez jego firmę), 27 kwietnia 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
237. „Wrzód się zmniejszył...”: *ibidem*
238. „Mamy zdecydowanego pecha...”: Olmsted do syna Johna, 27 kwietnia 1893 roku, *ibidem*
238. „Wcale mi się to nie podoba...”: *ibidem*
238. „Dieta w tymczasowej stołówce...”: *ibidem*
238. „Zaziębłem się i...”: Olmsted do niezidentyfikowanego adresata, 28 kwietnia 1893 roku, *ibidem* 238. „To dziwne widzieć...”: *ibidem* 238. „Moim zdaniem wcale...”: *ibidem*
238. „Czuję już tchnienie...”: *ibidem*
239. „wielkiej niegotowości...”: Miller, 489
240. „Hotelem Wystawy Światowej...”: Schechter, 56

CZĘŚĆ III: W BIAŁYM MIEŚCIE Dzień Otwarcia

243. „Dwadzieścia trzy błyszczące...”: Szczegóły ceremonii otwarcia — patrz Badger, xi, xii, Burg, 111, „Chicago Tribune”, 2 maja 1893 roku, Miller, 490, Muccigrosso, 78—80, Weimann, 141—146, *The World's Fair*, 13—16, 253—263
243. „Burnham i Davis...”: *The World's Fair*, 254
243. „wyszło słońce...”: *ibidem*
244. „Na farmie można było...”: Bloom, 137
244. „Bloom pokłonił się głęboko...”: *The World's Fair*, 255
245. „W dniu otwarcia...”: Starrett, 50
245. „Dwadzieścia kobiet zemdlało...”: Burg, 111
245. „Dziennikarze, którzy mieli...”: *ibidem*, 23
245. „A potem z bocianiego gniazda...”: *The World's Fair*, 257—258
245. „Następny przemawiał...”: *ibidem*, 259

245. „Obok mównicy stał stół...”: Weimann, 241
246. „Wysoki mężczyzna...”: Miller, 490 246. „Tak jak za jednym...”: Badger, xii
246. „Dokładnie o dwunastej osiem...”: „Chicago Tribune”, 2 maja 1893 roku
247. „Chwilę później Jane Addams...”: Badger, xi, Miller, 490
247. „Ten widok wybuchł przede mną...”: Frank Collier do Burnhama, 1 maja 1893 roku, Archiwum Burnhama, pudło 1, teuszka 13
247. „W oficjalnej historii ekspozycji...”: Szacunkowe liczby zwiedzających — patrz Badger, xi, Dedmon, 226, Weimann, 242 247. „We wtorek 2 maja...”: Weimann, 556
247. „W czwartkowy wieczór 5 maja...”: „Chicago Tribune”, 5 maja 1893 roku
247. „chicagowski Chemical National Bank...”: „Chicago Tribune”, 9 maja 1893 roku
248. „Trzy dni później...”: „Chicago Tribune”, 19 maja 1893 roku
248. „W Brunswick w stanie Georgia...”: *ibidem*
248. „W mieście Lincoln w stanie Nebraska...”: *ibidem*
249. „Samo General Electric...”: „Chicago Tribune”, 3 maja 1893 roku
249. „Czuję się nadal...”: Olmsted do syna Johna, 15 maja 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 22
250. „Dnia 5 czerwca zaniepokojeni depozytariusze...”: Bogart i Mathews, 395

Hotel Wystawy Światowej

251. „Do hotelu Holmesa zaczęli napływać...”: Boswell i Thompson piszą: „Co wieczór pokoje na dwóch górnych piętrach »zamku« wypełniały się do ostatniego. Holmes rzadko i niechętnie przyjmował mężczyzn — pokoje wynajmował przede wszystkim kobietom, najlepiej młodym i ładnym, w oczywistej sytuacji finansowej, których domy znajdowały się daleko od Chicago i które nie miały bliskich, którzy zaczęliby stawiać pytania, gdyby wkrótce nie wrócili. Wiele nigdy nie wróciło. A właściwie wiele nie wyszło nigdy z »zamku«, gdy już się w nim znalazły” (87). Franke stwierdza: „Wiemy, że Holmes reklamował swój »hotel« jako odpowiednie lokum dla zwiedzających wystawę. Ustalono, że co najmniej pięćdziesiąt osób, zgłoszonych policji jako zaginione, weszło do »zamku« i tu ślad się urywał” (109). Schechter: „Nikt nie wie dokładnie, ilu przybyszów zwabił Holmes do swojego »zamku« między majem a październikiem 1893 roku, choć wydaje się, że przez większość dni miał komplet gości” (56).

251. „Znalazł takie miejsce w...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku

251. „Po raz pierwszy zamieściły ogłoszenie...”: *ibidem* 251. „Holmes pojechał obejrzeć mieszkanie...”: *ibidem*

252. „Holmes przedstawił Minnie tę przeprowadzkę...”: To, że Holmes chciał trzymać Minnie jak najdalej od hotelu, wydaje się pewne, skoro wynajął mieszkanie na North Side. Nie ma jednak pewności, jak uzasadnił tę przeprowadzkę. Proponuję jedną z prawdopodobnych wersji.

252. „Holmes i Minnie przenieśli się...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku

252. „wydawał się bardzo czuły dla...”: *ibidem*

253. „To, że Holmes czasami roztaczał wokół siebie...”: Fryzjer, który pracował w „zamku” Holmesa, zeznał, że często pojawiała się w budynku wiele „dziwnych” zapachów. („Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku). W „Chicago Tribune” z 28 lipca 1895 roku pewien detektyw z policji oświadczył: „Często słyszeliśmy, że w »zamku« Holmesa unosi się wiele paskudnych zapachów”.

Prendergast

254. „Jestem kandydatem na...”: „Chicago Record”, 16 grudnia 1893 roku, w Archiwum McGoorty'ego

Noc to czarodziejka

255. „Ale tylko jedno...”: Weimann, 352. Bliższe szczegóły na temat opieki nad dziećmi w czasie wystawy — patrz Weimann, 254—333, 349—352

255. „W budynkach wystawy...”: Burg, 206, Gladwell, 95, Miller, 494, Muccigrosso, 93, 163, Schlereth, 174, 220, Shaw, 28, 42, 49

256. „Popularny przewodnik...”: Burg, 199 256. „wstrętną, szkaradną...”: Taylor, 9

256. „Wszyscy poruszaliśmy się powoli...”: *ibidem*, 7

256. „Czyni kilka drobnych kroczków w jedną stronę...”: *ibidem*, 22—23

257. *My Country 'Tis oflhee...*: *ibidem*, 23 257. „W którym budynku...”: Dean, 335

257. „Pewien mężczyzna bez nóg...”: *ibidem*, 378

258. „Przez sześć miesięcy...”: Muccigrosso, 150, *The World's Fair*, 851 258. „Często spektakl Cody'ego...”: Carter, 372—373, Downey, 168—169

260. „Uderzająco zauważalna zmiana...”: „Chicago Tribune”, 2 czerwca 1893 roku 260. „Żadne inne dzieło...”: Pierce, *As Other See Chicago*, 352

260. „niczym nieograniczonym...”: Masters, 7

261. „nalegaliśmy, aby nasi goście...”: rękopis bez tytułu, rozpoczynający się od słów: „Dla tego, kto brał udział”, Archiwum Burnhama, pudło 59, teczka 37

261. „Nasza godzina na lagunie...”: Dora Root do Burnhama, bez daty, Archiwum Burnhama, pudło 3, teczka 63

262. „Sama ekspozycja...”: Hines, 117

262. „Kiedy na niebie gasło słońce...”: Polacheck, 40
 263. „nieprzemierzoną liczbę...”: Ingalls, 141
 263. „Noc jest czarodziejką...”: *ibidem*
 263. „Zwiedzający, którzy po raz pierwszy...”: Schuyler, 547

Modus operandi

264. „No i się zaczęło...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca, 1 sierpnia 1895 roku. W „Chicago Tribune” z 26 lipca 1895 roku szef policji Chicago mówi: „Nie wiadomo, jak wielu ludzi zamordował ten Holmes”. Patrz również „Philadelphia Inquirer”, 12 kwietnia 1896 roku.

264. „chemiczny zapach...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

264. „Nadeszły kolejne zapytania...”: „Philadelphia Public Ledger”, 21 listopada 1894 roku, 22 lipca 1895 roku, Franke, 106, Schechter, 233. Patrz również Eckert, 209—210.

Eckert cytuje list od matki Julii Conner, datowany na 22 grudnia 1892 roku. Książka

Eckerta — *The Scarlet Mansion* — jest powieścią, natomiast list, jak zapewnił mnie Eckert w korespondencji e—mailowej, jest autentyczny.

264. „Holmes nie zabijał bezpośrednio...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku. Cytowany w tym numerze detektyw z policji Chicago mówi: „Choć uważam, że Holmes nie zaatakowałby ofiary siekierą lub inną podobną bronią, wierzę, że był w stanie wślizgnąć się do pokoju, gdzie spała jego ofiara, i odkręcić gaz”.

265. „Wypreparowanie kości...”: Zagadnienie prac „preparatora Charlesa Chappella” — patrz „Chicago Tribune”, 21, 23, 24, 25, 26, 28, 29, 30 lipca 1895 roku, „New York Times”, 29 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 23,27,29,30 lipca 1895 roku, Boswell i Thompson, 81—86, Franke, 98—101, Schechter, 39—44

265. „Częściej pozbywał się...”: „Chicago Tribune”, 20, 23, 24, 25,26 lipca, 18 sierpnia 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 22, 24, 25, 26, 27, 29, 30 lipca 1895 roku

Jeden dobry obrót

266. „Górna część tworzyła...”: Koło Ferrisa miało średnicę siedemdziesięciu sześciu metrów, ale maksymalna wysokość wynosiła osiemdziesiąt i pół metra — ze względu na konieczną odległość między dolną częścią koła a ziemią. Budynek bractwa wolnomularskiego miał dziewięćdziesiąt dwa metry wysokości, ale łącznie z ogromnym dachem, który wznosił się wysoko nad ostatnim zamieszkanym piętrem.

266. „Dla umysłu niemechanicznego...”: Hawthorne, 569

266. „Silniki przyjęły parę...”: Rice do Ferrisa, 8 czerwca 1893 roku, Archiwum Ferrisa, Korespondencja Ferrisa, różne

267. „Nie ufałem sobie...”: Anderson, 58
267. „Nagle oderwał mnie od...”: *ibidem*
268. „Kiedy koło zaczęło się obracać...”: *ibidem*, 60
268. „Nie zamontowano jeszcze wagonów...”: *ibidem* 268. „Miałem ochotę...”: *ibidem*
268. „Wykonano ostatnie połączenia...”: Rice do Ferrisa, 9 czerwca 1893 roku, Archiwum Ferrisa, Korespondencja Ferrisa, różne
268. „Pana telegram informujący...”: Ferris do Rice'a, 10 czerwca 1893 roku, Archiwum Ferrisa, Korespondencja Ferrisa, różne
269. „raczej przystojna, pełna...”: Weimann, 560
269. „Prawdę mówiąc, nic nie mogło...”: *ibidem*
270. „Z pewną goryczą...”: *ibidem*, 262
270. „W ramach przygotowań...”: Weimann, 560 270. „Oświadczyła mianowicie...”: *ibidem*
270. „Jej Wysokość ma zwyczaj...”: Wilson, 264
271. „Będę opuszczać Chicago...”: *ibidem*, 267
271. „Członkowie rodów królewskich...”: *ibidem*, 269

Nannie

272. „Niemal nieświadomie...”: „Chicago Tribune”, 20 lipca 1895 roku
272. „Najpierw Minnie i Harry...”: Mimo smrodu i kałuż krwi Union Stock Yards stanowiły największą atrakcję dla zwiedzających Chicago, a przewodnicy wycieczek naprawdę pokazywali im samo serce rzeźni. Wydaje się prawdopodobne, że Holmes zabrał tam Minnie i Nannie, częściowo ze względu na sławę Union Stock Yards, a częściowo, ponieważ odczuwał satysfakcję, pokazując kobietom tak straszne rzeczy. W *The Jungle* Upton Sinclair napisał: „Niektórzy zwiedzający z trudem to znosili — mężczyźni patrzyli jeden na drugiego i śmiali się nerwowo, a kobiety stały z zaciśniętymi dłońmi, krew napływała im do twarzy, w oczach zbierały się łzy” (35). Szczegółowe opisy rzeźni i taśmowego uboju świń — patrz Sinclair, szczególnie strony 34–38, Jabłoński, Wade. Wade napisał, że w roku wystawy Union Stock Yards zwiedziło ponad 1 milion ludzi (xiv). Rudyard Kipling w swoim szkicu *Chicago* pisze: „Skreśliłem za róg i nie zauważywszy nad głową naoliwionej szyny, koła i bloku, wpadłem prosto na cztery wypatroszone tusze, całkiem białe i przypominające ludzkie postaci, popychane przez człowieka ubranego w jaskrawą czerwień” (341).
273. „wielka wystawa...”: Przedstawiłem jeden z wariantów zwiedzania, opierając się na przewodnikach, planach wystawy i raportach o atrakcjach, które szczególnie przyciągały

zwiedzających. Szczegóły ekspozycji — patrz Flinn, 96—99, 104, 113—114, *Rand, McNally*, 34—36, 71, 119—120, 126 274. „Pod żyrandolami...”: *Rand, McNally*, 119—120

274. „Minnie i Anna szybko...”: Zwiedzanie Budynku Rzemiosła i Sztuk Wyzwolonych opisywano jako wyczerpujące. Istniało nawet powiedzenie, że chłopiec, który tam wejdzie jednym wejściem, wyjdzie drugim jako starzec. *Rand McNally & Co., Handbook to the World's Columbian Exposition* stwierdza: „Pod dachem tego budynku można by zebrać całą stałą armię Rosji” (116).

275. „Człowiek z Europy...”: Flinn, 71

275. „Mauretańskiego pałacu...”: Flinn, 25, Gilbert, 114

275. „Nawet bilety wstępu...”: Kolekcja biletów — patrz Archiwum Burnhama, portfolio 4, arkusz 16 i 17

276. „Kupił zabawkę...”: Geyer, 300

Zawrót głowy

277. „Do wieczora w niedzielę...”: Anderson, 60

277. „Nie wsiadałem do...”: *ibidem*

277. „Ponieważ nasz wagon...”: *ibidem*

278. „Wagon wzniosł się...”: *ibidem*

278. „Pierwszą reakcją Gronaua...”: *ibidem*

278. „Miałem wrażenie, jakby...”: *ibidem*, 62

278. „Najpiękniejszy widok...”: *ibidem*

279. „Ten widok...”: *ibidem*

279. „Niech Cię Bóg...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 6

279. „Dziś zawieszono sześć...”: Rice do Ferrisa, 13 czerwca 1893 roku, Archiwum Ferrisa, Korespondencja Ferrisa, różne

280. „ani Burnham, ani...”: Ferris do Rice'a, 14 czerwca 1893 roku, *ibidem*

280. „Nierozsądnie jest udostępnić...”: Robert W Hunt do Ferrisa, 17 czerwca 1893 roku, *ibidem*

280. „Skoro rada...”: Ferris do Rice'a, 17 czerwca 1893 roku, *ibidem*

280. „Słońce właśnie zachodziło...”: „Chicago Tribune”, 15 czerwca 1893 roku

Potrzebny poganin

282. „która zaprowadziła go aż...”: Olmsted do Burnhama, 20 czerwca 1893 roku, Archiwum Olmsteda, rolka 41 282. „Wszędzie widać rosnące...”: *ibidem*

285. „17 czerwca...”: „Chicago Tribune”, 11, 19 czerwca 1893 roku

286. „Ten budynek jest dla...”: „Chicago Tribune”, 11 czerwca 1893 roku

Nareszcie

287. „O wpół do czwartej po południu...”: Anderson, 62, Barnes, 180
287. „żaden szaleniiec nie miał okazji...”: „Alleghenian”, 1 lipca 1893 roku
287. „miał w głowie...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 6
288. „Zbudowane wbrew licznym...”: *The Ferris Wheel Souvenir*, Archiwum Ferrisa, 1
288. „Prawdę mówiąc, wygląda na...”: „Alleghenian”, 1 lipca 1893 roku

Fala przypływu

290. „Pod koniec czerwca...”: „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1893 roku 290. „Ogrodowa kawiarnia na dachu...”: Weimann, 267 290. „Lucille Rodney z Galveston...”: Badger, 162
290. „Nie nazywajcie jej już...”: Besant, 533
291. „wiele ujęło...”: Olmsted, *Landscape Architecture*
291. „W ciągu sześciu miesięcy...”: Rice, 85
291. „W swoim oficjalnym raporcie...”: *ibidem*, załącznik I, 2
292. „Podczas imprezy...”: Burnham, *Final Official Report*, 77–80
292. „w połowie prostak...”: Dedmon, 232, May, 334–335, 340–341
293. „Frank Haven Hall...”: Hendrickson, 282
294. „Dużo więcej by się...”: Weimann, 566
294. „Kiedy dowiedział się...”: Badger, 163–164, Weimann, 565–566 294. „rozweselona jak...”: Weimann, 566
294. „Wydarzyła się katastrofa...”: „Chicago Tribune”, 27 czerwca 1893 roku
295. „W tygodniu, który...”: *Ferris Wheel, Statement of Business by the Week*, Archiwum Ferrisa 295. „któremu zabrakło nowin...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 7
295. „Podczas jednej z przejażdżek...”: Anderson, 66
296. „Wydawał się osobiście dumny...”: Polacheck, 40
296. „Panujące warunki...”: „Inland Architect and News Record”, tom 22 numer 2 (wrzesień 1893 roku), 24
297. „W czerwcu dwóch biznesmenów...”: „Chicago Tribune”, 4 czerwca 1893 roku 297. „Wszyscy są teraz przerażeni...”: Steeples i Whitten, 1
297. „Co zrobimy, kiedy...”: Muccigrosso, 183
297. „wszystko będzie się wydawać...”: Weimann, 577

Dzień Niepodległości

298. „Na długości kilometra...”: „Chicago Tribune”, 5 lipca 1893 roku
298. „Pewien człowiek zaczął śpiewać...”: *ibidem*

298. „Wszystkie wagony na...”: *ibidem*

298. „*Home Sweet Home.*”: *ibidem*

299. „O dziewiątej wieczorem...”: Szczegóły pokazu fajerwerków — patrz „Chicago Tribune”, 5 lipca 1893 roku, Burg, 43, Gilbert, 40

299. „Tej nocy rodzina Okerów...”: Franke, 108

300. „Jutro ja, moja siostra i szwagier...”: Boswell i Thompson, 88. Ten list jest cytowany również przez Franke, 106, Schechter, 62

300. „Anna nie miała żadnego majątku...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

300. „Holmes oznajmił...”: Schechter zaproponował wersję, w której Holmes zaprasza jedynie Annę na wycieczkę do jego hotelu. Wydaje się to prawdopodobne. Inna możliwość jest taka, że Holmes poprosił Annę o pomoc w jakichś pracach biurowych i zaproponował, żeby Minnie została w domu i zajęła się ostatnimi przygotowaniami do podróży. Holmes na pewno starał się rozdzielić kobiety, gdyż nie był mężczyzną silnym fizycznie. Jego siła leżała w zdolnościach perswazyjnych i sprycie (Schechter, 62)

Niepokój

301. „na wystawę przybyło...”: Patrz codzienne statystyki frekwencji w „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1893 roku

301. „Jednak następnego dnia...”: *ibidem*

301. „Zatrudniony rewident...”: „Chicago Tribune”, 16 sierpnia 1893 roku

301. „Bankierzy zaczęli naciskać...”: „Chicago Tribune”, 2 sierpnia 1893 roku

301. „Według szacunków...”: „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1893 roku

Klaustrofobia

Policja spekulowała, że Holmes zabił Nannie i Minnie Williams w swoim skarbcu. Schechter proponuje taki scenariusz: „Kiedy byli gotowi do wyjścia, Holmes zatrzymał się, jakby coś sobie nagle przypomniał. Musiał coś zabrać ze skarbcu, wyjaśnił — ważny dokument, który przechowywał w skrzynce depozytowej. To zajmie tylko chwilę. Chwyciwszy Nannie za rękę, zaprowadził ją do skarbcu” (62).

Musiało się zdarzyć coś podobnego, choć sądzę, że moja wersja, w której Holmes wysłał Nannie po coś do skarbcu, a następnie idzie za nią i zamyka drzwi, bardziej odpowiada jego charakterowi. Był mordercą, ale tchórzliwym.

To, że Holmes zabił obie kobiety 5 lipca, można wywnioskować na podstawie listu napisanego 14 marca 1895 roku przez adwokata E. T. Johnsona, który został wysłany na poszukiwanie zaginionych kobiet. Stwierdza on, że opuściły dom przy Wrightwood „około 5 lipca 1893 roku i nikt z nas nigdy więcej o nich nie słyszał” („Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku). Jeśli zestawi się ten list z radosnym

listem Anny do ciotki, napisanym wieczorem 4 lipca, wydaje się logiczne, że oba morderstwa zostały rzeczywiście popełnione 5 lipca. 305. „Dwa dni później...”: Franke, 108 305. „Nie mam pojęcia, jak...”: „Chicago Tribune”, 21 lipca 1895 roku

305. „Również 7 lipca...”: „ChicagoTribune” z 20 lipca 1895 roku podaje, że firmą przewożową było Wells-Fargo.”Philadelphia Public Ledger” z 23 listopada 1894 roku twierdzi, że kufer został wysłany z Midlothian w Teksasie 7 lipca 1893 roku.

306. „Ten kufer...”: „Chicago Tribune”, 20 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 23 listopada 1894 roku

306. „Woznica z Wells-Fargo...”: *ibidem*

306. „Chcę, żeby przyjechał pan...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 29 lipca 1895 roku

306. „To było okropne miejsce...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 29 lipca 1895 roku

306. „Nie rób tak...”: „Chicago Tribune”, 28 lipca 1895 roku, „Philadelphia Public Ledger”, 29 lipca 1895 roku

307. „Żonie Pitezla, Carrie...”: „Chicago Tribune”, 1 sierpnia 1895 roku

307. „Holmes zaskoczył również...”: *ibidem*

Burza i pożar

308. „Ten balon...”: „Chicago Tribune”, 10 lipca 1893 roku

308. „Niebo zdawało się obniżyć...”: *ibidem*

309. „W Budynku Rolnictwa...”: *ibidem*

309. „Trzeba było...”: Anderson, 66

310. „Z pewną przyjemnością...”: „Chicago Tribune”, 10 lipca 1893 roku

310. „Wieża była zbudowana...”: „Chicago Tribune”, 11 i 12 lipca 1893 roku

310. „Pierwszy alarm...”: Burrham, *Final Official Report*, 61,74, „ChicagoTribune”, 11 lipca 1893 roku, „Graphic”, 15 lipca 1893 roku, Chicago Historical Society, *Synoptical History*, 74–77

311. „Nigdy dotąd...”: Chicago Historical Society, *Synoptical History*, 75

311. „jakby zapaliła się...”: Burnham, *Final Official Report*, 61

311. „Zobaczyłem, że jest...”: „Chicago Tribune”, 11 lipca 1893 roku

312. „Daniel Burnham zeznał...”: „Chicago Tribune”, 12 lipca 1893 roku

312. „We wtorek 18 lipca...”: „Chicago Tribune”, 19 lipca 1893 roku

312. „Próba uznania Pana...”: Geraldine do Burnhama, 19 lipca 1893 roku, Archiwum

Burnhama, Korespondencja służbowa, pudło 1 teczka 32 312. „Kiedy w powietrzu...”: „Chicago Tribune”, 14 lipca 1893 roku

313. „Jakby nie mogło już być gorzej...”: „Chicago Tribune”, 3 sierpnia 1893 roku

313. „żadne wydatki...”: *ibidem*

Miłość

314. „Dwadzieścia cztery nauczycielki...”: Dreiser, *Journalism*, 121 314. „czymś niezwykle intensywnym...”: Lingeman, 118

314. „Dreiser przyłączył się do nauczycielek...”: Szczegóły wizyty nauczycielek na wystawie – patrz Dreiser, *Journalism*, 121–138

315. „sentymentalny...”: Lingeman, 121

315. „w sen, z którego...”: *ibidem*, 119

316. „Jeśli ożenisz się teraz...”: *ibidem*, 122

316. „Pary chciały...”: maszynopis bez tytułu, Archiwum Ferrisa, 9

316. „Georgiane Yoke...”: *Trial*, 364 316. „Był taki samotny...”: *ibidem*, 436

316. „małe serduszko...”: *ibidem*, 364

316. „Ostrzegł jednak, że...”: *ibidem*, 436

317. „Burmistrz Harrison również sądził...”: „Chicago Tribune”, 24 sierpnia 1893 roku, Muc-
ciogrosso, 181

Szaleńcy

318. „można scharakteryzować jedynie...”: „Chicago Tribune”, 3 sierpnia 1893 roku

318. „Gdyby rada była zdolna...”: „Chicago Tribune”, 2 sierpnia 1893 roku

319. „Setki gazet...”: „Chicago Tribune”, 13 sierpnia 1893 roku

320. „Chcemy zorganizować...”: „Chicago Tribune”, 9 sierpnia 1893 roku

320. „Millet zorganizował również...”: „Chicago Tribune”, 12 sierpnia 1893 roku

320. „Czy obawy tych dobrych pań...”: „Chicago Tribune”, 11 sierpnia 1893 roku

321. „Imprezie dodatkowego smaczk...”: „Chicago Tribune”, 17 sierpnia 1893 roku, Downey,
168

321. „Chicago zbudowało wystawę...”: „Chicago Tribune”, 16 sierpnia 1893 roku

322. „Tego wieczoru o dziewiętej piętnaście...”: „Chicago Tribune”, 17 sierpnia 1893 roku

322. „Było gorąco...”: *ibidem*

322. „narodowy strój z kory...”: *ibidem*

323. „Oficjalne menu...”: *ibidem*

324. „Frekwencja rosła...”: „Chicago Tribune”, 10 października 1893 roku

324. „Jeśli Kongres nie da nam pieniędzy...”: „Chicago Tribune”, 8 sierpnia 1893 roku

324. „Dlaczego bogacze...”: „Chicago Tribune”, 31 sierpnia 1893 roku

Prendergast

325. „Pewnego popołudnia...”: „Chicago Record”, 16 grudnia 1893 roku, w Archiwum McGoorty'ego
325. „Nie...”: *ibidem*

Nadchodzi triumf

326. „O dziesiątej rano...”: Dybwad i Bliss, 38–40
327. „Paryski rekord...”: *ibidem*, 38 327. „Tam jest chyba...”: *ibidem*, 39
327. „Fajerwerki zaczęły się...”: *ibidem*, 64–68
327. „Tego jednego dnia...”: „Chicago Tribune”, 10 października 1893 roku
328. „Zdaniem »Tribune«...”: *ibidem*
328. „Ale najlepsza wiadomość...”: Badger, 109

Wyjazdy

329. „Wie Pan jak...”: Moore, *McKim*, 127
329. „Ambicją wszystkich zainteresowanych...”: *ibidem*, 126
330. „Lepiej, żeby...”: Boysesen, 186
330. „Nie mogę przyjechać do Ciebie...”: Stevenson, 415
330. „W całym 1893 roku...”: Crook, 102
331. „Nigdy wcześniej nie...”: Bogan i Mathews, 398
331. „Naciski ze strony wierzycieli...”: „Philadelphia Public Ledger”, 21 listopada 1894 roku
331. „Najpierw podłożył ogień...”: „Philadelphia Public Ledger”, 23 listopada 1894 roku, Boswell i Thompson, 89, Franke, 41, Schechter, 64–65
331. „Doradził firmie ubezpieczeniowej...”: *ibidem*
332. „Opiekunowie Minnie Williams...”: „Philadelphia Public Ledger”, 21 listopada 1894 roku, 27 lipca 1895 roku, Franke, 106
332. „Jesienią 1893 roku...”: „Philadelphia Inquirer”, 8 maja 1896 roku
333. „Holmes uciekł...”: *ibidem*
333. „Wkrótce potem ruszył do...”: Geyer, 346, *Trial*, 302, 608, Franke 213
333. „Tuż przed wyjazdem...”: Geyer, 346, *Trial*, 210

Zmierzch

334. „Przez cały październik...”: „Chicago Tribune”, 29 października 1893 roku
334. „20 tysięcy osób...”: *Ferris Wheel, Statement of Business by the Week*, Archiwum Ferrisa

334. „zERkać ostrożnie...”: „Chicago Tribune”, 25 października 1893 roku
335. „Spójrzcie na niego teraz...”: Abbot, 228
336. „O drugiej po południu...”: „Chicago Tribune”, 29 października 1893 roku
336. „O trzeciej po południu...”: „Chicago Tribune”, 20 grudnia 1893 roku
336. „W środku posiłku...”: „Chicago Tribune”, 14 grudnia 1893 roku
337. „Musiała być ósma...”: *ibidem*
338. „Zaczęli się spierać...”: „Chicago Record”, 15 grudnia 1893 roku, „Chicago Daily News”, 23 października 1943 roku, w Archiwum McGoorty'ego
338. „Proszę mnie aresztować...”: „Chicago Record”, 15 grudnia 1893 roku, w Archiwum McGoorty'ego
339. „Odwracamy się plecami...”: „Chicago Tribune”, 31 października 1893 roku
339. „Punktualnie o czwartej czterdzieści pięć...”: *ibidem*
339. „złożony z sześciuset powozów...”: „Chicago Tribune”, 2 listopada 1893 roku, Miller, 101
339. „Harrison usłyszał kiedyś...”: „Chicago Tribune”, 2 listopada 1893 roku
340. „To pożegnanie jest...”: Dean, 418
340. „Jezioro leżało pod gwiazdami...”: Pierce, *As Others See Chicago*, 357

Czarne Miasto

341. „Biedacy wyszli chudzi...”: Herrick, 135 341. „Co za widowisko...”: Gilbert, 211
341. „Na jednej z nich widać...”: Hales, 47
341. „To prawdziwa rozpacz...”: Dean, 424
342. „George Pullman nadal redukował pensje...”: Wish, 290
342. „groźniejszego i o większym...”: Papke 29
342. „5 lipca 1894 roku...”: Gilbert, 210, Miller, 550
342. „Nie było żalu...”: Miller, 550
343. „Setki ludzi pojechały do Chicago...”: „Chicago Tribune”, 18 sierpnia 1895 roku

CZEŚĆ IV: OKROPIEŃSTWA UJAWNIONE „Własność H. H. Holmesa”

347. „Detektyw Frank Geyer...”: Informacje na temat Geyera zaczerpnąłem z jego książki *The Holmes-Pitezal Case* — szczegółowej, obiektywnej a przede wszystkim ścisłej relacji z zabójstwa Benjaminą Pitezlą i przeprowadzonych przez Geyera poszukiwań jego zaginionych dzieci. W książce są cytowane urywki listów dzieci i wyjątki z innych ważnych dokumentów, takich jak zeznania

i oświadczenia. Dodatkowe materiały na temat Geyera znalazłem we Free Library w Filadelfii, w corocznych raportach komendanta policji, zamieszczanych w corocznym orędziu burmistrza miasta (patrz niżej miasto Filadelfia). Raporty te zawierają cenne informacje, na przykład że partnerem detektywa Geyera był inny świetny detektyw, Thomas G. Crawford, człowiek, który przywiózł Holmesa z Bostonu do Filadelfii. Podczas tej podróży Holmes poprosił o zgodę na zahipnotyzowanie Crawforda. Detektyw odmówił. Holmes poprosił ponownie, tym razem oferując 500 dolarów za ten przywilej — była to słabo zawoalowana łapówka. Geyer i Crawford konsekwentnie plasowali się na pierwszym lub drugim miejscu wśród dwuosobowych zespołów detektywów, jeśli chodzi o wartość odzyskanych przedmiotów.

Wykopałem również pewne szczegóły z *The Trial of Herman W. Mudgett, Alias H. H. Holmes*, dosłownej transkrypcji procesu, wraz z mowami końcowymi i wyrokiem sądu apelacyjnego. Patrz również Franke, 61—81, Schechter, 195—205

348. „Geyerowi powierzono zadanie...”: Geyer, 158—161, 171—174

348. „Graham pomyślał dwa razy...”: Schechter stwierdza: „W marcu 1895 roku dom Geyera spłonął, a w pożarze zginęła jego ukochana żona Martha i ich jedyne dziecko, dwunastoletnia dziewczynka o imieniu Esther” (202).

348. „Holmes ma wielką skłonność...”: Geyer, 54

348. „Holmes twierdził...”: *ibidem*, 53—57. W pierwszej części książki Geyera (13—172) są podane szczegóły oszustwa ubezpieczeniowego i zabójstwa Benjamina Pitezla. Jeszcze bliższe szczegóły można znaleźć w *Trial*.

349. „Koroner chciał...”: Geyer, 33—40

349. „Szkoda, że nie widziałaś...”: *ibidem*, 353—354 349. „Mamo, czy kiedykolwiek...”: *ibidem*, 355

349. „WŁASNOŚĆ H. H. HOLMESA...”: *ibidem*, 158

350. „nie jest to bardzo zachęcające...”: *ibidem*, 173

350. „Detektyw Geyer dotarł do Cincinnati...”: *ibidem*, 174. Na stronach 173—298 Geyer zrelacjonował swoje poszukiwania niemal dzień po dniu.

352. „Właściwie nie ma...”: *ibidem*, 174

353. „Nie byłem wówczas w stanie...”: *ibidem*, 180

354. „bardzo bogatym człowiekiem...”: *ibidem*, 188

355. „Mamy się tu dobrze...”: *ibidem*, 269—270 355. „Sądzę, że niedziela będzie...”: *ibidem*, 271

355. „Wydaje się, że bardzo...”: *ibidem*, 272 355. „najwyraźniej zrozpaczone...”: *ibidem*, 190

356. „Holmes mówił, że Howard to...”: *ibidem*, 189
 356. „coś mi mówiło, że...”: *ibidem*, 190.
 357. „jak skonstatował Geyer ze zdumieniem...”: *ibidem*, 213–214
 357. „Powiedzcie mamie, że...”: przedruk Franke, 223–224
 357. „Kiedy to biedne dziecko...”: Geyer, 258
 357. „Howarda teraz z nami...”: Franke, 224

Więzienie Moyamensing

358. „Wielkie upokorzenie...”: Mudgett, 215
 358. „zachować zegarek...”: *ibidem*, 216
 359. „Chodźcie ze mną, jeśli...”: *ibidem*, 5
 359. „Jedną z typowych cech...”: *Diagnostic*, 646, Karpman, 499, Silverman, 21, 28, 32–33
 359. „dziennik więzienny...”: Mudgett, 210. Ten „dziennik” pojawia się na stronach 211–221.
 360. „Dbałem o te dzieci, jakby...”: przedruk w Geyer, 163–171

Lokator

361. „W niedzielę 7 lipca...”: Geyer, 214
 363. „Miałem wrażenie, że to zbyt piękne...”: *ibidem*, 230
 363. „Wystarczył niewielki dołek...”: „Philadelphia Public Ledger”, 5 sierpnia 1895 roku
 364. „Unieśliśmy ją najdelikatniej...”: Geyer, 233
 364. „stopy Nellie zostały...”: Schechter, 224
 365. „Powiedziałem jej, że...”: Geyer, 244 365. „Gdzie jest Nellie...”: *ibidem*, 245
 365. „jednym z najbardziej satysfakcjonujących...”: „Philadelphia Public Ledger”, 5 sierpnia 1895 roku 365. „Trudno o większe zaskoczenie...”: *ibidem*, 245
 365. „Czy [Howard] został umieszczony w...”: Geyer, 251–252

Żywy trup

367. „W Filadelfii...”: Próba zaskoczenia Holmesa przez Barlowa została opisana w „Philadelphia Public Ledger”, 17 lipca 1895 roku.
 367. „Ledwie je otworzyłem...”: Mudgett, 226
 368. „geniusz wyjaśnień opuścił...”: „Philadelphia Public Ledger”, 17 lipca 1895 roku
 368. „Nie byłem w stanie znieść...”: Mudgett, 227
 368. „Uważam, że powinien Pan...”: Boswell i Thompson, 112–113

„Te męczące dni”

370. „Liczba tajemniczych osób...”: Geyer, 268

370. „Dni mijały, a ja...”: *ibidem*, 269

371. „podawał liczbę dwustu osób...”: Boswell i Thompson, 87, Franke, 109

371. „Chicagowscy detektywi...”: Przeszukanie „zamku” Holmesa przeprowadzone przez policję Chicago było szczegółowo opisywane przez gazety w całym kraju. Patrz „Philadelphia Public Ledger”, 22, 25, 26, 27, 29, 30 lipca 1895 roku, „Chicago Tribune”, 17, 21, 23, 25, 27, 28, 29 lipca, 18 sierpnia 1895 roku, „New York Times” 25, 26, 29, 31 lipca 1895 roku.

372. „Czy widuje Pan duchy...”: „Chicago Tribune”, 26 lipca 1895 roku

372. „OFIARY SZATANA głosił...”: „Chicago Tribune”, 20 lipca 1895 roku

373. „a wszystko...”: Geyer, 285

373. „Muszę wyznać, że nie...”: *ibidem*, 283–284

373. „Ta tajemnica wydadaje się...”: *ibidem*, 284

373. „Jaskinia Holmesa spalona...”: „Chicago Tribune”, 9 sierpnia 1895 roku

373. „Do poniedziałku...”: Geyer, 285

374. „Nie powierzono mi wynajmu...”: *ibidem*, 286

374. „Cały trud...”: *ibidem*, 287

374. „uważa, że gaz nie jest...”: *ibidem*, 301

375. „dużą, zwęgloną masę...”: *ibidem*, 297

375. „największy skarb Howarda...”: *ibidem*, 300

Premedytacja

376. „Dnia 12 września 1895 roku...”: Szczegóły na temat aktów oskarżenia z Filadelfii, Indianapolis i Toronto — patrz „Philadelphia Public Ledger”, 13 września 1895 roku

376. „Na zakończenie chciałbym...”: Mudgett, 255–256

377. „To wielkie upokorzenie...”: cytaw „Literary Digest”, tom 11, numer 15 (1896), 429–377. „Chicagowskie »upokorzenie« nie było...”: *ibidem*

377. „Jednym z najbardziej zaskakujących...”: „Chicago Tribune”, 30 lipca 1895 roku

377. „Jest on cudownym dzieckiem zła...”: Schechter, 228

EPILOG: OSTATNIA PRZEPRAWA

Wystawa

381. „Ojciec Walta Disneya...”: Mosley, 25–26, Schickel, 46

381. „pisarz L. Frank Baum...”: Adams, 115, Updike, 84–85

381. „Japońska świątynia...”: Miller, 549 381. „Wystawa skłoniła...”: Jahn, 22
381. „Nawet Lincoln Memorial...”: Sukces wystawy zwiększył prestiż Burnhama i pomógł mu się dostać do komisji federalnej, której powierzono budowę tego budynku. Jego własne oddanie stylowi klasycznemu zaczęło się wówczas chwiać. Patrz strona 389 i odpowiadający jej przypis poniżej. Patrz również Hines, 154–157.
382. „nasz naród z pustyni...”: Moore, *McKim*, 245 382. „możliwości komunalnego piękna...”: Hines, 120
382. „William Stead natychmiast...”: Whyte, 53
382. „Zwracały się do Burnhama z prośbą...”: Hines, 140, 180–183, 190–191. Patrz również Burnham i Bennett, *Plan*, Burnham i Bennett, *Report*, McCarthy, „Chicago Businessmen”
382. „Pomagając przy opracowywaniu nowego planu...”: Hines, 148–149
382. „Inne miasta również zwracały się do...”: Hines, 347
383. „Jeśli ci powiem...”: Crook, 112. Cała praca jest wspaniałą, choć suchą relacją z upadku Sullivana po zamknięciu wystawy — suchą, ponieważ jest to dysertacja doktorska.
383. „Louis Sullivan przyszedł...”: Hines, 232
383. „Danielowi H. Burnhamowi...”: *ibidem*
384. „chorobą zakaźną...”: Sullivan, Louis, 321, 324 384. „wirusem...”: *ibidem*, 324
384. „postępującego zapalenia...”: *ibidem*
384. „W ten sposób architektura zmarła...”: *ibidem*, 325
384. „Zarówno Harvard, jak i Yale...”: Hines, 125
384. „Musi wiedzieć, że...”: *ibidem*, 254, 263
385. „Do chwili jego śmierci...”: Daniel Burnham, *Biography of Daniel Hudson Burnham of Chicago*, dokumenty, mowy, artykuły i materiały do książki Moorea, Burnham 1921, korekty i szkice biograficzne
385. „Wielu kwestionowało pogląd...”: Ellsworth do Moorea, 8 lutego 1918 roku, dokumenty, mowy, artykuły i materiały do książki Moorea, korespondencja Burnhama, 1848–1927, pudło 13, teczka 2
385. „W 1901 roku...”: Hines, 288
385. „Z dwudziestu siedmiu budynków...”: Lowe, 122
385. „Aż do naszych czasów...”: Hines, 351
386. „Sądziłem, że wystawa...”: Burnham do Margaret, 7 kwietnia 1894 roku, Archiwum Burnhama, Korespondencja rodzinna, pudło 25, teczka 5
386. „Gdybym miał dość czasu...”: Edward H. Bennett, *Opening of New Room for the Burnham Library of Architecture*, 8 października 1929 roku, Archiwum Burnhama, pudło 76

386. „Zobaczycie je pięknym...”: niedatowana biografia, Archiwum Burnhama, pudło 28, teczka

2

Łabędzi śpiew

387. „Dziś, po raz pierwszy...”: Olmsted, 10 maja 1895 roku 387. „Latem, ostatniego dnia...”: Stevenson, 424

387. „najbardziej gorzkim tygodniu...”: Rybczyński, *Clearing*, 407

387. „Nie potrafisz sobie wyobrazić...”: *ibidem*

387. „Bił trzymanego przez rodzinę...”: Roper, 474

388. „Nie przestrzegali mojego...”: *ibidem*

388. „Mary, jego żona...”: Rybczyński, *Clearing*, 411

388. „Jesienią 1896 roku...”: Anderson, 75

388. „Dnia 17 listopada 1896 roku...”: *ibidem*, 77

388. „Prośba pani Ferris o...”: *ibidem*, 75

388. „Żle ocenił swoją wytrzymałość...”: *ibidem*, 75

388. „W 1903 roku firma...”: Szczegóły na temat losu Koła Ferrisa — patrz Anderson, 77–81

389. „Ale jedna rzecz była całkiem jasna...”: Bloom, 143

389. „Wystawa przyniosła Buffalo Billowi...”: Carter, 376, Monaghan, 422

389. „Zmarł w Denver...”: Monaghan, 423

390. „Poszedłem do parku Jacksona...”: Lingeman, 114

390. „Tak wiele dla mnie znaczy...”: Hines, 266–267

391. „Nikt nie powinien być skazywany...”: Prendergast do Alfreda Trude'a (list jest datowany na 21 lutego 1893 roku, ale data jest ewidentnie błędna, gdyż został napisany już po skazaniu Prendergasta — adres zwrotny to wiezienie hrabstwa Cook), Archiwum Trude'a.

391. „nieszczęsnym obłąkanym...”: Darrow, 425

391. „Żał mi wszystkich ojców i matek...”: Weinberg, 38

391. „Część ubrań wrzucili...”: Darrow, 228

391. „W Nowym Jorku...”: Według legendy, osławiona tancerka brzucha, nazywana Małym Egipcem, zadebiutowała na wystawie. Sol Bloom twierdził, że nigdy jej tam nie było (Bloom, 137), z kolei Donna Carlton w książce *Looking for Little Egypt* pisze, że możliwe, że jednak była, ale wiele tancerek używało takiego pseudonimu. Niektóre źródła twierdzą również, że Mały Egipt nazywała się Farida Mazhar (istnieje co najmniej pięć różnych pisowni tego nazwiska — ja wybrałam taką). Carlton twierdzi również, że Mały Egipt „zapewne występowała” (74) w Zakątku Uciech, i cytuje źródło, które utrzymuje, że Farida wierzyła, że „tytuł Małego Egiptu jej się należy”. George Pángalos, impresario, który sprowadził Ulicę Kairską do Zakątku Uciech, oświadczył publicznie, że zatrudnił

Maznar, żeby tańczyła w Zakątku Uciech, i że uważano ją za jedną z najlepszych tancerek w Kairze. A dziennikarka Teresa Dean opisuje wizytę w teatrze na Ulicy Kairskiej, gdzie widziała „Faridę, śliczną dziewczynę, która strasznie się wygina” (157). Wiadomo, że kilka lat po wystawie młoda kobieta używająca pseudonimu Mały Egipt wynurzyła się z tortu w Nowym Jorku podczas wieczoru kawalerskiego, który stał się tak słynny, że nazywano go Okropnym Bankietem Seeleya. Organizatorem przyjęcia był Herbert Barnum Seeley, siostrzeniec nieżyjącego już P. T. Barnuma, który wydał to przyjęcie na cześć swojego brata, Clintona Barnuma Seeleya (Carlton, 65).

Holmes

392. „Z jego ust sączył się czerwony płyn...”: *Trial*, 117
392. „Chciałbym prosić...”: *ibidem*, 124
392. „Wyraz jego twarzy...”: „Philadelphia Public Ledger”, 31 października 1895 roku
393. „Widziałam je w kostnicy...”: *Trial*, 297
393. „najniebezpieczniejszym człowiekiem...”: Schechter, 315
393. „To, że zamierzał zamordować...”: Geyer, 317
393. „Jestem przekonany...”: „Philadelphia Inquirer”, 12 kwietnia 1896 roku
393. „Tak je zostawiłem...”: *ibidem*
394. „Niech stanie się jasne...”: *ibidem*
394. „Jego adwokaci odrzucili...”: Franke, 189
394. „Wistar Institute...”: „Philadelphia Inquirer”, 10 maja 1896 roku
394. „Ten człowiek był kimś...”: *ibidem*
394. „Nie spiesz się...”: „Philadelphia Inquirer”, 8 maja 1896 roku. „Philadelphia Public Ledger” z tego samego dnia podaje nieco inną wersję: „Nie ma się co spieszyć, Alee. Spokojnie”.
394. „Holmes najwyraźniej chciał...”: „Philadelphia Inquirer”, 8 maja 1896 roku
394. „Po pochówku Holmesa...”: Tę relację zaczerpnąłem głównie z wycinków prasowych zebranych w formie załącznika do wspomnień Holmesa. Patrz Mudgett, po 256. Schechter ładnie streszcza te dziwne wydarzenia na stronach 333–337.
395. „Grób Hermana Webstera...”: obserwacja własna.
395. „W 1997 roku...”: Stewart, 70

Na pokładzie *Olympic*

396. „Alejatowiem...”: Burnham do Milleta, 12 kwietnia 1912 roku, dokumenty, mowy, artykuły i materiały do książki Moore’a, Korespondencja Burnhama, 1848–1927, pudło 13, teczka 1
396. „SZANOWNY PAN F. D. MILLET...”: koperta, 11 kwietnia 1912 roku, *ibidem* 396. „Budowniczy obu liniowców...”: Lynch, 159

- 397. „Sądzę, że to nic...”: Whyte, 314
- 397. „Frank Millet, którego kochałem...”: Hines, 359
- 397. „Kiedy wraz z rodziną...”: Hines, 360, 433
- 397. „Oboje są pochowani w...”: obserwacja własna. Patrz również Hucke i Bielski, 13–30

Bibliografia

- Abbot, Willis John, *Carter Henry Harrison: A Memoir*, Dodd, Mead, 1895.
- Adams, Henry, *The Education of Henry Adams*, Modern Library, 1999 (1918).
- Adams, Rosemary, *What George Wore and Sally Didn't*, Chicago Historical Society, 1998.
- Anderson, Norman D., *Ferris Wheels: An Illustrated History*, Bowling Green State University Popular Press, 1992 (Chicago Historical Society). Badger, Reid, *The Great American Fair*, Nelson Hall, 1979. Baker, Charles, *Life and Character of William Taylor Baker, President of the World's Columbian Exposition and of the Chicago Board of Trade*, Premier Press, 1908. Baker, Paul R., *Richard Morris Hunt*, MIT Press, 1980. Bancroft, Hubert Howe, *The Book of the Fair*, Bancroft Co., 1893. Barnes, Sisley, *George Ferris' Wheel The Great Attraction of the Midway Plaisance*, „Chicago History”, torn 6, nr 3, 1977 (Chicago Historical Society). Besant, Walter, *A First Impression*, „Cosmopolitan”, torn 15, nr 5 (wrzesień 1893). Bloom, Sol, *The Autobiography of Sol Bloom*, G. P. Putnam's Sons, 1948. Bogart, Ernest Ludlow; Mathews, John Mabry, *The Modern Commonwealth, 1893—1918*, Illinois Centennial Commission, 1920. Boswell, Charles; Thompson, Lewis, *The Girls in Nightmare House*, Fawcett, 1955. Boyesen, Hjalmar Hjorth, *A New World Fable*, „Cosmopolitan”, torn 16, nr 2 (grudzień 1893). Brinnin, John Malcolm, *The Sway of the Grand Saloon*, Delacorte Press, 1971. Burg, David E, *Chicago's White City of 1893*, University of Kentucky Press, 1976. Burnham, Daniel H., *Archiwum*, 1943.1, seria I—IX, Art Institute of Chicago.
- *The Design of the Fair. Raport*, Archiwum Burnhama, pudło 58.
 - *The Final Official Report of doe Director of Works ofée World's Columbian Exponention*, Garland, 1989. Burnham, Daniel H.; Bennett, Edward H., *Plan of Chicago*, Da Capo Press, 1970 (1909).
 - *Report on a Plan for San Francisco*, Urban Books, 1971 (1906).
- Burnham, Daniel H.; Millet, Francis Davis, *The Book of the Builders*, Columbian Memorial Publication Society, 1894.

- Carlton, Donna, *Looking for Little Egypt*, IDD Books, niedatowane.
- Carter, Robert A., *Buffalo Bill Cody: The Man Behind the Legend*, John Wiley & Sons, 2000.
- Catalogue of 200 Residence Lots*, Chicago Real Estate Exchange, 1881 (Chicago Historical Society).
- *Report of the Superintendent of Police*, [w:] *Fourth Annual Message of Edwin S. Stuart, Mayor of the City of Philadelphia* (za rok zakończony 31 grudnia 1895). Free Library of Philadelphia. Cleckley, Hervey, *The Mask of Sanity*, C. V. Mosby, 1976. Commager, Henry Steele, *The American Mind*, Yale University Press, 1950. Crook, David Heathcote, *Louis Sullivan, The Worlds Columbian Exposition and American Life*, praca nieopublikowana, Harvard University, 1963. Darrow, Clarence, *The Story of My Life*, Charles Scribner's Sons, 1934. Dean, Teresa, *White City Chips*, Warren Publishing Co., 1895 (Chicago Historical Society). Dedmon, Emmett, *Fabulous Chicago*, Atheneum, 1981. *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*, wydanie czwarte, American Psychiatric Association. Douglas, John; Olshaker, Mark, *The Anatomy of Motive*, Pocket Books, 1999.
- *The Cases That Haunt Us*, Scribner, 2000.
- Downey, Dennis B., *A Season of Renewal: The Columbian Exposition and Victorian America*, Praeger, 2002. Dreiser, Theodore, *Journalism*, red. T. D. Nostwich, tom 1, University of Pennsylvania Press, 1988.
- *Siostra Carrie*, przekład Zofia Popławska, wydanie piąte, Wydawnictwo Poznańskie, 1978. Dybwad, G. L.; Bliss, Joy V., *Chicago Day at the Worlds Columbian Exposition*, The Book Stops Here (Albuquerque), 1997. Eaton, John P.; Haas, Charles A., *Falling Star*, W. W. Norton, 1990. Eckert, Alan W., *The Scarlet Mansion*. Little, Brown, 1985.
- The Englewood Directory*, George Amberg & Co., 1890 (Chicago Historical Society). Ferris, George Washington Gale, Archiwum, Chicago Historical Society. Flinn, John, *Official Guide to the World's Columbian Exposition*, Columbian Guide Co., 1893. Franke, David, *The Torture Doctor*, Hawthorn Books, 1975. Geyer, Frank P., *The Holmes—Pitezal Case*, Frank P. Geyer, 1896.
- Gilbert, James, *Perfect Cities: Chicago's Utopias of 1893*, University of Chicago Press, 1991. Gladwell, Malcolm, *The Social Life of Paper*, „New Yorker”, 25 marca 2002 roku. Hales, Peter, *Constructing the Fair. Platinum Photographs by C. D. Arnold*, Art Institute of

Chicago, 1993. Hall, Lee, *Olmsted's America*, Little, Brown, 1995. Hawthorne, Julian, *Foreign Folk at the Fair*, „Cosmopolitan”, torn 15, nr 5 (wrzesień 1893).

Hendrickson, Walter B., *The Three Lives of Frank H. Hall*, „Journal of the Illinois State Historical

Society”, torn 49, nr 3 (jesień 1956). Herrick, Robert, *The Web of Life*, Grosser & Dunlap, 1900. Hines, Thomas S., *Burnham of Chicago*, Oxford University Press, 1974. Hollingsworth, Adelaide, *The Columbia Cook Book*, Columbia Publishing Co., około 1893. Hoyt, Homer, *One Hundred Years of Land Values in Chicago*, University of Chicago Press, 1933. Hucke, Matt, i Bielski, Ursula, *Graveyards of Chicago*, Lake Claremont Press, 1999. Ingalls, John J., *Lessons of the Fair*, „Cosmopolitan”, torn 16, nr 2 (grudzień 1893). Jablonsky, Thomas J., *Pride in the Jungle: Community and Everyday Life in Back of the Yards*

Chicago, Johns Hopkins University Press, 1993. Jahn, Raymond, *Concise Dictionary of Holidays*, Philosophical Library, 1958. Johnson, Claudius O., *Carter Henry Harrison 1: Political Leader*, University of Chicago Press, 1928. Karpman, Ben, *The Problem of Psychopathies*, „Psychiatrie Quarterly”, tom 3 (1929). Kiler, Charles Albert, *On the Banks of the Boneyard*, Illinois Industrial University, 1942. Kipling, Rudyard, *Chicago. Kipling's Works*, „Sahib Edition”, torn 6 (niedatowany), zbiory autora. Lewis, Arnold, *An Early Encounter with Tomorrow*, University of Illinois, 1997. Lingeman, Richard, *Theodore Dreiser*, G. P. Putnam's Sons, 1986. Lowe, David, *Lost Chicago*, Houghton Mifflin, 1975. Lynch, Don, *Titanic: An Illustrated History*, Hyperion, 1992. Masters, Edgar Lee, *The Tale of Chicago*, G. P. Putnam's Sons, 1933. May, Arthur J., *The Archduke Francis Ferdinand in the United States*, „Journal of the Illinois

State Historical Society”, torn 39, nr 3 (wrzesień 1946). McCarthy, Michael P., *Chicago Businessmen and the Burnham Plan*, „Journal of the Illinois State

Historical Society”, torn 63, nr 3 (jesień 1970). — *Should We Drink the Water? Typhoid Fever Worries at the Columbian Exposition*, „Journal of

the Illinois State Historical Society”, torn 86, nr 1 (wiosna 1993). McGoorty, John P., Archiwum, Chicago Historical Society.

Meehan, Pat., *The Big Wheel*, „University of British Columbia Engineer”, torn 5 (1965). *Merck's Manual of the Materia Medica*, Merck & Co., 1899. Miasto Filadelfia, *Report of the Superintendent of Police*, [w:] *First Annual Message of Charles E*

Warwick, Mayor of the City of Philadelphia (za rok zakończony 31 grudnia 1894), Free

Library of Philadelphia. Milion, Theodore, et al., *Psychopathy: Antisocial, Criminal, and Violent Behavior*, Guilford

Press, 1998. Miller, Donald L., *City of the Century*, Simon & Schuster, 1996. Millet, E D., *The Decoration of the Exposition*, „Harper's”, torn 12, nr6 (grudzień 1892).

- Monaghan, James, *The Stage Career of Buffalo Bill*, „Journal of the Illinois State Historical Society”, torn 31, nr 4 (grudzień 1938). Monroe, Harriet, *A Poet's Life*, Macmillan, 1938.
- *John Wellborn Root: A Study of His Life and Work*, Prairie School Press, 1896. Moore, Charles, wywiad z Burnhamem, Archiwum Burnhama, 1943.1, Worlds Columbian Exposition, pudło 59.
- *Daniel H. Burnham, Architect, Planner of Cities*, tom 1 i 2. Houghton Mifflin, 1921.
- *The Life and Times of Charles Folien McKim*, Da Capo, 1970 (1929). —Archiwum, Library of Congress.
- Morgan, H. Wayne, „No, Thank You, I've Been to Dwight”: *Reflections on the Keeley Cure for Alcoholism*, „Illinois Historical Journal”, torn 82, nr 3 (jesień 1989).
- Morrison, Hugh, *Louis Sullivan: Prophet of Modern Architecture*, W. W. Norton, 1998.
- Mosley, Leonard, *Disney's World*, Scarborough House, 1990.
- Muccigrosso, Robert, *Celebrating the New World: Chicago's Columbian Exposition of 1893*, Ivan R. Dee, 1993.
- Mudgett, Herman W, *Holmes' Own Story*, Burk & McFetridge, 1895 (Library of Congress).
- Olmsted, Frederick Law, *The Landscape Architecture of the World's Columbian Exposition*, „Inland Architect and News Record”, tom 22, nr 2 (wrzesień 1893).
- Archiwum, Library of Congress.
- *Report on Choice of Site of the World's Columbian Exposition*, przedruk w Tager, Jack, i Goist, Park Dixon, *The Urban Vision*, Dorsey Press, 1970. Papke, David Ray, *The Pullman Case*, University Press of Kansas, 1999. Pierce, Bessie Louise, *A History of Chicago*, torn 3, Alfred A. Knopf, 1957. Pierce, Bessie Louise (red.), *As Others See Chicago: Impressions of Visitors, 1673–1933*, University of Chicago Press, 1933. Polacheck, Hilda Satt, / *Came a Stranger: The Story of a Hull–House Girl*, red. Dena J. Polacheck Epstein, University of Illinois Press, 1991. Poole, Ernest, *Giants Gone: Men Who Made Chicago*, Whittlesey/McGraw–Hill, 1943. *Rand McNally & Co. 's Handbook to the World's Columbian Exposition*, Rand, McNally, 1893. Rice, Edmund, *Report of the Columbian Guard. World's Columbian Exposition, Chicago, 1894* (Chicago Historical Society).
- Roper, Laura Wood, *FLO: A Biography of Frederick Law Olmsted*, Johns Hopkins, 1973. Rybczyński, Witold, *A Clearing in the Distance: Frederick Law Olmsted and America in the 19* Century*, Touchstone/Simon & Schuster, 1999.
- *The Look of Architecture*, New York Public Library/Oxford University Press, 2001.
- Sandweiss, Eric, *Around the World in a Day*, „Illinois Historical Journal”, torn 84, nr 1 (wiosna 1991).

Schechter, Harold, *Depraved*, Pocket Books, 1994.

Schickel, Richard, *The Disney Version*, Simon & Schuster, 1968.

Schlereth, Thomas J., *Victorian America: Transformations in Everyday Life, 1876–1915*, HarperCollins, 1991. Schuyler, Montgomery, *American Architecture and Other Writings*, tom 2, Belknap Press/Harvard University Press, 1961. Shaw, Marian, *World's Fair Notes: A Woman Journalist Views Chicago's 1893 Columbian Exposition*, Pogo Press, 1992 (Chicago Historical Society). Silverman, Daniel, *Clinical and Electroencephalographic Studies on Criminal Psychopaths*, „Archives of Neurology and Psychiatry”, tom 30, nr 1 (lipiec 1943). Sinclair, Upton, *Trzęsawisko*, przekład Antonina Brzozowska, Wydawnictwo „Przeglądu Społecznego”, Warszawa 1907. Smith, F. Hopkinson, *White Umbrella at the Fair*, „Cosmopolitan”, tom 16, nr 2 (grudzień 1893). Snikevitch, Alice (red.), *AIA Guide to Chicago*, Harvest/Harcourt Brace, 1993. Starrett, Paul, *Changing the Skyline*, Whittlesey House, 1938. Steeples, Douglas; Whitten, David O., *Democracy in Desperation: The Depression of 1893*, Greenwood Press, 1998. Stevenson, Elizabeth, *Park Maker: A Life of Frederick Law Olmsted*, Macmillan, 1977. Stewart, James, *The Bench: A Murderer's Plea*, „New Yorker”, 18 września 2000 roku. Sullivan, Gerald E. (red.), *The Story of Englewood 1835–1923*, Englewood Business Mens Association, 1924. Sullivan, Louis H., *The Autobiography of an Idea*, Dover Publications, 1956 (1924). *A Synoptical History of the Chicago Fire Department. Benevolent Association of the Paid Fire Department*, Chicago, 1908 (Chicago Historical Society). Taylor, D. C., *Halcyon Days in the Dream City*, 1894 (Chicago Historical Society). *The Trial of Herman WMudgett, Alias, H H. Holmes*, George T. Bisel, 1897. Tierney, Kevin, *Darrow. A Biography*, Thomas Y. Crowell, 1979. *Town of Lake Directory*, George Amberg and Co., 1886 (Chicago Historical Society). Trude, Daniel P., Archiwum, Chicago Historical Society. Ulrich, Rudolf, *Report of Superintendent. Landscape, Road and Miscellaneous Departments*, Archiwum Burnhama, 1943.1, pudło 58. Updike, Johi, *Oz Is Us*, „New Yorker”, 25 września 2000 roku. Wade, Louise Carroll, *Chicago's Pride: The Stockyards, Packingtown, and the Environs in the Nineteenth Century*, University of Illinois Press, 1987. Weimann, Jeanne Madeline, *The Fair Women*, Academy Chicago, 1981. Weinberg, Arthur (red.), *Attorney for the Damned*, Simon & Schuster. 1957.

Wheeler, Candace, *A Dream City*, „Harper's”, torn 86, nr 516 (maj 1893).

The World's Fair, Being a Pictorial History of the Columbian Exposition, Chicago Publication and

Lithograph, 1893 (Chicago Historical Society). *The White Star Triple Screw Atlantic Liners, Olympic and Titanic. Ocean Liners of the Past*, Patrick

Stephens, Cambridge, 1983. Whyte, Frederic, *The Life of W T. Stead*, tom 2, Houghton Mifflin, 1925. Wilson, Robert L., *The Infanta at the Fair*, „Journal of the Illinois State Historical Society”,

torn 59, nr 3 (jesień 1966). Wish, Harvey, *The Pullman Strike: A Study in Industrial Warfare*, „Journal of the Illinois State

Historical Society”, torn 32, nr 3 (wrzesień 1939). Wolman, Benjamin B. (red.), *International Encyclopedia of Psychiatry, Psychology, Psychoanalysis,*

and Neurology, torn 10, Aesculapius Publishers /Van Nostrand, 1977. Wyckoff, Walter A., *The Workers: An Experiment in Reality*, Charles Scribner's Sons, 1899.

Podziękowania

*J*est to moja trzecia książka przygotowana dla wydawnictwa Crown Publishers z pomocą Betty Prashker, która jeszcze raz dowiodła, że jest jednym z najlepszych redaktorów w Nowym Jorku — pewnym siebie, przekonującym, dającym wsparcie. Każdy pisarz potrzebuje wsparcia, a ona hojnie mi go udzielała. Wsparcia potrzebuje również każda książka, a wspaniały zespół z wydawnictwa Crown pomógł mojemu dziełu dotrzeć do wielu czytelników. Chciałbym tu szczególnie podziękować Stevemowi Rossowi, wydawcy, Andrewowi Martinowi, Joan DeMayo i Tinie Constable, geniuszom promocji, oraz Penny Simon, doświadczonej rzeczniczce prasowej, o jakiej marzy większość twórców.

Doświadczyłem również błogosławieństwa posiadania genialnego agenta, Davida Blacka, którego instynkt, jeśli chodzi o teksty — i doskonałe wino — jest niezrównany. I który jest równocześnie wspaniałym człowiekiem.

Wszyscy członkowie mojej rodziny dokładali starań, żeby utrzymać mnie przy zdrowych zmysłach. Nie napisałbym tej książki bez pomocy mojej żony, Christine Gleason, lekarki z zawodu, a jednocześnie urodzonej redaktorki. Jej zdanie było mi drogowskazem. Nasze trzy córki udowodniły mi, co się liczy naprawdę. A mój pies — że nic się nie liczy oprócz kolacji.

Maszynopis zgodziło się przeczytać dwoje moich przyjaciół pisarzy. Udzielili mi wielu mądrych wskazówek krytycznych. Robin Marantz Henig przysłał mi dwanaście stron drobniawych uwag — z większości z nich skorzystałem. Carrie Dolan, jedna z najlepszych i najzabawniejszych pisarek, jakie znam, przedstawiła swoje uwagi krytyczne w taki sposób, że wyglądały jak komplementy. Posiada w tym zakresie talent, jakiego brakuje wielu redaktorom.

Dziękuję również doktorowi Jamesowi Raneyowi, psychiatrze i biegłemu sądownemu z Seattle, za przeczytanie maszynopisu książki i zdiagnozowanie

choroby psychicznej, na którą najprawdopodobniej cierpiał Holmes. Gunny Harboe, architekt z Chicago, który kierował restauracją dwóch nadal istniejących budynków autorstwa Burnhama i Roota — Reliance i Rookery — oprowadził mnie po nich i pokazał mi bibliotekę Burnhama, której przywrócono jej oryginalne ciepło.

Na koniec słówko o samym Chicago: wiedziałem niewiele o tym mieście, kiedy zaczynałem pracę nad książką. Miejsce akcji jest dla mnie zawsze bardzo ważne, a dzisiejsze Chicago ma równie silną osobowość jak to z 1893 roku. Zakochałem się w tym mieście, w ludziach, których tam poznałem, a przede wszystkim w jeziorze i jego nastrojach, które zmieniają się radykalnie w zależności od pory roku, a często nawet z dnia na dzień i z godziny na godzinę.

Muszę wam się zwierzyć ze wstydlivej tajemnicy: kocham Chicago najbardziej, kiedy jest tam zimno.

Źródła fotografii

Strona 3: Rascher Publishing Company. Chicago Historical Society (ICHi—31608).

Wyklejka: Rand, McNally and Art Institute of Chicago (za zgodą Art Institute of Chicago).

Strona 15: *World's Columbian Exposition Photographs by C. D. Arnold*, Ryerson and Burnham Archives, The Art Institute of Chicago (za zgodą Art Institute of Chicago).

Strona 23: Chicago Historical Society (ICHi—21795).

Strona 123: *World's Columbian Exposition Photographs by C. D. Arnold*, Ryerson and Burnham Archives, The Art Institute of Chicago (za zgodą Art Institute of Chicago).

Strona 243: Zdjęcie autorstwa Williama Henry'ego Jacksona. Chicago Historical Society (ICHi—17132).

Strona 347: ©Bettman/CORBIS.

Strona 381: Chicago Historical Society (ICHi—25106).

Strona 401: Chicago Historical Society (ICHi—17124).

INDEKS

- Ackelov, Herman 354, 355, 356
Adams Express Company 88, 215
Adams, Henry 18, 297, 443
Adams, pani, C. A. (pseud.) 361
Addams, Jane 18, 23, 221, 247, 424
Adler, Dankmar 43, 90, 94, 95, 115, 116, 330, 383
After the Ball 323
Agnew&Co. 150
Agnew, Francis 187, 188
Aheze (z Amazonii) 322
alkoholizm, lekarstwa na
98,104,171,172,208,416
Allerton, Samuel W. 223
Altgeld, John P. 336
America 287, 339
Anthony, Susan B. 18, 293, 294
Archie (Algierczyk) 183
architektura
— drapaczy chmur 36, 70
— dwudziestowieczne debaty 383
— forma wynikająca z funkcji 38, 116
— fundamenty 38, 80, 140, 155, 408
— kamienne piramidy 38, 39
— krajobrazu 63, 66, 126
— miast 17,27,38,39,43,47,
58,66,406,409
— mostów 28, 35, 37, 88, 124, 149, 182,
204
— naśladownictwo 384
— natura i funkcja 182
— problem z nośnością gruntu 37, 139
— projektowanie akustyki 43
— projekty „preriowe” 381
— ruszt 39, 139, 155,203
— stalowy szkielet nośny 39
— szkoła chicagowska 39, 117, 189, 383
— wynalazki 255
— wystawy, patrz: Światowa Wystawa
Kolumbijska Armbrust, J. 363, 364
Armour, Philip 18, 34, 40, 219, 339,
397 Armstrong, Maitland 13 Arnold, C.
W. 135
Arnold, Charles Dudley 168, 187, 285,
341, 444,451
Astor 218, 219
Atwood, Charles B. 130, 131, 385, 412
Bacon, Henry 396
Baker, Ray Stannard 341
Baker, William 141, 144, 145, 151, 168,
169, 413
bakteriologia 148
Barber, O. Z. 338
Baring Brothers & Co. 73
Barlow, Thomas W. 367, 368, 436
Barnum, P.T. 132,412,440
Barrows, wielebny doktor, J. H. 338
Baum, L. Frank 381, 437
Belknap, Jonathan 98, 99, 100, 101
Belknap, Myrta Z. 75,213
Bellamy, Francis J. 191
Beman, Solon S. 90, 184
Berkler, Joseph E. 102
Berry, John 259
Bertillon, Alphonse 132
Besant, sir Walter 290, 443
Biltmore, posiadłość 92, 128, 282, 330
Black, wielebny doktor W. C. 210, 332
Bloom, Sol 143, 146, 147, 150, 151, 169,
170,179, 182, 183, 189,217, 218, 244,
322, 389,439,443
Bond, Alexander (pseud.) 213
Borden, Lizzie 24
Boston — aresztowanie Holmesa w 347,
393, 402, 406

Bowman, George 80, 81
Boyington, W. W. 117,410
bractwa wolnomularskiego, budynek 70, 221,
224, 266, 426
Brady, Diamond Jim 293
Braille, wynalazek 293
Brooks, Peter Chardon III 38, 39
Burbank, Lucy 371
Burlington w stanie Vermont, Holmes w 347,
351,352
Burnham, Daniel Hudson 11, 13, 15, 16, 17, 18,
19, 27, 28, 32, 33, 34, 35, 38,39,40,41,
43,44, 46, 47,61,64,65, 66, 67,69, 70, 72, 73,
74, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 105,
106, 107, 108, 110, 115, 116, 117, 118, 119, 120,
123, 125, 129, 130, 131, 138, 139, 140, 141,
142, 143, 144, 145, 146, 148, 149, 150, 151,
152, 153, 154, 155, 163, 164, 165, 166, 167,
168, 169, 177, 178, 180, 183, 184, 185, 186,
188, 189, 190, 191, 202, 203, 206, 207, 215,
219, 221, 222, 227, 228, 229, 230, 231, 232,
233, 234, 235, 236, 237, 238, 243, 245, 247,
248, 249, 250, 260, 261, 263, 266, 279, 280,
285, 286, 287, 290, 293, 296, 301, 308, 309,
310, 311, 312, 313, 321, 322, 328, 330,335,
338, 339, 382, 383, 384, 385, 396,397,401
Burnham, Daniel (syn) 384
Burnham, Frank P. 286, 444
Burnham, Margaret Sherman 16, 35
Burnham & Root
– drapacze chmur 38
– jako główni projektanci wystawy 119
– Kamienna Brama 35 rywalizacja 116
współpraca 27, 32, 33, 36, 41
CampbeU, Hiram S. (pseud.)
79,84,98,214,331,332
Campbell–Yates Manufacturing Company
214
Capen, John L. 48, 49
Capp & Canty 300
Capp, William 300, 332
Carse, T. B. 70
Cassatt, Alexander 382

Catherwood, Mary Hartwell 297
Central Park w Nowym Jorku
62,63,66,168,178,388
Century Club w Chicago 45
Chalmers, William J. 337, 338
Chamberlin, George B. 332, 333
Chappell, Charles 81, 86, 104, 160, 161,
196, 200,265,372,414,415,426
Chemical National Bank w Chicago 247
Chicago & Alton Railroad 314
Chicago
– architekci 38, 43, 82, 87, 94, 106,
108, 115, 118, 123, 125, 126, 130, 180,
186,
– Auditorium Building 43, 44, 47,
132, 223, 226, 383
– bagno 47
– brud 38, 72, 140,331
– Club 40, 167
– domy publiczne 45
– drapacze chmur 27, 30, 36, 39, 59,
70, 76, 100, 129, 132, 193,226,266
– duma 29, 61,296
– górale 39
– Grannis Block 38, 42, 149
– House Wrecking Company 388
– Hull House 23, 221
– jako centrum przemysłu 29, 43
– latarnie gazowe 32
– Limited 24, 224, 273
– Miła Cudów 382
– młode kobiety przenoszące się do 18
– Montauk Block 30, 38, 39
– nieruchomości 58, 251
– okazje 42, 68
– Pętla 36, 58, 59, 68, 82, 342, 385,
394
– plany urbanistyczne 382
– pociągi 23, 24
– polityka 72
– populacja 58
– pożary 24, 29, 33, 42, 58, 66, 71,
149, 202, 240, 285, 286, 308, 310, 312,
314, 342, 395

– problemy z nośnością gruntu 37, 139
– przedmieścia 58
– restauracja Kinsley's 43
– Rookery 27, 30, 42, 46, 107, 115, 117, 123, 125, 126, 127, 128, 129, 132, 164, 221, 260, 342, 385, 450
– rowerowe szaleństwo 86
– ruch robotniczy 342
– upadek banków 248, 250, 296
– Wietrzne Miasto 328
– wystawa światowa w, patrz: Światowa Wystawa Kolumbijska
– występki i rozpusta 49
– zagrody i rzeźnie 58, 273
„Chicago Tribune” 23, 26, 28, 40, 55, 73, 143, 163, 221, 271, 315, 319, 342, 373, 402
chicagowska szkoła architektury 39, 117, 189, 383
chrupki zbożowe 17, 381
Cigrand, B.J. 175, 200
Cigrand, Emeline
172, 196, 197, 198, 212, 372, 393
Cigrand, Peter 200, 212, 395
Cincinnati, poszukiwanie dzieci 132, 350, 351, 352, 353, 356
Clecldey, Hervey 100, 420
Clemmons, Katherine 389
Cleveland, Grover 239, 243, 244, 245, 246, 269, 342
Cleveland w Ohio, plany urbanistyczne 382
Cobb (architekt) 90
Codman, Henry Sargent, „Harry”
13, 64, 65, 66, 67, 118,
154, 177, 179, 181, 182, 189, 202, 204, 205
Cody, Louisa 232
Cody, William, „Buffalo Bill” 143, 232, 244, 258, 259, 294, 314
Cody w Wyoming, założenie 389
Columbia Cook Book (Hollingsworth) 220
Conan Doyle, sir Arthur 57, 175, 347
Conner, Gertrude 112, 133
Conner, Julia 156, 157, 403, 414, 426
Conner, Ned (Icilius) 111, 112, 133, 134, 136, 174, 197, 199

Conner, Pearl 372, 393, 414
Cook, Alex E. (pseud.) 351, 352
Cooling, WE 254
Corbett, James J. 315
Cotton, Sallie 297
Coughlin, Bathhouse John 222
Cowie, EG. 331, 332
Cracker Jack 17, 255
Cregier, DeWitt C. 29, 129
Crowe 157, 159
Cuddy, Alf 361, 363, 365
Cumberland Gap 30
Darrow, Clarence 18, 24, 129, 221, 293, 391
Davis, C. E. 84, 85
Davis, George R. 89, 120, 129, 141, 154, 167, 168, 169, 188, 236, 243, 245, 321, 322, 338
Davis, John 311
Davis, Richard Harding 18
De Young, Mike 146, 147, 150
Dean, Teresa 257, 340, 341, 440
Debs, Eugene 342
Decker, L. E. 327
Denslow, William Wallace 381
Depew, Chauncey M. 31, 45, 46, 47, 95, 191, 319, 320
Deszcz w Twarz, wódcz 322
Detroit, Holmes w 356, 361, 392
Dewey, Melvil 256
diabeł 11, 18, 23, 70, 120, 393, 394
Disney, Elias 163, 381
Disney, Roy 381
Disney, Walt 381
Doyle 161
Dredge, James 151
Dreiser, Theodore 18, 58, 314, 315, 390
Du Maurier, George 359
Dzień Kolumba 381
Dziki Zachód Buffalo Billa 216, 231, 259, 389

Eads, James B. 37
 Eddy, Charles J. 324
 Edison, Thomas A. 18, 141, 165, 255, 275, 293
 Eiffel, Alexandre Gustave 17, 28, 145
 Eiffla, wieża 17, 28, 145, 166, 267
 Eliot, Charles 204, 205, 387
 Elliott, kapitan Horace 83
 Ellsworth, James 61, 62, 64, 65, 385
 Empire State Building, Nowy Jork 40
 Englewood w stanie Illinois
 – przybycie Holmesa 48, 49
 – przyłączenie do Chicago 83
 – rozwój 58, 59 Erickson (aptekarz) 85
 Erie Railroad 296
 Essen Works, Niemcy 216
 Eulalia, infantka hiszpańska 269, 270
 Evanston National Bank 248
 Ferris Company 288 Ferris, George W. G. 195, 203 Ferris, Margaret 267, 268, 388
 Ferrisa, Koło
 – budowa 203, 204, 227, 248
 – działanie 203, 204
 – ostatnie dni 388
 – testy działania 266, 267, 268, 269
 Fidelity Mutual Life Association, Filadelfia 347, 349, 373, 376
 Field, Marshall 18, 34, 226, 228, 339, 397
 Field Museum, Chicago 382
 Filadelfia
 Holmes w 347, 367
 ludność 65
 ława przysięgłych 376
 proces Holmesa 348, 376, 392
 wiezienie Moyamensing 347, 358 Filene's Building, Boston 385 Finn, Mickey 70, 222
 Fire Queen 149
 First National Bank, Chicago 23
 Firzarrick, kapitan James 310, 311, 312
 Flatiron Building, Nowy Jork 9, 385
 Fogg, Phileas (postać literacka) 321
 Fort Worth w Teksasie, Holmes w 210, 213, 316, 333, 347, 382, 392
 Fouse, L. G. 376
 Franciszek Ferdynand, księżę 18, 292
 Franke, David 395
 Frazier, A. A. 79
 French, Daniel Chester 229, 246
 Gage, Lyman 108, 109, 119, 120, 125, 129, 141
 Garfield, James A. 194
 Gary, W. E. 373, 374
 General Electric Company 141, 249
 George, Henry 72
 Geraldine, Dion 163, 164, 168, 185, 312
 Geyer, Esther 348
 Geyer, Frank 10, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 360, 361, 362, 363, 364, 367, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 393, 395, 402, 434, 435
 Geyer, Martha 348
 Ginty, Flora 153
 Gompers, Samuel 163, 324, 342
 Gordon, Henry, „Harry” (pseud.) 210, 211, 212, 226, 251, 252, 272, 305, 306
 Gottlieb, Abraham 139, 150, 151
 Graham, Ernest 13
 Graham, George 348, 365, 372, 392, 393, 395, 402
 Graves, Dexter 157
 Greeman, Milion 394
 Gronau, W. F. 188, 189, 267, 268, 277, 278, 279, 288
 „Grzechotnik” Pete 258
 Guiteau, Charles 194
 H.M.S. Camperdown 294

H.M.S. Victoria 216, 294
Hall, Frank Haven 293
Halla, maszyna do pisania brajlem 293
Hanson, Mary 336, 337
Harrison, Benjamin 44, 61, 381
Harrison, Carter Henry 70, 71, 72, 140, 191,
193, 222, 223, 224, 225, 243, 259, 270, 271,
287, 317, 321, 322, 324, 325, 331, 334, 335,
336, 337, 338, 339, 340, 394
Harrison, Preston 337
Harrison, Sophie 336, 337
„Hatch” (postać fikcyjna) 367, 368, 376
Hawthorne, Julian 266,
Hayden, Sophia 130, 152, 153
Hayes, Laura 153
Hays, D. S. 57
Hecht, Ben 23
Hercules Iron Works 285
Herrick, Robert 342
Highleyman, J. W. 113
Higinbotham, Harlow 318, 321, 322, 338
Hill, Henrietta 352
Hollingsworth, Adelaide 220
Holmes, H. H. 11,48, 49, 50, 58, 59,60,
75,76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86,
97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 111, 112,
113, 133, 134, 135, 136,156,157,158,159,160,
161,162,171, 172,173,174,175,176,196,
197,198,199,200, 201, 208, 209, 210, 211,
212, 213, 214,226, 251, 252, 253, 264, 265,
272, 273, 275, 276,298, 299, 300,303,304,
305,306,307,316,317,331,332,
333,343,345,347,348,349,350,351,352, 353,
354, 355,356,357,358,359,360,
361,362,363, 364,
365,366,367,368,369,370,371,372,373, 374,
375,376,377,392,393,394,395,402,403
Holmes, Lucy 78, 98, 208
Holmes, Myrta Z. Belknap 75, 76, 77, 78, 98,
99, 100,208,213
Holton, E. S. 49, 50, 59, 60, 79
Horseshoe Curve 28
Hotel Wystawy Światowej 251, 424
Houdini, Harry 293

Howard, Annie 317, 335

Howard, Georgia (pseud.) 353, 354
Howard, Henry Mansfield (pseud.) 212, 316
Howe, G. (pseud.) 361
Hughes, W. C. 277
Hull House, Chicago 23, 221
Humboldta, park, Chicago 235
Humphrey, B. D. 364
Humphrey, Cephas 306
Hunt, Richard M. 89, 90, 91, 92, 93, 94, 106,
108, 109, 115, 116, 117, 123, 124, 142, 230, 342
Hunt, Robert 189
If Christ Came to Chicago (Stead) 382
Illinois Central Railroad 243, 247, 299
Illinois Trust and Savings Company 328
Indianapolis 352, 353, 354, 355, 356, 365,
368, 370, 373, 374, 376, 392
Ingalls, John 263
Irvington w Indianie 373, 374, 392
Ismay, J. Bruce 396
Jacksona, park 59, 66, 67, 68, 69, 86, 88, 94,
96, 100, 105, 106, 107, 111, 116, 126, 127, 129,
138, 139, 140, 141, 142, 143, 148, 149, 153,
163, 164, 169, 173, 176, 181, 186, 195,
202, 206, 207, 215, 222, 230, 236, 239,
243, 244, 247, 251, 252, 258, 259, 260,
261, 269, 270, 284, 298, 308, 309, 320,
321, 326, 327, 329, 335, 336, 340, 341,
383, 390, 391
— jako teren wystawy, patrz również:
Światowa Wystawa Kolumbijska
Jefferey, Edward T. 95, 119
Jenney, William 39, 90, 94
Johnson, Charlie 255
Joplin, Scott 293
Juicy Fruit, guma do żucia 255
Kansas City, zawalenie się hotelu 42
katedra św. Patryka, Nowy Jork 33
Keeleya, lekarstwo na alkoholizm
104,171,172,208
Keller, Helen 293
Kelly, Mary 83
Kiler, Charles 215
kinetoskop 255, 275

King, John 368, 369
Kingsbury, Fred 330
Kipling, Rudyard 65, 427
Kirk's, mydło 256
Klausmann, Caroline 355, 356
Koch, Robert 148
Kolumb, Krzysztof 17, 28, 29, 61, 231, 334
Kongres Stanów Zjednoczonych 30, 61, 65, 69, 107, 164, 168, 188,249,282
Kopalnia Soli Avery 256
Kraus (urzędnik miejski) 325
Królestwo Czarów (Disney) 381
Krupp, Fritz 216, 230, 248, 256, 292
krzesło elektryczne, pierwsze 275
Kuba Rozpruwacz 18, 45, 83, 132, 209, 264
Lafayette Collection Agency 332
Latimer, Robert 81
Laurean, L. G. 33
Lawrence 174, 196, 197, 198, 199, 200, 208
Lazarus Silverman Bank, Chicago 324
L'Enfant, Pierre Charles 382
Leopold, Nathan 391
Lewis, H. B. 59
Lincoln Memorial 381, 382, 396
Lindau, Paul 42
Lloyd, Henry Demarest 382
Loeb, Richard 391
Lola (wyspiarka z mórz południowych) 322
Loring & Jenney 33, 39
Lovering, Clara A. 54, 76, 213
Lyman, Benton T. (pseud.) 213
MacHarg, William S. 148, 149
Manila, plan urbanistyczny 15, 382
Mann, Henry D. 84
Marsz Kolumbijski 245
Masters, Edgar Lee 260
Maxwell, John 315
May, Chicago 222
Maynard, George W. 13
Mazhar, Farida 217, 391, 439
McAllister, Ward 218, 219
McArrhiir Brothers 129
McCarthy, Joseph 235
McClaughry, R. W. 132
McComber, J. B. 144, 145
McElroy, J. E. 185, 186
McKim, Charles 13, 89, 90, 91, 123, 130, 185, 186,227,230,329,330
McKim, Mead and White 90
McKim, Sarah 105
McLean Asylum, Olmsted w 389
Mead, William R. 115
Medili, Joseph 223
Merchant & Co. 208
Michigan, jeziora 42,45,67,92,115,124, 148,399
Middleton, Doc 258, 259
Mies van der Rohe, Ludwig 384
Miles, gen. Nelson A. 342
Millet, Francis 13, 16, 19, 20, 185, 186, 227, 249, 298, 301, 313, 320, 321, 324, 326, 327, 328, 329, 334, 396
Monroe, Harriet 36, 41, 89, 92, 96, 107, 108, 110, 117, 118, 184, 191, 192
Montgomery Ward 98
Moore, Charles 385
Moore, Fannie 113
Moorman, Elvet 374
morderstwo 24, 45, 83, 132, 160, 193, 200, 347, 365, 374, 376, 395, 403, 420, 431
Morgan, G. E 308, 309, 310
Morgan, J. Pierpont 141
Moses, Phoebe Anne (Annie Oakley) 216
Most Brooklyński 28, 37, 88, 124
Mount Wilson, obserwatorium 385
Moyamensing, więzienie w Filadelfii 347, 358, 359, 367, 368, 394, 395
Mudgett, Herman Webster 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 76, 347, 359, 392, 395, 402
Muirhead, James Fullerton 260

Murphy, Edward W. 286
 Muzeum Nauki i Przemysłu, Chicago 383
 My Country Tis of Thee 247, 257, 287
 Narodowa Agencja Detektywistyczna Pinkertona 97, 163, 347, 352, 393, 394
 National Cordage Company 347
 Nebraska Savings Bank 248
 New York Central Railroad 31, 319
 Northern Pacific Railroad 296
 Nowy Jork 9, 15, 26, 29, 30, 31, 32, 33, 45, 55, 61, 63, 69, 90, 91, 93, 95, 127, 132, 177, 179, 227, 255, 275, 319, 385, 391, 439, 440
 Oakley, Annie 216, 231, 232, 292
 Oker, John i Lora 251, 252, 305
 Olmsted, Frederick Law 62, 63, 63, 65, 66, 67, 68, 69, 74, 87, 90, 92, 93, 94, 105, 106, 107, 109, 117, 123, 126, 127, 128, 142, 153, 154, 168, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 188, 189, 190, 202, 204, 205, 206, 229, 230, 233, 234, 235, 238, 239, 245, 247, 248, 249, 282, 283, 284, 285, 290, 309, 330, 338, 388, 401
 Olmsted, John 233
 Olmsted, Mary 387
 Olympic 15, 16, 19, 20, 396
 Onderdonk, Andrew 189
 orkiestra stanu Iowa 287
 O'Rourke, John J. 394
 Otis, Delia 34
 Otis, Elisha Graves 37
 Owens, Henry 214
 Pabst Blue Ribbon, piwo 256
 Paderewski, Ignacy Jan 18, 293
 Palmer, Bertha Honore 152, 153, 173, 219, 243, 270, 338
 Palmer, Potter 40, 76, 152, 321
 Pałac Sztuk Pięknych, Chicago 383
 Pángalos, George 217, 439
 panika
 1873 roku 33
 1893 roku 332
 1907 roku 389

Paryż
 — Exposition Universelle 28
 — wieża Eiffla 28, 88, 92, 144, 145, 165, 166, 180, 183, 188, 248
 Pasteur, Louis 148
 Patti, Adelina 146
 Peabody, Robert 89, 90, 91, 94, 107, 144
 Peck, Ferdinand W. 43
 Pennsylvania Railroad 216, 248, 382
 Pickett, M. B. 13
 Pierwszy Kościół Prezbiteriański, Chicago 40
 Pinchot, Gifford 204
 Pitezel, Alice 82, 348, 349, 355, 357, 361, 365, 393
 Pitezel, Benjamin 81, 82, 171, 172, 213, 276, 348
 Pitezel, Carrie Canning 349, 353, 354, 355, 356, 360, 361, 364, 365, 393
 Pitezel, Dessie 82, 356, 357, 393
 Pitezel, Howard 82, 348, 357
 Pitezel, Nellie 82, 348, 353, 376, 361, 365, 393
 Pitezel, Wharton 356, 357, 393
 Poe, Edgar Allan 47, 52
 Poet's Life (Monroe) 36
 „Poetry”, czasopismo 36
 Post, George B. 13, 89, 90, 91, 117, 124, 139, 144, 187
 Postal Telegraph Company 26, 44
 Pound, Ezra 36
 prąd przemienny 141, 262, 381
 Prendergast, Patrick Eugene Joseph 71, 72, 140, 193, 224, 225, 235, 254, 325, 335, 336, 337, 338, 390, 391, 404
 Pretzman, William 184, 185
 Prospect Park, Brooklyn 66
 Przysięga Wierności 191
 psychopata, używanie terminu 99, 420
 Pudelko Cioci Jemimy 255
 Pullman, George 34, 39, 87, 331, 342
 Putnam, Frederick 151, 169, 178
 Quinlan, Patrick 81, 86, 100, 101, 104,

Reading Railroad 324
Rice, Luther V. 195, 266, 277, 280, 316
Rice, pułkownik Edmund 13. 148, 168
Richards, David 353, 354, 370
Riis, Jacob 221
Rodney, Lucille 290
Roebing, John Augustus 37
Roosevelt, Theodore 178, 293
Root, Charles T. 319
Root, Dora Monroe 36, 117, 261, 390
Root, Elihu 382
Root, John Wellborn 27, 32, 33, 34, 35, 36, 38, 39, 40,41, 42, 43,44,46, 47, 61, 66,69, 70, 71, 74, 87, 89, 92, 94, 95, 96, 107, 108, 110, 117,118,119,385
Root, Mary Walker 36
Ross, Alexander 31
ruch upiększania miast 382
Russell, Lillian 293
Ryves, Thomas 361, 362, 363
rzeka Chicago 148
S.A. Kean&Co. 91
sabatariański, ruch 249
samochody, wiara Burnhama w 285
San Francisco, plan urbanistyczny 382
Satt, Hilda 262, 296
Saturday Afternoon Club 165, 166, 183
Schnooks, John 350, 351, 352, 353
Schufeldt, porucznik Mason A. 131, 144, 170, 218
Schuyler, Montgomery 263
Scott, William 392
Shankland, Edward 151
Sherman (byk) 35
Sherman, John B. 34, 35, 152
Sherman, William Tecumseh 132
Siedzący Byk, wódcz 87, 244, 322
Sinclair, Upton 51
Siostra Carrie (Dreiser) 58, 390
Smythe24, 199,332
Soldier Field, Chicago 382
Srebrnego Pyłu, Instytut 172, 208
St. Gaudens, Augustus 13, 123. 125
St. Louis 29, 30, 31, 37, 195, 314, 315, 349, 351,382,414
„St. Louis Republic” 314
Stanley, Henry 131
Stanton, Elizabeth Cady 24
Starrett, Paul 40, 41, 107, 245
Star-Spangled Banner 231, 339
Statua Republiki („Duża Mary”) 229, 246, 274
Stead, F. Herbert 239, 244, 340
Stead, William 99, 340, 382, 397
Steffens, Lincoln 39
Stewart, Evelyn 264
Stojący Niedźwiedź, wódcz 292
Stowarzyszenia Cartera H. Harrisona 222
Stowers, pani 85, 86
sufrażystek, ruch 294
Sullivan, John L. 315
Sullivan, Louis 19, 34, 38, 43, 47, 70, 90, 94, 95, 115, 116, 117, 124, 125,330,342,383, 384, 397
Swango, Michael 395, 402
Światowa Wystawa Kolumbijska 11, 17, 18, 19, 24,61,71,74,86,97,99, 111, 134, 148, 151, 165, 166, 168, 179, 188,202,211,217,222, 238, 243, 244, 245, 255, 256, 257, 263, 274, 275, 280, 281, 291, 298, 311, 321, 327, 330, 331,347,381,401
tafle szklane 39, 84, 102, 103, 309
Talmadge, Thomas 39
Taylor, D. C. 256, 257
Tesla, Nikola 18, 141, 255, 293
Thomas, J. C. 352
Thomas, Theodore 178
Thompson, Jennie 264
Titanic 396, 397
Toronto 361, 363, 364, 365, 367, 376, 392, 393
Torture Doctor (Franke) 395, 402

Train, George Francis 321, 322
Trade, Alfred S. 193, 194, 224, 225, 390, 391,404
Tucker, Horace 327
Turner, Frederick Jackson 294
Twain, Mark 293
Ulrich, Rudolf 142, 164, 177, 205, 206, 233, 234, 235, 282
Union League, Chicago 40, 45, 70
Union Station, Waszyngton 9, 16
Union Stock Yards, Chicago 34, 35, 41, 48, 49, 50,58,59,76,87, 100, 113, 114, 134, 142, 156,215,272,427
Union Trust Company Bank, Chicago 44
University Club, Chicago 108
U.S.S. Michigan 246, 247, 339
Uzann, Octave 42
Van Brant, Henry 13,63, 89, 90,91,105,116,117
Vanderbilt, George Washington 92, 38?
Vaux, Calvert 63, 126
Veragua, książę (ostatni żyjący potomek Kolumba) 243
Villard, Henry 228
W 80 dni dookoła świata (Verne) 321
Waldorf-Astoria, Nowy Jork 391
Walker, John 35
Wall Street, panika na 247
Ward, Aaron Montgomery 98, 215
Warner Glass Bending Company 84, 98, 102
Washburne, Hempstead 140
Waszyngton
— jako proponowany organizator wystawy 29,30 plany urbanistyczne 382 Waszyngtona park, Chicago 48,59,66,86,169,320,324 Wathen, W. H. 160 Watson, Carrie 45, 173, 221, 222 Watterson, Henry 191 Waukesha, woda źródłana z 149, 185, 186
WebofLife(Herrick)341
Weber, Max 24
Wellington Catering Company 326
Western Union 26, 44, 71, 73, 268
Westinghouse Electric Company 141, 248
Westinghouse, George 18, 141
Wheeler, Candace 153, 227
Yates, A. A. (pseud.) 214
Yoke, Georgiana 316, 333, 354, 356, 360, 361
Zahtooobe (Dahomejka) 322 Zjednoczone Niemieckie Towarzystwa Śpiewacze 339
zwłoki na potrzeby uczelni medycznych 160, 161 żarówki 32, 141,262
Wright, Frank Lloyd 330, 381, 384, 386
Wyckoff, Walter 164
Wystawa Kupiecka w Luizjanie (1904) 388
Wherritt (spanikowany pasażer) 295, 296
White Star Line 15, 230, 396, 404
White, Rose 315
White, Sara Osborne 314, 315, 390
White, Stanford 227
Whitechapel Club 18, 24, 45, 209
wielki pożar (1871) 33, 58, 71, 240, 327
Wight, Peter 33
Willard, Frances E. 70,71
Williams, Anna „Nannie” 210, 272, 299, 306, 371
Williams, Minnie R. 209, 210, 214, 251, 252, 299,307, 332,333, 348, 350, 367, 368, 369, 371,376
Wilson, Woodrow 293
winda, wynalezienie 37
Wistar Institute, Filadelfia 394
Wizard of Oz (Baum) 381
Worlds Columbian Exposition Company założenie 46